

ŚLADY



ZBRODNI

SŁAWEK GORTYCH

*W cieniu gór
skrywa się prawda...*

SCHRONISKO KTÓRE PRZETRWAŁO

S Ł A W E K G O R T Y C H

SCHRONISKO

KTÓRE PRZETRWAŁO

Polecamy

SCHRONISKO

KTÓRE PRZESTAŁO ISTNIEĆ

SCHRONISKO

KTÓRE PRZETRWAŁO

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce
© Rafał Kotylak

Fotografie
© DANIEL KOSZELA, © JORDAN PLIS, © NATALIA TWARDY, HANA76 / Adobe Stock, PixelSquid360 / Envato Elements, Grzegorz Sokoliński (kolekcja prywatna), Jeleniogórska Biblioteka Cyfrowa (domena publiczna), Dolnośląska Biblioteka Cyfrowa (domena publiczna)

Koordinacja projektu
NATALIA STECKA-KUBANEK, KONRAD ZATYLNÝ

Redakcja
MAŁGORZATA GROCHOCKA

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Sławomir Gortych, Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6422-3

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Przedwojenne nazwy niemieckie i ich polskie odpowiedniki

Prolog

I. Podchody

II. Zamach

III. Włamanie

IV. Urodziny

V. Szyb

VI. Doktor

VII. Nazista

VIII. Ciotka Maria

IX. Burza

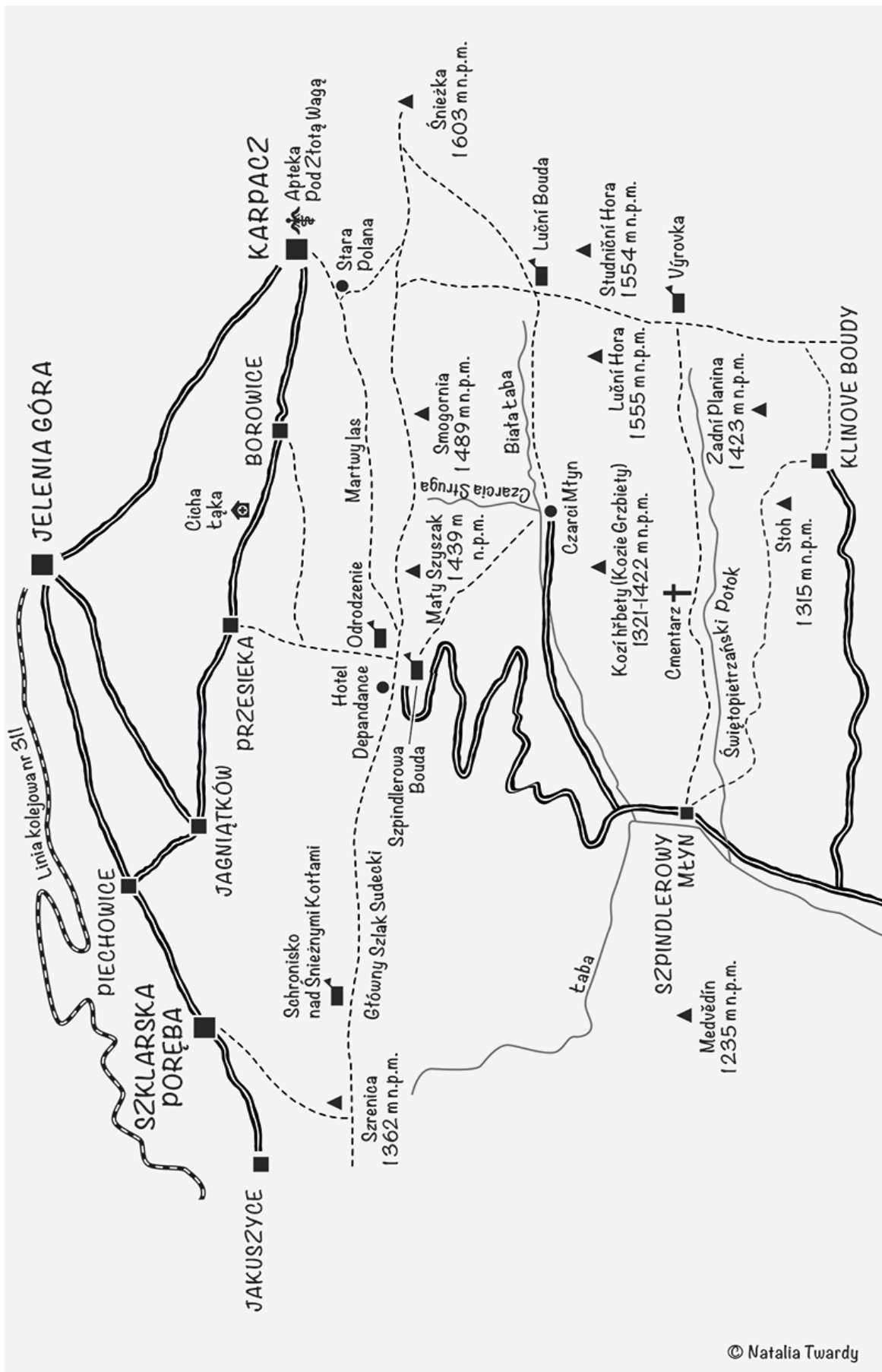
Posłowie

Podziękowania

Przypisy

*Czego byś nienawidził, aby ci kto inny czynił, patrz,
abyś ty kiedy drugiemu nie czynił^[*].*

(Księga Tobiasza)



Przedwojenne nazwy niemieckie i ich polskie odpowiedniki

Bober-Katzbach-Gebirge	– Góry Kaczawskie
Breslau	– Wrocław
Dürre Berg	– Sucha Góra
Grunau	– Jeźów Sudecki
Hainwasser	– potok Podgórna
Hirschberg	– Jelenia Góra
Jakobsthal	– Jakuszyce
Jugendkammhaus Rübezahl	– Młodzieżowe Schronisko Liczyrzepa, dziś: schronisko Odrodzenie
Niederschlesien	– Dolny Śląsk
Plagwitz	– Płakowice
Prinz-Heinrich-Baude	– schronisko im. Księcia Henryka
Reichenberg	– Liberec
Riesengebirge	– Karkonosze
Schreiberhau	– Szklarska Poręba
Schweidnitz	– Świdnica
Spindlerbaude	– Szpindlerowa Bouda
Spindlermühle	– Szpindlerowy Młyn
Spindlerpass	– Przełęcz Karkonoska
Strickerhäuser	– Tkacze
Sudetenstrasse	– Droga Sudecka
Vogels Berg	– Ptasiak
Wartha	– Bardo

PROLOG

Przyszedł taki czas, w którym okazało się, że nawet najlepsi ludzie nie są odporni na zło, jak mogłoby im się to wydawać. Szaleństwo jednego człowieka stojącego na czele niemieckiego narodu pokazało rzecz przerażająco banalną: że w każdym można obudzić potwora. Wystarczy tylko odpowiednie bodźce, żeby wyrwać z uśpienia najpodlejsze instynkty, jakie drzemią w głębi ludzkiej duszy.

Podczas gdy świat ogarniała przerażająca wojna, a europejska ziemia niczym nigdy nienasycona gąbka chłonęła bezsensownie przelewaną krew całych pokoleń, Karkonosze pozostawały w cieniu tego szaleństwa i wydawały się nieskażone bestialstwem. Nie przechodził przez nie żaden front, nie było walk, żołnierskich mogił, wielkich obozów koncentracyjnych, cyklonu B ani krematoriów. Jak jednak uczy Księga Wyjścia (12, 21–23), domy, których odrzwia nie zostaną skropione niewinną krwią, będą dla Boga znakiem, że ma je nawiedzić niszczycielską plagą. Starotestamentalna prawda sprawdziła się także na ziemi Ducha Gór: podczas gdy na frontach ginęły miliony żołnierzy, w Karkonoszach również uśmiercano całe pokolenie młodych ludzi: Niemców, których w szeregach Hitlerjugend wychowywano na bezwzględnych morderców.

Niemal każda choroba rozwija się dzięki współistnieniu dwóch elementów: pierwszy to czynnik sprawczy, który wywołuje uszkodzenie organizmu. Drugi natomiast, o którym często się zapomina, to czas. Trzeba bowiem dostatecznie długiego czasu, aby czynnik sprawczy mógł rozwinąć swoje niszczycielskie działanie na tyle, żeby żaden lekarz nie był w stanie zatrzymać postępu choroby.

Obozy wypoczynkowe dla młodzieży z Hitlerjugend były tym właśnie miejscem, gdzie sprzęgano czynnik sprawczy z czasem, aby nieodwracalnie psuć młode dusze, aby niszczyć wyniesione często z domu poczucie moralności, aby uczyć, jak cieszyć się z popełniania zła, jak je usprawiedliwiać i przekłuć w poczucie dobrze spełnionej misji. Tą straszną chorobą zarażano systemowo przez lata całe pokolenie młodych Niemców, aby w przyszłości mogli przejąć stery w państwie wykreowanym przez Adolfa Hitlera. Z tego powodu niektórzy historycy mówią o tym pokoleniu, że zostało stracone.

Ktoś uznał, że okoliczności karkonoskiej przyrody będą doskonałe do realizacji przerażającego planu „wychowania” młodzieży w duchu narodowego socjalizmu. Wśród miejsc wybranych na obozy dla członków Hitlerjugend było jedno miejsce szczególne: karkonoska bauda^[1] – Jugendkammhaus Rübezahl, czyli młodzieżowe schronisko turystyczne Liczyrzepa. W ten oto sposób dom Ducha Gór stał się miejscem, w którym kształtowano wyzute z sumienia bestie, zdolne do popełnienia najgorszego okrucieństwa w imię dobra narodu i wiodza.

CZEŚĆ I

PODCHODY

Vogels Berg, 23 sierpnia 1943

Niebo nad Karkonoszami ogarniała szaleńcza walka żywiołów. Z południa nieustannie nacierało słońce, którego palące promienie sprawiały, że skalista górską ziemia traciła swój naturalny chłód. Z północy zaś nadciągały coraz liczniej ciężkie chmury, których atramentowa barwa wróżyła nadchodzącą burzę. Ostateczną rolę w tej rozgrywce miał odegrać wiatr – choć niewidzialny, mógł pokierować zdarzeniami w różny sposób, doprowadzając do triumfu burzy albo słońca.

Alexander wspiął się na szczyt Vogels Berg jako pierwszy z dowodzonej przez siebie grupy i rękawem otarł spocone czoło, odgarniając na bok spadające mu na czoło kosmyki jasnych włosów. Oddychał szybko, ale wciąż nie mógł nasycić się powietrzem, które było nieprzyjemnie rozgrzane i wilgotne. Oparł dłonie na kolanach i splunął na ziemię. Poczłł, jak strużka potu spływa mu między barkami i stopniowo wsiąka w koszulę. Wzdrygnął się odruchowo i rozpiął kilka guzików. Nie cierpiał, gdy jego ubrania stawały się mokre i lepkie od potu.

– Szybciej, szczytle... – rzucił z pogardą w stronę doganiających go chłopaków, po czym zrzucił z pleców płócienną torbę. Wyciągnął z niej mapę i lornetkę.

– Idzie burza – zakomunikował oschle. – Ile czasu nam zostało?

– Wyruszyliśmy równo o szesnastej trzydzieści, teraz są cztery minuty po siedemnastej – odparł Johannes Schmied. Był synem właściciela schroniska Jugendkammhaus Rübexahl, a jednocześnie przyjacielem Alexandra. – Mamy więc jeszcze pięćdziesiąt sześć minut do końca gry.

– To mało. Musimy się spieszyć – odparł Alexander, po czym przyłożył do oczu lornetkę i zaczął obserwować zalesione zbocza doliny potoku Hainwasser, którą doskonale było widać z Vogels Berg.

Trzydzieści cztery minuty temu pod Jugendkammhaus Rübezahl jego drużyna rozpoczęła walkę o flagę. Rano podobną rozgrywkę odbyła młodsza część uczestników wakacyjnego obozu, teraz zaś przyszła pora na starszych.

Gra zawsze miała podobny scenariusz, do którego chłopcy już się przyzwyczaili: po uroczystym apelu członków Hitlerjugend dzielono na dwie drużyny. Pierwsza, po wybraniu przywódcy – co nierzadko dokonywało się wewnątrz grupy za pomocą argumentów pięści – otrzymywała flagę i ruszała w las, aby tam obrać sobie odpowiednią kryjówkę. Po piętnastu minutach w teren udawała się druga drużyna, która miała za zadanie znalezienie przeciwników i odebranie im flagi. Regułą było, że każda drużyna przybierała nazwę jakiegoś narodu. W drodze losowania ustalono, że grupa Alexandra będzie reprezentować Niemcy, natomiast ci z flagą zostali Polakami. Poza tym obowiązywało niewiele zasad. Nie narzucano uczestnikom żadnej strategii ani planu. Celem gry było wyrabianie w młodych ludziach sprytu, kreatywności, a jednocześnie zdolności do agresji. Takich cech potrzebował przecież przyszły żołnierz.

Jedynie reguły, jakie należało bezwzględnie respektować, to granice terenu, po którym uczestnicy gry mogli się poruszać, oraz ustalony czas – jeśli w półtorej godziny drużyna z flagą nie została odnaleziona, miała wrócić pod Jugendkammhaus Rübezahl, gdzie ogłaszała swoje zwycięstwo. Przegranych – poza ostracyzmem ze strony pozostałych członków obozu i kadry wychowawców – czekały też kary w postaci dodatkowych wieczornych obowiązków, takich jak czyszczenie toalet, szorowanie podłóg, obowiązkowo na kolanach, czy rąbanie drewna.

Alexander spojrział na mapę z niepokojem. Zaznaczył wszystkie punkty, jakie uznał za potencjalne miejsce kryjówki drużyny z flagą. Sprawdzili już starą chatkę drwali przy zwalonym moście na potoku Hainwasser, teraz kończyli przeszukiwać okolice szczytu Vogels Berg, jednak nigdzie nie widzieli choćby śladu obecności przeciwnika. Jedyne miejsce, które wciąż pozostało przez nich niezbadane, to Dürre Berg, zamykająca dolinę potoku Hainwasser od zachodu. Alexander nie lubił tego miejsca. Według miejscowych legend stała tam niegdyś szubienica, na której pewien lubujący się w zadawaniu bólu hrabia wieszał swoich poddanych za najdrobniejsze przewinienia. Ile było w tym prawdy, tego nie wiedział, jednak miejsce uznawane przez okolicznych za przekłete zawsze wzbudzało w nim irracjonalny niepokój. Ponoć niektórym zdarzało się tu nawet zobaczyć błakające się wśród skał na

szczyt góry dusze nieszczęśników, których ciała zakopano tuż pod ziemią w sąsiedztwie miejsca kaźni.

– Co teraz? – Johannes wyrwał Alexandra z zamyślenia. – Idziemy na Dürre Berg?

Nim dowódca zdążył odpowiedzieć, usłyszeli dochodzące z oddali wrzaski Martina i Claudiusa – bliźniaków, którzy także należeli do ich drużyny. Chwilę później wyłonili się z lasu i szli w kierunku Alexandra, Johanna i pozostałych członków drużyny Niemców.

– Znaleźliśmy go! – krzyczeli rozradowani, prowadząc pod ramię między sobą szarpiącego się chłopaka. To był Klaus, członek przeciwnej drużyny. Jedno oko miał podbite, a spod jego poszarpanej koszuli wyłaniał się tors naznaczony ciętymi ranami.

– Kurwa, przegięliście. – Alexander wpadł w furję. – Jest chyba zakaz używania noży!

– Nie przesadzaj. Zagoi się – mruknął Martin niewinnym głosem, po czym zwrócił się do brata: – Claudius, czy wychowawcy mówili o takim zakazie?

– Nie przypominam sobie – odparł tamten, wycierając zakrwawiony nóż w jasną koszulę. – Poza tym nie cięliśmy głęboko.

Alexander spojrzał na bliźniaków z niezadowoleniem. Byli wzorowymi członkami Hitlerjugend. Oddani bezgranicznie przełożonym i Führerowi nie zawahaliby się przed największą zbrodnią, jeśli tylko wymagałoby tego dobro sprawy. Mimo to drażnili Alexandra, bo coraz częściej mylili posłuszeństwo z bezrefleksyjnością. Lata spędzone w Hitlerjugend wpłynęły na nich na tyle mocno, że ślepo wykonywali wszelkie polecenia, tracąc jakkolwiek zdolność samodzielnego rozumowania. Ich twarze nie zdradzały żadnych emocji. Tego elementu ludzkiej natury pozbyli się już dawno za sprawą lat kształtowania swoich umysłów i ciał pod twardą ręką propagandy, którą karmiono ich codziennie.

– Nie wiemy, gdzie są Polacy. A my, jako Niemcy, musimy wygrać – kontynuował Claudius. – Złapaliśmy go przed chwilą. Śledził nas. Pewnie wysłali go na zwiady, żeby potem mógł donieść wrogowi, gdzie jesteśmy i co planujemy. A skoro tak, to znaczy, że wie, gdzie jest jego drużyna – dodał, po czym pchnął Klause. Tamten jęknął z bólu, upadając twarzą na ziemię. Ręce miał wykręcone do tyłu i związane sznurkiem.

– Gadaj, gdzie macie bazę! – warknął Martin.

– Mówiłem już, że niczego się ode mnie nie dowiedziecie – syknął Klaus.

– Gadaj, do cholery! – Chłopak zaczął sapać z wściekłości. – Oj, zrobimy ci wahadełko, to zmienisz zdanie.

– Jakie wahadełko? – Do rozmowy włączył się zaciekawiony Johannes.

– Zaraz ci pokażemy – odparł Martin i skinął na Claudiusa. Ten uśmiechnął się, wiedząc, co się szykuje. Nacisnął nogą na plecy Klause pomiędzy łopatkami. Jego brat natomiast stanął nad ofiarą w rozkroku, złapał za jej spętane dłonie i zaczął ciągnąć je do góry, wykręcając ramiona w barkach. Chłopak zaczął krzyczeć z bólu.

– Będziesz gadał? – spytał Martin. – Czy mamy wyrwać ci te rączki ze stawów? – Szarpnął raz jeszcze, a Klaus zawył.

– Przestańcie – wydał rozkaz Alexander. – Bez przesady.

– Jak to: bez przesady? – odparł Claudius oburzony. – Przecież to Polak. A opinia naszego Führera o tym robactwie jest jednoznaczna. To bardziej zwierzęta niż ludzie. Próbowali się mieszać z aryjską rasą panów, ale wciąż są tylko mieszańcami, którzy zatruwali ją swoimi genami. To jest już chyba jasne dla wszystkich w Rzeszy. Polskość równa się podczłowieczeństwu.

– Przecież to Klaus. Niemiec, a nie Polak – odparł Alexander.

– Od szesnastej trzydzieści jest Polakiem. Takie są zasady – skomentował Martin. – Więc należy go traktować jak Polaka – dodał i splunął na leżącego na ziemi Klause.

– Oni tylko udają polską drużynę – powiedział Alexander.

Claudius i Martin spojrzeli na niego tępym wzrokiem.

– Polska już dawno została załatwiona. Jest jeszcze tylko trochę Polaków, których należy zniszczyć. W Polsce zaczynała się Azja. To był kraj brudu, robactwa i na dodatek Żydów.

– Panowie, to jest gra.

– To nie jest tylko gra – rzekł Martin złowieszczo.

Dopiero gdy Alexander napotkał jego puste spojrzenie, przypomniał sobie, że chłopak nie potrafi myśleć o zawodach jako formie rozrywki, a wszystkie wyznaczone zadania traktuje jak wymagającą najwyższej powagi misję. Doskonale znał przecież opowieści, jakie krążyły o bliźniakach. Kilka lat temu na obozie w Saksonii pełnili oni nocną wartę. Do bazy wrócił jeden z uczestników,

dziesięciolecie, ale nie mógł sobie przypomnieć hasła. Claudius i Martin zastrzelili go z zimną krwią, tłumacząc potem, że byli do tego zmuszeni. Wierzyli bowiem, że skoro chłopiec nie zna hasła, to musi być obcym szpiegiem, który chce się wkraść na teren obozu. Mieli wtedy zaledwie po czternaście lat. Teraz zaś mieli po osiemnaście, a kult form i procedur militarnych był dla nich jeszcze większą świętością.

– Zanim dalej będziecie go torturować, dajcie mi chwilę. Ja tu dowodzę, tak? – wycedził przez zęby Alexander.

Przez kilka sekund w powietrzu zawisła złowroga cisza. Pozostali członkowie drużyny przypatrywali się całej sytuacji w milczeniu. Nie zajęli żadnego stanowiska – ani nie zaprzeczyli pomysłowi torturowania kolegi, ani nie poparli dowódcy.

– Pytam ostatni raz. Kto tu dowodzi?

– Ty – odparli niechętnie po chwili Claudius i Martin.

– Więc przestańcie robić cyrk i poczekajcie, aż coś sprawdzę. Spróbujcie się stawiać, a być może to wy wrócicie dzisiaj do schroniska z wykręconymi rączkami – zagroził Alexander, po czym wspiął się na jedną ze skał, którymi upstrzony był szczyt Vogels Berg. Słońce prażyło coraz mocniej, a w oddali dało się słyszeć pierwsze odgłosy burzy, która zaczęła już szaleć w sąsiednich Bober-Katzbach-Gebirge.

Chłopak jeszcze raz przyłożył do oczu lornetkę i skupił się na obserwacji Dürre Berg. Był coraz bardziej przekonany, że tylko tam mogła zaszyć się drużyna z flagą.

Góra była wyjątkowo charakterystyczna: jej szczyt pozostawał niezalesiony i z pozoru był słabym miejscem na kryjówkę. Z drugiej jednak strony Dürre Berg miała swoje zalety. Po pierwsze, było stamtąd dość blisko do Jugendkammhaus Rübezahl, dokąd o osiemnastej, po upłynięciu czasu gry, musiała biec drużyna z flagą. Po drugie zaś, na górze były liczne grupy skał, które zapewniały stosunkowo dobre warunki do ukrycia się, a jednocześnie umożliwiały, tak jak Vogels Berg, obserwację okolicy.

W pewnym momencie między największą grupą skał na szczycie Dürre Berg Alexander zauważył jakiś ruch. Skupił wzrok i wyostrzył lornetkę.

– Mam was – szepnął zadowolony, obserwując, jak z lasu wyłaniają się niemal na czworakach członkowie przeciwnej drużyny i znikają między głazami.

Zszedł ze skały. Claudius i Martin mierzyli go wzrokiem, na skinienie palca gotowi wrócić do torturowania pojmanego przeciwnika.

– Wiem, gdzie są – oznajmił Alexander i rozłożył na ziemi mapę. – Tak jak przewidywałem, zaszyli się na Dürre Berg. Naiwni. Prawdopodobnie przyjęli dość banalny plan: ukryć się wśród skał na najbliższych kilkadziesiąt minut i przeczekać tam czas gry. Potem jednak będą musieli wrócić do schroniska, żeby ogłosić zwycięstwo. Puszczą się biegiem w jego kierunku najkrótszą drogą, czyli tędy. – Alexander wskazał na mapie leśną ścieżkę. – I właśnie tam, w drodze, zamierzam ich zaskoczyć.

– Doskonale. – Milczący dotychczas Johannes zatarł ręce.

– Ja też już nie mogę się doczekać. – Claudius się uśmiechnął i oślinionym palcem przejechał wzdłuż ostrza noża, którym niedawno torturował Klause. – Flaga będzie nasza.

Jugendkammhaus Rübezahl, 23 sierpnia 1943

Burza zaczęła nacierać zaraz po finale krwawej bijatyki między drużyną Polaków i Niemców, a zakończyła się tuż przed zmierzchem. Ciemne chmury zniknęły z horyzontu, ale brunatna barwa, jaką przybrało niebo podczas zachodu słońca, miała w sobie coś złowieszczonego. Góry stopniowo ogarniał mrok, a granice między nocnym niebem a karkonoskimi szczytami zaczęły się zacierać.

Przed schroniskiem kończył się uroczysty wieczorny apel z pochodniami, podczas którego ogłoszono wyniki gry w zdobycie flagi. Drużyna dowodzona przez Alexandra została pochwalona, natomiast ich przegrani przeciwnicy zajmowali się w tym czasie szorowaniem łazienek i obieraniem ziemniaków na jutrzejszy posiłek. Dodatkową, chyba najbardziej przykrą karą było to, że miała ich ominąć wieczorna zabawa przy ognisku, zawsze wieńcząca grę.

Młodsza drużyna, która zwyciężyła w porannej turze rozgrywek, rozsiadła się już wygodnie na pieńkach, podczas gdy pokonani przez nich chłopcy rąbali w szopie za schroniskiem drewno i znosili je na plac przed Jugendkammhaus Rübezahl.

Wkrótce uzbierał się okazałych rozmiarów stos. Ktoś solidnie skropił go benzyną, trzasnęła zapałka odpalona przez jednego z opiekunów i po chwili ognisko błysnęło

oślepiającym płomieniem. Wilgotne drewno strzelało głośno, gdy coraz śmiejiej obejmowały je języki ognia.

Zwycięzcy z popołudniowej tury rozsiedli się wygodnie na ławkach i zaczęli nadziewać na kijki tłuste kiełbasy przyniesione z kuchni przez Marię Dvořák, jedną z pracujących tam kobiet. W ślad za starszymi poszli zdobywcy flagi z porannej rozgrywki, którzy siedzieli po drugiej stronie kręgu. Chwilę później nad ogniskiem zaczęły przypiekać się pierwsze kiełbaski, a ciszę wypełnił coraz głośniejszy gwar rozmów.

– Ależ to była doskonała akcja – zaczął Johannes, trącając w łokieć Alexandra, który jakby nieobecny duchem wpatrywał się w płomienie. – Świetnie to rozegrałeś. Niektórzy biegają po lesie jak popaprani, a ty? Z chłodną precyzją wytypowałeś potencjalne kryjówki, znalazłeś dobry punkt obserwacyjny, zlokalizowałeś wroga... Mój ojciec zawsze mówi, że zajdziesz daleko. I ma rację, bo dobry z ciebie strateg – dodał i popatrzył z podziwem na starszego kolegę.

– Nasz pomysł nie był gorszy. – Do rozmowy włączył się Martin. – Prędeziej czy później wyciągnęlibyśmy z Klausa informację o kryjówce jego drużyny i też zdobylibyśmy flagę.

– Różnica między mną a wami jest taka – odezwał się Alexander z wyższością – że ja myślę: planuję, przewiduję, mam taktykę...

– Że niby my nie mamy taktyki? – obruszył się Claudius.

– Macie. Zawsze taką samą. Władowaliście nóż na oślep we wszystko, co się rusza, a dopiero potem zaczęlibyście myśleć, czy to był dobry pomysł i czy może są jakieś inne rozwiązania.

– Waż słowa! – Martin poderwał się z ławki. Alexander także wstał. Był o pół głowy wyższy od bliźniaka. Przez chwilę mierzyli się nienawistnym wzorkiem.

– Dajcie spokój – zaczął Johannes polubownie i stanął między nimi. – Wygraliśmy i to jest najważniejsze, prawda?

– Prawda – odparł Alexander i usiadł z powrotem. Martin nie odpowiedział. Zazgrzytał tylko zębami, wysuwając podbródek, po czym wrócił na swoje miejsce.

– Hej, szturmowcy, młodzi i starzy, do ręki broń czym prędzej bierzcie, bo wróg straszny Górny Śląsk truje, stamtąd więc go przegnać się spieszcie... – Ktoś zaczął nucić jedną z ich piosenek.

– Gdy szturmowiec w ogień pójdzie, tam odwaga się zahartuje, a gdy z noża Żyda krew tryska, to wtedy się radość pojmuje... – ochoczo odpowiedzieli kolejnymi wersami pozostali zebrani przy ognisku chłopcy.

Atmosfera robiła się bardzo gorąca. Ciszę karkonoskiej nocy przerywał coraz głośniejszy śpiew, który brzmiał tak, jakby dobywał się nie tyle z młodych męskich gardeł, ile prosto z głębi ich serc, które ukształtowano tak, aby każdym uderzeniem świadczyły o wierności narodowi panów.

Zagrzewającej do walki pieśni akompaniowały trzask płonącego drewna i charakterystyczny syk tłuszczu kapiącego z kiełbas wprost na płomienie.

Całemu zdarzeniu przyglądała się milcząca i surowa bryła górskiego schroniska, która wyłaniała się z ciemności nocy dzięki blaskowi ogniska. Jego jasność połyskiwała w szybach okien, pląsała po kolejnych kondygnacjach, tworząc na fasadzie tajemniczy spektakl światła i cieni. Za sprawą płomieni wyłaniały się z mroku także stojące przed budynkiem strzelające w niebo maszty i zwisające z nich flagi ze swastykami. Potężna i symetryczna elewacja doskonale z nimi harmonizowała. Choć zaprojektowana pięć lat przed dojściem Adolfa Hitlera do władzy, miała w sobie typowy dla nazistowskiej architektury charakter: obsesyjne zamiłowanie do monumentalizmu, porządku i klasycznych form.

Po dłuższej chwili do zebranych przy ognisku dołączyli także przegrani z porannej rozgrywki, którym po wykonanej pracy pozwolono na to w drodze wyjątku, jednak z zastrzeżeniem, że nie mają prawa poczęstować się kiełbasą. Przegrani siedzieli więc nieco z boku i smutnym wzrokiem wpatrywali się w płomienie, które strzelały coraz wyżej w niebo.

Alexander tylko nieznacznie przypiekl kielbasę i zaczął jeść ją z pośpiechem. Ukradkiem przyglądał się rówieśnikom, którzy wstali od ogniska i dyskutowali o czymś żywo kilka kroków dalej. Ich nienagannie ogolone twarze, równo przystrzyżone włosy i aryjskie rysy wydały mu się wyjątkowo piękne. Spuścił wzrok niżej. Wpuszczone w krótkie spodenki niedbale zapięte koszule uwidaczniały muskularne klatki piersiowe, a nad naciągniętymi do łydek białymi skarpetami rysowały się ich potężne kolana i mocno zaznaczone mięśnie ud. Biodra chłopców opasały skórzane paski z metalowymi klamrami zdobionymi napisem *Blut und Ehre* – „Krew i honor”. Wreszcie niemal nieświadomie zawiesił wzrok na ich męskości, której kształt uwidaczniał się przez napięty materiał w okolicy rozporków.

Czuł rosnące podniecenie. Wstał od ogniska w obawie, że ktoś dostrzeże jego ukradkowe spojrzenia i rosnącą erekcję.

– Muszę iść na chwilę do schroniska – szepnął do Johannesesa i ruszył w stronę budynku.

Po jakimś czasie od ogniska poderwał się obserwujący Alexandra od dłuższego czasu Martin i ruszył w ślad za nim.

Jugendkammhaus Rubezahl, 23 sierpnia 1943

Erik wyjrzał przez okno. Przed schroniskiem zaczynało się właśnie ostatnie ognisko podczas tego obozu, a on jako jedyny ze swojego pokoju na drugim piętrze musiał zostać w środku, bo należał do przegranej drużyny. Ból, który czuł niemal w każdej części ciała, nasilał się na wspomnienie dzisiejszej walki o flagę. Znaleźli taką doskonałą kryjówkę na Dürre Berg! Gdy pełni radości biegli leśną ścieżką w stronę schroniska z poczuciem nadchodzącej wygranej, niespodziewanie zaatakowała ich drużyna przeciwników. Wyjątkowo krwawe tego dnia starcie zakończyło się ostatecznie zdobyciem flagi przez grupę Niemców Alexandra i sromotną klęską Polaków, wśród których był Erik.

Usiadł na łóżku i się rozplakał. Spojrzał na swoje nieforemne dłonie i ściągnął grube okulary, które nosił od najmłodszych lat. Jego krzywa klatka piersiowa, nienaturalnie długie, chude i koślawe nogi, a także problemy ze wzrokiem po zmroku były nieustanną przyczyną drwin ze strony kolegów z Hitlerjugend.

Przypomniawszy sobie, jak podczas pierwszego dnia tegorocznego wakacyjnego obozu zorganizowano dla nich zajęcia z matematyki. Dostali zadania na kartkach i piętnaście minut na ich rozwiązanie. Treść pierwszego brzmiała: „Utrzymanie idioty w ośrodku opiekuńczym kosztuje Rzeszę dziennie cztery i pół reichsmarki. Przy założeniu, że będzie on żył czterdzieści lat, ile pieniędzy zmarnuje państwo na jego bezproduktywne życie?”.

Gdy rozdano kartki, siedzący obok Erika Martin szturchnął go i powiedział głośno: „Popatrz, pierwsze zadanie jest o tobie, idioto”.

– Nie jestem idiotą – obruszył się Erik.

– No to kaleką. Dla mnie to bez różnicy. Jesteś niepełnowartościowy, jesteś... problemem dla narodu! A problemy trzeba usuwać – dodał i zaśmiał się szyderczo.

Po chwili zawtórowali mu pozostali chłopcy.

Przytłoczony tym wspomnieniem Erik zgarbił się jeszcze bardziej. Doskonale wiedział, że w świetle przekonań, jakie panowały w niemieckim społeczeństwie, był zbędnym balastem dla zdrowej części obywateli. Ze swoją chorobą nie powinien pokazywać się na ulicy, ale dzięki protekcji ojca, prominentnego oficera SS, wszystko stawało się możliwe. Nawet to, że ktoś tak niepełnosprawny jak Erik trafi do Hitlerjugend, które oficjalnie przyjmowało tylko w pełni zdrowych aryjskich chłopców.

Wstąpienie do młodzieżowej organizacji było jego wielkim marzeniem. Chciał zaimponować ojcu, który od kiedy chłopak sięgał pamięcią, patrzył na niego z odrazą. Jakby z powodu niepełnosprawności Erika uznał go za swoje życiowe niepowodzenie.

Poza próbą naprawy relacji z ojcem chłopak miał też inne powody, dla których chciał wstąpić do Hitlerjugend. Jego życie było nudne i samotne. Dlatego tym bardziej atrakcyjna wydała mu się myśl o zbiórkach i obozach, na których odbywały się apele, wspólne ogniska, nauka strzelania, marsze i gry terenowe... Marzył o poczuciu wspólnoty i zjednoczenia umysłów w jednym słusznym celu. Wierzył, że okazując swoje bezgraniczne zaangażowanie, zyska w końcu wśród rówieśników to, czego nigdy dotychczas nie doświadczył: akceptację.

Życie szybko zweryfikowało jego naiwne marzenia. Choć był najpilniejszym słuchaczem wszystkich prelekcji i aktywnym uczestnikiem debat o wyższości rasy germańskiej i zasługach państwa dla zachowania jej czystości czy o wielkość dzieła Adolfa Hitlera, to i tak w kategoriach fizycznych zawsze pozostawał na szarym końcu. Niezmiennie miał najgorsze wyniki w marszu na orientację, najsłabszy czas w biegach, był też największym niezdara w wspinaczkach. Wszystko to razem wzięte było powodem nieustających drwin ze strony rówieśników.

Spojrzał na swoje kolana i łydki pokryte krwawymi wybroczynami, które za kilka dni przekształcą się w kolorowe sińce. Obrażenia powstały podczas dzisiejszej gry. Gdy próbując bronić flagi, Erik potknął się i upadł na ziemię, został dotkliwie skopany przez Martina, członka przeciwnej drużyny.

W końcu przestał płakać, potarł oczy, które zaczęły go momentalnie piec, i spróbował uspokoić oddech. Wstał z łóżka, usiadł przy stoliku i wyciągnął kartkę papieru. Zaczął się zastanawiać, co się dzieje z jego ojcem. Minęło już tyle miesięcy, od kiedy ani Erik, ani babcia, która się nim opiekowała, nie dostali

z frontu żadnej wiadomości. Czy to możliwe, żeby zginął? Chłopak zamyślił się. Próbował wzbudzić w sobie żal, ale myśl o potencjalnej śmierci ojca nie wywoływała w nim smutku.

Spojrzał na wiszący na ścianie nad łóżkiem portret Ducha Gór. Jako dziecko uwielbiał, gdy babcia czytała mu legendy o Liczyrzepie. Ile pięknych przygód później przeżył, wędrując z nią po górach i próbując dopatrywać się w napotykanym ludziach i odwiedzanych miejscach śladów działania mitycznego pana Karkonoszy. Tę jego pasję pochwalala tylko babcia, ojciec natomiast patrzył na niego z typową dla siebie dezaprobatą, gdy tylko syn mówił coś o Duchu Gór. Twierdził bowiem, że to prymitywne słowiańskie bóstwo, niewarte najmniejszej uwagi.

Erik westchnął, pogładził palcami kartkę, wyciągnął ołówek i zaczął pisać:
Kochana Babciu, Heil Hitler!

Już niedługo koniec obozu. Jest mi smutno, bo moja drużyna przegrała dziś walkę o flagę. Dlatego wszyscy bawią się przy ognisku, a ja siedzę sam w pokoju. Mieliśmy taki doskonały plan. Skryliśmy się z flagą na Dürre Berg, skąd mieliśmy ukradkiem uciec do schroniska. Moja drużyna podzieliła się na dwie mniejsze grupy. Pierwsza miała odwrócić uwagę przeciwników, a druga, w której byłem, bezpiecznie przetransportować flagę na metę. Mieliśmy też pojedynczych agentów, którzy mieli rozejść się po lesie i donosić o poczynaniach nieprzyjaciela. Niestety, w drodze do schroniska z zaskoczenia napadli nas wrogowie i ostatecznie zwyciężyli po długiej i trudnej walce.

Na początku nie cierpiałem gry o flagę właśnie z powodu tych bijatyk, ale z czasem się przyzwyczaiłem. Te ćwiczenia mają po prostu obudzić w nas agresję, żebyśmy w przyszłości byli dobrymi żołnierzami, prawda? Dzisiejsze starcie było wyjątkowo krwawe. Mam bardzo poranione nogi, a Klaus z naszej drużyny ma pocięte nożem brzuch i plecy, wyobrażasz sobie?

Zawsze trzeba jednak też patrzeć na to, co cieszy. Tak mnie uczyłaś. A mnie raduje, że byliśmy wczoraj na wycieczce w schronisku Prinz-Heinrich-Baude. Uważam, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi! Jak dorosnę, chciałbym w takim schronisku mieszkać i pracować. Co o tym myślisz, Babciu? Może zamieszkamy tam razem?

Poza tym, że bolą mnie nogi po walce, wszystko u mnie w porządku. Zapomniałem napisać, że śpimy w tym pięknym nowym schronisku,

Jugendkammhaus Rübezahl. Pamiętasz, byliśmy w nim kiedyś razem, jak byłem mały? Szukam tu Ducha Gór, ale nigdy nie chce mi dać o sobie znać. Nie wiem dlaczego... Niedługo będę w domu, do zobaczenia, Babciu!

Erik

Przeczytał list i po krótkim namyśle dopisał: *PS Czy są jakieś wieści od ojca?*

Gdy wkładał list do koperty, usłyszał jakieś odgłosy dochodzące z korytarza. „Dziwne” – pomyślał. Jego pokój był jedynym zajęтым na tym piętrze, a pozostali współlokatorzy Erika bawili się przecież teraz na dworze przy ognisku w gronie zwycięzców.

Z zaciekawieniem podszedł do drzwi, zgasił w pokoju światło, żeby się nie zdradzić, i uchylił je nieznacznie. Na korytarzu paliła się tylko jedna słaba żarówka i dlatego większa jego część tonęła w półmroku. Mimo swojej wady wzroku Erik dostrzegł Klause idącego korytarzem w stronę pryszniców. „Widocznie skończył już swoją pracę w ramach kary za przegraną i idzie się umyć” – pomyślał. Dziwiło go jednak, dlaczego kolega nie wybrał pryszniców na pierwszym piętrze, które były znacznie lepiej utrzymane niż te na drugim. Cicho zamknął drzwi, ponownie zapalił światło, wrócił do stolika i zaczął adresować list do babci.

Po chwili znów usłyszał kroki. Zaintrygowany po raz kolejny podszedł do drzwi, zgasił światło i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Ze zdziwieniem dostrzegł Alexandra, który skradał się w kierunku łazienki, rozglądając się wokół.

Jugendkammhaus Rübezahl, 23 sierpnia 1943

Klaus wziął do ręki kostkę mydła i spróbował delikatnie przemyć okolice okaleczeń na klatce piersiowej. Syknął, gdy piana dostała się do jednej z ran, powodując nieprzyjemne szczypanie.

– Kurwa – przeklął. Na myśl o Martinie i Claudiusie aż robiło mu się czarno przed oczami z wściekłości. Jak mógł dać się tak załatwić tym popaprańcom? Zajęty swoimi myślami, nawet nie zorientował się, że ktoś wszedł do łazienki. Dopiero po dłuższej chwili zauważył na środku pustego pomieszczenia Alexandra. Koszulę miał rozpiętą, spodnie zsunięte do łydek, a jedną rękę trzymał w swoich slipach.

– Co ty tu... – zaczął Klaus zdziwiony.

– Ciii... – Chłopak położył palec na ustach, po czym uśmiechnął się lubieżnie, nie przestając poruszać ręką w bieliźnie.

– Idź stąd, jeszcze ktoś cię... Nas... Zobacz. I coś sobie pomyśli – wyszeptał Klaus niepewnie.

– Obserwuję cię od jakiegoś czasu.

– I co?

– Zauważyłem, a raczej poczułem, że mamy podobne upodobania.

– Jakie niby?

– Mam ochotę. I wiem, że ty też masz.

– Skąd wiesz?

– Bo widzę – odparł.

Klaus powędrował za jego wzrokiem. Dopiero wtedy zauważył swoją rosnącą erekcję. Zawstydził się i przez dłuższą chwilę niepewnie wodził wzrokiem po ciele Alexandra, zastanawiając się, jak powinien zareagować. Oddychał coraz szybciej, nie mogąc skupić myśli. W końcu nabrał powietrza, zrobił krok w kierunku półnagiego chłopaka, złapał go za rękę i przyciągnął do siebie. Błyskawicznie zdarł z niego koszulę, nawet nie zauważając, kiedy tamten pozbył się spodenek i skarpet.

Pieścili się nawzajem łapczywie i nerwowo, nie zważając na gorącą wodę, która spływała na ich ciała i zaczynała parzyć skórę.

– Zaimponowałeś mi dzisiaj – szepnął Alexander, sapiąc z rozkoszy w rytm ruchów, jakie Klaus wykonywał ręką mocno zaciśniętą na jego członku.

– Czym?

– Nie zdradziłeś swojej drużyny, mimo że Claudius i Martin za wszelką cenę chcieli wyciągnąć z ciebie informacje – odparł, łapiąc Klause za pośladki. Czuł, że za chwilę eksploduje z podniecenia. Świat zaczynał wirować mu przed oczami.

– Oni obaj są powaleni.

– Wiem – przytaknął Alexander i przyparł go do ściany swoim nagim ciałem, po czym pocałował szorstko. Po ułamku sekundy odsunął się, spoglądając na jego nagie tors naznaczony ciętymi ranami.

– Dzielny z ciebie chłopak. – Przesunął palcem wzdłuż jego obojczyka i zatrzymał go w zagłębieniu między wytrenowanymi mięśniami piersiowymi. Zawahał się przez moment i dodał: – Zasłużyłeś na nagrodę.

Po czym klęknął i wziął jego członka do ust. Klaus jęknął przeciągle. W tym momencie do łazienki wpadł Martin.

– No proszę, co ja widzę! Cioty! – krzyknął z obrzydzeniem.

Chłopcy pod prysznicem skamienieli.

– Martin, wypierdalaj – odezwał się Alexander, wstając z kolan. Nie sprawiał wrażenia zakłopotanego czy zawstydzonego.

– Słucham? – zapytał Martin ze źle skrywaną ekscytacją.

– To nie twoja sprawa.

– Nie moja? Ależ właśnie moja. Himmler mówi wyraźnie. Życie seksualne nie jest prywatną sprawą, bo dotyczy przeżycia narodu!

– Nie martw się, nie wpłyniemy negatywnie na „przeżycie narodu” – odezwał się Klaus z zażenowaniem.

– Jesteście chorzy. A choroby trzeba tępić.

Alexander zmrużył oczy i wyszedł spod prysznicza.

– A może ty po prostu też chcesz do nas dołączyć, dlatego przyszedłeś tu za mną? – zapytał. Dostrzegł cień zawahania w oczach Martina. Złapał za swojego członka i przesuwając po nim ręką, spojrział przeciągle na chłopaka. – Zgadłem? Podnieca cię to?

– Nie zgadłeś, zboczeńcu.

– To zdejmij portki i pokaż, że cię to nie rajcuje.

– Jesteście obrzydliwi – warknął Martin i splunął w ich kierunku. – Zawsze czułem, że Klaus ma żydowskie korzenie. Teraz wszystko stało się jasne. Czytałem w gazecie, wiem, jak jest. Żydzi wśród swojej całej naturalnej obrzydliwości popierają ponadto stosunki seksualne między rodzeństwem, pomiędzy człowiekiem a zwierzętami oraz mężczyzną a mężczyzną. Jesteście żydowskimi podrzutkami!

Alexander milczał, analizując sytuację.

– Nie jestem Żydem – zaprotestował Klaus.

– To już będą badać odpowiednie osoby. Idę prosto do naszych dowódców, z Rottenführerem Stutterheimem na czele. Opowiem mu o waszych wulgarnych zabawach. Pójdziecie do obozu. Tam, gdzie jest miejsce przestępców.

W tym momencie Alexander skoczył na Martina. Zanim tamten zdążył wyprowadzić jakikolwiek cios, złapał go ręką za kark i z całej siły uderzył dwa razy

jego głową o kant ściany oddzielającej sąsiednie prysznice, po czym puścił go z obrzydzeniem wypisanym na twarzy. W miejscu uderzenia powstała na kafelkach plama krwi.

Martin osunął się bezwładnie na podłogę, po drodze uderzając jeszcze głową o stołek, na którym leżały ubrania kąpiących się chłopaków.

Alexander i Klaus wpatrywali się w milczeniu w leżącego na podłodze Martina, ciężko oddychając. Nasycone parą powietrze stawało się nieznośnie duszne. Ich uszu dobiegł przybierający na sile śpiew bawiących się przy ognisku.

Spływająca z twarzy ofiary krew coraz szerszą strużką podążała w stronę odpływu, mieszając się po drodze z nieustannie lejącą się z prysznica gorącą wodą. Rozmywała się, bledła i tworzyła na białych kafelkach finezyjne różowe wzory.

– Musimy stąd uciekać, natychmiast – wydał komendę Alexander. – Widział cię ktoś, jak tu wchodzisz?

– Nie.

– Dobrze. Mnie też nie. Poza tym ścierwem. – Wskazał na Martina.

– Myślisz, że nie żyje?

– Nawet jeśli jeszcze żyje, to zaraz przestanie – odparł Alexander, po czym złapał jedną ze swoich skarpetek, namoczył i wprawnym ruchem wepchnął ją nieprzytomnemu chłopakowi do ust. – Za chwilę się udusi i tyle – skwitował.

Jugendkammhaus Rübezahl, 23 sierpnia 1943

Erik rozmyślał o tym, co działo się tej nocy w łazience. Najpierw poszedł tam Klaus, potem do pomieszczenia zakradł się Alexander, a po dłuższej chwili także Martin. Po wejściu tego trzeciego zza drzwi zaczęły dochodzić jakieś krzyki, ale Erik nie mógł zrozumieć, co mówili. Gdy już miał wyjść na korytarz i zakraść się bliżej, żeby cokolwiek usłyszeć, krzyki ustały. Chwilę później niemal nadzy Klaus i Alexander wybiegli z pomieszczenia, trzymając w rękach swoje ubrania. W kilku susach dopadli drzwi na klatkę schodową. „Dziwne” – zasepił się Erik. – „A gdzie Martin?”

Odczekał dłuższą chwilę, zanim odważył się pójść do łazienki. Zza uchylonych drzwi dochodził regularny szum prysznica wskazujący na to, że Martin się myje. Erik

jednak czuł, że coś jest nie w porządku. Uchylił drzwi do łazienki i wtedy zauważył leżącego na podłodze w kałuży krwi nieprzytomnego chłopaka. Omal nie krzyknął z przerażenia. W tym momencie Martin zaczął dziwnie rzeźić. Po chwili wpakował sobie rękę do ust i zaczął coś z nich wyszarpywać. Otworzył prawe oko. Drugiego Erik nie mógł nawet dostrzec, tak była rozkwaszona lewa część twarzy chłopaka.

– Pomóż mi – zachrypiał Martin, po czym zaczął przeraźliwie kaszleć. Zaraz też wymiotował. Żółć, którą zwracał, poczęła mieszać się z krwią, tworząc na kafelkach odarty z godności obraz śmierci ludzkiego ustroju. Charakterystyczny mdły zapach krwi i treści żołądkowej wywołał u Erika torsje. Zacisnął jednak zęby, wciąż wpatrując się w babrające się w wydzielinach chłopaka.

– Zawołaj... Kogoś... – wycharczał Martin.

Erik wahał się przez moment. Spojrzał na krztuszącego się wymiotami chłopaka i jego obita twarz. Ze zdziwieniem stwierdził, że obraz ten nie budzi w nim współczucia. Co więcej, chyba nawet nie czuł litości. Jego umysł pracował intensywnie, rozważając różne scenariusze. Przed oczami zaczęły mu się przesuwać obrazy dzisiejszej gry o flagę. Martin, który mimo jęków Erika dalej kopie go bez opamiętania; Martin, który nazywa go kaleką i problemem dla narodu; Martin, który śmieje się z niego na forum grupy. Erik zacisnął zęby. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że budzą się w nim mordercze instynkty. Było to przerażające i zarazem pociągające. Spoglądać z góry na czołgającą się po podłodze ofiarę, jeszcze nieświadomą tego, co zaraz ją czeka. A więc tak smakuje wejście w skórę Martina, gdy gnębi upatrzonych sobie chłopaków?

Erik uśmiechnął się. Pomyślał o ojcu. Gdyby widział, jak jego syn na każdym obozie daje się poniewierać i nieustannie bez słowa sprzeciwu przyjmuje kolejne razy, pewnie sam wlałby mu jeszcze bardziej, krzycząc przy tym, że chce mieć w domu prawdziwego żołnierza, a nie lalkę. Może to właśnie był moment, żeby pokazać swoje męstwo? Bez słowa skierował się na korytarz i wrócił do swojego pokoju. Drżącymi rękami wyszukał w plecaku scyzoryk i wrócił do łazienki. Martin próbował czołgać się po podłodze w stronę drzwi, cicho pojękując.

– Ty, idioto – rzucił w jego kierunku Erik, poprawiając na nosie grube okulary, w których błysnęło ostrze jego scyzoryka. Chłopak na podłodze znieruchomiał. Erik tymczasem usiadł okrakiem na jego plecach, złapał go za włosy i z furią przeciągnął scyzorykiem po jego szyi, szepcząc mu do ucha: – Jesteś niepełnowartościowy, jesteś problemem! A problemy trzeba eliminować.

Jugendkammhaus Rübezahl, 23 sierpnia 1943

Alexander wpadł na klatkę schodową i złapał za rękę Klause chcącego biec na dół.

– Gdzie lecisz?! Chcesz, żeby ktoś nas zobaczył?

– Nie...

– W takim razie na górę. – Wskazał głową wąskie schodki prowadzące na trzecie piętro.

– Dlaczego? Co robimy? – rzucił przerażony Klaus.

– Idziemy do mojej ciotki.

– Masz tu gdzieś ciotkę?

– Niezupełnie. To starsza kuzynka, ale czasem zwracam się do niej „ciotka”.

– Ach, chodzi o Marię Dvořák?

– Tak. Ma służbowe mieszkanie piętro wyżej, na strychu. Musimy się u niej umyć, tylko szybko. Mamy krew na nogach. Potem zorganizujemy sobie czyste ubranie. To ubrudzone krwią schowamy u ciotki. Potem ty wrócisz do pokoju jak gdyby nigdy nic. Skończyłeś swoją pracę, obrałeś ziemniaki i poszedłeś spać. Jasne?

– A ty?

– Ja wrócę na ognisko. Moje zniknięcie na dłużej będzie podejrzone, bo przecież drużyna zwycięzców dzisiaj świętuje. A teraz szybko – poleciał i w kilku susach pokonał schody na trzecie piętro.

– Alexander... – zaczął Klaus łamiącym się głosem, gdy dogonił chłopaka.

– Co?

– Boję się. To... To się wyda. Co wtedy? Pójdziemy do obozu? – wyszeptał przerażony. Podbródek drżał mu z podenerwowania i wyglądało na to, że zaraz się rozplacze.

– Uspokój się!

– Nie... Nie mogę... – Klaus jąkał się coraz bardziej. Oparł się o ścianę i zaczął pocierać dłońmi pokryte gęsią skórą ramiona. Cały się trząsł.

Alexander wymierzył mu policzek.

– Uspokój się – syknął po raz kolejny.

– To się wyda, to... – Klaus panikował coraz bardziej.

Alexander stanął w rozkroku i bez słowa przyparł go swoim ciałem do ściany. Trzymał go tak przez chwilę, czując, jak stopniowo drżenie ciała kolegi słabnie. Objął jego głowę i mocno przycisnął do siebie. W tym momencie poczuł ręce Klausa na swoich plecach. Chłopak wtulił się w niego z całych sił.

– No, już. Przestań się trząść. Nie masz powodu do obaw. Ja wszystko załatwię – przekonywał Alexander. Odsunął się nieco i uniósł głowę Klausa za podbródek. Spojrzał mu w oczy. Przez chwilę się wahał, po czym pocałował go namiętnie, przygryzając mu wargę. – A to, co wydarzyło się w łazience, zostanie tylko między nami. Tak?

– Tak.

Jugendkammhaus Rübezahl, 23 sierpnia 1943

Maria Dvořák zapaliła lampkę przy łóżku w swoim skromnym służbowym mieszkaniu na trzecim piętrze, po czym przebrała się w nocną koszulę. Tego dnia zarówno przygotowanie jedzenia na wieczorne ognisko, jak i nadzorowanie chłopców odbywających karę w kuchni spadło na jej głowę, toteż pracę skończyła później niż zwykle. Zmęczona po intensywnym dniu usiadła na skrzypiącym, drewnianym krześle i zaczęła rozczesywać swoje długie, kruczoczarne włosy. Spojrzała w zawieszona na ścianie naprzeciwko niej stare lustro i przerażona zmarszczyła czoło. Jak to możliwe, że tak szybko pojawiły się w jej włosach srebrne nitki? Zasepiła się. Czy tak właśnie wygląda pierwsza oznaka nadchodzącej małymi krokami starości? Ta myśl ją przygnębiła. Naprawdę młodość była już za nią? Przecież nie miała jeszcze nawet trzydziestu lat! Duchem jednak czuła się o wiele starsza. Westchnęła, myśląc o pracujących z nią w schronisku rówieśniczkach. W porównaniu z nimi wypadła gorzej pod każdym względem. Nie miała rodziny. Mężczyzny, który by się o nią troszczył. Właściwej jej wiekowi energii, radości, perspektyw. I wreszcie: nie miała marzeń.

Im dłużej obserwowała koleżanki z pracy, tym silniejsze odnosiła wrażenie, że jej życie to tylko bezcelowa egzystencja, na którą składały się szare i monotonne chwile. Zwłaszcza mocno odczuwała to w czasie dni wolnych. Kuchnia wypełniała się wtedy rozmowami, które dla Marii były niemal fizyczną udręką. Koleżanki z radością gawędziły o przygotowaniach związanych z wyjazdem do rodzinnych

domów, wymieniając uwagi o swoich ukochanych, dzieciach czy planach na urlop. Ona nie mogła włączyć się do żadnej z tych rozmów. Bo co miałyby powiedzieć? Czym się podzielić? Tym, że była pochodzącą z Reichenbergu sierotą? Że swoim ponurym usposobieniem odpycha mężczyzn? Że nie potrafi się przed nikim otworzyć? A w święta jako jedyna z pracowników schroniska zostaje na miejscu, spędzając te dni samotnie w swoim służbowym mieszkaniu? Albo włóczy się wtedy bez celu po karkonoskich szlakach, bo to jedyna przyjemność, na jaką może sobie w życiu pozwolić?

Spojrzała na swoje szorstkie i spracowane dłonie. Czas przeciekał jej między palcami, a każdy dzień wypełniała walka o przetrwanie. A walczyć musiała podwójnie: z samą sobą, żeby rano zmusić się do wstania z łóżka, i z pracą, którą z powodu biedy musiała podjąć już w wieku dziesięciu lat.

Wpatrywała się przez chwilę w swoje odbicie, po czym spróbowała się uśmiechnąć. Boże, jak komicznie wyglądała, odsłaniając szereg nierównych zębów i próbując unieść kąciki ust. Nad jej wargami uwidaczały się wtedy bruzdy, których się wstydziła. Skrzywiła się niezadowolona. Po chwili powróciła do naturalnego dla niej wyrazu twarzy: usta złożyła w kreskę, a następnie odruchowo jeszcze bardziej je zacisnęła. Jej wąskie wargi zbledły, stając się niemal niewidoczne.

Uświadomiła sobie, że chyba nigdy nie nauczyła się uśmiechać szczerze. Większość ludzi nabywała tę zdolność naturalnie, już jako niemowlę, przez obserwację mimiki swoich rodziców. Dlaczego więc ona tego nie potrafiła? Odpowiedź była dość oczywista i brutalna zarazem: bo w domu Marii Dvořák nikt się nie śmiał. Może poza ojcem, którego jednak znała bardzo krótko.

Nadal wpatrując się w swoją twarz, chciała znaleźć w niej coś przyjemnego. Coś, co mogłoby zwrócić uwagę jakiegoś mężczyzny, zaintrygować go czy wzbudzić pożądanie. Jednak w swoich rysach dostrzegła wyłącznie rezygnację i zmęczenie. Stan jej psychiki najlepiej oddawały zmarszczki: podczas gdy czoło było przeorane poziomymi kreskami, a między brwiami rysowały się pierwsze pionowe bruzdy, wokół oczu nie widać było śladu kurzych łapek, tak charakterystycznych dla roześmianych ludzi.

Zrezygnowana odłożyła szczotkę do włosów, po czym wzięła do ręki słoiczek z kremem, który dostała od koleżanki z pracy. Pewnie z powodu współczucia dla jej

wyglądu. Zaczęła wcierać pachnące mazidło w twarz. Zmęczona skóra chłoneła krem z ulgą.

Poczłapała do łóżka i nakryła się kołdrą. Jej wzrok padł na stojącą przy łóżku fotografię. Jedyłą, jaką miała z rodzinnego domu w Reichenbergu. Postawiła ją tu, naśladując swoje koleżanki, które na stolikach nocnych trzymały zazwyczaj zdjęcia swoich ukochanych. W duchu liczyła, że stawiając jakąkolwiek fotografię, będzie choć trochę bardziej wyglądała na szczęśliwą kobietę niż samotną sierotę. Bo patrząc z boku na stojące przy łóżku zdjęcie, każdy pomyśli, że Maria ma bliskich.

Usiadła i wzięła ramkę do ręki. Na zdjęciu byli ojciec Anton, matka Emilia i ona, trzymana przez rodzicielkę na rękach. W tle finezyjne kryształowe żyrandole, barokowy ołtarz i długie świece nabite na wielkie lichtarze, z których zwisały sople wosku. Na rodzinę Dvořaków spoglądały zewsząd rzeźby świętych w nabożnych pozach. Fotografię wykonano w dniu chrztu Marii, w jej rodzinnym kościele.

Gładząc zdjęcie, popatrzyła na mamę. Na jej chłodne spojrzenie, surowe rysy i skromne ubranie. Stała nienaturalnie wyprostowana, jakby ktoś przywiązał jej kij do pleców. Wpatrywała się pustym wzrokiem w obiektyw i sprawiała wrażenie, jakby trzymanie na rękach własnego dziecka było dla niej przykrym obowiązkiem. Najbardziej zwracały uwagę jej ciemne, głęboko osadzone oczy i zaciśnięte usta. Te cechy wyglądu Maria z pewnością odziedziczyła właśnie po niej. Tak samo jak w spadku po rodzicach przejęła biedę, której brzemień dźwigała od najmłodszych lat.

Ponoć kiedyś, przed narodzinami Marii, rodzicom całkiem dobrze się powodziło. To było jeszcze w czasach, gdy pracowali w fabryce tkanin wełnianych u Liebigów. Rodzina właścicieli była obłędnie bogata dzięki swemu przodkowi, Johannowi Liebigowi, który sto lat wcześniej otworzył w Reichenbergu swój pierwszy zakład włókienniczy, z czasem zmieniając go w potężną przędzalnię. W miarę bogacenia się dokupował kolejne fabryki, tak że przed śmiercią zatrudniał łącznie kilka tysięcy osób.

Gdy do zakładów w Reichenbergu najęli się świeżo upieczeni małżonkowie, Anton i Emilia, dobrami fabrykanckiej rodziny zarządzał już Theodor Liebig, wnuk Johanna. Przejmując tradycje dziadka, on także starał się dbać o swoich pracowników, zapewniając im szeroki wachlarz świadczeń socjalnych: od służbowych mieszkań po bezpłatne przedszkola dla ich dzieci.

Kilka lat przed wielką wojną Theodor Liebig szczycił się posiadaniem największych przędzalni w ówczesnych Austro-Węgrzech, swoimi towarami

zaspokajając potrzeby ponad jednej trzeciej rynku całego cesarstwa. Interes kwitł, więc także pracownicy jego fabryk cieszyli się tłustymi latami.

Sytuację zmienił jednak dramatycznie wybuch wielkiej wojny. Liebig musiał sprzedać część swojego majątku, w tym zakłady w Reichenbergu. Nowy właściciel zaczął swoje urzędowanie od zwolnienia części załogi i odebrania jej mieszkań. W ten sposób Anton, Emilia i zaledwie miesięczna Maria wylądowali na bruku.

„To nie był dobry czas na dziecko. Ja nie nadaję się na matkę, ja... Nie mogę na nią patrzeć” – wykrzyczała kiedyś Emilia do męża podczas kłótni, którą Maria podsłuchiwała. Wyrzucała mu, że namówił ją na dziecko, podczas gdy ona nie była do tego przekonana. Perspektywa macierzyństwa w połączeniu z utratą źródła dochodu tak bardzo przytłoczyła Emilię, że Maria nigdy nie czuła się przez matkę kochana: była w końcu dodatkową gębą do wykarmienia w domu, w którym się nie przelewało.

Przysunęła ramkę ze zdjęciem bliżej oczu i spojrzała na ojca. Po policzkach pociekły jej łzy. Anton Dvořák lekko się uśmiechał. Był jedynym człowiekiem, który okazywał Marii czułość. Który brał ją na ręce, a czasem na spacer. I jak był choć trochę lepszy miesiąc, to nawet zabierał ją do cukierni Liedtków, gdzie kupował jej pierniczka z wizerunkiem Liczyrzepy.

Po utracie posad w fabryce Liebiga Dvořákové łapali się różnych dorywczych prac, wynajmowali skromne mieszkanie w zapuszczonej kamienicy blisko rynku i liczyli każdy grosz, żeby po opłaceniu czynszu starczyło im na życie do końca miesiąca.

Kiedy zrobiono zdjęcie? Maria wyjęła fotografię z ramki i spojrzała na jej tylną stronę, na której ktoś napisał niezbyt czytelnie: „Reichenberg, 1916”. A więc dwa lata przed śmiercią ojca. Na wspomnienie tamtego czasu poczuła w klatce piersiowej nieprzyjemny ucisk. Może gdyby teraz żył, Maria umiałaby się uśmiechać?

Miała zaledwie cztery lata, gdy świat obiegnęła informacja, że kończy się wielka wojna. Mieszkańcy Reichenbergu przyjęli tę wieść z ulgą, ale nie z radością. Mało kto miał do niej powody. Niemal w każdym domu ktoś opłakiwał stratę syna albo małżonka, którzy nie wrócili z frontu. Niejeden wciąż czekał na wieści, licząc, że brak odpowiedzi krewnych na listy słane od miesięcy nie jest jeszcze dowodem na ich śmierć. Ci zaś, których najbliżsi przeżyli, mierzyli się z dramatem ich kalectwa. Jedni wracali bez ręki, inni bez nogi albo i dwóch, bez nosa czy ucha. Kulejący,

poranieni, na noszach, z twarzami przeoranymi cierpieniem, z przejmująco pustymi oczami, które obserwowały w okopach śmierć współtowarzyszy w męczarniach, z niegojącymi się ranami, bo wciąż tkwiły w nich odłamki pocisków, których chirurgowi nie udało się usunąć w szpitalu polowym.

Październik 1918 roku Maria знаła bardziej z opowieści dorosłych niż z własnych wspomnień. Rozpadły się Austro-Węgry, a pod koniec miesiąca w Pradze Czechosłowacki Komitet Narodowy proklamował powstanie niepodległego państwa: Czechosłowacji. Mimo to wciąż nie ustawał spór o granice nowego kraju: jedni chcieli je widzieć tak, jak przebiegały historycznie, inni zaś sugerowali, że należy wyznaczać je na podstawie podziału etnicznego. Te dwie wizje przedstawiały się na mapie zupełnie inaczej, sprawiając, że tereny takie jak okolica Reichenbergu znajdowały się w centrum konfliktu. Z jednej strony historyczna część Czech, z drugiej zaś fakt, że większość mieszkańców tego regionu była Niemcami. Dlatego też zaledwie dzień po tym, jak ogłoszono niepodległość Czechosłowacji, żyjący w północnej części kraju Niemcy obwieścili powstanie Deutschböhmen, czyli Niemieckich Czech – prowincji, której stolicą miał być właśnie Reichenberg, rodzinne miasto Marii Dvořák. Wkrótce też starostą krajowym nowo powstałego obwodu został przyjaciel jej ojca, Rudolf Lodgman von Auen. W imieniu zamieszkujących te ziemie Niemców udał się do Pragi z przekazem, że nie zamierzają podporządkowywać się nowym czeskim władzom. Stanowisko drugiej strony było podobne: stolica Czechosłowacji nie uznała istnienia niezależnej prowincji. Ponieważ nikt nie zamierzał się ugiąć, rozmowy zakończyły się fiaskiem.

W ślad za Niemieckimi Czechami powstały jeszcze trzy prowincje o podobnym charakterze i Czechosłowacja zaczęła przypominać na mapie ażurową wycinankę, w której niewprawna dziecięca ręka zrobiła nożyczkami liczne dziury.

Listopad 1918 roku Maria Dvořák zapamiętała już znacznie lepiej z powodu dnia, który zmienił jej życie, bezpowrotnie przerywając już i tak smutne dzieciństwo.

Na początku miesiąca starosta von Auen, wobec braku porozumienia z Czechami, zwrócił się do Berlina z prośbą o militarne wsparcie, aby nie dopuścić do przejęcia nowej prowincji przez Pragę. Jego zabiegi spotkały się jednak z odmową i jeszcze tego samego dnia niemiecki rząd uznał niepodległość Czechosłowacji i nawiązał z nią stosunki dyplomatyczne. Niemieckojęzyczni mieszkańcy okolic Reichenbergu, tacy jak rodzina Dvořaków, zostali więc pozostawieni sami sobie. Przeprowadzeni, zmęczeni biedą, wojną i nieustanną polityczną zawieruchą, nie byli gotowi na

stawienie oporu czeskiej armii. Von Auen grzmiał, że poleje się niewinna niemiecka krew.

Trudno było powiedzieć, komu groził: czy Niemcom Czeskim, że znów staną w obliczu śmierci swoich bliskich, czy Czechom, ostrzegając ich przed zbrojnymi posunięciami wobec nowej prowincji, czy może światu, który u schyłku wojny dopuszczał sytuację generującą kolejny potencjalny konflikt.

W połowie listopada czechosłowacka armia zaczęła zajmować zbuntowaną prowincję. Większość miast poddała się bez jednego strzału, a przemarsz wojska przez kolejne osady w Niemieckich Czechach stanowił raczej polityczną manifestację siły.

Inaczej było w Reichenbergu, gdzie niemieckojęzyczni mieszkańcy zorganizowali manifestację, w której wzięli udział przede wszystkim wierni von Auenowi przyjaciele. Wśród nich był Anton Dvořák, ojciec Marii. W tym dniu, a było to 28 listopada, po raz pierwszy czechosłowacka armia otworzyła ogień do Niemców. Do zamieszek doszło po zmierzchu, na placu przed ratuszem, kilkadziesiąt metrów od domu, w którym mieszkali Dvořákové.

Maria pamiętała ten dzień, jakby był zlepkiem urywków wspomnień. Wizytę von Auen, który niemal z obłędem w oczach namawiał mieszkańców ich skromnej kamienicy do buntu. Płacz matki, która próbowała wybić ojcu z głowy udział w proteście. Potem hasła, które wykrzykiwali gromadzący się pod ratuszem Niemcy. I wreszcie wkroczenie na rynek czechosłowackiej armii. Krzyki pełne agresji. Seria strzałów, która odbiła się głuchym echem od murów kamienic. A potem znowu krzyki. Tyle że tym razem inne: przejmujące, pełne przerażenia, żalu i rozpacz.

Kilkunastu protestujących zostało pozbawionych życia, von Auen wraz z pozostałymi urzędnikami uciekł i jeszcze tego samego dnia zbiegł przez Drezno do Wiednia.

Nikt nie wiedział, dlaczego czechosłowackie wojsko od razu sięgnęło po tak radykalne środki. Ani ile osób dokładnie zginęło - między kilkanaście a kilkadziesiąt? Jednak już sam fakt zbrojnego ataku na demonstrantów sprawił, że na mieszkańców miasta padł blady strach.

Tego pamiętnego dnia Reichenberg zmienił nazwę na czeską: Liberec. Dla Marii Dvořák nie miało to jednak żadnego znaczenia. Dla niej liczyło się tylko jedno: na rynku pod ratuszem stracił życie jej ojciec.

Od tamtego momentu życie Marii stało się jeszcze większą udręką: pozbawiona ojca i pozostawiona pod opieką matki, która jej nie kochała, czuła się jak sierota. W domu nie było już uśmiechu taty, nie było pierniczków z cukierni Liedtkego, pieniędzy brakowało jeszcze bardziej, a u Emilii Dvořák nastąpiło załamanie nerwowe. Swoim zachowaniem codziennie dawała niechcianej córce do zrozumienia, że uważa ją za źródło wszystkich swoich nieszczęść. Niezdolna do pracy i pogrążona w depresji Emilia oraz kilkuletnia Maria coraz dotkliwiej rozumiały, co to znaczy bieda. Do tego stopnia, że pewnego dnia Emilia Dvořák postanowiła zabić swoją córkę, a następnie siebie.

Maria wyparła tamte wydarzenia z pamięci. I pamiętała je tak samo jak dzień śmierci ojca: jako zlepek urywków wspomnień. Oczami wyobraźni zobaczyła zawilgocone mieszkanie w kamienicy. Szalejącą na dworze ulewę. Mameę, która wróciła do domu z informacją, że znów straciła pracę. Kubek, który Maria przez przypadek stłukła przy kolacji. Szał, w który niespodziewanie wpadła Emilia. Nóż w jej ręce. Ten sam, którym zazwyczaj kroić chleb, ale teraz chciała go użyć do czegoś zupełnie innego i pięciolatka doskonale to rozumiała. Schody. Długie, kręcone schody, którymi uciekała przed rodzicielką. Moment, kiedy wpadła do domu mieszkającej w sąsiedztwie ciotki, siostry ojca. Przerazenie krewnej, gdy dowiedziała się, dlaczego bratanica uciekła. Potem nie pamiętała już nic poza tym, że ciotka wyszła z mieszkania na długo, a po powrocie powiedziała tylko, że wszystko jest załatwione.

Od tamtego dnia Maria zamieszkała u krewnej na stałe. Dopiero jakiś czas później dowiedziała się, że matka po jej ucieczce podjęła nieudaną próbę samobójczą. Trafiła do szpitala, a następnie do zakładu dla obłąkanych.

Maria zaczęła zastanawiać się, gdzie teraz może być Emilia Dvořák? Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że jej matka już przecież nie żyje. Po kilkukrotnych zmianach placówek trafiła ostatecznie do szpitala psychiatrycznego w Plagwitz, gdzie zmarła rok temu. A może dwa lata temu? Marii trudno było sobie przypomnieć, bo niewiele ją to interesowało. Chodziły plotki, że w Plagwitz realizowano program uśmiercania chorych psychicznie. Według jego założeń ludzie tacy jak Emilia, którzy przebywali w szpitalu powyżej pięciu lat, kwalifikowali się do eliminacji. To również szczególnie Marię interesowało.

Choć Emilia Dvořák źródło swojego nieszczęścia upatrywała właśnie w córce, Maria po latach nie czuła już do matki żalu. Im dłużej myślała o wydarzeniach

z listopada 1918 roku, tym częściej zaczynała uważać Emilię, tak samo jak siebie, za ofiarę rodzinnego dramatu. Natomiast winnych tej sytuacji z każdym dniem widziała coraz wyraźniej wśród Czechów. Bo przecież gdyby nie śmierć ojca z rąk czechosłowackiej armii, życie jej rodziny na pewno potoczyłoby się inaczej. Matka nie załamałaby się nerwowo, razem z ojcem znaleźliby w końcu jakąś lepszą pracę, a Maria wciąż mogłaby mieć nadzieję, że przyjdzie czas, gdy częściej będą zaglądać do Liedtkego po pierniczki. Śmierć ojca przekreśliła jednak dziecięce marzenia. Śmierć z rąk czechosłowackiej armii.

Ciotka, która po zamknięciu Emilii w szpitalu, zajęła się Marią, także z trudem wiązała koniec z końcem. Dlatego mimo młodego wieku dziewczynki posłała ją do pracy, załatwiając jej fałszywe dokumenty potwierdzające, że była starsza niż w rzeczywistości. Z każdym kolejnym rokiem, gdy w cieniu pracy kształtował się charakter Marii, nienawiść do Czechów zajmowała w jej umyśle coraz ważniejsze miejsce.

Dlatego jako zaledwie dziewiętnastolatka z nieskrywanym entuzjazmem obserwowała wydarzenia 1933 roku, gdy Adolf Hitler objął urząd kanclerza Niemiec. Wśród niemieckojęzycznych mieszkańców Liberca na nowo odżyła nadzieja, że Berlin upomni się o swoich rodaków mieszkających w Czechosłowacji. Gdy kilka miesięcy później powstała Partia Niemców Sudeckich, Maria zapisała się do niej niemal natychmiast. Wiedziała, że prędzej czy później dawna zbuntowana prowincja Deutschböhmen znajdzie się w granicach Niemiec, wolna od czeskiego jarzma. A Liberec znowu będzie się nazywać Reichenberg. Tak jak w jej najwcześniejszym dzieciństwie, gdy jeszcze żył ojciec.

Gdy w trzydziestym ósmym na konferencji monachijskiej Hitler ogłosił aneksję części Czechosłowacji, w tym Deutschböhmen, Maria Dvořák po raz pierwszy od lat czuła prawdziwą radość. Październik tego roku zapamiętała na zawsze jako miesiąc, w którym dotychczasowa czechosłowacko-niemiecka granica w Riesengebirge przestała istnieć. Czas ten upłynął pod znakiem płonących schronisk i walk toczonych pośród niedostępnych górskich szczytów. Niektórzy twierdzili, że bawdy palili nadciągający Niemcy, Maria natomiast doskonale wiedziała, że odpowiadała za to wycofująca się przegrana czechosłowacka armia. Płonęła więc Luční Bouda, ogień strawił też schronisko Rennerów. W Obří Boudzie z kolei ulokował się niemiecki oddział, ostrzeliwując czechosłowackie stanowiska. Szybkość, z jaką je

likwidował, stanowiła dowód na to, jak żałosne i nieskoordynowane były próby obrony ze strony Czechów.

Gdy wreszcie do Liberca wkroczyła armia Führera, Maria witała żołnierzy, machając bukietem kwiatów. Tego dnia w mieście nie padł żaden strzał. Przywrócono nazwę Reichenberg, a ona wierzyła, że pod panowaniem Adolfa Hitlera będzie się jej żyło choć trochę lepiej.

I rzeczywiście, wkrótce po raz pierwszy znalazła w miarę spokojną i dobrze płatną pracę – w kuchni położonego wysoko w górach Jugendkammhaus Rübezahl. Jakiś czas wcześniej schronisko przekształcono w ośrodek wypoczynkowy dla młodzieży z organizacji Hitlerjugend. Właściciel obiektu Albert Schmied zatrudnił Marię początkowo tylko na okres wakacji, jednak obozy dla chłopców organizowano coraz częściej, tak że ręk do pracy w kuchni nigdy nie było dość. Wkrótce więc Marii Dvořák zaproponowano pełny etat i służbowe mieszkanie. Zgodziła się bez wahania.

Odłożyła zdjęcie na stolik, próbując policzyć, ile już lat pracuje w Jugendkammhaus Rübezahl. Wydawało jej się, że pięć. Zaczęła liczyć na palcach, gdy usłyszała ciche pukanie. „Jakie лихо?” – pomyślała zaskoczona i podeszła do drzwi.

Stał przed nimi jej daleki krewny ze strony matki. Choć wiedziała, że są rodziną, do tej pory nie zamieniła z nim ani słowa. Od wielu lat nie mieli bowiem ze sobą kontaktu. Zresztą, zbyt wiele ich dzieliło. On mieszkał w Hirschbergu po jednej stronie gór, ona w Reichenbergu po drugiej. On miał bogatych rodziców, ona była sierotą.

– Alexander? Co ty tu robisz? Gdzie twoje ubranie? – zapytała. Dopiero po chwili dostrzegła stojącego za krewnym drugiego chłopaka. On także był półnagi.

– Możemy wejść? Potrzebujemy pomocy – powiedział, a po chwili zawahania dodał: – Proszę.

Wpuściła niespodziewanych gości. Dopiero w świetle stojącej przy łóżku lampki zauważyła, że ich nogi ubrudzone są krwią.

– Boże... Co wyście zrobili?

– O nic nie pytaj. Masz tu łazienkę, prawda?

– Mam.

– Pozwól nam się umyć.

– Dlaczego nie możecie pójść pod prysznice na drugim piętrze? Albo na pierwszym?

– Miałaś o nic nie pytać! – stwierdził Alexander nerwowo, po czym dodał łagodniej, wskazując na ubrudzone krwią nogi: – Nie chcemy, żeby ktoś to zobaczył.

– Aha – mruknęła niepewnie. – Biliście się.

– Można tak powiedzieć – odparł wymijająco. – Mam jeszcze jedną prośbę.

– Jaką?

Wziął od Klausa zakrwawione ubrania.

– Mogłabyś to gdzieś ukryć?

Maria Dvořák zacisnęła usta.

– Powiesz mi, co się stało, albo nie licz na moją pomoc.

Przez chwilę mierzyła się z krewnym wzrokiem.

– Pod prysznicem na drugim piętrze leży trup. Jeden z chłopaków. To był wypadek... Niemniej z naszym udziałem. Nie chcemy mieć kłopotów, rozumiesz? Nikomu nie jest to teraz na rękę.

Maria Dvořák przez chwilę wpatrywała się w krewnego swoim przenikliwym i chłodnym wzrokiem. Zmarszczyła czoło.

– Co będę z tego miała?

– Zapłacę. W swoim czasie, ale obiecuję, że nie wyjdiesz na tym źle.

Znów zacisnęła usta.

– Niech będzie... – zgodziła się wreszcie, po czym niechętnie wzięła do ręki poplamione ubrania i wskazała na drzwi do łazienki.

Jugendkammhaus Rübezahl, 24 sierpnia 1943

Budzik zadzwonił punktualnie o piątej rano. Maria Dvořák podniosła się z łóżka i westchnęła. Pospiesznie przebrała się w robocze ubranie, poprawiła przed lustrem fartuch i zaplotła niedbale warkocz. Po chwili jej wzrok padł na wystający spod łóżka materiałowy worek na pranie, w którym upchnęła minionej nocy zakrwawione ubrania Alexandra i jego kolegi. Wzięła go do ręki, po czym schowała pod spódnicą. Cicho opuściła swoje mieszkanie i zeszła na drugie piętro.

Na korytarzu panowała cisza, przerywana tylko co jakiś czas szumem wiatru wdzierającego się do schroniska przez nieszczelne okna. Podeszła do jednego z nich i wyjrzała na dwór. Granat nocnego nieba bledł coraz bardziej, a na horyzoncie pojawiła się pomarańczowa luna, która stopniowo zaczynała przybierać na jasności. Świtało. U podnóży Riesengebirge leniwie przesuwały się mgły, będące pozostałością po wyjątkowo chłodnej nocy.

Odeszła od okna i spojrzała na uchylone drzwi łazienki na drugim końcu korytarza. Miała wrażenie, że słyszy stamtąd szum prysznica. Ktoś mył się o tej porze? A może to Alexander postanowił zatrzeć jakieś ślady? Jeśli wierzyć jego słowom, że wczorajszego wieczoru ktoś w tym miejscu zginął...

Przez moment się wahała, po czym wiedzona ciekawością podeszła do drzwi i uchyliła je ostrożnie. Pomieszczenie było niewyobrażalnie wręcz zaparowane, a w powietrzu unosił się zapach, od którego momentalnie zebrało jej się na wymioty. Spojrzała pod nogi i dostrzegła żółto-brązową kałużę. Skrzywiła się. Gdy wśród obłoków pary dostrzegła nienaturalnie wykrzywione ciało z poderżniętym gardłem, omal nie krzyknęła z przerażenia. Zasłoniła sobie usta i nos ręką. Wstrzymując oddech, czym prędzej zamknęła drzwi i pognąła na klatkę schodową. Przemierzyła skąpany w mroku potężny dwupoziomowy hol schroniska, mijając zdobiący pomieszczenie portret Adolfa Hitlera, i dopiero gdy znalazła się w kuchni, głęboko zaczerpnęła powietrza.

„A więc to prawda...!” – krzyczała w myślach. Wciąż bowiem miała nadzieję, że opowieść Alexandra nie była do końca prawdziwa. Obraz, który nadal miała przed oczami, nie pozostawiał jednak żadnych złudzeń... Boże, w co ona się wpakowała? Wiedziała jednak, że nie ma już odwrotu i musi czym prędzej pozbyć się ubrań.

Zdziwiło ją, że nikt dotychczas nie znalazł ciała. Po chwili jednak przypomniała sobie, że niespodziewani goście odwiedzili ją około północy. W tym czasie przegrani dawno już były w swoich łóżkach, a ci, którzy bawili się przy ognisku, pewnie wrócili do pokojów nad ranem, nie zaglądając pod prysznic. Prawdopodobnie dlatego nikt jeszcze nie odkrył zwłok.

Spojrzała na zegarek. Większość kucharek przychodziła do pracy równo o szóstej, aby zacząć przygotowywać śniadanie. Miała więc jeszcze pół godziny, nim kuchnia zacznie się zaludniać. Do tego czasu palenisko musiało być już przygotowane – i właśnie to należało do codziennych obowiązków Marii Dvořák.

Rozejrzała się po kuchni. Mimo iż niektóre jej okna wychodziły na wschód, ponury masyw Małego Szyszaka wciąż zasłaniał wschodzące słońce, więc w pomieszczeniu panował półmrok. Odszukała włącznik i zapaliła światło. Jego blask odbił się od długich, obitych blachą kuchennych blatów, wyłożonych białymi kafelkami ścian i zwisających z metalowych haków tasaków różnych rozmiarów. Stojąca w ich sąsiedztwie gruba na pół metra deska do krojenia mięs i ułożony na półce obok komplet tłuczków sprawiały przygnębiające wrażenie.

Podeszła do znajdującej się w centrum pomieszczenia potężnej węglowej kuchni, przesunęła zasuwę i otworzyła odpowiednie drzwiczki. Z cichym stęknieniem podniosła wiadro z węglem, wsypała zawartość na palenisko, rozprowadziła ją pogrzebaczem i upchnęła między czarnymi odłamkami papier i kilka trzasek.

Gdy po kilkunastu minutach kuchnia się rozgrzała, sięgnęła po pogrzebacz i wprawnym ruchem zdjęła fajerki z największego palnika. Wyciągnęła spod spódnicy płócienny worek z ubraniami chłopaków i wepchnęła go do otworu wprost na rozżarzone węgle. Ogień zaczął pochłaniać niewygodne dowody, stopniowo zamieniając zakrwawione ubrania w strzępki popiołu i gęsty dym.

Odetchnęła z ulgą, że nikt jej nie nakrył. Oprócz ulgi przyszło też dziwne i nieprzyjemne uczucie, którego w pierwszej chwili nie potrafiła zidentyfikować. Oparła ręce o kuchenny blat i się zamyśliła. „Jutro, jak zrobi się chryja i ktoś o mnie zapyta, to nie mów, że u ciebie byłem..” – przypomniała sobie słowa Alexandra i wtedy zrozumiała, skąd ten ciężar, który poczuła w sercu. Uświadomiła sobie bowiem, że od tej chwili została wplątana w przestępstwo. Zniszczyła dowody. I nawet jeśli by nie chciała, musiała teraz kryć Alexandra, bo gdyby on wpadł, z pewnością wydałoby się też wtedy, jaką rolę w sprawie odegrała Maria.

Żywiła tylko nadzieję, że obiecana przez Alexandra zapłata będzie sowita. Spojrzała na poczciwą starą kuchnię węglową, jej towarzyszkę w zbrodni. „Gdzie zaczyna się tajemnica, kończy się sprawiedliwość” – zawsze powtarzała jej matka, gdy jako mała dziewczynka nie chciała odpowiedzieć na jakieś pytanie. „Życie nie było jednak nigdy sprawiedliwe” – pomyślała Maria, po czym wzięła do ręki pogrzebacz i przesunęła fajerki na właściwe miejsce. Zaraz postawiła na nich garnek z mlekiem i zabrała się do przygotowywania kawy zbożowej.

Jugendkammhaus Rübezahl, 24 sierpnia 1943

O siódmej rano, na pół godziny przed porannym apelem, w jadalni schroniska podano śniadanie. Gwar rozmów kilkadziesiątu młodych mężczyzn siedzących przy długich stołach ciągle przybierał na sile. Wszyscy rozmawiali o wczorajszej zabawie przy ognisku, która skończyła się dopiero następnego dnia o świcie.

Alexander niemrawo przeżuwał chleb z masłem i popijał kawą zbożową, rozglądając się wokół. Naprzeciwko niego siedział koślawy Erik. Okulary miał jak zwykle nieco zaparowane i wyglądał żałośnie. Alexander popatrzył na niego z politowaniem. Powiódł obojętnym wzorkiem po dwóch pustych krzesłach koło Erika. Miejsca Martina i Claudiusa. Wciąż wypatrywał Klause. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł go wśród chłopaków przy sąsiednim stoliku siedzącego ze wzrokiem utkwionym w talerz.

Alexander wrócił pamięcią do poprzedniego wieczoru. Miał nadzieję, że ciotka pozbyła się już zaplamionych ubrań. Spojrzał na stojący pośrodku stołu pusty dzbanek. Niewiele myśląc, wziął go do ręki i udał się do kuchni. Wśród krzątających się tam kobiet od razu dostrzegł Marię Dvořák. Jej czarny warkocz rzucał się w oczy.

– Kawa się skończyła – powiedział. Nim krewna do niego podeszła, inna kucharka wzięła już od chłopaka dzbanek i wielką chochlą zaczęła nalewać do niego parującego napoju z stojącego na kuchni gara. Alexander spojrzał na ciotkę pytającym wzrokiem. Jej delikatne kiwnięcie głową było dla niego znakiem, że sprawa została załatwiona. Odetchnął z ulgą.

Wrócił do jadalni z pełnym dzbankiem i usiadł przy stole. Chwilę potem do pomieszczenia wpadł Rottenführer Stutterheim, jeden z dowódców obozu, w towarzystwie roztrzęsionego Claudiusa.

– Wstać! – wrzasnął.

Rozmowy momentalnie ucichły. Zaskoczeni chłopcy zaczęli podnosić się z krzesel.

– Ktoś z was widział dzisiaj rano Martina? – Tubalny głos Stutterheima niósł się po sali.

Wśród członków Hitlerjugend przeszedł pomruk.

– Nikt z was nie mógł go już dziś widzieć, bo...

– ...bo go zamordowaliście! – przerwał mu w pół słowa Claudius, po czym zaczął krzyczeć coś niezrozumiale i w przejmujący sposób.

– Uspokój się – skarcił go Stutterheim. – Czy ktoś wczoraj widział albo słyszał coś niepokojącego w okolicy pryszniców na drugim piętrze? Proszę natychmiast otwarcie o tym powiedzieć!

Odpowiedziała mu cisza.

– Kto ma pokój na drugim piętrze?

Kilka osób podniosło rękę.

– I nic nie słyszeliście wczorajszego wieczoru?

– Byliśmy na ognisku... – odparł jeden z chłopców.

– Wszyscy?

– Wszyscy, poza Erikiem – powiedział ktoś inny.

Wzrok zebranych skierował się na zgarbionego dryblasza, który nerwowo poprawiał okulary.

– Ja niczego nie słyszałem. Było cicho. Poszedłem spać, nawet nie zauważyłem, kiedy pozostali wrócili z ogniska...

Stutterheim spojrzał na niego przeciągle i w duchu wywrócił oczami. Tego ułomnego dzieciaka nawet w najdzikszych snach nie brałby pod uwagę jako podejrzanego. Przecież to ostatnia ofierma, nawet muchy nie potrafiłby skutecznie zabić.

– To Alexander! – wrzasnął nagle Claudius. – On zabił Martina! Przyznaj się, ty śmieciu! Nie cierpiałeś go, bo... Bo był odważniejszy i sprytniejszy niż ty!

Alexander przez chwilę milczał, zaskoczony otwartymi oskarżeniami, po czym parsknął śmiechem.

– Czy ty siebie słyszysz? Przykro mi, że straciłeś brata, ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Jak to nie!! Wczoraj pokłóciliście się przy ognisku! Poszedłeś do schroniska sam! A Martin poszedł za tobą chwilę później. I potem już nie wrócił.

Stutterheim uniósł brwi zdziwiony.

– Dlaczego w takim razie nie zgłosiłeś już wczoraj, że zniknął? – zapytał Alexander Claudiusa.

W jadalni znów zapanowała cisza.

– Ja... Myślałem, że został już w pokoju. Zresztą, to bez znaczenia!

– Skoro więc tak myślałeś, to gdy już wróciłeś z ogniska i go w tym pokoju nie zastałeś, to dlaczego wtedy nic nie zrobiłeś? – zapytał Alexander. Zauważył, że Rottenführer Stutterheim spojrział podejrzliwie na Claudiusa, wyraźnie oczekując odpowiedzi. Postanowił więc dokończyć swój atak. – Nie martwiło cię, co dzieje się z bratem? Poszedłeś spokojnie spać, nie wiedząc, gdzie jest? A może to ty mu coś zrobiłeś?

– Ty żydowska świnio! Jak śmiesz!?! Poderżnąłeś mu gardło, a teraz tak do mnie mówisz? – krzyknął Claudius, po czym zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Z dzikim wrzaskiem rzucił się na Alexandra. Szarpanina trwała zaledwie kilkanaście sekund, a milczący dotychczas świadkowie momentalnie zaczęli się przekrzykiwać, dopingując walczących. Claudius z oszalamiającą szybkością zadawał pięściami kolejne ciosy. Był jednak zbyt roztrzęsiony, więc uderzał na oślep, podczas gdy Alexander potrafił zachować spokój. Gdy jego przeciwnik zachwiał się, tracąc równowagę, natychmiast wykorzystał okazję. Solidnym prawym sierpowym powalił Claudiusa na ziemię i usiadł na nim okrakiem, unosząc pięść.

– Alexander! Dość! – krzyknął Rottenführer Stutterheim, który dotychczas w milczeniu obserwował zajście. Liczył na to, że reakcja kogoś ze zgromadzonych przy śniadaniu zdradzi go, albo że ktoś rzuci oskarżenie na osoby, które sam w duchu podejrzewał. Miał przecież do czynienia z młodzieżą, która jeszcze do tej pory czasem go zaskakiwała swoją skłonnością do donoszenia na siebie nawzajem, byleby uzyskać w grupie lepszą pozycję. Oskarżenia rzeczywiście padły, ale nie takie, jakich Stutterheim by sobie życzył. Claudius zaczął o śmierć swego brata posądzać Alexandra, jednego z najzdolniejszych i najsprawniejszych uczestników tegorocznego obozu; Stutterheim pokładał w nim olbrzymie nadzieje. Zamierzał nawet wysłać go w przyszłości do specjalnej szkoły dywersji działającej potajemnie w budynkach dawnego klasztoru w mieście Wartha. Oskarżenia Claudiusa były więc Stutterheimowi zdecydowanie nie na rękę. Uważnie obserwował jednak reakcję Alexandra, który wyglądał na niewzruszonego całą sytuacją. Czy gdyby był winny, nie drgnęłaby mu nawet powieka? Dowódca doskonale jednak wiedział, że między nim a zamordowanym zdarzały się konflikty. Z drugiej strony, kto nie miał na pieńku z tymi piekielnymi bliźniakami? Przypomniawszy sobie, jak kilka lat temu podczas warty zastrzelili jednego z uczestników obozu. Zasępił się. Gdy już oszołomionego Claudiusa podnieśli z ziemi obecni na sali wychowawcy, Stutterheim spojrzął na

rozmasowującego pięść Alexandra. Ponieważ nie mógł przejść do porządku dziennego nad publicznie rzuconymi oskarżeniami, zapytał:

– Rozumiem, że tak jak mówił Claudius, wczoraj wieczorem poszedłeś do schroniska w czasie trwania ogniska. Czy inni, którzy byli wtedy na dworze, mogą to potwierdzić? – kontynuował dochodzenie.

Kilka osób przytaknęło.

– Alexandrze, po co więc tam poszedłeś?

– Byłem spocony i brudny po zawodach. Zjadłem szybko i chciałem pójść się umyć.

– W której łazience?

– W tej na pierwszym piętrze – odezwał się niespodziewanie Erik. Poprawił okulary na nosie. – Alexander mył się pod prysznicem w tej samej łazience co ja. Klaus też tam był i to potwierdzi.

Wzrok wszystkich przeniósł się na wspomnianego przez Erika chłopaka.

„Co on, do cholery, wyprawia?” – zdziwił się Alexander. – „I dlaczego wskazuje na Klause? Czyżby... Widział nas wczoraj?” Wstrzymał oddech, czując rosnący niepokój. Takiego scenariusza na dzisiejszy dzień nie przewidział. Trudno mu jednak było ocenić, jakie skutki przyniesie niespodziewany głos Erika. Niepokoiła go jeszcze jedna sprawa: dlaczego Claudius mówił o podejrzanym gardle?

„Od kiedy ten gówniarz odzywa się niepytany?” – pomyślał w tym czasie zaskoczony Stutterheim. Było to jak na Erika zachowanie nietypowe i natychmiast wzbudziło czujność dowódcy. „Czyżby ten kaleka coś wiedział? Tylko skąd...? No tak! Przecież jako jedyny był wczoraj wieczorem na drugim piętrze... Kogo więc krył, Alexandra? A jeśli tak, to dlaczego? Został zastraszony?” Gdyby Erik był w sytuacji takiej jak inni chłopcy, Stutterheim wziąłby go na przesłuchanie i zapewne wyciągnął z niego potrzebne informacje w ciągu kilku minut. Problem polegał jednak na tym, że Erik nie był zwykłym uczestnikiem obozu i nieustannie roztaczał się nad nim niewidoczny parasol ochronny w osobie jego ojca. Wysoko postawiony nazista dopilnował, by jego syn, mimo swojego kalectwa, przeszedł wszystkie niezbędne eliminacje i został przyjęty do Hitlerjugend, a następnie regularnie mógł uczestniczyć w wakacyjnych obozach, takich jak ten. Stutterheim rozumiał więc, że póki żyje ojciec chłopaka, to ten jest nietykalny.

– Czy tak było? – zapytał Rottenführer, zwracając się w stronę milczącego dotychczas Klause. – Czy Alexander w czasie ogniska przyszedł umyć się w łazience na pierwszym piętrze?

– Tak – odparł Klaus i po chwili namysłu dodał. – Ja już się myłem, kiedy zobaczyłem, że do łazienki wchodzi Alexander. I niedługo po nim przyszedł też koślawy... To znaczy, chciałem powiedzieć, Erik.

Stutterheim mierzył Klause przez chwilę wzrokiem, jakby chciał wyczytać z jego oczu, czy mówi prawdę.

– W porządku. Alexander wziął prysznic i co potem? Widziałeś, gdzie poszedł?

– Chyba wrócił na ognisko... – Klaus wzruszył ramionami.

– Tak było – potwierdził Alexander i postanowił zaryzykować zagranie *va banque*. – Nawet mówiłem to Erikowi.

Stutterheim tylko uniósł brwi ze zdziwienia. Sytuacja robiła się coraz dziwniejsza.

– Rzeczywiście – odezwał się Erik, czując na sobie wyczekujące spojrzenie Rottenführera. – Alexander wyszedł z łazienki w tym samym czasie co ja. I powiedział, że idzie jeszcze na dwór. A ja poszedłem na górę, na drugie piętro.

– Czy ktoś widział potem, aby Alexander odchodził jeszcze od ogniska? – zapytał zebranych Stutterheim, przechadzając się między stolikami.

– Nie... – odezwało się naraz kilka osób.

– W porządku – stwierdził Rottenführer obojętnym głosem. W duchu jednak ucieszyło go alibi dane Alexandrowi przez kolegów. Nie zamierzał wnikać, jak dalece było prawdziwe. Śmierć jednego z uczestników obozu nie była dla niego wielką stratą. Poza tym miał dziś o wiele ważniejsze sprawy na głowie. Gdy dodał do tego, że zawsze uważał bliźniaków za brutalnych awanturników, którzy sprawiali problemy niemal na każdym obozie, doszedł do wniosku, że zabójstwo jednego z nich jest mu nawet na rękę. Może wtedy drugi trochę się uspokoi? Albo jego też niedługo ktoś załatwi?

Przerwał swoje rozmyślenia, czując na sobie zniecierpliwione spojrzenie brata zamordowanego i pozostałych zebranych. Przybrał więc oficjalny ton:

– W takim razie przykro mi, Claudius, ale sam widzisz, że musimy uznać twoje zarzuty wobec Alexandra za bezpodstawne. Nie zmienia to faktu, że zajmę się sprawą Martina osobiście. Jeśli komuś z was przypomni się coś istotnego, proszę do

mnie natychmiast przyjść. Zrozumiano? Nie możemy i nie zamierzamy tolerować takich zachowań – skłamał na koniec.

Chłopcy kiwnęli głowami.

– Teraz siadać i wracać do jedzenia. Przypominam, że dziś jest dwudziesty czwarty sierpnia, dzień urodzin SS-Gruppenführera i gauleitera Niederschlesien Karla Hankego! Wypoczywa on w tym tygodniu w domu wielkiego pisarza Herr Gerharta Hauptmanna i zgodził się odwiedzić nasz obóz. O piętnastej uroczysty apel, podczas którego solenizant wygłosi przemówienie. Liczę, że swoją postawą okazecie SS-Gruppenführerowi najwyższy szacunek. Heil Hitler!

– Heil Hitler! – odpowiedziała mu pozdrowieniem cała sala.

Jugendkammhaus Rübezahl, 24 sierpnia 1943

Apel był wyjątkowo uroczysty. Gauleiter miał przemawiać do zebranej przed schroniskiem młodzieży z balkonu, który znajdował się nad głównym wejściem w centralnej części bryły schroniska. Na tę okazję przygotowano specjalną mównicę, a barierki tarasu przystrojono łańcuchami ze świerkowych gałązek i swastykami. Honorowa warta Hitlerjugend zajęła miejsca po obu stronach mównicy. Jej członkowie, dumnie prężąc piersi, trzymali w rękach pochodnie i sztandary.

Apel tradycyjnie rozpoczęło odśpiewanie hymnu Rzeszy, w trakcie którego dziesiątki zgromadzonych w rzędach chłopców, w świeżo odprasowanych koszulach, pozdrawiało salutem rzymskim stojącego na mównicy solenizanta. Zaraz po hymnie przyszedł czas na wystąpienie gauleitera Karla Hankego.

– Heil Hitler! – krzyknął.

– Heil Hiler! – odpowiedzieli mu zgromadzeni.

– Bardzo się cieszę, że w dniu swoich urodzin mogę podziwiać tak liczne grono młodzieży. Jesteście naszą przyszłością. Tak! W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku Hitlerjugend liczyła sobie niewiele ponad sto tysięcy członków. Wystarczyły dwa lata, by liczba ta wzrosła trzydziestopięciokrotnie. To piękne, jak naród z radością i entuzjazmem przyjmuje idee swojego wodza. A ilu jest was dzisiaj? Aż trudno zliczyć! Całe legiony! – Z nieskrywaną dumą powiódł wzrokiem po zebranych. – Pamiętajcie jednak, że nie wystarczy być w organizacji, żeby

wypełniać swoją misję wobec Rzeszy. Trzeba doskonalić swoją siłę i ducha! Jak życzy sobie Führer, winniście być smukli, szczupli, zwinni, a zarazem wytrzymali i twardzi. Doskonale znacie *Mein Kampf*, prawda?

– Tak jest! – odkrzyknęła gromko młodzież.

– Tam właśnie nasz wódz po raz pierwszy nakreślił, jak powinno wyglądać wychowanie młodzieży. I tę wizję konsekwentnie od lat realizujemy. Sprawność fizyczna ponad kształceniem duchowych wartości. Dryl wojskowy i kult fizycznego hartu to podstawa, którą należy wam wpoić. W *Mein Kampf* padają słowa o pracy wychowawczej państwa. Jej najwyższym celem, według Führera, jest wpojenie waszym sercom i waszemu rozumowi poczucia przynależności do rasy wybranych. Chciałbym dodać dziś do tych słów jedynie skromny komentarz, a zarazem radę dla was. Otóż gdy pojmiecie znaczenie rasy, wyrośnięcie na przyszlą elitę wodzowską Tysiącletniej Rzeszy. I tego wam dziś gorąco życzę!

Rozległy się gromkie owacje. Hanke uniósł dłoń w geście sygnalizującym, że chce coś jeszcze dodać.

– I na koniec ostatnia uwaga! Mówię do was wszystkich i każdego z osobna: bądźcie zawsze gotowi do złożenia ofiary. Z waszego kapitału, a nawet z was samych, jeśli tego będzie wymagała sytuacja. Bo tylko wtedy, gdy wszyscy bez wyjątku będziecie mocni duchem poświęcenia, nawet najmniejsza grupa okaże się dość silna, aby przetrwać. Heil Hitler!

– Heil Hitler! – odpowiedzieli zebrani.

Po apelu Stutterheim zaprosił Hankego na specjalny poczęstunek zorganizowany na cześć solenizanta w jadalni schroniska przez jego właściciela Alberta Schmieda. Dla uczestników obozu zarządzono natomiast czas wolny aż do kolacji. Większość chłopaków rozpierzchła się niemal natychmiast, zamierzając spędzić popołudnie na wędrówce po górach.

Na wyludnionym placu przed schroniskiem zostali tylko Klaus i Alexander. Usiedli razem na ławce koło wejścia, wystawiając twarze do słońca.

– Nic z tego nie rozumiem... Co odwała Erik? Dlaczego dał ci alibi? – zapytał Klaus. – I czemu Claudius mówił coś o podejrzanym gardle? Przecież my nie... – Zawiesił głos, widząc nadchodzącego Johannes Schmieda.

– Panowie! Cześć! – przywitał się.

– Cześć, Johannes! – odparli.

– Chcecie może porozmawiać z Hankem osobiście? Mój ojciec powiedział, że możemy do niego podejść po poczęstunku.

Chłopcy spojrzeli po sobie niepewnie.

– Jasne! – Alexander ożywił się niemal natychmiast. – Poznać takiego człowieka... To będzie dla mnie zaszczyt.

– Klaus, ty też idziesz? – upewnił się Johannes.

– Niech będzie.

– Doskonale! Zrobimy sobie z gauleiterem zdjęcie! To będzie nasza pamiątka z tegorocznego obozu!

Kilka minut później cała trójka nieśmiało weszła do jadalni i skierowała się do Hankego rozmawiającego ze Stutterheimem. Obaj naziści palili papierosy i wokół ich głów unosiły się kłęby dymu. Na widok chłopców Albert Schmied natychmiast zerwał się od stołu i wyprzedził ich:

– Herr Gruppenführer, czy mógłbym przedstawić mojego syna? I jego przyjaciół. Pozwoliłem im przyjść, bo marzyli o poznaniu pana.

Hanke wstał od stołu.

– Heil Hitler! – pozdrowił chłopaków.

– Heil Hitler! – odparli niemal jednogłośnie.

– Czy moglibyśmy zrobić sobie z Herr Gruppenführerem zdjęcie? – zaczął nieśmiało Johannes.

– Moglibyście – odparł Hanke dość chłodnym tonem.

– Alexander zajdzie daleko, zobaczysz. – Stutterheim zwrócił się do gauleitera, wskazując na chłopaka. – Urodzony strateg. Przewyższa inteligencją pozostałych.

– Doskonale. Zatem, życzę sukcesów, panie Alexandrze – powiedział Hanke nieco bardziej przyjaźnie. – Róbmy więc zdjęcie.

– Może na bocznym tarasie? – zaproponował Albert Schmied, przynosząc przygotowany już wcześniej aparat. – Tam jest dobre światło...

Gdy chwilę później chłopcy dumnie prężyli już piersi do zdjęcia z gauleiterem Hanke, na taras niespodziewanie wszedł schodami z podwórka Erik.

– O, ja też chcę takie zdjęcie na pamiątkę... – zaczął nieśmiało, po czym nie pytając o pozwolenie, ustawił się obok Klause i Alexandra, szczerząc zęby do obiektywu. „Ale ojciec będzie ze mnie dumny” – pomyślał.

– Erik, ktoś cię zapraszał? – zaczął Johannes.

Na ułamek sekundy zapadła cisza.

– Daj spokój, niech zostanie, jak chce... – odparł Alexander. Zaskoczony Johannes spojrzał na Klause, szukając w nim sojusznika.

– Też uważam, że może zostać – odparł tamten.

– Panowie, ustawiać się, nie mam czasu – zakomenderował Hanke szorstko.

Chwilę później trzasnęła migawka. Zaraz też Albert Schmied razem z synem poszli odnieść aparat do schroniska, a Hanke wrócił do jadalni, żeby kontynuować ze Stutterheimem przerwana rozmowę.

Alexander złapał Erika pod ramię i zaczął ciągnąć w stronę schodów wiodących na plac przed schroniskiem.

– Chyba mamy do pogadania – powiedział z naciskiem. – Klaus, chodź z nami.

W milczeniu uszli kilkaset metrów, aż do miejsca, gdzie zaczynał się las.

– Siadaj. – Alexander wskazał Erikowi kamień, po czym stanął nad nim. – W co ty grasz?

– Ja...?

– Nie udawaj teraz upośledzonego. Coś kombinujesz. Dlaczego wtrąciłeś się rano do rozmowy? I zacząłeś pieprzyć te głupoty?

– Głupoty? – Erik zmrużył oczy. – A może powinienem powiedzieć prawdę, że widziałem, jak do łazienki wchodzi Klaus, jakiś czas później ty, a następnie Martin? I potem wy dwaj wychodzicie nadzy, ja idę do łazienki i... Co tam znajduję? Nieprzytomnego kolegę.

– Poszedłeś tam... – rzucił Alexander podejrzliwie.

– Tak, a co?

– Powiedziałeś, że znalazłeś go nieprzytomnego. A Claudius mówi, że ktoś poderżnął mu gardło... – zaczął myśleć na głos. – Nie mogę w to uwierzyć! Ty to zrobiłeś!?

Klaus spojrzał na przyjaciela jak na kogoś niespełna rozumu. Ku jego zaskoczeniu Erik odparł:

– Dokończyłem tylko za ciebie robotę. Za płytko wepchałeś mu skarpetę do gardła.

– I co, mam ci może być wdzięczny?

– Nie musisz. Ale pamiętaj, że dałem ci też alibi...

– Niby tak. Ja jednak dalej nie wiem, dlaczego to zrobiłeś. Czegoś od nas chcesz?

Erik wahał się przez moment, otwierając i zamykając usta, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Martin zasłużył na śmierć – stwierdził po chwili. – Cieszę się, że mogłem to zrobić. A wam dałem alibi, bo... Wydajecie się całkiem fajni. Chciałbym się z wami zakolegować.

Alexander zrobił wielkie oczy.

– Ty siebie słyszysz? Mielibyśmy się zadawać z kimś takim jak ty?

– W przyjaźni najważniejsza jest lojalność, prawda?

Alexander zmierzył go wzrokiem.

– Ma rację. – Niespodziewanie do rozmowy włączył się Klaus, dotychczas z boku obserwujący wymianę zdań między chłopakami. – Erik wykazał się bardzo dużą lojalnością. I rano uratował nam dupę... Dzięki, kolego – dodał i uścisnął mu dłoń.

– Polecam się – odparł Erik, uśmiechając się, po czym poprawił na nosie okulary. – W razie czego możecie na mnie liczyć.

– W takim razie... Ty na nas też. Mamy męską umowę – zakończył rozmowę Alexander.

CZĘŚĆ II

ZAMACH

Tkacze, noc 2/3 maja 1947

O Tkaczach mówiło się, że to miejsce zapomniane przez Boga.

Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie powstała osada Strickerhäuser. Pewne jest natomiast, że przez większość czasu jej historia naznaczona była biedą mieszkających tam dziewiarzy. Przyszło im bowiem żyć i pracować w miejscu położonym wysoko w górach, gdzie surowa zima utrzymywała się niemal przez pół roku.

Los uśmiechnął się do skromnej wioski, gdy na początku dwudziestego wieku przeciągnięto przez nią nitkę linii kolejowej, która połączyła Czechy ze Śląskiem. Było to olbrzymie i śmiałe przedsięwzięcie, zważywszy na fakt, że żelazna droga przebiegała w niezwykle trudnym górskim terenie. Sunące nią pociągi, wijąc się między wzgórzami niczym wąż, pokonywały przez kolejne mosty, nasypy i tunele setki metrów przewyższenia. Ranga osady Strickerhäuser momentalnie wzrosła, gdyż wybudowana w jej centrum stacja kolejowa była ostatnią na Śląsku, tuż przed granicą Cesarstwa Niemieckiego z monarchią austro-węgierską. Wraz z pociągami pojawiły się w Strickerhäuser rzesze turystów, zaczęły powstawać liczne restauracje i hotele, a wieś stopniowo przekształcała się w elegancki kurort.

Niestety, rozwój osady brutalnie przerwała druga wojna światowa. Zaraz po jej zakończeniu w Strickerhäuser na krótko pojawili się Rosjanie, a po nich Wojsko Polskie. Ówczesni mieszkańcy w niedługim czasie uciekli lub zostali wysiedleni. Opustoszałej poniemieckiej wsi Komisja Ustalania Nazw Miejscowych nadała miano Tkacze. Jednakże pomimo uzyskania polskiej nazwy sytuacja osady się nie zmieniła – w Tkaczach nikt nie chciał zamieszkać. O przygranicznej osadzie szybko zaczęto więc po wojnie mówić, że zapomnieli o niej nie tylko ludzie, lecz nawet Pan Bóg.

Brak mieszkańców był jednak na rękę niektórym. Puste domy stanowiły doskonały cel dla wszelkiej maści złodziei, traktujących Tkacze jak bezpłatny skład budowlany. We wsi, w której zazwyczaj nie było żywego ducha, można było też odbywać potajemne spotkania. Do osób odwiedzających Tkacze właśnie z tego powodu należała trójka chłopaków, którzy nocą, oświetlając sobie drogę starą karbidówką, wyszli z lasu i przemierzali jedną z uliczek dawnego kurortu. Światło lampki przykręcili na najniższy poziom, żeby nie zwróciło uwagi polskich żołnierzy pograniczników, a idąc po wysypanej żwirem drodze w kierunku starej gospody Zur Landesgrenze, starali się poruszać jak najciszej. Ostrożność chłopaków była jednak zbędna, gdyż szum trwającej od kilku godzin ulewy zagłuszał ich kroki. Deszcz był ich sprzymierzeńcem jeszcze z jednego powodu – mieli nadzieję, że zniechęci pograniczników do opuszczania wieżyczki obserwacyjnej znajdującej się w dolnej części opuszczonej wsi.

Zaraz po minięciu stacji kolejowej dostrzegli w strugach deszczu bramę przygotowywaną na zbliżające się wydarzenie. Jak ustalił wujek – mentor ich grupy, przez Tkacze miał przebiegać IV etap pierwszej edycji kolarskiego Wyścigu Pokoju. Trasa wiodła z Warszawy do Pragi i z niejasnych dla chłopaków przyczyn, zamiast poprowadzić kolarzy przez granicę w Jakuszycach, organizatorzy zdecydowali się wytyczyć drogę zawodów przez opuszczoną wioskę. Dlatego na jej skraju, w miejscu niedawno powstałej granicy polsko-czechosłowackiej, ustawiono wielką bramę, przystrajając ją kolorowymi kwiatami, chorągiewkami i flagami państwowymi, co rażąco kontrastowało z krajobrazem podupadłej wsi.

– Cii – syknął Alexander i jednym susem doskoczył do muru najbliższego domu. W ślad za nim poszło dwóch pozostałych.

– Co się dzieje? – spytał szeptem wyraźnie wystraszony Erik.

– Polacy. Stulić mordy – rzucił, po czym zdmuchnął płomień i oddał lampkę Klausowi.

Chwilę później usłyszeli przebijające się przez szum ulewy odgłosy rozmowy prowadzonej przez dwóch żołnierzy. Nieświadomi obecności chłopaków zmierzali w kierunku chałupy, za którą ci się skryli.

– Przesuwamy się – powiedział Alexander zaraz po tym, jak wyjrzał zza winkła. Przeszli ostrożnie wzdłuż ściany domu, by skryć się w wysokich chaszczach zaniedbanego ogródka, i zamarli w bezruchu. Zajęci rozmową żołnierze nie usłyszeli trzasku łamanych przez niezdarnego Erika gałązek i podążyli w górę wsi.

– Możemy iść dalej – wydał rozkaz Alexander, wciąż czujnie obserwując rozplywających się w czerni nocy pograniczników.

Po kilku minutach marszu zza ściany deszczu wyłonił się ciemny kontur budynku, opuszczonego tak samo, jak wszystkie inne w Tkaczach. Gospoda Zur Landesgrenze, kilkakrotnie niszczone przez szabrowników, sprawiała przygnębiające wrażenie. Alexander kopniakiem otworzył spróchniałe drzwi. Wszedł do środka, a za nim posłusznie podążyli Klaus i Erik, który ze względu na ponaddwumetrowy wzrost musiał się pochylić. Już od progu uderzyła ich woń pleśni, która stopniowo trawiła drewniane, zawilgocone i nieogrzewane od kilku lat domostwo. Minęli zdewastowany bufet i po skrzypiących schodach poszli na piętro, a stamtąd na strych, który od dłuższego czasu był jedną z ich kryjówek.

Dowodzący drużyną Alexander wziął od Klause zapaloną chwilę wcześniej karbidówkę, zwiększył płomień, po czym postawił lampkę na niedużym odrapanym stole. Światło wydobyło z ciemności przepastny pusty strych, którego drewniana konstrukcja momentami cicho trzeszczała pod naporem podmuchów wiatru. Następnie usiadł przy stole, przetarł go niedbale rękawem i popatrzył z właściwą sobie surowością na młodszych kompanów.

– Erik! – zawołał do dryblasza, który garbił się, żeby nie uderzyć głową o belki więźby dachowej. – Dawaj mapę.

– Już się robi – odparł niepewnie chłopak, zdradzając stres towarzyszący mu niezmiennie podczas każdej akcji. Nerwowość potęgowała u niego dodatkowo nocna pora. W przeciwieństwie do Alexandra, który miał bardzo ostry wzrok, Erik nocą źle widział. Ponadto nietypowy wzrost i znaczna wada postawy utrudniały mu ciche i zwinne poruszanie się po gęstych górskich lasach. Chwilę zajęło mu przetrwanie komendy rzuconej przez dowódcę, bo najpierw przetarł grube zaparowane szkła okularów, z powrotem wsunął je na nos i dopiero wtedy wygrzebał ze skórzanego tobołka właściwy arkusz.

– Dawaj – sapnął zniecierpliwiony Alexander, wrywając mu mapę z ręki. – Siadajcie – rzucił krótko, nieustannie mierząc ich wzrokiem.

Ten niespełna dwudziestoletni chłopak odznaczał się wyjątkową dyscypliną – cechą, którą utrwalił podczas szkolenia w tajnej szkole dywersji dla członków Hitlerjugend działającej w miejscowości Wartha. To tam nauczył się podstaw wywiadu i technik sabotażu.

Wkrótce po zakończeniu szkolenia przyszedł czas na wykorzystanie zdobytej wiedzy. Kilka miesięcy przed końcem wojny Alexander trafił wraz z innymi absolwentami do kilkunastoosobowej grupy dywersyjnej stanowiącej oddział Wehrwofu – niemieckiej partyzantki. Miała ona na celu przede wszystkim utrudnianie działań rosyjskiej armii, niszczenie fabryk i linii kolejowych, mordowanie polityków i organizowanie powstania przeciwko Polakom, systematycznie zasiedlającym niektóre rejony Dolnego Śląska.

– Dobrze znowu was widzieć... Tyle się zmieniło od naszego ostatniego spotkania – zaczął niespodziewanie Erik. – Tęsknię za czasami, gdy razem jeździliśmy do Jugendkammhaus Rübzahl.

– To już przeszłość – odparł Alexander chłodno. – Nie będziemy o niej teraz rozmawiać. Mamy zadanie do wykonania. Popatrzcie – mruknął, gdy rozłożył przedwojenną mapę wsi Jakobsthal. Osada była położona jakieś dwie godziny drogi pieszo od Tkaczy. – Przygotowany przez wujka plan jest bardzo prosty w realizacji, a efekty będą... – chwilę szukał właściwego słowa – spektakularne! Spowodujemy katastrofę kolejową, o której Polacy nie zapomną przez lata. I to kiedy! W przeddzień pierwszego Wyścigu Pokoju! To będzie bardzo symboliczne. Ze strony Niemców, prawowitych mieszkańców Dolnego Śląska, nie ma mowy o żadnym pokoju – uderzył pięścią w stół.

– A dlaczego nie w sam dzień zawodów? – zapytał Klaus, mrużąc oczy.

– Z kilku powodów. Jeden: wyścig wypada we wtorek, a jak wynika z naszych obserwacji linii kolejowej, w ten dzień z Jakuszyca nie zawsze wyjeżdża pociąg towarowy z urobkiem z kopalni, a jeśli, to o różnych godzinach. Natomiast w poniedziałek załadowany pociąg zawsze wyrusza około wpół do trzeciej. Czyli mniej więcej wtedy, kiedy dwie stacje niżej dociera z dołu do Szklarskiej Poręby Górnej jedyny w ciągu dnia pospieszny z Warszawy. Na perony wysypują się dziesiątki ludzi, idealny moment do zderzenia... – stwierdził Alexander z podekscytowaniem, które towarzyszyło mu przy każdym planowaniu akcji. – Dwa: to założenie, że większość gości i dziennikarzy przyjedzie do Szklarskiej Poręby dzień przed wydarzeniem. Trzy...

– Wystarczy. Masz rację. – Klaus pokiwał głową.

– To wszystko pomysł wujka – podkreślił Alexander. Zapadła cisza, po której dowódca chrząknął i znowu przybrał suchy, wyzuty z emocji ton głosu. – Jutro około południa zajmujemy nasze stanowiska wokół stacji kolejowej w Jakuszycach.

Przypomnijmy sobie, jakie każdy otrzymał zadania i gdzie znajduje się jego pozycja. Klaus, co masz zrobić?

– Ukrywam się tutaj, za rampą kolejową. – Chłopak chwilę wiódł palcem po mapie, po czym wskazał właściwe miejsce.

– Tak.

– I na twój znak... – kontynuował Klaus, ale Alexander mu przerwał, pytając:

– Jaki to będzie znak?

– Dwa krótkie gwizdki.

– Dobrze.

– Wtedy podbiegam do pociągu. Muszę wejść pomiędzy zderzaki, na styku lokomotywy z pierwszym wagonem, i tam znaleźć wąż hamulcowy z kurkami.

– Dźwignia w górę zamyka zawór, a w dół otwiera – wtrącił się Alexander.

– Właśnie. Muszę jednocześnie przestawić szybko oba zawory do góry. Wtedy powietrze dla wagonów zostanie odcięte i nie będzie można uruchomić w nich hamulców z poziomu lokomotywy. – Chłopak znał już regułek na pamięć.

– Tak, w ten sposób załatwimy przewód główny hamulca zespolonego pociągu – dopowiedział Alexander. – Na pewno dasz sobie radę?

– Oczywiście. Ćwiczyliśmy to przecież w zeszły poniedziałek, gdy byliśmy obejrzyć pociąg.

– Po wykonaniu zadania wiejesz do lasu i do naszej bazy. – Erik, co robisz w tym czasie? – Spojrzał na chłopaka, który nerwowo przeplatał wyjątkowo długimi kciukami.

– Ja? W tym czasie, znaczy się, po gwizdku... Chciałem powiedzieć: po dwóch gwizdkach. – Lekko się jąkał, z niepokojem patrząc na dowódcę. Od początku ich znajomości starał się zaimponować mu swoim zaangażowaniem i oddaniem sprawie, a mimo to stale widział w jego oczach irytację, gdy tylko próbował zabrać głos.

– Tak? – pospieszał go Alexander.

Erik westchnął, nabrał głęboko powietrza i maksymalnie się skupił.

– Po dwóch gwizdkach wychodzę z ukrycia tutaj. – Wskazał na skałki znajdujące się w lesie, tuż poniżej stacji kolejowej Jakuszyce. – Wspinam się na słup. – Jego palec powędrował wzdłuż linii telefonicznej łączącej nastawnię w Jakuszycach

z nastawnią na stacji Szklarska Poręba Huta. – I migiem przecinam kabel. – Uśmiechnął się, licząc na pochwałę.

– Migiem – powiedział przeciągle Alexander, kiwając głową. Z niejasną miną wpatrywał się przez chwilę w nienaturalnie zapadniętą klatkę piersiową chłopaka, tak jakby nie chciało mu się podnieść wzroku, żeby spojrzeć mu w oczy. – Jak coś spieprzycie, to nie ręczę za siebie. Rozumiemy się?

– Tak – odparli jednocześnie, podekscytowani wizją akcji.

– I nie dajcie się złapać! Po wykonaniu zadania nie siedzimy w kryjówkach i nie czekamy na rozwój wydarzeń, tylko od razu wiejemy!

– Zrozumiano.

– Dobrze – mruknął Alexander, podchodząc do niewielkiego okna połączeniowego. Uchylił je i wyjrzał na zewnątrz. – Niedługo powinno przestać padać. Ja muszę jeszcze coś załatwić, a ty Erik możesz ruszać do Jakuszyc, żeby zdążyć przed świtem ustroić pociąg naszym hasłem. Farba i pędzle czekają w schowku. Jesteś najwyższy, więc powinieneś dać sobie radę najlepiej z nas... – dodał, choć w jego głosie brzmiało powątpiewanie.

– Tak jest – odparł Erik dumny, że po raz pierwszy tego dnia usłyszał coś pozytywnego na swój temat.

– Pamiętaj, że napis ma być wielki, na kilka wagonów, żeby ludzie z daleka widzieli nasze hasło *Heil Wolf!*^[2] Jak odwalisz chałę, to...

– Możesz na mnie liczyć. – Chłopak zsalutował.

– Mam nadzieję. Widzimy się jutro w Jakuszycach.

– *Heil Wolf!* – Erik z najwyższą powagą wypowiedział ich pozdrowienie, po czym skierował się do wyjścia.

– Klaus, ty jeszcze chwilę poczekaj... – rzucił od niechcienia Alexander. Odczekał kilkadziesiąt sekund, upewniając się, że Erik opuścił gospodę, po czym doskoczył do chłopaka i przyparł go do ściany, szybkim ruchem rozpinając mu rozporek. – Tęskniłeś? – zapytał lubieżnie, wsuwając mu rękę do spodni.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo...

Po godzinie, spoceni i zadowoleni opuścili gospodę Zur Landesgrenze i znaną sobie leśną ścieżką skierowali się w stronę Jakuszyc.

Stacja kolejowa Jakuszyce, 3 maja 1947

Prędkość dopuszczalna pociągu towarowego = 30 km/h

Prędkość osiągnięta = 0 km/h

Nastawniczy Krzysztof Saneczka, jak to miał w zwyczaju, pokonywał drogę do pracy rowerem. Ścieżka wiodąca z jego domu na stację kolejową pięła się niemal bez przerwy pod górę, toteż mężczyzna oddychał ciężko, wciągając do płuc wyjątkowo chłodne tego poranka powietrze. Jego sapanie przeplatało się z niemiłosiernym skrzypieniem roweru kupionego na targu w Jeleniej Górze od jakiegoś szabrownika. Manewrując kierownicą, aby ominąć kałuże, próbował jednocześnie nie stracić równowagi na śliskim i grząskim gruncie. Klął pod nosem na panującą od kilku dni ponurą pogodę, co jakiś czas poprawiając jedną ręką smagany przez wiatr kaptur sztormiaka. Mgła, która jeszcze do niedawna spowijała całą okolicę, stopniowo wycofywała się w niższe partie gór.

Po kilku minutach dotarł do centrum Jakuszyce, które były najwyżej położonym punktem na trasie linii kolejowej numer 311. W praktyce oznaczało to, że odjeżdżające stąd pociągi – czy to w stronę Tkaczy i Czech, czy to w stronę Szklarskiej Poręby i Jeleniej Góry – zawsze miały mocno z górki.

Gdy mężczyzna wjeżdżał na teren stacji kolejowej, jeden z bocznych torów zajmował już pociąg towarowy numer 6935 zwany potocznie przez kolejarzy „Kamyki”. Każdego poniedziałku, po załadowaniu urobku z izerskich kopalni kwarcu, „Kamyki” były wyprawiane do leżącej poniżej Jakuszyce stacji Szklarska Poręba Huta, gdzie zazwyczaj doczepiano jeszcze kilka wagonów. Stamtąd gotowy skład wyruszał w dalszą drogę na dół, w kierunku Jeleniej Góry.

Krzysztof Saneczka z niedowierzaniem zaczął przyglądać się pociągowi, po czym gwałtownie nacisnął hamulce roweru. Tylne koło zaczęło ślizgać się po błotnistym klepisku i chwilę później mężczyzna razem z pojazdem wylądował na ziemi. Stęknął, czując pulsujący ból w kolanie, zepchnął z siebie rower i uniósł się na rękach zdziwiony.

Tego dnia „Kamyki” wyglądały inaczej niż zwykle. Na pordzewiałych wagonach ktoś wymalował białą farbą napis. Nieco koślawe litery, ciągnące się przez większą część składu, układały się w dwa słowa: *Heil Wolf!*

– Ja pierdolę – syknął Saneczka wściekły. Wstał, podniósł rower i ostatnie kilkadziesiąt metrów dzielących go od nastawni pokonał pieszo.

*

Zbliżała się godzina odjazdu pociągu. Antek Skała, nieco ponaddwudziestoletni pomocnik maszynisty od dłuższego czasu był w lokomotywie, kontrolując sytuację w narożnikach skrzyni ogniowej. W kilku miejscach dołożył węgla, żeby był równo rozproszony na ruszcie, po czym odłożył łopatę i wytarł umorusane ręce we flanelową koszulę. Zajrzał do kieszeni spodni i drżącymi dłońmi wyjął zegarek, który podarowała mu w prezencie narzeczoną.

– Młody, co ty dzisiaj taki niespokojny? – Jego uszu doszedł śpiewny głos ze wschodnim akcentem. Do budki parowozu wsiadł maszynista Łukasz Dubański.

– Ja?

– Widzę przecież. Starego nie oszukasz... Coś nie tak z szanowną narzeczoną? – Spojrzał z troską na chłopaka, którego od początku ich współpracy darzył dużą sympatią. Nie tylko dlatego, że Antek był bardzo zdolny i sumienny. Głównym powodem było to, że młody mężczyzna przypominał staremu maszyniście jego własnego syna, który zginął w czasie wojny.

– A, nie, nie – zaprzeczył stanowczo Antek. – U Stasi wszystko w porządku...

– Coś z dzieckiem? – przerwał mu Dubański, wyraźnie zaniepokojony. Czekał na narodziny potomka chłopaka niemal z taką niecierpliwością, jakby miał to być jego własny wnuk.

– Dzięki Bogu nie. – Antek potarł ręką po zmarszczonym czole. – Wierzy pan Łukasz w przesady?

Maszynista zamyślił się, a na jego twarzy jeszcze bardziej uwidoczniła się siateczka zmarszczek.

– Czy ja wiem? Raczej nie... – odparł po chwili.

– Martwi mnie ten napis. To zły znak...

– Te bzdury wypisane na wagonach? – Maszynista zrobił wielkie oczy, po czym roześmiał się beztrosko – Młody! Ja myślałem, żeś się z wybranką swoją pokłócił albo co, a ty takimi rzeczami się zamartwiasz? Ot, jakieś szwabskie dzieciaki, co to ich matka nie upilnowała, wysmarowały coś farbą, a ten się przejmuje. Weźże lepiej

się czymś zajmij, to i złe myśli miną. Dolałeś wody do kotła? Pamiętaj, że temu parowozowi co rusz chce się pić. – Uśmiechnął się i z czułością pogłaskał maszynę.

– Dolałem – odparł Antek i dla pewności spojrzął na wodowskaz. – Wszystko w normie. Ciśnienie w kotle w pozycji roboczej.

– Dobrze. – Maszynista podrapał się po brodzie. – To weź ten węgiel z tyłu tendra^[3] przesunij na przód, co byś po drodze nie musiał latać z łopata tam i z powrotem.

– Się robi... – Antek westchnął i zabrał się do pracy. Po dłuższej chwili przerwał, oparł umięśnione ręce na łopacie i spojrzął na Łukasza. – A próba hamulca była?

– Aleś ty się zrobił porządny. – Maszynista uśmiechnął się po raz kolejny, po czym wyjął papierosa i zapalił. – Kierownik pociągu Kowalski pewnie robił.

– A gdzie on teraz jest? – zaciekawiał się Antek.

– Znając życie, to przysypia w brankardzie^[4]. Trochę mało rozmowny dzisiaj. – Łukasz powiódł ręką po szyi, dając do zrozumienia, że kierownik prawdopodobnie jeszcze nie wytrzeźwiał po wczorajszej popijawie.

– Czyli jak w każdy poniedziałek. – Antek pokiwał głową z dezaprobatą. – Całą drogę będzie urzędował w wagonie służbowym...

– Cóż... – Dubański zdjął charakterystyczną, nieco znoszoną kolejarską czapkę i podrapał się po czole. – Co zrobisz, jak nic nie zrobisz. Przyszło nam pracować z kim przyszło. Ale z hamulcami wszystko w porządku – uspokoił Antka, patrząc na wskazania manometrów, które informowały o ciśnieniu w przewodzie hamulca głównego zespolonego. – Co by o szwabach nie mówić... – splunął odruchowo – to zostawili nam tutaj po sobie kawał porządnej maszyny.

*

Krzysztof Saneczka, nie wiedząc, że od dłuższego czasu zarówno on, jak i cała stacja, są obserwowani przez trójkę chłopaków, zaparzył sobie herbatę. Wsypał do niej dużą ilość cukru i energicznie mieszając, podszedł do pulpitu. Sprawdzał, czy prawidłowo ustawił drogę dla „Kamyków”, po czym wyjął z kubka łyżeczkę i głośno siorbiąc, zaczął pić. Wygrzebał z torby przygotowane przez żonę ciastka i jadł łączywie jedno po drugim. W pewnym momencie zerknął na zegarek. Odstawił kubek i spojrzął na rząd dźwigni sygnałowych i rozjazdowych. Były niemieckiej konstrukcji i miały charakterystyczną budowę: wszystkie znajdowały się

niemal w pionie, a w celu nastawienia sygnału na semaforze należało je obrócić o sto osiemdziesiąt stopni prawie do ziemi. Saneczka wybrał odpowiednią dźwignię i przestawił ją z wyczuciem. Ta zaś wprawiała w ruch odpowiednią stalową linkę biegnącą z nastawni do semafora wyjazdowego przy torze, na którym oczekiwał pociąg towarowy numer 6935. W efekcie najwyższe ramię semafora uniosło się, zmieniając położenie ze „stój” na „droga wolna”.

Saneczka usłyszał przeciągłe jęknięcie gwizdka lokomotywy parowej, czyli sygnał „baczność”. Oznaczał on, że „Kamyki”, zgodnie z pokazanym przez niego semaforem, wyruszały w drogę na dół. Chwilę później uszu mężczyzny dobiegł krótki dźwięk przypominający konduktorski gwizdek i zaraz po nim następny. „Dziwne” – pomyślał, po czym narzucił na ramiona sztormiak i wyszedł przed budynek.

W tym samym czasie kilkadziesiąt metrów dalej, w lesie, długonogi Erik niezdarnie wspiął się na słup i przerwał przewód linii telefonicznej, a Klaus podbiegł do ruszającego pociągu, zwinnie wskoczył między lokomotywę a pierwszy wagon, chwycił za oba zawory i przestawił je do góry.

– Szerokiej drogi... – mruknął zadowolony Alexander, z ukrycia obserwując przez lornetkę poczynania chłopaków, po czym roześmiał się złowieszczo.

*

– Kurwa mać! – sapnął Dubański.

– Co się dzieje? – Antek natychmiast przestał przerzucać węgiel w tendrze i spojrzał na maszynistę.

– Coś jest nie tak... – wycedził starszy mężczyzna, przesuając powoli zawór hamulca zespolonego. Wajcha ta umożliwiała stopniowe spuszczenie ciśnienia w głównym przewodzie hamulcowym, co doprowadzało w efekcie do dociskania kół przez klocki hamulcowe we wszystkich wagonach. Dubański przesuwał wajchę kolejno przez pozycje trzy, cztery i pięć, ale pociąg wciąż przyspieszał. – Nie działa! – wrzasnął.

Antek natychmiast doskoczył do maszynisty, chwycił zawór i przesunął na ostatnią, szóstą pozycję, czyli „hamowanie awaryjne”. Jednakże skład towarowy nie zareagował. Wskazówka prędkości powoli i systematycznie przesuwała się ku wyższym wartościom.

*

Krzysztof Saneczka wyszedł przed budynek nastawni chwilę przed tym, jak w jego kierunku zaczął nadjeżdżać pociąg towarowy numer 6935. Rozejrzał się, ale nic nie wzbudziło jego zaniepokojenia. Nie zauważył nikogo, kto mógłby gwizdać. W pewnym momencie kątem oka dostrzegł głowę maszynisty, który wyglądał z budki nadjeżdżającego parowozu, energicznie machając ręką. Saneczka mu odmachał, lecz po chwili zorientował się, że nie wszystko jest w porządku, gdyż maszynista coś do niego wołał.

– Słucham?! – Saneczka próbował przekrzyczeć pomruk rozgrzanego parowozu i nabierających prędkości jedenastu wagonów.

– Hamulec, kurwa, nie działa! Główny nie działa! Tylko hamulec lokomotywy sprawny! – Przebiły się mrozące krew w żyłach słowa Łukasza Dubańskiego.

Nastawniczy zrozumiał powagę sytuacji i poczuł, jak oblewa go zimny pot. Właśnie mijał go pociąg towarowy o wadze niemal tysiąca ton, z czego ponad osiemset stanowiły załadowane wagony bez działających hamulców. Natomiast parowóz jako jedyne w składzie ze sprawnym hamulcem ważył zaledwie sto czterdzieści ton. Sto czterdzieści kontra osiemset... Przewaga była miażdżąca. Jeśli dołożyć do tego, że pociąg za chwilę wjedzie na jednotorową górską linię o stałym pochyleniu rzędu dwudziestu pięciu promili, można się było spodziewać tylko jednego – katastrofy.

Saneczka momentalnie otrząsnął się z szoku. Wiedział, że musi działać błyskawicznie.

– Hamujcie lokomotywą i przeciwparą – krzyknął do maszynisty i jego pomocnika, lecz nie był pewien, czy tamci jeszcze go słyszą. Zaraz potem wpadł do nastawni. Musiał czym prędzej skontaktować się z najbliższą stacją, Szklarską Porębą Hutą, gdzie pociąg powinien planowo zatrzymać się na bocznicy w celu dopięcia do niego jeszcze jednego wagonu. Złapał za telefon. W słuchawce panowała cisza.

– Cholera jasna, co się tutaj dzisiaj dzieje?! – wrzasnął spanikowany. „Kamyki” uciekały na dół, a on nie mógł poinformować kolejnych stacji o nadciągającym zagrożeniu. Gdy uświadomił sobie, że za kilka minut do Szklarskiej Poręby Górnej, stacji położonej zaledwie osiem i pół kilometra od Jakuszyca, wjedzie z przeciwnego kierunku pospieszny pociąg pasażerski, miał ochotę rozplakać się z bezsilności.

Próbował się łudzić, że osobowy nie będzie zbyt wypełniony ludźmi, ale zaraz przypomniał sobie o jutrzejszym Wyścigu Pokoju. A to mogło oznaczać tylko jedno – Szklarska Poręba Górna będzie przeładowana ludźmi nieświadomymi tego, że w ich kierunku pędzi bez kontroli skład ważący tysiąc ton. Czyli mniej więcej tyle, ile kilkadziesiąt czołgów.

Świadomość nadciągającej tragedii miały tylko trzy osoby: Saneczka, maszynista i jego pomocnik, którzy za pomocą przeciwpary i hamulca parowozu toczyli nierówną walkę z bezwzględną siłą grawitacji ściągającą pociąg na dół. Taką świadomość powinien mieć także kierownik pociągu, choć w jego przypadku było to wątpliwe.

Saneczka spojrział przez okno na pusty placyk przed nastawnią, odnosząc wrażenie, że wszystko wokół niego jest częścią innego, obcego świata. Tak jakby jego duch próbował nie uczestniczyć w dramacie, który właśnie zaczynał się rozgrywać. Trwał w tym stanie przez chwilę, gdy nagle jego wzrok padł na stojący na zewnątrz rower. Po raz drugi tego dnia momentalnie oprzytomniał, gdy zrozumiał, że może to być teraz jego jedyna szansa. Wybiegł przed budynek, czym prędzej wsiadł na rower i puścił się w dół wydeptaną przez zbieraczy jagód ścieżką, która biegła wzdłuż torów linii kolejowej numer 311. Pedalując z całych sił, dogonił ostatni wagon uciekającego składu jeszcze na granicy lasu. Od Szklarskiej Poręby Huty dzieliło go jakieś siedem kilometrów. Miał nadzieję, że dotrze tam przynajmniej kilkadziesiąt sekund przed pociągiem, który dopiero nabierał prędkości, a wówczas ze Szklarskiej Poręby Huty zawiadomi o śmiertelnym niebezpieczeństwie następną stację – Szklarską Porębę Górna.

Adrenalina we krwi Krzysztofa Saneczki osiągnęła poziom, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy podczas wielu lat pracy na kolei.

*

– Co za cwaniak! – syknął Alexander, obserwując przez lornetkę nastawniczego, który pędząc ścieżką wiodącą wzdłuż torów, wyprzedzał właśnie toczący się na razie dość spokojnie skład.

Chłopak spojrział na zegarek. Za kilka minut do Szklarskiej Poręby Górnej, stacji położonej jakieś osiem i pół kilometra od Jakuszyca, dotrze pociąg pasażerski z Wrocławia.

– Scheiße...^[5] Obyś się wypierdolił po drodze – zaczął złorzeczyć nastawniczemu Alexander, po czym splunął na ziemię. Wciąż był przekonany, że rozpaczliwe próby Krzysztofa Saneczki spełzną na niczym.

Stacja kolejowa Szklarska Poręba Huta, 3 maja 1947

Prędkość dopuszczalna pociągu towarowego = 30 km/h

Prędkość osiągnięta = 50 km/h

Hanka Suchodolska była jedyną kobietą pracującą przy sterowaniu ruchem na linii numer 311. Stąd też jej nastawnia odróżniała się od pozostałych. Stary, drewniany budynek z charakterystyczną snycerską dekoracją, którą pokrywała odłóżka tu i ówdzie farba, został przez nią przystrojony. Na wszystkich parapetach stały donice, w których każdej wiosny Hanka sadziła kwiaty. Placyku przed nastawnią strzegły kolorowe krasnale, które dostawała co roku w prezencie od kolegów z pracy, z życzliwym uśmiechem komentujących jej pełen bajkowych rzeźb ogródek. Nikt jednak nie odważyłby się na żadną złośliwość pod adresem jej zamiłowania do krasnali, gdyż znana z ciętego języka i siarczystych przekleństw kobieta cieszyła się wśród kolejarzy dużym szacunkiem. Wszyscy wiedzieli, że kolekcjonowanie pstrokatych figurek było jedną z jej pasji, obok robienia na drutach i pieczenia ciast, które zazwyczaj sama zjadała.

„Dziwne” – pomyślała kobieta, słysząc z daleka już po raz trzeci sygnał Rp 1, czyli „bacność”, nadawany przez nadjeżdżający pociąg numer 6935. Dlaczego maszynista uparcie szarpał za sznurek gwizdka, jakby to była jakaś zabawka? Odłożyła druty, na których w wolnych chwilach robiła tęczowy szalik, który miał stanowić dodatek do kupionego niedawno sweterka w kwiaty. Z ciężkim stęknieniem podniosła się z krzesła i wyszła przed budynek.

– Ta, pewnie, napieprzaj w ten gwizdek jeszcze bardziej – mruknęła sama do siebie, myśląc o narzekaniach zrzędlivych staruszków mieszkających w pobliżu stacji. Małżeństwo regularnie skarżyło się, że przejeżdżające pociągi i ich gwizdki uprzykrzają im życie. Tak jakby Hanka miała na to jakiś wpływ.

Nagle zobaczyła nadjeżdżającego z góry w jej kierunku z dużą prędkością mężczyznę na rowerze.

– Krzysiek? – krzyknęła, machając mu. – A gdzie ty tak zapierdalasz na tym rowerze? Ktoś inny dzisiaj na posterunku?

– „Kamyki” uciekają! – wrzasnął mężczyzna, gwałtownie hamując tuż przed nią. – Zdążyłem wyprzedzić pociąg, zaraz tu będą! Nie działa im hamulec główny, u mnie nie działa telefon, nie wiem, co się dzieje...! – Spanikowany wyrzucał z siebie słowa, czując, jak pulsują mu skronie.

Hanka zrobiła wielkie oczy, momentalnie odwróciła się na pięcie, rzucając pod nosem jakieś osobliwe przekleństwo, i wpadła do nastawni.

– Ustaw zwrotnice na przelot – wydała polecenie Saneczce, który pobiegł tuż za nią. – Ja dzwonię do Szklarskiej Górnej! – dodała, łapiąc za słuchawkę. – Że też, kurwa, nie mamy tu toru do wykolejania... Halo? Szklarska Górna? Tu nastawnia Huta. Proszę natychmiast ściągać pasażerski z toru numer 3 i wstrzymać wszystkie manewry na stacji. Ucieka nam towarówka z Jakuszyca, bez hamulców... Tak, kurwa. Chyba mówię wyraźnie... Co? Pospieszny opóźniony...? Dzięki Bogu! – wrzasnęła roztrzęsiona Hanka. – Naprawdę!? Jest dopiero w Szklarskiej Dolnej? Błogosławcie pieprzoną kolej polską... – Westchnęła ciężko, a z jej oczu popłynęły łzy. Uczucie ulgi po pierwszej informacji minęło jednak szybciej, niż się pojawiło. Poza uratowaniem pasażerskiego trzeba było jeszcze przecieżyć zatrzymać towarowy, a to nie było proste.

– Jest szansa, żeby wykoleić u was „Kamyki”? – zapytała, choć przewidywała, jaka będzie odpowiedź. Szklarska Poręba Górna była stacją położoną na skalnej półce, tak że górowała nad całym miasteczkiem. Tory i ciasne perony z jednej strony ograniczał majestatyczny pruski budynek dworca, z drugiej zaś skalna ściana. Wykolejenie tam pociągu, zważywszy na położenie stacji, a także liczbę kręcących się w jej pobliżu ludzi, było dość ryzykowne.

– Rozumiem... – odpowiedziała po usłyszeniu serii przekleństw nastawniczego ze Szklarskiej Górnej, który dobitnie opisał jej, jak wygląda lokalizacja jego stacji, i przypomniał, jak skończyła się próba wykolejania u niego uciekającego składu rok wcześniej. – W takim razie dzwonię do Szklarskiej Średniej, żeby wycofali pasażerski na bocznice, a wy dzwońcie do Jeleniej Góry, żeby zamknęli wszystkie szlabany na trasie. Jeśli pociąg przetoczy się szczęśliwie przez wszystkie zakręty i dotrze do Piechowic, to potem ma już przed sobą tylko długą prostą. Powinien wyhamować za dwadzieścia parę kilometrów, przed Jelenią Górą...

W tym momencie jej słowa zlały się z potężnym łoskotem przetaczającego się przez stację składu, którego prędkość już niemal dwukrotnie przekraczała dozwoloną na linii kolejowej numer 311.

Stacja kolejowa Szklarska Poręba Górna, 3 maja 1947

Prędkość dopuszczalna pociągu towarowego = 30 km/h

Prędkość osiągnięta = 70 km/h

– Zadzwońm do nastawni głównej w Jeleniej Górze, wszystkie przejazdy na linii 311 zaraz będą czyste. Zwrotnice ustawione na przelot – poinformował przełożonego młodszy nastawniczy.

– Dobrze. Daj semafor „droga wolna” – rozkazał mężczyzna, czując, że w obecnej sytuacji jest to tylko zakrawające na ironię dopełnienie reguł. Wszak gnający z zawrotną prędkością pociąg bez hamulców raczej nie zareaguje na żadne semafony. – To wszystko, co możemy zrobić dla tych nieszczęśników z „Kamyków”...

– Pan nie wierzy w to, że się uda? – zapytał młodszy nastawniczy, luzując ciasno zapięty kołnierzyk koszuli.

– Zbyt dobrze znam tę linię, żeby wierzyć w cuda. Przecież tu jest bez przerwy z górki przez ponad dwadzieścia kilometrów... Jeśli w Szklarskiej Porębie Dolnej nie spróbują rozerwać pociągu, wylecą z szyn przed Piechowicami – odparł przygnębionym głosem mężczyzna, po czym podszedł do mikrofonu i powiedział: – Drodzy pasażerowie... – Jego łamiący się głos wypełnił całą stację. Szum rozmów zgromadzonych na peronach ludzi nie osłabł. – Nadaję komunikat. Proszę wszystkich o natychmiastowe opuszczenie peronu pierwszego. – Po tych słowach wyjrzał przez okno nastawni. Gwar na stacji nie ustawał, ludzie wciąż okupowali peron.

– Kurwa mać! – wrzasnął. Przez zgromadzony na dworcu tłum przeszedł szmer zdziwienia. W tym momencie nastawniczy zorientował się, że jego mikrofon jest nadal włączony, i odruchowo jeszcze raz rzucił przekleństwem, co również przekazały głośniki. Dopiero teraz ludzie zaczęli się nawzajem uciszać, nasłuchując dalszego ciągu informacji. Mężczyzna chrząknął i kontynuował: – Proszę opuścić peron pierwszy. Osoby z peronu drugiego mają przejść na peron trzeci. Proszę

potraktować komunikat z najwyższą powagą. Za chwilę przez stację przejedzie z bardzo dużą prędkością pociąg towarowy, nad którym nie mamy pełnej kontroli.

Zanim młodszy nastawniczy dał semaforem sygnał „droga wolna”, żelazne monstrum wyskoczyło zza zakrętu i już po sekundzie pędziło przez stację, budząc grozę wśród tych, którzy nie zdążyli opuścić peronów. Parowóz nieustannie gwizdał, a potworny huk rozpędzonych wagonów zagłuszył wszelkie inne odgłosy.

Stacja kolejowa Szklarska Poręba Średnia, 3 maja 1947

Prędkość dopuszczalna pociągu towarowego = 30 km/h

Prędkość osiągnięta = 80 km/h

- Szklarska Średnia – mruknął nastawniczy, odbierając telefon.
 - Gdzie jest pospieszny? – Usłyszał w słuchawce podniesiony głos Hanksi Suchodolskiej.
 - Z Warszawy?
 - Nie, kurwa, z Moskwy.
 - No, no... – odparł przeciągle mężczyzna, zastanawiając się nad złośliwą odpowiedzią albo przynajmniej pouczeniem koleżanki o podstawowych zasadach kultury. Był chyba jedyną osobą pracującą przy linii 311, która nie znosiła Hanksi Suchodolskiej. Słownictwo, jakim się posługiwała, budziło w nim odrazę. Próbował kiedyś pouczyć ją, że kobiecie nie wypada tak mówić. Wychowawcze zabiegi skończyły się jednak dla niego dość dramatycznie. Teraz przypominał sobie finał tamtej rozmowy. Ponieważ żadna błyskotliwa riposta nie przychodziło mu do głowy, postanowił darować sobie dalsze potyczki z wyraźnie poirytowaną kobietą. – Ten z Warszawy to spóźniony trochę. Dopiero za chwilę wyruszy od nas.
 - Sprowadzić na bocznice – poleciła chłodno Suchodolska. Szczerze nie cierpiała flegmatycznego nastawniczego ze Szklarskiej Średniej.
 - Może u was, koleżanko, już nie ma mgły, ale u nas wciąż biało – odparł mężczyzna, siląc się na neutralny ton głosu. Tak naprawdę był jednak mocno poirytowany, że Suchodolska wydaje mu polecenia. – Żeby pociąg zjechał na bocznice, musiałby się cofnąć, a przepisy dotyczące ruchu kolejowego, jak zapewne

koleżanka wie, zabraniają cofania pociągu w takich warunkach. Dokładniej mówi o tym instrukcja numer...

– Masz w-y-c-o-f-a-ć pociąg! – przerwała mu kobieta, wymawiając dobitnie każdą literę. Większość rozmów z tym mężczyzną doprowadzała ją do szewskiej pasji. – Natychmiast! Gówno mnie obchodzą przepisy, 6935 „Kamyki” stacza się z góry bez kontroli i jak mnie nie posłuchasz, to zaraz będziesz miał takie wykurwiste bum na stacji, że z twojej jebanej nastawni nic nie zostanie, rozumiesz!?

– Rozumiem – wydusił z siebie mężczyzna i zabrał się do wykonania polecenia kierującej ruchem ze Szklarskiej Poręby Huty.

Stacja kolejowa Szklarska Poręba Dolna, 3 maja 1947

Prędkość dopuszczalna pociągu towarowego = 30 km/h

Prędkość osiągnięta = 90 km/h

Nastawniczy odłożył słuchawkę telefonu. To były jego pierwsze miesiące mieszkania w Szklarskiej Porębie – uroczym, ponemieckim kurorcie, zawieszonym wysoko pomiędzy głównym grzbieciem Karkonoszy a Górami Izerskimi. Jednocześnie były to jego pierwsze miesiące służby na kolei. Przez ten krótki czas zdążył uznać swoją pracę za bardzo spokojną, wręcz monotonna. Taka wydawała mu się aż do dzisiejszego poranka. Wszystko zmienił odebrany przed chwilą telefon. Wizja nadjeżdżającego bez kontroli pociągu towarowego przerażała go. Oddychał ciężko, patrząc na ławę nastawniczą i liczne dźwignie zmieniające położenie rozjazdów i semaforów. Gorączkowo zastanawiał się, co powinien zrobić. W teorii znał mechanizm rozrywania pociągu. W momencie przejeżdżania składu przez rozjazd, gdy brankard znajdzie się już za nim, trzeba przełożyć zwrotnicę. To sprawiało, że dalsza część pociągu zaczynała jechać po innym torze niż lokomotywa. W efekcie nagłej jazdy dwutorowej dochodziło do rozerwania sprzęgów śrubowych między wagonami, a wraz z tym do przerwania przewodu głównego hamulca. Wysokie ciśnienie w rurze spadało wtedy w mgnieniu oka do wartości ciśnienia atmosferycznego i we wszystkich wagonach uruchamiał się hamulec.

Istniały jednak trzy problemy: po pierwsze, nastawniczy znał ten manewr tylko z teorii, po drugie, nastawnia Szklarska Poręba Dolna była położona na początku

długiego łuku torów. Rozjazd natomiast znajdował się na jego drugim końcu, tak że nawet przy normalnej widoczności mężczyzna ledwo mógł się go dopatrzeć. Trzecim, najpoważniejszym problemem było to, że tego dnia na stacji zalegała gęsta mgła, więc z nastawni nie mógł dostrzec rozjazdu. Obserwacja zwrotnicy była natomiast niezbędna, żeby precyzyjnie określić moment, w którym należało zmienić jej położenie, aby rozerwać pociąg.

W pewnej chwili mężczyzna usłyszał przeraźliwy, narastający łoskot. Wyrzwał w kierunku, z którego dochodził hałas. Ponura mgła uniemożliwiała jednak dostrzeżenie czegokolwiek w promieniu dłuższym niż pięćdziesiąt metrów. Symfonia metalicznych dźwięków i towarzyszący im złowieszczy szum stawały się coraz głośniejsze. Nastawniczy miał wrażenie, że jazgot wwierca się w jego uszy, odbija od sklepienia czaszki, po czym błądzi po głowie, wywołując nieprzyjemne dreszcze. Przeraźliwy pisk gwizdka był tak ostry, że zdawał się ciąć powietrze. Nagle dyszący parą pociąg 6935 wyłonił się z mgły. Na przodzie składu pędziła potężna ponemiecka lokomotywa Ty2-877, zwana *Kriegslokomotive*^[6], gdyż została zaprojektowana w Trzeciej Rzeszy na potrzeby obsługi zdobytych na wschodzie linii kolejowych. Był to parowóz towarowy długi na prawie dwadzieścia trzy metry, wysoki na przeszło cztery, którego masa służbowa wynosiła ponad sto czterdzieści ton. Mimo że posiadał już znaki firmowe Polskich Kolei Państwowych, nadal budził grozę jako niemiecka lokomotywa wojenna.

Zaraz za nim ukazało się jedenaście załadowanych urobkiem wagonów, których pędowi bezskutecznie próbowało się przeciwstawić dymiące monstrum. Ciężar pędzącego składu sprawił, że podłoga w nastawni zaczęła wibrować. Nastawniczy miał wrażenie, że drzenie obejmuje stopniowo także jego ciało i znajdujące się w nastawni co pomniejsze przedmioty. Szklanka z kawą powoli przesuwała się po nieco krzywym stoliku, wprawiona w ruch przez gnające „Kamyki”. Mężczyzna wciąż trwał w bezruchu, gdy przed oczami zaczęły przelatywać mu z olbrzymią prędkością wagony z wymalowanym hasłem *Heil Wolf!* Gdyby jeszcze *Kriegslokomotive* opatrzyć swastyką zamiast wymalowanego z boku znaku PKP, byłby w stanie uwierzyć, że przeniósł się w czasie o kilka lat wstecz ze Szklarskiej Poręby do Schreiberhau. Nim się zorientował, skład zaczął wchodzić w zakręt. Szklanka z kawą upadła na ziemię, roztrzaskując się na drobne kawałki. Nastawniczy odczekał kilka sekund, oszacował, w którym miejscu może znajdować się teraz lokomotywa, i podszedł do wajchy rozjazdu, czując pod butami chrzęst szkła.

– Teraz albo nigdy – szepnął, zamykając oczy. Przeciągnął dźwignię do oporu. Trwał jeszcze chwilę w bezruchu, czekając na huk rozrywanego i wykolejającego się pociągu. Zamiast tego do jego uszu dochodził nieustanny szum, który powoli zaczynał słabnąć. Wybiegł przed budynek i zaczął wpatrywać się w mgłę. W pewnym momencie dostrzegł ledwo widoczne oddalające się czerwone światła ostatniego wagonu. Najwidoczniej przełożył zwrotnicę zbyt późno. Nazistowski demon pędził dalej.

Linia kolejowa nr 311, pociąg towarowy 6935 „Kamyki”, 3 maja 1947

– To się nie uda – powiedział zrezygnowany Dubański. – Jeśli mieli nas gdzieś wykolejać, to w Szklarskiej Dolnej. A tu nic... Z drugiej strony trudno się dziwić, przy tej pieprzonej mgle... – Zacisnął z całej siły zęby. Jego oczy robiły się coraz bardziej szkliste.

Do tej pory maszynista próbował zachowywać przynajmniej pozory opanowania i ukrywał przed Antkiem strach. Wiedział, że jeśli go okaże, chłopak razem z nim natychmiast wpadnie w panikę. Kiedy jednak minęli Szklarską Porębę Dolną, stracił resztki nadziei. Jechali dopiero kilkanaście minut, a on miał wrażenie, że minęła już cała wieczność.

– Mamy już ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę... To nie tylko więcej niż dopuszczalne ograniczenie na linii, ale też więcej niż zakłada prędkość konstrukcyjna tej maszyny, a do Piechowic, do końca tego najgorszego odcinka, jeszcze prawie dziesięć kilometrów... Trzeba było wyskoczyć z pociągu, jak ci kazałem! – warknął maszynista, wściekły z bezsilności. – Jesteś młody, masz życie przed sobą, narzeczona, dziecko do wychowania... – Urwał i rozplakał się na dobre.

– Jakby pan skoczył ze mną, to tak. Ale samego pana Łukasza nie zostawię – odparł Antek, kładąc dłoń na ramieniu maszynisty. Zacisnął palce na jego kościstym barku, wbijając twardy wzrok w zmartwione oczy starego mężczyzny.

– Honor kolejarza mi na to nie pozwala. Nie zostawia się pociągu bez maszynisty...

– Mnie także honor na to nie pozwala – odparł Antek. – Przejechaliśmy prawie dwadzieścia kilometrów, przejeździemy i kolejnych dziesięć. Przy tej prędkości to

jeszcze jakieś pięć minut. Jeśli skład to przetrzyma, przeżyjemy – skonkludował chłopak, spoglądając na zegarek od narzeczonej. Miał nadzieję, że wróci dzisiaj do niej, do domu. Jak co dzień.

Żelazne koła piszczały niemiłosiernie, trąc o szyny na ostrym zakręcie. Zaraz potem skład wtoczył się do tunelu pod Wysokim Grzbietem, a pęd powietrza wpadającego do środka pociągu sprawił, że mężczyznom aż zatkało uszy.

Stacja kolejowa Piechowice, 3 maja 1947

Prędkość dopuszczalna pociągu towarowego = 40 km/h

Prędkość osiągnięta = 110 km/h

Aniela Pieróg dotarła do przejazdu kolejowego przy ulicy Cmentarnej tuż po zamknięciu szlabanu.

– No, świetnie! – syknęła z wściekłością.

Zmierzała właśnie do piechowickiej huty szkła kryształowego na drugą zmianę i była już spóźniona do pracy pięć minut. Złośliwość przejazdu przy Cmentarnej nie znała jednak granic i praktycznie zawsze, kiedy gdzieś się spieszyła, szlabany zamykały się tuż przed jej nosem. Gdyby ktoś jej powiedział, że dyżurny ruchu robi to celowo, widząc Anielę spieszącą się do pracy, byłaby w stanie w to uwierzyć.

Czekała już blisko pięć minut, jednak żaden pociąg – ani z Jeleniej Góry, ani ze Szklarskiej Poręby – nie nadjechał. Nerwowo przebierając nogami w miejscu, popatrzyła z wściekłością w kierunku nastawni. Była już niemal zdecydowana prześlizgnąć się pod szlabanem i przebiec po torach. Po drodze może jeszcze zegnąć rękę w łokciu i wystawi pięść w kierunku nastawniczego. A potem pozostanie jej już tylko kilka minut truchtem do huty. Przeberze się w ekspresowym tempie i wpadnie do szlifierni kryształów spóźniona mniej niż pół godziny. Już szykowała się do zrealizowania swojego planu, gdy zorientowała się, że obsługa nastawni wychodzi przed budynek. „No pewnie, szlabany zamknęli, to jeszcze papierosek” – pomyślała w pierwszej chwili. Szybko jednak zorientowała się, że dzieje się tu coś dziwnego.

Kolejarze, którzy wyszli z budynku, stali jak zamurowani, patrząc się w kierunku Szklarskiej Poręby, jakby na coś czekali.

Kobieta machinalnie spojrzała w tym samym kierunku, lecz nie zauważyła niczego szczególnego. Znowu popatrzyła na przejazd i na swój zegarek. Schyliła się, żeby przejść pod szlabanem, gdy silny podmuch wiatru z południa uderzył ją w twarz, jakby natura próbowała ją zatrzymać. Już miała machnąć na to ręką, gdy usłyszała nienaturalnie brzmiący hałas. Niespodziewanie na ostatnim zakręcie, jaki pokonywały pociągi przed stacją Piechowice, ukazał się skład towarowy. „Wreszcie” – pomyślała Aniela. Jeszcze raz spojrzała na pociąg i zdziwiła się, że jedzie z tak dużą prędkością, zwłaszcza że wchodził na wysokim nasypie w stoosiemdziesięciostopniowy zakręt. Jednak coś jeszcze zwróciło jej uwagę. Poza hukiem pędzącego składu i skrzeczącym jękiem tarcia kół o szyny na ostrym zakręcie brakowało jej jednego odgłosu – pisku hamulców. Gdy chwilę później pchana siłą odśrodkową lokomotywa z kakofonicznym dźwiękiem ukazała się zza zakrętu, przez ułamek sekundy jadąc na jednym kole każdej ze swoich sześciu osi, Aniela wstrzymała oddech.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Remont schroniska powoli zmierzał ku końcowi. Jakub Karwacki, zmęczony po całym dniu pracy, poczłapał do swojego pokoju na drugim piętrze, gdzie zakwaterowano na czas robót całą ekipę budowlańców. Zgodnie ze swoim zwyczajem na zakończenie dnia pracy zamierzał zapalić. Wszedł do pokoju po zapalniczkę i papierosy. Spojrzał w okno. O szybę nieustannie uderzały ciężkie krople deszczu. Na myśl o wyjściu przed budynek w taką ulewę Karwackiego przeszedł dreszcz. Kulenie się pod ścianą zabierało całą przyjemność z palenia. Ostatecznie podszedł do okna i otworzył je na oścież. Pokój wypełniły ciche poświstywanie przeciągu.

– A, walić to – mruknął, wkładając papierosa do ust. Usiadł na parapecie i zaciągnął się dymem. Po raz kolejny w tym tygodniu podziwiał krajobraz Przełęczy Karkonoskiej i rysującego się za nią charakterystycznego szczytu Wielkiego Szyszaka, który powoli wyłaniał się zza schodzącej w doliny gęstej mgły. Widok zapierał dech w piersiach, i to niezależnie, czy skąpany w słońcu, czy w deszczu i mgle.

Karwacki czuł się tu dość obco – ostatni raz w górach był z wycieczką klasową jeszcze w podstawówce, i niewiele z niej pamiętał. Przez pierwsze chwile pobytu w Odrodzeniu ze zdziwieniem przyglądał się ludziom, którzy objuczeni plecakami przemierzali we wszystkich możliwych kierunkach widoczne ze schroniska szlaki. Z każdym kolejnym dniem wydawało mu się to jednak coraz ciekawsze zajęcie i obiecał sobie, że podczas przyszłorocznego urlopu też wybierze się na taką wyprawę.

Nagle usłyszał jakiś hałas dochodzący z uchylonego okna kuchni, która znajdowała się piętro niżej, bezpośrednio pod jego pokojem. „Ci to mają ciężkie życie” – pomyślał o obsłudze schroniska, która pracowała tu i mieszkała przez cały rok. Góry wywoływały u niego westchnienia zachwyty, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jak można wytrzymać tu przez tak długi czas. Bez sklepów? Bez rozrywki...?

Jego rozważania o życiu w górach przerwał nagle krzyk kucharki. Karwacki się uśmiechnął. Już pierwszego dnia remontu, w miniony poniedziałek, zdążył się zorientować, że była to kobieta o olbrzymim temperamencie. Któregoś razu obserwował przez chwilę jej spór z panem Wiesławem, dozorcą, o kwestie światopoglądowe. Doszedł wtedy do wniosku, że dawno nie spotkał bardziej bezkompromisowej kobiety. Teraz jednak kucharka przechodziła samą siebie. Z kuchni dochodziły jej dzikie wrzaski i brzęk garnków, które najwidoczniej latały po pomieszczeniu.

– Oho, chyba doszło do rękoczynów... A może to zastępuje im rozrywkę? – zapytał sam siebie, śmiejąc się i krztusząc papierosowym dymem. Był ciekawy, kto tym razem jest obiektem wściekłości kobiety.

Nagle usłyszał huk. Karwacki nie był pewny, co stanowiło jego źródło, ale dźwięk brzmiał jak wystrzał z broni. Zaraz po nim ustał dochodzący z kuchni hałas. Mężczyzna wyjął papierosa z ust, wsłuchując się w niespodziewaną ciszę. Chwilę później przerwało ją rozpaczliwe wołanie kucharki o pomoc. Z jej wrzasku wyłowił tylko słowa „pożar” i „morderca”. Ciarki przeszły mu po plecach. Błyskawicznie zgasił papierosa i pobiegł na dół.

CZĘŚĆ III

WŁAMANIE

Schronisko Odrodzenie, 9 września 2006

Justyna Skąła weszła do świecącej pustkami jadalni. Po południu opuścili ją ostatni turyści, a schronisko zostało zamknięte z powodu rozpoczynającego się w poniedziałek remontu. Odrodzenie miało wreszcie doczekać się nowego pieca i na obu piętrach eleganckich łazienek dla turystów.

Obszerne pomieszczenie, zapewne ze względu na brak ludzi i charakterystycznego dla tego miejsca gwaru rozmów, wydawało jej się dziwnie obce. Tylko w części jadalni paliły się żyrandole, sprawiając, że reszta tonęła w mroku.

Justyna podeszła do okna i zrezygnowana oparła ręce na parapecie. Słońce prawdopodobnie schowało się już za górami. Trudno było jednak stwierdzić to z całkowitą pewnością, gdyż od dwóch dni Przełęcz Karkonoską zasnuwała kurtyna mgły, uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek w promieniu większym niż kilkadziesiąt metrów. Kilka godzin temu zaczął też padać deszcz, jeszcze bardziej pogłębiając ponurą aurę. Pogoda idealnie wpisywała się w nastrój dziewczyny.

– O, kierowniczką będzie miała gości. – Usłyszała za sobą głos pana Wiesia, dozorca schroniska i złotej rączki. Drgnęła przestraszona i odwróciła się gwałtownie. Mężczyzna wyłonił się z cienia.

– Och, przepraszam. Nie zauważyłam, że pan wszedł...

– Zostaliśmy tylko we dwójkę... – Dozorca westchnął. – Też czuje się pani nieswojo, jak w schronisku tak pusto?

– Trochę... – odparła, bawiąc się złotym wisiorkiem, który zakładała na szczególne okazje.

– Ostatni raz tak pusto było tutaj przy poprzednim remoncie, paręnaście lat temu... Pani Justyna była wtedy jeszcze dzieckiem. – Wiesiu się zaśmiał. – Kto dzisiaj

przychodzi? – zapytał, wskazując na stół zastawiony smakołykami przygotowanymi przez szefową kuchni schroniska, Renatę Marszałkową.

– A, to z okazji urodzin. Zaprosiłam Martę z chłopakiem na kolację.

– Z tym Rajczakowskim ze Śnieżnych Kotłów? – dopytywał się dozorca, mrużąc oczy.

– Tak.

– To bardzo sympatyczny facet. Rozgarnięty i... – Wiesiu nie mógł znaleźć właściwego słowa.

– Trudno nie przyznać panu racji – odparła.

– W sumie to ja po co innego przyszedłem. Chciałem zapytać, jakie plany ma kierowniczka na najbliższe dni.

– Cóż, tak jak panu mówiłam. Właściciel dał mi kilka dni urlopu... Jadę jutro do matki do Jeleniej Góry, wrócę pewnie około wtorku, o ile wytrzymam z nią do tego czasu – skwitowała Justyna z ironią. – Da pan sobie radę ze wszystkim? Szef ekipy remontowej był tu kilka dni temu, wszystko mu pokazałam. Wiedzą, co robić, a w razie czego mają dzwonić do właściciela.

– Pewnie... – odparł. – To kto dzisiaj przychodzi? Pani Marta z panem Maksem... A pana Łukasza nie będzie. – Bardziej stwierdził, niż zapytał. Justyna spojrzała na niego z poirytowaniem. Wiesiu zawsze był wścibski i zazwyczaj jej to nie przeszkadzało, dopóki nie poruszał drażliwych tematów.

– Łukasz już nie będzie nas odwiedzał. Powtarzam to od miesiąca – odparła chłodno.

– No wiem, ja tak tylko... – zaczął się tłumaczyć. – A w ogóle to słyszałem, że nie układa mu się z tą flądą. – Próbował pocieszyć Justynę. Przez tyle lat pracy w schronisku nigdy nie widział, żeby ta uśmiechnięta i dowcipna kobieta tak często chodziła przygaszona i smutna. Aż serce mu się krajało, gdy na nią patrzył.

– Nie interesują mnie Łukasz i Monia – wycedziła, przygryzając wargi. Powstrzymywała się od płaczu. Boże, czemu ona, twarda baba, jak jej się dotychczas wydawało, przy choćby wspomnieniu o romansie jej byłego chłopaka z również była recepcjonistką od razu robiła się taka drażliwa?

– No tak, to już nieważne. Było, minęło, prawda? To ja... Nie przeszkadzam już kierownicze. – Wiesiu machnął ręką i skierował się do wyjścia. – Pięknie pani wygląda – dodał nieśmiało, stojąc już w drzwiach.

– Bardzo dziękuję. – Justyna uśmiechnęła się, po czym z powrotem odwróciła się w stronę okna.

Dozorca przywołał imię, które od kilku tygodni próbowała wymazać z pamięci. Jak na razie bezskutecznie. „Zrozum, ja muszę jeszcze trochę się wyszaleć”. – Za każdym razem, gdy przypominała sobie usłyszane ponad miesiąc temu słowa, targały nią skrajne emocje. Z jednej strony była wściekła na Łukasza, że dała mu się tak omamić, z drugiej zaś czuła żal, że jej uczucie nie zostało odwzajemnione. I wreszcie, dokuczało jej poczucie zażenowania sobą i swoją naiwnością. Bo chyba każdy głupi, poza nią oczywiście, zorientowałby się, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Jak sobie pomyśli jeszcze o Moni! Dobrze, że po tym wszystkim sama się zwolniła. Justyna nie miałaby siły, żeby ją codziennie spotykać. „Chyba powinnaś cieszyć się naszym szczęściem, a nie patrzeć tylko na czubek własnego nosa?” – wypaliła do niej na pożegnanie nowa dziewczyna Łukasza.

Otrząsając się z nieprzyjemnych myśli, spojrzała na stół. Brakowało jeszcze jej ulubionego przysmaku – sałatki jarzynowej. Nikt inny na świecie nie potrafił jej przyrządzić tak pysznie jak Marszałkowa. Justynie przeszło przez myśl, że przygotowana przez kucharkę sałatka to jedna z niewielu miłych rzeczy, jakie dzisiaj ją spotykają. Na wspomnienie jedzenia uśmiechnęła się i poszła do kuchni wyjąć miskę z lodówki. Postawiła ją na środku stołu, po czym zaczęła zapalać świece, gdy usłyszała dochodzące z korytarza kroki.

– Kto ma dzisiaj urodziny!?! – Marta z radosnym okrzykiem wpadła do jadalni. Zaraz za nią wszedł Maksymilian, niosąc dwie butelki szampana i kolorowy pakunek.

– Dama Brusle! Maks! Witam moich milusińskich. – Uśmiechnęła się, odgarniając blond włosy z czoła.

– Wszystkiego najlepszego, kochana. – Marta przytuliła ją z całej siły.

– To dla ciebie. – Maks podał jej torebkę. – Jakby co, pretensje kieruj do niej. – Wskazał głową na swoją dziewczynę. – To ona wpadła na ten pomysł.

Justyna z ciekawością zajrzała do środka.

– Peleryna przeciwdeszczowa? – Zaśmiała się, wyciągając zielony materiał z torebki.

– Kochana, nie byle jaka. W sam raz dla świeżo upieczonej trzydziestolatki. – Marta szturchnęła ją w bok.

– Przestań! Do poniedziałku mam jeszcze dwadzieścia dziewięć – sprostowała Justyna.

– Dobra, dobra. Trzydziestka na karku. W każdym razie pelerynka uszyta na zamówienie przez tę moją znajomą krawcową, Ankę. Pamiętasz? Ona robi takie piękne rzeczy. Spójrz. – Wyjęła ubranie z ręki dziewczyny. – Stylowe wykończenie, piękny materiał i... Uwaga, masz tu z lewej wyszytego... Liczyrzepę!

– Rzeczywiście. – Justyna wcześniej nie zauważyła tego szczegółu. – Uroczy... – powiedziała, gładząc kolorowy haft. Kto jak kto, ale Marta najlepiej wiedziała, że Justyna była wielką fanką legendarnego Liczyrzepy, Ducha Gór.

– Nikt inny nie będzie miał takiej – wtrącił się Maksymilian, widząc, że prezent przypadł solenizantce do gustu.

– Bardzo wam dziękuję. – Justyna włożyła pelerynę i obróciła się wkoło. Zaraz też wskazała na sownicie zastawiony stół. – Siadajcie, Marszałkowa na wieść o urodzinach jak zawsze oszalała i zrobiła jedzenia jak dla całej armii.

– Phi, co to dla nas! – prychnęła Marta. – Damy radę.

– Jakbym mógł, to podkupiłbym od ciebie Marszałkową – zażartował Maks.

– Spróbuj tylko, a ty i Śnieżne Kotły marnie skończycie. – Justyna pogroziła mu palcem. – Odrodzenie nigdy na to nie pozwoli.

– Co będziesz robić na urlopie? – spytała Marta.

Justyna wzruszyła ramionami.

– Szczerze? Nic ciekawego. Zresztą to nie jakiś wielki urlop, ledwo tydzień. Miałam jechać nad morze z Łukaszem, ale... Sami wiecie. – Spojrzała na parę, zastanawiając się, czy w ich oczach nie wygląda na ofiarę losu. Trzydziestka na karku, jak to jej przed chwilą uświadomiła Marta, a ona dalej sama. Niezależnie jednak od tego, co Maks i Marta sobie myśleli, Justyna czuła wdzięczność wobec koleżanki, że po jej rozstaniu nie powiedziała ani razu: „A nie mówiłam?”.

Kiedy Justyna zaczęła się spotykać z Łukaszem, Marta nieraz ją ostrzegała. Mężczyzna, tak jak koleżanka Justyny, pracował jako przewodnik sudecki i kobieta słyszała o jego szybkich podbojach podczas prowadzonych przez niego wypraw na kilkudniowe trasy w Karkonosze. Gdy wśród uczestników znalazła się jakaś ładna i samotna dziewczyna, niemal zawsze lądowała w łóżku pana przewodnika. „A co innego mają robić? Telewizji nie ma, wieczory długie, w pokojach zimno, bo schronisko latem nieogrzewane... Pan przewodnik musi zorganizować jakieś

atrakcje!” – Marta ze śmiechem opowiadała jej czasem o Łukaszu. Do czasu, kiedy okazało się, że przystojny i pewny siebie mężczyzna zaczął mieszać w głowie także kierownicze Odrodzenia. Wtedy Marta natychmiast próbowała wybić Justynie z głowy związek z przewodnikiem. Jednakże zaślepiona bez reszty kobieta nie chciała słuchać żadnych rad i pół roku później przyszło jej za to słono zapłacić.

– A twój brat? – spytała Marta, wyrywając Justynę z zamyślenia.

– Dawid? Wybrał się gdzieś nad jezioro ze znajomymi z uczelni... On chyba dalej myśli, że jadę z Łukaszem nad morze.

Marta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Oj, nie było okazji dłużej porozmawiać, on całe wakacje w rozjazdach. Zresztą, nie będę mu zawracać głowy swoimi głupimi problemami – zaczęła się tłumaczyć. – Podsumowując: nie zostało mi nic innego, jak pojechać na te parę dni do matki. Nie wiem tylko, jak ja ją zniosę przez tyle czasu.

– Dlaczego? – zapytał Maksymilian zaciekawiony.

– Hm... Moja matka, jakby to najprościej ująć... Bywa bardzo irytująca. I sfrustrowana. Obecnie jej życiowym celem jest wreszcie mnie z kimś wyswatać. To jedyny temat, na który chce ze mną rozmawiać. Jak tylko się dowiedziała, że spotykam się z Łukaszem...

– Z tym palantem. – Marta weszła jej w słowo.

– Z tym palantem – poprawiła się Justyna. – To zaraz potem przyznała mi się, że kupiła już z tej okazji złoto do przetopienia na obrączki. Kiedy ja byłam z nim zaledwie od miesiąca! Opętało ją do reszty... Jak sobie przypomnę moje zeszłoroczne urodziny... Zamówiła mszę, wyobrażacie sobie? W intencji, żebym odnalazła wreszcie swojego wybranka. Mało się nie spaliłam w kościele ze wstydu. Ciekawe, co wymyśli w tym roku.

– Z pewnością będzie wesoło – skwitował Maks, nie mogąc przestać się śmiać.

– Z pewnością... – odparła cierpko Justyna, po czym dołała sobie szampana. Gdyby Maks wiedział, że mama Justyny sugerowała jej nawet odbicie go Marcie... „Skoro taki fajny, to dlaczego nie spróbujesz? Aj tam, że zajęty...” – udzielała jej złotych porad rodzicielka. – „Bo ty za porządna jesteś, po ojcu”.

– Spróbuj spojrzeć na to z innej strony. Może kilkudniowy pobyt na dole, w Jeleniej Górze jeszcze wyjdzie ci na dobre? – próbowała pocieszać ją Marta z troską w głosie. – Całe wakacje ciężko pracowałaś. A teraz będziesz miała

w końcu trochę czasu dla siebie. Odpoczniesz, spotkasz się ze znajomymi... Ile można siedzieć w schronisku.

– Ha, odezwała się ta, co od dwóch lat niemal nie zjeżdża ze Śnieżnych Kotłów na dół – skomentowała Justyna z ironicznym uśmiechem, ale natychmiast dodała: – Żartuję oczywiście.

– Nie stresuj się, kierowniczo. – Marta się zaśmiała, szturchając ją w kolano. – Przecież wiem.

Zapadła cisza. Justyna upiła kolejny duży łyk szampana.

– W sumie może mogłabym się z kimś spotkać... – zaczęła zastanawiać się na głos. – Pojawił się ostatnio taki facet... – dodała, kątem oka zerkając na Maksa. Przez cały wieczór wpatrywał się w Martę niczym w obraz. Zastanawiała się, czy na nią ktoś jeszcze kiedyś będzie patrzył w ten sposób.

– Jaki facet? I dlaczego ja jeszcze nic o tym nie wiem? – dopytywała się Marta.

– Ach. – Justyna machnęła ręką, po raz kolejny tego wieczoru wyrwana z zamyślenia. – W sumie to nie jestem pewna jaki.

– Nie rozumiem.

– Od tygodnia, no, może dwóch, ktoś wysłał maile na moją służbową skrzynkę. Podpisuje się jako P.S.

– Mów dalej – ponaglała Marta, wyraźnie zaciekawiona.

– Napisał, że jestem piękną kobietą, że raczej go nie kojarzę, ale on czasem odwiedza Odrodzenie i zawsze wtedy cieszy się na myśl, że mnie zobaczy... Takie tam... – Zaczęła bawić się swoim wisiorkiem. – Wiem tylko, że jest w podobnym wieku co ja i że pochodzi z Jeleniej Góry. Muszę przyznać, że bardzo miło się z nim koresponduje. Od kiedy odezwał się po raz pierwszy, wymieniamy prawie co wieczór długie wiadomości. Wście, ja nie traktowałam tego poważnie, po prostu miałam dzięki temu wieczorami jakieś zajęcie, żeby nie myśleć o Łukasz... A sami przyznacie, że to jest jednak intrygujące...

– I co, pewnie chce się spotkać? – Maksymilian wtrącił się do rozmowy.

– No tak... Wygadałam się niechcący, że będę w Jeleniej u matki kilka dni, a wtedy on zaproponował wyjście do teatru. W niedzielę jest jakiś spektakl, coś z muzyką chyba z *Jezióra łabędziego*. Nie pamiętam dokładnie. Zostawił nawet w skrytce pocztowej schroniska bilet w zaadresowanej do mnie kopercie.

– Rozumiem, że idziesz? – zapytała Marta.

– Nie wiem. Ostatnio napisałam mu, że jeszcze się zastanowię, czy będę miała czas...

– Randka w ciemno? Brzmi ciekawie! – stwierdził Maks.

– Tak uważasz...? – spytała Justyna.

– Pewnie. Odpisuj zaraz. Przy nas, żebyś się nie rozmyśliła – zachęcał ją.

Justyna milczała przez chwilę.

– Niech będzie – odparła wreszcie. Podniosła się z krzesła, czując, że słodki i mocno bąbelkowy szampan uderzył jej lekko do głowy. Otworzyła drzwi do znajdującego się przy jadalni biura i usiadła przed komputerem. „Może to rzeczywiście będzie ciekawa przygoda?” – pomyślała, wystukując na klawiaturze kolejne słowa. Po dłuższej chwili wróciła do stołu.

– Tak sobie myślę, czy nie przesadzamy... – zaczęła niespodziewanie Marta. – To na pewno dobry pomysł? A może to jakiś zwyrodnialec? Sprawdzając w recepcji, czy meldował się u was ostatnio ktoś o inicjałach P.S.?

– Sprawdzalam.

– I co?

– I nic. Przynajmniej w ostatnich trzech miesiącach. Dalej nie chciało mi się szukać. Zresztą nie przesadzaj. Przecież nie idę z nim na spotkanie o północy na cmentarzu, tylko do teatru. – Zaśmiała się. – Co może mi się stać? Poza tym miałam już jednego cudownego chłopaka i wcale nie poznałam go w sieci. Przystojny, wygadany, zakochany w Karkonoszach, może kojarzysz? – zapytała z sarkazmem. – Więc ten z sieci nie będzie chyba gorszy. Poza tym mam przeczucie, że wiem, kogo zobaczę w tym teatrze.

Marta zrobiła zdziwioną minę.

– Ostatnio rozmawiałam dłuższą chwilę z pewnym turystą. Bardzo sympatyczny. No, może niezbyt urodziwy... Ale pięknego chłopaka już miałam i chyba wystarczy. W każdym razie niedługo potem przyszedł pierwszy mail od tego tajemniczego P.S. Pomyślałam, że może to on.

– Jutro się przekonasz – skwitował Maks.

– Jak będzie ci się wydawał dziwny, to po teatrze podziękuj mu za kolację, jeśli zaproponuje, i nie wsiadaj z nim do samochodu – dodała Marta.

– Kiciuś, ty wszędzie wietrzysz spisek. – Maks się roześmiał. – Nie każdy nieśmiały facet z sieci to od razu seryjny gwałciciel i morderca polujący na swoją ofiarę.

– Och, niech wam będzie. – Marta machnęła ręką zrezygnowana. – Ale bądź ostrożna... – dodała. Chwilę potem ożywiła się znowu. – À propos spisków! Słyszałaś o tych zwłokach znalezionych przy szlaku?

– To raczej były kości, a nie zwłoki – poprawił ją Maks.

– Nie słyszałam – zaprzeczyła Justyna, po raz kolejny dolewając sobie szampana. Miała wrażenie, że z każdym łykiem poprawia jej się nastrój.

– Jak były te ulewy na początku sierpnia, na zielony szlak ze Szpindlerowego Młyna do Vyrovki zeszła mała lawina błotna. To blisko Odrodzenia. Naprawdę nie słyszałaś?

– Nie. Obiło mi się tylko o uszy, że szlak zamknięty, ale nie interesowałam się dlaczego. Wiesz, nie miałam do tego głowy, bo... – Urwała. „Boże, naprawdę robię się nieznośna” – zganiła się w myślach. – „Znowu chciałam zrobić aluzję do swojego rozstania”.

– Tak, rozumiem – odparła Marta. – Ale słuchaj dalej. Niedawno zaczął się remont tego szlaku na odcinku zniszczonym przez lawinę, czyli od kaskad Świętopietrzańskiego Potoku w górę, i robotnicy znaleźli przy ścieżce trzy kościotrupy! Dwóch młodych chłopaków i mężczyzny koło pięćdziesiątki. Ci młodszy zginęli od strzału w głowę, ten starszy nie wiadomo jak.

– Nie dostał kulki? – zapytała zaciekawiona Justyna.

– Z sekcji wynika, że nie. Leżeli w ziemi jakieś pięćdziesiąt lat. Medycy sądowi ustalili jeszcze, że jeden z nich miał jakąś chorobę genetyczną, chyba zespół Murphy’ego. Czytałam artykuł w „Nowinach Jeleniogórskich” – opowiadała Marta.

– Słońce moje. – Maks westchnął ze śmiechem. – Zespół Marfana, jeśli już.

– A ty jak zawsze się czepiasz. – Marta z niezadowoleniem pokiwała głową, szturchając ręką rozbawionego mężczyznę.

– Ciekawe... – Justyna się zamyśliła. – Skąd oni to wszystko wiedzą, skoro zostały same szkielety?

– Cóż, są różne metody badań – zaczął Maksymilian, poważniejąc. – Zdjęcie rentgenowskie kości umożliwia ocenę, czy w momencie śmierci danej osoby znajdowały się one jeszcze w fazie wzrostu, czy osiągnęły już ostateczną długość.

Płeć można zróżnicować na podstawie oceny miednicy, która inaczej jest zbudowana u mężczyzny, a inaczej u kobiety... Na podstawie zębów też można się dużo dowiedzieć o człowieku, podobnie jak z linii papilarnych. Jeśli znajdziesz czaszkę albo ślad ugryzienia danej osoby i dokumentację jego dentysty, możesz wykluczyć albo potwierdzić czyjąś tożsamość...

– Sugerujesz, że znaleźli dentystę tamtych trupów? – Justyna zaczęła się śmiać. Maks jednak potrafił być zabawny. – Ile on miałby teraz lat? Sto? Zadzwonili do niego z pytaniem: „Dzień dobry, czy pięćdziesiąt lat temu nie zaginęło panu kilku pacjentów?” – Zaczęła się tak śmiać, że aż łzy pociekły jej z oczu. Po chwili zawtórowała jej Marta.

– Nie. – Maksymilian wywrócił oczami, patrząc na obie śmiejące się do rozpuku kobiety. – Mówię tylko, jak można się dowiedzieć czegoś o człowieku na podstawie jedynie jego szkieletu.

– I skąd wiedzą, że chorował na tego Marfana? – zapytała Justyna, próbując opanować śmiech.

– Szkielet też może to sugerować. Zespół Marfana to choroba genetyczna, której objawy dotyczą między innymi układu kostnego. Bardzo wysoki wzrost, nadmiernie długie palce, zmiany w budowie podniebienia – wyliczał Maks. – Klatka piersiowa też często jest zdeformowana, zęby...

– O, czyli znowu trzeba pytać dentystę – stwierdziła Justyna i razem z Martą znowu wybuchnęły śmiechem.

– Jesteście niemożliwe. – Maks popukał się w czoło i dołożył sobie sałatki jarzynowej. – Za dużo szampana.

– Oj, nie bocz się. Jesteś bardzo mądry, słoneczko. – Marta przejechała mu ręką po bujnej czuprynie.

„Trzeba przyznać” – westchnęła w duchu Justyna, po czym zrozumiała, że nie tylko za często użala się nad sobą w związku z Łukaszem, ale też zdecydowanie zbyt dużo myśli o Maksymilianie.

Stary poniemiecki zegar stojący w kącie jadalni zaczął wybijać dwudziestą trzecią.

– Chyba będziemy się powoli zbierać – powiedziała Marta, gładząc Maksa po ręce. – Wiesz, przyszliśmy pieszo i teraz czeka nas jeszcze dwugodzinny spacer na

Śnieżne Kotły – zaczęła się usprawiedliwiać, widząc niezadowolenie w oczach koleżanki.

– Możecie zostać na noc, jeśli chcecie. Schronisko puste... – zaproponowała Justyna.

– Dziękujemy, ale jutro z rana musimy być na Śnieżnych, przyjeżdża duża wycieczka. Sama wiesz, jak to jest... – zaczął się tłumaczyć Maksymilian.

– Wiem... – Westchnęła. – Podziwiam was, że idziecie w taką pogodę. Macie czółówki? Chociaż przy tej mgle na niewiele się zdadzą.

– Pewnie, że mamy – potwierdziła Marta, wstając. – Baw się dobrze w Jeleniej, koniecznie pozdrów mamę i w poniedziałek zadzwoń, żeby opowiedzieć o spotkaniu w teatrze.

– Oczywiście, że zadzwonię. Odprowadzę was do wyjścia – dodała, wkładając otrzymaną w prezencie pelerynę.

Wyszli z jadalni i schodami wiodącymi naokoło wielkiego holu schroniska zeszli do drzwi.

– Ale ty tu masz mrocznie – skwitowała Marta, próbując objąć wzrokiem olbrzymie pomieszczenie. – Nie dość, że schody z obu stron, jeden taras wzdłuż piętra, drugi na półpiętrze, jeszcze te wielkie okna i żyrandole... Czy to projektował jakiś fanatyk Hitlera? Brakuje tylko flag ze swastyką zwisających z sufitu przez dwa piętra.

– Raczej nie. Schronisko oddano do użytku cztery lata przed dojściem Hitlera do władzy. Ale kto tu wypoczywał po tym, jak został kanclerzem, to sami wiecie... – dodała.

– Hitlerjugend.

– Właśnie... I nie tylko – odparła Justyna. – Ale to już przecież historia. Mało kto o niej wie. – Machnęła ręką. – Spokojnej drogi. Żebyście nie spotkali żadnych kościotrupów po drodze – powiedziała ze śmiechem, przytulając Martę.

– Jak spotkamy, to damy znać. Maks na pewno sprawdzi im zęby – powiedziała Marta z udawaną powagą. – Trzymaj się, kochana.

– Wpadniecie do mnie po remoncie?

– Oczywiście – odparł mężczyzna, również ją przytulając. – Spokojnej nocy.

Stała jeszcze chwilę przed drzwiami, patrząc, jak światła dwóch latarek znikają we mgle. Zaczęło mocno wiać, więc ciaśniej owinęła się peleryną, odwracając się w stronę schroniska. Ciemność wyzierająca ze wszystkich okien, poza jadalnią, sprawiała złowieszcze wrażenie. Weszła do środka i przez chwilę przyglądała się dwukondygnacyjnemu holowi oświetlanemu dwoma ciężkimi kutymi żyrandolami. Sama wcześniej nie zwróciła na to uwagi, ale Marta miała rację. Pretensjonalne w swoich rozmiarach surowe wnętrze okalały z obu stron wiodące na piętro schody. Swoimi gabarytami i charakterem bardziej przypominało pałac jakiegoś ponuraka wyjęty z horroru niż wnętrze górskiego schroniska. Trudno było zaprzeczyć, że architektura Odrodzenia miała w sobie coś nazistowskiego.

Gdy wróciła do jadalni, by posprzątać po kolacji, dostrzegła na stole przewiązane wstążką pudełko z przypiętym bilecikiem. „Dla najlepszej kierowniczkii” – głosił nieco koślawy napis. Zaintrygowana rozwiązała kokardkę i zajrzała do środka. Pudełko było wypchane słodyczami, na któryś z których spoczywał piękny, zdobiony w kwiaty ceramiczny dzbanek do herbaty. Obok wciśnięto ramkę ze zdjęciem. Justyna wyjęła ją z zaciekawieniem. Fotografia została zrobiona jakiś rok temu, gdy pan Wiesiu wrócił do pracy w Odrodzeniu po wygranej walce z nowotworem. Autor zdjęcia uchwycił moment, w którym Wiesiu wysiadał z parkującego na podjeździe przed schroniskiem auta, a w jego kierunku biegła roześmiana Justyna z balonami. W tle widać było zapłakaną Marszałkową, która stała w drzwiach Odrodzenia, ocierając rogiem fartucha łzy wzruszenia. Kucharka na co dzień namiętnie kłóciła się z dozorcą dosłownie o wszystko, ale jak przychodziło co do czego, była gotowa skoczyć za nim w ogień.

„To był naprawdę piękny dzień” – pomyślała Justyna, wracając wspomnieniami do tamtych chwil. Pogładziła zdjęcie palcami, przypominając sobie, jak długa i trudna była droga pana Wiesia od momentu pierwszej diagnozy do chwili uwiecznionej na fotografii. Odłożyła pudełko i udała się na parter, do warsztatu połączonego ze służbowym mieszkaniem dozorca. Zapukała do drzwi i zajrzała do środka. Wiesiu siedział w fotelu i naprawiał jakiś stary rygiel.

– Dziękuję panu – powiedziała cicho, uśmiechając się serdecznie.

– To ja dziękuję kierownicze – odparł nieśmiało mężczyzna, odkładając narzędzia. – Gdyby nie pani... Ja bym się wtedy poddał. Żyłbym z tą diagnozą jak z wyrokiem... – Urwał, z trudem przełykając ślinę. – I na pewno nie odważyłbym się

na leczenie. Pani wie, że ja nie mam już żadnej rodziny... – Oczywiście starszego mężczyzny zrobiły się szkliste.

– My jesteśmy pana rodziną – odpowiedziała Justyna, kładąc mu rękę na ramieniu. – Proszę zawsze o tym pamiętać.

– Dobrze. Chciałem życzyć na urodziny, żeby wszystko się poukładało, wie pani, z uczuciami... Na pewno będzie dobrze. Taka cudowna kobieta na pewno trafi w końcu na jakiegoś fajnego faceta.

Justyna uśmiechnęła się znowu.

– Tak będzie. Spokojnej nocy, panie Wiesiu.

– Dobranoc, kierowniczo.

Justyna skończyła sprzątać jadalnię i naląła sobie ostatni kieliszek szampana. Usiadła na parapecie i westchnęła. Czuła ulgę, że spotkanie z Martą i Makssem dobiegło końca. Wciąż bowiem miała wyrzuty sumienia z powodu sytuacji sprzed kilku tygodni.

Zaraz po rozstaniu z Łukaszem poszła w odwiedziny do schroniska Nad Śnieżnymi Kotłami, ale okazało się, że Marty nie było na miejscu. Ona natomiast tak bardzo potrzebowała, żeby ktoś jej wysłuchał, pocieszył. Zaczęła więc o swoich sercowych perypetiach opowiadać Maksowi. Na stole pojawiła się wiśniowa nalewka, której wypić chyba trochę za dużo, bo na pożegnanie niespodziewanie pocałowała mężczyznę w usta. Na dodatek wypaliła, że chciałaby być tak ładna i przebojowa jak Marta, żeby zwrócił na nią uwagę ktoś taki jak Maksymilian.

Wspomnienie tamtej sytuacji wciąż sprawiało, że Justyna zaczynała czuć wstyd. Jak mogła powiedzieć coś takiego facetowi najlepszej przyjaciółki? Było jej głupio także przed Martą. Od tamtej pory przy każdym spotkaniu zastanawiała się, czy przyjaciółka wie o pocałunku.

Mgła za oknem nieco się przerzedziła i Justyna dostrzegła migoczące światła Szpindlerowej Boudy, sąsiedniego czeskiego schroniska. Myśli kobiety poszybowały w kierunku kolejnych nie najlepszych decyzji, jakie w ostatnim czasie podjęła. Jeszcze niedawno była bowiem stałą bywalczynią Szpindlerowej Boudy, flirtując z pracującym tam Mikolasem, bardzo sympatycznym barmanem. Jego mama była Polką, a ojciec Czechem, dlatego chłopak biegle władał oboma językami. Justyna przyjaźniła się z nim przez dłuższy czas i w pewnym momencie zaczęła odnosić wrażenie, że mężczyzna liczy na coś więcej. Kiedy jednak to sobie

uświadomiła, pojawił się Łukasz, który tak zawrócił jej w głowie, że zapomniała nie tylko o Mikolasie, lecz także o bożym świecie. Wybrała playboyowatego Łukasza zamiast poukładanego Mikolasa, więc musiała teraz za to zapłacić.

– I dobrze, należy ci się – skarciła samą siebie, po czym opróżniła kieliszek. Bardzo chciała, żeby życzenia pana Wiesia się spełniły i aby wszystko się poukładało. Nie przypuszczała, że czeka ją intensywny i pełen niebezpieczeństw tydzień, w którym jej życie zostanie wywrócone do góry nogami.

Jelenia Góra, 10 września 2006

Było wczesne popołudnie, gdy Justyna minęła znak z napisem „Jelenia Góra”. To wcale nie oznacza, że zaraz dotrze do celu, dobrze o tym wiedziała. Miasto bowiem posiadało tytuł najdłuższego w Polsce, przebijając Warszawę o jakieś dziesięć kilometrów. Matka Justyny natomiast mieszkała w samym centrum Jeleniej Góry, w kamienicy przy rynku, i żeby tam dojechać, trzeba było przez dłuższy czas kluczyć wąskimi uliczkami starówki. Gabaryty terenowego auta wcale jej tego nie ułatwiały. Wreszcie udało jej się zaparkować pod właściwym domem. Wzięła kilka głębokich wdechów i wysiadła. Z torbą podróżną w ręku udała się na pierwsze piętro kamienicy. Nie zdążyła nawet nacisnąć dzwonka, gdy rodzicielka otworzyła drzwi.

– Córku! Nareszcie jesteś! Tak się za tobą stęskniłam... – zaczęła Katarzyna Skała, po czym objęła Justynę i ucałowała trzy razy.

– Cześć, mamó – przywitała się z uśmiechem.

– Ładnie się ubrałaś. – Rodzicielka zlustrowała córkę wzrokiem, wciąż trzymając jej dłonie w swoich. – Ale co się dzieje z twoimi paznokciami...? Są jakieś mizerne... Musisz coś brać na to, ja ci dobrze radzę. Jakiś cynk albo wyciąg ze skrzypu. Koniecznie, bo będzie tylko gorzej... Czytałam ostatnio o tym w gazecie.

„Zaczyna się” – pomyślała Justyna. Puściła jednak uwagę matki mimo uszu, po czym podniosła z ziemi torbę z ubraniami i powiedziała:

– Rozpakowałabym się.

– Oczywiście kochanie, pościeliłam ci w gościnnym. Zostaw torbę i szybciotko umyj ręce, rosół już czeka. Taki, jaki lubisz.

Chwilę potem Justyna siedziała już w kuchni. Nic się w niej nie zmieniło od czasów, kiedy była mała. Przytulne pomieszczenie wypełnione starymi, przedwojennymi meblami było jej ulubionym miejscem w całym domu. Okna kuchni jako jedyne w mieszkaniu wychodziły na rynek, a nie na podwórze, i można było przez nie obserwować toczące się wokół ratusza życie miasta. Z oddali usłyszała w pewnym momencie dzwony jeleniogórskiej bazyliki. Czekaając, aż matka poda do stołu, przez moment poczuła się tak, jakby znowu była dzieckiem.

– Co tam słysząc u Łukaszka? – Z zamyślenia wyrwało ją pytanie matki, stawiającej na stole parującą wazę z rosółem. – Miałam nadzieję, że przyjedziecie razem i wreszcie lepiej go poznam... Wykrochmaliłam nawet dwa komplety pościeli.

– Mamo, wiesz, że się rozstaliśmy. – Justyna wywróciła oczami. – N-i-e jesteście razem. Ile razy mam ci to jeszcze powtarzać?

– Oj, a dlaczego ty jesteś od razu taka nerwowa? Dziecko, takim postępowaniem zrazisz do siebie ludzi – obruszyła się matka. – I przestań tak wywracać oczami, co to za zwyczaj? Po prostu myślałam, że z Łukaszem rozstaliście się tylko na chwilę... Młodzi przecież jesteście, porywczy. Uważasz może, że ja nie pamiętam, jak to jest? Kłótnia, rozstanie, zaraz potem godzenie się. – Uśmiechnęła się filuternie. – Czy ja ci opowiadałam, jak kiedyś pokłóciłam się z ojcem w autobusie do Karpacza?

– Tak, opowiadałaś. I nie, nie pogodzimy się. Rozstaliśmy się na amen. Mamo, on zaczął flirtować z inną dziewczyną, zostawił mnie dla niej. Smacznego – odparła beznamiętnie, nalewając sobie rosółu.

– No tak, mówiłaś. Dla tej Moni... – Zrobiła skwaszoną minę. – Widziałam ostatnio na mieście tę przygłupią raszplę.

Justyna nie miała zielonego pojęcia, skąd matka bierze te wszystkie swoje inwektywy, ale nie można było jej odmówić kreatywności. Zawsze gdy ktoś czymś jej podpadał, wymyślała go od raszpli, lafirynd, fląder albo saskich pierdół. Justyna była pewna, że wciąż nie zna całego słownika obelg używanych przez matkę.

– A nikt inny ciekawy się wokół nie kręci, co? – odezwała się po chwili mama, robiąc konspiracyjną minę i przymykając porozumiewawczo jedno oko. – Wiesz, na przykład moja sąsiadka, Alunia, ta, co mieszka na parterze... Ma takiego przystojnego wnuka, ażbyś nie uwierzyła! Sympatyczny, uczynny, robi Aluni zakupy co tydzień. – Matka cmoknęła z zadowoleniem. – I najważniejsze: jest wolny! Alunia

co prawda martwi się, że może on... No wiesz... Interesuje się chłopakami. – To zdanie ledwo przeszło jej przez gardło. – Ale to na pewno tylko jej się wydaje.

Zderzyła się z pełnym zażenowania wzrokiem córki.

– Oj, dobrze, już nic nie mówię. – Uniosła ręce w geście poddania się. – Smacznego – dodała obrażonym tonem. Zrozumiała, że będzie musiała koniecznie popracować nad córką przez czas jej pobytu w domu. Justyna natomiast doszła do wniosku, że te trzy dni u matki będą dla niej większą gehenną, niż przypuszczała.

Podczas jedzenia rosółu jedynym dźwiękiem wypełniającym mieszkanie Katarzyny Skały był stukot łyżek o talerze. Gdy na stole pojawiło się drugie danie, Justyna skruszała i postanowiła przerwać milczenie. Obiecała sobie nie kłócić się z mamą, a przynajmniej nie na początku wizyty. Miała przecież w perspektywie mieszkanie w rodzinnym domu przez najbliższych kilka dni.

– Chciałabym, żebyś spróbowała mnie zrozumieć. Dopiero co zostawił mnie ktoś, w kim bardzo mocno się zadurzyłam. W tej chwili nie myślę o szukaniu kolejnego faceta. Muszę najpierw odchorować poprzedniego – zażartowała, licząc, że zamknie w ten sposób dyskusję na temat jej ewentualnego przyszłego chłopaka.

– Rozumiem – odparła matka. Po chwili zmarszczyła czoło i dodała: – Robisz się coraz bardziej podobna do babci, już nie tylko z wyglądu, lecz także z charakteru...

– Do twojej mamy? – zapytała ze zdziwieniem Justyna.

– No gdzież. Do matki twojego świętej pamięci ojca, do babci Stanisławy. Ona też miała przez chwilę jednego mężczyznę i potem nie chciała spojrzeć na żadnego innego.

– Chyba nie zamierzasz tego porównywać? – Justyna się zirytowała. – Narzeczony babci zginął w wypadku i z tego, co ona mówi, był najcudowniejszym mężczyzną pod słońcem. Kochali się. A mnie rzucił jakiś palant. I nie zamierzam być z tego powodu sama przez resztę życia.

Katarzyna zrobiła niejasny ruch głową.

– Pamiętaj, że ja ci nie każę szukać sobie kogoś takiego jak ten poprzedni. Fajnego sobie poszukaj. – Udzieliła córce kolejnej złotej rady.

– Fajni są już zajęci – wypaliła Justyna na odczepnego.

– Ojej, to ty nie możesz się tak bez przerwy spóźniać – odparowała matka z zażenowaniem, unosząc ręce do góry, jakby chciała wezwać siły niebieskie.

– Dobrze. Osiągnęłam już dno rozpacz, masz rację – wycedziła z ironią. – A teraz proszę o zmianę tematu.

– I znowu robisz się nerwowa. – Matka pokiwała głową z niezadowoleniem. – Jak ciebie łatwo wyprowadzić z równowagi. Czy to przez hormony? – Katarzyna urwała nagle, momentalnie zbladła, po czym zapytała z nadzieją w głosie: – A może jesteś w ciąży? Czy wyście z Łukaszem... Przytulali się tak mocniej?

– Mamo, błagam.

– Dobrze, już nic nie powiem na ten temat. – Obiecała po raz kolejny. Obie jednak wiedziały, że nie dotrzyma słowa.

– Co chciałabyś robić wieczorem? Masz jakieś plany? – Matka spróbowała przynajmniej na chwilę zmienić temat.

– Idę do teatru.

– O, proszę, na co?

– Jakiś spektakl... Z muzyką z *Jeziora łabędziego*.

– Świetnie. – Katarzyna zatarła ręce. – Trochę kultury dobrze ci zrobi. Znaczą się, chciałam powiedzieć, że tam w górach nie masz takich możliwości. Ja ci zawsze mówiłam, ty musisz zdecydowanie częściej zaglądać do Jeleniej Góry, może znaleźć jakąś pracę tutaj... Nie pomyślałabyś o tym?

– Masz rację, pomyślę – odparła Justyna, wysilając się na nieszczerzy uśmiech. Nie chciała wywoływać kolejnej dyskusji, bo wiedziała, że temat tego, gdzie powinna pracować, był drugim ulubionym tematem jej matki, zaraz po sprawach matrymonialnych.

*

Słońce chyliło się ku zachodowi, sprawiając, że część kamieniczek na jeleniogórskim rynku tonęła już w cieniu. Katarzyna Skała siedziała w ulubionym dużym fotelu przed telewizorem. Zmęczone nogi wyciągnęła na miękki podnózek, nakryła się kocem i popijając herbatę z kubka postawionego na stoliczku obok fotela, udawała, że ogląda teleturniej. Zawsze śledziła go w niedzielne wieczory, nieraz przysypiając w trakcie, tak że zdążyła jedynie poznać uczestników programu, po czym budziła się w momencie ogłoszenia wyników. Tym razem jednak tylko stwarzała pozory zainteresowania telewizją. Kątem oka bowiem uważnie i w swoim mniemaniu dyskretnie obserwowała szykującą się do wyjścia córkę.

Justyna tymczasem włożyła klasyczną czarną sukienkę i buty na wysokim obcasie. Nie lubiła ich, gdyż były niewygodne, a ona nie przywykła do chodzenia w szpilkach. Prezentowała się w nich jednak bardzo dobrze, dlatego tym razem postanowiła zrobić wyjątek. Następnie zapięła długi złoty wisiołek, ten sam, który miała na sobie poprzedniego wieczoru.

Matka uważała, że łańcuszek powinien być zdecydowanie krótszy. Zawieszony na nim wisiołek sięgał bowiem aż do dekoltu, sprawiając, że każdy odruchowo kierował tam wzrok. „Z drugiej strony – zastanawiała się – może w końcu zwróci na siebie czyjąś uwagę? W tym wieku wszystkie chwytaki są już chyba dozwolone...”. Z tą myślą zrezygnowała z wtrącania się w kwestie ubioru córki.

– Ładnie? – zapytała Justyna zaraz po tym, jak upięła włosy w prosty kok.

– Ładnie... – odparła Katarzyna bez przekonania. – Trochę nie w twoim stylu taka elegancja... – Wahała się jeszcze chwilę. – Ale ładnie. Wyglądasz... jak prawdziwa kobieta.

– Dzięki mamó. Nikt mnie nie komplementuje tak jak ty.

Katarzyna zaczęła bawić się pilotem od telewizora, uparcie wpatrując się w jego kolorowe guziki.

– A z kim idziesz? – zapytała niby od niechcienia. Widać było jednak, że nosiła się z tym pytaniem od dłuższego czasu i gdyby nie zadała go teraz, za chwilę eksplodowałyby z powodu niezaspokojonej ciekawości.

– Nie wiem. – Justyna wzruszyła ramionami.

– Oj, powiedz mi prawdę – zaczęła nalegać błagalnym tonem, odkładając pilota i odwracając się na fotelu w stronę córki.

– Mówię. Nie wiem.

– Jak to? – Kobieta spoważniała.

– Randka w ciemno.

– Wiesz, nie spodziewałabym się tego po tobie – powiedziała mama zdziwiona. – No, no... To jak w tym programie, gdzie szukają kobietom mężów, oglądałam ostatnio... – Zamyśliła się na chwilę. – Tylko uważaj na siebie. Tyle różnych rzeczy słyszy się teraz w telewizji. Wiesz o tej dziewczynie, co zaginęła dwa miesiące temu nad morzem? Straszna historia...

– Ale ona wracała do domu sama. Nocą. I to przez las. Zresztą ponoć wyszła z imprezy mocno pijana. Ja natomiast jadę autem i do teatru w centrum miasta –

uściśliła Justyna.

– Mówię tylko, żebyś była ostrożna – odparła matka, siorbiąc herbatę.

– Dobrze mam. – Justyna westchnęła, wrzucając do cekinowej kopertówki portfel, bilet i klucz od samochodu. – Do zobaczenia.

– Baw się dobrze. – Katarzyna pomachała jej z fotela. Teleturniej dobiegał pierwszej połowy i poczuła, że już najwyższa pora na drzemkę.

*

Justyna zaparkowała przed gmachem jeleniogórskiego teatru. Wszystkie okna charakterystycznego budynku z dwiema wieżami były rozświetlone, świadcząc o zbliżającym się spektaklu. Wsiadła, spojrzała na samochód, z pobłażliwym uśmiechem konstatując, że ubłocone schroniskowe auto gryzie się z jej strojem i wytwornością secesyjnej architektury teatru.

Chwilę później znalazła się w dość zatłoczonej szatni, oddała płaszcz i skierowała się do foyer. Wrażenie wielkości reprezentacyjnego pomieszczenia pogłębiały olbrzymie lustra zawieszane na ścianach naprzeciwko okien. Odbijały się w nich sylwetki elegancko ubranych ludzi, którzy stopniowo zapełniali foyer. Goście teatru stali w parach lub większych grupach, rozmawiając na przeróżne tematy. Justyna próbowała przebić się w kierunku wejść na widownię, mimowolnie przysłuchując się urywkom niektórych rozmów. Z zaciekawieniem przyglądała się nieraz bardzo oryginalnym wieczorowym sukniom.

Czuła, jak narasta w niej przyjemny dreszczyk podniecenia i ciekawości, kim jest ów tajemniczy adorator P.S. Czy też jest już we foyer? Rozmawia z kimś znajomym, kogo właśnie spotkał? A może dyskretnie ją obserwuje? Rozglądała się jeszcze przez chwilę, ale nie dostrzegła żadnego samotnego mężczyzny.

Rozległ się pierwszy dzwonek. Justyna skierowała się na widownię. W rzędzie, którego numer znajdował się na jej bilecie, pozostało jeszcze tylko kilka wolnych miejsc. Zajęła właściwy fotel. Po jej lewej stronie siedziała starsza kobieta, która nieustannie szeptała coś do męża. Miejsce na prawo od Justyny wciąż było puste. „Ja się jednak nie nadaję do takich podchodów” – pomyślała, marszcząc czoło. Czuła, jak poca jej się ręce. Zawsze reagowała tak na stres. Bezskutecznie próbowała zająć czymś myśli.

Chwilę później zabrzmiał dźwięk drugiego dzwonka. Żyrandole na antresolach przyciemniono do połowy, a po niedługim czasie zgaszono zupełnie. Justyna siedziała niespokojna, czekając, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności. Miała wrażenie, że tajemniczy adorator zaraz niespodziewanie chwyci ją za rękę i wystraszy. A co jeśli przysiądzie się w czasie spektaklu bez słowa? Boże, co powinna wtedy powiedzieć? „Hej, czy to ty?”. A jak okaże się, że to rzeczywiście jakiś świr? Zdecydowanie taka zabawa nie była dla niej. Głupio zrobiła, że posłuchała Maksa i Marty.

Chwilę później pomieszczenie wypełniły dźwięki pierwszego utworu, jakim był *Hiszpański taniec*. Zaczynał się niespodziewanie głośnym jęknięciem skrzypiec, które niejako wzywały do gry resztę orkiestry. Zaraz też zawtórowały im butnie brzmiące kastaniety, a po nich pałeczkę przejęły od skrzypiec flety. Przy akompaniamencie rozgrywającej się pomiędzy instrumentami debaty kurtyna zaczęła się unosić.

*

Leokadia odwiedzała jeleniogórski teatr razem z mężem niemal każdego miesiąca od wielu lat. Uwielbiała spektakle, zwłaszcza te, w których aktorom towarzyszyła muzyka grana na żywo. Słyszała co prawda, że według krytyków fabuła przedstawienia opartego na motywach *Jeziora łabędziego* pozostawiała wiele do życzenia, jednakże niezrażona cudzymi opiniami postanowiła wyrobić sobie własną.

Oczarowana potęgą brzmienia pierwszego utworu, którego melodia sprawiała, że drewniane wnętrze teatru aż drżało, ukradkiem spoglądała na siedzącą obok dziewczynę. Blondynka wydawała się dość zdenerwowana. Bez przerwy naciągała na kolana czarną sukienkę, co jakiś czas niespokojnie rozglądając się wokół, jakby próbowała wypatrzeć kogoś wśród widzów. Ewidentnie nie była zainteresowana spektaklem. „Ciekawe, co ją trapi?” – zastanawiała się Leokadia mimowolnie.

Gdy tylko skończył się pierwszy utwór, dziewczyna wstała z fotela i skierowała się do wyjścia. „Szkoda... Przecież jeszcze się na dobre nie zaczęło” – pomyślała Leokadia zdziwiona, po czym ponownie skupiła się na spektaklu.

Chwilę później drzwi do sali znowu się otworzyły i do ciemnego wnętrza wpadł jasny snop światła, a Leokadia usłyszała strzępy rozmowy portiera z młodym mężczyzną. Kobieta zlustrowała go wzrokiem. Ubrany w nienagannie skrojony garnitur, lakierki i błyszczącą czarną muchę prezentował się bardzo elegancko.

Spóźnialski został wreszcie wpuszczony na widownię i zajął miejsce obok tego, które przed chwilą opuściła blondynka. Minęła może minuta, gdy mężczyzna nachylił się ku Leokadii i powiedział ściszym głosem:

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Poczła woń mocnych perfum. – Czy tutaj obok pani siedziała kobieta?

W pierwszej chwili Leokadia była zbulwersowana, że ktoś po raz kolejny zakłóca jej oglądanie spektaklu. Miała ochotę pouczyć mężczyznę o elementarnych zasadach kultury w teatrze. Z drugiej jednak strony interesowało ją, co zaszło na sąsiednich miejscach. Ostatecznie ciekawość zwyciężyła.

– Owszem, siedziała, ale wyszła chwilę temu. A czemu pan pyta?

– A to już nie jest pani sprawa – syknął poirytowany i zerwał się z miejsca.

„Nieprzyjemny typ” – pomyślała z oburzeniem. Na wspomnienie chłodnego tonu w głosie mężczyzny aż przeszedł ją dreszcz. „Może i dobrze, że sobie poszła...”.

*

Justyna wsiadła do auta. Chociaż było jej przykro, że podpisujący się inicjałami P.S. tajemniczy adorator się nie pojawił, to jednak czuła ulgę, że stres związany ze spotkaniem z nieznanym ma już za sobą.

Ledwie odjechała spod teatru, gdy coś błysnęło jej w lusterku. Zorientowała się, że tuż za nią z parkingu ruszyło inne auto, którego kierowca migał w jej stronę długimi światłami.

– O co chodzi? – mruknęła, zastanawiając się, czy tamten próbuje ją przed czymś ostrzec. Sprawdziła, czy reflektory jej samochodu są włączone. Wszystko było w porządku. Zignorowała więc świetlne znaki pojazdu i puściła się Sudecką w kierunku rynku. Na kolejnym skrzyżowaniu zorientowała się jednak, że w lusterku nadal widzi samochód, który ruszył za nią spod teatru. Kierowca ponownie mignął światłami. Justyna zaczęła się denerwować.

– Co to za głupie żarty, do cholery? – rzuciła, po czym, gdy tylko zapaliło się zielone światło, zmieniła nagle kierunkowskaz i z piskiem opon skręciła w lewo. Mimo to chwilę później we wstecznym lusterku zobaczyła sylwetkę znajomego auta. W tym momencie zyskała pewność, że to nie przypadek. Przyspieszyła, po czym zaraz za łukiem gwałtownie skręciła w prawo, w Długą. Zignorowała znak informujący, że wjeżdża właśnie pod prąd w ulicę jednokierunkową. O tej porze na

starówce nie było bowiem prawie żadnych aut. Rzuciła kilka przekleństw pod adresem organizacji ruchu w mieście. Zaraz potem, już zgodnie z kierunkiem jazdy, wbiła się w ulicę Krótką, a następnie Drucianą. Spojrzała w lusterko, w którym nie dostrzegła już podejrzanego samochodu. Uśmiechnęła się sama do siebie. Kilka minut później dotarła na podwórko za kamienicą matki. Wysiadła z auta i zmęczona nieszczęśliwie owocnym wieczorem poszła do domu.

*

Coś obudziło Katarzynę Skalę. Nie do końca przytomnym wzrokiem spojrzała na ekran telewizora. Okazało się, że przespała zakończenie teleturnieju. Nie przejąwszy się tym zbyt, machnęła ręką i sięgnęła po kubek z herbatą, która już całkowicie ostygła. Jej uszu doszły jakieś odgłosy.

– Justyna? To ty? – zapytała, spoglądając na zegarek.

– Tak... – Usłyszała z korytarza głos córki.

– Co tak szybko? Chyba nie spławiłaś adoratora?

– Czy ja wiem... Po prostu nie przyszedł – przyznała Justyna, nie okazując żadnych emocji.

– Ojej, to szkoda. – Matka się zmartwiła. – Widzisz, z tymi mężczyznami nie jest tak prosto. Pomyśl o zmianie pracy.

– Co to ma wspólnego z facetami? – zapytała Justyna, czując, jak powoli podnosi jej się ciśnienie w związku z kolejną poradą matki.

– No... – zaczęła Katarzyna, poprawiając sobie pod plecami poduszkę. – Znaleźć dobrego chłopca nie jest tak łatwo, sama widzisz. Jeden nie przyjdzie, drugi okaże się sierotą... Trzeba poświęcić trochę czasu, żeby znaleźć właściwego. A jak ty cały czas siedzisz tam w górach, to jak masz szukać?

– Do czego konkretnie zmierzasz?

– Ano do tego, że powinnaś zostawić w końcu to Odrodzenie i zejść na ziemię. Praca w schronisku to zajęcie dla mężczyzny. A ty powinnaś być damą, znaleźć swojego księcia... – mówiła coraz bardziej rozmarzonym głosem.

– Mamo... – Justyna przecząco pokiwała głową. – Nie zaczynaj.

– Oj tak, tak. Wiesz, jak dobrze byłoby ci w Jeleniej Górze? Tu jest tylu przystojnych facetów, sama widzisz. Na pewno kogoś byś sobie znalazła. Ja w twoim

wieku miałam już dwójkę dzieci.

– Może ja będę miała później? – zasugerowała Justyna.

– Zegar tyka, kochana, natury nie oszukasz.

– W takim razie będę sama – warknęła coraz bardziej zdenerwowana.

– Samemu to się najlepiej pierożki wcina, moja panno.

Justyna miała wrażenie, że zaraz oszaleje. Poszła do gościnnego po swoją torbę, wrzuciła do niej buty na obcasach, których nie zdążyła wcześniej zdjąć, i włożyła trampki.

– Co robisz? – spytała matka.

– Pakuję się. Przypomniało mi się, że koniecznie muszę jutro rano być w schronisku. Dziękuję ci za dzisiejszy obiad.

– Co ty mówisz!? Miałaś zostać do wtorku! – Matka podniosła się z fotela.

– Tak bywa, sama widzisz. Właśnie niedawno do mnie zadzwonili, nie zdążyłam ci powiedzieć. – Kłamała, nie zastanawiając się nawet, czy jest choć odrobinę wiarygodna.

– Ale ja zaplanowałam na jutro uroczysty obiad! Zaprosiłam już babcię Stanisławę, Alunię...

Justyna zatrzymała się.

– Tę od przystojnego wnuka geja? – zapytała. – Czy on też miał przez przypadek trafić na ten obiadek? – Oskarżycielsko pomachała palcem, przekonana, że właśnie zdemaskowała spisek rodzicielki.

– Przestań, on wcale nie jest tym, wiesz... – Matka zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Nie interesuje mnie to. Ty i Alunia powinnyście znaleźć sobie jakieś bardziej pożyteczne zajęcie niż knucie, jak zeswatać mnie z jej wnukiem – odparła Justyna. – Muszę się zbierać.

– Cóż, twoja strata – stwierdziła matka typowym dla siebie obrażonym tonem, po czym założyła ręce na piersiach. – Wnuczek Aluni jest cudowny.

– W takim razie życzę wam miłego obiadu, pozdrów go ode mnie.

– Poczekaj. – Katarzyna zniknęła na chwilę w swojej sypialni, z której wróciła chwilę później z kolorową paczuszką.

– To prezent dla ciebie. Miałam dać ci jutro, ale skoro już jedziesz... – Wzruszyła ramionami.

Justyna poczuła zakłopotanie, wzięła jednak paczuszkę i zajrzała do środka.

– Krem przeciwzmarszczkowy!? – Zrobiła wielkie oczy, wyjmując z torebki słoiczek.

– Może ci się już niedługo przydać. Tak, tak, mówiłam ci, czasu nie oszukasz. Zegar tyka...

– I do tego poradnik *Jak poderwać faceta – 10 lekcji*. – Justyna z niedowierzaniem przeczytała tytuł książki, którą również znalazła w torebce. – Dzięki mam, właśnie o czymś takim marzyłam – dodała ze skwaszoną miną.

– Przeczytaj, a nuż pomoże...

– Na pewno... – odparła Justyna mimowolnie. Nie mogła do końca wyczuć, czy matka była złośliwa czy rzeczywiście wierzyła, że poradnik umożliwi jej córce znalezienie jakiegoś mężczyzny.

– Jakbyś się jednak rozmyśliła i chciała wrócić, to zapraszam.

– Dziękuję. Do zobaczenia. – Justyna nieco oschle przytuliła się z matką. Opuściła jej mieszkanie, dzierżąc w dłoni paczuszkę z urodzinowym prezentem.

Schronisko Odrodzenie, 10 września 2006

Wąski asfaltowy szlak do schroniska Odrodzenie wiódł stromo pod górę. Justyna знаła drogę jak własną kieszeń, jednak rzadko miała okazję jechać nią po zmierzchu. Nawet za dnia wydawała jej się dość ponura ze względu na otaczającą ją zewsząd nieprzeniknioną puszcę. Wiedziała też, że drogę budowali w dużej mierze w czasie wojny jeńcy, których przetrzymywano w obozie w Borowicach i w dawnym urzędzie celnym na Przełęczy Karkonoskiej, tuż koło Odrodzenia. Świadomość tragedii setek osób, które zginęły przy pracy, towarzyszyła jej niemal zawsze, gdy przejeżdżała obok znajdującego się przy dolnej części trasy cmentarza ofiar obozu. Powstał on w miejscu, w którym odnaleziono po wojnie mogiły pełne ciał ludzi zamęczonych przy budowie drogi.

W odróżnieniu od lasów rosnących na nizinach ten wzdłuż szlaku do Odrodzenia miał w sobie coś groźnego i odpychającego. Konary starych drzew były nienaturalnie wykrzywione, jakby zamarły nagle w bolesnym spazmie, próbując ostrzec wędrowców, żeby nie zapuszczali się w głąb puszczy. Szumiący w koronach

drzew zimny, nocny wiatr przesuwiał kolejne chmury, co rusz zasłaniając księżyc znajdujący się w ostatniej kwadrze. Ciemność nocy rozbudzała wyobraźnię Justyny, potęgując wrażenie, że stara, zboczona niegdyś niewinną krwią puszcza prowadzi własne wewnętrzne życie.

W radiu zaczynało się właśnie cotygodniowe słuchowisko. Samochód wypełnił nieco demoniczny basowy głos mężczyzny, który czytał kryminał *Zanim mnie zabijesz*. Była to już kolejna audycja z cyklu i choć Justyna nie słuchała poprzednich, historia szybko ją wciągnęła.

W pewnym momencie dwa światła błysnęły jej we wstecznym lusterku. Czyżby ktoś znowu za nią jechał? Poczwała, jak przechodzi ją dreszcz. Droga na Przełęcz Karkonoską przebiegała przez teren parku narodowego i była dostępna tylko dla jego pracowników i obsługi schroniska. Wątpiła jednak, aby ktokolwiek z nich jechał o tej porze na górę. Zatrzymała samochód i spojrzała za siebie. W tylnej szybie nie dostrzegła jednak żadnych świateł. O ile w Jeleniej Górze śledzące ją auto wywołało w niej zwykłą irytację, o tyle teraz poczuła strach. Ktoś zadał sobie dużo więcej trudu, żeby tu za nią dotrzeć. Czy śledził ją od chwili wyjazdu spod domu matki? Jaki mógł mieć cel? Gdy uzmysłowiła sobie, że jest w lesie zupełnie sama, wcisnęła pedał gazu i szybciej ruszyła pod górę. Co jakiś czas spoglądała w lusterko, ale nie zauważyła już niczego niepokojącego.

– Pewnie masz urojenia, głupia babo – zaczęła mówić sama do siebie, żeby się uspokoić. – Przecież to równie dobrze mogli być dwaj turyści z latarkami. Nasłuchałaś się, to teraz masz – podsumowała i przełączyła kryminalne słuchowisko na inny program.

Chwilę później wjechała na Przełęcz Karkonoską. Dawno nie cieszyła się tak na widok Szpindlerowej Boudy. Właściciel przystroił ją kilka lat temu lampkami choinkowymi i najwidoczniej tak mu się spodobało, że zapalał teraz tę dekorację co noc przez cały rok.

Minęła uroczym wyglądem czeską baudę i zaraz ujrzała Odrodzenie. W przeciwieństwie do bożonarodzeniowej chatki jej schronisko tonęło w mroku nocy. Ciemne okna sprawiały złowróżbne wrażenie. Gdyby nie wiedziała, że jest to spowodowane zaczynającym się od jutra remontem, pomyślałaby, że budynek został opuszczony na stałe.

Zaparkowała samochód przed wejściem, wygrzebała z torebki pęk kluczy i otworzyła drewniane, skrzypiące drzwi. Z mieszkania pana Wiesia, które

znajdowało się zaraz na lewo od wejścia, nie dochodziły żadne odgłosy. „Pewnie już śpi” – pomyślała Justyna i przez kolejne, już niezamknięte na klucz wahadłowe drzwi weszła do holu.

Jego wnętrze oświetlał wyłącznie blask księżyca wpadający do środka przez wielkie okna. Powiodła wzrokiem po schodach i długim balkonie na półpiętrze. Miejsce wydało jej się jeszcze bardziej mroczne niż wczoraj. Rezygnując z zapalania wielkich żyrandoli, weszła na pierwsze piętro, a stamtąd małą klatką schodową na drugie, gdzie mieszkała. Co jakiś czas oglądała się za siebie, mając nieodparte wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Dopadła do drzwi swojego mieszkania, weszła do środka i przekręciła klucz. Próbowwała się uspokoić i wyrównać oddech. Wiedziała, że racjonalnie patrząc, nie ma się czego obawiać. Na co dzień, gdy przemierzała korytarze, nawet w późnych godzinach słyszała szmer ludzkich rozmów, chrapanie czy śpiewy nietrzeźwych turystów. Teraz zaś wychwytywała zupełnie inną gamę dźwięków, takich jak skrzypienie schodów czy szum przeciągów powodowanych przez wiatr i nieszczelne okna.

Zapaliła lampkę nocną i wtedy jej uszu dobiegł dziwny hałas, jakby ktoś uderzał młotkiem w ścianę. Zaczęła nasłuchiwać, jednak niepokojący dźwięk ustał. Poczuła, że ma gęsią skórkę. Wyjęła z szafy ulubiony polar i go włożyła. W tym okresie zazwyczaj w schronisku było wyjątkowo chłodno, gdyż mury budynku oddały już ciepło zgromadzone latem, a sezon grzewczy jeszcze się nie zaczął.

Gdy nalewała wrzątku do kubka z saszetką herbaty, usłyszała hałas po raz kolejny. „Co ten Wiesiu robi o tak późnej porze?” – zaczęła się zastanawiać, spoglądając na zegarek. Dźwięk brzmiał tak, jakby ktoś kuł tynk. Przekręciła klucz w zamku i wyjrzała na korytarz. Był pusty. Hałas dochodził z dołu. Stawał się coraz głośniejszy i niósł się po całym schronisku. Zapaliła światło i poszła w kierunku klatki schodowej.

Zeszła na pierwsze piętro, po czym zajrzała do holu. Zaczęła nasłuchiwać uważniej i podążając za hałasem, dotarła do drzwi, za którymi znajdowały się schody do piwnicy. Po prawdzie pomieszczenia, z których dochodził hałas, były częścią parteru, ale w Odrodzeniu zazwyczaj określano je mianem piwnicy z racji charakteru miejsca. Były oddzielone od holu, miały małe okna albo nie posiadały ich wcale, ponieważ zimą ta część schroniska zniknęła na kilka miesięcy pod grubą warstwą śniegu. Goście nie mieli tu wstępu, gdyż znajdowały się tam tylko

kotłownia, garaż i magazyn, gdzie składowano różne rzeczy: stare meble, przetwory Marszałkowej i zapas węgla.

Stukot dochodzący z piwnicy przybierał na częstotliwości, jakby ktoś uderzał młotkiem coraz szybciej. Dźwięk ten brzmiał niepokojąco i instynktownie zaczynała czuć, że to nie Wiesiu jest jego źródłem.

Przez chwilę zastanawiała się, co robić. Była sama w pustym, ciemnym schronisku. „Nie jesteś sama” – przeszło jej przez myśl ułamek sekundy później. – „Jest przecież jeszcze ktoś z młotkiem w ręce”. Odruchowo wykrzywiła twarz w ironicznym uśmiechu. Przełamała strach i nacisnęła klamkę drzwi do piwnicy. Zdziwiło ją, że są zamknięte. Wyjęła z kieszeni pęk kluczy i gdy znalazła właściwy, ostrożnie otworzyła drzwi i spojrzała w dół schodów. Dochodziło stamtąd mdlawe światło. Zaczęła powoli schodzić, opierając się plecami o ścianę, aby cały czas mieć w zasięgu wzroku górę i dół. Za zakrętem okazało się, że światło porusza się w rytm stukotu, tak jakby ten, kto uderzał w coś młotkiem, trzymał latarkę w drugiej ręce. Pokonała kilka kolejnych stopni i dotarła do ostatniego zakrętu, zza którego było już widać pomieszczenie. Wstrzymując oddech, wyjrzała w kierunku źródła światła.

W pustym garażu, pod jedną z surowych, granitowych ścian stało dwóch roślących mężczyzn w czarnych kurtkach i kominiarkach. Na głowach mieli latarki czołowe, którymi oświetlali fragment ściany, gdzie był jakiś zamurowany otwór. Jeden z mężczyzn młotkiem i dłutem kruszył spoiwo między cegłami, a drugi starał się wyważyć je łomem.

„To się nie dzieje naprawdę” – pomyślała, czując, jak strach paraliżuje ją tak bardzo, że sztywnieją jej wszystkie mięśnie.

W pewnym momencie mężczyzna, który trzymał w dłoniach łom, zaczął mówić coś do drugiego. Ten przerwał kucie, spojrzał na niego, a światło jego latarki omiotło dalszą część garażu, obejmując wyglądającą zza rogu Justynę.

– Ty! – krzyknął, wskazując na dziewczynę. Obaj spojrzeli na nią, a potem rzucili się w jej kierunku.

Justyna puściła się biegiem schodami w górę. Było to jedyne, poza bramą garażową, wyjście z piwnicy.

– Panie Wiesiu! Pomocy! – zaczęła wrzeszczeć najgłośniej, jak potrafiła. Odpowiedziała jej tylko złowieszczo brzmiąca cisza pustego schroniska.

Zrozumiała, że żadna pomoc nie nadejdzie. Zaczynało jej brakować tchu, więc przestała krzyżeć, żeby zachować siły do ucieczki.

Bieg po pustym i cichym schronisku był przerażający. Wielkimi susami pokonywała po dwa stopnie naraz, wciąż słysząc swoje sapanie i stukot ciężkich kroków goniących ją osobników. Dotarła na piętro, skąd najkrótsza droga na dwór wiodła przez jadalnię i taras, jednak tamte drzwi były niemal na pewno zamknięte. Pod nogami mignęły jej światła latarek, co oznaczało, że mężczyźni pokonali ostatni zakręt i wbiegali już prostym odcinkiem schodów na górę. Momentalnie podjęła decyzję i rzuciła się w kierunku holu. Usiadła na poręczy schodów i po niej błyskawicznie zjechała na parter. W okamgnieniu przebiegła pomieszczenie i wypadła na dwór wprost na stojące na podjeździe schroniskowe auto. Już poczuła ulgę, ale po chwili uświadomiła sobie, że kluczyki do samochodu są w mieszkaniu na drugim piętrze.

Pozostała jej tylko jedna możliwość: Szpindlerowa Bouda. Rzuciła się w kierunku nieodległego czeskiego schroniska. Zaraz potem uświadomiła sobie, że w kieszeni polaru ma komórkę. Nie przestając biec, wyjęła ją i wybrała numer do Wiesia. Po kilku sygnałach usłyszała w słuchawce głos dozorca.

– Co tam, pani Justynko?

– Gdzie... Pan... Jest!? – wysapała, przystając. Odwróciła się. Była w połowie drogi między Odrodzeniem a Szpindlerową Boudą. Wyglądało na to, że goniący ją mężczyźni nagle porzucili swój zamiar, gdyż droga za nią była pusta.

– No jak to, w Odrodzeniu... – Usłyszała spokojny głos Wiesia, a w tle jeszcze jakiś inny męski głos.

– Co pan plecie! – Oddychała ciężko. – Ja byłam właśnie w schronisku. Ktoś mnie goni, tam są jacyś... włamywacze! – wykrzyczała. Jeszcze raz z przerażeniem spojrzała w stronę budynku, po czym znowu zaczęła biec.

– Jak to? Co pani mówi? – wydusił Wiesiu po dłuższej chwili. – Ktoś włamał się do schroniska – rzucił do kogoś zdenerwowanym głosem, po czym zaczął się tłumaczyć: – Ja tylko poszedłem dosłownie na chwilę do Szpindlerowej Boudy, nikogo w Odrodzeniu nie było...

– No to już ktoś jest, do cholery – wysapała ostatkiem sił.

– Boże! – Słowa Justyny docierały do Wiesia jakby z opóźnieniem. – Gdzie pani teraz jest?

– Biegnę do Szpindlerowej!

– Lecimy do pani! – wrzasnął i się rozłączył.

Była już blisko czeskiego schroniska, gdy dostrzegła nadbiegającego z naprzeciwka Wiesia i drugiego mężczyznę, którego nie знаła. Dozorca dopadł Justyny i objął ją z całej siły.

– Boże, dziecko, co się stało? Coś ci zrobili? – wydusił z siebie.

– Nie... Uciekłam! Matko, kto to był!?

– Już dobrze, już jest pani bezpieczna, niech się kierowniczką spróbuje nie denerwować... – Nieudolnie starał się ją uspokoić. – Co robimy? – zapytał zdezorientowany dozorca stojącego obok mężczyznę.

– No jak co? *Běžíme tam!*^[7] Ciekawe, czy są tacy odważni. *Volám policji!*^[8] – dodał i wyciągnął komórkę.

– Pani Justyna może lepiej niech zostanie w Szpindlerowej Boudzie – zaczął Wiesiu.

– Mowy nie ma. – Zacisnęła palce w pięść. Powoli wracała jej zdolność trzeźwego myślenia. W towarzystwie czuła się po stokroć bardziej bezpieczna i odważna. – Nie będą mnie skurwysyny straszyć po nocy! Po moim trupie! – wrzasnęła i puściła się w kierunku Odrodzenia.

Wiesiu spojrzał za kierowniczką, która w trampkach, eleganckiej wieczorowej sukience i polarze biegła do schroniska.

Chwilę później oboje znaleźli się pod drzwiami. Trzeci mężczyzna biegł wolniej, ciężko sapiąc i nieustannie stukając w telefon i przykładając słuchawkę do uszu.

– Kto to jest? – szepnęła Justyna, pokazując głową na doganiającego ich Czecha.

– Pavel Svoboda – odparł Wiesiu. – Nie zna go pani?

– Nie.

– Mój kolega, spotykam się z nim czasami, by pogadać, napić się czeskiego piwka...

– Cholera! – Doszedł ich głos Svobody. – *Telefon nefunguje*^[9]. To przez remont *věže*^[10] na Medvědinie – dodał, wskazując na góry na południu.

– Co? – zapytała Justyna.

– Nie działa – przetłumaczył Wiesiu. – Zasięg się gubi co chwilę, bo trwa remont wieży przekaźnikowej na szczycie Niedźwiedzia. Co robimy? – zapytał po raz

kolejny tego wieczoru. Był wyraźnie wystraszony i zdezorientowany.

– Wchodzimy – powiedzieli niemal jednocześnie Czech i Justyna. Dziewczyna podeszła do drzwi, uchyliła jedno skrzydło i zajrzała do środka.

– Chyba pusto – oznajmiła.

Wiesiu zrobił krok do środka, doskoczył do włącznika i go nacisnął. Żyrandole błysnęły dziesiątkami żarówek, tak że w przedsionku i holu momentalnie zrobiło się jasno. Justyna i Svoboda weszli za dozorcą. Podążyli schodami w górę, na piętro, rozglądając się uważnie wokół i nasłuchując. W schronisku panowała cisza.

– Gdzie oni byli? – zapytał Wiesiu.

– W garażu – odparła Justyna, wskazując na drzwi.

– W takim razie idziemy – zdecydował dozorca i ruszył do piwnicy. Zapalał po drodze wszystkie światła, jednak wkoło nie było żywego ducha. Garaż także okazał się pusty.

– Próbowali wybić ten kawałek. – Justyna wskazała na granitową ścianę i zamurowany otwór.

Cała trójka podeszła do muru.

– Ale tu nie ma żadnych śladów... Wszystkie cegły są na miejscu. – Dozorca się zdziwił.

Justyna przyjrzała się ścianie. Rzeczywiście, mur był nienaruszony, ale ubyło nieco spoiwa między cegłami. Przez chwilę obmacywała ścianę.

– Wszystkie są na miejscu, poza jedną. – Wysunęła cegłę z najwyższego rzędu. Zobaczyła zdziwienie w oczach Wiesia; sama też była dość zaskoczona. Żadnych wyraźnych śladów kucia nie było: ani narzędzi, ani gruzu na podłodze.

– Najpierw próbowali się przebić do szybu towarowego, potem po sobie posprzątali? – Czech zastanawiał się na głos, przyglądając się poczynaniom dwójki. – Dziwni złodzieje.

– Nie umiem tego wyjaśnić. – Justyna z niedowierzaniem kręciła głową.

– A zginęło coś? – zapytał Svoboda.

Kierowniczką i Wiesiu rozejrzeli się po garażu.

– Pan lepiej zna to miejsce – powiedziała Justyna.

– Na moje oko... – Dozorca podrapał się po głowie. – Nic. Znaczący się, nic dużego. Obie odśnieżarki są, moje wiertarki, piła... – zaczął wyliczać, wskazując na

różne przedmioty. – Poza nimi nie było tu raczej nic cennego, sama pani wie.

W tym momencie Svoboda zauważył, że jedno skrzydło bramy garażu jest uchylone.

– Pani ją otworzyła? – zapytał.

– Nie – odparła Justyna zdziwiona.

– Czyli pewnie tędy weszli. – Podszedł do drzwi i zaczął się przyglądać kłódce, po czym westchnął ciężko. – Ale na moje oko to *visací zamek jeste normální*^[11].

– Przy kłódce nie majstrowali. – Justyna przyznała mu rację, przyglądając się skoblowi. Spojrzała pytająco na Wiesia, który milczał od dłuższej chwili. Także Czech zaczął przypatrywać mu się z napięciem.

– Matko... To chyba moja wina... – zawołał i wykrzywił twarz w bolesnym grymasie, po czym potarł ją dłońmi.

– Nie zamknął pan? – spytała, chcąc się upewnić.

– Chyba nie... Teraz to już nie jestem pewien... Sama pani wie, jak jest z garażem – próbował się tłumaczyć. – Drzwi na górze schodów i tak są zamykane, a z garażu co rusz się wyjeżdża, wjeżdża, w dzień zaglądam tu po narzędzia, jak robię coś przed budynkiem... Nie zamykam tej kłódki za każdym razem. Musiałem zapomnieć, przepraszam. – Jego oczy zrobiły się błyszczące.

– Nie pana wina... – Westchnęła. Sama dobrze wiedziała, że w schronisku panowała ogólnie przyjęta i milcząco przez nią akceptowana beztroska co do zamykania czegokolwiek na klucz.

– Może sprawdzimy resztę waszej baudi? – zasugerował Czech.

– Dobrze – odparła Justyna, zamykając bramę garażu od środka na skobel. Wszystko, co stało się do tej pory, wydawało jej się bardzo dziwne.

Obeszli hol, kuchnię, jadalnię, łazienki i oba piętra z pokojami dla gości, wszędzie zapalając światła. Większość pomieszczeń była jednak pusta albo zamknięta. Po kilkunastu minutach spotkali się ponownie w holu.

– Co w takim razie? – Wiesiu postanowił chyba wykorzystać limit zadawania tego samego pytania za cały najbliższy rok.

– Skoro nie ma tych włamywaczy, to nic – odparła Justyna. Przeszukując schronisko, zdążyła przemyśleć, jak całe opisywane przez nią zajście może

wyglądać z boku. – Nawet jak zadzwonię teraz na policję, to co im powiem, skoro nie ma włamywaczy i nic nie zginęło? Nie ma przecież śladów włamania...

– Ojej. – Była to jedyna odpowiedź, na jaką zdobył się wyraźnie skonsternowany Wiesiu.

– W takim razie pan Paweł może iść do domu – stwierdziła po chwili, odnosząc wrażenie, że Czech chce już wyjść, ale nie wie, jak w takiej sytuacji się pożegnać.

– Na pewno nie będę potrzebny?

– Damy sobie radę, dziękuję. – Justyna dyplomatycznie wysiliła się na uśmiech.

– W takim razie *dobrou noc*^[12].

– Spokojnej nocy – odparła.

– Trzymaj się, Paweł – rzucił Wiesiu i podał mu rękę. – Przepraszam... Za to zamieszanie.

– Daj spokój. – Czech zganił go wzrokiem. – Do zobaczenia.

Gdy mężczyzna wyszedł, Wiesiu spojrzał na Justynę zdziwiony.

– Dlaczego pani tak nagle wróciła? – zapytał z troską.

– Szkoda gadać... – Westchnęła, idąc do jadalni. W jej głowie kłębiły się skrajne emocje i niejasne przeczucia. – Napijemy się?

– Z kierowniczką a i owszem – odparł dozorca, chociaż zaskoczyła go ta nagła propozycja.

Justyna oparła się rękami na barze, podskoczyła i usiadła na blacie. Ściągnęła z półki wódkę i dwa kieliszki.

– Tylko ciepłą mamy...? – Skrzywiła się nieznacznie, stawiając butelkę na stole.

– Chyba tak... Zresztą, niech będzie i ciepła. – Wiesiu machnął ręką.

Nalała im do kieliszków.

– Pani Justyna może niech jednak pojedzie na dół na noc, tak teraz myślę? – zaczął Wiesiu, biorąc kieliszek. – Na pewno bardzo się pani wystraszyła...

W tej sekundzie Justyna jednym haustem wypła wódkę do dna.

– Teraz już nie mogę – odparła, krzywiąc się i strzepując kroplę alkoholu z kieliszka na ziemię. Przewidziała, że dozorca będzie namawiał ją na powrót do Jeleniej Góry, i chciała alkoholem jak najszybciej ukrócić jego nagabywanie. Poza tym w ten sposób zamknęła sobie ewentualną możliwość ucieczki, gdyby sama stchórzyła i chciała wrócić na dół. – Pijemy jeszcze po jednym i do roboty.

– Do roboty? – zdziwił się dozorca.

– Nie inaczej. Zbliża się północ, a robotnicy i obsługa kuchni pojawią się koło dziewiątej. Czyli od jutra znowu będzie tu dużo ludzi i zrobi się... – chwilę szukała właściwego słowa – bezpieczniej. Do tego czasu w schronisku jesteśmy tylko my.

– No tak... – Wiesiu zmarszczył czoło.

– Jeśli tajemniczy goście mieliby zamiar tej nocy pojawić się znowu... – Urwała, wzdrygając się na samą myśl o chwili, w której włamywacze na nią spojrzeli. – Wszystkie światła mają zostać zapalone, rozumiemy się? Drugi raz nie będę ganiać po tym piekielnym domostwie po ciemku. Przez pierwsze cztery i pół godziny wartę mam ja. Będę siedziała w jadalni albo w holu.

Wiesiu spojrzał na nią zaskoczony.

– Tak będzie. Poczytam coś sobie – kontynuowała. – O wpół do piątej budzę pana i jest zmiana warty do dziewiątej. Ja w tym czasie spróbuję choć na chwilę zasnąć, ale wątpię, żeby dzisiaj mi się to udało. Jak pójdzie pan sobie gdziekolwiek, na piwko do Szpindlerowej czy coś, to uprzedzam, że nie ręczę za siebie. – Spojrzała mu w oczy, próbując dostrzec w nich coś więcej niż tylko lęk i niepewność.

– Się rozumie, kierowniczo. Tak bardzo panią przepraszam... Nawet kierownicza nie wie, jak bardzo mi wstyd. Takie wyjście już się nie powtórzy, obiecuję – zaczął się zarzekać.

– Może pan sobie wychodzić, ja przecież nie zabraniam. Ale nie wtedy, kiedy w schronisku jest zupełnie pusto, rozumiemy się?

– Jasne.

– No to teraz pijemy – rzuciła komendę, po czym uniosła kieliszek. – Za spokojną noc.

– Za spokojną.

Chwilę później poczuła, jak alkohol pali ją w przełyk i po jej ciele rozchodzi się przyjemne uczucie ciepła. Przez moment trwała w letargu, wsłuchując się w swój na powrót spokojny, miarowy oddech. Miała wrażenie, że jej ciało powoli się rozluźnia. Nalała trzecią kolejkę. Dobrze wiedziała, że Wiesiu, w przeciwieństwie do niej, ma słabą głowę.

– Na drugą nóżkę – zachęciła dozorcę i opróżniła kolejny kieliszek. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a Justyna udawała, że wpatruje się w okno. Chwilę

później kątem oka spojrzała na mężczyznę. Miała wrażenie, że jego powieki powoli opadają.

– Zastanawiam, co jest w tym garażu zamurowane, za tą ceglana ścianą.

– Tam? – Wiesiu westchnął. – To kierowniczka nie wie?

– Gdybym wiedziała, to bym nie pytała.

– Phi – prychnął, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Szyb towarowy.

– Jaki szyb?

– No taki stary pion tam jest, po Niemcach zostało. Biegnie z garażu przez kuchnię na drugie piętro.

– Aha... – Justynie zaczynało coś świtać. – Widziałam te zamknięte na skobel drzwiczki w kuchni i na wyższym piętrze, ale myślałam, że szyb łączy tylko te dwie kondygnacje...

– Nieee. – Wiesiu pokręcił głową. – On jest poprowadzony przez całą wysokość schroniska, aż z piwnicy. Szwabki wymyśliły to tak – cmoknął i podrapał się po brodzie – że z garażu można było windą wwieźć węgiel prosto do kuchni, a stamtąd ewentualnie transportować jedzenie na drugie piętro. Chociaż to już nie wiem po co, bo przecież... po co? Jak jadalnia na pierwszym jest. – Język powoli zaczynał mu się plątać. Justyna słuchała go uważnie, co rusz dolewając mu wódki.

– Zdrowie – rzuciła.

– Ja już chyba nie mogę, jak mam tu pilnować... – zaczął kręcić głową Wiesiu.

– Może pan, może. Polecenie przełożonej. – Zaśmiała się. Czowała, że alkohol zaczyna działać też na nią, jednak doskonale wiedziała, na ile może sobie pozwolić.

– Ale dlaczego wlot do tego szybu w piwnicy jest zamurowany? – zapytała.

– To ja za... zamurowałem. W dziewięćdziesiątym którymś. Wtedy, kiedy był remont, mówiłem pani dzisiaj.

– Tak, tak, mówił pan, że był remont. Ale po co pan zamurował?

Odpowiedziało jej kolejne prychnięcie.

– Marszałkowa sobie ubzdurzyła, że mam zamurować. No to zrobiłem, jak kazała, nie będę się przecież z babą kłócił.

– A co jej ten szyb przeszkadzał?

Wiesiu zaśmiał się, po czym kichnął i wytarł nos rękawem flanelowej koszuli.

– Nie uwierzy kierowniczką. Marszałkowa... Ona ponoć zobaczyła kiedyś, jak z tego szybu wychodzi do kuchni... duch!

– Duch? – powtórzyła Justyna.

– Ano tak. Ja mówię jej, babo... – Wiesiu zaczynał wymawiać każde słowo coraz bardziej przeciągle. – Ty przestań tyle pić, bo już delirka się zaczyna...

– Przecież Marszałkowa w ogóle nie pije – powiedziała zdziwiona.

– No. – Wiesiu pokiwał głową. – Od tamtej pory nie. Od kiedy zobaczyła tego tam... Ducha. Ale wcześniej to sobie lubiła... Wie kierowniczką. – Przeciągnął ręką po szyi.

– I jak zobaczyła demona...

– Ducha – poprawił ją dozorca, unosząc wskazujący palec do góry.

– I jak zobaczyła tego ducha, to kazała szyb zamurować?

– No.

– I pan to zrobił?

– Ciosała mi te... No... Kołki na głowie. Że póki nie zamuruję, to mi nie będzie gotować. No to myślę sobie: masz babo, zamuruję, tylko przestań mi już głowę suszyć.

Wiesiu po alkoholu sypał frazeologizmami jak z rękawa. Justyna po raz kolejny spojrzała uważnie na starszego mężczyznę i pochyliła się w jego kierunku.

– A jak pan myśli, czego oni teraz szukali w tym szybie?

Wiesiu zdawał się momentalnie spoważnieć, jakby wyparował z niego cały wypity dotychczas alkohol.

– A skąd mnie to wiedzieć? Pewno chcieli się włamać przez szyb do kuchni, a stamtąd... Do reszty schroniska – odparł, pocierając nadgarstki.

– Pan w to wierzy? – zapytała, czując rosnące poirytowanie, bo miała wrażenie, że dozorca właśnie zaczął kłamać. – Zamiast wyważyć jeden prosty zamek w drzwiach od strony tarasu, oni kuli ścianę, żeby potem wspinać się przez szyb do kuchni? I co, kurwa, chcieli stamtąd ukraść: kolekcję chochelek Marszałkowej? – syknęła.

– Bo ja wiem... – Wzruszył ramionami, spuszcżając głowę. Potarł rękami szyję. – Nie mam pojęcia, czego tamci szukali.

– Chyba nie mówi mi pan wszystkiego.

– Mówię. Mówię! – zarzekął się Wiesiu, podnosząc głos. Chwilę później łyż stanęły mu w oczach. – Gdzie ja bym kierowniczkę okłamał, pani wie, że... Że ja pani życie zawdzięczam! Ja za panią w ogień... Jak może mnie pani w ogóle o coś takiego podejrzewać... – Urwał, kilka razy nerwowo przełknął ślinę. – Przyznaję. Nie było mnie tu przez... dłuższą chwilę. Ale poza tym nie zrobiłem nic złego... Nic... – Żuchwa zaczęła mu drzeć.

– W porządku. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Wierzę panu przecież. Pytałam, bo myślałam, że może coś pan wcześniej zauważył.

– Co na przykład?

– Nie wiem... Że ktoś dziwny się tu kręci? O coś pyta?

– Jakbym zauważył, to bym powiedział.

– Jasne.

Wiesiu westchnął.

– Dobrze, niech pan idzie spać, o wpół do piątej przyjdę budzić.

– Tak jest, szefowo. Dobranoc. – Wiesiu nieco chwiejnie wstał z krzesła i nieudolnie zasalutował.

– Dobranoc.

Została sama. Odczekała chwilę, po czym poszła do mieszkania po koc do okrycia. Miała przed sobą długą noc z dala od ciepłego łóżka.

Wróciła do jadalni, usiadła na krześle i owinęła się miękkim pledem. Na stole wciąż stała butelka wódki. W pierwszej chwili miała ochotę nalać sobie jeszcze jeden kieliszek, ale zrezygnowała, bo pomyślała, że to może się dla niej źle skończyć.

Zacząła intensywnie myśleć o wszystkich wydarzeniach minionego wieczora. Boże, może rzeczywiście miała jakieś zwiady? Jak Marszałkowa...? Zaskoczyły ją wyznania Wiesia. Pracowała w schronisku od kilku ładnych lat i nigdy wcześniej nie słyszała, żeby kucharka miała kiedykolwiek problemy z alkoholem... Zachowanie dozorczy też wydało jej się trochę nienaturalne. Do tej pory ufała Wiesiowi bezgranicznie, ale teraz czuła, że coś przed nią ukrywa. Pytanie tylko, czy robił to z troski o nią, czy ze strachu przed kimś? A może był z włamywaczami w zмовie? Tę ostatnią myśl od razu odrzuciła. Dozorca był człowiekiem uczciwym, nigdy nie ośmieliłaby się zarzucić mu próby okradnięcia schroniska. A jednak coś w jego zachowaniu wzbudziło u Justyny nieufność.

Z drugiej strony pan Wiesiu miał prawo być nieswój, w końcu nie co dzień zdarzają się w Odrodzeniu włamania. Zwłaszcza że czuł się po części winny, bo to on nie zamknął bramy garażowej. Właśnie, czy on? To pytanie kołatało jej się po głowie od dłuższego czasu. Próbowała przypomnieć sobie dzisiejszy poranek. Wyprowadziła auto z garażu, poszła do mieszkania po torbę, wrzuciła ją do bagażnika i... odjechała! Nagle poczuła nieprzyjemny skurcz w trzewiach. Istniało spore prawdopodobieństwo, że to ona nie zamknęła za sobą bramy. Zresztą nadal nie widziała sensu w zamykaniu jej za każdym razem. W tej części schroniska nie było niczego szczególnie cennego, może poza narzędziami Wiesia.

W pewnym momencie usłyszała hałas dochodzący z holu. Natychmiast sprawdziła, czy ma w kieszeni komórkę, chociaż przy obecnych problemach z zasięgiem nie dawała ona zbytniego poczucia bezpieczeństwa. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu czegoś do obrony. Nie zauważyła jednak niczego sensownego poza butelką wódki. Wzięła ją więc w dłoń, niepewnie podniosła się z krzesła i wyszła z jadalni na balkon w holu. Wstrzymała oddech, gdy na parterze zobaczyła trzech chłopaków w krótkich czarnych spodniach i jasnobrązowych koszulach. Spod ich kołnierzyków wyzierały czarne niedbale przewiązane chusty, a na umięśnionych ramionach opinały się czerwone opaski ze swastyką.

– Hitlerjugend... – wyszeptała przerażona. Chłopcy byli odwróceny do niej tyłem, hajlując w stronę zawieszzonego na ścianie portretu, z którego nienawistnym wzrokiem spoglądał na nich Führer. W pewnym momencie młodzi naziści odwrócili się w jej stronę i wtedy dopiero zauważyła, że dwóch z nich nie ma oczu. Zaczęli iść w jej kierunku. Wrzasnęła przerażona i uderzyła butelką o poręcz schodów. Uniosła rękę, w której został fragment szkła, mając zamiar się nim bronić.

– Pani Justyno... – Usłyszała nagle znajomy głos. – Halo! Kierowniczo! – Wiesiu potrząsnął jej ramię.

– Boże! – wrzasnęła przerażona, zrywając się z krzesła i zrzucając z siebie koc.

– Już dobrze, coś się pani śniło... – Dozorca ją uspokajał. – Dochodzi piąta, przyszedłem na zmianę warty.

– Tak, tak – szepnęła na wpół przytomna Justyna, marszcząc czoło. Światła lamp w jadalni raziły ją w oczy.

– Może pani iść do siebie, przespać się w łóżku, a nie tu na krześle...

– Tak zrobię – odparła, ciężko wypuszczając powietrze.

CZEŚĆ IV

URODZINY

Schronisko Odrodzenie, 11 września 2006

Ktoś zapamiętałe uderzał młotkiem w ścianę.

– Cholera jasna! – Justyna zerwała się z łóżka i momentalnie poczuła pulsujący ból w skroniach. Była złana potem i miała wrażenie, że właśnie zaczyna jej się śnić kolejny koszmar. Przez chwilę oddychała ciężko, niepewnie rozglądając się wokół. Po sekundzie uświadomiła sobie, że jest u siebie w pokoju, a na dworze zrobiło się jasno. Spojrzała na zegarek, było wczesne popołudnie. Hałas musiał więc być następstwem działań ekipy remontowej. Wyjrzała przez okno i odetchnęła z ulgą. Przed schroniskiem stały dwa samochody dostawcze należące do budowlańców.

Przysiadła na parapecie, jak to miała w zwyczaju, i próbowała zapanować nad gonitwą myśli. Przypominały jej się wydarzenia minionej nocy, która wydawała się czymś bardzo odległym. Niebo za oknem było bezchmurne, bladoniebieskie jak rozmyta akwarela. Promienie słońca ogrzewały wystające ponad linię lasu posępne karkonoskie szczyty. Zieloność iglastych lasów, które porastały zbocza gór, straciła na intensywności i gdzieś przetykana była złotymi plamami liściastych drzew. Te zaś przygotowywały się już na przyjście surowej zimy. Ujemne temperatury i śnieg zdarzały się na tych terenach dużo wcześniej niż na nizinach. Patrząc na sielski jesienny krajobraz za oknem, Justyna przez moment była gotowa wmówić sobie, że to wszystko, co działo się w nocy, było wyłącznie złym snem. Po chwili dostrzegła jednak stojącą na stoliku przy łóżku opróżnioną do połowy butelkę wódki. Nad ranem, idąc spać po swojej warcie, zabrała ją z jadalni. Na wszelki wypadek, żeby Wiesiu nie skusił się na alkohol.

Czuła się fatalnie. Miała sucho w ustach, bolała ją głowa i co chwilę robiło jej się niedobrze. Sama już nie wiedziała, czy to przez wypitą wczoraj wódkę, czy z głodu, czy może ze stresu. Poszła do łazienki wziąć długi prysznic, po którym

poczuła się nieco lepiej. Pusty żołądek zaczął się nawet domagać jedzenia, dlatego ubrała się i postanowiła zejść do kuchni i przygotować sobie jakieś późne śniadanie. Po drodze minęła kilku robotników wnoszących z łazienek dla turystów wiadra gruzu. Wyglądało na to, że prace ruszyły na całego.

W pewnym momencie poczuła w kieszeni wibracje. Wyjęła telefon i spojrzała na ekran. Dzwonił Łukasz.

– Wal się – mruknęła i odrzuciła połączenie, po czym weszła do kuchni.

W pomieszczeniu panował typowy dla tej pory dnia rozgardiasz. Justyna uwielbiała tu zaglądać, obserwując jak szefowa kuchni, Renata Marszałkowa, z właściwą sobie perfekcją ogarnia to zamieszanie. Nieco ponadpięćdziesięcioletnia kucharka posiadała wyjątkową zdolność organizowania pracy w schroniskowej kuchni. Jej zmysł zarządzania nie zawodził nawet przy przygotowywaniu uroczystych, sylwestrowych kolacji dla kilkuset gości.

Teraz przygotowywała obiad dla robotników pracujących przy remoncie schroniska. Na długich blatach były już porozkładane miski i talerze, a szefowa kuchni uwijała się przy wielkim garze z zupą, dosypując do wywaru kolejnych przypraw. Jednocześnie co jakiś czas wydawała polecenia pomocy kuchennej, z zegarmistrzowską precyzją kontrolując każdą wykonywaną w kuchni czynność. W pewnym momencie zdjęła z jednego z haków zwisającą niemal od sufitu chochlę, zamieszała nią w garze, przykręciła gaz i spróbowała odrobiny doprawionej przed chwilą zupy.

– *Voilà!*^[13] – wykrzyknęła. – Będzie taki rosół, że im z wrażenia portki z tyłków pospadają – dodała zadowolona, po czym zauważyła stojącą przy wejściu kierowniczkę.

– O, Justynka, a ty nie miałaś być na urlopie? – zapytała.

– Miałam, ale... – zawahała się – wolałam zostać tu z wami na czas remontu.

– Ty jesteś mała pracoholiczka, dziecko – stwierdziła Marszałkowa, grożąc jej na niby chochlą, trzymaną w ręku niczym berło.

– Jaka tam pracoholiczka, wstałam dopiero przed chwilą – odparła Justyna, uśmiechając się, po czym położyła ręce na brzuchu. – Zjadłabym coś – dodała słodkim głosem. Wiedziała, że to hasło działa na Marszałkową jak syrena alarmowa na strażaka.

– Oczywiście! Czy może masz ochotę na rosółek? Nic tak dobrze nie robi na małe czy większe smuteczki... Siadaj, kochana. – Wskazała jej miejsce na zydelku przy jednym z kuchennych blatów. Justyna nie wnikała nawet, skąd kobieta wie o jej kiepskim samopoczuciu, tylko posłusznie zajęła miejsce. Chwilę później przed jej nosem znalazł się talerz pełen parującego rosółu z makaronem, krojonej w kostkę marchewki i świeżo siekanej natki pietruszki.

Jadła rosół, gdy usłyszała nieco upiorne dźwięki dochodzące z jadalni. Od kiedy właściciel kupił do schroniska wieżę stereo, szefowa kuchni została nieoficjalną didżejką Odrodzenia, co rusz przynosząc nowe płyty, które puszczała w jadalni.

– Co to leci? – zapytała, po czym wciągnęła długą nitkę makaronu.

– Aa – odparła Marszałkowa z zadowoleniem. – To muzyka filmowa. Kupiłam ostatnio na stoisku na rynku. Z jakiegoś amerykańskiego serialu, kojarzysz, kochana? Taki, że tam ginie dziewczyna w pierwszym odcinku, jakaś Laura. I potem cały sezon jej mordercy szuka taki przystojny agent... – Rozmarzyła się. – Oglądałam ten serial tylko dla niego, był takim pięknym młodzieńcem... Bo w fabule to, niestety, dość szybko się pogubiłam.

– *Miasteczko Twin Peaks?* – zapytała Justyna.

– Właśnie! To taki thriller. I pomyślałam sobie, u nas w schronisku takie nudy, więc kupię jakąś muzykę z dreszczykiem. Świetna, nie? – Kucharka była wyraźnie dumna z zakupu.

– Świetna – przyznała Justyna. Aż miała ochotę opowiedzieć kucharce, jak bardzo „nudna” była miniona noc w schronisku.

– Smakowało? – zapytała po chwili kobieta, widząc pusty talerz.

– Jak zawsze! Dziękuję – odparła Justyna. – Marszałkowo... Mogłabym się o coś zapytać?

– Pewnie.

– Ale to trochę delikatna sprawa.

– Co ty mówisz, kochana...? – powiedziała zdziwiona kucharka.

– Chodzi mi o tego ducha z szybu, co to panią straszyl parę czy paręnaście lat temu... – dodała nieco ciszej, spoglądając kątem oka na pracujące w drugiej części kuchni dwie panie.

Marszałkowa momentalnie zacisnęła wargi w kreskę i wytarła ręce w fartuch.

– Nie tutaj – szepnęła, również spoglądając ukradkiem na pomoc kuchenną, i mocnym uściskiem złapała Justynę za nadgarstek. – Na dwór sobie chodźmy.

Taras przy jadalni świecił pustkami. O tej porze tonął w słońcu i gdyby nie remont, pewnie byłby teraz okupowany przez dziesiątki turystów pragnących nacieszyć się ostatnimi ciepłymi chwilami w tym roku.

– Skąd wiesz o duchu? – spytała Marszałkowa z powagą.

– Od Wiesia.

– On mi nigdy nie uwierzył. Śmiał się ze mnie bez przerwy, jełop jeden. Chłop to jednak chłop. – Westchnęła, po czym zmarszczyła brwi. – A czemu cię to interesuje?

– A Marszałkowa mi uwierzy, jak powiem prawdę?

– Pewnie.

– Minionej nocy widziałam coś dziwnego...

– Ducha?

– Nie do końca... Dwóch mężczyzn ubranych na czarno i w kominiarkach.

– Matko Boska, co ty mówisz...

– Włamali się nocą do schroniska i próbowali dostać się do szybu towarowego w piwnicy. To ponoć pani prosiła, żeby wlot do niego замуrować?

– Tak. Bo bałam się, że on znowu przyjdzie.

– Duch?

– On nie wyglądał na ducha, gwoli ścisłości. – Marszałkowa machnęła ręką, po czym się zamyśliła. – To Wiesław zaczął tak gadać, że widziałam ducha. Żarty sobie ze mnie robił.

– A co pani widziała? – dopytywała się Justyna.

– To było w dziewięćdziesiątym trzecim. Tak, na pewno wtedy, bo właśnie miał być remont. Ja... Przeżywałam w tamtym czasie kryzys, mąż mnie zostawił, straciłam robotę. Aż w końcu trafiłam do pracy w Odrodzeniu. Czułam się tu wtedy bardzo samotna, nie wiedziałam, co robić dalej ze swoim życiem, i miałam taką małą słabość, pewnie już wiesz... Ale wygrałam z tym – dodała od razu.

– I może pani być z siebie dumna. – Justyna ją objęła.

– No tak, tak... Pozbierałam się. – Marszałkowa zaczęła gniesć w ręce róg fartucha, wyraźnie zdenerwowana. Justyna nigdy wcześniej jej takiej nie widziała. Kucharka na co dzień była wulkanem pozytywnej energii, nieustannie coś komuś

opowiadała, zazwyczaj podniesionym głosem, co rusz z czegoś się śmiała. Teraz zaś mówiła cicho, z powagą i jakby z lękiem.

– Ale wtedy, tej feralnej nocy... Trochę wypiałam, przyznaję. Wódka mi się skończyła, a chciałam jeszcze... – Z oczu pociekły jej łzy. – Przepraszam... – Urwała, wyjęła z kieszeni fartucha kuchenną ściereczkę i otarła oczy. Nabrała kilka głębokich wdechów i zaczęła mówić szybko, jakby chciała czym prędzej to z siebie wyrzucić. – Chciałam się jeszcze napić, więc zesłam nocą po cichu do kuchni, bo tam miałam zawsze butelkę spirytusu. Wiesz, kochana, do ciast, nalewek... I zesłam po ten spirytus, chciałam wziąć butelkę i pójść do pokoju. I wtedy usłyszałam hałas z tego nieczynnego pieprzonego ponemieckiego szybu. Stałam jak wryta. – Marszałkowa zaczęła oddychać nerwowo. – Wiesz, że tu był kiedyś ośrodek dla tych małych hitlerowców...?

– Wiem, dla Hitlerjugend.

– To... To była jakaś makabra, ja o tym czytałam. Boże, oni tresowali dzieci na morderców, organizowali takie brutalne zabawy. Co tutaj musiało się dziać... Ja raz widziałam zdjęcie naszej kuchni z tamtych czasów. Była taka mroczna, te swastyki na ścianach, te białe płytki, te wielkie maszyny z kołowrotkami do mielenia mięsa... To wyglądało jak jakaś rzeźnia. Dobrze, że moja kuchnia jest inna. – Oparła się o barierkę tarasu i westchnęła. – Jak usłyszałam ten hałas, pomyślałam, że to duchy tych dzieci z Hitlerjugend w tym szybie. Czasem w nim tak dziwnie szumiało. Na początku próbowałam sobie tłumaczyć, że to jakiś przeciąg. A może to jednak były te biedne dusze? Tyle że tamtej nocy to nie był szum, tylko łomotanie, jakby ktoś tam był naprawdę. Chwilę potem drzwiczki od windy się otworzyły i ze środka wyszedł mężczyzna. Ubrany na czarno, w kominiarce, z takim wielkim plecakiem, jak turyści mają. Myślałam, że mam zwidy po alkoholu. Zobaczył mnie i zaczął czegoś szukać w kieszeni. Nic nie mówił. Myślałam, że to zjawą, naprawdę! Zamknęłam oczy i wierzyłam, że jak je otworzę, to już go nie będzie. Przeliczyłam się, bo jak je otworzyłam, to czułam już na twarzy jego oddech. Nie wiedziałam, co robić. Kręciło mi się w głowie, pewnie przez tę cholerną wódkę... – Wzdrygnęła się. – I zrobił taki gest. – Kobieta przyłożyła palec do ust. – Oparł się o mnie, bo ja stałam przy kuchennym blacie, i zaczął podsuwać mi w górę piżamę... Boże, myślałam, że on mnie... Że on mnie tam weźmie, na tym blacie.

Justyna słuchała opowieści kobiety z przerażeniem, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

– Ale nie wziął. Nagle poczułam ukłucie, jakby wbił mi coś w udo... – Urwała.

– I? – Oczy Justyny robiły się coraz większe.

– I nie wiem, co dalej. – Westchnęła tak, jak wzdycha ktoś niosący na plecach ciężar ponad siły. – Chyba zasnęłam. Rano obudziła mnie Krysia. Ona wtedy u nas sprzątała, ale niedługo potem poszła na emeryturę, chyba nie zdążyłaś jej poznać... Leżałam na podłodze, obok stał pusty kieliszek, butelka ze spirytusem była opróżniona do dna. Cała śmierdziałam alkoholem. On mnie chyba nim oblał, pierdolony zboczeniec! – wycedziła przez zęby. – Żeby ludzie myśleli, że się upiłam. A ja nie tknęłam tego spirytusu ani grama! A on tam był naprawdę. Rano znalazłam ukłucie na nodze, o tutaj. – Wskazała palcem na udo. – Przecież sama go sobie nie zrobiłam.

Przez dłuższą chwilę Justyna nic nie mówiła.

– Wierzysz mi, kochana? – zapytała kucharka z nadzieją w oczach.

Justyna kiwnęła głową.

– Od tamtego dnia nie tknęłam alkoholu. Gdyby to się stało dzisiaj, byłabym o wiele mądrzejsza. Krzyczałabym, kopałabym, rzucałabym garnkami i wszystkim, co tylko wpadłoby mi w rękę... – wyliczała. – Podniosłabym taki raban, że całe schronisko by się zbiegło! A wtedy... Nie wiem, co się ze mną stało. Nie byłam w stanie otworzyć ust ze strachu. Chciałam drzeć się na całe gardło, a nie miałam siły nawet pisnąć. Zresztą, teraz byłabym też silniejsza, pewnie wiesz.

– Proszę?

– Po tamtej nocy nie tylko przestałam pić, ale zapisałam się jeszcze na kurs samoobrony. Teraz żaden chłop mi niestraszny – stwierdziła, po czym spojrzała na Justynę z troską. – Mogłabyś też spróbować, kochana. To dodaje pewności siebie i odwagi.

*

Zbliżał się wieczór. Justyna siedziała na tarasie, ze smutkiem wpatrując się w zachodzące słońce. Choć nie planowała na dziś niczego niezwykłego, to miała nadzieję, że dzień jej trzydziestych urodzin będzie bardziej udany. Tymczasem jedyne, co dziś robiła, poza rozmową z kucharką, to leczenie kaca.

Im ciemniej robiło się na dworze, tym wyraźniej rysowała się pośród czerni obłych karkonoskich szczytów Szpindlerowa Bouda. Bajkowa iluminacja leżącego

poniżej Odrodzenia czeskiego schroniska migotała kusząco.

– Raz kozie śmierć – powiedziała wreszcie, od dłuższego czasu bijąc się z myślami, po czym poszła do swojego mieszkania. Zrobiła delikatny makijaż, próbując ukryć widoczny w jej oczach brak snu. Włożyła ulubione jeansy, białą koszulę i złoty wisiołek, narzuciła na wierzch pelerynę z Liczyrzepą i wyszła z Odrodzenia. Jeśli Mikolasa nie będzie dzisiaj w pracy, uzna to za znak od losu, żeby dać sobie z nim spokój.

Tuż przed jej wyjściem zerwał się wyjątkowo silny wiatr. Mimo iż droga do Szpindlerowej Boudy zajęła jej zaledwie kilka minut, wchodząc do środka czuła się już mocno zmarznięta. W nozdrza uderzył ją charakterystyczny zaduch drewnianego schroniska wymieszany z wonią kawy i świeżo wyjętych z pieca wypieków. Skierowała się w prawo, powiesiła pelerynę na wieszaku i usiadła na wysokim stołku przy barze.

– *Ahoj! Jak se máš, Justynka?*^[14] – przywitał ją z uśmiechem stojący za ladą Tomáš.

– Cześć, Tomaszek, dobrze. Jest może...

– Poczekaj – przerwał jej, uśmiechnął się znacząco, po czym odwrócił się i zawołał: – *Mikolas! Myslím, že jsi s prací ještě neskončil*^[15].

– *Skončil jsem*^[16]. – Usłyszała z zaplecza głos chłopaka.

– *Ne, ne...*^[17] – Tomáš się upierał, przecząco kiwając głową. Śmiał się bezgłośnie, co rusz puszczając do Justyny oko.

– *Co chceš?*^[18] – warknął zniecierpliwiony Mikolas, wychodząc z zaplecza. Zaraz też zauważył ganiące spojrzenie kolegi, który wskazywał mu na siedzącą przy barze dziewczynę. Przez chwilę patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem.

– Rzeczywiście, nie skończyłem – stwierdził nieco chłodno.

– Mam wolne! – Tomáš radośnie zatarł ręce. – *Dobrou noc, zlato*^[19] – pożegnał się z dziewczyną i czmychnął na zaplecze.

– Co podać? – zapytał Mikolas, wiążąc na powrót pod kołnierzykiem czarną muchę.

Gdy wchodziło się do schroniska w Karkonoszach, wystarczyło popatrzeć na strój pracowników, żeby zorientować się, po której stronie granicy się jest. Nieco oderwane od górskiej rzeczywistości muchy i krawaty świadczyły o tym, że jest się w czeskim, a nie polskim schronisku.

– Wypiłabym jakiegoś dobrego drinka... – zaczęła Justyna. Tak naprawdę nie miała na alkohol najmniejszej ochoty, ale nie wiedziała, jak zacząć rozmowę. – Zdaję się na ciebie.

– Jasne. Polecam Kielich Liczyrzepy z karkonoskim likierem, jagodami i miętą – odparł. Zdjął z półki duży kryształowy kieliszek i sięgnął po butelkę alkoholu.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Mikolas skupił się na pracy, uparcie nie podnosząc wzroku. Tak jakby nie chciał, żeby ich spojrzenia się spotkały.

– Dawno nas nie odwiedzałaś – wyrzucił z siebie wreszcie, gdy przelewał do kieliszka gotowego drinka.

– Wiem. Przepraszam.. Wstyd mi z tego powodu. Zrobiła się dłuższa przerwa... I potem za każdym razem głupio mi już było zajrzeć. – Próbowала się tłumaczyć, czując jednak, że brzmi to mało przekonująco. Miała wrażenie, że mężczyzna pod nosem kwaśno się uśmiechnął. Może powinna była jednak zostać w Odrodzeniu?

– Gotowe – stwierdził, zahaczając o ściankę kieliszka plaster cytryny i gałązkę mięty. Wyglądało na to, że nie zamierzał w żaden sposób skomentować jej tłumaczeń.

– Bardzo dziękuję. – Justyna uśmiechnęła się nieśmiało.

Przyszła tu pod wpływem impulsu, potrzeby spędzenia czasu gdzieś poza Odrodzeniem. Zupełnie nie była jednak przygotowana na rozmowę z Mikolasem i właśnie to sobie uświadamiała.

– Wiesz, może ja ci przeszkadzam? – zaczęła zmieszana. Za grosz nie potrafiła odgadnąć, co mężczyzna teraz myśli.

– Nie. Miło mi, że wpadłaś. – Po raz pierwszy spojrzął na nią przez dłuższą chwilę. W jego oczach nie dostrzegła jednak zakłopotania czy cienia nieśmiałości. Było w nich coś intrygującego, czego wcześniej nigdy nie widziała. Coś, jak czyste pożądanie? A może złość? Nie umiała tego ocenić. Mikolas, mimo iż był naprawdę przystojny, wydawał jej się dotychczas dość przewidywalny, zawsze łagodny i grzeczny, a przez to mniej pociągający. Teraz jednak przytrzymał ją przez dłuższą chwilę swoim spojrzeniem, tak że to ona lekko speszona musiała odwrócić oczy. Chyba sprawiło mu to satysfakcję.

– Co tam się wczoraj u ciebie działo? – zaczął, wyjmując ze zmywarki kosz z czystym szkłem. – Wiesław i Svoboda wybiegli stąd tak nagle...

– Widziałeś ich wczoraj? – Justyna poczuła się nieco bardziej spokojna, że schodzą na bezpieczniejszy temat.

– Pewnie, polewałem im piwo. Do czasu, aż odebrali telefon od ciebie. – Spojrzał na nią pytająco.

– Dzwoniłam, bo mieliśmy wczoraj włamanie – wypaliła prosto z mostu.

– Co ty mówisz? Okradli was? – Mikolas uniósł brwi.

– Właśnie nie... Najwyraźniej nie zdążyli, spłoszyłam ich.

– Jest tyle domów do okradania na dole, w mieście... A ktoś wybrał się aż tutaj? Dziwne, co nie? – powiedział, wycierając kolejne kieliszki i kufle.

– Też tak uważam. Zwłaszcza że u nas nie ma nic szczególnie cennego.

– Chyba że jest coś, o czym nie wiesz.

– Coś sugerujesz? – zapytała zdziwiona.

– Nie. Po prostu myślę na głos. A ciebie wczoraj nie było w Odrodzeniu?

– Nie.

– To też dziwne.

– Proszę?

– Że wiedzieli, kiedy cię nie będzie i od razu wykorzystali okazję. Przecież musieli tu skądś specjalnie przyjść albo przyjechać. To wygląda jak dobrze zaplanowana akcja. – Oparł umięśnione ręce o blat, po raz kolejny wbijając w nią nieodgadnione spojrzenie. Odruchowo spuściła wzrok na jego klatkę, widząc napięte guziki białej koszuli. – Zgłosiłaś to gdzieś?

Nie mogła skupić się na rozmowie. Przez sekundę odpłynęła gdzieś myślami.

– Zgłosiłaś? – powtórzył pytanie, patrząc na nią wyczekująco.

– Początkowo zamierzałam zgłosić, ale szybko uświadomiłam sobie, że sytuacja wygląda niezbyt ciekawie. Drzwi do garażu, przez który weszli włamywacze, były otwarte, a to moja wina. Nic nie zginęło, śladów nie ma, kamer też nie posiadamy... Co miałabym zgłaszać? – zapytała, dopijając drinka.

– No tak... – Westchnął, marszcząc czoło, po czym wskazał na kieliszek. – Jeszcze jednego?

– Niech będzie. – Zgodziła się niby od niechcenia, mimo iż alkohol smakował naprawdę wyśmienicie.

Mikolas podwinął rękawy koszuli, odsłaniając tatuaż na lewym przedramieniu, i zabrał się do przygotowywania kolejnego drinka.

– To mój autorski przepis – pochwalił się.

– Tym bardziej jestem pod wrażeniem – stwierdziła, po czym wskazała na jego rękę. – Widzę, że zdecydowałaś się na tatuaż.

– To nie pierwszy... – Wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałam.

– Bo innych nie miałaś okazji widzieć. – Westchnął beznamiętnie, po czym postawił przed nią kieliszek.

„Aj, wkraczasz kobieto na grząski grunt” – pomyślała Justyna, po czym próbowała zmienić temat rozmowy.

– A ty znasz tego Svobodę? – zapytała nagle. – Nie wiedziałam, że kumpluje się z Wiesiem..

– Pewnie, że znam. Wszyscy go tu znają. Pavel Svoboda to majątny człowiek. Przynajmniej tak było do niedawna.

– Dlaczego do niedawna?

– Miał we Vrchlabí firmę. Ale ostatnio musiał ją sprzedać, bo ponoć tonie w długach. Kojarzysz Czarci Młyn?

– To opuszczone schronisko w Siedmiodolinie koło nas? Tam, gdzie łowcy zjawisk paranormalnych jakiś czas temu próbowali wywołać ducha młynarza, co się powiesił w czasie wojny? – Przypominała sobie sensacyjne plotki, które nie tak dawno obieżyły okolicę.

– Tak, ten. Svoboda kupił młyn mniej więcej pół roku temu i zaczął remont.

– Przecież to bez sensu. Budynek jest chyba w rozsypce. Zawilgocony, w dużej mierze wykonany z drewna... Taka inwestycja to chyba studnia bez dna. Lepiej by zrobił, stawiając go od nowa.

– Nie można, bo to zabytek.

– To tym bardziej Svoboda jest szaleńcem.. – stwierdziła, z niedowierzaniem kiwając głową.

– Niby miał kosztorys, opinie rzeczoznawców i tak dalej. Wiesz, lokalizacja Młyna jest świetna, hotel i restauracja w takim miejscu... To byłby dochodowy biznes. Wszystko jednak zaczęło się sypać w sierpniu, jak były te wielkie ulewy.

– Te, które zniszczyły zielony szlak przy Świętopietrzańskim Potoku? – W głowie Justyny zaczęły kołatać się opowieści Marty o odnalezionych wtedy szkieletach.

– Tak. Młyn stoi na zbiegu dwóch rzek, w wąskiej dolinie. Padało bez przerwy przez kilka dni, więc wody zrobiło się tak dużo, że Svobodie zalało cały młyn. Część budynku się zawaliła, reszta jest w stanie jeszcze gorszym, niż była... Szkoda, zważywszy na to, że zdążył już tam trochę działać. I to wszystko diabli wzięli, można powiedzieć.

– W końcu Czarci Młyn – rzuciła Justyna.

– W sumie... – Mikolas uśmiechnął się przelotnie. – Po tych ulewach remont stanął. Ponoć ktoś z parku narodowego też przyczynia się do tego, że Svoboda ma pod górkę. Chodzi o odprowadzanie ścieków z budynku... Stary kolektor jest do wymiany, czego wcześniej jakiś ekspert nie zauważył...

– Przerąbane – skwitowała z westchnieniem Justyna. – Szkoda faceta.

– Szkoda – potwierdził. – Svoboda utopił w tym mnóstwo pieniędzy. Pomysł miał ciekawy, tylko... trochę za mało realny. Sam jest sobie winien – ocenił.

– I przez ten młyn ma tyle długów?

– Trudno powiedzieć. Plotki mówią, że Svoboda zaczął odreagowywać stresy wizytami w kasynie. Ponoć dużo przegrał i to był gwóźdź do trumny...

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Jak to, skąd? Z pracy. Ludzie przychodzą, piją, zaczynają rozmawiać o tym i tamtym... – Zamyślił się na chwilę. – A jak było wczoraj w teatrze? – rzucił znienacka.

– A co ty taki ciekawski? – odparowała bez zastanowienia.

Spojrzał na nią z zawstydzieniem, zupełnie inaczej niż na początku rozmowy. Bardziej przypominał w tym momencie Mikolasa, jakiego znała.

– Żartuję. – Zaśmiała się. Drink wprowadził ją w doskonały nastrój. Po chwili przyjrzała się jednak mężczyźnie nieco podejrzliwie. – Powiem ci, jeśli mi zdradzisz, skąd wiesz o teatrze.

– Z pracy, tłumaczyłem ci przed chwilą. A dokładniej od Wiesia. Mówił wczoraj o tym Svobodie – odparł Mikolas bez zawahania, a na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Nie wyglądało na to, żeby kłamał. – Więc jak było?

– Do dupy.

– O – zdziwił się. – Krótko i konkretnie. Łukasz się nie popisał – stwierdził z lekką złośliwością.

– Nie jesteśmy razem już od jakiegoś czasu – odparła chłodno.

– Tak? A moja dziewczyna jeszcze niedawno widziała was razem – stwierdził, spoglądając na nią lekko z góry, z zadowoleniem. Tego wzroku także nie znała.

„Od kiedy Mikolas kogoś ma?” – zastanawiała się. Poczowała nieprzyjemne ukłucie smutku, ale starała się nie dać tego po sobie poznać. – Jakiś tajemniczy adorator pisze od niedawna do mnie maile. Zaprosił mnie do teatru z okazji urodzin, miał czekać na widowni, ale nie przyszedł – streściła mu niedzielny wieczór.

– Wczoraj miałaś urodziny? Nie wiedziałem..

– Ściśle mówiąc, to wypadają dzisiaj – przyznała się.

– Zrobię ci specjalnego urodzinowego drinka! I nawet nie próbuj protestować! – powiedział, wyciągając z lodówki musujące wino.

Wyjrzała przez okno w kierunku Odrodzenia. Zupełnie nie chciało jej się tam wracać.

CZĘŚĆ V

SZYB

Szpindlerowa Bouda, 12 września 2006

Dzwonek telefonu komórkowego wyrwał Justynę ze snu. Miała wrażenie, że nie pierwszy raz tego poranka. Odrzuciła połączenie. Po chwili otworzyła oczy i niemal natychmiast zrozumiała, że nie spała u siebie. Wykopała się z białej, krochmalonej pościeli i rozejrzała po hotelowym pokoju urządzonym w nowobogackim stylu. Wstając z łóżka, ledwo złapała równowagę – miała wrażenie, że coś zaraz rozsadzi jej czaszkę od środka. Niepewnie podeszła do okna i odsłoniła firankę. Za szybą zalegała mgła tak gęsta, że wydawało jej się, iż po otwarciu okna białe opary wleją się do środka.

Zaczęła przypominać sobie wczorajszy wieczór i początkowe skrępowanie spotkaniem z dawno niewidzianym Mikolasem. Przed oczami stanęły jej napięte guziki białej koszuli i seksowny tatuaż na przedramieniu. Poczowała lekki niepokój. Wczorajszą rozmowę z mężczyzną pamiętała jak przez mgłę. Miała wrażenie, że po którymś drinku zrobiła się wobec niego zbyt szczerą. Czy rzeczywiście opowiedziała mu o rozstaniu z Łukaszem? I o obiedzie u matki? Po raz kolejny westchnęła. Było to bardzo prawdopodobne. Spojrzała na stolik przy łóżku. Leżała na nim odręcznie zapisana karteczka: „Śniadanie czeka do 11.00”. Uśmiechnęła się przelotnie, po czym spojrzała na łóżko. Spoważniała. Martwiło ją, że nie pamięta, jak znalazła się w pokoju. W głowie kołatały jej się tylko urywki wspomnień, których nie mogła w pełni poskładać w logiczną całość.

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Nacisnęła zielony przycisk i przyłożyła słuchawkę do ucha.

– No wreszcie! – Usłyszała głos Marty. – Miałaś opowiedzieć, jak udała się randka w teatrze. Czekałam wczoraj cierpliwie cały dzień, ale dzisiaj nie wytrzymałam. Dzwonię już chyba trzeci raz.

– Cześć... – mruknęła Justyna. – Przepraszam, dopiero wstałam.
– O, to musiałaś wczoraj zabalować. Przecież ty zawsze wstajesz skoro świt.
– Jestem w Odrodzeniu. To znaczy w Szpindlerowej Boudzie – poprawiła się.
– Zaraz, przecież miałaś być w Jeleniej Górze... Coś się stało? W Szpindlerowej?
Nie gadaj! Byłaś u Mikolasa? Co tam u niego? – Marta wyrzucała z siebie kolejne pytania z prędkością karabinu maszynowego.

Justyna zaczęła masować czoło, próbując zebrać myśli.

– Byłam... – Westchnęła wreszcie, nie wiedząc, od czego zacząć.
– To odpowiedź na które pytanie?
– Hm... – Justyna znowu zamilkła na moment. – Byłam w Jeleniej Górze, ale wróciłam.

– Pokłóciłaś się z matką?

– Jak to zgadłaś...? – zapytała z ironią.

– A co z teatrem?

– Nie pytaj.

– Przykro mi. – Marta się zmartwiła i chciała coś dodać, ale Justyna jej przerwała.

– Wróciłam do Odrodzenia w niedzielę wieczorem. Było włamanie, jacyś ludzie mnie gonili. Dowiedziałam się, że Marszałkową też kiedyś napadli w schronisku, ale to dziwna historia.

– Co ty mówisz? – Marta była zszokowana.

– Posłuchaj dalej. W poniedziałek wieczorem, po tej całej akcji z poprzedniej nocy, czułam taką potrzebę, żeby się komuś wygadać...

– Trzeba było dzwonić!

– Nie chciałam znowu marudzić, w sobotę wykorzystałam już u ciebie i Maksa limit na najbliższy czas... – zażartowała.

– Justyna, nawet nie zaczynaj gadać takich bzdur!

– Dobrze, dobrze... W każdym razie poszłam do Szpindlerowej Boudy na alkohol, jak kiedyś. Po cichu liczyłam, że Mikolasa nie będzie... Nie. Czekał. W sumie to sama już nie wiem, na co liczyłam. Ale właśnie obudziłam się w pokoju dla gości. W rankingu żałosnych akcji jestem gdzieś blisko podium.

– Ale co, nie było miło? – zapytała Marta frywolnie.

– Przestań – zachnęła się Justyna. – Do niczego nie doszło. Chyba – powiedziała z wahaniem. – Nie jestem na sto procent pewna, jak tu trafiłam. I jeszcze przy łóżku czeka kartka, że śniadanie do jedenastej. Nie pozostaje mi chyba nic innego, jak zmyć się po cichu. Przecież ja mu teraz nie spojrzę w oczy. Jestem już niby taka stara, a wciąż taka głupia...

– Babo! – Marta przerwała jej stanowczo. – Posłuchaj mnie teraz uważnie. Cokolwiek wczoraj się stało, idź na to śniadanie. To rozkaz! Jak teraz uciekniesz, to będziesz potem żałować. Wiesz, że ja zazwyczaj dobrze ci radzę – dodała z przekąsem. – Tylko ty nigdy nie słuchasz.

– Wiem – odparła Justyna przeciągle.

– Po drugie, najwyższa pora przestać się nad sobą uzalać i rozejrzeć wokół. Niejeden Łukasz jest na świecie.

– Masz rację – potwierdziła.

– Po trzecie, po południu wkładasz wygodne buty i zasuwasz na Śnieżne Kotły. Opowiesz mi dokładnie, co się stało w niedzielę. Przy okazji przewietrzysz głowę po drodze. Dobrze ci to zrobi.

– Dzisiaj nie dam rady...

– W takim razie jutro. I ani dnia później, rozumiemy się?

– Tak.

– Zatem do jutra!

– Dzięki, Marta, że zadzwoniłaś.

Przez krótką chwilę po rozmowie siedziała jeszcze na łóżku, po czym zebrała się w sobie, wzięła prysznic i doprowadziła się do stanu, który uznała za w miarę akceptowalny. Wyszła na korytarz i zorientowała się, że jej pokój znajduje się w hotelu Depandance, dodatkowym budynku należącym do właściciela Szpindlerowej Boudy. Niegdyś był to niemiecki urząd celny, który w czasie wojny służył za lokum dla przymusowych pracowników budujących Drogę Sudecką, a jakiś czas temu został przez właściciela zaadaptowany na hotel. W przeciwieństwie do starej Szpindlerowej Boudy Depandance znajdował się już po polskiej stronie granicy, więc czeskie schronisko część pokoi miało u siebie, a część za miedzą, u Polaków.

Stała przed wejściem i spojrzała na prostą, drewnianą fasadę hotelu Depandance, którego najwyższa kondygnacja tonęła we mgle. Zawsze uważała to miejsce za wyraz niezgłębionej przewrotności historii. Oto niegdyś niemiecki urząd, w którym w czasie wojny przetrzymywano więźniów z różnych krajów Europy, znalazł się nagle w granicach Polski i został w nim zorganizowany czeski hotel.

Wciągając w płuca wilgotne, zimne powietrze, poszła do Szpindlerowej Boudy. Była ona prawie niewidoczna, mimo że leżała zaledwie sto metrów od Depandance. Mgła, która spowijała Przełęcz Karkonoską, była tak gęsta, że wydawała się wręcz lepić do człowieka.

Po drodze spojrzała na komórkę. Poza nieodebranymi wcześniej połączeniami od Marty na ekranie widniała informacja o trzech telefonach od Wiesia, jednym od matki i dwóch od Łukasza. Do tego ostatniego nie zamierzała oddzwaniać. Po krótkim namyśle rodzicielkę postanowiła zostawić na później i wybrała numer dozorca.

– Kierowniczo! Gdzie pani jest? Zamartwiam się tu, co się z panią Justyną dzieje. – Usłyszała w słuchawce podenerwowany głos Wiesia.

– Jestem w Szpindlerowej Boudzie, wszystko w porządku. Niedługo wrócę – odparła i się rozłączyła. Wciąż kusilo ją, żeby uciec do Odrodzenia i zapomnieć o wczorajszym wieczorze, jednak postanowiła posłuchać rady Marty.

– Sama sobie tego piwa nawarzyłaś, więc sama je teraz wypijesz, babo. Trzeba się zmierzyć z tym, co wczoraj odstawiłaś – szepnęła pod nosem, wchodząc do Szpindlerowej Boudy.

Za barem stał Tomáš, który na widok Justyny się uśmiechnął.

– Śniadanie na prawo. – Wskazał na jadalnię uprzejmym gestem.

– Dzięki... – powiedziała nieco zdziwiona, zastanawiając się, skąd barman wie, w jakim celu przyszła. – Jest Mikolas? – zapytała niepewnie.

– Myślałem, że przyjdzie z tobą... – odpowiedział frywolnie.

– Jak to?

– Skoro wczoraj wyszliście *spolu*^[20]... Albo raczej Mikolas wyniósł cię na rękach, to myślałem, że razem też wrócicie. *Idiot*^[21], ja mu mówiłem, że ten Kielich Liczyrzepy to dla ludzi o mocnej głowie...

– Ja mam w miarę mocną, tylko... Wczoraj byłam nie w formie – zaczęła się tłumaczyć. – Wyniósł mnie? O Boże... – Zaczęła się zastanawiać, czy jest jeszcze

szansa na błyskawiczny odwrót i ucieczkę do Odrodzenia.

– Tak przynajmniej mówiła Anna z recepcji. Oj, nie przejmuj się, każdemu się zdarza. – Pokiwał głową z udawaną powagą, po czym się roześmiał. – *Co jsi tak naštvaná?*^[22] Żartuję przecież! Twój kolega od rana w pracy, wyszłaś wczoraj na własnych nogach. Nie pamiętasz?

Zaraz w holu pojawił się Mikolas i podszedł do baru.

– Cześć. Jak się spało? – spytał z uśmiechem.

– Nie najgorzej... Ale nie chciałbyś wiedzieć, jak się teraz czuję.

– Wczoraj wyglądałaś na zadowoloną. – Uśmiechnął się tajemniczo, podnosząc jeden kącik ust.

– Przecież my nic... – zaczęła niepewnie przyciszonym głosem.

– Jak to nie? – obruszył się.

– Ja nie pamiętam... – Westchnęła zakłopotana. – Co twoja dziewczyna na to powie...

– Jaka dziewczyna? – Przysłuchujący się mimo woli rozmowie Tomáš wybuchnął śmiechem po raz kolejny.

– No Mikolasa... – odparła Justyna.

– Hm. – Barman pokiwał głową i zrobił gest, jakby chciał pociągnąć palcem dolną powiekę, jednak widząc surowe spojrzenie kolegi, powstrzymał się.

– Żartowałem, nic się wczoraj nie stało – odparł Mikolas, ignorując śmiech Tomáša. – Odprowadziłem cię tylko do pokoju i zasnąłaś w sekundę.

– Wy, Czesi, macie specyficzne poczucie humoru. – Popatrzyła na chichoczących mężczyzn i pokiwała głową z udawaną dezaprobatą.

– W sumie to powinienem cię przeprosić – stwierdził po chwili Mikolas, poważniejąc. – Mogłem nie proponować ci tego ostatniego drinka... Ale wieczór leciał, sam już pogubiłem się wtedy w rachubie. – Podrapał się po potylicy z lekko zakłopotaną miną. – Trochę za późno się zorientowałem, że już chyba wystarczy... A że nie chciałaś wracać do siebie, zorganizowałem ci pokój.

– Ja nie chciałam?

– Zaczęłaś nagle opowiadać mi znowu o tym włamaniu, o koszmarze z Hitlerjugend, który ci się potem w nocy śnił, o twojej kucharce... A na koniec oznajmiłaś, że teraz boisz się wracać na noc do Odrodzenia. Dlatego

zapropnowałem ci, żebyś wzięła u nas pokój chociaż na jedną noc. Przed chwilą rozmawiałem z właścicielem. Jak się dowiedział, że masz urodziny, to zafundował ci pobyt. Zapraszam więc na śniadanie, a potem możesz jeszcze w ramach prezentu skorzystać ze spa.

Justyna przez chwilę analizowała wszystkie te informacje.

– Pan Jiří to cudowny człowiek – przyznała, uśmiechając się na myśl o właścicielu Szpindlerowej Boudy. – Dzięki – dodała z wdzięcznością, odruchowo opierając rękę na klatce piersiowej Mikolasa. Po chwili jednak zabrała ją speszona. – Muszę teraz uważać. Wiesz, żeby nie wkurzyć twojej dziewczyny – powiedziała z udawaną powagą, puściła oko do Tomáša i poszła na śniadanie.

Zbliżało się południe, gdy po obfitym posiłku i wizycie w spa Szpindlerowej Boudy wracała do Odrodzenia. Jedzenie, jak zawsze, poprawiło jej nastrój. Mgła leniwie opadała w doliny, sprawiając, że Mały Szyszak, na którego zboczu stało schronisko, zdawał się samotną wyspą na mlecznym morzu.

Po drodze zaczęła analizować nieco szalony pomysł, który wpadł jej do głowy podczas śniadania. Zajęta myślami wparowała do holu, a następnie wielkimi susami pokonała schody do jadalni.

– Nareszcie pani jest! – Usłyszała za sobą głos Wiesia. – Ma kierowniczkę gościa.

– Ja? – zdziwiła się Justyna. – Kogo?

– Sama zobaczy. – Dozorca uśmiechnął się tajemniczo. – Czeka na tarasie.

Wyszła na dwór zaciekawiona. Na balkonie siedziała starsza kobieta odwrócona do niej tyłem. Trzymając w dłoni filiżankę z kawą, podziwiała roztaczający się z tarasu krajobraz. Była ubrana w elegancki różowy żakiet i spódniczkę, a siwą głowę zdobił fantazyjny słomkowy kapelusz udekorowany bogato wstążkami i sztucznymi kwiatami. O ile sam strój nie wzbudzał większego zdziwienia, o tyle nakrycie głowy było wyjątkowo ekstrawaganckie i mogło należeć tylko do jednej osoby.

– Babcia Stasia! – krzyknęła Justyna i podbiegła przytulić się do kobiety.

– Wszystkiego najlepszego, wnusiu! – powiedziała, całując dziewczynę w oba policzki. – Wiem, że życzenia spóźnione, ale myślałam, że spotkamy się w Jeleniej Górze na obiedzie u tej frustratki... Chciałam powiedzieć: twojej matki. – Wybuchła śmiechem. – Wybacz.

– Nie gniewam się.

– Wczoraj byłam już prawie gotowa do wyjścia, gdy Katarzyna zadzwoniła, że obiad odwołany, bo wróciłaś do siebie. Co się stało?

– Trochę się posprzeczałyśmy... Matka znowu chciała mnie swatać, zaprosiła na poniedziałek Alunię, tę sąsiadkę, z wnukiem, który byłby cudownym kandydatem na mojego męża – wyjaśniła.

– Jej naprawdę trzeba zorganizować jakieś zajęcie, bo kobieta fiksuje – odparła Stanisława z udawanym zatroskaniem.

– Masz stuprocentową rację, babciu. – Justyna się zaśmiała. – Jak tu dotarłaś?

– Jak to: jak? – obruszyła się. – Pieszko! – Wskazała na swoje nogi. Dopełnieniem oryginalnego stroju kobiety były białe adidas. – Nie mogłam nie odwiedzić cię w trzydzieste urodziny! Wsiadłam w pierwszy poranny autobus do Przesieki i, proszę, jestem. Co prawda, ta droga do ciebie to jakaś katastrofa. Znak mówił: dwie i pół godziny na górę. A ja szłam cztery. Kto stawia takie kretyńskie tabliczki?

– Duch Gór – zażartowała Justyna. – Swoją drogą, bardzo ładnie wyglądasz.

– Dziękuję, kochanie. – Babcia się uśmiechnęła. – Kupiłam ten kostium w zeszłym tygodniu i miałam przyjść w nim wczoraj na urodzinowy obiad. Ale że się nie odbył, to włożyłam go dzisiaj – dodała beztrósco. – Bałam się trochę, że będzie mi niewygodnie, ale nie było najgorzej. Elegancja to podstawa w każdej sytuacji – dodała, upijając łyk kawy. – Poczęstował mnie ten twój dozorca. – Wskazała na filizankę. – Bardzo sympatyczny człowiek. Swoją drogą, wydaje mi się, że coś go poważnie trapi.

– Skąd wiesz?

– Domniemywam. – Wzruszyła ramionami. – A ja się znam na ludziach. Powiedz mi lepiej, co tam się u ciebie dzieje. Słyszałam, że z tym Łukaszem nie wyszło... Nie obraż się, ale może to i dobrze? Widziałam go tylko co prawda raz, ale od razu mi się nie spodobał. Źle mu z oczu patrzyło. Taki cwaniak, który szuka krótkich przygód. – Urwała nagle, nad czymś się zastanawiając. Justyna nigdy nie przestawała dziwić się babcinej intuicji, która była niezawodna.

– Zapomniałam! – Stanisława klasnęła w dłonie. – Upięłam ci urodzinową szarlotkę. – Sięgnęła po leżącą obok krzesła torbę i wyjęła z niej duże pudełko. – Z bezą, jak lubisz!

– O! – Justynie aż zaświeciły się oczy. Babcia Stanisława była drugą obok Marszałkowej osobą, która wiedziała, jak ją uszczęśliwić. – Cudownie... Dziękuję ci bardzo! Pójdę po łyżeczki i talerzyki.

Wróciła chwilę później, nałożyła babci i sobie po dużym kawałku ciasta, po czym usiadła przy stoliku i zaczęła opowiadać o swoich ostatnich przeżyciach. Opisała pokrótce, jak Łukasz zostawił ją dla innej dziewczyny, przyznała się do trawiących ją potem dylematów związanych z Maksem i zazdrością, której bardzo się wstydziła. Na koniec opowiedziała o Mikolasie i tym, co ją spotkało w Szpindlerowej Boudzie. Pomięła oczywiście opowieść o włamaniu, nie chcąc niepotrzebnie stresować babci. Przez cały czas Stanisława przysłuchiwała jej się z uwagą.

– Nie zadręczaj się – zaczęła, gdy Justyna umilkła. – Pocałunek z Maksymilianem to był rzeczywiście błąd, ale myśląc teraz o tym bez przerwy, niczego nie zmienisz. Gdybym miała ci coś poradzić, to lepiej nie idź dalej w tę stronę, bo będziesz niepotrzebnie cierpieć. Zniszczysz swoją przyjaźń z Martą, a z nim i tak nie będziesz...

– Wiem... Po prostu coś ostatnio się ze mną dzieje... – Justynie zaczął się trząść podbródek. – Matka co rusz mnie pyta, kiedy wreszcie kogoś sobie znajdę... I zaczynam się czasem bać, że ona ma rację, że jak będę dalej tu siedzieć, to zostanę starą panną.

– Katarzyna wpędzi mnie kiedyś do grobu. Ona naprawdę żyje chyba tylko po to, żeby cały czas udzielać ludziom tych swoich pseudozłotych porad – powiedziała zirytowana Stanisława. – Zwyczajło się mawiać, że to synowe mają z teściową piekło, a tu jest na odwrót. – Zaśmiała się, po czym na powrót spoważniała. – Ten nieszczęsny pocałunek nie jest dowodem na to, że pragniesz Maksa – stwierdziła po chwili. – Tęsknisz po prostu za szczęśliwą relacją z mężczyzną. Twoja przyjaciółka taką stworzyła i ty, patrząc na nich, tego właśnie zazdrościsz. Zazdrość to normalne uczucie. Grunt, to nie zafiksować się na nim, tylko dążyć do własnego szczęścia. Ale nie kosztem innych. A ten Czech ze Szpindlerowej...

– Mikolas. Nie chciałabym, żeby poczuł się jak zastępstwo za Łukasza. A jeśli pomyśli, że się nim bawię?

– A robisz to?

– Nie, ale tak to może wyglądać...

– To przestań się zamartwiać tym, co i jak wygląda. Daj sobie i jemu szansę. Ja też miałam różne dylematy po śmierci twojego dziadka. Kiedy Antek zginął w wypadku... Moja pierwsza wielka miłość... Zostałam sama, jak wiesz, a niedługo potem urodziłam twojego ojca. Po jakimś czasie w moim życiu pojawił się mężczyzna... Na pewno ci opowiadałam. Był dobry, chciał zaopiekować się mną i dzieckiem. Ale ja się bałam, że go nie pokocham, że zawsze będę tęsknić za Antkiem. Odrzuciłam jego starania dość szybko... Dzisiaj bardzo tego żałuję. Powinnam była spróbować. Jak teraz nie dasz szansy waszej relacji, też będziesz kiedyś miała do siebie pretensje. A życie w pojedynkę nie jest łatwe, uwierz mi.

– Wiem... – Westchnęła. – Nie wyobrażam sobie, jak ja bym sobie poradziła w twojej sytuacji, babciu.

– Na pewno dałabyś radę. Ty masz charakter Skałów. Popłaczesz, zaciśniesz zęby i będziesz dalej twarda. Czasem, jak na ciebie patrzę, jak słyszę, co mówisz, w jaki sposób... Czuję wtedy, jakbym widziała Antka.

– Myślisz, że naprawdę jestem taka silna? – Justyna próbowała się uśmiechnąć.

– Kochanie, jestem tego pewna. Boże, czasem sobie tak myślę, że gdyby dziadek żył, byłby dumny z takiej wnuczki! Uwielbiał te góry tak jak ty. Wariaci, ja bym nie miała siły tak ciągle po nich chodzić. – Zaśmiała się serdecznie.

– Dziadek lubił góry? Nie wspominałaś mi o tym...

– Ach, wiesz, opowiadanie o Antku czasem bywa dla mnie trudne. Ale tak, lubił! Zauroczył się tym miejscem, od kiedy tu zamieszkaliśmy. Był takim pięknym człowiekiem. Ja pokochałam to jego piękno. Dlatego po jego śmierci podwójnie mnie bolało, gdy musiałam znosić te oskarżycielskie spojrzenia ludzi, którzy go przecież nie znali...

– O czym mówisz, babciu? – spytała zdziwiona Justyna.

– Antka uznano przecież za współwinnego katastrofy. A twój dziadek zachował się honorowo, został na służbie do samego końca! Tego już nikt nie zauważył! – Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała zbolalym głosem: – Do dzisiaj mam do niego o to trochę żal... Jest dla mnie bohaterem, ale mimo to... Czy pomyślał wtedy choć przez chwilę o mnie? O naszym synu? Dlaczego nie wyskoczył z lokomotywy, kiedy jeszcze mógł? – Westchnęła, po czym zaczęła dłubać widelczykiem w swojej szarlotce. – A najgorsze było to, że ten pijak, kierownik pociągu, wyskoczył wcześniej, w Szklarskiej Porębie Górnej, i przeżył. Łgarz zeznał potem, że ten

zakręcony przewód hamulcowy, przez który doszło do katastrofy, to wina mojego Antka. Wiadomo, że najprościej zrzucić winę na zmarłego, który nie będzie mógł się bronić. A przecież to do obowiązków kierownika pociągu należało sprawdzenie przed odjazdem, czy przewody są sprawne.

– Pamiętam, tata opowiadał mi tę historię... – przyznała Justyna. – Ale przecież dziadek tak naprawdę był niewinny.

– Ja w to wierzę – odparła babcia twardo. – Ale ten krzywoprzysięzca zeznał inaczej. I nikt nie mógł zaprzeczyć jego wersji, bo przecież maszynista też zginął. W Piechowicach, gdzie skład się wykoleił, było takie pobojewisko, że samych zwłok szukali kilka godzin. A ludzie jak to ludzie, gadali później różne rzeczy, także o mnie...

– To musiało być dla ciebie straszne.

– Straszne? To doprowadzało mnie do szału! Ludzie bywają tak bezgranicznie głupi – podniosła głos. – Ale mimo że Antek Skąła, najprzystojniejszy kolejarz, jakiego w życiu spotkałam, zginął prawie sześćdziesiąt lat temu, ja wierzę, że prawda kiedyś wyjdzie na jaw.

*

Późnym popołudniem Wiesiu odwiózł babcię Stasię na dół, choć ta stanowczo protestowała, upierając się, że wróci do Przesieki pieszo. W końcu dała się przekonać dozorczy, gdy ją zapewnił, że i tak jedzie na dół odebrać z pralni pościel.

Justyna przez dłuższy czas siedziała sama na tarasie. Lubiła spędzać na nim wolne chwile, nawet gdy pogoda zbytnio temu nie sprzyjała. Było to miejsce, gdzie mogła odciąć się nieco od panującego zazwyczaj w schronisku gwaru i ciesząc wzrok widokiem na Karkonosze, przemyśleć różne rzeczy.

Wygrzewając twarz w ostatnich promieniach chylącego się ku zachodowi jesiennego słońca, intensywnie zastanawiała się nad pomysłem, który od rana kołatał jej się po głowie. W końcu podjęła decyzję: poszła do mieszkania przebrać się w robocze ciuchy, po czym zeszła na parter do warsztatu Wiesia. Wzięła stamtąd latarkę czołową i udała się z powrotem na drugie piętro schroniska. Wyjęła z kieszeni wielki pęk kluczy i metodą prób i błędów natrafiła na ten, który pasował do kłódki wiszącej na drzwiczkach do szybu towarowego. Chwilę później otworzyła

właz. Zapaliła latarkę i niepewnie zajrzała do środka. Z ciemnego kanału zionęło chłodem i wilgocią.

– Teraz albo nigdy – stwierdziła, poprawiając na głowie czołówkę. Musiała dowiedzieć się, co takiego znajdowało się w szybie, że ktoś próbował się do niego w niedzielę włamać. Pewnie nie zdecydowałyby się na to, gdyby nie opowiedziana przez Marszałkową historia, która świadczyła o tym, że ktoś interesował się tym miejscem już kilkanaście lat temu. I najwidoczniej nie miał czystych intencji, skoro tak bezwzględnie potraktował Bogu ducha winną kucharkę, która przypadkowo nakryła go przy wychodzeniu z szybu.

Justyna rozejrzała się po schroniskowym korytarzu. Nikogo nie było. Uspokojona złapała za naprężoną linę z prawej strony wlotu do szybu i zaczęła ją przeciągać. Stary mechanizm jęknął ponuro. Nadal energicznie szarpała za sznur i chwilę później znienacka przyjechała z dołu platforma. Zgarbiła się, wsiadła na nią i zamknęła za sobą od środka drzwiczki.

– Tylko nie wpadnij w panikę. – Powtarzała sobie, bo nie czuła się pewnie w klaustrofobicznym szybie. Przypomniał jej się sen, w którym widziała chłopaków z Hitlerjugend oddających w holu cześć portretowi Führera, i momentalnie poczuła gęsią skórę. Zaraz jednak otrząsnęła się z koszmarnych wizji. Skierowała światło latarki na linę i pociągnęła ją z niemałą trudnością. Platforma skrzypnęła, po czym zaczęła się opuszczać. Po kilku metrach jazdy w dół Justyna dostrzegła w ścianie ceglanego szybu kolejne drzwiczki. Zatrzymała się na moment, gdy usłyszała charakterystyczny głos Marszałkowej. Prawdopodobnie kucharka wtórowała piosence, która leciała w jadalni. Kobieta uwielbiała śpiewać w pracy i dzisiaj najwidoczniej w repertuarze pojawił się Krzysztof Krawczyk. Uśmiechnęła się na myśl o schroniskowej didżejce, po czym znowu ruszyła w dół, omiatając nieustannie latarką wszystkie ściany w poszukiwaniu czegoś, co przykułoby jej uwagę. Nagle platforma zatrzymała się z ciężkim skrzypnięciem. Justyna szarpnęła za linę, jednak winda nawet nie drgnęła.

– Cholera – szepnęła przerażona. Wyglądało na to, że w nieużywanym od lat mechanizmie coś się zepsuło. Szarpnęła jeszcze raz, lecz bez rezultatu. Oddech jej przyspieszył. – Spokojnie, tylko spokojnie. Zawsze możesz zawołać pomoc, przecież cię usłyszą. – Próbowała się pocieszać.

Zaraz jednak pomyślała, jak zareagowałaby Marszałkowa na wrzaski dochodzące z szybu, i zrozumiała, że za wszelką cenę musi poradzić sobie sama.

Postarała się opanować i chwilę później, w przypływie olśnienia, postanowiła pociągnąć linę w przeciwnym kierunku – platforma ruszyła w górę. Wyglądało na to, że po prostu zjechała na sam dół szybu szybciej, niż się spodziewała, i dlatego winda stanęła.

Skierowała światło latarki na ściany, badając je centymetr po centymetrze. Bez rezultatu – nic nie odbiegało tu wyglądem od pozostałej części murowanego kanału. Była coraz bardziej sfrustrowana. Jeśli niczego tu nie znajdzie, straci jedyny punkt zaczepienia, dzięki któremu udałooby jej się być może wyjaśnić motywy niedzielnego włamania. W pewnym momencie rzucił jej się w oczy zamurowany pustakami otwór, którego nie zauważyła, zjeżdżając na dół. Znajdował się jakiś metr powyżej dna kanału. Podciągnęła platformę na odpowiednią wysokość i zaczęła dłońmi badać ścianę. Wymacała górny lewy róg zamurowanego otworu i lekko go pchnęła. Jedna z cegieł przesunęła się w głąb. Domyśliła się, że to właśnie ją wykuli w niedzielny wieczór włamywacze.

Dłuższą chwilę oglądała pozostałe ściany szybu na wysokości zamurowanego otworu, ale na pierwszy rzut oka nie zauważyła niczego szczególnego. Zaczęła więc pukać w cegły ręką, przypominając sobie różne sceny z oglądanych w dzieciństwie filmów przygodowych, w których w ten sposób odkrywano tajne przejścia czy skrytki. Bez rezultatu.

– Życie jednak nawet przez chwilę nie jest filmem. – Westchnęła zrezygnowana. Już miała wracać na górę, gdy nagle jej uwagę zwróciła różnica w kolorze zaprawy między pierwszym rzędem cegieł widocznym nad powierzchnią platformy – była z jednej strony jaśniejsza niż w innych miejscach. Ponownie spuściła się niemal pół metra poniżej zamurowanego przez Wiesia otworu, na samo dno szybu. Wtedy też natychmiast się zorientowała, że cały fragment jednej ze ścian ma spoiwo o innym kolorze, a przerwy między cegłami są nieregularne, inne niż na pozostałych trzech ścianach. Tak jakby kiedyś tutaj także był otwór, który ktoś potem zamurował. Dokąd ten wylot mógł prowadzić? Przeanalizowała w głowie plan piwnicy i sąsiadujących z szybem pomieszczeń, ale nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Zaczęła zeszkrobywać jasną spoinę między cegłami, a potem obejrzała w świetle latarki szarawy proszek, który został jej pod paznokciami.

– Inna zaprawa? – powiedziała z niedowierzaniem. Poczowała przypływ adrenaliny. Oddech ponownie jej przyspieszył. Wyjęła z kieszeni pęk kluczy, wybrała pierwszy z brzegu i zaczęła dłubać nim w spoinie. Zaprawa odpryskiwała całymi kawałkami.

Czy tak było również w pozostałych częściach szybu? Spróbowała wydłubać nieco spoiny w innej ścianie, jednak tam zaprawa była wyjątkowo solidna. A więc jednak miała rację. Ten jeden fragment ściany, który przykuł jej uwagę, był otworem, który ktoś pośpiesznie zamurował i zrobił to niechlujnie, mieszając składniki zaprawy w złych proporcjach, tak że spoina była słaba niczym gips. Intuicja podpowiadała jej, że za podejrzaną ścianą znajduje się coś naprawdę ważnego. I że może to wyjaśnić tajemnicę starego szybu towarowego. Schowała klucze do kieszeni i czym prędzej zaczęła wciągać się z powrotem na drugie piętro.

Ostrożnie uchyliła drzwiczki, wyjrzała na korytarz i gdy upewniła się, że jest bezpiecznie, wyskoczyła na podłogę. Otrzepała się z kurzu, schowała do kieszeni latarkę i wpadła do swojego mieszkania. Wyjęła z szafy plecak i znowu pobiegła do warsztatu Wiesia. Wybrała z jego narzędzi dłuto, młotek i parę innych rzeczy, które uznała za przydatne, i włożyła do plecaka. Chwilę później ponownie znalazła się w szybie i przy głucho brzmiących w kanale wrzaskach Marszałkowej śpiewającej o pięknym rejsie parostatkami, spuściła się na dół. Głos kucharki odbijający się od ceglanych ścian zdawał się dochodzić z zaświatów. Ekipa remontowa nadal pracowała, stąd w schronisku co jakiś czas słychać było różne hałasy, które nie budziły u nikogo większego zdziwienia. Gdy Justyna dotarła do podejrzonej ściany, przyłożyła ostrze dłuta do zaprawy i uderzała w nie młotkiem, aż spoina zaczęła się kruszyć. Coraz bardziej rozgorączkowana stukała szybciej i szybciej, niemal bez opamiętania. Miała wrażenie, jakby to bezmyślne uderzanie w mur umożliwiło jej wyrzucenie z siebie części lęków i frustracji nagromadzonych w ostatnich dniach. Chwilę później pierwsza cegła zaczęła się ruszać. Justyna uderzyła w nią młotkiem z całej siły, a wtedy ta przesunęła się w głąb ściany i wpadła gdzieś za nią. Rozległo się głucho uderzenie o posadzkę. Nabrała powietrza i postanowiła zajrzeć do powstałego otworu. Czuła trudny do opisanego niepokój, jakby obawiała się, że ktoś z drugiej strony także postanowi w tym samym momencie zrobić to samo. Zajrzała do wyrwy, ale nie dostrzegła niczego konkretnego. Mięśnie bolały ją od wysiłku i niewygodnej, skulonej pozycji, ale ponownie złapała dłuto i zaczęła zapamiętane tłuc w kolejne fragmenty muru, wybijając cegłę po cegle, które jedna po drugiej wpadały do pomieszczenia znajdującego się za niszczoną ścianą.

Ręce jej drżały, gdy zionący ohydą stęchlizną i pleśnią otwór w murze był już na tyle duży, że mogła swobodnie się w nim zmieścić. Wyjęła z plecaka duży, zasilany akumulatorem reflektor i go włączyła. Oślepiąca światłem lampy odruchowo

zamknęła oczy. Gdy po chwili je otworzyła, ujrzała niedługi tunel kończący się zakrętem. Wąski korytarzyk był na tyle wysoki, że gdy się zgarbiła, mogła w nim stać. Niepewnie przeszła kilka kroków i z duszą na ramieniu zajrzała za załom muru. Znajdowały się tam solidne drewniane drzwi. Nacisnęła porzewiałą klamkę i szarpnęła. Nieużywane od lat zawiasy skrzypnęły upiornie.

– Ja pieprzę – szepnęła.

Jej oczom ukazał się niewielki pokój. Stała w drzwiach jak zamurowana, nie mogąc zrobić kroku naprzód. Intuicja podpowiadała jej, że właśnie znalazła się u progu tajemnicy, której początki sięgają zapewne czasów budowy schroniska. Czowała, że to sekret z gatunku tych, których odkrycie może wiązać się z niebezpieczeństwem grożącym śmiałkowi, który się tego podjął. Niczym w mrocznej baśni.

Naprzeciwko wejścia stało proste biurko, a ścianę nad sekretarzykiem ozdobiono wielką namalowaną swastyką. Nazistowski symbol wyglądał wręcz nierealnie, jakby przeniesiony w czasie z dawnego straszego świata. Czarne ramiona krzyża były zniekształcone przez zacieki i wykwyty pleśni.

Justyna weszła do pomieszczenia, omiatając latarką kolejne fragmenty pokoju. Na lewo od biurka stała metalowa prycza z obskurnym, gdzieś podartym materacem. Wzdrygnęła się, widząc na nim wypłowiałe brunatne plamy. Od razu pomyślała, że to krew. Przeniosła wzrok na stojący pod ścianą na prawo od biurka pusty regał, którego najniższa część była przegniła i napuchnięta od wilgoci.

Z jednej ze ścian zwisały fragmenty papieru. Podeszła i przyjrzała się jednemu z nich. Niemiecki napis głosił: *Wanderkarte vom Riesengebirge* – czyli „turystyczna mapa Karkonoszy”. Ze ściany zwisało jeszcze kilka kawałków przyklejonego do niej niegdyś planu, na którym czerwonym kolorem naniesiono różne punkty i symbole. Trudno było określić, co oznaczały znaki na mapie, gdyż jej środek został przez kogoś wyrwany i zapewne zabrany, gdyż nigdzie nie zauważyła brakującego fragmentu.

Niepewnie podeszła do biurka. Stało na nim kilka obitych kubków, metalowa miska i udekorowana swastyką kryształowa lampa naftowa z okopconym kloszem. Po chwili wahania z niesmakiem złapała za porzewiałą uchwyt szuflady i szarpnęła. W środku znajdowało się mnóstwo luźnych kartek, kilka brulionów i stare gazety. Pod makulaturą znalazła nóż sprężynowy, kawałek łańcucha, kleszcze

i trochę innych narzędzi. Wyobrażenia Justyny pracowała coraz intensywniej. Zaczęła wątpić, czy na pewno chce poznać tajemnicę tego miejsca.

Wszystko w szufladzie było w nieładzie, jakby ktoś czegoś nerwowo w niej szukał. Przeglądała papiery, gdy rzucił jej się w oczy jeden z zeszytów, opatrzony wykaligrafowanym gotykiem napisem *Jakobsthal, V 1947*. Wyciągnęła go z ciekawością. Miała wrażenie, że kiedyś już słyszała to słowo. Co mogło ono oznaczać? „Dolina Jakuba”? Nie była pewna. Zajrzała do środka. Na pierwszych dwóch stronach wyrysowano łączące się i rozchodzące linie, opatrzone różnymi symbolami i skrótami. Przyglądała się dziwnej grafice, gdy nagle dostrzegła u dołu dwa prostokąty – mniejszy podpisany *Kontrollraum*^[23] i większy opatrzony słowem *Bahnhof*^[24].

Nagle uświadomiła sobie, skąd zna słowo *Jakobsthal* i co przedstawia rysunek. To był plan stacji kolejowej w Jakuszycach. Długie linie oznaczały tory i rozjazdy. Wśród licznych symboli dostrzegła trzy litery zaznaczone innym kolorem. Poniżej stacji narysowano niedbale coś na wzór skał, przy których znajdowała się litera E, powyżej torów zaznaczono drzewo i literę A, natomiast przy jednej z ramp towarowych widniała litera K. Na torze obok rampy zaznaczone były połączone prostokąty. Gdy im się przyjrzała, dostrzegła wpisane w pierwszy z nich niewyraźne cztery cyfry i słowo „Kamyki”. Przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Zaczęła nerwowo przerzucać kolejne strony brulionu. Nagle spomiędzy kartek wypadł złożony na cztery arkusz papieru. Rozłożyła go ostrożnie i przeczytała napis:

Dyrekcja Wrocławska Kolei Państwowych

Linia Jelenia Góra Zach. – Tkacze

Stacja kolejowa Tkacze

ROZKŁAD JAZDY

obowiązuje w okresie 1 maja – 30 czerwca 1947 r.

Przyjrzała się tabelkom z wypisanymi godzinami odjazdów kolejnych pociągów. Co dziwne, w rozkładzie jazdy nie było w tym okresie żadnego połączenia do Tkaczy, ostatniej stacji na linii. Wszystkie pociągi kończyły bieg w Szklarskiej Porębie Górnej. W pewnym momencie dostrzegła, że jeden z kursów zaznaczono czerwoną pętlą. Wyróżniony pociąg wyruszał z Jeleniej Góry Zachodniej o 13.06.

Przy kolejnych stacjach aż do Szklarskiej Poręby Dolnej kurs jako jedyny w rozkładzie miał zamiast godzin wpisane poziome kreski, świadczące o tym, że się tam nie zatrzymywał. Ostatnią stacją pospiesznej relacji była Szklarska Poręba Górna, dokąd pociąg docierał planowo o 14.34. W rozkładzie kurs oznaczono dodatkowo gwiazdką. Spojrzała na legendę:

* – pociąg ze stacji Warszawa Główna Osobowa.

Gdy zrozumiała, jaki kurs zaznaczono na plakacie, poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Nerwowo rozejrzała się po pokoju. Przypomniała sobie rodzinne opowieści o wypadku w Piechowicach w maju czterdziestego siódmego, a także o tym, że nastawniczy z Jakuszyca cudem zapobiegł jeszcze większej katastrofie – zderzeniu „Kamyków” z pospiesznym pociągiem pasażerskim z Warszawy. Drżącymi rękami przerzucała kolejne strony zeszytu. Natrafiła tam tylko na kilka koślawo zapisanych uwag w języku niemieckim, których nie była w stanie przetłumaczyć. Przejrzała pobieżnie resztę papierów, po czym spakowała wszystko do plecaka. Chciała też już jak najszybciej opuścić klaustrofobiczne pomieszczenie i zaczerpnąć świeżego powietrza. Po chwili wahania wrzuciła jeszcze do plecaka stojącą na biurku lampę naftową.

Już miała wychodzić, gdy na murze pomiędzy biurkiem a pustym regałem, przy ziemi, dostrzegła metalowe drzwiczki. Przykłęka i oświetliła je latarką. W ścianie znajdowała się kasa pancerna. Gałkę na stalowych drzwiach opatrzone napisem *Carl Arnheims Fabrik – Breslau*^[25]. Chwyciła za nią, jednak zgodnie z przewidywaniami drzwi ani drgnęły.

„Pewnie tego szukali w niedzielę pieprzeni bandyci” – pomyślała. Powiodła ręką po drzwiczkach, czując na opuszkach palców ich stalowy chłód. Zastanawiała się, czy udałoby się otworzyć sejf bez klucza. Przeczuwała jednak, że nie wyważy pancernych drzwiczek nawet największym łomem. Gdy wstawiała z kolan, światło czołówki padło na jakiś przedmiot leżący pod łóżkiem. Schyliła się ponownie i sięgnęła po niego.

– Tego bym się nie spodziewała – szepnęła z niedowierzaniem, trzymając w ręku nieco pordzewiały stetoskop. Wrzuciła go do plecaka i opuściła pokój. Zamknęła za sobą masywne drewniane drzwi, wgramoliła się na platformę i zaczęła wyciągać się na drugie piętro.

*

Był późny wieczór, gdy po długiej rozmowie z szefem ekipy remontowej wróciła do swojego mieszkania na drugim piętrze. Zamknęła za sobą drzwi na klucz, usiadła przy stole i otworzyła plecak z przedmiotami znalezionymi w zamurowanym pokoju. Ostrożnie wyjęła na blat papiery, lampę naftową i stetoskop, po czym zamyśliła się, obracając w ręce lekarski atrybut. W tym, co odkryła, najbardziej chyba niepokoił ją sejf. Ścisłej mówiąc, niepokoiło ją, że prawdopodobnie wie o nim ktoś więcej niż tylko ona i zapewne ten ktoś jest zdeterminowany, żeby uzyskać dostęp do kasy pancernej. Zastanawiała się, czy mogła to być ta sama osoba, którą kilkanaście lat temu nakryła Marszałkowa. Jeśli tak, to najprawdopodobniej intruzowi nie udało się wtedy dostać do pokoju i zabrać tego, czego szukał... Nie dawało jej jednak spokoju pytanie, dlaczego przez tyle lat nie próbował włamać się ponownie. A może usiłował, tylko nikt go nie nakrył? Jeśli jednak założyć, że nie podjął od tamtego czasu żadnej próby, to dlaczego wrócił akurat teraz?

Nagle zrozumiała. Przypomniała sobie o drobnym szczególe, który pojawił się w opowieści zarówno Wiesia, jak i Marszałkowej. Oboje wspominali przecież, że kiedy napadnięto kucharkę, Odrodzenie szykowało się do remontu. Przeszedł ją dreszcz. Scenariusz rozgrywał się na nowo dokładnie w ten sam sposób. Teraz także zaczynał się remont i znowu doszło do włamania. Ta zbieżność nie mogła być przypadkowa. Mikolas miał rację, mówiąc, że to była dobrze wcześniej zaplanowana akcja i tylko niespodziewany powrót Justyny udaremnił zamiary włamywaczy.

Pomyślała o swoim niedzielnym wyjściu do teatru i tajemniczym mężczyźnie podpisującym się jako P.S., który usilnie ją tam zapraszał. Chociaż w pierwszej chwili wydało jej się to nieprawdopodobne, zaczynała dopuszczać do głosu myśl, że autorem wysyłanych do niej e-maili był ten sam człowiek, który włamał się do schroniska. Albo ktoś zrobił to na jego polecenie. Ścisnęła wciąż trzymany w dłoniach stetoskop. Marta jednak miała rację, po raz kolejny zresztą. W internecie można się było natknąć na różnych niebezpiecznych ludzi.

W pewnym momencie zorientowała się, że na główicy stetoskopu jest coś wygrawerowane. Przetarła metalową część palcem i przybliżyła ją do oczu. Ledwo widoczne literki układały się w napis: „dr med. Jan Rudnicki”.

Zamyśliła się. Nie знаła nikogo o tym nazwisku. Co lekarz mógł robić w tamtym pokoju? Może ktoś go tam przetrzymywał? Przypomniała sobie plamy na łóżku oraz narzędzia znalezione w szufladzie i wzdrygnęła się na samą myśl. Nie zastanawiając

się dłużej, złapała telefon i wybrała numer babci. Jeśli ktokolwiek miałby coś wiedzieć o Janie Rudnickim, mogła to być tylko Stanisława, dawna pracowniczka poczty, przez której ręce przechodziła korespondencja tysięcy mieszkańców Jeleniej Góry.

– Cześć, babciu! Jak tam droga powrotna? – zapytała, gdy usłyszała w słuchawce głos kobiety. Próbowwała ukryć swoje podekscytowanie.

– Bardzo sympatycznie. Pan Wiesław był tak miły, że odwiózł mnie pod same drzwi! – odparła zachwycona.

– Bardzo się cieszę... Słuchaj, mam krótkie pytanie. Kojarzysz kogoś takiego jak Jan Rudnicki?

– A powinnam kojarzyć? To ktoś z Jeleniej Góry?

– Nie wiem.

– W moim wieku?

– Być może już nie żyje... – rzuciła Justyna bez przekonania. – Był lekarzem.

– A dlaczego o niego pytasz?

– Z ciekawości – odparła wymijająco.

– Cóż... Przykro mi, ale nie znam – zaprzeczyła babcia wyraźnie zdziwiona.

– Rozumiem... – W głosie Justyny słychać było zawód.

– Czekaj, czekaj! To, że ja nie znam, nie znaczy, że inni nie znają. Skoro był doktorem, to zapytam Danusię, tę moją koleżaneczkę pielęgniareczkę, pamiętasz ją? Ona zaczęła pracować w naszym szpitalu bodajże w pięćdziesiątym roku, może skojarzy nazwisko tego, jak mu tam...?

– Jan Rudnicki – odparła Justyna.

– Dobrze. Zapisuję. Jutro dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem.

CZEŚĆ VI

DOKTOR

Schronisko Odrodzenie, 13 września 2006

Pierwszym uczuciem, jakie dotarło do jej świadomości po przebudzeniu, był nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. Nerwowo zaczerpnęła tchu. Miała wrażenie jakby skurczone mięśnie ściągnęły do siebie żebra, zamykając w kostnej pułapce płuca pragnące rozprężyć się i wypełnić na nowo świeżym powietrzem.

Za oknem wciąż było ciemno, a panującą w pokoju ciszę przerywał co chwilę złowróżbny szum szalejącej na dworze wichury. Nagle zorientowała się, że stojąca na stole lampa naftowa została przez kogoś zapalona. Zza okopconego szkła wesoło błyskał niewielki płomień, rzucając światło na zdobiącą klosz swastykę. Przerazona uniosła się na rękach i przez chwilę rozglądała po pomieszczeniu. Świetlne plamki pląsały po różnych przedmiotach, sprawiając, że ich kontury wydawały się nienaturalnie wykrzywione.

W pewnym momencie zorientowała się, że nie jest w pokoju sama. Pod drzwiami stał ubrany na czarno mężczyzna. Jego twarz znajdowała się w cieniu, więc nie mogła dostrzec jej rysów. Z barków intruza zwisał długi skórzany płaszcz, spod którego wystawał biały lekarski kitel.

Miała wrażenie, że niewidzialne kleszcze z powrotem zaciskają się na jej klatce piersiowej, tak że nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Mężczyzna natomiast zdawał się nie zwracać uwagi na to, że dziewczyna się obudziła.

– Czego chcesz? – wyszepta mimo paraliżującego ją strachu. Bezskutecznie próbowała przełknąć ślinę. Zupełnie zaschło jej w ustach.

Mężczyzna nadal milczał. Chwilę później podszedł do stołu i w świetle płomienia dostrzegła, że jego oczy są brunatne.

– Zabieram, co moje – odparł lodowatym tonem. Wziął ze stołu stetoskop i schował go do kieszeni płaszcza. Przez chwilę stał bez ruchu, jakby nad czymś się zastanawiał, po czym nachylił się nad lampą i ją zdmuchnął.

Obudziła się z krzykiem i nie wychylając spod kołdry nosa, zaczęła rozglądać się po pokoju. Pomieszczenie wydawało się puste. Stetoskop wciąż leżał na stole, a lampa naftowa była zgaszona.

Spojrzała na zegarek. Do zaplanowanej pobudki zostało jej zaledwie kilka minut. Leżała więc jeszcze przez dłuższą chwilę, wpatrując się w rytmicznie tykającą wskazówkę. Wkrótce usłyszała hałasy świadczące o tym, że ekipa remontowa skończyła już śniadanie i zabrała się do pracy. Wciąż niespokojna po nocnym koszmarze zdecydowała się w końcu wstać z łóżka. Narzuciła na pizamę ulubioną bluzę i zaparzyła sobie herbaty.

Naszykowała górskie buty i plecak, gdyż po śniadaniu zgodnie z obietnicą złożoną Marcie zamierzała wybrać się do niej na Śnieżne Kotły. Zeszła do kuchni, przygotowała sobie jajecznicę i z parującym talerzem wróciła do siebie. Już miała zabierać się do jedzenia, gdy usłyszała dzwonek telefonu.

– Halo? – rzuciła, przytrzymując aparat jedną ręką, a drugą smarując masłem kromkę chleba.

– Cześć, kochanie! Ty się mnie wczoraj pytałaś o doktora Rudnickiego – zaczęła babcia, wyraźnie rozemocjonowana.

– Tak! Wiesz coś? – zapytała Justyna z nadzieją w głosie.

– Niestety, Danusia nikogo takiego nie kojarzy. Ale to nie wszystko! Powiedziałam jej, że to dość pilne, trochę pomarudziłam i obiecała popytać wśród swoich znajomych ze szpitala. I właśnie przed chwilą do mnie oddzwoniła.

– I co? – Justyna była coraz bardziej podekscytowana.

– Przypomniała mi o Jurku Szabli. On przed emeryturą był ordynatorem oddziału przeciwgruźliczego w szpitalu Cicha Łąka w Borowicach. Zadzwoiłam więc do niego z pytaniem o Rudnickiego. Wyobraź sobie, bardzo dziwna sprawa.

– Opowiadaj!

– Otóż tak... Zapisałam sobie, żeby nic nie pomylić. Wiesz, pamięć już nie ta. – Babcia westchnęła. Justyna usłyszała szelest przerzucanych kartek w notatniku. – Żebym ja się teraz w tym rozczytała... Aha. Jurek Szabla był trzecim po wojnie

ordynatorem oddziału dla gruźlików. Przejął funkcję po... Tomaszu Kusym, kojarzysz?

– Obiło mi się o uszy nazwisko.

– No właśnie, każdy go zna! O nim zawsze się mówiło, że to taki lekarz z powołania. Wiesz, że szpital rozwijał, że łóżek na oddziałach za jego czasów systematycznie przybywało, że podejmował pionierskie działania w zakresie leczenia gruźlicy antybiotykami i tak dalej. Miał autorytet wśród lekarzy. Wyobraź sobie, że jego poprzednikiem był właśnie Jan Rudnicki! Pierwszy polski lekarz, który po wojnie zaczął zarządzać Cichą Łąką. Bo początkowo cały szpital miał być tylko dla gruźlików.

– Kiedy ten szpital powstał?

– W czterdziestym piątym. Wiesz, gruźlica była wtedy olbrzymim problemem, ludzie tu na nią często umierali, więc jej leczenie było dla władzy priorytetem. Dopiero później w szpitalu stworzono inne oddziały. No nieważne. Słuchaj dalej, czego się dowiedziałam! Nie zgadniesz, ile czasu ten Rudnicki był ordynatorem! Ledwo dwa miesiące. Dlatego mało kto dzisiaj pamięta, że w ogóle ktoś taki zarządzał Cichą Łąką. A przecież to już wtedy był naprawdę potężny szpital! Nawet ja sama myślałam, że pierwszy był Kusy.

– Dlaczego pracował tak krótko? – zapytała Justyna, spoglądając na stary stetoskop, który wydawał jej się coraz bardziej tajemniczy.

– Bo zniknął.

– Zniknął?

– Tak... Przyjechał na nasze ziemie tuż po wojnie, w czterdziestym piątym. Jak większość. Władza przysłała go tutaj, żeby utworzył oddział przeciwgruźliczy w poniemieckim sanatorium Ruhige Wiese, czyli dzisiejszej Cichej Łące. Razem z malutką córeczką Rudnicki zamieszkał w pięknie urządzonym mieszkaniu na piętrze starej, poniemieckiej kamienicy w Karpaczu. Tej, w której mieści się dziś na parterze apteka Pod Żółtą Wagą. Budynek należał do szpitala i Rudnicki dostał tam służbowe mieszkanie. Po niedługim czasie szpital otwarto, Rudnicki został ordynatorem. Znalazł tu sobie nawet jakąś kobietę. A jego zastępcą był... – babcia zawiesiła głos na moment – Kusy. No i po paru tygodniach Rudniccy zniknęli: on, dziecko i ta kobieta, którą tu poznał. Mieszkanie w aptekarskiej kamienicy zostawili puściutkie.

– Co ty mówisz...

– Tak przekazał mi Jurek. Zaraz po Rudnickim na ordynatora powołano Kusego. I z tego, co zrozumiałam, szpital na zniknięciu Rudnickiego wyszedł dość dobrze.

– Dlaczego?

– Bo to był chyba typ spod ciemnej gwiazdy. Ponoć oszust. I kolaborował z Niemcami. Plotki mówią, że zrobił w szpitalu gruby przekręt i za to wyleciał. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, bo, jak twierdzi Jurek, sprawę zatuszowano.

– Wylecieć to jedno, ale zniknąć? Były trzy osoby i ot tak po prostu nagle ich nie ma?

– Myślisz, że po wojnie to raz coś takiego się tu zdarzyło?

– Niby wiem, że bywało różnie, ale sama przyznasz, że to dziwne.

– Oczywiście.

– A ten Kusy... Żyje jeszcze?

– Nie widziałam jego nekrologu do tej pory, więc raczej tak – stwierdziła babcia. – Dalej chyba zajmuje część tej aptekarskiej kamienicy w Karpaczu. Z żoną się rozwiódł. Ma syna, który chyba się nim zajmuje, to przecież już stary facet.

– Babciu!

– Słucham?

– CBS powinno przychodzić do ciebie na kursy.

– Oj, przestań! – Stanisława się roześmiała. – Nie wszystko udało mi się przecież ustalić. Wciąż na przykład nie wiem, dlaczego interesuje cię jakiś lekarz, który mieszkał tutaj sześćdziesiąt lat temu.

– Ach... To skomplikowana historia. Spotkamy się na pewno niedługo i wtedy ci opowiem – odparła Justyna.

– Niech ci będzie – odparła Stanisława z niezadowoleniem. – Ale trzymam cię za słowo!

Justyna przez chwilę analizowała przekazane przez babcię wiadomości. Zaraz potem wybrała numer Marty.

– Cześć, musisz mi wybaczyć, ale nie zdążę dzisiaj odwiedzić cię na Śnieżnych Kotłach.

– Dlaczego? Coś się stało?

– Muszę pilnie pojechać do Karpacza, by z kimś porozmawiać.

- O proszę. A o czym?
- Długa historia...
- Robisz się bardzo tajemnicza.
- A ty ciekawska. – Justyna się zaśmiała.
- O nie, nie – odparła Marta żartobliwie. – Ja zawsze taka byłam. Nie powinno cię to dziwić.
- Masz rację. Przyjdę do ciebie jutro i wszystko opowiem – obiecała Justyna i uświadomiła sobie, że podobną deklarację złożyła przed chwilą babci.
- W porządku. Spróbuj jutro nie przyjść, a ostrzegam, że sama się do ciebie pofatyguję. A wtedy nie będzie już tak miło – zagroziła Marta pół żartem, pół serio.
- Obiecuję, że wpadnę. Do zobaczenia!

Zielony szlak Odrodzenie – Stara Polana, 13 września 2006

Do Karpacza Justyna zdecydowała wybrać się pieszo, licząc, że samotny spacer dobrze jej zrobi. Wsunęła na nogi wygodne buty, spakowała do plecaka termos i cieplejsze ubrania na wypadek, gdyby pogoda miała się popsuć, po czym ruszyła w drogę.

Zielony szlak wiodący przez Kocioł Smogorni do Karpacza był jak zwykle opustoszały. Wąska ścieżka wiła się wśród uschniętych drzew, które zniszczyła katastrofa ekologiczna wywołana kwaśnymi deszczami, jakie nawiedzały te góry w minionych latach. Wystające z ziemi martwe pnie i ogołoczone z igieł zszarzałe konary sprawiały upiorne wrażenie. Przypominały zastygłe w bezruchu szkielety, które ktoś przeniósł na zbocza Smogorni z jakiejś koszarnej baśni. Justyna spoglądała na drzewa z niepokojem. Przypomniała sobie o wypadku, do którego doszło kilka lat wcześniej, gdy zimą w okolicy tego szlaku zaginęła grupa turystów. W drodze zastała ich potężna śnieżycyca. Brnąc po pas w śniegu, wśród wystających zewsząd spod białego puchu kikutów drzew zgubili w końcu drogę. Mimo szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczej GOPR-u pomoc nie dotarła do wszystkich na czas i dwie osoby tej wędrówki nie przeżyły.

Gdy dłużej się nad tym zastanawiała, uświadomiła sobie, że w okolicy zielonego szlaku wyjątkowo często dochodziło do różnych tego typu nieszczęśliwych zdarzeń:

zaginięć, zamarznęć, lawin. Liczba wypadków wzrosła znacząco od momentu, w którym las obumarł. Czy wszechobecne uschnięte drzewa rzeczywiście tak bardzo dezorientowały ludzi? A może zdarzenia te były zemstą Ducha Gór na ludziach za to, że przez swoją bezmyślność zniszczyli hektary lasów w jego królestwie?

Zatopiona w myślach dotarła wreszcie na Starą Polanę. Ponieważ stąd do Karpacza miała jeszcze nieco ponad pół godziny drogi, postanowiła zrobić krótki postój. Usiadła na jednej z drewnianych ławek, które zazwyczaj okupowali turyści odpoczywający tu w drodze z Karpacza na Śnieżkę, i wyciągnęła termos. Popijając herbatę, zaczęła rozglądać się po polanie, na której tego dnia panował wyjątkowy spokój.

Otoczona z każdej strony przez las łąka przybrała już jesienny jasnozłoty kolor, gdzieniegdzie przetarty fioletowymi plamami wrzosów. Z gęstwiny świerkowego boru wyłaniały się nieśmiało z różnych kierunków górskie szlaki, które zbiegały się w centrum polany, tuż obok miejsca, gdzie odpoczywała Justyna. Na stojącym w sąsiedztwie jej ławki drogowskazie umieszczono kilkanaście białych strzałek informujących o rozmaitych możliwościach wyboru tras. Spojrzała na znak z zaciekawieniem. Napis na górze informował o miejscu, w którym się znajduje:

„Stara Polana. Schronisko im. Bronka Czecha (nieistn.) 1100 m n.p.m.”

Potem popatrzyła na zamieszczone poniżej strzałki:

„Spalona Strażnica – przez Samotnię 1 h 40 min”

„Ruiny schroniska Księcia Henryka 1 h 10 min”

„Kotki (skały, przy nieistn. schr. Hasenbaude) 10 min”

Dopiero na kolejnej tabliczce przeczytała:

„Schronisko Odrodzenie 2 h 5 min”

Drogowskaz przykuł jej uwagę na dłużej. Uświadomiła sobie, jak wiele miejsc w okolicy Odrodzenia przestało istnieć. A teraz ten znak przypominał o dawnym karkonoskim świecie, który bezpowrotnie zniknął w przepaści historii.

Drogowskaz przywodził jej też na myśl zapomniany grób, z którego na skutek lat zaniedbań nikt już nie rozczyta nazwiska pochowanego tam człowieka. Tak było przecież i tutaj – z historii kilkusetletnich wielkich schronisk, ich budowniczych, gospodarzy i gości, z ich marzeń, pracy i przygód zostały tylko pojedyncze, bezosobowe słowa: „nieistniejące”, „spalona”, „ruiny”. Dotarło do niej, jak wiele

szczęścia miało jej ukochane schronisko, które przetrwało. Po raz pierwszy nazwa Odrodzenie wydała jej się tak bardzo trafna.

Z południa uderzył nagle silny wiatr, niosąc ze sobą wilgoć i chłód. Pod jego naporem pochylony już nieco drogowskaz zachwiał się i zatrzęszczał złowieszczo. Było w tym podmuchu coś niepokojącego, jakby Duch Gór chciał dać znać o swoim istnieniu.

Spojrzała w kierunku, z którego nadszedł wiatr. Objęła wzrokiem linię drzew, zza której wylaniały się skalne ściany Kotłów Małego i Wielkiego Stawu, rzucające na las długi cień. Gdyby ktoś próbował namalować pejzaż przedstawiający Starą Polanę, kontrast między łagodnie pochyloną halą a skalnymi graniami byłby niezwykle trudny do wiarygodnego oddania – tak bardzo te dwa elementy do siebie nie pasowały. Z jednej strony sielska łąka i zielony las, z drugiej – porażająca surowością i rozmiarem skalna ściana.

Myśląc o Kotle Małego Stawu, przypominała sobie czytaną niegdyś historię o karkonoskich przygodach stolnika Bilewicza, który kilkaset lat temu zawitał w te góry. W swoim dzienniku opisał potem, że przyjechał tu spotkać „Diabła zwanego Rywenzalem”, który według miejscowych mieszkał na dnie górskiego jeziora i czasem ukazywał się śmiałkom, budząc w nich grozę.

Zmarzły jej ręce, więc dołała sobie herbaty i wypła ją duszkiem. Już miała zbierać się w dalszą drogę, gdy na ławkach w jej pobliżu rozsiadła się grupka zziębniętych turystów, którym górski przewodnik zaczął opowiadać historię stojącego niegdyś na polanie schroniska imienia Bronka Czecha.

– Proszę sobie wyobrazić, że budynek spłonął w okolicznościach, które do dziś budzą wiele kontrowersji – zaczął mężczyzna, wskazując na przeciwległą stronę Starej Polany, gdzie niegdyś stało schronisko. – W Karkonoszach jest wiele schronisk, które zostały zniszczone tuż po drugiej wojnie światowej, jak choćby słynne schronisko Księcia Henryka. Musicie jednak wiedzieć, że ze schroniskiem Bronka Czecha było inaczej, bo ono jako jedno z niewielu nie spaliło się zaraz po wojnie. Przeciwnie, zostało zagospodarowane przez Polaków i stanowiło jedno z najpopularniejszych schronisk w Karkonoszach! Uwielbiali je nie tylko turyści, ale także narciarze, saneczkarze... Aż do grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, kiedy strawił je pożar.

– Dlaczego? – zapytał jeden z turystów.

– Zapytałbym raczej: jak to się stało, że spłonęło? – odparł przewodnik. – Odpowiedź brzmi: nie wiadomo. Według jednych źródłem pożaru była lampa naftowa, którą ktoś nieumyślnie przewrócił w jadalni. Według innych powodem było zaproszenie ognia niedopałkiem papierosa w części noclegowej przez nieodpowiedzialnego turystę. Jeszcze inni mówią, że doszło do zwarcia w instalacji elektrycznej w gabinecie kierownika schroniska i tam zaczął się ogień. Ta wersja wyjaśnia, dlaczego nie wezwano pomocy telefonicznie. Jedyny bowiem aparat był właśnie u kierownika. Oprócz wątpliwości związanych z przyczyną pożaru istnieją jeszcze inne pytania: dlaczego gdy już powiadomiono straż pożarną, akcja gaśnicza była tak powolna i nieskoordynowana? Dlaczego nie ustalono winnych pożaru? Dlaczego schroniska nie odbudowano? Sami przyznacie, że dość dużo znaków zapytania jak na jedno schronisko. Ale jest jeszcze jeden wątek! Wedle plotek w schronisku, w zamurowanym pomieszczeniu w piwnicy, były ukryte przez Niemców skarby. Ponoć ktoś, kto te skarby znalazł, podpalił schronisko, żeby zatrzeć za sobą ślady. Zaraz po tragedii wśród ludzi rozeszła się wieść, że w zgłiszczach schroniska imienia Bronka Czecha mogą być jeszcze jakieś cenne przedmioty. I wtedy teren ogrodzono, ruiny zabezpieczono, ustawiono stróża. Sami przyznacie, że to dość dziwne. Człowiek do pilnowania pozornie bezwartościowego pogorzelniska? Nikt dziś nie potrafi wyjaśnić, po co go wynajęto.

– Znaleziono tam coś ciekawego? – zapytał któryś z turystów.

– Oficjalnie nie – odparł przewodnik. – Wkrótce zarządzono rozbiórkę i pozostałości po schronisku zrównano z ziemią. Niektórzy uważają, że to były zwykłe działania porządkowe. Inni mówią, że rozbiórkę zorganizowano w tak ekspresowym tempie, żeby zatrzeć ślady, które niedostatecznie zamaskował pożar, a które były dowodem na to, że skrytka została opróżniona.

Przysłuchująca się opowieści przewodnika Justyna poczuła, jak przechodzi ją nieprzyjemny dreszcz. Przedstawiona przez mężczyznę historia uruchomiła w jej głowie niespodziewaną lawinę skojarzeń. Nagle przypomniała sobie rozmowę, którą odbyła niegdyś z panem Wojciechem, poprzednim kierownikiem schroniska, tuż po tym, jak przeszedł na emeryturę. Kiedy to mogło być? Cztery lata temu? Potem pomyślała o swoim wczorajszym odkryciu i nagle zrozumiała, kto mógł stać za niedzielnym włamaniem.

Schronisko Odrodzenie, 20 listopada 2001

Mgła, która kilka dni temu zawisała nad Przełęczą Karkonoską, zaczynała opadać, ukazując zasnuwane chmurami niebo. Ich złowieszczy, ciemny kolor zwiastował nadchodzącą burzę śnieżną.

Wojciech Pławecki siedział w biurze obok jadalni i porządkował faktury. Co jakiś czas spoglądał znad dokumentów za okno, obserwując nadchodzące załamanie pogody. Ze skupienia wyrwało go pukanie do drzwi.

– Szefie, przyszedł jakiś facet do pana. – Do gabinetu weszła stojąca tego dnia za barem pracowniczka.

– A, pewnie w sprawie tej rezerwacji na sylwestra.

– Nie, tamtego bym poznała. To ktoś inny. Powiedział, że koniecznie musi zamienić z panem słowo.

– O proszę. Ciekawe, czego chce... – odparł Wojciech, po czym wstał, kierując się do jadalni. Podeszedł do stojącego przy ladzie mężczyzny.

– Dzień dobry. Pan chciał ze mną rozmawiać?

– Czy pan jest kierownikiem schroniska?

– Owszem. Wojciech Pławecki.

– Mam.. dość delikatną sprawę.

– Bardzo proszę.

– Możemy porozmawiać na osobności? – Mężczyzna spojrzał wymownie na siedzących w pomieszczeniu turystów.

– Jeśli sprawa tego wymaga, to zapraszam. – Poprowadził tajemniczego gościa do biura.

Gdy już usiedli, mężczyzna chrząknął i zaczął:

– Panie Wojciechu. Przychodzę z prośbą. A może raczej powinienem powiedzieć: propozycją. Dość szczegółną.

– Jaką? – Spojrzał na niego zdziwiony.

– Wymaga ona dużej dyskrecji. A zarazem może być dla pana bardzo korzystna.

– Proszę przypomnieć mi swoje nazwisko, bo chyba nie zapamiętałem – odparł szorstko. W tonie jego głosu było słyhać nieufność. Niemal od samego początku wyczuwał, że oferta mężczyzny będzie w jakiś sposób nieuczciwa.

– Nie zapamiętał pan, bo się nie przedstawiłem. Ta wiedza nie jest panu na tym etapie do niczego potrzebna.

Wojciech zachnął się.

– Nie jesteśmy na żadnym etapie, chciałbym uprzejmie zauważyć.

Gość zignorował jego uwagę machnięciem ręki.

– Zajmuję się eksploracją miejsc związanych z drugą wojną światową na Dolnym Śląsku. Stare, nieczynne sztolnie, fabryki, ruiny pałaców, w których od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego urzędowali naziści i tak dalej. Wraz z moją grupą poszukujemy pamiątek z tamtego okresu, skarbów czy jak to sobie pan nazwie.

– Dlaczego miałyby mnie interesować pańska działalność?

– Mam propozycję dotyczącą schroniska, którym pan kieruje.

– Uprzedzam, że wszelkie poważne sprawy muszę konsultować z właścicielem obiektu.

– Tego właśnie wolałbym uniknąć. Chciałbym powiedzieć panu o swoim odkryciu. Szczegóły jednak zdradzę dopiero wtedy, gdy będę miał pewność, że zdecyduje się pan na współpracę.

– Zamieniam się w słuch – odparł z kpiną w głosie i znacząco uniósł jedną brew.

– Czy pan wie, że to schronisko było niegdyś siedzibą Hitlerjugend? Wypoczywali tu także nazistowscy oficjele...

– Chciał mnie pan tym może zaskoczyć? Wiem doskonale o ciemnych kartach w historii tego miejsca.

– Budynek postawiono w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku, a więc przeszło siedemdziesiąt lat temu – kontynuował mężczyzna niewzruszony. – Od tego czasu niewiele się tu zmieniło.

– No wie pan – obruszył się Pławecki. – Bardzo dużo się zmieniło. Odnowiliśmy drugie piętro, planujemy w najbliższych latach remont łazienek. Ja już może będę wtedy na emeryturze, ale zastąpi mnie odpowiednia osoba.

– Nie o to mi chodziło. – Przerwał mu. – Mówiąc, że niewiele się zmieniło, miałem na myśli samą architekturę budynku, układ pomieszczeń, rozmieszczenie instalacji, pionów, klatek schodowych...

– Jeśli o to chodzi, to ja nie powiedziałbym nawet, że niewiele się zmieniło, ale że nic się nie zmieniło.

– I tu jest pan w błędzie.

– Do czego pan zmierza?

– Dotarłem do źródeł mówiących, że w pewnej części schroniska mogło się znajdować ukryte pomieszczenie. Szczęśliwie jestem w posiadaniu przedwojennych planów tego budynku, udało mi się też zdobyć współczesne schematy.

– Skąd pan je wziął, jeśli mogę zapytać?

– Od człowieka, który interesuje się tym miejscem.

Wojciech uniósł brwi.

– Przeanalizowałem i porównałem rzuty wszystkich kondygnacji – i, rzeczywiście, na jednej z nich znajduje się miejsce, które... Jak by to ująć? Widnieje na planie przedwojennym, a na współczesnym już go nie ma. Sugeruje to, że pomieszczenie na pewnym etapie zostało zamurowane. A ja chciałbym to miejsce, za pana zgodą, dyskretnie zbadać.

– Nie rozumiem jednej rzeczy. – Pławecki nachylił się w jego kierunku, opierając brodę na rękach. – Dlaczego niezbędną jest dyskrecja?

– Trudno powiedzieć, co się tam znajduje. Jeśli jest to jednak coś cennego, zapewne zaraz zainteresowałiby się tym urzędnicy.

– A pan, rozumiem, chciałby sobie to coś przywłaszczyć?

– Ja chciałbym się tym dobrze zaopiekować. Oczywiście, za umożliwienie przeprowadzenia poszukiwań otrzymałby pan stosowne wynagrodzenie. Gwarantuję, że będzie to dla pana bardzo korzystna transakcja. Sprzęt i ludzi załatwiam ja, po spenetrowaniu skrytki wszystko przywrócimy do stanu poprzedniego. Pan tylko ma zapewnić spokojne wykonanie pracy, bez świadków.

Pławecki parsknął śmiechem.

– Rozumiem. Czyli mam zaproponować od razu konkretną kwotę za pomoc? Płatne z góry?

Kierownik schroniska zacisnął usta.

– Ma mnie pan za idiotę? Że będę pomagać w jakichś nielegalnych poszukiwaniach? Wykluczone.

– To bardzo zła decyzja.

– Proszę wyjść.

– Dużo pan traci. My i tak prędzej czy później dopniemy swego, a pan przegapił właśnie szansę, żeby też na tym skorzystać. Zostanie pan na tej swojej marnie płatnej posadce, a tego, co jest w skrytce, nawet nie ujrzy pan na oczy.

Wojciech momentalnie podniósł się z krzesła i oparł zaciśnięte pięści na biurku.

– Wynocha – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Będzie pan żałować tej decyzji. Proszę potraktować moją wizytę jako ostrzeżenie – odparł tamten niewzruszonym głosem, po czym wyszedł z gabinetu.

Stara Polana, 13 września 2006

Justyna przypomniała sobie ostatni tydzień pracy pana Wojtka, który przez wiele lat kierował Odrodzeniem. Odchodzący na emeryturę mężczyzna wiedział już, że zastąpi go młoda i ambitna Justyna Skała, dlatego starał się jak najlepiej wdrożyć kobietę do przyszłej pracy. Oprowadzał ją po schronisku i jego otoczeniu, pouczał, jak poprowadzone są różne instalacje, zapoznał z listą najbardziej awaryjnych elementów infrastruktury starego budynku. Do tej pory czuła wobec pana Wojtka wdzięczność, bo jego porady okazały się bezcenne, gdy już Justyna przejęła stery nad schroniskiem.

I właśnie teraz, przysłuchując się przewodnikowi, przypomniała jej się jedna z opowieści Pławeckiego o odwiedzinach mężczyzny, który złożył mu dziwną propozycję.

– Jeśli by ktoś taki się pojawił, nie wchodź z nim w żadne układy. To może być niebezpieczny człowiek. Widać było, że jest zawzięty i może posunąć się do różnych rzeczy... Od takich ludzi lepiej trzymać się z daleka – ostrzegał Justynę pan Wojtek.

Justyna na wspomnienie odwiedzin nielegalnego poszukiwacza skarbów u poprzedniego kierownika poczuła niepokój. Czy to on stał za niedzielnym włamaniem? Że też nie wpadła na to wcześniej! Jak mogła o tym zapomnieć?

W pewnym momencie zorientowała się, że grupa turystów i przewodnik, którego opowieści przed chwilą się przysłuchiwała, już dawno ruszyli na szlak. Poczuła, że robi jej się zimno. Schowała do plecaka termos i ruszyła w dalszą drogę do Karpacza.

Karpacz, 13 września 2006

Apteka Pod Złotą Wagą mieściła się w najbliższym sąsiedztwie zapory na Łomnicy, przy ulicy Konstytucji 3 Maja. Justyna zatrzymała się przed charakterystyczną bryłą budynku. Jego środkową drewnianą część otaczały z dwóch stron otynkowane alkierze. Na jednym z nich umieszczono wymalowaną wagę i nazwę apteki.

Zawahała się przez moment. Znowu ogarnęły ją wątpliwości: czy wypadało nachodzić starszego człowieka bez zapowiedzi? Zdecydowała się jednak wejść do środka. Sprawa była dla niej zbyt ważna, żeby teraz zrezygnować.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – przywitał ją stojący za ladą mężczyzna. Na jego nosie spoczywały grube, kwadratowe okulary, zza których wyzierały skupione oczy i krzaczaste, siwiejące brwi. Na ramiona narzucił biały fartuch o kilka rozmiarów za duży.

– Dzień dobry. Nazywam się Justyna Skała i pracuję w schronisku Odrodzenie. Szukam doktora Kusego. Mieszka tu, prawda?

– A pani w jakiej sprawie, jeśli mogę wiedzieć? – zapytał farmaceuta zaintrygowany.

– Chciałabym go o coś spytać. A raczej o kogoś.

– To ciekawe. Była pani wcześniej umówiona z ojcem?

– O, pan jest synem... – Justyna się zmieszala. – Nie, nie byłam. Ale bardzo zależy mi na tej rozmowie. Sprawa jest naprawdę pilna.

Mężczyzna przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

– Proszę chwilę poczekać – odparł niechętnie i zniknął na zapleczu.

Wrócił po kilku minutach.

– Niech pani wyjdzie z apteki i skieruje się na lewo. Tam będą drzwi z domofonem obok. Proszę zadzwonić, mój ojciec mieszka pod jedyką na pierwszym piętrze. Uprzedziłem go, otworzy pani.

– Ślicznie dziękuję za pomoc.

– Uprzedzam tylko, że ma dość... – chrząknął znacząco – trudne usposobienie. Proszę go nie denerwować, ma problemy ze skokami ciśnienia, jak to w tym wieku...

Justyna potaknęła i czym prędzej udała się we wskazanym przez niego kierunku. Nacisnęła właściwy guzik domofonu i czekała. Po chwili brzęk zamka

zasygnalizował, że drzwi zostały otwarte.

Elegancką drewnianą klatką schodową dotarła na pierwsze piętro kamienicy i stanęła pod drzwiami z mosiężną tabliczką. Napis głosił: „dr T. Kusy”. Nim zdążyła zapukać, drzwi otworzył jej oparty o laskę staruszek.

– Dziecko do mnie? – zapytał tubalnym głosem. – O co chodzi?

– Dzień dobry. Nazywam się Justyna Skała. Chciałabym zapytać pana, czy...

– Pan to jest w sklepie. Ja jestem doktorem. – Przerwał jej w połowie pytania.

– Przepraszam – odparła speszona. – Chciałam zapytać, czy może pamięta pan doktor Jana Rudnickiego?

Na dźwięk tego nazwiska Kusy cofnął głowę, a na jego twarzy uwydatniły się głębokie bruzdy wokół warg, brody i nosa.

– Tego konowała? – zapytał wreszcie, marszcząc czoło.

– Był lekarzem, tak...

– No pamiętam – stwierdził oschle. – I co?

– Chciałabym zapytać o jego tajemnicze zniknięcie. I dlaczego tak krótko kierował Cichą Łąką?

– Ten łapiduch nie zniknął tajemniczo, tylko spieprzył. – Westchnął zniecierpliwiony.

– Przed czym uciekał?

– Wejdzie? – zaproponował w końcu Kusy.

– Dziękuję, chętnie.

– Idzie za mną do pokoju – polecił, po czym poprowadził Justynę do swojego mieszkania. Zaprosił ją do elegancko urządzonego gabinetu, którego dwa duże skrzydłowe okna wychodziły na ulicę. Pomieszczenie pełne było starych rzeźbionych mebli, zabytkowych lichtarzy i figur. Przepychu, z jakim urządzone gabinet, dopełniał złoty zegar stojący na blacie biurka. Jego rytmiczne tykanie wypełniało ciche mieszkanie lekarza.

– Herbaty się napije?

– Nie trzeba.

– A ja tak. Niech zaczeka – odparł, po czym wyszedł do kuchni.

Justyna w tym czasie rozejrzała się po gabinecie z zaciekawieniem. Wystrój pomieszczenia sprawiał, że przypominało jej trochę salę muzealną. Ściany upstrzone

były przedwojennymi czarno-białymi widokami na sanatorium Cicha Łąka. Wisiały też plansze anatomiczne przedstawiające przekroje ludzkich płuc, oskrzeli, tchawicy i krtani opatrzone łacińskimi nazwami. Wśród nich liczne dyplomy, certyfikaty i listy gratulacyjne adresowane do Kusego.

Pomiędzy dwoma wychodzącymi na ulicę oknami, tuż pod ozdobnym kryształowym kinkietem, znalazło się jeszcze miejsce na kilka zdjęć personelu oddziału gruźliczego. Justyna podeszła do rzędu fotografii.

Najwyżej wisiało prawdopodobnie najstarsze zdjęcie, opatrzone datą „15 października 1945 r.” i podpisem: „Pierwszy zespół lekarzy i pielęgniarek oddziału gruźliczego szpitala Cicha Łąka z ordynatorem, doktorem Tomaszem Kusym”. Niżej podobna fotografia, tyle że wykonana w 1955 roku z okazji dziesięciolecia istnienia oddziału. Kolejne zawieszono tu zdjęcie zrobiono blisko czterdzieści lat później, w dniu przejścia Kusego na emeryturę. Na jeszcze następnej fotografii, wykonanej w pięćdziesiątą rocznicę utworzenia oddziału, wśród pielęgniarek i lekarzy miejsce ordynatora zajmował już inny mężczyzna, Jerzy Szabla.

Justynę uderzyła różnica między zdjęciami. Odniosła wrażenie, że na pierwszej fotografii personel ma śmiertelnie poważne miny, natomiast na ostatniej większość lekarzy i pielęgniarek się uśmiecha.

– Niech siada. – Usłyszała nagle za sobą oschły głos Kusego. Wskazał Justynie fotel pod ścianą, przy regale pełnym medycznych książek, a sam stękając, opadł ciężko na siedzenie naprzeciw niej. Wziął do ręki kubek z herbatą, nabrał z cukierniczki kopiastrą łyżeczkę, po czym zaczął mieszać zapamiętane. – To co chce wiedzieć?

– Pan był drugim ordynatorem oddziału przeciwgruźliczego, prawda?

– Pierwszym, panienko. – Obruszył się urażony.

– Z tego, co wiem, przed panem był jeszcze inny lekarz, doktor Jan Rudnicki, o którym wspomniałam.

Kusy skrzywił się.

– Damulko... – Wystawił lekko skrzywiony palec wskazujący w geście, jakby chciał pouczyć kobietę. – Ordynator to ktoś, kto tworzy podległy mu zespół. Zarządza nim. Wdraża procedury, nadzoruje lekarzy, ich dyżury, ruch chorych na oddziale. Rozumie to?

Justynie nie podobał się protekcyjny sposób, w jaki rozmawiał z nią mężczyzna, ale starała się zachować zimną krew.

– Rozumiem – odparła. – Czyli jednak nie znał pan Jana Rudnickiego.

– Znałem – prychnął. – Ale nazwanie go pierwszym ordynatorem obraża nie tylko mnie, ale jest również obrażą tej funkcji. To ja stworzyłem ten oddział, ja go prowadziłem. Ponad czterdzieści lat. Nasz szpital stał się wzorem dla całej Polski! Widzi zresztą. – Wskazał ręką na wiszące na ścianie dyplomy.

– Czym Rudnicki zasłużył sobie na pana niechęć?

– Pyta zupełnie jak moja druga żona. „Skąd ta niechęć? Pacjenci go lubią, z pielęgniarkami dobrze się dogaduje, czemu się go czepiasz”. Suszyła mi tak głowę, aż w końcu musiałem ją zostawić, bo robiła się naprawdę nieznośna – fuknął. – A prawda o Rudnickim jest taka, że był mordercą.

– Proszę?

– Ma panienka problemy ze słuchem?

Justyna powoli wypuściła powietrze. Zachowanie mężczyzny było wyjątkowo nieprzyjemne i pomyślała ze współczuciem o pacjentach Kusego.

– Kogo zamordował?

– Pacjenta – odparł były ordynator, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. – Tuż po wojnie, gdy przez chwilę, jak to pani określiła, „był ordynatorem”. Podał pacjentowi lekarstwo, które nie było jeszcze oficjalnie dopuszczone do leczenia i istniały wątpliwości, czy w przypadku jego zastosowania korzyść przewyższa możliwe działania niepożądane. Rudnicki przeszarżował. Był zbyt pewny siebie, zaryzykował i klops. Pacjent kopnął w kalendarz.

– I co się stało później?

– Za taki czyn powinien był stanąć przed komisją etyki lekarskiej. Ale uciekł, żeby uniknąć odpowiedzialności.

– Dokąd?

– Co „dokąd”?

– Dokąd uciekł?

– Jakbym wiedział, to sam przecież od razu doniósłbym na niego milicji.

– A jego dziecko? I kobieta, którą ponoć tu poznał?

Zdawało jej się, że twarz Kusego wykrzywił na chwilę niejasny grymas.

- Dziecko pewnie zabrał ze sobą. A o kobiecie... Nic nie wiem.
- Na pewno? – dopytywała się, słysząc wyraźnie zawahanie w jego głosie.
- Gdybym miał coś do powiedzenia na ten temat, to bym powiedział. A skoro mówię, że nie wiem, to znaczy, że nie wiem. Zrozumiała czy to dla niej za trudne? – Kusy zdawał się coraz bardziej poirytowany.
- Teraz ja mam pytanie – zaczął niespodziewanie, świdrując ją swoimi chłodnymi oczami. – Dlaczego pyta o Rudnickiego?
- Próbuję ustalić, jak zginął mój dziadek. Jeden z tropów prowadzi właśnie do tego lekarza, dlatego chciałam z nim porozmawiać, jeśli jeszcze żyje. Znalazłam też chyba należący do niego przedmiot.
- I co, chciała mu oddać? – Parsknął złośliwym śmiechem.
- Skąd u doktora tyle uszczypliwości? – wypaliła niespodziewanie dla samej siebie.
- Bo zawraca mi głowę sprawami, o których nie chcę rozmawiać. Przy okazji, ty nie jesteś przypadkiem z tych Skałów?
- Nie rozumiem.
- Mówiła o dziadku... – Zamyślił się. – Chodzi o tego pijaka, który spowodował wypadek kolejowy? Dobrze pamiętam?
- To nieprawda. – Justyna zacisnęła usta i wstała.
- Ta, nieprawda – prychnął Kusy. – Pamiętam tę historię, bo na sąsiedni oddział do naszego szpitala trafił wtedy maszynista, którego próbowaliśmy ratować. Konsultowałem nawet jego wypadek. Dubniański? Dubański...? Jakoś tak się nazywał. Nigdy wcześniej ani później nie widziałem tak poszarpanego ludzkiego ciała. Umierał w męczarniach. Twój dziadek powinien być też tak cierpieć. Ale zginął na miejscu. Alkoholikom zawsze się upiecze.
- Jak śmiesz – wycedziła przez zęby.
- Ano śmiem. A damulka co? Nie wstyd jej za niego? A może jest taka sama? Alkohol lubi? – Uśmiechnął się jadowicie. – Ponoć niedaleko pada jabłko...
- Dziękuję doktorowi za nieocenioną pomoc. – Przerwała mu. – A drugiej żonie, pierwszej i każdej pozostałej współczuję, że musiały z panem wytrzymać. To pewnie było piekło na ziemi – wypaliła, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z mieszkania.

Tomasz Kusy zaniemówił z wrażenia. Niezmiernie rzadko zdarzało się, żeby ktoś śmiał zwrócić się do niego w tak niegrzeczny sposób. Żeby ktoś w ogóle próbował wdawać się z nim w dyskusję, zamiast położyć uszy po sobie i milczeć.

Po chwili podniósł się z fotela i pokuśtykał do okna. Zdążył jeszcze dojrzeć, jak jego rozmówczyni oddała się w kierunku Białego Jaru.

– A niech cię szlag... – wysyczał, zgrzytając zębami, po czym odwrócił się od okna. Może potraktował ją zbyt surowo? Rzeczywiście, trochę puściły mu nerwy. Ale to przez wspomnienie Jana Rudnickiego. Po raz pierwszy od tylu lat ktoś śmiał napomknąć mu o tamtym człowieku, mimo iż Kusy za wszelką cenę starał się wymazać go z pamięci. Powiódł wzrokiem po swoich dyplomach. Chciał jak zawsze napawać się poczuciem, że dokonał w życiu wielkich rzeczy. Po chwili jednak skrzywił się. Do jego świadomości przebijały się słowa wypowiedziane przed chwilą przez tę pyską smarkulę.

Pomyślał o swojej drugiej żonie. To była jedyna kobieta, którą chyba naprawdę kochał. Może był czasem trochę szorstki, może nie potrafił okazywać uczuć, ale przecież był dobrym mężem. Przynosił do domu pieniądze, nie pił, nie bił... Może czasem krzyczał, ale kobiety takie były, że niekiedy wymagały, żeby ustawić je do pionu. I na dodatek pozwalał swojej żonie pracować! Jak ona mogła tego nie docenić i zostawić go... Skrzywił się ponownie, bo dały o sobie znać przykre wspomnienia. Mimo upływu tylu lat od wydarzeń z 1945 roku gorzkie uczucie porażki nie straciło na sile. Kusy wiedział doskonale, że już nigdy nie pogodzi się z tamtą przegraną. On przecież nigdy nie przegrywał. Zaczął zastanawiać się, co dzieje się z Rudnickim. Czy jeszcze żyje?

„Współczuję, że musiały z panem wytrzymywać”. – Ponownie przewinęły mu się w głowie słowa kobiety, z którą rozmawiał przed chwilą. Zirytowany machnął ręką i z furią strącił na podłogę kubek z herbatą, który rozbił się na kawałki. Kolejny raz uświadamiał sobie, że jest sam jak palec. Po jednej z ostatnich ostrych kłótni syn ograniczył z nim kontakt do minimum. Mimo regularnych zaproszeń, żeby zajrzał do niego po pracy na herbatę, nie odwiedził mieszkania ojca od wielu miesięcy, choć pracował piętro niżej.

Kusy nie wiedział też, co dzieje się u synowej i wnuczki, które mieszkały z jego synem w pobliskim Miłkowie. Zawsze odmawiały odwiedzin, tłumacząc się na różne mało wiarygodne sposoby. Większość dawnych znajomych ze szpitala już poumierła, a ci, którzy jeszcze żyli, zazwyczaj nie odbierali od niego telefonu.

Jakby nie chcieli mieć z dawnym kolegą z pracy nic wspólnego. Dlaczego? Tomasz Kusy zupełnie tego nie rozumiał. Był przecież dobrym przełożonym. A pacjenci? Także zdawali się nie pamiętać, ile troski okazywał im podczas swojej pracy.

Z dawnej kariery i prestiżu pozostały tylko dyplomy i zdjęcia na ścianach, a także wyświechtane, oficjalne życzenia składane mu co roku w urodziny przez delegację ze szpitala Cicha Łąka. Tomasz Kusy zacisnął zęby, a jego oczy po raz pierwszy od wielu lat zrobiły się szkliste. Złośliwa uwaga młodej kobiety bardzo go dotknęła.

Zielony szlak Stara Polana – Odrodzenie, 13 września 2006

Justyna szybkim marszem przemierzała ulice Karpacza. Pragnęła jak najszybciej opuścić to miasto i z powrotem znaleźć się na górskim szlaku. Czuła, że musi uciec, bo inaczej dogonią ją krzywdzące oskarżenia starego lekarza. A więc tak myśleli o niej ludzie? Pierwsze skojarzenie z rodziną Skałów to „ci od katastrofy i kolejarza alkoholika”? Łzy cisnęły jej się do oczu z powodu poczucia porażki. Miała tak wielkie marzenie, żeby udowodnić niewinność dziadka. Pokazać światu, jak bardzo się pomylił, osądzając jej przodka. Tymczasem trop w sprawie Rudnickiego się urywał.

Wierzyła też, że swoją ciężką pracą sprawi, iż Odrodzenie, dotychczas ciągle pozostające w cieniu znanych karkonoskich schronisk, wreszcie się odrodzi i zacznie przyciągać turystów. Zamiast tego doszło do włamania i na światło dzienne zaczęło wychodzić coraz więcej faktów dotyczących złej przeszłości tego miejsca. Boże, gdy to przebije się do świadomości ludzi... Przeraziła się. Odrodzenie – dawny ośrodek wypoczynkowy Hitlerjugend. Z taką „reklamą” mogła zapomnieć o kreowaniu wizerunku schroniska jako pełnego ciepła i przyjaznej atmosfery miejsca regeneracji dla górskich wędrowców.

Miała wrażenie, że ostatnio każda jej próba powrotu „na dół” – do miasta, do cywilizacji, kończy się jakąś katastrofą. Jak nie spotkanie z matką i nieudane wyjście do teatru, to teraz wizyta u gburowatego lekarza.

Droga powrotna, mimo że nieustannie wiodła pod górę, upływała jej wyjątkowo szybko. Zatopiona w niewesołych myślach, nawet nie zauważyła, gdy z miasta weszła na szlak i dotarła na Starą Polanę. Zatrzymała się. Skoro wizyta u Kusego nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, jej ostatnią nadzieją został pan Wojtek,

poprzedni kierownik schroniska. Musiała zapytać go o szczegóły wizyty poszukiwacza skarbów w Odrodzeniu kilka lat temu. Być może w tym był klucz do rozwiązania zagadki?

Wybrała numer do pana Wojtka. Po kilku sygnałach zgłosiła się skrzynka głosowa. Nagrała wiadomość z prośbą o kontakt. Miała wrażenie, że odpowiedź na nurtujące ją pytania dotyczące sekretów Odrodzenia jest na wyciągnięcie ręki, ale ona nie umie po nią sięgnąć. Zaklęła pod nosem, po czym ruszyła w stronę grupy skalnej Kotki i dalej, zielonym szlakiem w stronę Odrodzenia. Dopiero gdy dotarła do martwego lasu, uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Zarówno szybką wędrówką, pokonanym przewyższeniem, jak i wydarzeniami z ostatnich dni. Zakręciło jej się w głowie i poczuła, jak robi jej się niedobrze. Spojrzała na zegarek. No tak, było już późne popołudnie, a ona od rana nic nie jadła.

Rozejrzała się wokół z dziwnym uczuciem niepokoju. Zmierzchało, a zielony szlak jak zwykle był pusty. Ludzie omijali przecież umarły las, bo wędrówka nim nie przynosiła tego, co zazwyczaj dają ludziom góry, czyli ukojenia. Wręcz przeciwnie, przejście tym szlakiem przygnębiało, bo krajobraz sprawiał wrażenie jak po przejściu apokalipsy.

Usiadła na zwalonym pniu, pod jednym z martwych drzew. Zamknęła oczy, a spod powiek pociekło jej kilka łez, które silny wiatr błyskawicznie wysuszył. W pewnym momencie odniosła wrażenie, że uschnięte drzewa zaczynają się przemieszczać. Trzeszcząc złowieszczo, przybliżały się do niej, otaczając ją coraz ciaśniejszym kręgiem. Chciała zerwać się i pobiec do schroniska, ale czuła się zbyt wyczerpana. Z niemym przerażeniem obserwowała ruchy martwych pni.

Nagle dostrzegła samotnego starszego mężczyznę, który zmierzał szlakiem w jej kierunku. Jego niezapięty brązowy płaszcz powiewał na wietrze, tak samo jak zielony szalik, którym niedbale owinał szyję.

– Dzień dobry – powiedział, po czym usiadł na zwalonym pniu tuż obok niej.

– Musimy uciekać! – krzyknęła.

– Dlaczego?

– Nie widzisz, co się dzieje? – Z przerażeniem wskazała na pełzące w ich kierunku drzewa. Nagle poczuła na plecach dłoń mężczyzny.

– Pora przestać uciekać, kochana.

– Ale drzewa...

– To nie drzewa, tylko twoje lęki.

– Ja nie mam lęków.

– Wiem, co siedzi w twojej głowie. – Mężczyzna spoglądał na nią przez dłuższą chwilę. – Boisz się o Odrodzenie. O to, co będzie dalej ze schroniskiem. Czy włamanie się nie powtórzy. Czy nie stracisz pracy, jeśli właściciel uzna, że nie panujesz nad sytuacją.

Justyna ukryła głowę w dłoniach.

– Obawiasz się tego, jak ułożą się twoje relacje z matką i przyjaciółmi. Czy odkryjesz prawdę o śmierci dziadka. Czy nie będziesz kiedyś samotna.

– Skąd o tym wiesz? – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Te lęki cię gonią, ale ich siła jest duża tylko wtedy, gdy uciekasz – kontynuował. – Staw im czoła. Zobaczysz, jak zaczną maleć i znikać.

Justyna ponownie schowała głowę w rękach i zaczęła się trząść.

– Uspokój się – powiedział mężczyzna, biorąc ją za rękę.

– Ja... Mam dość życia. Chciałabym, żeby te drzewa pochłonięły mnie na zawsze.

– Przestań bluźnić. Nie przyszedłem tu po to, żeby zabrać cię na drugą stronę. Masz jeszcze wiele do zrobienia w moich górach. Wierzę w ciebie.

– Kim jesteś?

– Wiesz dobrze – odparł, gładząc długą, siwą brodę. Po chwili wyciągnął z kieszeni fajkę i zapalił. Wokół nich zaczął unosić się gęsty dym, a drzewa jakby się zatrzymały.

– Jesteś silna jak skała. Musisz tylko w to uwierzyć.

– Co mam robić?

– Musisz odkryć, co stało się z Rudnickim. A wtedy intuicja podpowie ci, co dalej.

– Jak mam to odkryć? I gdzie szukać?

– Tam, gdzie mieszkał. Karpacz to małe miasto. Wszyscy wszystkich znają. Każdy coś ci powie. Znajdź prawdę. Wiem, że to potrafisz.

– Czy ty jesteś... Duchem Gór?

Mężczyzna zaciągnął się fajką, po czym wypuścił potężną chmurę dymu.

– Sny pomagają uporządkować pewne fakty. Odkryć to, czego nie zauważyliśmy na jawie. Zrozumieć swoje emocje. Uświadomić sobie to, co ważne. Biegnij do swojego schroniska, Justyno. Będę o tobie myślał – odparł, po czym wstał i zaczął zbierać się do drogi.

– Poczekaj – zawołała, próbując złapać tajemniczego wędrowca za zielony szalik. Usłyszała w tym momencie pohukiwanie sowy.

Ocknęła się, drżąc z zimna. Zmierzch był coraz bliższy. Zerwała się z pnia, bo poczuła bolesny przykurcz ścierniętych nóg. Czy to możliwe, że zasnęła w takim miejscu? Potarła rękami czoło. Chyba rzeczywiście spała...

Schronisko Odrodzenie, 13 września 2006

Gdy dotarła do schroniska, natychmiast wzięła gorący prysznic. Jej wychłodzone ciało łaknęło ciepła. Po chwili pomieszczenie wypełniła gęsta para. Wdychała ją, czując, jak nawilża jej wyschnięty nos i gardło. Namydliła dłonie, gdy nagle przypomniała sobie mężczyznę, z którym rozmawiała w drodze powrotnej. Czy rzeczywiście go spotkała? Wspomnienie w jej głowie było bowiem niewyraźne, rozmazane. Niczym sen, którego szczegółów po przebudzeniu człowiek już nie pamięta, ale zostaje z nim wrażenie, jakie wywołała senna wizja. Nie wiedziała, czego dotyczyła rozmowa, ale została po niej potężna mieszanka emocji. Czy rzeczywiście tam na szlaku płakała? Czy pomyślała, że chce umrzeć? Jak coś tak strasznego mogło przyjść jej do głowy? Przeraziła się. Próbowała za wszelką cenę przypomnieć sobie słowa mężczyzny. Wreszcie usłyszała je w swojej głowie: „Przestań uciekać”.

„Przestań uciekać” – powtórzyła na głos. Oparła się dłońmi o zimną ścianę i zaczęła ustalać priorytety: włamanie do schroniska i oczyszczenie dziadka z zarzutów – to było teraz najważniejsze. Od czego zacząć? Intuicja podpowiedziała jej, że musi znaleźć Rudnickiego.

Wyszła spod prysznica, przygotowała sobie w schroniskowej kuchni kilka kanapek, po czym pobiegła do swojego mieszkania na drugim piętrze. Karpacz. Musiała znaleźć kogoś, kto będzie coś wiedział o dawnych mieszkańcach tego miasta. Pomyślała o rodzicach Marty, którzy od kilkudziesięciu lat prowadzili tam pensjonat Górski Dwór. Wybrała numer do Marty.

– Tylko mi nie mów, że jutro nie przyjdiesz. – Usłyszała w słuchawce głos przyjaciółki.

– Cześć! Przyjdę, oczywiście. Muszę porozmawiać z którymś z twoich rodziców. Chcę zapytać o jednego z dawnych mieszkańców Karpacza.

– O kogo konkretnie?

– O Jana Rudnickiego, lekarza.

– Nie kojarzę.

– Bo on zniknął w czterdziestym piątym.

– I myślisz, że moi rodzice są tak starzy, żeby go pamiętać? – Marta się zaśmiała.

– Oczywiście, że nie... Ale ten facet, którego szukam, mieszkał w aptece Pod Złotą Wagą. To prawie naprzeciwko pensjonatu twoich rodziców. Pomyślałam, że może ktoś im coś kiedyś opowiedział.

– Może...? Czekaj, już dyktuję ci numer do mamy.

Kilka minut później Justyna rozmawiała z matką Marty i przedstawiała jej sprawę:

– Szukam informacji o pewnym lekarzu, Janie Rudnickim. Pod koniec wojny sprowadził się do Karpacza i zaraz potem został ordynatorem oddziału gruźliczego w Cichej Łące. Zniknął po kilku miesiącach razem z córeczką i kochanką. Czy pani wie coś o tym człowieku? Może ktoś o nim opowiadał? To dla mnie bardzo ważne...

– On mieszkał w aptekarskiej kamienicy koło nas?

– Tak!

– Coś tam kojarzę z plotek.

Justyna poczuła, jak jej serce przyspieszyło.

– Ponoć przyjechał do Karpacza jako wdowiec z małą córką. Żona zginęła podczas wojny. Zaraz po tym, jak został ordynatorem, wdał się w romans z żoną babą. Jej mąż wpadł w szal, gdy się dowiedział. I ponoć szantażem zmusił Rudnickiego do zrezygnowania z funkcji i wyjazdu. Tylko że się przeliczył. Ta kobieta postanowiła wyjechać razem z Rudnickim. Chyba dlatego jej mąż zrobił się takim zgorzkniałcem.

– Ten mąż jeszcze żyje?

– Owszem. Mieszka w tej aptekarskiej kamienicy jak każdy ordynator. Nazywa się Tomasz Kusy.

Śnieżne Kotły, 14 września 2006

– Nareszcie jesteś! – krzyknęła Marta na widok Justyny wchodzącej do jadalni schroniska Nad Śnieżnymi Kotłami. Wyszła zza lady i przytuliła się do przyjaciółki. – Kawy? Herbaty?

– Kawy, bardzo proszę – odparła Justyna, ucałowała Martę w policzek i zajęła miejsce przy jednym ze stolików pod oknem. Za szybą roztaczała się majestatyczna panorama Kotliny Jeleniogórskiej. Patrzyła na nią z uśmiechem. W pewnym momencie skupiła wzrok na swoim rodzinnym mieście, którego zabudowania rysowały się na horyzoncie, i mina nieco jej zrzędła. Przypomniała sobie o ostatniej sprzeczce z matką. Ile dni upłynie, nim któraś ustąpi? Chwilę później na stoliku przed nią wylądował kubek czarnej kawy i kawałek placka z jagodami i kruszonką.

– Niedługo będę tak gruba, że nie zmieszczę się w drzwiach – jęknęła Justyna.

– Mogę zabrać – odparła Marta. Miała dość narzekań przyjaciółki.

– Ależ nie, tego nie powiedziałam! – zreflektowała się Justyna i uśmiechnęła przepraszająco. – Pewnie sama piekłaś?

– Specjalnie dla ciebie. Przed chwilą wyszło z pieca.

Marta usiadła naprzeciwko i wrzuciła plaster cytryny do swojego kubka z herbatą.

– Opowiadaj. Co takiego pilnego wczoraj robiłaś, że nie znalazłaś chwili na odwiedzinę u starej znajomej? I czemu dzwoniłaś do mojej matki pytać o jakiegoś starego lekarza?

– O Boże... – Justyna ciężko westchnęła. – Od czego by tu zacząć?

– Może od początku? – Marta puściła do niej oko.

– Przedwczoraj odkryłam w moim schronisku zamurowany pokój – zaczęła Justyna.

– Co ty mówisz?! – Marta momentalnie się ożywiła. – Jak to: zamurowany? Gdzie dokładnie? Jak tam trafiłaś? Co tam było?

Justyna zaczęła więc opowiadać. Najpierw o nieudanej niedzielnej randce, potem o nocnym powrocie do Odrodzenia i o włamywaczach, których nakryła w trakcie rozpruwania ściany w garażu. Wreszcie przeszła do opowieści o tajemniczym szybie towarowym, o „duchu”, który wiele lat temu nastraszył Marszałkową, i o zamurowanym pokoju, który odkryła poprzedniego dnia. Na koniec opowiedziała

o doktorze Rudnickim, który rzekomo rozpląnął się w powietrzu tuż po wojnie, a którego stetoskop znalazła w Odrodzeniu.

– Wiesz co, myślałam, że obraz Madonny, który znalazłam z Makssem w tym czeskim bunkrze, to była niewiarygodna historia. Ale gdy teraz słucham ciebie, mam wrażenie, że moje przygody sprzed dwóch lat to mały pikuś!

– Czy ja wiem... Chociaż przyznam się, że kiedyś trochę zazdrościłam wam tych przygód. Ale teraz, zważywszy na emocje, jakie zafundowały mi ostatnie dni, wcale nie wiem, czy rzeczywiście jest czego zazdrościć. Już kolejną noc nie mogę spokojnie spać, ciągle mam jakieś koszmary, budzę się przerażona.

– Może chcesz jakiś czas zostać u nas, na Śnieżnych Kotłach? – zaproponowała Marta.

– Dziękuję ci, ale nie. Muszę dowiedzieć się, co stało się w tym pokoju i co jest w sejfie, zanim dowie się ktoś inny.

– Wiesz, może powinnaś poinformować o sprawie jakieś służby... – zasugerowała Marta.

– Odezwała się ta, co na własną rękę ganiała z wartym miliony obrazem po karkonoskich szlakach – prychnęła Justyna.

– No niby tak... Ale z perspektywy czasu... To nie było najmądrzejsze. Wiesz, gdyby ten mężczyzna postrzelił wtedy Maksa... Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Brawura może czasami słono kosztować.

– Pewnie masz rację. Ale ja nie mam dużo do stracenia – odparła Justyna. – Sprawa jest dla mnie ważna z przyczyn osobistych.

– Osobistych? – zapytała zdziwiona przyjaciółka.

– Tak... Pamiętasz historię mojego dziadka, Antka Skały?

– Tego, co zginął na kolei?

– Właśnie. Komisja badania wypadków kolejowych wydała potem oficjalny raport, w którym stwierdzono, że to z winy dziadka doszło do wypadku. Na nieżyjącego najłatwiej było przecież zrzucić winę. Ale u nas w rodzinie nikt w to nie wierzy. Mój ojciec znalazł po latach nastawniczego, który był na dyżurze tego feralnego dnia, gdy doszło do katastrofy. Facet pracował na stacji w Jakuszycach, z których wyruszył w ostatnią podróż pociąg dziadka. Opowiedział on ojcu swoją wersję wydarzeń, której jednak w trakcie badania sprawy wypadku nikt nie chciał

wziąć pod uwagę. Tata przez długi czas starał się ją potwierdzić, jednak nie znalazł żadnych dowodów.

– Jaka była jego wersja? – Marta była zaintrygowana.

– Według niego władza chciała zatuszować sprawę, bo przyczyną tej tragedii nie był zwykły wypadek, lecz zamach zorganizowany przez niemiecką partyzantkę. Sama rozumiesz, że przyznanie się do tego opinii publicznej było władzy bardzo nie na rękę. Jak mieli zachęcać Polaków do osiedlania się na ziemiach, na których Niemcy wciąż byli w stanie skutecznie przeprowadzić zamach na pociąg? Zwłaszcza że do katastrofy nie doszło w zwykły dzień, lecz tuż przed pierwszą edycją międzynarodowego kolarskiego Wyścigu Pokoju. Zamach w przeddzień takiej imprezy to byłby międzynarodowy skandal, w zawodach startowali przecież sportowcy z wielu krajów! Dlatego sprawę opisano jako nieszczęśliwy wypadek spowodowany zaniedbaniem przez mojego dziadka, który był na służbie pod wpływem alkoholu.

– Nigdy mi nie opowiadałaś o tym tak szczegółowo! – Marta spojrzała na przyjaciółkę z wyrzutem.

– Jakoś tak wyszło...

– I co ma wspólnego zamach na pociąg z tym zamurowanym pokojem?

– Znalazłam tam trochę ponemieckich notatek i planów. Wśród nich jest stara mapa stacji kolejowej w Jakuszycach, na której ktoś zaznaczył pociąg o nazwie „Kamyki”. A właśnie tak na kolei mówili na pociąg, który prowadził dziadek. Znalazłam też rozkład jazdy z Tkaczy, jednej z tamtejszych stacji kolejowych. Jest tam zaznaczony kurs jednego pociągu pospiesznego. Tego, z którym omal nie zderzyła się towarówka prowadzona przez dziadka. Rozkład obowiązywał w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, czyli w miesiącu katastrofy.

Marta dłuższą chwilę milczała, po czym, domyślając się, co Justynie chodzi po głowie, spytała:

– Myślisz, że Odrodzenie było jedną z kryjówek ludzi, którzy zorganizowali zamach na pociąg prowadzony przez twojego dziadka?

– Może to wydaje się absurdalne, ale tak właśnie myślę. Nie wiem jednak, jak rozwikłać tę zagadkę. Jedyнным moim punktem zaczepienia jest ten lekarz, Rudnicki. Sama przyznasz, że to dość intrygujące. Facet z dzieckiem zaginął, a w Odrodzeniu

w zamurowanym pokoju leży jego stetoskop. Kusy powiedział mi, że Rudnicki testował jakieś nowe leki na pacjentach i gdy jeden z nich zmarł, Rudnicki uciekł.

– To straszne...

– O ile to prawda. Twoja mama powiedziała mi trochę inną wersję tej historii. Mianowicie, że żona Kusego zdradzała go z Rudnickim. Tamten się wściekł, zaczął Rudnickiego czymś szantażować i zmusił go do wyjazdu, a żona Kusego wyjechała razem z nim. Dokąd – niestety nie wiem.

W tym momencie do jadalni wszedł Maksymilian.

– Cześć, kochanie! Cześć, Justynka. – Przerwał ich rozmowę. Pocałował Martę w czoło, przytulił jej przyjaciółkę i przysiadł się do stolika.

– O czym rozmawiacie?

– O moich przygodach – odpowiedziała Justyna, po czym razem z Martą streściły mu wszystko pokrótce.

– Na twoim miejscu zamiast grzebać w sprawie Kusego, spróbowałbym dowiedzieć się, kto włamał się do schroniska w niedzielę – zasugerował Maksymilian po wysłuchaniu jej opowieści.

– Mam pewne podejrzenie. Przypomniałam sobie wczoraj o dziwnej wizycie sprzed kilku lat, jaką złożył poprzedniemu kierownikowi Odrodzenia poszukiwacz skarbów. Według pana Wojtka to był typ, który od razu wzbudzał nieufność. Zaczął mu tłumaczyć, że w schronisku prawdopodobnie znajduje się nietknięta od czasów wojny skrytka.

– Chodziło mu o ten pokój?

– Nie wiem. Zarówno wtedy panu Wojtkowi, jak i mi do niedawna wydawało się, że to jakaś ściema. Ale z perspektywy ostatniego odkrycia... W każdym razie ten poszukiwacz proponował podział łupu za pomoc w dostaniu się do skrytki.

– I co? – spytała Marta.

– I nic, pan Wojtek go pogonił. Ale kiedy odchodził na emeryturę, ostrzegł mnie, że ktoś taki może pojawić się w schronisku, korzystając z faktu, że zmienia się kierownik. Nikt taki mnie nie odwiedził. Kto wie, może tym razem postanowił nie pytać o zgodę tylko od razu przejść do działania? Po prostu cały czas czekał cierpliwie na dogodną okazję i postanowił wykorzystać okres remontu na poszukiwanie skrytki.

– Myślisz, że byłby aż tak zdesperowany? – zapytała Marta.

- Nie wiem... Jeśli jednak wiedział, że jest tam coś cennego?
 - Zastanawia mnie nazwisko tego lekarza od stetoskopu... Rudnicki, tak?
 - Tak, Jan Rudnicki – potwierdziła Justyna.
 - Wydaje mi się, że znałem kiedyś lekarkę o tym nazwisku. Może miałem z nią zajęcia na studiach we Wrocławiu? Nie dam sobie jednak głowy uciąć...
 - Tyle że ja szukam mężczyzny...
 - Wiem. Ale może to jakaś rodzina? Zadzwonię do kolegi, z którym studiowałem, i go zapytam.
- Po kilku minutach Maks wrócił do stolika i powiedział:
- Dobrze pamiętałem. Mieliśmy na studiach zajęcia z chirurgii z Ireną Rudnicką-Duś. Była szefową katedry. – Skoro jest z domu Rudnicka, to może Jan był kimś z jej rodziny? Przecież można zapytać? Co o tym myślisz, Justyna?
 - To jest myśl! – Justyna się ożywiła. – Pewnie, że zapytam! Mam szukać tej kobiety gdzieś na twojej uczelni we Wrocławiu, tak?

Główny Szlak Sudecki, 14 września 2006

Justyna wyszła ze schroniska Nad Śnieżnymi Kotłami, czując, jak jej się kręci w głowie od natłoku myśli. Choć miała nadzieję, że uda jej się poruszyć z przyjaciółką temat Mikolasa, to został on jednak zupełnie pominięty z powodu tropu podsuniętego przez Maksa.

Szła coraz szybszym krokiem, rozkoszując się rześkim górskim powietrzem. Mimo że jesień kalendarzowa jeszcze się nie zaczęła, powietrze było bardzo chłodne, tak że aż drażniło jej nos. Czy to możliwe, że Rudnicki przeniósł się do Wrocławia po tym, jak został zmuszony do wyjazdu z Karpacza? Nawet jeśli tak, to wciąż pozostawało najważniejsze pytanie: co robił jego stetoskop w domniemanej kryjówce niemieckiej partyzantki?

Od mnożących się pytań oderwał ją dźwięk telefonu. Spojrzała na ekran. Dzwonił Łukasz. Zmarszczyła brwi, wcisnęła zieloną słuchawkę i przyłożyła komórkę do ucha.

– Czy ty kiedyś przestaniesz do mnie wydzwaniać?! – fuknęła do telefonu. – Jeśli naprawdę stało się coś ważnego, to masz pół minuty. Ale jeśli zamierzasz zawracać

mi głowę, to z góry uprzedzam, że szkoda twojego czasu.

– Cześć! – Łukasz się zmieszał. – Martwię się o ciebie... Nie odbierasz od kilku dni telefonu.

– Czyli zamierzasz marnować mój czas – skwitowała Justyna z rosnącą furią. – Czy mógłbyś, z łaski swojej, dać mi święty spokój i przestać do mnie wydzwaniać?

– Błagam, wysłuchaj mnie... – Łukasz urwał w pół zdania i zamilkł.

Justyna zawahała się.

– Szybko – odparła sucho po chwili.

– Bardzo mi na tobie zależy.

– A mnie na tobie już nie zależy! – krzyknęła ze złością.

– Wybacz mi, proszę... – Przepraszam, że nie dotarłem do teatru na czas... – kontynuował wobec braku sprzeciwu ze strony Justyny. – Miałem mały wypadek po drodze. Spóźniłem się kilka minut.

– Co?! To ty do mnie pisałeś?

– Tak... Uznałem, że nie będziesz chciała ze mną rozmawiać, więc pomyślałem, że może spróbujemy poznać się od nowa, z czystą kartą, wiesz...

– Ale ty nie masz czystej karty. A ja nie chcę poznawać cię od nowa. Wiem o tobie wystarczająco dużo.

– Z Monią to był straszny błąd, teraz to zrozumiałem... Ja naprawdę nie jestem taki głupi, jak ci się wydaje. Kocham cię – powiedział ze smutkiem w głosie.

Justyna dobrze знаła te jego zagrywki.

– A według mnie jesteś dokładnie taki, jak mi się wydaje. Dzięki Bogu, że wyszłam z tego teatru od razu. Miałam przecucie, że z tym P.S. musi być coś nie tak. Skąd w ogóle przyszła ci do głowy taka idiotyczna ksywka?

– P.S. jak przewodnik sudecki... – mruknął Łukasz.

– Mistrz intrygi, gratuluję. Nie życzę sobie więcej takich podchodów, rozumiałeś? A teraz spieprzaj – syknęła i się rozłączyła.

Mijała właśnie rozwidlenie szlaków, przy którym stała drewniana ławka. Przysiadła i schowała twarz w dłoniach. Boże, a więc była taka naiwna? Naprawdę myślała, że jakiś turysta się nią zainteresował, że może właśnie w ten romantyczny sposób pozna miłość swojego życia? Żałosne... Westchnęła ciężko. Nie zamierzała

jednak płakać i znów rozpamiętywać tego, co ją spotkało. Miała teraz dużo ważniejsze sprawy na głowie.

Myślami wróciła do niedzielnego włamania i do zaproszenia do teatru. Przedstawienie odbywało się w dzień, na który ktoś zaplanował włamanie. Zastanawiała ją nagle próba odzyskania jej względów przez byłego faceta. Podczas krótkiej wymiany zdań z Łukaszem przyszła jej do głowy myśl, która zaczynała teraz nabierać wyraźnych kształtów. Przypomniała jej się bowiem jedna z powieści o Panu Samochodziku, którą czytała w dzieciństwie. W części pod tytułem *Niesamowity dwór* złodzieje chcieli okraść zabytek, w którym była ukryta masońska loża. W tym celu wywabili Pana Samochodzika i jego współpracowników z dworu, zapraszając ich na przedstawienie, by w tym czasie przeszukać budynek i wynieść to, czego szukali. Skojarzenie z sytuacją w Odrodzeniu było dla niej teraz już niemal oczywiste.

Tych kilka tropów zaczęło coraz częściej kołatać się w jej głowie. Sekretne pomieszczenie. Wyjście na przedstawienie, w trakcie którego ktoś dokonuje włamania, bo zna wagę tajemnicy ukrytego pokoju. Czy to właśnie był powód zaproszenia jej do teatru? Jeśli tak, to czy w takim razie Łukasz działał na prośbę włamywaczy? Dogadał się z tym nielegalnym poszukiwaczem skarbów? Ta myśl ją zmroziła. To tłumaczyło przecież jego nagłe próby odzyskania względów Justyny. Co tak cennego mogło być w zamurowanym pomieszczeniu? Przecież nie stetoskop, trochę papierów, stary materac... Natychmiast przypomniała sobie o zamkniętym sejfie wmurowanym w ścianę. Podniosła się z ławki i szybkim krokiem puściła się w kierunku Odrodzenia.

Schronisko Odrodzenie, 14 września 2006

W schronisku z powodu przerwy obiadowej panował względny spokój. Justyna weszła do jadalni, w której robotnicy zaczynali właśnie jeść przygotowany przez Marszałkową posiłek, i udała się do sąsiadującego z recepcją biura. Usiadła przed komputerem, poprawiła okulary na nosie i wystukała na klawiaturze adres internetowy wrocławskiej akademii medycznej. Gdy znalazła interesujący ją numer telefonu, wybrała go i przysunęła słuchawkę do ucha.

– Izabela Kowal, katedra chirurgii, sekretariat – usłyszała po chwili bezbarwny ton głosu.

– Dzień dobry, Justyna Skała. Czy zastałam doktor Rudnicką-Duś?

– Profesor Rudnicką-Duś – skarciła ją sekretarka.

– Przepraszam, profesor.

– Już przekazuję telefon. – Kobieta westchnęła z niezadowoleniem.

– Rudnicka przy telefonie.

– Dzień dobry, pani profesor... – Urwała, przez chwilę nie wiedząc, jak ubrać w słowa to, co chce powiedzieć. – Dzwonię w dość nietypowej sprawie. Znalazłam wśród domowych szpargałów – skłamała, przygryzając wargę – przedmiot, który mógł należeć do członka pani rodziny. Zna pani może Jana Rudnickiego? Był lekarzem od gruźlicy.

– Trudno nie znać własnego ojca – odparła profesorka, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Justyna przez chwilę zaniemówiła z przejęcia.

– Halo? Jest tam pani? – Słowa lekarki przywołały ją do rzeczywistości. – Co za przedmiot pani znalazła?

– Stetoskop... Jest na nim wygrawerowane imię i nazwisko „Jan Rudnicki”.

Po drugiej stronie przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Rzeczywiście, mógł należeć do mojego ojca. On miał taką obsesję, że wszystko, co do niego należało, podpisywał. Na fartuchach zawsze miał wyhaftowane swoje imię, tak samo na torbach z lekarstwami, stetoskopach. Takie małe dziwactwa – podsumowała, lekko się śmiejąc.

– Chciałabym go mu zwrócić. – Zaryzykowała w nadziei, że uda jej się pod tym pretekstem spotkać z mężczyzną.

– Przykro mi, tata od kilku lat nie żyje.

– Rozumiem... – Justyna się zawahała. – Czy może zatem zgodziłaby się pani poświęcić mi kilka minut na rozmowę o pani ojcu? To dla mnie ważne. Oddałabym też pani przy okazji stetoskop.

– Będzie mi bardzo miło. A proszę mi przypomnieć, gdzie go pani znalazła? Na strychu, tak? Tu, we Wrocławiu?

– Tak. – Justyna znowu skłamała.

– To niesamowite. Ciekawe, jak się u pani znalazł? – zaczęła zastanawiać się Rudnicka-Duś.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała tym razem zgodnie z prawdą.

– Ale znała pani mojego ojca? – dopytywała się profesorka.

– Ja nie, ale ktoś z mojej rodziny go znał. To długa historia...

– O, proszę. To tym bardziej ciekawe, jak ten stetoskop do pani zawędrował. W takim razie może zajrzy pani do mnie na herbatę?

– Z przyjemnością – odparła Justyna.

– To proszę przyjść jutro rano do katedry, będę miała trochę czasu, to sobie porozmawiamy.

Wrocław, 15 września 2006

Justyna wysiadła z pierwszego porannego pociągu relacji Jelenia Góra – Wrocław Główny. Przetarła zmęczone oczy i skierowała się do holu dworca. Razem z nią w tę samą stronę ruszyły dziesiątki pasażerów, zapewne dojeżdżających do pracy, którzy dosiadali się na podwrocławskich stacjach. W odróżnieniu od nich Justyna była na nogach od wielu godzin. Wyprawa do Wrocławia wiązała się bowiem dla niej z pobudką w środku nocy, drogą samochodem z Odrodzenia do Jeleniej Góry i następnie kilkugodzinną podróżą pociągiem.

Spojrzała na kartkę, na której zapisała podyktowane przez Maksa wskazówki dotyczące drogi do katedry chirurgii, gdzie miała się spotkać z profesorem Rudnicką. Po kilkunastu minutach jazdy tramwajem dotarła na miejsce. Wysiadła z pojazdu i spojrzała na potężny poniemiecki kompleks szpitalny. Zabudowa z czerwonej cegły, ostrołukowe portale wejściowe i mroczne strzeliste szczyty wykończone zieloną klinkierówką sprawiały odpychające wrażenie.

Dotarła do drzwi i pchnęła je z trudem. Od razu uderzyła ją woń środków do dezynfekcji, starości i wilgoci, tak charakterystyczna dla wielu dolnośląskich szpitali, które nierzadko lata świetności przeżywały jeszcze na długo przed erą antybiotyków. Początkowo skierowała się do sekretariatu katedry chirurgii, jednak po namyśle udała się prosto do gabinetu Rudnickiej.

– Dzień dobry, pani doktor... profesor! – poprawiła się od razu, przypominając sobie uwagę sekretarki.

– Dzień dobry – odparła starsza kobieta, z ciekawością spoglądając na nią zza delikatnych okularów w złotych oprawkach. Odgarnęła z czoła bujne blond loki. – W czym mogę pani pomóc?

– Justyna Skała. Przyniosłam obiecany stetoskop – zaczęła wyjaśniać.

– Proszę się rozgościć. – Wskazała ręką fotel naprzeciwko biurka i poprosiła sekretarkę o zaparzenie herbaty.

Justyna tymczasem wyciągnęła pordzewiały przyrząd i położyła go na blacie biurka. Zaczęła rozglądać się po eleganckim gabinecie. Jej uwagę, poza wielkimi regałami pełnymi książek medycznych, przykuły od razu liczne dyplomy opatrzone nazwiskiem Rudnickiej.

– No tak, należał do taty. – Kobieta się uśmiechnęła, wracając do gabinetu z parującymi kubkami. Wzięła do ręki stary przyrząd i przyjrzała się grawerunkowi. – Mam w domu inny, ale z takim samym napisem. Ktoś z pani rodziny znał mojego ojca? – spytała.

– Niestety, prawdopodobnie nie. Znalazłam stetoskop przez przypadek w swoim... domu. – Justyna się zawahała.

– Musiałam źle panią wczoraj zrozumieć. Wydawało mi się, że mówiła pani, że ktoś znał moją tatę.

– Nie byłam z panią do końca szczerą. Nie chciałam wyjść na nieznównważoną, ale znalazłam go w piwnicy.

– Cóż w tym dziwnego? – Rudnicka uniosła brwi.

– W piwnicy schroniska, w którym pracuję. Odrodzenie, mówi to coś pani?

– Nie.

– To schronisko położone wysoko w Karkonoszach, na granicy polsko-czeskiej. Trwa tam teraz remont, w trakcie którego odkryłam zamurowane pomieszczenie. Prawdopodobnie nikt nie był w nim od końca drugiej wojny światowej. I właśnie w tym pokoju znalazłam stetoskop pani ojca.

Twarz Rudnickiej nie zdradzała nawet cienia emocji.

– Myślałam, że może wie pani, skąd mógł się tam wziąć.

– Nie wiem. To pewnie przypadek. Może ktoś kiedyś ukradł ojcu stetoskop. – Ton jej głosu stał się lekko nieuprzejmy.

– Na pewno ojciec nie wspominał pani nigdy nic o schronisku Odrodzenie? – Justyna spróbowała jeszcze raz.

– Nie – odparła kobieta zdecydowanie. – Nasza rodzina nigdy nie miała z Karkonoszami nic wspólnego.

Justyna była coraz bardziej zakłopotana i jednocześnie zaskoczona nieoczekiwanym obrotem spraw.

– Ale przecież pani ojciec mieszkał jakiś czas w Karpaczu. Razem z panią. Organizował oddział przeciwgruźliczy...

– Kto panią przysłał? – Przerwała jej kobieta, wbijając w nią lodowate spojrzenie.

– Nikt... – odparła Justyna zmieszana.

– Znowu pani kłamie? – zapytała Rudnicka bezpardonowo.

– Nie. Próbuję się dowiedzieć, co stało się w tym schronisku... To znaczy... Nie wiem, od czego zacząć. – Płatała się speszona.

– Już wiem. – Rudnicka wymierzyła w nią ostentacyjnie wskazujący palec. – Ta szumowina Kusy panią przysłał!

Kiedy Justyna usłyszała nazwisko drugiego ordynatora Cichej Łąki zorientowała się, że Rudnicka właśnie zaliczyła pierwsze potknięcie.

– Czyli jednak kojarzy pani kogoś z Karkonoszy! Kusy był przecież zastępcą pani ojca.

Rudnicka zacisnęła usta.

– Myślę, że na panią już najwyższy czas – wycodziła przez zęby.

– Proszę dać mi szansę! – zaczęła Justyna, starając się zachować spokojny ton głosu. – Nie przysłał mnie Kusy. Wiem, że pani ojciec miał romans z jego żoną, że on potem pani ojca szantażował, ale to mnie w ogóle nie interesuje. Dla mnie liczy się tylko sprawa tego zamurowanego pokoju. Jest dla mnie bardzo ważna z przyczyn osobistych! Chcę się dowiedzieć, jak zginął mój dziadek. Po śmierci oskarżono go o spowodowanie katastrofy kolejowej, a ja wiem, że to nie była jego wina. Chcę oczyścić go z zarzutów i znaleźć dowody, że to nie był wypadek, tylko zamach niemieckiej partyzantki... – Urwała, widząc zdziwienie na twarzy Rudnickiej.

– Zamach? O czym pani mówi?

Zapadła cisza.

– Proszę kontynuować – dodała niespodziewanie Rudnicka.

Justyna zaczęła więc w końcu opowiadać. O feralnym trzecim dniu maja 1947 roku i o pociągu „Kamyki”. Profesorka słuchała z rosnącym zainteresowaniem.

– I jak ja miałabym pani pomóc w rozwiązaniu tej zagadki? – zapytała wreszcie Rudnicka.

– Kierownik pociągu jako jedyny przeżył katastrofę, bo wyskoczył z pędzącego składu, gdy to było jeszcze możliwe. Jego zeznania obciążły mojego dziadka. Oświadczył, że dziadek był pijany i nie dopełnił obowiązków, nie sprawdził jakiegoś przewodu hamulcowego... – Urwała na moment, by upić łyk herbaty. Po chwili kontynuowała: – Moja babcia natomiast twierdzi, że to kierownik miał wieczne problemy z alkoholem, a całe zdarzenie było wynikiem akcji niemieckich sabotażystów. Przypuszczam, że ich kryjówką był właśnie ten zamurowany pokój w moim schronisku. Ponoć potem nawet zatrzymano jednego podejrzanego, ale prawdopodobnie zginął w więzieniu urzędu bezpieczeństwa w Jeleniej Górze. To jednak tylko opowieści z drugiej ręki... Kierownik pociągu potem awansował. Sądzę, że w nagrodę za swoje „zeznania”, natomiast moja babcia przez długi czas musiała mierzyć się z upokorzeniem jako kobieta „tego nieroztropnego pijanego chłopaczka, który doprowadził do katastrofy”. Wie pani, ona nigdy potem nikogo nie pokochała tak jak dziadka. Sama wychowała ich syna, który urodził się niedługo po katastrofie. Był moim tatą... – Zawahała się na moment. – Mam poczucie, że robię w życiu mało wartościowych rzeczy, że nic mi się nie udaje. I bardzo chciałabym w końcu zrobić coś dobrego. Oczyścić z zarzutów swojego przodka... – Urwała zmieszana, że zdobyła się na tak dużą szczerość.

– Rozumiem – odparła krótko Rudnicka, po czym podeszła do jednej z szaf w swoim gabinecie i wyciągnęła pudełko ze zdjęciami. – Od razu po pani telefonie czułam, że jest jakiś inny powód, dla którego chce się pani ze mną spotkać. Dlatego wzięłam z domu fotografie, jakie zostały mi po ojcu.

Przez dłuższą chwilę przeglądała zdjęcia, aż wreszcie położyła przed Justyną jedno z nich.

– Uprzedzam, że w razie jakichś problemów wszystkiego się wyprę – stwierdziła sucho.

– Rozumiem – potaknęła Justyna i spojrzała na leżącą przed nią fotografię. Dwoje uśmiechniętych ludzi z dziecięcym wózkiem pozowało na chodniku przed znaną jej kamienicą w Karpaczu, w której po dziś dzień mieściła się słynna apteka.

– To moi rodzice. A ściśle mówiąc: mój ojciec i macocha. Mama zginęła w obozie koncentracyjnym. Ja jestem tutaj. – Wskazała z uśmiechem na wózek. – Pod koniec wojny ojciec zamieszkał ze mną w Brukenbergu, jak się wtedy mówiło o Karpaczu. Ponoć piękna kamienica. Ja jej oczywiście nie pamiętam, ale tak mówił mój ojciec. Dostał tam świetną pracę, miał stworzyć oddział leczenia gruźlicy w poniemieckim sanatorium. Ale nic z tego nie wyszło. – Przez Niemców i Kusego. – Rudnicka westchnęła. – On przyjechał do Karpacza zaraz po nas, z żoną. Dostali służbowe mieszkanie w szpitalu, Kusy został zastępcą ojca. Wyjątkowo nieprzyjemny typ. Jego dyplom był podejrzany, ale kto by się tym przejmował i to sprawdzał tuż po wojnie. Wtedy dla władzy liczył się każdy lekarz, nieważne, czy cokolwiek umiał. Słowem, do zdolnych nie należał. Ale ustawić się umiał. Był doskonały w manipulacji ludźmi, zawieraniu odpowiednich znajomości i ich wykorzystywaniu w odpowiednim czasie. Także w dobieraniu sobie na współpracowników i podwładnych ludzi bardzo zdolnych, ale o słabym charakterze, takich, którzy dadzą się stłamsić i nie pisną słowa, gdy przełożony przypisze sobie ich sukcesy. Tak wyglądał naprawdę okres, w którym Kusy zarządzał oddziałem, i wiem to z pewnych źródeł. Jego żona natomiast była cudowną kobietą. Pełną dobroci i miłości. Mąż nieustannie ją krzywdził, aż w końcu postanowiła od niego odejść. Mój ojciec dał jej dach nad głową, wdali się w romans. Kusy wpadł w szal, gdy zorientował się, z kim zamieszkała jego żona.

Rudnicka znowu sięgnęła do pudełka i po chwili wyjęła z niego czarno-białe zdjęcie, na którym widniała czwórka młodych chłopaków w towarzystwie wysokiego mężczyzny ubranego w nazistowski mundur. W tle widać było Odrodzenie udekorowane potężnymi flagami ze swastykami.

– O matko... – szepnęła Justyna zszokowana, widząc swoje schronisko ozdobione totalitarnymi symbolami. Najbardziej przeraziło ją to, że flagi doskonale pasowały do charakteru budynku. Marta miała rację – od tego miejsca bił nazistowski duch.

– Którejś nocy do mieszkania ojca zaczęło dobijać się trzech młodych chłopaków, Niemców z Hitlerjugend – zaczęła Rudnicka. – Tata otworzył. Mieli nie więcej niż po dwadzieścia lat, ale wszyscy byli uzbrojeni. Zagrozili, że jeśli nie udzieli im pomocy, to zabiją macochę i mnie. Nie miał wyboru... Kazali mu wsiąść ze sobą do

jakiegoś starego samochodu. Powiedzieli, że zawiozą go w pewne miejsce, do „wujka”. Tak o nim mówili. Wujek był ponoć bardzo chory i potrzebował pomocy lekarskiej, ale nie mógł się sam zgłosić do lekarza.

– Dlaczego?

– Dobre pytanie. To był najprawdopodobniej ktoś bardzo ważny, wysoki rangą nazista. Ukrywał się w górach w jakimś pustostanie, bał się zdemaskowania. Uciekł chyba z Wrocławia... I tych trzech chłopaków mu pomagało. Zabrali ojca do samochodu, zawiązali mu oczy i zawieźli go do jakiejś piwnicy, gdzie leżał ten cały wujek. Był ponoć w strasznym stanie, z zapaleniem płuc i jakąś paskudną, niegojącą się raną postrzałową na udzie. Przypadek niemal beznadziejny, jak na tamte czasy.

– Zmarł? – zapytała Justyna.

– Otóż nie. Tata miał penicylinę. Wówczas to był wyjątkowo luksusowy towar. Jedyne antybiotyki, jakie wtedy znała ludzkość. Powszechnie niedostępny. Ale tata skądś miał zapasy, chyba z wojska... Wiedział, że jeśli ten człowiek nie stanie na nogi, to partyzanci z Hitlerjugend surowo go z tego rozliczą. Więc robił temu Niemcowi zastrzyki domięśniowe ze swojej penicyliny. Opracował mu chirurgicznie ranę, zszył, założył opatrunek. Po kilku takich „nocnych wizytach lekarskich” w tej piwnicy „wujek” zaczął czuć się lepiej. Zapalenie płuc ustąpiło, rana po postrzale zaczęła się zablizniać. Ale któregoś razu tatę z tymi chłopakami z Hitlerjugend przyuważył Kusy. I zaczął tacie grozić, że go wyda za kolaborowanie z Niemcami. Chyba że żona do niego wróci – to był warunek jego milczenia. Ale ona nie chciała. Tata szybko zrozumiał, że Karpacz to dla nas bardzo niebezpieczne miejsce. Bo albo zabije nas niemiecka partyzantka, albo doniesie na nas ta szumowina. Którejś nocy spakowali swój skromny dobytek i uciekliśmy do Wrocławia. Tata dostał tu wkrótce pracę na akademii medycznej, a macocha wychowywała mnie jak własną córkę. – Rudnicka zakończyła opowieść.

Justyna wzięła do ręki starą fotografię.

– Ci czterej chłopcy na zdjęciu to ci, którzy szantażowali pani ojca? – zapytała.

– Na zdjęciu jest czterech, ale ojciec zawsze mówił, że było ich trzech. Z tym czwartym coś musiało się stać, może zginął w czasie wojny? Ten w mundurze – wskazała na mężczyznę stojącego pośród chłopaków – to ten ich „wujek”. Nie wiem, kto to był i co się z nim później stało, ale to musiał być zbrodniarz wojenny. Nie mam co do tego wątpliwości. Ci trzej tak go pilnowali... Ojciec nawet nie wiedział,

gdzie jest piwnica, w której go ukrywali, gdyż – jak mówiłam – po drodze zawiązywali mu oczy. Wiedział tylko, że jechało się długo pod górę szutrową drogą... – Zamyśliła się na moment. – Czyli mówi pani, że to było górskie schronisko... Niesamowite. Ojciec ukradł to zdjęcie podczas jednej z tych „wizyt lekarskich”. Myślał, że kiedyś spróbuje się dowiedzieć, kim był ten nazista, ale nigdy potem nawet go nie szukał. Chyba za bardzo się bał. Wie pani, to było tuż po wojnie, to nie były bezpieczne ziemie, a on miał jeszcze pod opieką moją macochę i mnie. A im bardziej lata płynęły, tym bardziej chciał o tej sprawie zapomnieć. Czasami po prostu lepiej nie wiedzieć.

– Rozumiem – odparła Justyna. Przyglądała się uważnie chłopakom. Jeden szczególnie zwrócił jej uwagę. Był wyjątkowo wysoki, nawet wyższy niż nazista stojący między nastolatkami. Dodatkowo nosił masywne okulary.

– Ale dryblas – skomentowała. – Musiał mieć ze dwa metry.

– Mój ojciec zwrócił na niego uwagę. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że cierpi na gigantyzm przysadkowy. Ojciec mówił, że miał bardzo nietypową klatkę piersiową. W terminologii medycznej nazywa się to klatką lejkowatą. Dość rzadkie dzisiaj. Gdy zaś popatrzymy na samą klatkę, pierwsza na myśl nasuwa się krzywica, jednak nie przy takim wzroście... On cierpiał na jakiś zespół genetyczny. Proszę spojrzeć, jakie nosił grube okulary, jakie miał nietypowe palce...

– Nie wiadomo, co mu dolegało?

– Może zespół Marfana? Ale nie mam pewności. – Rudnicka wzruszyła ramionami.

Justyna miała wrażenie, że gdzieś już ostatnio słyszała tę nazwę.

– Czy mogłabym pożyczyć to zdjęcie?

Rudnicka się skrzywiła.

– Bardzo panią proszę! Tylko zdjęcie tego nazisty z chłopakami... Jeśli to oni zorganizowali zamach na pociąg dziadka...

– Zrób z niego mądry użytek. Ojciec nie żyje, ale ja chciałabym się dowiedzieć, kto jest na zdjęciu... – powiedziała i przesunęła fotografię po blacie w kierunku Justyny.

Linia kolejowa Wrocław Główny – Jelenia Góra, 15 września 2006

Justyna siedziała sama w przedziale, gdy pociąg wydał z siebie metaliczne stęknienie i z kilkuminutowym opóźnieniem opuścił peron wrocławskiego Dworca Głównego. Wyjęła z plecaka termos z kawą, która okazała się wciąż ciepła. Nalała sobie pełny kubek i napawała się przyjemnym zapachem, który stopniowo wypełniał przedział. Zaczęło jej towarzyszyć niezwykle uczucie, którego nie potrafiła do końca opisać. Po raz pierwszy od dłuższego czasu miała bowiem wrażenie, że robi coś ważnego.

Wyciągnęła z plecaka fotografię, którą pożyczyła jej Rudnicka, i patrzyła kolejny już raz tego dnia na dumne twarze chłopców, których od dzieciństwa szkolono w taki sposób, aby stali się kiedyś bezwzględni mordercami. Intrygował ją stojący pośród nich mężczyzna. Co robił wtedy w jej schronisku? Wypoczywał? Prowadził jakieś zajęcia dla członków Hitlerjugend? I dlaczego po wojnie ukrywał się właśnie tam?

W pewnym momencie przypomniał jej się ktoś, kto mógłby pomóc jej odkryć tożsamość nazisty ze zdjęcia. Wybrała numer Maksa.

– Cześć, co tam? – Usłyszała po chwili w słuchawce.

– Cześć, Maks. Potrzebuję pomocy. Mam takie stare zdjęcie. Jest na nim prawdopodobnie jakiś znany nazista, stoi przed wejściem do Odrodzenia. Chciałabym ustalić jego tożsamość. Przypomniało mi się, że jak byłam u was na imprezie z okazji otwarcia Śnieżnych Kotłów po remoncie, pojawił się tam taki śmieszny historyk. Pracuje w muzeum Hauptmanna w Jagniątkowie.

– Masz na myśli Jacka Węglorza?

– Chyba tak. On pomógł ci rozwiązać zagadkę śmierci wujka i obrazu... Pomyślałam, że może byłby w stanie pomóc także mi?

– Rozumiem. Zadzwoń do niego i dam ci znać, kiedy możesz podjechać do muzeum – odparł.

– Bardzo ci dziękuję – odpowiedziała i już miała się zegnać, kiedy nagle, ku własnemu zaskoczeniu wypaliła: – I przepraszam...

– Za co? – Maks wydawał się zaskoczony.

Justyna zamilkła na moment.

– Wiesz za co... Wtedy, kiedy do ciebie przyszedłam, gdy nie było Marty. Nie powinnam była tak mówić, tak się zachować. To było żalosne i za każdym razem, kiedy cię teraz spotykam, jest mi wstyd. To się nigdy nie powtórzy, byłam wtedy roztrzęsiona. Zapomnijmy o tym, dobrze?

– Spokojnie. Nie ma tematu. Marta też się nie gniewa – odparł Maks.

„Ach, czyli jednak wie...” – Justyna pomyślała o przyjaciółce i się zmieszała. Z drugiej jednak strony poczuła ulgę, że dokonała w tym momencie pewnego oczyszczenia. Niektóre rozdziały należało definitywnie zamknąć. Pożegnała już w swojej głowie Łukasza, teraz żegna Maksa. Nareszcie miała poczucie, jakby uwalniała się od niedopowiedzeń, które nie pozwalały jej iść dalej.

– Dziękuję ci za wszystko – odpowiedziała nieco uspokojona. – Jak Węglorz się odezwie, daj mi znać. Do usłyszenia! – rzuciła i się rozłączyła.

Rozsiadła się wygodniej w fotelu. Rytmiczny stukot kół pociągu kołysał ją, uspokajał i wyciszał. Mimo wypitej wcześniej kawy czuła się coraz bardziej zmęczona. Zamknęła oczy i po raz pierwszy od kilku dni spokojnie zasnęła.

CZĘŚĆ VII

NAZISTA

Sudetenstrasse, 6 maja 1945

Karl Hanke siedział wściekły w samochodzie, którym kilkanaście minut temu odjechał spod willi Wiesenstein w Agnetendorf. Przed oczami wciąż miał pełne pogardy spojrzenie Gerharta Hauptmanna, gdy poprosił go o pomoc w ukryciu paczki, której nie mógł zabrać w dalszą podróż.

– Pieprzony pisarz – syknął pod nosem. – I tchórzliwy konformista – dodał.

Gdyby nie to, że potrzebował pomocy Hauptmanna w wywiezieniu zrabowanego obrazu, już dawno posłałby staruszka na tamten świat. Po chwili rozluźnił wciąż zaciśnięte pięści i wyjrzał przez okno. – Zbliżamy się do Sudetenstrasse?

Kierowca potwierdził.

– Dlaczego wybrał pan tę drogę? – spytał.

– Przejazd przez Klein Aupa albo Jakobsthal jest teraz zbyt ryzykowny. Tam mogą już być czeskie oddziały. A powodzenie naszej ucieczki zależy od tego, czy uda nam się przedrzeć przez te góry. Dlatego pojedziemy drogą, na której nikt się nas nie spodziewa – odparł Hanke sucho.

Po niedługim czasie byli już w gęstym świerkowym lesie, gdzieś pomiędzy Dürre Berg a doliną potoku Hainwasser. Pusta górską drogą wspinała się coraz wyżej. Do szczytu Spindlerpass zostało mniej niż kilometr.

Sudetenstrasse była niedokończoną inwestycją – ostatni odcinek trasy na przełęcz nie był wyasfaltowany i od dłuższego czasu samochodem zarzucało. Co więcej, prace zostały porzucone nagle i na drodze w wielu miejscach wciąż znajdowały się hałdy piachu, sterty drewna i pokruszone przez robotników skały.

W pewnym momencie auto wpadło w koleinę, jaką wyrobiły w niedokończonej drodze ulewne deszcze padające w minionym miesiącu.

– Uważaj! – wrzasnął Hanke. Usłyszeli nieprzyjemny metaliczny dźwięk świadczący o tym, że podwozie otarło się o wystający z ziemi kamień. Niedługo potem auto stanęło.

– *Scheiße!* – przeklął kierowca. Zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z samochodu.

– Co się dzieje? – warknął Hanke zaniepokojony. Od wielu godzin nerwy miał napięte do granicy wytrzymałości. Najpierw ucieczka z oblężonego Breslau dosłownie w ostatnim momencie przed zajęciem miasta twierdzy przez Rosjan, potem awaria awionetki w okolicach Schweidnitz, przesiadka na samochód w Grunau, wizyta u dawnego przyjaciela, który okazał się niewdzięcznym zdrajcą... Ucieczka komplikowała się coraz bardziej.

Kierowca bez słowa wskazał na drogę. Widać było, że jest przerażony. Hanke szarpnął za klamkę i wysiadł. Powiódł wzrokiem za palcem podwładnego. Na ziemi za ich samochodem znajdowała się ciemna, tłusta plama.

– Dalej nie pojedziemy... – wydusił z siebie wreszcie kierowca.

– Jak to, kurwa, nie pojedziemy? – Hanke ponownie zacisnął dłonie w pięści.

– Miska olejowa musiała zahaczyć o skałę i silnik się zatarł.

– No to napraw! – warknął bez zastanowienia.

– Bez mechanika nie da rady. – Kierowca rozłożył ręce w geście bezradności.

– Ja ci dam „nie da rady”, ty pieprzony idioto! – krzyknął Hanke i z całej siły zdzielił mężczyznę, tak że aż poczuł, jak pali go wewnętrzna strona dłoni. Kierowca zachwiał się, ale utrzymał równowagę. Spojrzał na nazistę dziwnym wzrokiem, ale nie powiedział ani słowa, tylko splunął i odwrócił się na pięcie.

– Spróbuj teraz mnie zostawić, a wpakuję ci kulkę w łeb, zanim dojdiesz do tamtego drzewa – wycedził przez zęby Hanke, wskazując na jeden ze świerków. Mężczyzna się zatrzymał. – A nawet jakbyś teraz stąd spieprzył, to dobrze wiesz, że obaj tkwimy w tym gównie po szyję! – kontynuował. – Beze mnie jesteś skończony, rozumiesz? Rozstrzelają cię przy pierwszej lepszej okazji. Żadnej granicy nie uda ci się przekroczyć.

Kierowca stał jeszcze przez moment i po chwili wahania wrócił.

– Co robimy? – wycedził przez zęby, próbując opanować wściekłość.

– Idziemy do schroniska Jugendkammhaus Rübexahl. Pieszko to kilkanaście minut drogi stąd, na szczycie Spindlerpass. Być może będzie tam Albert Schmied, mój serdeczny przyjaciel i zarazem właściciel schroniska. On na pewno nam pomoże.

„Kolejny serdeczny przyjaciel...” – pomyślał kierowca ze złością, przypominając sobie niedawne spotkanie z noblistą Gerhartem Hauptmannem, którego Hanke określał podobnymi słowami.

Jugendkammhaus Rübezahl, 6 maja 1945

Po kilkunastu minutach marszu wyszli z lasu, a ich oczom ukazał się rozległy plac. Z jednej strony ograniczał go budynek byłego posterunku niemieckiej straży granicznej, w którym do niedawna przetrzymywano więźniów budujących Sudetenstrasse. Naprzeciw niego stało niemieckie schronisko Spindlerbaude, które jeszcze kilka lat temu, przed aneksją Czechosłowacji, należało do Czechów i zwało się Špindlerova Bouda. Teraz wyglądało na opuszczone. Kilkaset metrów dalej i nieco wyżej spomiędzy drzew wyrastał majestatyczny budynek o bardzo charakterystycznej, piramidalnej bryle. Był to Jugendkammhaus Rübezahl, dawne schronisko młodzieżowe, które w latach trzydziestych przejęła organizacja Hitlerjugend na obiekt wypoczynkowy dla chłopców, których wychowywano na wiernych Adolfowi żołnierzy.

Mężczyźni szybkim krokiem ruszyli w stronę Jugendkammhaus Rübezahl, rozglądając się cały czas wokół. Otoczenie wydawało się jednak zupełnie puste. Drzwi schroniska były otwarte, ale w środku nie zastali nikogo. Hanke podszedł do lady recepcyjnej.

– Albert! Halo! Jesteś tu? Pilnie potrzebujemy pomocy! – krzyknął, jednocześnie odbezpieczając broń. Nie wiedział, czy miejsce jest bezpieczne i czy gospodarz schroniska w ogóle się w nim jeszcze znajduje.

Chwilę później dało się słyszeć stukanie w sąsiadującej z recepcją kuchni.

– Karl! Co ty tutaj robisz? – Zaskoczony Albert Schmied pojawił się w drzwiach.

– Nie pytaj o nic. Potrzebuję natychmiast samochodu. Muszę gdzieś pojechać.

– A co dzieje się z Festung Breslau? – zapytał zdziwiony.

– *Scheiße!* – wrzasnął, uderzając pięścią w ladę recepcji. – Mówiłem ci, że masz nie zadawać pytań. Samochód!

– Już się robi – odparł zmieszany mężczyzna. W tym momencie do jadalni weszli jego syn Johannes i trzej jego koledzy: Alexander, Erik i Klaus, którzy od kilku dni

mieszkali w schronisku.

– Heil Hitler! – krzyknęli niemal jednocześnie, prężąc piersi i hajlując Hankemu, gdy zobaczyli, jak znamienity gość zaszczyił ich swoją obecnością. Gauleiter Niederschlesien nieraz przyjeżdżał do Jugendkammhaus Rübezahl w czasie wakacyjnych obozów dla członków Hitlerjugend. Niemal co roku chłopcy słuchali tu jego płomiennych przemówień. Raz nawet, w dniu swoich urodzin, nazista zgodził się na wspólne zdjęcie z nimi.

– Heil Hitler, panowie – odpowiedział nieco uprzejmiej.

– Co Gruppenführer tutaj robi? – spytał jeden z nich Hankego.

– Synu, zabierz kolegów i idźcie na górę – odparł Albert Schmied chłodno. – Muszę gdzieś pojechać z Gruppenführerem. Niedługo wrócę.

Chłopcy niechętnie opuścili jadalnię. Właściciel schroniska nerwowo potarł rękami twarz i westchnął ciężko.

– Dobrze... – powiedział po chwili. – Potrzebujesz auta na dłuższą drogę?

– Tak – odparł Hanke.

– Rozumiem. Zrobimy tak. W Spindlermühle mam drugi samochód. Na pewno jest w lepszym stanie niż ten grat, którego mam tutaj... Zawiozę więc ciebie i kierowcę do Spindlermühle i dam wam kluczyk do drugiego auta. Pojedziecie nim dalej, a ja gratem wrócę tutaj.

– Tak zrobimy – przystał nazista i natychmiast udał się do schroniskowego garażu. Z racji wieloletniej przyjaźni z właścicielem bywał w Jugendkammhaus Rübezahl bardzo często i znał budynek jak własną kieszeń.

Droga Spindlerpass – Spindlermühle, 6 maja 1945

Schmied prowadził, obok siedział Hanke, a na tylnym siedzeniu kierowca. Droga ze Spindlerpass do Spindlermühle była – jak wiele karkonoskich tras – bardzo kręta i niebezpieczna. Cała była jednak wyasfaltowana, więc nie istniało ryzyko wypadków takich jak ten, który zdarzył się przed niespełną godziną.

Minęli schronisko Spindlerbaude, skręcili w lewo i z coraz większą prędkością zaczęli zjeżdżać na dół. Nagle na drogę naprzeciw nim wyszedł z lasu jakiś mężczyzna. Schmied zaczął hamować.

– Nie zwalniam – warknął Hanke.

Schmied przeczuwał, że zaraz stanie się coś złego. Nacisnął klakson, licząc, że mężczyzna zejdzie na bok. Ten jednak stał jak skamieniały. Gdy samochód był już bardzo blisko niego, nagle wyciągnął spod kurtki pistolet i błyskawicznie oddał strzał w jego kierunku, po czym skoczył do przydrożnego rowu. Rozległ się huk i przednia szyba auta Schmieda posypała się w drobny mak. Kierowca zaczął gwałtownie hamować.

– Szkło chyba wpadło mi do oka – wrzasnął przerażony. Autem zarzuciło. Mężczyzna tracił kontrolę nad pojazdem.

– Jedź dalej! *Scheiße!* – wrzasnął wściekły Hanke, wyciągając broń. – To pułapka!

Po chwili rozległa się seria strzałów z karabinu, które dosięgły samochód od strony Hankego. Pozostający na tylnym siedzeniu kierowca nazisty zaczął wrzeszczeć wniebogłosy. Najwyraźniej trafiła go któraś z kul.

– Przyspiesz! – wrzasnął Hanke do Schmieda, kuląc się poniżej otwartego okna samochodu. Wychylił się jedynie na moment, żeby oddać strzały ze swojego pistoletu w stronę lasu. Nie zdążył jednak zobaczyć, gdzie dokładnie znajdują się przeciwnicy i ilu ich jest.

Rozległa się kolejna seria strzałów i huk pękającej opony. Samochodem zarzuciło ponownie i zaraz potem zderzył się z przydrożnym drzewem.

– Zginiemy! – krzyknął przerażony Albert Schmied, chowając głowę w rękach. – Boże, ja nie chcę umierać...

– Ty tchórze – warknął wściekły Hanke, łapiąc karabin, który podał mu wciąż wyjący na tylnym siedzeniu kierowca. – Wsiadaj!

Schmied wpadł w tak wielką panikę, że nie mógł się ruszyć. Głowę wciąż chował w rękach i zaczął się trząść. Hanke doskonale wiedział, że nie może wysiąść od swojej strony, bo stamtąd padły strzały.

– Wsiadaj! – wrzasnął jeszcze raz na Schmieda, ale ten nie zareagował, trzęsąc się z przerażenia. Nie zważając na to, Hanke natychmiast wpakował się na jego kolana, szarpnął za klamkę i wysiadł od strony kierowcy. Kucnął przy drzwiach i próbował ustawić karabin na masce samochodu, gdy rozległa się kolejna seria strzałów od strony lasu.

– Wy czeskie kurwy – wrzasnął Hanke, gdy zorientował się, z kim ma do czynienia. Od strony lasu zbliżało się dwóch mężczyzn w zniszczonych mundurach. Wyglądali na czeskich partyzantów. Skąd się tu wzięli? Przecież nikt nie znał jego planu... Chyba że...? Pomyślał nagle o Spindlerbaude. A jeśli ktoś stamtąd doniósł znajdującym się w pobliżu partyzantom, że widział gauleitera?

Szybko ocenił swoje szanse. Krwawiący z ramienia kierowca Hankego wyczołgał się tylnymi drzwiami. Schmied dalej siedział skulony w środku. W tym momencie rozległa się kolejna seria z karabinu, z którego strzelał ktoś trzeci. Hanke pewnie chwycił broń i odpowiedział ogniem. Rozległ się wrzask jednego z partyzantów. Co jak co, ale gauleiter był doskonałym strzelcem. Zaraz po tym nastąpiła kolejna wymiana ognia. Mężczyzna z karabinem podszedł bardzo blisko samochodu. Hanke znów się wychylił. W tym momencie spostrzegł, że głowa Alberta Schmieda bezwładnie opiera się o kierownicę.

– *Scheiße!* – syknął nazista, gdy zorientował się, że jest przestrelona na wylot. Niemal w tym samym momencie dostrzegł czołgającego się po ziemi Czecha z karabinem i oddał w jego kierunku serię strzałów. Zaraz potem Hanke przeszedł na kolanach kilka metrów, próbując zmienić pozycję, i wtedy poczuł przeraźliwy ból uda. Wrzasnął i padł na ziemię. Leżał w bezruchu, licząc, że napastnik uzna go za martwego. Zapanowała cisza, przerywana jękiem kierowcy, który siedząc za samochodem, zwijał się z bólu. Gdy Czech zbliżył się do auta, Hanke błyskawicznie się podniósł i do niego strzelił. Mężczyzna padł na ziemię, nie wydając z siebie nawet jęku.

Nazista czekał dłuższą chwilę, ale od strony napastników nie dochodził żaden dźwięk. Ostrożnie spróbował wstać, ale przeszywający ból uda mu na to nie pozwalał. Złapał się więc samochodu i z trudem uniósł się na zdrowej nodze. Rozejrzał się wokół. Na Schmiedzie już dawno postawił krzyżyk, ale nie wiedział, co stało się kierowcy. Kuśtykając, zbliżył się do niego. Mężczyzna był strasznie blady i miał półprzytomny wzrok. Jego ramię bardzo obficie krwawiło. Minął go i przeszedł na drugą stronę samochodu. Zobaczył trzy nieruchome ciała napastników. Niewiele się zastanawiając, strzelił do każdego z nich jeszcze po razie, aby mieć pewność, że nic mu już z ich strony nie grozi. Potem pokuśtykał do samochodu z nadzieją, że w bagażniku znajdzie jakąś apteczkę. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania. Po raz pierwszy bowiem uświadomił sobie, że nie jest

wszechmocny. Po raz pierwszy też w oczy naprawdę zjrzała mu śmierć i zrozumiał, że ucieczka na południe może się nie powieść.

W bagażniku znalazł kilka szmat, które musiały posłużyć mu za opatrunek. Usiadł na ziemi, wyciągnął z kieszeni nóż i zaczął ciąć materiał na pasy, aby obwiązać krwawiące udo. Od rwącego bólu aż kręciło mu się w głowie. W tym momencie usłyszał, że ktoś się zbliża. Odruchowo uniósł karabin i spojrzał na drogę. Po chwili odetchnął z ulgą. Z góry, na rozpędzonych rowerach, nadjeżdżali chłopcy, których niedawno spotkał w Jugendkammhaus Rübezahl. Zaraz też pierwszy z nich zahamował tuż obok Hankego. To był Alexander.

– Usłyszeliśmy strzały i przyjechaliśmy sprawdzić, co się stało... – Urwał, widząc nogę Hankego i leżącego w kałuży krwi kierowcę, który tracił przytomność. Zaraz nadjechał Johannes Schmied, syn właściciela Jugendkammhaus Rübezahl.

– Co się stało? – krzyknął przerażony.

W tym czasie dojechali dwaj pozostali koledzy, Klaus i Erik.

– Johannes... – Alexander złapał go za ramię i próbował zatrzymać przed podejściem do samochodu. Tamten jednak wyszarpał się i podbiegł do auta.

– Boże... Tato... – Usłyszeli rozziewający krzyk. Chłopak próbował zaczerpnąć tchu, jednak nie mógł. Oparł się o samochód i gwałtownie zwymiotował.

Tymczasem Erik na widok rosnącej wokół kierowcy kałuży krwi zachwiał się i gdyby nie podparł go Klaus, prawdopodobnie runąłby na ziemię. Jedyne Alexander i Hanke w pełni zachowali zimną krew.

– Musimy stąd uciekać. Zaraz mogą pojawić się następni – sapnął nazista, wskazując na zwłoki czeskich partyzantów. – Ja nie dam rady iść...

– Herr Gruppenführer... – zaczął Alexander.

– Reichsführer – sprostował Hanke. Od kilku dni nosił ten zaszczytny tytuł nadany mu przez Hitlera po tym, jak ten uznał Himmlera za zdrajcę.

– Przepraszam, Herr Reichsführer. – Chłopak się poprawił. – Zaniesiemy pana do Jugendkammhaus Rübezahl. To jedyne w miarę bezpieczne miejsce. A potem zobaczymy, co dalej.

– Dobrze – odparł Hanke. – Ale przedtem trzeba zająć się kierowcą.

Alexander popatrzył na niego zdziwiony.

– Nie pomożemy mu, niestety. Za dużo krwi już stracił. Popatrz na niego, jest blady. Skróć jego męki – rozkazał Hanke i podał chłopakowi pistolet. – To rozkaz.

– Tak jest – wyszeptał Alexander, posłusznie wziął broń i strzelił w głowę konającego kierowcy.

Po tym czynie zyskał w oczach Hankego uznanie.

– Będą jeszcze z ciebie ludzie – stwierdził, wysilając się na grymas, który przypominał nieudolny uśmiech.

– Dziękuję, Herr Reichsführer – odparł Alexander.

– Chłopaki! – krzyknął po chwili Hanke. – Rozbierzcie go prędko. – Wskazał na nieżyjącego już kierowcę.

Erik i Klaus zabrali się do pracy.

– Dlaczego to robimy? – zapytał po chwili Alexander.

– On jest trochę podobny do mnie z postury i twarzy. Przebierzemy go w mój mundur, który jest w samochodzie, w bagażniku. I zostawimy mu moje dokumenty. Zaraz na pewno zjawią się tu kolejni czescy partyzanci. Nie będą wnikać w szczegóły, są na to zbyt głupi. Znajdą trupa, dokumenty i ogłoszą wielki sukces, że upolowali Reichsführera SS. A ja bezpiecznie ewakuuję się stąd pod nową tożsamością. Musicie tylko zorganizować dla mnie jakieś nosze... Nie będę w stanie iść.

– Rozumiem – odparł krótko Alexander.

Hanke podniósł się, sycząc z bólu, i wskazał na jeden z rowerów.

– Podajcie go tutaj i pomóżcie mi wsiąść. A potem przywiążcie mi tę chorą nogę do ramy, bo nie dam rady unieść jej nad ziemię. Dwóch z was poprowadzi rower ze mną, a dwóch pozostałych będzie ubezpieczać teren. Musimy stąd szybko uciekać. Gdy skończy się las i będziemy w pobliżu Spindlerpass, zdejmiecie mnie z roweru i przeniesiecie do Jugendkammhaus Rübezahl, ale naokoło, żeby ominąć Spindlerbaude. Obawiam się, że tam może być ktoś, kto nam nie sprzyja.

– Tak jest, Herr Reichsführer – odparł posłusznie Alexander. – Słyszeliście? – warknął na współtowarzyszy.

– Ale mój tata... – wyjąkał Johannes, wciąż zanosząc się płaczem.

– Nic na to nie poradzimy. Bierz się do roboty – syknął Hanke.

Jelenia Góra, 15 września 2006

Justyna Skąła wysiadała właśnie z pociągu, gdy w jej kieszeni zadzwoniła komórka.

– Halo? – Odebrała w pośpiechu, nie spoglądając na wyświetlacz.

– Cześć, Justyna, Maks z tej strony. Mam dla ciebie dobrą wiadomość! Jacek Węglorz jest dzisiaj w muzeum Hauptmanna do wieczora i możesz zajrzeć do niego w dowolnej chwili. Jak mu powiedziałem, że jest zagadka do rozwiązania, to tak się ucieszył, że – jak go znam – na pewno zaczął z radości podskakiwać na krześle. Uprzedzam cię tylko, że ma bardzo... oryginalny sposób bycia. I to straszna gaduła. Ale zna się na rzeczy jak nikt inny, zobaczysz! To kopalnia wiedzy o Karkonoszach, ale nie tylko książkowej. Plotki, sekrety, niewyjaśnione historie, szalone teorie. Jacek Węglorz wie o tym wszystko.

Justyna zaczęła się śmiać.

– Super, dziękuję – odpowiedziała, podchodząc do swojego samochodu zaparkowanego przed dworcem. Spojrzała na zegarek. – W takim razie jadę do niego od razu!

– To dobry pomysł. On jest strasznie niecierpliwy, na pewno już stoi w oknie domu Hauptmanna i wypatruje ciebie.

Jagniątków, 15 września 2006

Justyna zaparkowała auto przed muzeum Hauptmanna. Spojrzała na ukryty wśród drzew pałacyk należący niegdyś do niemieckiego noblisty. Jako dziecko bywała tu kilkakrotnie z wycieczkami szkolnymi. Lubiła to miejsce. Willa Hauptmanna przypominała jej zamek księżniczki z bajki. Teraz jednak miejsce wydało jej się nieco upiorne, prawdopodobnie z powodu pogody. Jakiś czas temu zerwał się porywisty wiatr, a niebo zasnuły ciężkie chmury. Zrobiło się szaro i w tym świetle, przy akompaniamencie szumu deszczu, który padał z coraz większą siłą, samotny budynek wśród potężnych drzew sprawiał ponure wrażenie.

Ruszyła alejką, która wiodła pod górę do domu pisarza. Potężna posiadłość pełna ciemnych okien wyłaniała się spomiędzy drzew niczym leśny upiór z martwymi ślepiami. Tylko w jednym oknie na piętrze paliło się światło. Nagle pojawiła się

w nim ciemna sylwetka mężczyzny. Justyna z daleka nie była w stanie dostrzec jego twarzy. Poczula strach. Stary dom bardzo mocno oddziaływał na wyobraźnię.

Przyspieszyła kroku i po chwili znalazła się u wejścia do willi. Pokonała granitowe schody, pchnęła ciężkie drzwi i stanęła oko w oko z Gerhartem Hauptmannem. Pisarz z typowym dla siebie mrocznym wyrazem twarzy spoglądał na nią z wielkiego portretu zawieszzonego naprzeciwko wejścia. „Nie chciałabym zobaczyć go w nocy” – przeszło jej przez myśl.

– Dobry wieczór – powiedziała niepewnie.

– Dobry wieczór – odpowiedziała kobieta, która wyłoniła się zza drzwi kasy. – Czy pani na zwiedzanie? Bo już mieliśmy zamykać...

– Nie, ja do doktora Węglorza.

– Ach, oczywiście! Proszę iść do Hali Rajskiej schodami na górę i trzecie drzwi po lewej.

Justyna ruszyła we wskazanym przez kobietę kierunku i po kilku chwilach stała już na okalającej Halę Rajską antresoli, u drzwi gabinetu doktora Jacka Węglorza.

– Proszę!!! – Usłyszała donośny głos, który zabrzmiał niemal natychmiast po tym, jak zaczęła pukać.

– Dobry wieczór, panie doktorze... – zaczęła, ale mężczyzna natychmiast jej przerwał.

– Dobry wieczór! Nie mogłem się ciebie doczekać! Mów mi na ty, po co ten „pan”! Jacek jestem. Justyna Skała, prawda? Bardzo mi miło! Maks mówił mi, że przyjedziesz. Jest ponoć jakaś zagadka do rozwiązania. Jak mogę ci pomóc? – Mężczyzna mówił z niezwykłą prędkością i rzeczywiście zdawał się kilka razy podskoczyć na krześle.

– Tak... – odparła Justyna z wahaniem, przytłoczona masą pytań. – To ja... Mnie również jest bardzo miło.

– Rozgość się, bardzo proszę! – Mężczyzna wskazał krzesło naprzeciwko biurka. – Co mogę ci zaproponować? Kawę, herbatę?

– Kawę poproszę – powiedziała, siadając na krześle. Rozejrzała się z zaciekawieniem po gabinecie. Wypełniały go setki książek i albumów poupychanych na półkach i leżących na stole pod oknem. Na jednej ze ścian wisiały ramki ze zdjęciami. Wśród nich dostrzegła fotografię przedstawiającą Maksa

i Węglorza pokazujących obraz *Madonna z Dzieciątkiem*, który czekał w Karkonoszach na odkrycie od końca drugiej wojny światowej aż do 2004 roku.

Chwilę później wylądowała przed nią filiżanka z parującą kawą.

– Bardzo proszę, kawka gotowa – powiedział historyk zadowolony. – Niestety, mam tylko sypaną...

– Nie szkodzi – odparła Justyna. Jacek Węglorz zrobił na niej bardzo sympatyczne wrażenie. Szczerze mówiąc, dawno nie widziała kogoś, kto cieszyłby się na jej widok tak bardzo, jak ten historyk, którego wcześniej знаła tylko z widzenia.

– A teraz zamieniam się w słuch! Co cię do mnie sprowadza? – Mężczyzna wskoczył na swoje krzesło i siadł po turecku.

– Mam zdjęcie, prawdopodobnie z czasów drugiej wojny światowej. Zrobiono je przed moim schroniskiem. Jest na nim czterech chłopaków z Hitlerjugend i jakiś mężczyzna... Zastanawiam się, kto to mógł być.

– O proszę! Pokaż mi. – Węglorz podskoczył na krześle. Wziął podaną przez Justynę fotografię i poprawił okulary na nosie. – O proszę... – powtórzył raz jeszcze.

Justyna spojrzała na niego wyczekująco.

– Wiesz, kto to?

– Trudno go nie poznać. To Karl Hanke, kat z Breslau. Ohydny typ. – Węglorz skrzywił się z niesmakiem.

– Jesteś pewien?

Historyk popatrzył na nią z politowaniem, po czym wstał i zaczął szukać jakiejś książki. Chwilę później przyniósł opasy tom opatrzony tytułem *Gerhart Hauptmann – biografia*. Kartkował go przez dłuższą chwilę, po czym pokazał Justynie zdjęcie przedstawiające noblistę w towarzystwie mężczyzny z jej fotografii.

– Ten sam? – zapytał.

Justyna patrzyła z niedowierzaniem.

– Rzeczywiście, ten sam... – odparła po chwili. – Co on robił u Hauptmanna?

– Och, bywał u niego częstym gościem. Przyjaźnił się z noblistą. W tygodniu wydawał wyroki śmierci, w weekendy przyjeżdżał w Karkonosze do tej willi dyskutować z Hauptmannem o sztuce – dodał. – Był tu nawet szóstego maja czterdziestego piątego, jak udało mi się ustalić przy okazji sprawy obrazu *Madonna z Dzieciątkiem*. Zostawił tu zrabowane dzieło sztuki, prosząc Hauptmanna o jego

ukrycie. Pokłócił się z gospodarzem, tak że ten aż stracił głos... I pojechał w dalszą drogę.

– Dokąd?

– Niczego nie wiadomo na pewno. Prawdopodobnie zginął w Czechach jeszcze tego samego dnia.

– Prawdopodobnie? – dopytywała się Justyna.

– W sumie... – Historyk podrapał się po głowie. – Wybacz moją ciekawość, ale dalej nie wiem, skąd masz to zdjęcie i dlaczego tak cię interesuje Karl Hanke.

– To długa historia...

– Zamieniam się w słuch. – Węglorz podskoczył na krześle, po czym oparł podbródek na rękach.

Justyna opowiedziała więc o swoim niedawnym odkryciu w Odrodzeniu, o historii katastrofy kolejowej, o stetoskopie, który zaprowadził ją do profesor Rudnickiej, i o tym, czego się dowiedziała od wrocławskiej lekarki.

– To jest po prostu niezwykle! – wykrzyknął Węglorz, wciąż wpatrując się na zmianę to w Justynę, to w leżące na biurku zdjęcie Karla Hankego. Po chwili dodał już ciszej: – Boże... Teraz niektóre hipotezy nabierają sensu i wiarygodności!

– O jakich hipotezach mówisz? – zapytała Justyna zaciekawiona.

– Ucieczka Hankego była po wojnie przez wiele lat zagadką. Byliśmy pewni tylko jednego – że nad ranem szóstego maja Hanke uciekł awionetką z twierdzy Wrocław. Dalej trop się urywał. Wielkim odkryciem było to, co ustaliłem dzięki pamiętnikom Margarete, żony Hauptmanna. Wynikało z nich, że szóstego maja przed południem Hanke pojawił się w tej willi, jak już ci mówiłem. To ostatni punkt na trasie jego ucieczki, jaki znamy. Ale gdzie pojechał później? Co się z nim stało? Hipotez jest kilka. Według najbardziej popularnej wersji Hankego zamordowali czescy partyzanci po drugiej stronie gór. Ale ta wersja jest nieco grubymi nićmi szyta. Jednakże inne scenariusze również wydawały mi się zawsze mało prawdopodobne. Ale właśnie teraz zaczynam wierzyć w jeden z nich, tak zwany scenariusz karkonoski.

– Scenariusz karkonoski? – zapytała Justyna.

– Poczekaj chwileczkę! – powiedział rozemocjonowany i znowu podbiegł do regału, szukając czegoś przez dłuższą chwilę. – Mam!

Rozłożył na biurku mapę gór.

– Słyszałaś kiedyś o górskiej wioseczce Klinove Boudy w czeskich Karkonoszach? – zapytał, wskazując na mapie zabudowania zaznaczone na południowych zboczach góry Stoh.

– Oczywiście, że słyszałam – obruszyła się Justyna. – Wychowałam się tutaj, w schronisku pracuję od paru ładnych lat. Znam te góry jak własną kieszeń.

– No tak, przepraszam – odparł Węglorz, po czym kontynuował. – Po wojnie w tej wioseczce zamieszkała pewna Czeszka. Nie pamiętam, jak się nazywała, ale to nieistotne. Kobieta była w czasie wojny więziona w filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Przeżyła tam prawdziwe piekło... Musisz wiedzieć, że KL Gross-Rosen to był wyjątkowo straszliwy twór. Składały się na niego dziesiątki podległych mu mniejszych obozów rozsianych po całym Dolnym Śląsku, na terenie dzisiejszej Polski, Czech i Niemiec. Kobieta, o której mówię, trafiła do obozu w Ober Hohenelbe, czyli dzisiejszym Vrchlabí, w czterdziestym trzecim albo czterdziestym czwartym. Dożyła tam wyzwolenia obozu i jakiś czas później zamieszkała właśnie w wioseczce Klinove Boudy. W czterdziestym siódmym zmarł jeden z jej sąsiadów. I wtedy ta kobieta zaczęła mówić, że zna prawdziwą tożsamość nieżyjącego mężczyzny. Że to był Karl Hanke. Wyobrażasz sobie, jak bardzo musiała się go bać, że przez tyle czasu nikomu się nie przyznała, że rozpoznaje w swoim sąsiedzie kata z Breslau? Odważyła się mówić dopiero po jego śmierci! A do tego czasu mieszkała zaraz za płotem swojego oprawcy.

– Ale Hanke był z Wrocławia... Co robił we Vrchlabí?

– Często odwiedzał w wakacje Karkonosze, uwielbiał tu wypoczywać. Czasem zaglądał do twojego schroniska. Odrodzenie było wybudowane jako schronisko młodzieżowe, ale już w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku przejęła je organizacja Hitlerjugend i urządziła tam obozy dla swoich członków. Hanke wygłaszał w Odrodzeniu podczas apeli przemowy do nazistowskich wychowanków. Był przecież wzorem przywódcy! Podczas swoich wyjazdów w Karkonosze nierzadko odwiedzał też obozy koncentracyjne. Wiesz, dla zwyrodnialców takich jak on to była przecież atrakcja. Kobieta z Klinovych Boud, o której mówimy, zapamiętała jego odwiedziny, bo podczas apelu Hanke śmiertelnie pobił jedną z więźniarek, a ona musiała na to patrzeć. Dlatego tak dobrze zapamiętała twarz oprawcy.

– To przerażające... – Justyna zmarszczyła czoło.

– Niestety... Jej historię opisała niedługo potem jakaś lokalna czeska gazeta. I stało się coś dziwnego...

– Co to znaczy „coś dziwnego”?

– Kobieta niespodziewanie zmarła.

– Ktoś ją zabił?

– Nie wiadomo. Ale ja nie wierzę w takie przypadki. Ktoś ujawnia tożsamość jednego z bardziej poszukiwanych zbrodniarzy wojennych Dolnego Śląska i zaraz potem umiera? Przecież to śmierdzi na kilometr!

– Co w takim razie z grobem tego jej sąsiada, domniemanego Hankego? Nie można było sprawdzić, kto w nim leży?

– Wiesz, był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy, to nie było takie proste... Nie było badań genetycznych...

– Nie miał tatuażu pod pachą jak wszyscy esesmani albo innego znaku rozpoznawczego? – zapytała Justyna. Nie wiem, po zębach może by go poznali? Albo wykluczyli możliwość, że to były zwłoki Hankego? – wypaliła nagle, przypominając sobie, jak w zeszły weekend Maks opowiadał jej o sposobach identyfikacji zwłok.

– Może i by go poznali... – Węglorz się zamyślił.

– Nie próbowano go zidentyfikować? Nie było żadnej ekshumacji? – Justyna była coraz bardziej zdziwiona.

– Oficjalnie nie znalazłem nigdzie informacji, żeby badano grób tego mężczyzny. Szukałem trochę w starych czeskich gazetach, ale nie miałem na to zbyt dużo czasu...

– Okej, to oficjalną część mamy już za sobą. A nieoficjalnie?

– O! Tu musielibyśmy wejść naprawdę w sferę teorii spiskowych, sama rozumiesz. – Teatralnie zasłonił sobie usta ręką.

– Opowiadaj. Chcę je poznać.

– Po okolicy rozniosła się wieść, że na cmentarzu w Szpindlerowym Młynie leży nazista, kat z Breslau, zbrodniarz wojenny. Wedle plotek grabarz wspólnie z kimś z miasteczka poszli więc na cmentarz otworzyć grób i sprawdzić na własną rękę, kto tam leży.

– I co?

– Grób był ponoć pusty. Ale czy to prawda? Trudno dziś wyrokować... – Węglorz bezradnie wzruszył ramionami.

– Znajdę ten grób i powiem ci, co w nim jest – odparła Justyna.

– Ty jesteś szalona! – stwierdził historyk, po czym popatrzył na nią z uznaniem. – Podoba mi się to! Trzymam kciuki, żeby udało ci się odkryć prawdę! Jak tylko będę mógł jakoś pomóc, to pamiętaj! Na Jacka Węglorza zawsze możesz liczyć. Gdzie zagadki, tam i ja! – dodał, po czym wstał od biurka i kolejny raz rozpoczął rytuał przekopywania stert książek i czasopism. Po dobrych kilku minutach znalazł to, czego szukał.

– Proszę, pożyczę ci. Może znajdziesz tam jeszcze jakieś ciekawe informacje – podał jej gazetę „Odkrywca” z artykułem zatytułowanym *Naziści po wojnie w Karkonoszach*.

Schronisko Odrodzenie, 15 września 2006

Justyna zaparkowała pod Odrodzeniem i przez chwilę siedziała w ciszy, wsłuchując się w szum deszczu uderzającego o samochód. Spojrzała na swoje schronisko w sposób, w jaki nie patrzyła jeszcze nigdy w życiu. To opowieści Rudnickiej i Węglorza sprawiły, że Odrodzenie wydało jej się nagle nieznaną, a przez to obcą. Czowała się dziwnie. Tak jakby miała przyjaciela, o którym zdawało jej się, że wie wszystko, aż tu nagle ktoś ujawnił przed nią jego brudne sekrety z przeszłości. Bez wątplenia zderzenie z nazistowską historią Odrodzenia było dla niej trudne. Czym innym jest wiedzieć, że gdzieś mieściła się przez pewien czas siedziba nazistów, a czym innym jest poznać historie ofiar okrutnych ludzi, którzy odwiedzali to miejsce.

Bryła schroniska po raz pierwszy wydała jej się ponura. W fasadzie budynku uderzały prostota i surowość materiałów, z których powstała. Pierwszą kondygnację wymurowano z ciosanego granitu. Kamień pociemniał już od trwającej od dłuższego czasu ulewy. Wyższe piętra oszalowano pociągniętym brązową farbą drewnem, stolarka okienna była natomiast pomalowana na biało. Rzędy identycznie rozmieszczonych na każdym piętrze okien zdradzały niemieckie uwielbienie porządku. Unikatową cechą budynku był jego projekt, zgodnie z którym każde kolejne piętro było coraz mniejsze – tak że bryła miała charakter schodkowy

i przypominała nieco piramidę. Budynek przystosowano do trudnego klimatu najwyższych partii Karkonoszy, tak aby był w stanie przeciwstawić się sile górskiego żywiołu oraz zapewnić jego gościom bezpieczne schronienie.

Tym, co jednak najbardziej zwracało uwagę, były monumentalizm oraz bezwzględna symetria, tak rzadka w bryle karkonoskich schronisk. Te dwa elementy – monumentalizm i symetrię – niemieccy architekci tamtych czasów miłowali ponad wszystko. Justyna nie mogła sobie przypomnieć, w którym dokładnie roku schronisko oddano do użytku, ale z pewnością niedługo przed dojściem Hitlera do władzy. Wyciągnęła z plecaka zdjęcie pożyczone od Rudnickiej. Po raz kolejny spojrzała na Odrodzenie. Schronisko nie zmieniło się ani trochę, nie licząc jednego, „drobnego” szczegółu – na sztandarach przy tarasie na pierwszym piętrze nie wisiały już wielkie swastyki. Podobieństwo współczesnej bryły i tej z brunatnych czasów było dla niej przerażające. Pomyślała o Hitlerjugend, dla którego członków organizowano w tym miejscu obozy wypoczynkowe. O więźniach, którzy ginęli przy budowie Sudetenstrasse i których przetrzymywano w budynku mieszczącym dziś hotel Depandance należący do Szpindlerowej Boudy. Na myśl o niewinnej krwi, jaką wchłonęła ta ziemia, poczuła nieprzyjemny dreszcz.

Oderwała wreszcie wzrok od bryły Odrodzenia. Poczuła coś w rodzaju irracjonalnego wstydu, jakby była współodpowiedzialna za nazistowską przeszłość tego miejsca.

– Kurwa, koniec! – wrzasnęła nagle sama do siebie, uderzając pięściami w kierownicę. Wrzasnęła jeszcze kilka razy, czując, że sprawia jej to ulgę. Po chwili schowała zdjęcie z powrotem do plecaka i wysiadła z samochodu. Puściła się biegiem do głównego wejścia. Kuląc się przed deszczem, omal nie zderzyła się z mężczyzną stojącym pod wejściem do schroniska.

– Cześć, piękna. – Usłyszała znajomy zawadiacki głos.

– Łukasz? Co ty tu robisz?

– Przyniosłem ci kwiaty – powiedział, uśmiechając się, po czym wyciągnął zza pleców bukiet.

– Daruj sobie – odparła. Tym razem już nawet nie musiała się starać, żeby brzmieć oschle. Naprawdę, coś wreszcie zaczęło zmieniać się w jej głowie. Tak jakby uwalniała się od dawnych demonów. Spojrzała na Łukasza i jedyne, co do

niego teraz czuła, to obojętność. Miała tyle ważnych spraw na głowie i były facet na pewno się do nich nie zaliczał.

– Daj mi jeszcze jedną szansę! Błagam! Czekam tu na ciebie od rana... Zrozumiałem swoje błędy. Z tą Monią to nigdy nie powinno się było wydarzyć.

– Ale się wydarzyło. Zwijaj się stąd migiem.

– Ty się robisz coraz bardziej zادیorna. Podoba mi się to...

– Znam ten wzrok. Nawet sobie nie wyobrażaj – fuknęła Justyna.

– Wiem, że spóźniłem się do teatru, głupio wyszło...

– Punktualność również nie jest twoją mocną stroną, to też nie nowość.

– Wybacz! – Mężczyzna klęknął.

– Pogrzało cię do reszty! Wstawaj natychmiast! Zresztą, nie będę brać udziału w tym cyrku! – krzyknęła rozsierdzona i złapała za kłamkę.

– Poczekaj... – Łukasz momentalnie podniósł się z ziemi i złapał ją za rękę. – Porozmawiaj ze mną.

– Puść mnie natychmiast, bo zrobię taki raban, że zbiegnie się tu pół schroniska!

– To niech przychodzą! – odparł, wciąż nie puszczając jej nadgarstka. – Nie wierzę, że już nie robię na tobie wrażenia! – dodał, po czym uśmiechnął się uwodzicielsko.

– Nie robisz, do cholery! – warknęła Justyna wściekła i wyszarpała rękę z jego uścisku. Znowu chwyciła za kłamkę. Łukasz nogą zablokował drzwi.

– Mogę wejść do swojego schroniska? – zapytała zniecierpliwiona coraz bardziej.

– Ależ ty jesteś seksowna, jak tak stawiasz mi opór – powiedział, przysuwając się do niej coraz bardziej. W jego oczach dostrzegła pożądanie.

W tym momencie przelała się czara goryczy. Kiedyś jego pewność siebie i ciągła świadomość, że dostanie to, czego chce, robiła na niej wrażenie, a nawet onieśmielała. Teraz natomiast doprowadzała ją do wściekłości.

– Ty naprawdę żyjesz w jakiejś alternatywnej rzeczywistości?! – wrzasnęła. – Czy ostatnie pracujące zwoje nerwowe w tym twoim pustym łbie już wysiadły i cała moc przerobowa mózgownicy zlokalizowała się już między nogami? Spadaj stąd, idioto!

– Okej – odparł krótko.

Justyna odetchnęła z ulgą, przekonana, że mężczyzna ustąpił. Po chwili jednak zrozumiała, że jej radość była przedwczesna.

– Chciałbym wynająć w takim razie pokój w schronisku – oznajmił Łukasz. – Nie możesz mi tego zabronić, budynek nie należy do ciebie.

Justyna zacisnęła zęby z wściekłości. W tym momencie w drzwiach pojawił się pan Wiesiu.

– Co tu się dzieje? Co to za krzyki? – zapytał, spoglądając z troską na kobietę.

– Nic ważnego, panie Wiesiu – odparła, uśmiechając się jadowniczo do Łukasza. – Ten pan zabłądził, ale już sobie idzie.

– Przeciwnie, chciałbym wynająć pokój. Panie Wiesiu, chyba znajdzie się dla mnie coś wolnego?

Mężczyzna już chciał przytaknąć, gdy jego oczy spotkały się z morderczym spojrzeniem kierowniczką.

– Yyy. – Zawahał się. – Teraz trwa remont...

– No właśnie! A jak trwa remont, schronisko jest zamknięte. Dotarło?

– Dotarło – odparł Łukasz i zaczął otwierać wielki plecak, który stał obok niego.

– Co ty robisz? – zapytała zdziwiona.

– Rozbijam namiot. Udowodnię ci, że jestem fajnym facetem. I że zależy mi na czymś więcej niż łóżko.

– To jest park narodowy, tu nie wolno rozbijać namiotów. Jako przewodnik sudecki powinienes o tym wiedzieć.

– To złóż na mnie donos – odparł, uśmiechając się. – Tak łatwo mnie nie spławisz. Nie chcesz wpuścić mnie do środka, więc będę koczował tutaj, aż mi wybaczysz.

– To długo sobie poczekasz. I żebyś wiedział, że złożę. – Skrzywiła się z niesmakiem, minęła zaskoczonego Wiesia i Łukasza wyjmującego z plecaka kolejne elementy ekwipunku, pchnęła drzwi do schroniska z impetem i wpadła do środka.

Zajrzała do jadalni, zamieniła kilka słów z Marszałkową, po czym poszła do swojego mieszkania. Jedyne, o czym marzyła po dniu pełnym wrażeń i długiej podróży, to gorący prysznic.

Długa kąpiel sprawiła, że poczuła się jak nowo narodzona. Usiadła na parapecie w łazience, jak to miała w zwyczaju, i wyjrzała przez okno. Deszcz przestał padać, ale wciąż wiał bardzo silny wiatr. Ściemniało się.

Szerokie schroniskowe parapety były jej ulubionym miejscem do kontemplacji karkonoskiego krajobrazu. Zdarzało jej się w takich momentach popadać w swoisty trans i zagłębiać się w myśli, którym w codziennym biegu nie poświęcała dostatecznie dużo uwagi. Kontur monumentalnych gór, zwłaszcza majestatyczny szczyt Wielkiego Szyszaka, stopniowo pochłanianego przez czerń nocy, zdawał się ją uspokajać. Potarła rękami twarz, uświadamiając sobie, że ma przed sobą długi wolny wieczór i żadnych planów, jak go spędzić. Nagle uśmiechnęła się. W głębi ducha doskonale bowiem wiedziała, jak może wykorzystać ten czas.

Włożyła jeansy i gruby, biały sweter, który dostała kiedyś od matki na Boże Narodzenie. Był to jeden z niewielu w miarę udanych prezentów, jakie sprawiła jej rodzicielka. Spojrzała na siebie w lustrze z niezadowoleniem, po czym zdjęła sweter i zamieniła na białą koszulę. Rozpięła o jeden guzik więcej niż zwykle, a następnie po raz pierwszy od prawie tygodnia zrobiła sobie makijaż. Spędzanie czasu przed lustrem zazwyczaj drażniło ją niemiłosiernie, jednak dzisiaj czuła z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu taką potrzebę. Raz jeszcze spojrzała w swoje odbicie.

– No – skwitowała z zadowoleniem efekt. Kiwnęła sama sobie głową, dorzucając jeszcze komplement w charakterystycznym dla siebie stylu: – Wyglądasz przyzwoicie.

Zajrzała do szafy, wyciągnęła stamtąd elegancki płaszcz, po czym się skrzywiła.

– Dobra, kobieto, ale nie popadaj w przesadę. – Odłożyła go i sięgnęła po pelerynę z wizerunkiem Liczyrzepy. Zarzuciła ją na ramiona i jeszcze raz spojrzała w lustro. – Tak lepiej.

Uradowana perspektywą wycieczki do Szpindlerowej Boudy pospieszenie pokonała schody. Była już prawie przy drzwiach, gdy przypomniała sobie, że nie ma telefonu komórkowego, który zostawiła za barem, gdy rozmawiała z Marszałkową. Od czasu niedzielnego włamania starała się mieć go zawsze przy sobie, bo dzięki temu czuła się bezpieczniejsza. Wróciła więc po niego do jadalni.

– Kierowniczo... – Usłyszała za sobą głos Wiesia i aż podskoczyła zaskoczona.

– Co tam, panie Wiesiu?

– Może jednak dać mu szansę? Chłopak tam naprawdę siedzi od rana... Kwiaty przyniósł, namiot rozłożył... Jak rycerz jakiś albo co.

– Rycerze nie zdradzają, panie Wiesiu.

– Ja wiem, wiem... – Westchnął. – Ale kto nie popełnia błędów... Może chociaż niech kierowniczką z nim porozmawia? Ja wiem, że to nie moja sprawa...

– Skoro wiesz, to po grzyba się wtrącasz, Wiesław?! – Usłyszeli podniesiony głos Marszałkowej wychodzącej z kuchni.

– A ty jak zawsze podsłuchujesz! Główne centrum plotkarskie „U Renaty” w wolnych chwilach przygotowuje też posiłki.

– Jeszcze przyjdiesz do mnie z koncertem życzeń, że chcesz galaretkę na deser. Przypomnę ci to wtedy! – Kucharka wzięła się pod boki. – Justynka jest dorosła, da sobie radę.

– Ja to wszystko wiem, ale... Same rozumiecie. Chłop nie taki zły, przyszedł przecież skruszony. Przystojny, silny, a kierowniczkę przydałoby się w tej całej sytuacji oparcie na męskim ramieniu.

– Ty się Wiesław naprawdę szaleju najadłeś! Co ty bredzisz, chłopie? Co z tego, że przystojny, jak głupi i niewierny! – warknęła Marszałkowa, wycierając ręce o fartuch, jakby szykowała się do ataku.

– Każdy popełnia błędy. Będziesz starsza to zrozumiesz.

– On ci zapłacił, żebyś tu przyszedł? – zapytała oskarżycielsko kucharka. – Nie widziałeś, ile się nasza Justynka przez niego wypłakała w ostatnim czasie? Po co jej taki chłop? Głupie to, niedojrzałe... Ja zawsze mówiłam, że on ma oczy małego cwaniaczka. A moja intuicja...

– Tak, ja wszystko wiem o twojej intuicji, babo! – Wiesiu zaczął machać rękami. – Ale patrz, marznie tam na dworze, noc się zbliża. Może jednak zaprosimy go do środka?

– Nie chce marznąć, niech idzie do domu – wtrąciła się Justyna, dotychczas obserwując z milczącym zdziwieniem zmagania tej dwójki.

– A jak nie chce do domu, to niech się kaja dalej – zaczęła jej wtórować Marszałkowa.

– Ty to jednak jesteś bezduszną, babo!

– Ja ci zaraz pokażę, jaka jestem! Urnę ci łeb tasakiem i zrobię rosół.

– Hamuj się, to są groźby karalne! – warknął Wiesiu, a Justyna uśmiechnęła się pod nosem. Kłótnie tej dwójki zdarzały się średnio raz na miesiąc i były zdecydowanie bardziej komiczne niż poważne.

– Ty mi nie będziesz mówił, co jest karalne!

– Zespół natrętej baby ci się znowu włączył! Ja swoje powiedziałem, zrobicie z tym, co chcecie. A to, że mam rację...

W tym momencie Justyna doznała olśnienia. Zostawiła dozorcę i kucharkę w jadalni samych i wyszła do holu. Błyskawicznie wybrała numer Marty.

– Cześć, Justyna! – Usłyszała po chwili w słuchawce głos koleżanki.

– Cześć! Mam pilne pytanie! Chodzi o te szkielety, co je znaleźli przy Świętopietrzańskim Potoku. Ile osób tam było?

– Trzy, jeśli dobrze pamiętam.

– Kurczę, coś mi nie pasuje... Powinno być pięć według mojej hipotezy. Nieważne. Przypomnij mi, czy ktoś tam zginął od strzału w głowę?

– Tak... Dwóch nastolatków dostało kulkę w łeb, trzeci, starszy, nie wiadomo, jak zginął.

– Jeden z tych młodych miał jakiś zespół genetyczny?

– Tak... Maks! – krzyknęła Marta. – Jak się nazywał ten zespół na „M”? Co miał ten nieboszczyk znaleziony przy zielonym szlaku... Aha... Tak, miał zespół Marfana.

– Cudownie! To znaczy, nie cudownie, ale... Chyba wiem, kto tam leży.

– O matko! Co ty opowiadasz!?! – Marta była zaaferowana.

– Muszę jeszcze jutro sprawdzić jedną rzecz. Jadę do Klinovych Boud.

– Tej czeskiej wioski?

– Tak. Wszystko ci niedługo opowiem. Teraz idę... na randkę, chyba.

– Powiedz, że do Mikolasa!

– Owszem.

– Cudownie! Powodzenia, kochana!

– Dzięki! Do usłyszenia niebawem! – odparła Justyna i się rozłączyła. Przez półotwarte drzwi do jadalni usłyszała, że dyskusja Wiesia z Marszałkową trwa w najlepsze i zatacza coraz szersze kręgi, zahaczając już o prawa kobiet i równouprawnienie. Uśmiechnęła się, po czym zeszła schodami do głównych drzwi.

Gdy do nich dotarła, zatrzymała się, przypominając sobie o nieproszonym gościu, który postanowił rozbić obóz pod schroniskiem. Wyrzała przez szybę. Namiot Łukasza nadal stał przed wejściem. Cicho otworzyła drzwi i na palcach przeszła obok koczowiska swojego byłego faceta, nie chcąc wdawać się z nim w kolejną bezsensowną rozmowę. Była już kilka kroków od namiotu, gdy usłyszała dźwięk zamka błyskawicznego. Łukasz zaczął gramolić się na zewnątrz.

– Jednak postanowiłaś się nade mną zlitować? – zapytał z nadzieją w głosie. – Już bardzo zmarzłem.

– Co? – zapytała rozkojarzona. – Ty zmarześ? Przecież wspinałeś się zimą w Himalajach, więc wrzesień w Karkonoszach nie powinien być ci straszny.

– Nie chciałabyś trochę mnie ogrzać? – zapytał, uśmiechając się lubieżnie. Widać było, że każda kolejna odmowa dziewczyny jeszcze bardziej go nakręca.

– Nie mam ani zamiaru, ani czasu – odparła Justyna, pukając się w czoło.

– W takim razie mogę wejść chociaż do schroniska się ogrzać? – Łukasz spuścił z tonu.

– Ależ bardzo proszę – odparła, słysząc trzask patelni Marszałkowej przez uchylone okno. – Ale ostrzegam, że po tym, co zrobiłeś, jesteś u mojej kucharki na czarnej liście. I jeśli ona rzuci się na ciebie z patelnią, to nie licz, że będę cię bronić – dokończyła, po czym puściła się biegiem w dół szlaku. Z oddali migotały światła Szpindlerowej Boudy.

CZĘŚĆ VIII

CIOTKA MARIA

Klinove Boudy, 15 lipca 1947

Słońce chyliło się ku zachodowi i mrok stopniowo zaczynał ogarniać Klinove Boudy – skromną górską osadę, która wciąż należała do najspokojniejszych karkonoskich wiosek. Mimo swojego pięknego położenia pozostawała niejako na uboczu głównych szlaków turystycznych krzyżujących się w okolicach Śnieżki. Nie było tu także luksusowych górskich hoteli, które przed drugą wojną światową wyrastały na karkonoskich szczytach niczym grzyby po deszczu. Nie było też dobrej drogi dojazdowej. W Klinowych Boudach wciąż królowały więc cisza i spokój, których trudno było szukać w innych rejonach Karkonoszy.

Erik i Klaus dotarli do wsi rzadko uczęszczanym szlakiem turystycznym ze Szpindlerowego Młyna. Określenie drogi „szlakiem” było nieco na wyrost, gdyż chodziło o zarośniętą ścieżkę, która zygzakiem wspinała się na strome zbocza doliny Świętopietrzańskiego Potoku, przeskakiwała na drugą stronę szczytu Stoh i docierała do Klinowych Boud od północy. Ze ścieżki korzystali niemal wyłącznie zbieracze jagód, którzy mogli tu liczyć na najbardziej obfite zbiory, bo turyści, którzy zazwyczaj ogołacali leśne krzaki do ostatniego owocu, rzadko tędy wędrowali. Ponieważ jednak do sezonu na jagody było jeszcze dużo czasu, chłopcy nie spotkali po drodze nikogo.

Kiedy byli już na skraju lasu, w miejscu, w którym ścieżka dochodziła do jednej z wiejskich dróg, Klaus złapał Erika za nadgarstek i pociągnął za drzewo.

– Gdzie leziesz? – warknął.

– Jak to gdzie? Do wujka – odparł zaskoczony Erik lekko drżącym głosem.

– Jesteśmy trochę za wcześnie – stwierdził Klaus, spoglądając na zegarek. – Wujek powiedział, że musimy odczekać minimum godzinę od zachodu słońca. Nikt

we wsi nie może się zorientować, że go odwiedzamy. Jeszcze zaczną coś podejrzewać.

– Ojej. – Erik się zmartwił. Poprawił okulary, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Wspinaczka doliną Świętopietrzańskiego Potoku była naprawdę wyczerpująca. – No to co robimy? Może nic się nie stanie, jak zajrzemy do wujka wcześniej?

– Oczywiście, że się stanie, idioto. Jeszcze się nie nauczyłeś, że rozkazy Alexandra i wujka należy wykonywać dokładnie tak, jak ci przekazano?

– Masz rację, przepraszam. – Erik westchnął, smutniejąc. – Martwię się o Alexandra... Już dwa tygodnie siedzi w więzieniu w Jeleniej Górze... Boję się, że Polacy go tam zamęczą. Albo że... że... – zaczął się jąkać – że nas wyda, że mu pomagaliśmy przy tym pociągu. I... – przełknął z trudem ślinę – że niedługo przyjdą... Po nas... – Urwał i się rozplakał.

– Przestań się mazgaić. – Klaus się skrzywił.

Od czasu aresztowania Alexandra przez polskie służby po zamachu na pociąg towarowy numer 6935 „Kamyki” sam codziennie mierzył się z lękiem. Skoro milicja dopadła Alexandra – bezwzględnego, opanowanego i wydawać by się mogło najsprytniejszego z grupy, wkrótce może znaleźć także ich. Klaus spojrzał na wciąż chlipiącego Erika. Wyglądał jak siedem nieszczęść – chudy niczym patyk dryblas, z nieforemną, zapadniętą klatką piersiową, nieproporcjonalnie długimi rękami i w zaparowanych grubych okularach. Miał ochotę pocieszyć kolegę, że taką ofertą jak on milicja w życiu się nie zainteresuje, bo nikomu nie przeszłoby przez myśl, że ktoś taki mógł brać udział w zamachu na polski pociąg towarowy. W ostatnim momencie ugryzł się jednak w język i ku własnemu zdziwieniu przytulił płaczącego chłopaka.

– No już, uspokój się... Wiesz, że wujek nie lubi, jak ktoś się mazgai. Pamiętasz, jak się wściekł na Johanna, że ten ciągle płacze po śmierci ojca? W końcu Alexander wyrzucił go za to z naszej drużyny. Chyba nie chcesz, żeby ciebie też to spotkało.

– Pewnie, że nie chcę – odparł Erik, po czym nerwowo zaczerpnął powietrza. – Nie mam tu nikogo poza wami.

– No właśnie. To teraz oddychaj głęboko, wytrzymaj okulary i przestań ryczeć. To nic nie da, rozumiesz? Alexandra na pewno niedługo wypuszczą, mówię ci! Nic na

niego nie mają. A zresztą wujek obiecał, że wymyśli, jak mu pomóc. A jak wujek coś wymyśli, to... Mucha nie siada! Tak czy nie? – Złapał trzęsącego się kolegę za ramiona i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Tak – odparł Erik bez przekonania, ale widać było, że powoli się uspokaja.

– To teraz idziemy.

– Dokąd?

– Kilkaset metrów stąd na granicy lasu stoi stara opuszczona buda pasterska. Usiądziemy sobie w niej, poczekamy, aż zrobi się całkiem ciemno, i wtedy pójdziemy do domu ciotki Dvořák – zarządził Klaus.

– W porządku – odparł Erik. – Wiesz... jakby Alexander nie wyszedł z tego więzienia, to... ty musisz zostać nowym przywódcą naszej drużyny. Jesteś do tego stworzony.

– Przestań. Teraz szefem jest wujek, a Alexander niedługo wyjdzie. Albo go wypuszczą, albo my zorganizujemy mu ucieczkę. Tak?

Erik pokiwał głową. Bardzo chciał wierzyć w słowa kolegi. Posłusznie poszedł za nim do pasterskiej budy. Przez jej uchylone drzwi można było obserwować niemal całą wieś. Na jej zachodnim skraju stał dom Marii Dvořák. Niczym niewyróżniający się budynek był przedostatnim gospodarstwem przy wyboistej drodze wiodącej do Klášterki – osady, na którą składały się zaledwie dwa domy, położonej jeszcze dalej od świata niż Klinove Boudy.

– Pamiętam ciotkę Alexandra, gdy pracowała w czasie wojny w Jugendkammhaus Rübexahl. Ona miała już wtedy dom tutaj? – zapytał Erik.

– No coś ty, gdzie by ją było na to stać.

– Więc skąd go wzięła?

– Alexander mi opowiadał, że jego ciotka zaczęła w czterdziestym czwartym pracować w szpitalu wojskowym jako salowa. Albo może pielęgniarka? Opiekowała się jakimś żołnierzem, który zmarł dosłownie na jej rękach. I on ponoć przed śmiercią zapisał jej w spadku ten dom.

Przez kilka minut siedzieli w ciszy, którą znowu przerwał Erik.

– A jak myślisz, co dzieje się z Johannesem Schmiedem?

– Nie mam pojęcia. Od kiedy załamał się po śmierci ojca i Alexander go wyrzucił, nie miałem z nim kontaktu.

– Jestem ciekawy, czy jest jeszcze na Dolnym Śląsku. Czy Polacy wysiedlili go już za Nyse?

Klaus nic nie odpowiedział.

– Boję się, że nas też to czeka... – powiedział Erik i ciężko westchnął.

– Mógłbyś przestać pieprzyć? Ty się bez przerwy czegoś boisz. To zaczyna mnie już powoli drażnić.

– Łatwo ci mówić! – krzyknął Erik.

Klaus rzucił się na niego i zatkał mu usta.

– Cicho, do cholery – syknął wściekły. – Nikt nie może nas usłyszeć.

– Przepraszam – wysapał Erik, gdy kolega zdjął mu rękę z ust. Milczał przez kilka sekund. – Ale łatwo ci mówić. Ojciec inżynier, ma kartę autochtona, bo ogarnia Polaczkom te stare elektrownie wodne na Bobrze. Matka w hucie w Piechowicach, też się jej szybko nie pozbędą, bo przydatna. A co ja mam powiedzieć? Ojciec zginął na froncie. Może to i dobrze, bo jakby żył, to i tak by go powiesili. Zostałem sam z babcią. Wsadzą mnie z nią niedługo do bydłowego wagonu i pojedziemy, cholera wie gdzie, z jedną torbą z ubraniami. Moje życie nie ma sensu. Nie wiem, co się ze mną stanie, czy mnie wysiedlą, kiedy... To jest naprawdę życie w ciągłym strachu. Ale co ty możesz o tym wiedzieć? Ty masz jakieś perspektywy. A ja?

– A ty masz się uspokoić – odparł krótko Klaus, nieustannie obserwując wieś przez szparę w drewnianej ścianie. Gdyby Erik wiedział, ile on ma zmartwień na głowie! Na myśl o tym, że Alex siedzi teraz w jakiejś brudnej celi w Jeleniej Górze, miał ochotę wyć. Przypomniawszy sobie jeden z ostatnich wakacyjnych zjazdów Hitlerjugend, na którym był w Jugendkammhaus Rübezahl. Chociaż mieszkał w Karkonoszach na co dzień, uwielbiał te obozy, gdy rano, kilkadziesiąt osób, ubrani w beżowe koszule, czarne chusty i ze swastyką na ramieniu schodzili na wspólne śniadania do jadalni schroniska. Uśmiechnął się na wspomnienie wielkich apeli, jakie odbywały się potem przed budynkiem, gdy ponad setka młodych męskich piersi wykrzykiwała słowa hymnu, prężąc mięśnie przy salucie rzymskim przed portretem Führera i wielkimi swastykami. Przypomniawszy sobie regularne gry w zdobywanie flagi, które zazwyczaj kończyły się brutalnymi bijatykami za cichym przyzwoleniem opiekunów. Wreszcie poszybował myślami do tego pamiętnego wieczoru, gdy w wielkiej pustej łaźni schroniska Jugendkammhaus Rübezahl zmywał z siebie kurz

i zaschniętą krew po walce. I jak wtedy po raz pierwszy przyszedł do niego pod prysznic nagi Alexander.

Otrząsnął się ze wspomnień, czując, że zaraz się rozklei. Doskonale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. I że Alexander z pewnością oczekiwałby od niego wytrwałości i męskiej postawy, a nie łez. Po chwili zorientował się, że w czasie jego rozmyślań Erik ułożył sobie posłanie z resztek wilgotnego siana i zapadł w niespokojny sen. „Jak śpi, to przynajmniej nie marudzi” – pomyślał Klaus i wrócił do swoich wspomnień.

Po kilkudziesięciu minutach szarpnął Erika za ramię.

– Wstawaj – syknął. – Już czas.

– Śniło mi się, że ciotka Dvořák wyszła za mąż za wujka... – oznajmił Erik zaspanym głosem. – Toby było piękne. Ciocia naszego Alexandra żoną tak wielkiego człowieka...

– Głupi jesteś – rzucił, parszając śmiechem Klaus. – Wujek nigdy nie będzie miał żony. On ma zbyt wiele ważnych rzeczy do zrobienia.

– To ty jesteś głupi – skontrował nagle Erik. Miał dość tego, że ciągle jest ośmieszany przez kolegów. O ile wcześniej robił to głównie Alexander, od czasu jego aresztowania rolę tę przejął Klaus. – Przecież ciocia Dvořák jest w ciąży z wujkiem.

– Ale ty nie znasz życia. – Klaus z politowaniem pokiwał głową.

Erikowi wydawało się, że kolega ostentacyjnie popukał się w czoło, ale nie był tego pewien, bo w ciemnościach bardzo źle widział.

– To, że wujek ją posuwa, nie znaczy, że wezmą ślub – kontynuował Klaus. – Zresztą, popatrz, jaka ona jest brzydka i zniszczona. Myślisz, że ktoś tak przystojny i mężny jak wujek zainteresowałby się nią, gdyby nie to, że po prostu w tej dziurze... – wskazał ręką na Klinove Boudy – nie ma nic lepszego do roboty?

– „Przystojny jak wujek”, ale powiedziałaś. Może ty jednak lubisz chłopców? Zawsze wydawało mi się to podejrzane. Ta noc, gdy zginął Martin. Ty i Alexander razem w łazience. Co tam robiliście? – wypalił nagle Erik ku własnemu zaskoczeniu. W tym momencie poczuł na twarzy siarczysty policzek.

– Jeszcze raz tak powiesz, to inaczej porozmawiamy, wymoczku. – Klaus złapał go za rękę żelaznym uściskiem. – Zrozumiałeś? Gównu ci do tego, kogo lubię,

imbecyli. Jakbyś rzucił taki tekst przy wujku, to gwarantuję ci, że wylądowałbyś w piachu.

Erik popatrzył na niego z przerażeniem. W starej pasterskiej budzie na chwilę zaległa niezręczna cisza.

– Rusz się, idziemy – syknął wreszcie Klaus, mierząc go wzrokiem. – Nigdy więcej nie próbuj wracać do tego tematu, to jest ostrzeżenie. Pierwsze i ostatnie.

Niedługo później ścieżką wiodącą wzdłuż pastwiska podążali w kierunku domu Marii Dvořák, a drogę oświetlało im mdłe światło księżyca. Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu, jakby obaj próbowali jakoś przetrwać nieprzyjemną wymianę zdań sprzed kilku minut.

– Wujek to chyba już popada w obsesję. – Erik odezwał się pierwszy.

– Dlaczego tak mówisz? – zdziwił się Klaus.

– Siedzi tutaj ciągle ukryty... Wojna już dawno się skończyła. Myślisz, że naprawdę coś jeszcze mu grozi?

– Ty jednak naprawdę jesteś naiwny do granic możliwości. Erik, jakby ktoś dowiedział się, że w Klinowych Boudach mieszka Karl Hanke, to zaraz zrównaliby całą wioskę z ziemią, byleby go znaleźć. Wujek wylądowałby w Norymberdze, a potem na stryczku. A ciotka Maria obok niego.

– Ojej – odparł Erik zmieszany. – Naprawdę tak by było?

– *Scheiße!* – zaklął Klaus. – Nie, żartuję sobie – dodał z ironią.

– Dlaczego w takim razie on tu siedzi tyle czasu? A nie ucieka gdzieś... dalej?

– Po pierwsze, musiał się wyleczyć. Pamiętasz, jak długo syfiła mu się ta rana po strzale w nogę? Dopiero ten polski lekarz wygrzebał mu stamtąd odłamki pocisku i dał te zastrzyki, po których zaczął jakoś dochodzić do siebie.

– Trudno nie pamiętać... – odparł Erik, przypominając sobie wydarzenia z 1945 roku, gdy z racji tego, iż schroniskiem Jugendkammhaus Rübezahl zaczęło się przez chwilę interesować wojsko polskie, musieli natychmiast ewakuować stamtąd wujka. Mimo iż ostatecznie budynek stał nadal pusty, Hanke uznał, że jego dalszy pobyt tam jest zbyt ryzykowny. Przed oczami Erika stanęła upiornie zimna noc, podczas której nieśli Karla Hankego na prowizorycznych noszach przez kilkanaście kilometrów, aż do wioski Klinove Boudy. Przypominał sobie twarz przerażonej Marii Dvořák, ciotki Alexandra i zagorzałej zwolenniczki Hitlera, gdy otworzyła im drzwi

w środku nocy. Jej wahanie, czy przyjąć Hankego pod swój dach, kłótnię z Alexandrem...

– Poza tym ucieczka nie jest taka prosta, jak ci się wydaje. – Klaus westchnął.

– Zresztą, to w sumie chyba nie nasza sprawa – odparł Erik.

– Raz powiedziałeś coś mądrego – stwierdził Klaus złośliwie.

Stanęli przy płocie posesji należącej do Marii Dvořák. Cicho przeszli przez furtkę, skierowali się do drewnianego ganku i zapukali trzy razy, tak jak zwykle.

Otworzyła im ciotka. Ubrana była w długą koszulę nocną i stare kapcie. Jej twarz wydała się chłopcom jeszcze bardziej pociągła, blada i wychudzona niż zwykle. Liczne zmarszczki świadczyły o zmartwieniach, z jakimi przyszło jej się mierzyć w ostatnich latach.

– To wy... – przywitała ich beznamiętnym tonem, obejmując rękami swój powoli zaokrąglający się brzuch. Z każdą kolejną wizytą chłopcy odnosili wrażenie, że kobieta jest coraz bardziej przytłoczona wizją nieplanowanego macierzyństwa.

– My do wujka. Dobry wieczór – rzekł Klaus.

– Dobry... – odpowiedziała niechętnie i skinieniem ręki zaprosiła ich do środka. Ciasnym korytarzem pełnym gratów skierowali się do kuchni, w której przy niewielkiej lampce nocnej siedział Karl Hanke. Okna w pomieszczeniu były zasłonięte.

– Heil Hitler! – powiedzieli niemal jednocześnie chłopcy.

– Heil Hitler! – odparł Hanke. – Nikt za wami nie szedł?

– Nie – stwierdził Klaus.

– Alexander dalej w więzieniu?

– Niestety – potwierdził drżącym głosem Erik.

– Niedobrze... Żeby tylko gówniarz nas nie wsypał... – Hanke westchnął, nerwowo stukając palcami w blat obskurnego stołu, na którym stały talerze z resztkami skromnej kolacji. – Skoro trzymają go tak długo, to znaczy, że jeszcze nie puścił pary z gęby.

– To chyba dobrze... – odezwał się Erik.

– Nic, kurwa, nie jest dobrze. – Hanke niespodziewanie walnął pięścią w stół, tak że wchodząca do pokoju z kubkiem herbaty Maria Dvořák oblała się gorącym

napojem. Kobieta krzyknęła i natychmiast podbiegła do kranu, wkładając oparzoną rękę pod zimną wodę. Mężczyzna nie przejął się jej wypadkiem.

– Nie jest dobrze, bo im dłużej tam siedzi, tym bardziej będą go cisnąć – kontynuował. – Wierzcie mi, że każdego można złamać. Wszystko zależy od doboru środków. Jeśli uda się trafić w słaby punkt przesłuchiwanego, to już po nim. I po nas, przy okazji.

Erik ledwo powstrzymywał się od płaczu.

– Co zatem zrobimy? – zapytał przytomnie Klaus.

– Mam pewien pomysł... – powiedział Hanke. – Jak stoimy z finansami?

– Dość słabo. Ostatnio chcieli wysiedlić Erika z babcią. Musieliśmy zapłacić tu i ówdzie Polaczkom za lewe papiery.

– Rozumiem – odparł Hanke. – Poradzimy coś na to. Pójdziecie do Ober Hohenelbe...

– To się teraz nazywa Vrchlábí – weszła mu w słowo Maria Dvořák. Wciąż trzymała rękę pod kranem z zimną wodą.

– Otóż to. W czasie wojny mieliśmy tam obóz dla kobiet, Frauenarbeitslager Ober Hohenelbe. Byłem w nim kilka razy w odwiedzinach u mojego przyjaciela Karla Gallascha, który tam pracował. – Hanke uśmiechnął się do swoich wspomnień. – On to miał fantazję... Jak nie zabił codziennie kilku więźniarek, to nie mógł spokojnie zasnąć. Co on potrafił wyczyniać z tymi Żydówkami. – Zarechotał na wspomnienie o dawnym koledze.

W tym momencie Maria Dvořák wyszła z kuchni bez słowa. Chwilę później usłyszeli, jak wymiotuje w sąsiadującej z kuchnią toalecie.

– Przechodząc do rzeczy – kontynuował Hanke. – Obóz zajęli Czesi w maju czterdziestego piątego. To było miejsce, gdzie można było dużo zarobić. Wicie, przywozili więźniarki z Auschwitz, z Węgier, ze Słowacji. Jedna miała złotego zęba, którego nikt jej jeszcze nie wyłamał, inna przemyciła pierścionek w dupie, a kolejna kolczyki pod językiem, jeszcze inna połknęła naszyjnik. – Mężczyzna znowu się zaśmiał. – A i w pizdach potrafiły coś ukryć. Kiedy już esesmani się tam dobrali... Oj, wierzcie mi, mieliśmy z tymi idiotkami czasem niezłą zabawę. A jakie potrafiły być uparte! I, jak im się wydawało, przekonujące: „My już nic nie mamy”. Kiedy tak mówiły, to... Dopiero wtedy zaczynała się zabawa.

Za ściany znowu usłyszeli wymiotującą ciotkę Alexandra.

– Stary dureń Gallasch – ciągnął dalej Hanke. – Nie dość, że pijak, to jeszcze ze słabością do bab. Uciekł stąd tuż przed wyzwoleniem obozu do Breslau i tam kochanka wsypała go przed Urzędem Bezpieczeństwa.

– Powiesili go? – zapytał wystraszony Erik.

– A gdzie tam. – Hanke machnął ręką. – Nie dał im tej satysfakcji. Sam się powiesił w celi. W każdym razie wydaje mi się, że część swoich łupów zostawił tutaj, w Ober Hohenelbe.

– Vrchlabí – poprawiła go Maria Dvořák, wchodząc do kuchni. Zabrała ze stołu brudne naczynia i zaniósła do zlewu.

– We Vrchlabí – powtórzył nazista i wstał od stołu. Wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z mapą Karkonoszy. – Spójrzcie. Tutaj znajdował się Frauenarbeitslager. – Wskazał palcem na tereny przy szosie wiodącej z Vrchlabí do Szpindlerowego Młyna. – Maria, daj coś do pisania.

Kobieta bez słowa przerwała mycie naczyń. Z kuchennej szuflady wyjęła ołówek i podała go mężczyźnie. Trzęsły jej się ręce. Ani chłopcy, ani Hanke nie zwrócili na to uwagi.

– Tu znajdowała się komendantura obozu, tu były baraki, tu krematorium... – Nazista począł zaznaczać na mapie kolejne punkty. – A tu był dodatkowy budynek, specjalnie na potrzeby Gallascha i jego zabaw. Jeśli mnie przecucie nie myli, to tam też gromadził kosztowności, które rabował tym głupim Żydówkom i innemu ścierwu. Przeszukajcie to miejsce, coś powinno się tam jeszcze znajdować. O ile nie dobrali się do tego szabrownicy.

– I co dalej? – zapytał Erik.

– Dalej? Spróbujemy przekupić odpowiednie osoby, żeby puszczono Alexandra wolno. Nie ma ludzi, których się nie da złamać. Mówiłem to już chyba... Myślę, że trochę złota zachęci do pomocy niejednego biednego Polaczka. A teraz zmiatajcie stąd. Gdy załatwicie sprawę w Ober Hohenelbe, przyjdźcie. Zobaczymy, ile ten dureń Gallasch tam poukrywał, i wtedy powiem wam, jak to rozegramy z Polakami. Klaus? – zwrócił się do chłopaka.

– Tak?

– Liczę na ciebie. Ty też masz w sobie... Ten dryg i spryt. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

– Oczywiście, Herr Reichsführer.

Hanke walnął pięścią w stół, a Marii Dvořák wypadł z ręki talerz, który właśnie myła. Wyglądała na roztrzęsioną.

– Przepraszam. – Klaus natychmiast się zreflektował. – Oczywiście, wujku.

– Musisz zapomnieć o tych zwrotach. Przez przypadek wyrwie ci się to przy niepowołanych ludziach i jesteśmy skończeni. Zrozumiano?

– Tak jest! – odparli chłopcy.

– Odmaszerować.

Kiedy Erik i Klaus opuścili dom, Maria Dvořák westchnęła, wytarła ostatni czysty talerz i odłożyła do szafy.

– Herbaty? – zapytała.

– Tak, zrób! – Hanke wydał polecenie żołnierskim tonem.

Nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence. Wyszła na chwilę na ganek i próbowała się uspokoić. Dziecko znowu zaczęło dokazywać w jej brzuchu. Przerażała samą siebie, bo w takich momentach, zamiast radości z macierzyństwa czuła przede wszystkim wszechogarniający strach. Pomyślała o swojej matce. Znów nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dokładnie tamta zmarła. Czy jej rodzicielka bała się tak samo, gdy była w ciąży? Przed oczami znów stanęły jej wspomnienia. Obłąd w oczach matki. Nóż w jej ręce. I długie, kręte schody, którymi Maria przed nią uciekała.

Łzy pociekły jej po policzkach. Emilia Dvořák była niedosłą dzieciobójczynią. A jeśli miała to zapisane w genach? I przekazała tę skłonność Marii? Co, jeśli teraz także ona nie pokocha swojego dziecka?

Z przerażenia zaczęło brakować jej tchu. Powiodła wzrokiem po nocnym krajobrazie Karkonoszy śpiących pod rozgwieżdżonym niebem. Ten widok zazwyczaj ją koił. Tym razem jednak było inaczej. Na myśl o dziecku czuła zbyt duże przerażenie. Ona, jako mała dziewczynka, miała chociaż namiastkę miłości w osobie ojca. Przypomniała sobie pierniczki od Liedtkego i spacer z tatą. Pomyślała o swoim dziecku. Nie liczyła na to, że jego ojciec będzie się nim opiekował. A ona? Czy da radę?

Usłyszała z domu krzyk Karla, który czekał na herbatę. Otarła łzy i wróciła do kuchni.

– Gdzie łazisz? – warknął, spoglądając na nią spode łba. Na stole stała opróżniona do połowy butelka wódki.

– Wyszłam na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Niedobrze mi było.

– Yhm – odparł. – Zauważyłem. Ciągle ostatnio tylko ci niedobrze. A ja mam swoje potrzeby – dodał i uszczypnął ją w pośladek. Zignorowała jego słowa i zaparzyła herbatę.

Gdy przysłuchiwała się dzisiejszej rozmowie Karla z chłopcami z Hitlerjugend, jej uwadze nie uszły niepokojące słowa o obozie we Vrchlábí. Zawsze wierzyła w to, co pisano w niemieckich gazetach: że obozy były miejscem izolacji niebezpiecznych jednostek. Tam trafiali kryminaliści, złodzieje, przestępcy seksualni i osoby zagrażające bezpieczeństwu państwa. Przypomniało jej się, jak kiedyś, w drodze na zakupy przez Vrchlábí, była świadkiem pędzenia do obozu przez esesmanów grupy nowo przybyłych więźniarek, które wysadzono z wagonów na stacji kolejowej w centrum miasta. Niemcy na widok otoczonych kordonem kobiet zatrzymywali się, pluli i rzucali pod ich adresem najgorsze oszczerstwa. Wtedy Marii wydawało się to normalne, bo przecież to były wyjątkowo niebezpieczne przestępczynie.

Pierwsze zwątpienie pojawiło się, gdy jedna z koleżanek podczas wyprawy do lasu na grzyby zabrała ją pod obóz.

– Coś ci pokażę – powiedziała niepewnie i poprowadziła Marię na skraj lasu, skąd można było obserwować obozowy plac apelowy. Schowane między młodymi brzoza widziały, jak wśród krzyków esesmanów na środku placu, pod wielkim dębem, ustawiono w rzędzie kilkanaście wychudzonych kobiet w podartych brudnych ubraniach. Chwilę potem wszystkie zostały rozstrzelane.

– Co o tym myślisz? – zapytała drżącym z przerażenia głosem koleżanka, gdy wyznaczona grupa więźniarek zaczęła sprzątać ciała po egzekucji.

– Nie wiem – odpowiedziała wtedy Maria. Ale od tamtego dnia, gdy zdarzyło jej się mijać kordon prowadzonych do obozu kobiet, nie pluć już tak jak inni. Zamiast tego odwracała wzrok, unikając mierzenia się z wątpliwościami, czy rzeczywiście były one słusznie skazane.

Teraz jednak, po zasłyszanej rozmowie Karla z chłopakami z Hitlerjugend, wątpliwości wróciły ze zdwojoną siłą. Mężczyzna opowiadał o rzeczach, o których nigdy wcześniej nie słyszała. Czym innym była przecież egzekucja przestępcy, a czym innym znęcanie się nad bezbronną kobietą.

Może po prostu źle zrozumiała. Może to były tylko niestosowne żarty Karla? Coraz częściej ostatnio jednak odnosiła wrażenie, że mężczyzna skrywa przed nią swoje ciemne oblicze. Jeszcze jakiś czas temu postrzegała go jako bohatera, jednego z tych, którzy wyzwolili jej ziemie spod czeskiego jarzma. Teraz jednak ogarnęły ją wątpliwości. Jakim naprawdę był człowiekiem? I jak rozumiał wierność ideałom, w które ona wierzyła? Czy rzeczywiście stał po dobrej stronie? A może raczej kierowały nim tak samo podłe instynkty jak czechosłowackimi żołnierzami, gdy zastrzelili na rynku w Libercu jej ojca? Postanowiła się dowiedzieć.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o swoich zabawach z tym całym Gallaschem w obozie we Vrchlábí?

– A, stare dzieje... – odparł Hanke i opróżnił do dna szklanę z wódką.

– Zaciekawiałam się, opowiedz – poprosiła kobieta, wysilając się na naturalny uśmiech.

– W wakacje często przyjeżdżałem w Riesengebirge. Czasem zaglądałem do Jugendkammhaus Rübezahl, tam ciągle trwały zjazdy członków Hitlerjugend z Niederschlesien. Dobrze znałem właściciela, Alberta Schmieda. Jego syn Johannes przyjaźnił się z tymi smarkaczami. – Wskazał na drzwi, za którymi przed chwilą zniknęli Klaus i Erik. – Bardzo mi pomogli w czterdziestym piątym, jak miałem awarię na Spindlerpass...

– Nie o to pytałam – wtrąciła Maria Dvořák, wsypując do ceramicznych filiżanek po łyżeczce liści herbaty.

– Tak... W trakcie tych wyjazdów czasami wizytowałem też obóz w Ober Hohenelbe.

– Vrchlábí – poprawiła go odruchowo, szukając cukru w kredensie. Kiedyś chciała, żeby wszystkie nazwy brzmiały po niemiecku, ale od czasu, gdy w jej domu zamieszkał Karl Hanke, to się zmieniło. Tak jakby zaczynała rozumieć, że za nazistami nie idzie tylko wyzwolenie, lecz także trudny do określenia niepokojący, brunatny cień. Tego wieczoru zrozumiała jeszcze jedną rzecz: że odpowiada nie tylko za siebie, ale także za dziecko. Musiała więc poznać prawdę o jego ojcu.

– Jeszcze raz powiesz Vrchlábí, a ci przyleję! Przestań mnie poprawiać! To niedługo z powrotem będzie Ober Hohenelbe, zrozumiałaś? – syknął Hanke, podnosząc wzrok znad mapy. Jego spojrzenie mroziło krew w żyłach. Kobieta poczuła, jak jej podbrzusze zaczyna obejmować bolesny skurcz.

– Przepraszam – odparła potulnie. Nalała do filiżanek gorącej wody z czajnika.

– Kontynuując. – Hanke znów spojrział na mapę. – Komendant obozu Gallasch był moim dobrym znajomym. Miał trochę swoich, nazwijmy to, fanaberii... Uwielbiał zabawiać się z więźniarkami. To, że dostał pod zarząd obóz kobiecy, było dla niego niemal rajem na ziemi. Czasami, jak przyjeżdżałem w odwiedziny, zabierał mnie ze sobą na zabawę...

Maria Dvořák drżącymi rękami postawiła przed mężczyzną filiżankę z herbatą.

– Pij, pij, bo wystygnie – rzuciła drewnianym z nerwów głosem. – I opowiadaj dalej – dodała. Usiadła po drugiej stronie stołu. Hanke po raz kolejny nalał sobie wódki. Jego policzki i nos zrobiły się czerwone. Alkohol go rozluźnił i obudził wspomnienia, których dotychczas nie znała.

Słuchając opowieści mężczyzny, Maria wpatrywała się w jego oblicze, udając zaniepokojenie. W duchu jednak krzyczała z przerażenia, które rosło z każdym kolejnym szczegółem jego wizyt w filii obozu Gross-Rosen we Vrchlabí. Intuicja od dłuższego czasu podpowiadała jej, że ma do czynienia z osobą nieszanującą życia drugiego człowieka, ale nie miała dotychczas świadomości, jak wielkiego zbrodniarza gości w swoim domu. Dzisiejsza rozmowa odkrywała przed nią nowe oblicze Karla Hankego. Zadawała kolejne pytania: co? Kiedy? W jaki sposób? Mężczyzna opowiadał chętnie i z wyraźną dumą. Maria słuchała oniemiała. Karl Hanke zaczynał jej się jawić jako wcielony diabeł.

Klinove Boudy, 16 lipca 1947

Zegar wybił północ, a Maria Dvořák nadal nie mogła zasnąć. Przypomniała sobie chwile radości, gdy powstała Partia Niemców Sudeckich, a ona uwierzyła, że Czesi zapłacą za brutalność wobec niemieckojęzycznych obywateli zamieszkujących północ kraju. Pomyślała o entuzjazmie, jaki towarzyszył jej, gdy Hitler wyzwalał prowincję Deutschböhmen. Gdy wojska Rzeszy wkraczały do jej miasta, które z Liberca na powrót stało się Reichenbergiem.

Teraz w łóżku obok niej leżał Karl Hanke, mężczyzna, który uosabiał to wyzwolenie. Jeden z tych, w których wierzyła. I dziś ta wiara została wystawiona na próbę, a raczej zderzona z przerażającą rzeczywistością.

Wyobraźnia podsuwała jej wciąż nowe obrazy, powstałe na podstawie opowieści pijanego mężczyzny spokojnie pochrapującego obok niej w łóżku.

Gallasch i jego ociekające sadyzmem gwałty na więźniarkach. Kobieta, którą ogłuszyli pałką tak skutecznie, że straciła wzrok i na codzienne apele musiały ją prowadzić pod rękę współwięźniarki. I zabawa w strzelanie w krocze bykowcem. Kobiety ustawiano pod murem w rzędzie, twarzą do ściany, a Hanke na zmianę z Gallaschem zadawali im ciosy, strzelając biczem w okolicę krocza. Wymagało to nie lada precyzji. Wygrywał ten, kto więcej razy trafił na tyle celnie, że więźniarka nie wytrzymała i krzyknęła z bólu. Zazwyczaj był to Gallasch, bo Hanke, nie praktykując codziennie, nie miał tak dużej wprawy.

Maria podniosła się z łóżka. W sypialni było ciepło, bo dom nagrzał się podczas słonecznego dnia. Spocony Hanke zsunął we śnie kołdrę poniżej pasa. Spojrzała na jego zwisające prącie. Nie było jej dobrze, gdy w nią wchodził, ale nie przypuszczała, że ta obrzydliwa część męskiego ciała służyła mu za tak potworne narzędzie tortur.

Na bosy cicho wyszła z sypialni, a potem przed dom. W twarz uderzyło ją chłodne nocne powietrze, ale jej nie orzeźwiło. W głowie aż szumiało jej od przerażających obrazów. Niemal słyszała krzyki więźniów, na których testowano w filiach obozu Gross-Rosen zastrzyki z fenolu podawane przez lekarzy prosto w serce. I widziała, jak po iniekcji zrzuca się ich z fotela zabiegowego na podłogę, gdzie umierają w ciągu kilkadziesiąt sekund. Czy naprawdę przez ostatnie lata takie piekło istniało w jej najbliższym sąsiedztwie, na jej ziemiach? I ona w wyborach głosowała na ludzi za to współodpowiedzialnych? Przypomniało jej się pytanie koleżanki z pamiętnej wyprawy na grzyby: „Co o tym myślisz?”

Wiatr zaszumiał, a zasnuwające niebo chmury zaczęły przesuwać się z coraz większą prędkością. Po chwili zza jednej z nich wyłonił się bliski pełni księżyc. Maria zapatrzyła się w jego blask ze łzami w oczach. „Co o tym myślisz?” – usłyszała znów w swojej głowie. Owładnęło ją jedno pragnienie: żeby ten zły człowiek zniknął z jej domu. Natychmiast. Żeby już nigdy nie musiała z nim rozmawiać ani na niego patrzeć. Upadła na kolana i po raz pierwszy od lat zaczęła się modlić do Boga, aby ten pomógł jej cofnąć czas. Drugi raz w życiu nie popełniłaby takiego błędu, żeby przyjąć pod swój dach Hankego. Rzekomego bohatera, którym opiekował się jej krewny Alexander z przyjaciółmi, a który okazał się zbrodniarzem. Wiedziała jednak, że jej modlitwa nie zostanie wysłuchana.

Zwracała się przecież do Boga z tyloma prośbami od najwcześniejszego dzieciństwa. Aż w pewnym momencie zrozumiała, że musi polegać tylko na sobie, bo inaczej nie przetrwa.

Usłyszała pohukiwanie sowy. To była pora, w której drapieżny ptak wyruszał na łowy. Poczowała, jak dziecko kopie w jej brzuch. A co, jeśli ono odziedziczy po ojcu skłonność do okrucieństwa? Nagle przypomniała jej się legenda o Duchu Gór, którego rozwścieczyła zorganizowana przez pewnego hrabiego huczna uczta na Równi pod Śnieżką. A ponieważ nieroztropny ziemianin wkroczył na ziemię należącą do słowiańskiego bóstwa, Duch Gór postanowił się zemścić. Zamienił się w potężny wichur, taki, jakiego nikt wcześniej w Karkonoszach nie widział. Zaczął zrywać obrusy, unosić w powietrze talerze, które z głośnym łoskotem szybowwały w przepaść Kotła Łomniczki. Goście łapali się skał, tracąc równowagę, butelki z winem same się odkorkowały i rzucały obelgi pod adresem zebranych. Uczta zaczynała przypominać mroczny sabat.

Maria Dvořák zamarzyła, żeby Duch Gór przybył teraz i niczym trąba powietrzna zabrał Karla Hankego. Gdyby władca Karkonoszy mógł się nad nią ulitować albo jakoś jej pomóc... Płakała bezgłośnie.

W pewnym momencie poczuła podmuch wiatru, który omiótł jej mokre od łez policzki. Usłyszała szelest w pobliżu i spojrzała w kierunku, z którego dochodził. To wiatr poruszał krzewem pokrzyku wilczej jagody, który rósł na skraju ogrodu Marii. Sąsiadki ostrzegały ją tyle razy: „Wykarczuj ten chwast, nim urodzi się dziecko! Pójdzie kiedyś do ogrodu, zje kilka jagód i umrze ci na rękach”. Podeszła bliżej do rośliny i dostrzegła mieniące się w świetle księżyca ciemnofioletowe owoce. Zerwała kilka soczystych jagód, które roślina wydała, żywiąc się karkonoską ziemią, wodą i słońcem – żywiołami Ducha Gór. Rozgniotła je w palcach. Pękły, ukazując ciemny miąższ, a po jej dłoniach zaczął spływać ciemny sok.

Trwała w bezruchu przez kilka minut, aż poczuła się pewna swojej decyzji. Zebrała garść jagód i zniosła do kuchni. Przetarła je przez sitko do małego dzbanuszka. Potem poszła na piętro i zajrzała do sypialni. Hanke chrapał głośno, pogrążony w pijackim śnie. Podeszła do jego stolika nocnego. Stały na nim przygotowane przez nią dla mężczyzny gorzkie zioła, którymi zawsze leczył kaca. Dolą do kubka zawartość dzbanuszka i delikatnie wymieszała palcem.

Obudziła się wcześniej rano. Otworzyła wciąż zapuchnięte od wczorajszego płaczu powieki i spojrzała na puste miejsce obok niej w łóżku. Zaraz potem dostrzegła opróżnioną do dna szklankę po herbacie i poczuła niepokój. Wstała i wyszła z sypialni, rozglądając się po domu. Chwilę później usłyszała dziwne odgłosy dochodzące z łazienki. Podeszła pod drzwi i uchyliła je nieznacznie. Karl Hanke leżał na podłodze. Twarz miał czerwoną, a źrenice tak rozszerzone, że niemal nie widziała tęczówek.

– Źle się czuję – wysapał. – Nie widzę cię, Maria. Coś było... z tą wódką. Pomóż. Le... lekarza – dodał, po czym zaczął się trząść. Maria patrzyła na niego przez chwilę, nie wiedząc, jak się zachować. Pomyślała o ofiarach z obozu Gross-Rosen, które umierały na podłodze po podaniu zastrzyku z fenolem prosto w serce. Nie chciała oglądać, jak Hanke kona. Nie zrobiła przecież tego z chęci odwetu za to, jak ją traktował, ani za krzywdy innych. Ona po prostu musiała chronić swoje dziecko. I chronić siebie, bo zaczynała rozumieć, że zbrodniarze tacy jak Hanke są nieobliczalni. Wzięła starą metalową miednicę i zaczęła nalewać do niej wody. Gdy miska była już pełna, stękając z wysiłku, postawiła ją obok Hankego. Złapała go za kark, uniosła jego głowę i ułożyła w miednicy twarzą do dołu. Mężczyzna nawet nie stawiał oporu. Człowiek, który wywoływał w tyłu ustach krzyk bólu, rozpacz i przerażenia, odchodził teraz ze świata przy akompaniamencie cichego bulgotania.

Po chwili bąbelki powietrza przestały wypływać na powierzchnię wody.

Szpindlerowa Bouda, 15 września 2006

Justyna weszła do schroniska, czując, jak w policzki uderza ją przyjemne ciepło nagrzanego wnętrza. W powietrzu unosił się smakowity zapach kolacji. Skierowała się do baru.

– Cześć – powiedział Mikolas, uśmiechając się na jej widok. – Nie spodziewałem się, że wpadniesz.

– Z góry uprzedzam, że dzisiaj wracam do siebie na noc i nie dam ci się tak wykończyć jak ostatnio. – Justyna również się uśmiechnęła i siadła przy stoliku barowym. Policzki ją zapiekły, ale nie wiedziała, czy to z emocji spowodowanych spotkaniem, szybkiego marszu do Szpindlerowej Boudy czy po prostu ciepła panującego w czeskim schronisku.

– Mam to traktować jako wyzwanie? – Mikolas się roześmiał.

– Proszę?

– Że na pewno nie zostaniesz na noc – odparł swobodnie, puszczając do niej oko.

„Boże, on mnie podrywa?” – przeszło Justynie przez myśl. Dawno nie była w podobnej sytuacji. Odruchowo przyjęła pozycję obronną.

– Nie wyobrażaj sobie za dużo – odparła machinalnie, po czym skarciła siebie samą w myślach. Nie chciała przecież wyjść na szorstką. I choć próbowała wyprzeć to do podświadomości, w gruncie rzeczy przyszła tu właśnie z nadzieją, że może jeszcze ma szansę odnowić relację z Mikolasem. – To znaczy, wyobrażaj sobie... – Zmieszała się do reszty. – Boże! Nie to miałam na myśli. Dobra. Udajmy, że tego nie słyszałeś.

Mikolas się roześmiał.

– Czerwienisz się czy tylko mi się wydaje? – zapytał, przyglądając jej się uważnie.

Czuła, że w tej rozmowie miał nad nią zdecydowaną przewagę. O ile wcześniej to on zabiegał o jej względy, o tyle teraz role się odwróciły. Justyna miała tego świadomość. Mikolas zachowywał się zupełnie inaczej niż poprzednim razem. Przestał być oschły, a jego uśmiech zdawał się szczery i niewymuszony.

– Co mi polecisz? – zapytała, puszczając mimo uszu uwagę mężczyzny. Spojrzała na niego z radością, jakby właśnie zobaczyła dawno niewidzianego przyjaciela. W Mikolasie najbardziej zawsze urzekał ją jego uśmiech. Był zaraźliwy.

– Mogę ci zrobić Chatkę Liczyrzepy. Drink na bazie rumu, z sokiem pomarańczowym, pieczoną śliwką i kruszonym piernikiem.

– Czy u was nie ma żadnego drinka bez Liczyrzepy w nazwie? – spytała Justyna ze śmiechem. – Ale dobra, niech będzie chatka. Brzmi smacznie.

– Dla ciebie są tylko z Liczyrzepą. Wiem przecież, co lubisz – odparł, znów puszczając do niej oko, po czym zabrał się do pracy.

– Łukasz do mnie przyjechał – powiedziała nagle, obserwując pracę mężczyzny.

– Co? – Mikolas momentalnie się skrzywił.

– Rozbił namiot pod schroniskiem, bo nie chciałam go wpuścić.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Nic. Próbowałam go spławić, ale bezskutecznie. Liczę więc, że się w końcu znudzi i sobie stąd pojedzie w cholerę. Nie zamierzam z nim już więcej nawet rozmawiać. Wiesz, że to on był tym idiotą, który zaprosił mnie w niedzielę do teatru? Gdybym wiedziała, że to jego sprawka, w życiu bym nie poszła.

– Justyna, ja żartowałem z tą moją dziewczyną – powiedział niespodziewanie Mikolas.

– Domyśliłam się – przyznała, zdziwiona jego wyznaniem.

– Chciałem, żebyś zrobiła się trochę zazdrosna...

Justyna szukała właściwego słowa, nie chcąc znów zabrzmieć szorstko.

– Chyba ci się udało – powiedziała cicho po chwili. Na krótko zapadła między nimi krępująca cisza. Przerwała ją pytaniem.

– Dlaczego byłeś ostatnio taki... dziwny? Zachowywałeś się zupełnie inaczej niż zwykle, niż teraz.

– Byłem na ciebie zły. Kiedyś traktowałeś mnie przynajmniej jak przyjaciela. Wpadałeś tu pogadać, na drinka. A potem pojawił się ten głupek i na kilka miesięcy zapomniałeś o moim istnieniu. Chyba nie dziwisz się, że...

– Dobrze, nie musisz kończyć – powiedziała zmieszana. – Głupie pytanie. Nie byłam wobec ciebie w porządku. Przepraszam. Postaram się to naprawić.

– Okej – odparł Mikolas.

Justyna po raz drugi tego dnia doznała przyjemnego uczucia, jakby dokonała pewnego rodzaju oczyszczenia.

– A tu Chatka Liczyrzepy, smacznego! – Postawił przed nią szklanę, dekorując ją jeszcze okruszkami piernika.

– Dzięki. Wygląda cudownie – odparła, biorąc drinka do ręki. W tym momencie zauważyła, jak przez hol w stronę wyjścia zmierza zamyślony mężczyzna. Jego twarz wydała jej się znajoma. – To nie Pavel Svoboda? – zapytała, wskazując głową na znikającą za drzwiami postać.

– Owszem.

– Co on tu robi tak często?

Mikolas wzruszył ramionami.

– Przyszedł pewnie do właściciela, pana Jiříego. Czasami Svoboda zagląda do niego na pogawędkę. Swoją drogą, dowiedziałem się wczoraj, że problemów

z Czarcim Młynem jest jeszcze więcej. Svoboda jest po prostu... w dupie.

– Dlaczego? – zapytała zaciekawiona.

– Skala zniszczeń po tej powodzi jest bardzo duża, a on nie dostanie teraz złamanego grosza na remont, bo młyn nie był ubezpieczony.

– To bardzo nieodpowiedzialne! Jak się ma tutaj majątek, to pierwsze, co trzeba zrobić, to ubezpieczyć od powodzi, pożaru, wichury i tak dalej. To nie są przecież łatwe góry.

– Masz rację. Z tym że on już wcześniej był trochę zadłużony. Mówiłem ci, że przegrał jakieś duże pieniądze w kasynie? Chyba jest dość zdesperowany. Pewnie szukał oszczędności, gdzie się da.

– Sam sobie tego piwa nawarzył. Grał, to teraz ma – skwitowała Justyna. – Ale zastanawia mnie jedna rzecz. Skąd on zna mojego Wiesia? Nigdy nie widziałam Svobody u nas w schronisku. Zawsze spotykali się tutaj?

Mikolas wahał się przez moment.

– Ty ufasz temu Wiesiowi?

– Oczywiście – odparła machinalnie. Nie było to jednak w pełni zgodne z rzeczywistością. Tak naprawdę uczciwość jej pracownika budziła w niej coraz więcej wątpliwości.

– Nie mówisz tego z pełnym przekonaniem. Widzę to w twoich oczach.

Justyna westchnęła zrezygnowana.

– Nie wyraziłam się precyzyjnie... Przez te lata spędzone w Odrodzeniu naprawdę ufałam mu bezgranicznie. Pracował tu jeszcze za poprzedniego kierownika i ten też wypowiadał się o Wiesiu jako o naprawdę oddanym i rzetelnym pracowniku. Ja również zawsze mogłam na niego liczyć, nigdy mnie nie zawiódł. Jest dla mnie jak rodzina, zwłaszcza od czasu jego walki z nowotworem, w której starałam się go wspierać. Ale ostatnio dzieje się z nim coś dziwnego... – przyznała niechętnie. – Myślę o tej niedzielnej nocy, o tym, że zostawił schronisko bez opieki. Nie daje mi to spokoju i sama już nie wiem, czy powinnam mu ufać.

– Nie chciałbym rzucać oszczerstw... – zaczął mężczyzna. – Nie znam go przecież tak dobrze jak ty.

– Rozumiem. Ale chciałbyś mi coś powiedzieć?

Mikolas potwierdził ruchem głowy.

– Dawaj śmiało. Intuicja coś ci pewnie podpowiada, prawda?

– Tak. Ale pamiętaj, że to tylko moje przypuszczenia.

– Ta rozmowa zostanie między nami – zapewniła go Justyna.

– Kiedy Wiesiu przyszedł do Szpindlerowej ze Svobodą w ten wieczór, w który doszło do włamania, wydawał mi się zdenerwowany. Dużo ludzi przychodzi tu na piwo, porozmawiać. Obsługuję ich na co dzień. Wiesiu nie zachowywał się jak typowy facet na piwie z kolegą w niedzielny wieczór. Szczerze mówiąc, z perspektywy czasu mam nieodparte wrażenie, jakby on wiedział, że do tego włamania dojdzie. I przyszedł tutaj, żeby je przeczekać.

Justynę przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Po raz pierwszy ktoś wypowiedział na głos myśl, która kołatała jej się po głowie już dużo wcześniej.

– Dzięki, że mi to mówisz. Odniosłam podobne wrażenie.

– Bałem się, że się wściekniesz. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że próbuję oczerniać twojego pracownika.

– Przestań, nie pomyślałabym w ten sposób!

– To dobrze... – odparł Mikolas. Widać było, że jeszcze coś chce jej powiedzieć. Wahał się krótką chwilę, po czym dodał: – Kiedy zadzwoniłaś do Wiesia, że coś złego dzieje się w schronisku, on zaczął zachowywać się jeszcze dziwniej. Tak jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Jakby nadal chciał coś przeczekać. Dopiero Svoboda trzepnął go w ramię i powiedział: „Musimy biec jej pomóc!”. I wtedy Wiesiu wstał z krzesła i pobiegł do Odrodzenia. Był tak zaaferowany, że nawet nie zadzwonił na policję... Może celowo nie chciał dzwonić...? W każdym razie dobrze, że Svoboda to zrobił.

Justyna nieobecny wzrokiem wpatrywała się w swoją pustą szklankę.

– Chcesz jeszcze jednego? – zapytał Mikolas.

– Nie, na razie dziękuję – odparła. Schowała głowę w dłoniach, próbując przypomnieć sobie szczegóły niedzielного wieczoru. Potarła rękami twarz.

– Powiedziałaś, że Svoboda zadzwonił na policję?

– Tak mi się wydaje – powiedział Mikolas, drapiąc się po karku. – Gdzieś na pewno dzwonił. Wychodząc, krzyknął jeszcze „halo”. Pomyślałem, że zadzwonił na policję. Bo gdzie indziej?

– Słuchaj, a co z tym remontem wieży na Medvědínie? – zapytała nagle. Miała wrażenie, że skronie pulsują jej z podenerwowania.

– Jak to co? Skończył się już ze dwa tygodnie temu. Nie zauważyłaś, jaki teraz dobry jest tu zasięg?

– Boże, jaka ja byłam głupia. Przecież on blefował! Tylko z kim w takim razie rozmawiał? – zastanawiała się na głos. Wszystko w jej głowie zaczynało wreszcie się układać. Coraz więcej szczegółów, które nie dawały jej dotychczas spokoju, nabierało nowego sensu.

– O czym mówisz? – zapytał Mikolas zdziwiony.

Justyna pospiesznie wstała i narzuciła na siebie pelerynę.

– Idę porozmawiać z Wiesiem. On coś przede mną ukrywa. Ale po raz pierwszy mam jakiś punkt zaczepienia. Dzięki za drinka! Pyszny! Wrócę niedługo pogadać! – powiedziała, po czym nachyliła się nad barem i ku własnemu zdziwieniu pocałowała mężczyznę w policzek i wybiegła ze Szpindlerowej Boudy.

– Uważaj na siebie – rzucił, ale Justyna nie mogła już tego usłyszeć.

Schronisko Odrodzenie, 15 września 2006

Wiatr przybierał na sile. Z coraz większą prędkością gnał ciężkie chmury z południa na północ, sprawiając, że sunęły w poprzek Przełęczy Karkonoskiej niczym duchy, które Liczyrzepa wysłał na zwiady w teren, przeczuwając, że w górach wydarzy się wkrótce coś ważnego.

Justyna przyspieszyła, widząc wyłaniające się z mroku Odrodzenie. Potężne okna jadalni na piętrze przypominały puste oczodoły ludzkiej czaszki. W żadnym z nich nie paliło się światło, poza jednym z prawej strony, w sąsiedztwie baru. Na wyższych kondygnacjach w pojedynczych okienkach pokoiów także było jasno. Pomieszczenia zajmowali teraz mieszkający w schronisku robotnicy. Na myśl o ich obecności Justynie zrobiło się raźniej. Gdy przypomniła sobie niedzielne spotkanie z pustym Odrodzeniem, ciemne korytarze, huk młotków, włamywaczy w piwnicy, przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz.

Gęsta chmura przesuwiała się przed jej oczami, rozmywając kontury budynku schroniska. Usłyszała dziwne łopotanie i natychmiast zaczęła rozglądać się dookoła

z niepokojem. Odgłosy dochodziły z lasu, który z obu stron otaczał szlak. Smagane wiatrem świerki kołysały się na boki, niczym karkonoscy laboranci^[26] w trakcie jakiegoś tajemniczego rytuału. Przed oczami znów stanął jej obraz Odrodzenia przystrojonego wielkimi flagami ze swastykami. Czy wiatr taki jak teraz kilkadziesiąt lat temu wprowadził je w ruch, wywołując podobny łopot?

Namiot Łukasza wciąż stał pod drzwiami, ale był pusty. Justyna miała złe przeczucia. Weszła do schroniska i skierowała się schodami do jadalni. Z impetem pchnęła wahadłowe drzwi i jej oczom ukazał się widok, którego zupełnie się nie spodziewała. Przy stoliku tuż koło baru siedział Wiesiu. Jego policzki i nos były nienaturalnie różowe. Naprzeciw niego siedział Łukasz, ze śmiechem opowiadając historię – jak się Justyna domyśliła – o próbie poderwania jakiejś turystki w trakcie jednej z wycieczek. Między panami stały dwie butelki wódki; jedna była już pusta. Mężczyźni byli tak zajęci rozmową, że nawet nie zauważyli wejścia Justyny.

– Chłopy... – powiedziała z westchnieniem Renata Marszałkowa, wychylając się z kuchni. – Mówiłam mu: „Wiesław, ty nie możesz tyle pić, ty miałeś nowotwór”. Ale on, jak to on: „Babo, co ty mi tu będziesz rozkazywać”. I jeszcze zaprosił tego gówniarza. – Skrzywiła się z niesmakiem i wskazała na Łukasza.

– O, dzień dobry pani kierowniczo! – krzyknął nagle Wiesiu, gdy zorientował się, kto wszedł do jadalni.

– Kogo moje oczy widzą... – Łukasz włączył się do rozmowy.

– Upiliście się! – Justyna się zdenerwowała.

– Jeden rabin powie tak, drugi rabin powie inaczej – odparł Łukasz, po czym lekko beknął.

– Jaki ty się robisz poeta po alkoholu!

– Po wódce? Zawsze – odparł i zarechotał. Wiesiu także zaczął się śmiać, lecz gdy zobaczył zaciśnięte usta Justyny, natychmiast spoważniał.

– Kierowniczo... – zaczął niewyraźnie. – No co miałem zrobić? Zmarzył chłopak. Jak mogłem nie wpuścić na noc? W końcu jesteśmy... schroniskiem! – dodał. – Chciałem, żeby się trochę ogrzała...

– I dlatego postawił pan na stół dwie flaszki? To rzeczywiście doskonały pomysł – skwitowała z ironią.

– Oj, to tak wyszło, przez przypadek... – zaczął się tłumaczyć zmieszany.

Justyna westchnęła poirytowana. Wyglądało na to, że z rozmowy z Wiesiem dzisiaj nici.

– A gdzie ty się szwendasz po nocach? – zapytał nagle Łukasz zaskakująco przytomnie. – U tego frajera ze Szpindlerowej Boudy byłaś?

– A tobie głównie do tego – odparła. – Wracaj do Moni.

– Oj, przestań się zachowywać jak dziecko! Już dawno z nią skończyłem. Ile razy mam ci to powtarzać?

– Ja jestem dzieckiem? – Zirytowała się – Słuchaj, nie wyrzucę cię tak schlanego za drzwi w nocy. Ale następnym razem zapewniam cię, że wezwę policję! I nie interesuje mnie, co ile razy mi powtarzałeś.

– Policję? Z jakiej racji?! – Łukasz się zdenerwował.

– Burdy pijackie mi tu urządzasz! Jakbym miała mało stresów.

– Jakieś problemy? Usiądź z nami, powiedz, o co chodzi. Może pomożemy? Podziel się swoimi... zmartwieniami. – Łukasz uśmiechał się głupkowato. Widać było, że jest bardzo pijany.

Justyna już chciała mu odpowiedzieć, gdy nagle do rozmowy wtrąciła się Marszałkowa, która wciąż stała w drzwiach do kuchni i obserwowała całe zajście:

– Justynko, szkoda nerwów. Przecież to są degeneraci. Chłop i w dodatku schlany! Czy może być coś gorszego? – Parsknęła szyderczym śmiechem. – Nie marnuj czasu na dyskusję z tymi pijakami.

– Ma pani rację – odparła, po czym zwróciła się do Łukasza, oskarżycielsko wymierzając w jego kierunku wskazujący palec. – Powiem tak. Ciebie ma tu rano nie być. A pana – pokazała na Wiesia – czeka jutro bardzo poważna rozmowa ze mną. Niech któryś z was spróbuje zacząć tu w nocy hałasować, śpiewać, tańczyć albo cokolwiek podobnego, to ostrzegam, że nie ręczę za siebie! Dobranoc – rzuciła na koniec i wyszła z jadalni.

– Dobranoc, pani kierowniczo – wymamrotał Wiesiu, marszcząc brwi. Poważna rozmowa, o której powiedziała przed chwilą Justyna, brzmiała jak zapowiedź nadciągającej katastrofy.

– Ha! Doigrałeś się, Wiesław – stwierdziła Marszałkowa, zakładając ręce na piersi.

– Babo, nie zaczynaj... – wydukał pijany dozorca.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Justyna obudziła się tuż po wschodzie słońca. Sen miała niespokojny. Ponieważ była sobota, zapewne w normalnych okolicznościach przewróciłyby się na drugi bok, nakryła głowę poduszką i jeszcze trochę pospała. Niestety, chwilę po przebudzeniu przypomniawszy sobie o czekającej ją rozmowie z Wiesiem i zupełnie straciła ochotę na dalszy sen. Dłuższy czas leżała, wpatrując się w sufit i szukając w duchu motywacji do opuszczenia łóżka. Przetarła lekko podpuchnięte oczy i podeszła do okna. Odsłoniła ciężkie zasłony, a w oczy uderzył ją blask słońca. Niebo było błękitne aż po horyzont i – w odróżnieniu od poprzedniego dnia – zapowiadała się cudowna pogoda.

Pospiesznie jadła śniadanie, przeglądając gazetę, którą dzień wcześniej wręczył jej doktor Węglorz. Utwierdziła się w przekonaniu, że koniecznie musi odwiedzić Klinove Boudy, w których według autora artykułu ukrywał się po wojnie Karl Hanke, kat z Breslau. Z opisu dziennikarza wynikało, że kobieta, która ujawniła jego tożsamość, mieszkała w ostatnim domu we wsi, przy drodze wiodącej do kolejnej, znacznie mniejszej osady – Klášterki.

Ubrała się w dres i luźną koszulkę, po czym zeszła na dół. Skierowała się do warsztatu Wiesia. Zapukała.

– Proszę. – Usłyszała zza drzwi głos dozorczy.

– Dzień dobry – powiedziała chłodno. Bała się tej rozmowy albo raczej prawdy, którą spodziewała się usłyszeć. Im dłużej bowiem myślała o wszystkim, co zaobserwowała sama i co powiedział jej Mikolas, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że dozorca maczał palce w niedzielnym włamaniu.

– O, pani kierowniczka... Dzień dobry – odparł Wiesiu zmieszany, odkładając narzędzia. Naprawiał właśnie jakąś starą kłamkę. – Coś się stało, prawda? Widzę po oczach, że pani zmartwiona...

– Głowa pana nie boli po wczorajszym wieczorze? – zapytała z przekąsem.

Wiesiu miał minę zbitego psa. Milczał przez chwilę.

– Przepraszam. Ja wiem, nie powinienem był zapraszać Łukasza...

– Nie o to mi chodzi... – odparła Justyna.

– Tak, tak, domyślam się. – Mężczyzna jej przerwał. – Nie powinienem był też tyle pić. Strasznie mi wstyd. Ostatnio miałem trochę stresów, chciałem się

odprężyć... To był błąd.

– Picie to swoją drogą. Ale to pana sprawa, jest pan dorosły. Ja jednak z czym innym przychodzę. O tych pana stresach chciałabym porozmawiać – powiedziała Justyna, po czym wzięła stojące pod ścianą krzesło, przysunęła je sobie do biurka i usiadła naprzeciwko mężczyzny.

– Ale to nic takiego... – Wiesiu próbował tłumaczyć. – Proszę sobie tym nie zaprzętać głowy. To wszystko przez ten remont, to włamanie...

– O, właśnie. Włamanie. Myślę o tych niedzielnych zdarzeniach bez przerwy. Ciągłe coś nie dawało mi spokoju. Ci włamywacze coś do siebie krzyczeli, ja w tym amoku nie zorientowałam się, w jakim języku to było. Czeskim, niemieckim? W garażu jest duże echo. Ale wydaje mi się, że nie mówili po polsku – zaczęła. – Nie to jest jednak ważne. Zorientowałam się, że pana przyjaciel mnie okłamał.

– Jaki przyjaciel? – spytał Wiesiu wyraźnie zmieszany.

– Jak to jaki? – Justyna udała zdziwienie. – Pavel Svoboda.

– Ach, Pavel... – Mężczyzna westchnął.

– Powiedział, że nie da rady zadzwonić po policję, bo nie ma zasięgu. Wieża na Medvědínie w remoncie i tak dalej. – Spojrzała wymownie na Wiesia, jednak ten nie odezwał się ani słowem. – Gówno prawda, powiem panu. Wieżę skończyli remontować dwa tygodnie temu. Od tamtej pory nie ma tu problemów z zasięgiem. W normalnej sytuacji od razu bym zauważyła, że facet coś kręci. Ale wtedy byłam tak przerażona, że łyknęłabym każdą głupotę, którą próbowalibyście mi wcisnąć.

Wiesiu chrząknął niewyraźnie.

– Oczywiście, może mi pan mydlić oczy, że akurat chwilowo zasięg się zgubił. Ale nie to jest najdziwniejsze. Dowiedziałam się wczoraj o jednym istotnym szczególe. Ten Svoboda do kogoś dzwonił jeszcze wcześniej, wychodząc ze Szpindlerowej Boudy. I skoro to nie była policja, kto to mógł być, jak pan myśli?

– Kierowniczo... Ja nie wiem. Naprawdę! Proszę mi uwierzyć! Może próbował zadzwonić po jakąś pomoc?

Justyna parsknęła śmiechem.

– Proszę nie udawać naiwnego. Dobrze pan wie, co myślę. Dzwonił do włamywaczy, że muszą się czym prędzej związać – dodała, wymierzając oskarżycielsko palec w stronę dozorczy.

– Na pewno nie! Co też pani mówi! – powiedział Wiesiu oburzony, podnosząc głos.

Justyna znowu nerwowo się zaśmiała.

„Jeszcze chwila, a całkowicie wyprowadzę cię z równowagi” – pomyślała.

– Powiem panu, że mam coraz większe wątpliwości, czy to byli zwykli złodzieje. A może nielegalni poszukiwacze skarbów?

– Jakich skarbów?! Wydaje mi się, że kierowniczką zaczyna fantazjować. – Próbował załagodzić wściekłość Justyny, jednak efekt był odwrotny. Rozmowa zaczynała przybierać coraz bardziej niebezpieczny i nieprzewidywalny obrót.

– A mi się wydaje, że pan kłamie! I coś przede mną ukrywa! A to jest bardzo, bardzo nie w porządku. Gdyby ci ludzie z niedzieli byli zwykłymi złodziejami, dlaczego nie włamali się przez drzwi, normalnie, jak na włamywaczy przystało? Panie Wiesiu, oni weszli przez garaż i próbowali się dostać do starego szybu windy towarowej! Gdyby pan był złodziejem, to zamiast wybić szybę w oknach jadalni od strony tarasu, włamywałby się pan do garażu, kułby pan ścianę i wciskał się przez szyb do kuchni? Co to było do cholery, gang Olsena?

– Nie mam bladego pojęcia! – zarzekał się dozorca coraz głośniejsze.

– Jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia – powiedziała Justyna, ignorując słowa Wiesia. – Skoro Pavel to pana dobry przyjaciel, dlaczego nigdy nie widziałam go u nas w Odrodzeniu? – Sama także zaczynała podnosić głos.

– A nie wiem, tak wyszło! Zazwyczaj widywaliśmy się w Szpindlerowej. No, taka była tradycja...

– I właśnie znowu się pan zdradził!

– O czym pani mówi?!

– Przyznał pan właśnie, że Svoboda nie był wcześniej nigdy w Odrodzeniu.

– Bo nie był... – Wiesiu coraz bardziej się denerwował.

– I znowu gówno prawda! – Justyna się zirytowała. – Musiał być! Jak weszliśmy do garażu, wtedy, w niedzielę, powiedział, że włamywacze chcieli się dostać do szybu towarowego! Skąd wiedział, że tam jest szyb, skoro nawet ja tego nie wiedziałam?! – Ostatnie pytanie prawie wykrzyczała. Wstała z krzesła zdenerwowana. Wiesiu milczał.

– Naprawdę, zawsze panu ufałam... Bezgranicznie! Uważałam, że jest pan moim przyjacielem, dobrym duchem schroniska... – zaczęła Justyna, a w oczach stanęły jej łzy. – Od niedzieli wciąż się oszukiwałam i nie chciałam uwierzyć w to, co jest oczywiste. Pan od początku wiedział o wszystkim. To dopytywanie mnie o wyjazd do matki... To nie była zwykła ciekawość! Pan po prostu upewniał się, że w niedzielę schronisko będzie wieczorem puste. Ja wyjechałam, a pan mógł najspokojniej w świecie dać tym ludziom cynk, że mogą działać. Ale plan się posypał, bo niespodziewanie wróciłam. Tak było?

– Nie. Ale nic więcej nie mogę powiedzieć – odparł Wiesiu zbolalym głosem.

Zdziwiła ją odpowiedź mężczyzny.

– Nie musi pan mówić. Sama dowiedziałam się, o co chodziło tym ludziom. Nie o schronisko, tylko o zamurowany pokój, do którego udało mi się już wejść przez szyb.

– Co też pani mówi? Jaki pokój? – Tym razem zdziwienie mężczyzny wydawało się autentyczne.

– Zastanawia mnie tylko, co takiego jest tam ukryte, że ktoś chciał kuć dwie ściany, żeby się tam dostać? Chodzi o sejf, prawda? Skąd wlamywacze o nim wiedzieli?

– Ja... Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi – zarzekał się Wiesiu. – Jaki sejf?

Justyna oparła się rękami o biurko dozorca.

– Panie Wiesiu, jest mi bardzo przykro. Zawiódł pan moje zaufanie. Daję panu czas do jutra. Albo powie mi pan całą prawdę, albo będę musiała pana zwolnić. Proszę się dobrze zastanowić – dodała, przez chwilę mierząc go wzrokiem. Zdziwiła się kolejny raz, gdyż z oczu mężczyzny wyzierał autentyczny strach. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale Justyna nie zamierzała czekać, aż zbierze się w sobie. Odwróciła się na pięcie i skierowała do wyjścia.

Przed schroniskiem wciąż stał namiot Łukasza. Wisiała na nim kartka z koślawo napisanymi słowami: „Jestem w pracy. Wrócę po południu”.

– Jakby mnie to obchodziło... – rzuciła pod nosem, po czym wsiadła do służbowego samochodu z logo schroniska Odrodzenie i ruszyła w drogę do Klinowych Boud.

Klinove Boudy, 16 września 2006

Dotarcie do Klinovych Boud z Odrodzenia wymagało ponadgodzinnej jazdy krętymi i stromymi drogami. Choć w linii prostej wioska była położona zaledwie sześć kilometrów od schroniska, to w górskich warunkach należało zakładać, że ze względu na skomplikowane ukształtowanie terenu dystans do pokonania będzie znacznie większy. Tak też było w tym przypadku: najkrótsza droga piesza przez Główny Szlak Sudecki i schronisko Luční Bouda miała ponad dwanaście kilometrów. Jeśli natomiast chciało się dojechać z Odrodzenia do Klinowych Boud samochodem, trzeba było wybrać trasę przez Siedmiodolinę i Szpindlerowy Młyn, która liczyła przeszło trzydzieści kilometrów – niemal trzy razy więcej niż droga piesza.

Gdy Justyna wjeżdżała do wsi, na błękitnym dotychczas niebie zaczęły pojawiać się pierwsze chmury. Zatrzymała samochód na poboczu i wysiadła, z ciekawością przyglądając się wiosce. Powietrze było gorące i ciężkie, co we wrześniu zdarzało się w Karkonoszach dość rzadko. Niemal namacalnie czuła, jak z chłodnej, górskiej ziemi unosi się para wyciągana przez promienie słoneczne z wilgotnych łąk.

Justyna wyjęła z torby mapę Karkonoszy i zaczęła studiować topografię Klinovych Boud. Na osadę składało się zaledwie kilkanaście domów, które rozrzucone były nieregularnie na niemal hektarowej stromej łące. Do centrum wsi prowadziła szutrowa droga stanowiąca przedłużenie tej, którą Justyna dotarła do Klinovych Boud. Trasa przecinała osadę na pół i wiodła w kierunku zachodnim, do osady Klášterka. Tuż przed miejscem, w którym droga wchodziła w las oddzielający oba siedliska, na mapie był zaznaczony samotny budynek. Zgodnie z tym, co napisano w artykule, to w nim kilkadziesiąt lat temu mieszkała kobieta, która rozpoznała w swoim sąsiedzie oprawcę z czasów nazistowskiego koszmaru. Justyna schowała mapę, wsiadła do samochodu i ruszyła w górę wsi.

Gdy dojeżdżała do celu, jej uwagę zwróciła jedna posesja. Niemal wszystkie górskie chałupy były zadbane, kolorowe, z pięknymi obejściami. Jak wynikało z szyldów, większość z nich świadczyła usługi noclegowe. Tym większy był kontrast między zabudową Klinovych Boud a posesją, która przykuła jej wzrok. Znajdujący się tam dom, a raczej jego zgliszcza, sprawiał przygnębiające wrażenie. Prosta kamienna podmurówka była osmalona, tak samo jak częściowo zawalony ceglany komin, o który opierało się kilka zwęglonych krokwi. Gdzieniedzie było widać

stojący jeszcze szkielet chałupy, który stopniowo chylił się ku ziemi, przygniatany własnym ciężarem. Przez jego resztki prześwitywały promienie słońca.

„Zły dom...” – pomyślała Justyna i poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Z wnętrza martwej chałupy, spośród szerniałych desek, stert gruzu i fragmentów blachy wyzierały wysokie pokrzywy. Zatrzymała auto na pustej drodze i spojrzała w stronę spalonego domu. Wśród pokrzyw dostrzegła jeszcze jedną charakterystyczną roślinę, której za sprawą babci Stasi bała się od dzieciństwa. Był to pokrzyk wilcza jagoda. Przypomniła jej się jedna z legend o Duchu Gór, które babcia czytała jej w dzieciństwie. Opowieść ta była zawarta w książce *Znane i nieznanne historie o Rzepiórze*, napisanej niemal czterysta lat temu przez Johanna Praetoriusa. Według legendy Duch Gór był doskonałym ogrodnikiem i w okolicach Śnieżki, w dolinie zwanej Diabelską, miał ogród, którego bardzo pilnie strzegł. Tam hodował wspaniałe zioła i korzenie, które potem rozsiewał po swoim królestwie i którymi dzielił się z karkonoskimi laborantami. Według babci Stasi każda roślina miała swoje ukryte znaczenie, a miejsce, w którym zasiał ją Duch Gór, nie było przypadkowe. Gdy zabierała wnuczkę na cmentarz, zawsze pokazywała jej groby, na których rosły pokrzywy. Uważała to za znaki od Ducha, że pod ziemią leży ktoś, kto ciężko zawinił w życiu, a na dodatek nikt tych ludzi nie odwiedzał. Pokrzyk wilcza jagoda miał natomiast inne, również ponure znaczenie. Babcia uważała, że rośnie w miejscach, w których niegdyś wydarzyło się coś bardzo złego. „Pamiętaj Justynko – mówiła wnuczce, wskazując na z pozoru niegroźną roślinę. – Wygląda ładnie. Ale to zdradliwe piękno! Wszystkie jej części – od korzeni po owoce – są bardzo trujące. Przenigdy nie próbuj kosztować jagód tej rośliny!”. Niedawno Justyna rozmawiała nawet o tym z Maksymem. Dopiero od niego dowiedziała się, że łacińska nazwa pokrzyku *Atropa belladonna* pochodzi od greckiej bogini przeznaczenia Atropos, która przecinała nić ludzkiego życia.

Ruszyła w dalszą drogę. Kilkadziesiąt metrów za spaloną chałupą stał pod lasem dom i wydawał się ostatni w zachodniej części Klinowych Boud. Według artykułu od doktora Węglorza to w nim mieszkała niegdyś była więźniarka obozu we Vrchlabí. Dom był klasycznym przykładem karkonoskiej chaty. Niedawno odnowioną fasadę oszalowano, zgodnie z tutejszym zwyczajem, brązowymi deskami, a niewielkie okna pomalowano na biały kolor. Uwagę przykuwały zielone okiennice i zdobiące parapety donice z kwiatami. Mimo obrazu wiejskiej sielanki Justyna się wzdrygnęła na myśl, że zgliszcza, które minęła, stoją najbliżej domu dawnej więźniarki. „Skoro

domniemany zbrodniarz wojenny mieszkał w jej sąsiedztwie, może ukrywał się właśnie w tej chałupie?”. Tym bardziej była ciekawa przyczyny pożaru i czasu, w którym do niego doszło. Czy tragedia mogła mieć związek z niegdysiejszym mieszkańcem tego domu?

Zatrzymała samochód w cieniu, pod lasem, i wysiadła. Nie wiedziała do końca, czy wizyta w Klinowych Boudach wniesie cokolwiek ciekawego do jej śledztwa. Przecież w domu byłej więźniarki już od dawna musieli mieszkać inni ludzie. Ciekawiło ją, czy znają jego historię. Postanowiła przejść się po okolicy i na początku przyjrzeć bliżej spalonemu domostwu, które minęła przed chwilą. Ruszyła w jego kierunku szybkim krokiem. Po chwili marszu jej ciało było już lekkie od potu. Dzień stawał się coraz bardziej upalny. Zwolniła i po krótkim czasie poczuła na sobie czyjś wzrok. Zza płotu ostatniego domu we wsi spoglądała na nią sędziwa staruszka ubrana w staromodny fartuszek w kwiatki wykończony białą koronką. Była kobietą bardzo drobnej postury, a z powodu zgarbionej sylwetki wydawała się jeszcze niższa.

– *Chceš si koupit med?*^[27] – zapytała, uśmiechając się. – Ach, ty z Polski – zorientowała się, wskazując na samochód stojący pod lasem. – Dzień dobry – dodała, zdejmując słomkowy kapelusz, pod którym schowany był siwy kok.

– Dzień dobry – odparła Justyna. Dopiero teraz, przyglądając się posesji po raz kolejny, dostrzegła kolorowe ule skryte pod płotem. – O, widzę, że ma pani tu pasiekę! Chętnie kupię miodu. Tylko że nie mam koron czeskich.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. Możesz dać złotówki. Turyści z Polski często kupują u mnie miód, tak że już się przyzwyczaiłam. Nawet mówię po polsku! Polacy po czesku ani słowa, a ja całkiem, całkiem... – Zaśmiała się, a w jej ustach błysnął złoty ząb.

– Rzeczywiście mówi pani bardzo dobrze – odparła Justyna, podchodząc do płotu.

– Może wejdiesz na herbatę? Zawsze proponuję ją gościom. We wrześniu w Klinowych Boudach jest już tak pusto, a ja lubię, jak ktoś mnie odwiedza.

– Bardzo chętnie! – odparła Justyna bez zawahania. Los jej sprzyjał. Miała nadzieję, że od staruszki dowie się czegoś ciekawego o dawnej mieszkance tego domu.

– Już otwieram ci furtkę – powiedziała Czeszka i podreptała wzdłuż płotu w kierunku wejścia na posesję. – Chodź, chodź, kochana. Jak ci na imię?

– Justyna.

– Bardzo mi miło. A ja jestem Maria. Pracujesz w polskim schronisku, zgadłam? – Wskazała na logo Odrodzenia, które widniało na drzwiach samochodu.

– Tak.

– A co cię do nas sprowadza? – zapytała z ciekawością. – Albo nie! – Uśmiechnęła się i machnęła ręką. – Opowiesz mi, jak przyniosę herbaty. Rozgość się. – Wskazała na ganek.

Justyna podążyła za nią. Usiadła w wygodnym wiklinowym fotelu wyściełonym poduszkami i zaczęła się rozglądać po ogrodzie, podczas gdy gospodyni znikła za drzwiami domu. W pewnej chwili usłyszała bardzo wyraźnie rozmowę prowadzoną w języku polskim, ale nie mogła ustalić źródła głosów. Wstała z fotela i wyjrzała z ganku w stronę wsi. Po chwili dostrzegła grupkę turystów, którzy na przeciwległym skraju osady wspinali się pod górę w stronę szlaku do schroniska Výrovka.

Doskonale wiedziała, co to oznacza. Gdy w górach odgłosy z daleka stają się nagle nienaturalnie dobrze słyszalne albo zaczynają pojawiać się iskry przy tarcu o siebie fragmentów kurtki podczas marszu, zwiastuje to burzę. Justyna spojrzała w niebo. Choć wciąż świeciło słońce, chmur powoli zaczynało przybywać. Była ciekawa, czy grupka turystów, którą przed chwilą zaczęła obserwować, jest świadoma nadciągającego zagrożenia.

– Duch Gór się gniewa. Idzie burza... – Usłyszała za sobą głos staruszki, która właśnie stawiała na stoliku dwa staromodne kubki z herbatą.

– Pomyślałam to samo... Też pani to czuje? – zapytała Justyna, wracając na swój fotel.

– Ano^[28] – odparła, kiwając głową. – Mieszkam tu już trochę czasu, nauczyłam się rozpoznawać humory Ducha Gór. A teraz opowiadaj, co robisz w Klinovych?

– Zajrzałam tu z ciekawości. Chciałam zobaczyć, jak wygląda wieś, nie byłam tu od wielu lat...

– I dlatego przyjechałaś samochodem? – zapytała, mrużąc oczy. Wyglądała na osobę bardzo spostrzegawczą.

– Prawdę mówiąc, chciałam zobaczyć pani dom. – Przyznała się.

– Ojej, czy moja pasieka jest aż tak sławna? – zapytała zaskoczona staruszka.

– Jakiś czas temu przeczytałam artykuł o tym, że prawdopodobnie kiedyś w tym domu osiedliła się była więźniarka niemieckiego obozu, a w jej sąsiedztwie mieszkał Karl Hanke.

Na to nazwisko kobieta aż się wzdrygnęła. Przez chwilę mierzyła Justynę świdrującym wzrokiem.

– Znam tę historię – odparła po chwili namysłu. Oblizwała spierzchnięte usta i napiła się herbaty. – Pij, pij dziecko, bo wystygnie – zachęciła. Gorąca herbata w połączeniu z upałem sprawiły, że Justynie zrobiło się jeszcze cieplej.

– Ten diabeł mieszkał tam – odezwała się niespodziewanie staruszka, wskazując na ruiny domu, które porastała pokrzywa i pokrzyk wilcza jagoda.

– Miałam przecucie, że to właśnie ten dom.

– Ja mieszkam tu dopiero od kilkunastu lat, ale historię opowiedziała mi zielarka, poprzednia właścicielka domu. Kupiła go po śmierci więźniarki, nie znając jego przeszłości. A że była bardzo przesądna, to gdy tylko poznała historię poprzedniej właścicielki, uznała, że nad domem wisi klątwa.

– Dlaczego? – zapytała Justyna. – Klątwa powinna wisieć chyba nad domem Hankego...

– Według niej obie chałupy były przeklęte. Ponoć we śnie nawiedzał ją co noc duch tej więźniarki, bo jej duszy nie udało się przejść bezpiecznie na tamten świat... I dlatego na starość postanowiła sprzedać dom, wyobrażasz sobie?

– Naprawdę? – Justyna była coraz bardziej zdziwiona.

– Tak. Jest taka legenda o Duchu Gór, Karkonoszu, opowiem ci. Kiedyś w jednej z tutejszych wiosek umierała stara kobieta. Był środek wyjątkowo surowej zimy, drogi zasypał śnieg i nie dało się wezwać do chorej lekarza. A ona bardzo, bardzo cierpiała. Aż tu nagle, w środku nocy, ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi chaty. Stary mężczyzna z brodą, w płaszczu i zielonym kapeluszu. Domownicy wpuścili gościa, ale nie zorientowali się, że to Duch Gór. Mężczyzna usiadł przy łóżku schorowanej kobiety i zaczął śpiewać piosenkę w jakimś dziwnym języku. Kobieta uspokoiła się, przestała odczuwać ból i wkrótce z uśmiechem na twarzy zasnęła na wieczność. Mówi się, że Karkonosz ma moc przeprowadzania ludzi na drugą stronę, do zaświatów. Jeśli jednak jakiś człowiek w tych górach odchodzi nagle i on nie zdąży go nawiedzić, to biedna dusza może zbłądzić w drodze na drugi świat. I potem błąka się po Karkonoszach, nie mogąc zaznać spokoju.

– Nie znałam tej legendy, choć wydawało mi się, że o Duchu Gór wiem wszystko.

– A widzisz. Pij, pij herbatkę, bo wystygnie – powiedziała niemal machinalnie staruszka.

– Czy panią też nawiedza ta dusza?

– Nie – odparła, przecząco kiwając głową, po czym westchnęła ciężko. – Gdyby tak było, też pewnie już bym tu nie mieszkała. Zresztą, mnie duchy się boją. Za dużo przyszło mi doświadczyć w życiu... – Zamyśliła się na moment. – Ale ta zielarka była też trochę, jakby to powiedzieć... Niezrównoważona. Ona naprawdę uważała, że ma kontakt z zaświatami, że Duch Gór przekazuje jej czasem jakieś zaszyfrowane wiadomości. W każdym razie dom sprzedawała bardzo tanio ze względu na domniemaną klątwę i wyprowadziła się na dół, do Vrchlabí. Trudno się jej dziwić. Gdybym mieszkała tu sama tyle lat co ona, niewykluczone, że też zaczęłabym wierzyć, że mam kontakt z duchami. Człowiek samotny, który mieszka wysoko w tych dziwnych górach, w miejscu, w którym prawie pół roku z powodu zimy jest się odcięty od świata, z czasem może zamknąć się w dziwnym świecie stworzonym przez własną wyobraźnię – stwierdziła, po czym dodała: – Pij, pij herbatkę, bo wystygnie. Dobrze, że mnie chociaż czasami odwiedza syn, bo inaczej też byłabym tu sama jak ona wcześniej.

Justyna dopiła herbatę i odstawiła kubek.

– Może jeszcze? – zapytała staruszka.

– Dziękuję, nie – odparła Justyna. – A co się stało z więźniarką? Ponoć zmarła niedługo po tym, jak wykawiła tożsamość swojego sąsiada.

– Zmarła nagle, tak jak mówiłam. Ale chyba była też wątłego zdrowia, więc nic dziwnego, że odeszła w dość młodym wieku. Po tym, co musiała przeżyć w tym strasznym obozie... – Staruszka się wzdrygnęła. – Żebyś wiedziała, co naziści wyprawiali tam z kobietami. Nie jestem w stanie o tym mówić. Doleję ci jeszcze herbatki – powiedziała, po czym podniosła się z krzesła i poczłapała do domu. Chwilę później wróciła ze słoikiem miodu w jednej ręce i czajnikiem w drugiej. Zaczęła nalewać parującego płynu. Ręka jej drżała i trochę herbaty wylało się na koronkowy obrusik. – Ojej... Później to posprzątam. Pij, pij, bo wystygnie – dodała i usiadła z powrotem naprzeciwko Justyny. – A miód przyjmij w prezencie. Bardzo się cieszę, że mnie odwiedziłaś.

– Bardzo dziękuję, ale głupio mi przyjmować taki prezent. Ile kosztuje miód?

– Przestań dziecko! Opowiedz mi lepiej, czemu ten Hanke tak cię zainteresował? – Znow spozrzała na Justynę świdrującym wzrokiem.

Justyna wahała się przez moment. Nie chciała zdradzić zbyt wiele, gdyż była coraz bardziej przekonana, że tajemnica, którą skrywa jej schronisko, może okazać się niebezpieczna. Pomięła szczegóły opowieści o zamurowanym pokoju, sejfie, doktorze Rudnickim i zamachu na pociąg towarowy.

– Ponoć Hanke ukrywał się po wojnie w moim schronisku, pomagali mu chłopcy z Hitlerjugend – odparła po chwili zastanowienia.

– Co ty mówisz! – Staruszka wyglądała na zaskoczoną. – Czyli nie w Klinowych Boudach? Zawsze uważałam, że ta więźniarka fantazjowała. Ciekawe, kim zatem był mężczyzna z tamtego domu? – Wskazała na zgliszcza.

– Wydaje mi się, że Hanke najpierw ukrywał się w Odrodzeniu, moim schronisku, a potem przeniósł się tutaj – uściśliła Justyna. – Nie wiem tylko, co zmusiło go do zmiany miejsca ukrycia i dlaczego wybrał Klinove Boudy na nową kryjówkę.

– Może miał tu jakichś znajomych? – Staruszka podrapała się po głowie i wyglądało na to, że nad czymś się zastanawia. – Ponoć mieszkał w tamtym domu z jakąś kobietą.

– O, proszę! Nie słyszałam o tym wcześniej! To zawsze dodatkowy punkt zaczepienia. Wie pani o niej coś więcej?

Staruszka westchnęła i zmarszczyła brwi.

– Ta zielarka coś mi opowiadała... Ale żeby mnie to wtedy interesowało... On chyba jakoś szantażował tę kobietę. I ponoć po jego śmierci spotkało ją duże nieszczęście.

– Nieszczęście? – Justyna się upewniała.

– Wiesz, jak to jest w małych wsiach. Wszyscy wiedzą wszystko. Kto z kim śpi, kto kogo nienawidzi, kto trzyma pieniądze w skarpetach, kto kradnie... Wystarczy uważnie patrzeć na ludzi, a wtedy domyślisz się, co jest na rzeczy. Jak wieś się dowiedziała, że baba ukrywała zbrodniarza, to musiało wydarzyć się nieszczęście.

– Doszło do linczu? – zapytała Justyna.

– A dom to myślisz sam się spalił? Przez przypadek? – zapytała retorycznie staruszka. – Chyba nigdy nie mieszkałaś w takiej małej osadzie. Dla mnie to było na początku obce, bo wcześniej miałam dom w Pecu pod Śnieżką. A Pec to jednak miasteczko. Ale po kilku latach życia tutaj zrozumiałam zasady, jakie panują w małej

wiosce jak ta. Gdy w Klinowych Boudach coś się pali, to sąsiedzi biegną gasić. A jeśli coś się spaliło, to oznacza, że nikt nie przybiegł gasić. A skoro nikt nie przybiegł gasić, to trzeba przez to rozumieć, że wszyscy we wsi po prostu chcieli, żeby się spaliło. Proste. – Wzruszyła ramionami. – Wioski takie jak Klinowe Boudy są miejscem najlepszych sąsiedzkich relacji i największych dramatów. Bo to jedno takie miejsce? Mała Upa, wioska na przełęczy Okraj, za Śnieżką. Znasz na pewno?

– Znam.

– W maju czterdziestego piątego Czesi rozstrzelali tam dziesięciu Niemców, mieszkańców wsi. Bez sądu. Po prostu sąsiedzka zemsta za dawne krzywdy. Skoro można było bez problemu odstrzelić dziesięć głów, to dlaczego by nie spalić chałupy babie podejrzanej o ukrywanie nazisty?

Justyna milczała.

– Więcej opowiedziałby ci pewnie stary zakonnik z Klášterki. On gromadził wiedzę o tych wszystkich karkonoskich dramatach. Ale nie żyje od kilku lat, niestety – dodała staruszka. – Trochę się spóźniłaś...

– A o grobie Hankego pani może słyszała? – spytała Justyna, licząc na to, że dowie się od staruszki jeszcze czegoś ciekawego.

– A co miałam o nim słyszeć?

– Ponoć Hankego pochowano na cmentarzu w Szpindlerowym Młynie, ale grób jest pusty.

– To jakieś bzdury. – Kobieta się zaśmiała. – A co miałyby się stać z trupem? Wyparował? Czego to ludzie nie wymyślą...

W tym momencie w kieszeni Justyny zawibrował telefon. Dzwonił Wiesiu. Odrzuciła połączenie.

– Przepraszam – powiedziała, chowając komórkę. – A słyszała pani może o tych szkieletach znalezionych przy kaskadach Świętopietrzańskiego Potoku?

– A to słyszałam, kto by nie słyszał... To przecież po sąsiedzku. Pisali o tym w gazecie.

– Myślę, że to mogą być ci chłopcy, którzy pomagali Hankemu.

Kobieta zrobiła wielkie oczy.

– Co ty opowiadasz! To niedorzeczne... Skąd taki pomysł?

– Jeden z tych chłopców cierpiał na dość rzadką chorobę, zespół Marfana. I w przypadku jednego szkieletu stwierdzono jej objawy. Wiem, że to na razie bardzo mało wiarygodne, ale mam przeczucie, że to oni – odparła.

– Ja słyszałam, że tam był jakiś stary trup – stwierdziła staruszka, wzruszając ramionami. A mówiłaś, że to były dzieciaki, ci partyzanci od Hankego.

Justynę coraz bardziej zdumiewała zdolność kojarzenia faktów przez kobietę. Choć z pozoru sprawiała wrażenie osoby, która niewiele pamięta, po dłuższej rozmowie okazywało się, że zna zadziwiająco dużo szczegółów.

– Był stary i dwóch młodych. I ja myślę, że to Hanke i dwaj partyzanci.

– Trochę bez sensu – orzekła staruszka. – Skąd by się tam wzięli? – zapytała, spoglądając na nią z ciekawością.

– Tego właśnie nie wiem. Ale mam jeszcze kilka pomysłów, jak to sprawdzić.

Staruszka zasępiła się. W tym momencie telefon Justyny zadzwonił po raz kolejny.

– Tak, panie Wiesiu – rzuciła chłodnym tonem.

– Kierowniczo, ja pani powiem, co i jak było z tym włamaniem. Proszę tylko wrócić do Odrodzenia, to porozmawiamy. – Głos mu drżał z podenerwowania.

Justyna poczuła, jak tętno jej przyspiesza.

– Dobrze – odparła. – Wrócę mniej więcej za godzinę.

– Znajdzie mnie pani w warsztacie, jak zawsze. Będę czekał. Do widzenia.

Rozłączyła się.

– Coś się stało. – Bardziej stwierdziła, niż zapytała staruszka, wpatrując się w Justynę dziwnym wzrokiem. Na górskiej łące wiatr ustał, a w oddali dało się słyszeć pierwszy grzmot zwiastujący zbliżającą się burzę.

– Nie... Nic takiego... Dozorca dzwonił. Muszę już jechać – odparła, wstając z fotela. – Dziękuję za gościnę i za miód. Na pewno będzie przepyszny. Do widzenia pani... – zawahała się na sekundę.

– Mario – dopowiedziała za nią staruszka. – Na zdrowie, moje dziecko. Do widzenia! Zajrzyj do mnie jeszcze kiedyś – poprosiła, odprowadzając Justynę do samej furtki. Pomachała jej serdecznie na pożegnanie i poczekała, aż odjedzie. Gdy samochód znikł już w lesie w dolnej części wsi, podreptała szybko do domu i złapała za telefon.

– Cześć, mamó. – Usłyszała po chwili w słuchawce.

– Ty idioto... – syknęła Maria z wściekłością. – Ty tępaku i nieudaczniku! Wszystko spieprzyłeś, rozumiesz? Już po nas...

– O czym ty mówisz, mamó? – Mężczyzna zdawał się przerażony. – Co się stało?

– Była tu u mnie jakaś baba z tego polskiego schroniska! Już wie, że twój ojciec mieszkał w Klinowych! Wszystko spieprzyłeś! – wrzasnęła po raz kolejny.

– Ale przecież te plotki chodziły od zawsze... – Syn próbował ją uspokajać.

– Ona wie też, że wcześniej ukrywał się w Odrodzeniu!

– Jak to wie, skąd?

– Nie wiem, do cholery, skąd! Ty mi powiedz, durniu!

– Boże... – Mężczyzna się przeraził. – Jeśli ona znalazła ten pokój, to może być ciężko...

– Ja ci zaraz powiem, w jakiej dupie jesteście! Zaprosiłam tę smarkulę na herbatę, miałam przecucie, że coś z nią jest nie tak, jak tylko zobaczyłam na samochodzie logo schroniska Odrodzenie. Intuicja jak zawsze mnie nie zawiodła.

– I co? – zapytał mężczyzna niepewnie i chrząknął.

– Powiedziałam jej, że mieszkam tu od niedawna. Łyknęła wszystko. Podpytałam się, ile mogłam... Gówniara domyśla się, że te szkielety, co je znaleźli ostatnio, to twój ojciec z tymi wymoczkami z Hitlerjugend! Miałeś to wszystko załatwić!

– Mamó, uspokój się, przecież mówiłem, że załatwię!

– Ty durniu! Gównó załatwiłeś, słyszysz?

– Mamó... – Mężczyzna wydawał się bliski płaczu. – Przestań tak do mnie mówić.

– Zawiodłeś mnie! Miałeś zrobić coś tak prostego! Włamać się w nocy do schroniska, zabrać ten pieprzony sejf ze złotem, a papiery z niego upłynnić. Wszystko byłoby dobrze! Spłaciłbyś długi, a ja wreszcie spałabym spokojnie, że nikt nigdy nie dowie się prawdy o Karlu Hanke i o mnie.

– Ale to nie moja wina, że znaleźli szkielety po tych ulewach. – Głos mu się załamał i zaczął cicho płakać.

– Przestań się mazgaić! Szkoda, że już nie jesteś dzieckiem, bo spuściłabym ci lanie! Wiem, że to nie twoja wina. Ale to, że w latach dziewięćdziesiątych nie załatwiłeś sprawy z tym pieprzonym pokojem w Odrodzeniu, to już jest twoja wina, nieudaczniku.

– Wiesz, że go замуrowałem...

– Miałeś go opróżnić, a nie zamurować! – Kobieta była tak rozsierdzona, że aż się zapluwała.

– Ale się nie dało, sejf był w ścianie, zamknięty na głucho... Nie miałem jak go wyciągnąć. Dlatego zamurowałem pokój, żeby nikt go nie znalazł!

– Zaraz wybuchnę! – wrzasnęła staruszka. – A teraz, w niedzielę? Dlaczego tym razem nie dałeś rady? Schronisko było puste, starego dozorcę miałeś w garści. Ale ty nawet tak proste rzeczy potrafisz spieprzyć! – podsumowała i rzuciła słuchawką. Zaczęła oddychać nerwowo. Wyszła przed dom zaczerpnąć tchu. Powietrze było naelektryzowane. Słońce zasłoniły ciężkie, burzowe chmury i zerwał się wiatr. Grzmoty, które słyszała jeszcze w oddali, przybierały na sile.

Poczuła klucie za mostkiem. Doskonale wiedziała, co to znaczy. Zaczynał się atak dusznicy bolesnej. Koszmarny, palący ból rozchodził się po całej klatce piersiowej i promieniował przez okolice obojczyka i szyję aż do zuchwy. Ataki zdarzały jej się naprawdę sporadycznie, bo starała się na co dzień przestrzegać zaleceń lekarza, ale teraz stres był tak potężny, że mięsień sercowy nie dał rady. Klucie się nasilało. Trzymając rękę na piersi, zgarbiona doczłapała do domu. Niemal na czworakach dowlokła się do kuchni. Wchodząc do pomieszczenia, potknęła się o próg i runęła jak długa. Jęcząc, doczołgała się do kredensu i szarpnięciem zrzuciła szufladę na podłogę. Huk spadającego mebla niemal zbiegł się z oślepiającym błyskiem, jaki wdarł się do kuchni przez okno i wypełnił całe pomieszczenie. Kilka sekund po nim nastąpił grzmot. Burza była coraz bliżej. Drżącą spoconą ręką złapała inhalator z nitrogliceryną i wzięła pierwszą dawkę leku, a zaraz po niej następną.

W pewnym momencie ból ustąpił, a wtedy kobieta zauważyła, że krwawi jej kolano, które rozbiła, upadając na progu domu. Spróbowała się podnieść. Z trudem złapała równowagę i trzymając się mebli, dotarła do telefonu. Jeszcze raz wybrała numer syna.

– Gdzie teraz jesteś?

– W Czarcim Młynie.

– Dobrze. To niedaleko od Odrodzenia. Mam nadzieję, że wiesz, co masz zrobić.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Odpowiedz, gówniarzu – syknęła z wściekłością. Po ataku dusznicy nie miała siły krzyczeć.

– Muszę rozwiązać problem – odparł mężczyzna niepewnie.

– Musisz uciszyć tę dziewczynę z Odrodzenia, rozumiesz? Skutecznie! I opróżnić sejf w schronisku. Jak znajdą tam jakieś dokumenty tych dzieciaków z Hitlerjugend, skojarzą to ze mną. I pospiesz się! Ta dziewczucha jedzie teraz do siebie porozmawiać z dozorcą. Jeśli on nas wsypie...

– Rozumiem. Zaraz coś wymyślę – rzekł twardo.

– Jeśli to spieprzysz, nie pokazuj mi się na oczy – powiedziała kobieta i odłożyła słuchawkę.

Dolina Świętopietrzańskiego Potoku, zielony szlak, 21 września 1947

Dolina Świętopietrzańskiego Potoku dzieliła się na dwie części: zachodnią, w której znajdowały się ostatnie, najwyżej położone zabudowania Szpindlerowego Młyna, oraz wschodnią, która ze względu na schodzące w niej zimą lawiny pozostawała niezamieszкана. Te dwa światy: cywilizacji i przyrody nieskażonej obecnością człowieka, dzielił cmentarz znajdujący się za ostatnimi zabudowaniami miasta. Elementem, który natomiast łączył obie części doliny, był zielony szlak, który przebiegał przez miasto, mijał cmentarz i wiódł dalej wzdłuż kaskad Świętopietrzańskiego Potoku w górę, w stronę schroniska Výrovka.

Szum wiatru, który wypełniał dolinę, przerwał nieśmiało dobiegający z oddali dźwięk dzwonu z kościoła w Szpindlerowym Młynie. Wybiła druga w nocy.

– Nie mam już siły. To jest takie ciężkie – stęknął Erik, poprawiając owinięte wokół ręki pętle sznura, który przywiązany był z drugiej strony do dużego płóciennego worka.

– Przestań marudzić – syknął Klaus. – Mnie też jest ciężko, a nie jęczę co chwilę. Mówiłem ci, żebyś sobie przewiesił sznur przez ramię tak jak ja, a nie owijał wokół ręki.

– Jeszcze trochę, musimy być dostatecznie daleko od miasta – powiedziała Maria Dvořák. Szła kilka kroków przed chłopcami, stękając ciężko i ocierając co chwilę pot z czoła. Do pleców miała przywiązane dwie łopaty. Wędrówka z takim bagażem nocą górskim szlakiem przy mdłym świetle latarki była dla niej nie lada wyzwaniem.

Poczuła, jak dziecko kopie w brzuch. Ze strachem pomyślała o nieuchronnie zbliżającym się rozwiązaniu.

– Zróbmy chwilę przerwy – zaczął nalegać Erik.

– Jeszcze nie teraz – wydał komendę Klaus. – Jesteśmy za blisko miasta.

– Ale ja już mam dość! Najpierw otwieranie grobu wujka, pakowanie jego zwłok do worka i teraz wędrówka tym szlakiem. Boże, to najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu robiłem. Nigdy nie zapomnę tego zapachu, gdy otworzyliśmy trumnę...

– Uspokój się – syknęła Maria Dvořák. – Jeszcze kilkaset metrów w głąb lasu, tam wybierzemy miejsce i zakopimy trupa.

– Nie rozumiem, po co to robimy. – Erik wciąż nie przestawał utyskiwać.

– Idioto. – Klaus westchnął. – To wszystko przez tę głupią babę z sąsiedztwa. Jak wujek zmarł, to okazało się, że ona była więźniarką w tym obozie we Vrchlabí. Baba pamiętała naszego wujka. Suka jednak tak się go bała, że dopiero jak umarł, to zaczęła gadać, że to był Hanke, chociaż przez cały czas mieszkała za płotem.

– No i co to ma do rzeczy?

Maria Dvořák westchnęła ciężko.

– Jak otworzą grób i potwierdzą, że to Hanke, będę skończona. Dlatego musieliśmy zabrać zwłoki. A teraz musimy je ukryć, żeby nikt trupa nie znalazł – wyjaśniła oschle.

– Zrozumiałeś, półgłówku? – zapytał Klaus. – Jak ciotka będzie miała problem, to my też. Dlatego wytrzymaj jeszcze trochę.

– Dobrze... – odparł Erik.

Po kilku minutach marszu Maria Dvořák się zatrzymała.

– Tu będzie dobrze. – Wskazała latarką na niewielką polanę tuż przy szlaku. – Bierzcie łopaty i do roboty. Będę wam oświetlać teren.

Początkowo praca szła im sprawnie. Ziemia była wilgotna i pulchna. Po chwili natrafili jednak na potężne głazy, które znacznie utrudniały pogłębianie dołu. Usunięcie skał wymagało nie lada wysiłku. Minęła niemal godzina, nim przyszedł grób był gotowy.

– Teraz bierzmy się do zakopywania wujka. – Maria złapała za jeden koniec worka i ciężko stęknęła. – Pomóżcie mi.

Klaus chwycił z drugiej strony i razem przeciągnęli worek po ziemi. Chwilę później jednostajny szum wiatru przerwało na ułamek sekundy głucho uderzenie. Ciało Karla Hankego znalazło nowe miejsce pochówku.

Erikowi wydało się, że w tym momencie powinno wydarzyć się coś szczególnego: ziemia lekko zatrząść albo przynajmniej zerwać się silny wiatr. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Karkonoska noc – niemy świadek wydarzeń – trwała dalej.

Chłopcy usiedli na skraju dołu. W oddali dało się słyszeć złowróżbne pohukiwanie sowy przenikające się z jednostajnym szumem Świętopietrzańskiego Potoku.

– Słuchajcie, musimy podzielić się tym skarbem z obozu we Vrchlabí – powiedziała nagle Maria Dvořák, opierając się o drzewo tuż obok nowo wykopanego grobu.

– Nie ma mowy. – Klaus parsknął śmiechem. – My go znaleźliśmy, więc jest nasz.

– Alexandrowi i tak już przecież nie pomożecie. Sami mówiliście, że Polacy zamęczyli go w więzieniu w Jeleniej Górze.

– Mówiliście – odparł Klaus, momentalnie smutniejąc. Po chwili dodał twardo: – Jednak to, że Alex nie żyje, niczego nie zmienia. Kosztowności są nasze i będą nam potrzebne w dalszej pracy.

– Ukryliśmy je w Jugendkammhaus Rübezahl i tam zostaną na czarną godzinę – wtrącił się do rozmowy Erik.

– Może jeszcze pożyczysz ciotce klucz do sejfu? – syknął wściekły Klaus. Erik milczał.

– Dajcie już sobie spokój z tą waszą „pracą”. – Maria westchnęła ciężko. Od kiedy poznała prawdę o Karlu Hankem, jej spojrzenie na otaczający świat zmieniło się diametralnie. – Mieliście kilka przygód, ale już wystarczy. To nie jest zabawa jak w Hitlerjugend. Chcecie skończyć jak Alexander? Na Dolnym Śląsku i w tych górach od dwóch lat panuje nowy porządek. Najwyższa pora się z tym pogodzić. Jesteście młodzi, życie przed wami. Szkoda je zmarnować przez jakieś mrzonki.

– Słuchaj – warknął Klaus zdenerwowany. – Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy. Zajmij się lepiej swoim bachorem.

– No właśnie. Noszę jego dziecko. Te pieniądze są mi potrzebne. Musicie mi pomóc – powiedziała kobieta, ignorując niegrzeczny ton chłopaka.

– Już ci pomagamy – rzucił oschle Klaus.

– A jeśli ta sąsiadka będzie dalej gadać? – spytał Erik zaniepokojony. Odłożył na bok łopatę i otarł pot z czoła.

– Już nie będzie gadać... Dopilnowałam tego dzisiaj – odparła kobieta.

– Co? – zapytał Klaus zaciekawiony. – Jak to „dopilnowałaś”?

– Zajrzałam do niej dzisiaj po południu, żeby porozmawiać. Wyzwała mnie od nazistek. Próbowałam jej tłumaczyć, że wujek był moim krewnym, że to na pewno nie był Hanke. Zaczęłam udawać, że dostałam skurczów, że bardzo źle się czuję. Wystraszyła się. Cięża robi swoje, budzi w ludziach litość. Zaprosiła mnie w końcu na herbatę. Gdy wyszła na chwilę z pokoju, dolałam jej czegoś do herbaty. Już się po tym nie obudzi. Musiałam to zrobić dla własnego dobra. I dla bezpieczeństwa dziecka – dodała, obejmując swój okrągły brzuch.

Klaus wydawał się zszokowany. Podniósł się z ziemi i zaczął mierzyć kobietę wzrokiem.

– Nie wyglądała ciocia na zdolną do czegoś takiego...

– Musiałam się bronić.

– Zastanawia mnie jedna rzecz... Wujek zmarł tak nagle. Niedługo po naszych odwiedzinach, podczas których wytłumaczył nam, gdzie są kosztowności więźniarek z obozu we Vrchlabí... Jemu też czegoś dosypałaś? – zapytał bez ogródek Klaus, biorąc do ręki łopatę.

– Nie... – odparła drżącym głosem.

– Kłamiesz, suko – wycedził przez zęby, robiąc krok w jej kierunku. – Długo nie dawałem tej myśli wiary. Wydawałaś mi się za słaba, żeby móc kogokolwiek zabić. A ty po prostu dobrze udawałaś. Wykończyłaś nie tylko sąsiadkę, lecz także wujka!

– Nie zbliżaj się – powiedziała Maria z przerażeniem. Po chwili zaczęła szybko i nerwowo mówić. – Zasłużył na to. Po waszym wyjściu przejrzałam na oczy. Karl zaczął opowiadać, co robił tym biednym kobietom w obozie. Nie mogłam tego znieść. Mieszkałam pod jednym dachem z człowiekiem, przez którego nie spałam spokojnie od prawie dwóch lat. Nigdy tego nie zrozumiesz... Nosiłam jego dziecko, a on... okazał się potworem. Boże, byłam taka naiwna. Jak każdy Niemiec sudecki zaufałam Hitlerowi, marzyłam o tym, żeby nas wyzwolił spod czeskiego ucisku. Ale nigdy nie uwierzyłam, że Niemcy w czasie wojny dopuszczą się takich rzeczy. W moim domu mieszkał wcielony diabeł. Jeszcze dziś, jak sobie przypomnę jego

opowieści, chce mi się wymiotować! Nie ma takiego piekła, które byłoby dostatecznie straszne, żeby mógł tam pokutować za swoje bestialstwo.

– Poświeć na siebie latarką, żebym nie musiał machać łopatą zbyt wiele razy – wysyczał Klaus, zbliżając się do kobiety. – I nie próbuj uciekać, bo nie mam ochoty targać cię z powrotem. Tu jest twoje miejsce, suko! – Wskazał ręką na dół, w którym leżały zwłoki Hankego, i splunął w ciemność.

W tym momencie rozległ się odgłos strzału i chłopak padł na ziemię.

– Boże! – krzyknął Erik przerażony.

– Bądź cicho – powiedziała kobieta drżącym głosem.

– Co ciocia zrobiła?! Klaus... – Sapnął, podnosząc się z ziemi. – Ja cioci tego nie daruję. To był mój jedyny przyjaciel...

– Wybacz, Erik – odparła złowróbnym głosem. – Obserwowałam was, jak przychodziliście do mojego domu. Jako jedyny z tych gówniarzy byłeś chyba w głębi ducha dobrym chłopakiem. Ale naiwnym. Wykorzystywali cię bez przerwy.

– Proszę tak nie mówić!!! – krzyknął i zaniósł się płaczem.

– Wybacz – szepnęła jeszcze raz Maria Dvořák i znów nacisnęła spust pistoletu.

CZEŚĆ IX

BURZA

Droga do schroniska Odrodzenie, 16 września 2006

Gdy Justyna wjeżdżała do Szpindlerowego Młyna, o jej samochód uderzyły pierwsze krople deszczu. Najśłynniejszy górski kurort w Czechach zdawał się niemal wymarłym miastem. Tylko pojedyncze osoby spieszyły jeszcze w różnych kierunkach, byleby schować się w jakimś miejscu, w którym będą mogły bezpiecznie przeczekać nadciągającą burzę. Cichy stukot deszczu uderzającego o samochód już po chwili zamienił się w regularną ulewę. Była ona tak intensywna, że Justyna musiała zwolnić. Ciężkie krople rozbijały się na asfalcie, jakby ziemia pragnęła z całej siły przyciągnąć z powrotem wodę, którą wycisnęło z niej tego dnia palące słońce.

Justyna, przyzwyczajona do górskich burz, jechała przez miasto w kierunku drogi, która ze Szpindlerowego Młyna wspinała się na Przełęcz Karkonoską i do jej schroniska. Rozmyślała o tym, czego dowiedziała się od Marii z Klinovych Boud. Staruszka, choć z pozoru sympatyczna, nie wzbudziła w niej zaufania. Justyna nie potrafiła tego nazwać słowami, ale w sposobie zachowania, w głosie i w oczach Czeszki było coś niepokojącego. Przypomniała sobie dzikie zarośla wilczej jagody rosnące w sąsiedztwie chałupy Marii. Po raz kolejny odniosła wrażenie, że Duch Gór próbuje ją przed czymś ostrzec tym cichym sygnałem natury.

Gdy mijiała parking przy dolnej stacji wyciągu krzeselkowego na Medvědí, droga zaczęła stopniowo zamieniać się w koryto rzeki, bo studzienki nie nadążały z odprowadzaniem spływającej zewsząd wody. Ponury szum deszczu przecinały co jakiś czas przeraźliwe grzmoty. „Duch Gór się gniewa” – przypomniały jej się słowa staruszki z Klinovych Boud.

Przejechała obok kilku omszałych bunkrów – niemych świadków drugiej wojny światowej, które strzegły wlotu do Siedmiodoliny. Zawsze gdy je mijiała,

przypominała jej się zagadka, którą nie tak dawno rozwiązali Maks i Marta. W takim samym bunkrze odnaleźli przecież zaginiony w czasie wojny obraz wart fortunę. Justyna pomyślała o sejfie w Odrodzeniu. Nie spodziewała się, żeby czekało tam również jakieś wyjątkowo cenne dzieło sztuki. Była jednak przekonana, że zawartość sejfu jest równie cenna, co niebezpieczna, skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby ją zdobyć.

Chwilę później dotarła do miejsca zwanego przez Czechów U Dívčí Lávky. Tu droga się rozwidła: skręcając w prawo, można było dotrzeć do Czarciego Młyna, który od niedawna należał do Pavla Svobody, natomiast droga w lewo prowadziła na Przełęcz Karkonoską. Pomyślała o panu Wiesiu i jego niespodziewanym telefonie. Czy mężczyzna zdecyduje się wyznać jej w końcu prawdę?

Skręciła w lewo. Wjechała w las, gdzie siła deszczu była nieco mniejsza. Pusta asfaltowa droga pięła się nieustannie pod górę, pokonując na dystansie zaledwie ośmiu kilometrów czterysta metrów przewyższenia.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu. Odebrała i włączyła głośnik.

– Cześć, Justynko – usłyszała głos pana Wojtka. – Przepraszam, że oddzwaniem dopiero teraz, ale wyjechałem i zapomniałem zabrać z domu telefon.

– Dzień dobry, panie Wojtku! Chciałam zapytać o tego poszukiwacza skarbów, który był w Odrodzeniu kilka lat temu. Pamięta pan?

– Przyszedł do ciebie?

– Nie. Ale ktoś włamał się do schroniska w zeszłą niedzielę i próbował rozkuć jedną ze ścian w piwnicy. Pomyślałam, że to może być ktoś od tego mężczyzny...

– A to skurwiel! – Zirytował się. – Złapaliście go?

– Niestety, nie. Próbuję go namierzyć. Wiem, że nie znał pan jego imienia ani nazwiska. Pomyślałam jednak, że może utkwili panu w pamięci jakieś szczegóły. Wiek, wygląd? Cokolwiek, co mogłoby mi pomóc.

– Hm. – Wojciech westchnął. – Źle cię słyszę... Co mówiłaś?

– To pewnie przez burzę. Pytałam, jak wyglądał ten mężczyzna.

– A! Był taki... Nijaki. W średnim wieku, miał wąsik, trochę podobny do mojego, ale czy to jakiś znak szczególny? Dzisiaj na ulicy raczej bym go nie poznał – dodał. Jego głos zaczynał się rwać. Justyna wjeżdżała coraz głębiej w las w środku największej karkonoskiej doliny. Tu nawet nie trzeba było burzy, by pojawiły się problemy z zasięgiem.

– Ale jedno zapamiętałem – był Czechem. Mówił płynnie po polsku, ale akcentu nie oszukasz.

– To akurat jest jakaś podpowiedź. – Ucieszyła się.

– Jeszcze jedna rzecz. Ale nie chciałbym, żebyś traktowała ją jako wskazówkę.

– To znaczy?

– Nie mówiłem ci o niej, bo nie miałem stuprocentowej pewności, a nie chciałem rzucać fałszywych oskarżeń. Ja mam naprawdę bardzo słabą pamięć do twarzy. Niemniej wydaje mi się, że po tym incydencie widziałem go kilka razy. Wydało mi się to jednak nieprawdopodobne, żeby to był on. Może po prostu to był ktoś podobny?

– Gdzie go pan widział?

– W Szpindlerowej Boudzie. Ponoć ten mężczyzna przyjaźnił się z właścicielem schroniska.

Justyna poczuła, jak przechodzi ją dreszcz.

– Wiem, o kim pan mówi – odpowiedziała.

– Co? Powtórz, bo nie usłyszałem.

– Nieważne. Zdzwonimy się później, dobrze? – zaproponowała, ale odpowiedział jej tylko dźwięk przerwane połączenia.

Minęła *Medvědí koleno*, czyli Kolano Niedźwiedzia – pierwszy z wielu ostrych zakrętów drogi wiodącej na Przełęcz Karkonoską. Trasa na niemal całej długości wiła się przez wyjątkowo gęsty i ciemny las, przez co na co dzień wydawała się Justynie niezmiernie mroczna, a teraz to odczucie potęgowała burzowa pogoda. W pewnym momencie zygzak błyskawicy niemal ją oślepił, a ułamek sekundy po nim nastąpił grzmot, który brzmiał tak, jakby któraś z otaczających Siedmiodolinę gór miała się zaraz zatrząść i runąć w dół. Zwolniła jeszcze bardziej. Droga na Przełęcz w takich warunkach nie była bezpieczna.

Po chwili zauważyła, że przed kolejnym zakrętem stoi na poboczu mężczyzna. Ubrany w przeciwdeszczową pelerynę z kapturem zdawał się niewrażliwy na prysznic, jaki serwowała mu przyroda. Nachylał się nad mapą, tak że jego twarz była niewidoczna. Gdy Justyna była już dość blisko niego, zaczął machać ręką, jakby próbował złapać stopa.

– Ciekawe, ile czasu już tak tu czekasz – mruknęła pod nosem. Zawahała się przez moment, po czym spojrzała na puste siedzenie pasażera. W sumie co jej szkodziło

zabrać na górę zmokniętego turystę? Włączyła kierunkowskaz i uchyliła szybę. – Podwieźć na górę?

– Tak, *děkuji*^[29] – odparł mężczyzna i od razu wpakował się do samochodu.

Ruszyła, spoglądając na niego z ukosa. Twarz częściowo zasłaniał kaptur i naciągnięty na usta sportowy komin, ale mimo to wydawała jej się znajoma. Po raz kolejny dzisiaj ogarnęło ją nagle nieprzyjemne uczucie zagrożenia. Tak jakby złe intencje mężczyzny wyczuwała szóstym zmysłem. Spojrzała na niego jeszcze raz.

– A teraz zawracaj, jedziemy na dół! – warknął niespodziewanie.

– Proszę? – zapytała Justyna zdziwiona. – Co to za... – Urwała, gdy poczuła, jak mężczyzna przyciska jej coś do uda. Powiodła wzrokiem za jego ręką. Trzymał w niej pistolet.

– To jakiś żart? – wypaliła bez zastanowienia, choć poczuła, jak przechodzi ją nieprzyjemny dreszcz.

– Kurwa, nie powinno ci raczej być do śmiechu. Ostatni raz mówię: zawracaj! – wysyczał przeciągle ostatnie słowo. Justyna zamilkła przerażona i zatrzymała samochód. Ręce jej się trzęsły. Zaczęła oddychać nerwowo, nie wiedząc zupełnie, co robić.

– Już! – wrzasnął napastnik, chwycił ją za rękę, którą wciąż trzymała zaciśniętą na kierownicy.

– Puść mnie natychmiast! – krzyknęła. – Usłyszała charakterystyczne kliknięcie. Napastnik odbezpieczył pistolet.

– Dobrze, już, już... – wyszeptała, kuląc głowę w ramiona. Poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Drżącą ręką złapała za przekładnię skrzyni biegów, wrzuciła wsteczny i zawróciła. Powoli zaczęli zjeżdżać na dół. Nie miała pojęcia, czego mężczyzna od niej chce. Morderca? Złodziej? Gwałciciel? Różne straszne myśli przelatywały jej przez głowę. W tym czasie mężczyzna, wciąż trzymając ją na muszce, wolną ręką ściągnął kaptur. Po chwili odważyła się znowu na niego spojrzeć i gdy rozpoznała napastnika, krzyknęła z przerażenia:

– Pavel Svoboda!

– Brawo – mruknął. – Spozrzegawcza jesteś. Aż za bardzo! – wycedził przez zęby. – A teraz zasuwaj. Do Czarciego Młyna!

– Po co mam tam jechać? – wydusiła z siebie.

– Mamy trochę do pogadania.

– Nie moglibyśmy w Odrodzeniu? – spytała, choć wiedziała, że było to bardzo naiwne pytanie. – Błagam... Ja wszystko oddam, bierz sobie ten sejf... O niego chodzi, prawda?

– W Odrodzeniu?! – warknął mężczyzna. Był czerwony z wściekłości. – Ty jesteś taka głupia czy taką tylko udajesz? Miałaś już szansę, żeby wszystko odbyło się bezboleśnie. Wystarczyło w niedzielę siedzieć w pieprzonej Jeleniej Górze! Zabrałbym z tego szybu, co moje, zamurował elegancko, włos by ci z głowy nie spadł! Ale ty musiałaś przyjechać w nocy, narobić rabanu. Sama tego chciałaś! – krzyknął, mocniej przyciskając lufę pistoletu do jej uda.

– Ja o niczym nie wiedziałam, że ten szyb... – Próbowała się tłumaczyć, choć w gruncie rzeczy wciąż nie rozumiała do końca motywu, dla którego została napadnięta. – Naprawdę! – zarzekała się. – Przepraszam, bardzo przepraszam... – Z jej oczu popłynęły łzy. – Nie powinnam była...

Czarci Młyn, 16 września 2006

Czarci Młyn stał tuż przy skrzyżowaniu szlaków: żółtego z Odrodzenia i niebieskiego, którym można się było dostać w górę, do Luční Boudy, lub na dół, do Szpindlerowego Młyna. Położenie budynku wyglądało na pierwszy rzut oka wręcz bajecznie – skryty był na skraju lasu, we wschodniej części Siedmiodoliny, na zbiegu dwóch rzek: Białej Łaby i Czarci Strugi. Im jednak podjeżdżało się bliżej młyna, tym bardziej jego bajeczny wygląd okazywał się tylko pozorem i zaczynał jawić się jako upiorny i odpychający. Budynek wciśnięty był w samo dno doliny, między przysadziste masywy Małego Szyszaka i Żelaznego Wierchu. Ich wysokie szczyty sprawiały, że słońce docierało tu w ciągu dnia przez bardzo krótki czas. Dlatego też przyroda w otoczeniu Czarci Młyna była rachityczna. Konary drzew otaczających budynek były powykrzywiane, tak jakby szukały odrobiny słonecznego ciepła. Wśród roślin otaczających drogę do młyna dostrzegła pokrzyk wilczą jagodę. Niewrażliwa na trudne warunki roślina zajmowała coraz większe połacie ziemi, wygrywając konkurencję z gatunkami mniej odpornymi. Justyna patrzyła na ten obraz z niepokojem. Czy była to już jej paranoja czy rzeczywiście przyroda i Duch Gór w ten sposób oznaczali miejsca, w których działo się zło?

Określenie młyna mianem „czarciego” dopełniało złowieszczy charakter tego miejsca. Przypomniała sobie o grupce szaleńców, którzy jakiś czas temu zorganizowali tu seans spirytystyczny, próbując wywołać ducha młynarza, który powiesił się w Czarcim w czasie drugiej wojny światowej. Poczła na plecach ciarki.

– Zatrzymaj się – polecił jej Pavel Svoboda, gdy znaleźli się na szutrowym placu tuż przed budynkiem młyna. Dopiero z bliska było widać skutki niedawnych ulew: fasada remontowanego budynku od strony górskiego potoku była w naprawdę opłakanym stanie, a z tak pieczołowicie odnowionego koła młyńskiego i drewnianego koryta doprowadzającego do niego wodę została tylko sterta porzrzucanych desek. Rwący potok w czasie ulew podmył też fundamenty budynku i konstrukcja jego północnej części, która sąsiadowała z rzeką, nieco się zapadła.

– Wsiadaj – rzucił sucho, po czym przeklął pod nosem i nagle złapał ją za rękę, gdy chciała już naciskać klamkę. – Nie! Czekaj.

W tym momencie przed budynkiem pojawiła się grupa kilkunastu turystów, którzy dotarli tu z góry niebieskim szlakiem. Ubrani w foliowe peleryny, z przemoczonymi plecakami, schowali się pod drzewem.

– Siedź cicho – mruknął Svoboda, obserwując uważnie stojącą w pobliżu młyna grupę. – Spróbuj wywinąć jakiś numer, a gwarantuję, że będzie ostatni w twoim życiu.

Justyna przełknęła ślinę. Gardło miała ściśnięte z przerażenia i czuła, jakby coś utknęło jej w przełyku. Wpatrywała się w turystów. Po głowie kołatała jej się nadzieja, że tamci zwrócą na nią uwagę, że jakoś jej pomogą. Szybko jednak uświadomiła sobie, że to tylko pobożne życzenia. Zresztą dla nich będzie lepiej, jeśli szybko się stąd oddalą.

Minęło kilkadziesiąt sekund, podczas których Svoboda i Justyna z napięciem czekali na dalsze poczynania turystów. W pewnym momencie grupa ustawiła się w półkole, przysłuchując się opowieści mężczyzny, który żywo gestykulował, wskazując to na młyn, to na góry. Był ubrany w charakterystyczną dla przewodników sudeckich czerwoną kurtkę. Po chwili Justyna rozpoznała w nim Łukasza. Głębiej wsunęła się w fotel. „Byleby nie zauważył mojego samochodu...” – pomyślała przerażona.

Turyści natomiast, nieświadomi tego, że są obserwowani, po wysłuchaniu opowieści przewodnika zaczęli zbierać się w dalszą drogę. Skierowali się na żółty szlak w stronę Przełęczy Karkonoskiej i Odrodzenia. Pochód zamykał Łukasz. Obojętnym spojrzeniem powiódł po terenie przed młynem i nagle zawiesił wzrok na zaparkowanym po drugiej stronie placu samochodzie Justyny. Uśmiechnął się, krzyknął coś do swojej grupy i zaczął iść w kierunku auta.

– Kurwa – warknął Svoboda, przygryzając paznokcia. – Kto to jest?

– Znajomy.

– Masz go spławić, rozumiesz?

– Tak, rozumiem – wyszeptwała drżącym głosem.

– Pistolet mam cały czas w kieszeni – powiedział, chowając broń. – Jeśli spróbujesz zrobić coś głupiego, to pożegnacie się z życiem i ty, i on. A chyba nie chcesz mieć na sumieniu niewinnej osoby, prawda?

Łukasz tymczasem podszedł do samochodu.

– Co ty tu robisz? – zapytał zaciekawiony, gdy Justyna opuściła szybę.

– Ja...? Oprowadzam gościa – odparła niepewnie. Nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

– Czarczi Młyn? Naprawdę nie mogłaś wymyślić nic ciekawszego? – Łukasz spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie twoja sprawa – powiedziała oschle. – Spadaj stąd.

– Ale ty się robisz agresywna. – Pokiwał głową z dezaprobatą.

– Słyszałeś, co powiedziała?! – Svoboda włączył się nagle do rozmowy. Obaj mężczyźni zaczęli mierzyć się wzrokiem. Justyna czuła, że czoło ma mokre od potu.

– Ten twój gość równie niegrzeczny jak ty. – Łukasz zaśmiał się złośliwie, wciąż patrząc w oczy Svobody. Widać było, że tamten jest bliski wybuchu i to najwyraźniej sprawiało Łukaszowi przyjemność.

– Proszę cię, nie zaczynaj – syknęła Justyna. – Wycieczka na ciebie czeka. – Wskazała ręką na stojących na szlaku ludzi.

– Nie chcesz ze mną nawet porozmawiać? – zapytał kpiąco. Patrzył na nią nieco dziwnie, ale najwyraźniej nadal nie domyślał się, że dziewczyna znajduje się w niebezpieczeństwie.

– Porozmawiam – powiedziała ugodowo. – Wieczorem, w Odrodzeniu. Ale teraz sobie idź, bo... nam przeszkadzasz. Spieszmy się... w dalszą drogę – dodała.

Łukasz westchnął.

– Trzymam cię za słowo – odpowiedział, zawieszając na niej na chwilę wzrok, jakby próbował coś z niego wyczytać. – Jakaś dziwna dzisiaj jesteś...

– Pogadamy wieczorem – powtórzyła z naciskiem na ostatnie słowo i wbiła w niego nieznoszące sprzeciwu spojrzenie.

– Niech ci będzie – odparł niechętnie. – Do widzenia. – Uśmiechnął się jadowicie do Svobody, a tamten tylko zacisnął mocniej zęby, uwidaczniając napięte żwacze.

Chwilę później sylwetki turystów zniknęły za drzewami. Svoboda i Justyna przez kolejnych kilka minut siedzieli w samochodzie w ciszy.

– Dobra, teraz wysiadamy – oznajmił w pewnym momencie Svoboda. – Idziesz ładnie przede mną do głównych drzwi i wchodzimy do środka. Jest otwarte.

Gdy znaleźli się w młynie, już od progu uderzył Justynę w nozdrza intensywny zapach stęchlizny i wilgoci. Odruchowo się skrzywiła. W ciasnym korytarzyku wiodącym w głąb młyna stał sprzęt budowlany, a pod ścianami były upchnięte stare drabiny i elementy rusztowania, które częściowo tarasowały przejście. Na świeżo położonym tynku widać było przy podłodze zacieki wskazujące na poziom, do którego dotarła woda w czasie niedawnej powodzi. Miejsca te stopniowo zajmował grzyb, znajdując tu doskonałe warunki do wzrostu.

– A teraz do kotłowni! – Svoboda bronią wskazał uchylone drzwi, za którymi panowała ciemność. Pchnął ją przed sobą do pomieszczenia, po czym zapalił światło. Po kilku stromych stopniach zeszli do obskurnego pokoju bez okien, w którym stały dwa stare żeliwne piece. Były potężne, niemal tak jak te, które mieli w Odrodzeniu. Choć Czarci Młyn położony był ponad dwieście metrów niżej niż schronisko Justyny, warunki tutaj, ze względu na brak słońca przez dużą część dnia, zdawały się bardziej surowe.

– Staruszki mają po parędziesiąt lat, ale wciąż są sprawne – rzucił Svoboda, widząc, że kobieta przygląda się żelaznym piecom, z których w różnych kierunkach wychodziły osmolone rury. – Zimą można nimi grzać na zmianę. Zmieścisz się do któregoś, jak myślisz? – rzucił, próbując się zaśmiać. Widać jednak było, że nerwy ma napięte do granic wytrzymałości. Justyna spojrzała na mężczyznę nieobecny wzrokiem. Była jak w transie. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się

naprawdę. Chwilę później Svoboda wskazał jej krzesło, które przyciągnął spod ściany, i gdy tylko usiadła, zaczął sprawnie krępować jej ręce.

– Dlaczego to wszystko...? – zapytała nagle z pretensją w głosie. Jej przerażenie w dziwny sposób skryło się gdzieś głęboko w podświadomości. – Co takiego jest w tym zaszranym sejfie?

– Dlaczego?! – powtórzył, zaciskając kolejny węzeł. – A po cholere odwiedzałaś Klinove Boudy?

Justyna była w szoku.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała przerażona. Coraz bardziej rosło w niej przekonanie, że ma do czynienia z psychopatą. – Śledziłeś mnie! – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Matka do mnie dzwoniła – odparł po chwili zawahania. – Mam teraz przez ciebie kłopoty!

– Jak to matka? – Justyna nadal nie rozumiała. – Maria, ta staruszka...? To twoja matka?

– Niestety, tak – odparł. Jego głos zabrzmiał dziwnie, jakby nagle na wspomnienie o rodzicielce wyparowała z niego cała agresja. Gdyby nie okoliczności, Justynie wydawałoby się nawet, że jest czymś podłamany. – Jest teraz na mnie wściekła! Bo się domyśliłaś, że to ona ukrywała Hankego. Uważa mnie za nieudacznika! Znowu! Znowu, kurwa! – syknął. – Wiecznie ze mnie niezadowolona! Jak ja jej nienawidzę... – Ostatnie słowa wycedził przez zęby, po czym kopnął stojące obok wiadro z resztką węgla. Głuchy brzęk metalu sprawił, że Justyna odruchowo zacisnęła oczy. Gdy je otworzyła, zorientowała się, że Svoboda szuka czegoś w starym biurku stojącym pod ścianą naprzeciwko pieców. Spojrzała na jego muskularną sylwetkę. Stał do niej tyłem, zawzięcie grzebiąc w szufladzie. Jego plecy drżały, jakby próbował powstrzymać szloch. Wtedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że złość Svobody jest próbą ukrycia innego uczucia – lęku. Czego bał się mężczyzna? Może przerażało go to, czego się właśnie dopuścił albo co dopiero zamierzał zrobić? Wciąż intensywnie myślała nad tym, co przed chwilą prawdopodobnie nieświadomie zdradził jej Svoboda. Nie mogła w to uwierzyć. Ta z pozoru niegroźna staruszka ukrywała u siebie kiedyś wojennego zbrodniarza!

Niespodziewanie rozległ się dźwięk telefonu komórkowego. Svoboda wyciągnął go z kieszeni i przyłożył do ucha.

– Tak? Wiem... Mamo... Przestań, proszę! Przestań krzyczeć! – wrzasnął nagle wściekły. – Tak, dziewczucha załatwiona. Tak, kurwa, wiem, że mam być mężczyzną! Nie, nie popełnię tego błędu po raz drugi. Załatwiona na amen. Wiem, że muszę ukryć ciało. Tak, w piecu... Załatwię to. Wiem, że wtedy nawaliłem. Nie jestem mięczakiem, przestań tak do mnie mówić! – Widać było, że wyzwiska, którymi rzucała pod jego adresem matka, bardzo go raniły. Wydawało się, że jest bliski płaczu. Przez chwilę słuchał, co mówi kobieta, po czym potulnym głosem dodał: – Przepraszam mamo. – Nagle ze zdziwieniem odsunął słuchawkę od ucha. Kobieta najwyraźniej się rozłączyła.

Justyna zrozumiała teraz, co było powodem lęku mężczyzny. On bał się swojej matki.

Svoboda tymczasem oparł ręce na biurku, ciężko oddychając. Chyba próbował się uspokoić. Znowu uświadomiła sobie swoje położenie. Docierało do niej znaczenie słów, które padły na początku rozmowy syna z matką. Pytanie mężczyzny, czy zmieści w piecu jej ciało, nie było więc tylko makabrycznym żartem. Zaczęła cicho płakać. Dopiero wtedy Svoboda się odwrócił, jakby przypomniał sobie o jej obecności.

– Przestań się mazgać! – warknął.

Justyna nie mogła się jednak uspokoić. Jej twarz robiła się coraz bardziej czerwona i spuchnięta od łez. Miała wrażenie, że emocje, które do tej pory tłumiała, nazbierały się w tak wielkiej ilości, że zaraz od ich nadmiaru eksploduje.

– Chcesz mnie spalić w piecu, zwyrodnialcu!? – wrzasnęła nagle.

– Przestań się drzeć! – Dосkoczył do niej i złapał ją za żuchwę. Jęknęła z bólu, wykrzywiając twarz, po czym spojrzała na niego z wściekłością i splunęła przez zaciśnięte zęby. Tego się nie spodziewał. Puścił ją. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Svoboda spojrzał na swoją oplutą kurtkę i zaczął ją wycierać.

– Ty głupia... – Skrzywił się z niesmakiem.

– Zapłacisz za to, popaprańcu! Nie wiem, kiedy i kto cię dopadnie, czy będzie to policja, moi przyjaciele, Duch Gór albo Bóg wie kto jeszcze... – Urwała, sapiąc ciężko. – Ale obiecuję ci! Będę twoim najgorszym koszmarem! Do końca twojego marnego życia! Jeśli to zrobisz... – dorzuciła. Zaczęła wiercić się na krześle i wierzcąc nogami, aż w końcu spadła na ziemię. Zawyla z bólu, po czym zaczęła wrzeszczeć bez opamiętania.

Svoboda patrzył na nią przez chwilę zaskoczony.

– No co?! Odstrzel mi łeb i wrzucaj do tego pieca! Przez jakiś pieprzony sejf, o którego istnieniu nie miałam pojęcia! – darła się.

Svoboda tymczasem postawił z powrotem wywrócone krzesło, złapał ją oburącz i posadził na nim.

– Uspokój się! – warknął. – Myślisz, że naprawdę chcę to zrobić?

Justyna przestała krzyczeć, sama zaskoczona swoim nagłym przypływem wściekłości.

– Myślisz, że to wszystko to dla mnie jakaś zabawa? – zapytał, po czym potrząsnął jej ramionami.

Nie odpowiedziała.

W młynie zrobiło się cicho i jedyne, co słyszeli, to szum wzbierających rzek: Białej Łaby i Czarciej Strugi, które zbiegały się w sąsiedztwie młyna. Spływała do nich woda z niemal połowy powierzchni Siedmiodoliny, która liczyła ponad dwa tysiące hektarów. Po chwili szum rozszalałych potoków został zagłuszony przez rozzwierający powietrze grzmot.

– Znowu ci zaleje młyn – mruknęła Justyna. Choć pokój nie miał okien, odgłosy burzy przypomniały jej o tym, co dzieje się na zewnątrz. Svoboda zmarszczył czoło.

– A niech to miejsce szlag wreszcie trafi. – Machnął ręką. Wydawał się zrezygnowany i zmęczony. Gdy Justyna przestała krzyczeć, jego głos także stał się spokojniejszy. – Myślisz, że sprawia mi to przyjemność, że musiałem cię tu zgarnąć? – zapytał z czymś w rodzaju wyrzutu w głosie.

– Myślę... że jesteś popaprany – wycedziła przez zęby. – Ty i twoja matka.

Svoboda milczał. Jego wzrok zdawał się nieobecny. Po chwili zapytał niespodziewanie:

– A ty masz mamę i tatę?

– Mam – odparła zaskoczona. – Mamę. Tata nie żyje.

– A ja nigdy nie miałem ojca. Matka go zabiła – oznajmił, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, po czym wrócił do biurka i ponownie zaczął przeglądać szuflady. – Też byś była popaprana, jakbyś miała taką matkę jak ja... – dodał nagle ochrypłym głosem, po czym spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem. – Nikomu bym tego nie życzył.

– Jak to „zabiła”? – zapytała z niedowierzaniem Justyna. Myślała, że się przesłyszała.

– Otruła go, bo był złym człowiekiem. – Wzruszył ramionami. – Tak przynajmniej zawsze mi mówiła.

– Kim był twój ojciec?

– Ponoć zbrodniarzem wojennym – odparł beznamiętnie. Nagle wyjął z szuflady rolkę taśmy klejącej, której najwidoczniej szukał.

Justyna zamarła, słowa oprawcy docierały do niej z opóźnieniem.

– Ty... Jesteś synem Karla Hankego? – wydusiła z siebie. – To... niemożliwe.

Znów spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. Przez chwilę miała wrażenie, że jest wściekły. Nagle jego twarz po raz kolejny zmieniła wyraz, tak jakby zesza z niej cała złość.

– Właśnie, że możliwe – odparł. – Nie myśl, że jestem z tego dumny. Przecież to przez ojca matka mnie nienawidzi. Ześwirowała z jego powodu. – Zamyślił się na chwilę. – Po tym, jak go wykończyła, wydawało jej się chyba, że będzie mogła o wszystkim zapomnieć. Ale było zupełnie odwrotnie. Dopiero po jego śmierci zaczęły się problemy. – Oparty o biurko z namaszczeniem przesuwając paznokciami po rolce taśmy klejącej w poszukiwaniu jej początku. – Najpierw ta sąsiadka, którą trzeba było uciszyć. Potem ci gówniarze z Hitlerjugend, którzy nie dość, że nie chcieli podzielić się złotem z obozu we Vrchlabí, to jeszcze próbowali matkę zabić. Widzisz, facet już dawno gryzł piach, a dalej nie dał o sobie zapomnieć ani na moment. A początkowo miał u niej zostać tylko kilka tygodni... Pieprzony nazistowski bohater. A matka, wychowana w duchu uwielbienia dla Hitlera, który miał wyzwolić Sudety, w końcu jeszcze dała mu dupy! Rozrywki mu się zachciało – syknął. Znowu wydawał się zdenerwowany. – To był błąd, że zgodziła się go u siebie ukrywać. Płaciła za tę decyzję przez całe życie, aż w końcu popadła w obsesję. A ja co? Też muszę za to płacić, chociaż nikt mnie o zdanie nie pytał! Bo samym swoim istnieniem przypominam jej codziennie o tym błędzie. I o tym zwyrodnialcu. Dlatego mnie nienawidzi... Nie wiesz, jak to jest, kiedy własna matka uważa cię za swoją życiową porażkę. Kiedyś tak mi powiedziała: „Żałuję, że cię w porę nie wyskrobałam”.

Justyna pomyślała o swojej matce. Choć doskonale wiedziała, co to znaczy mieć niezadowoloną rodzicielkę, nie potrafiła sobie wyobrazić, co czuł mężczyzna stojący

naprzeciw niej.

– Przykro mi... – powiedziała odruchowo.

Śmiech mężczyzny niespodziewanie wypełnił pomieszczenie.

– Kurwa, myślisz, że naprawdę potrzebuję twojego współczucia?

Zmieszała się. Nie mogła nadążyć za ciągłą zmianą nastrojów Svobody.

– Przecież Hanke nie ukrywał się w domu twojej matki – zaczęła wreszcie, gdy uświadomiła sobie, że ten element nie pasuje do historii, którą poznała z gazety i opowieści Węglorza. – W ostatnim domu we wsi mieszkała kobieta, która go rozpoznała.

Svoboda ponownie wybuchnął śmiechem.

– Ale ty jesteś naiwna! Uwierzyłaś we wszystko, co ci matka opowiedziała! Z niej jest jednak niezła aktorka. Oczywiście, że Hanke ukrywał się u matki, która mieszkała wtedy w przedostatnim domu we wsi. Jak go wykończyła, sama spaliła chałupę. Nienawidziła sukinsyna, a ten dom ciągle jej o nim przypominał. Jak wyszło na jaw, że mieszkał u niej Hanke, niemal pożegnała się z życiem... Sąsiedzi pobili ją do nieprzytomności, gdy była w ósmym miesiącu ciąży! Cud, że urodziłem się żywy. A może raczej przekleństwo, dla niej i dla mnie. Gdy się ocknęła, postanowiła puścić tę chałupę z dymem. Żeby wyglądało na zemstę sąsiadów. I uciekła. Na wiele, wiele lat. Sprawa ucichła, a ją wciąż coś ciągnęło do Klinowych Boud i w końcu postanowiła wrócić. Tak uwielbiała Karkonosze, wyobrażasz sobie? A że sąsiedni dom był wystawiony na sprzedaż przez przesadną zielarkę, to wybrała właśnie to miejsce.

– Tam, gdzie wcześniej mieszkała ta więźniarka?

– Tam, gdzie wcześniej mieszkała ta głupia suka. Durna donosicielka, która zrujnowała nam życie. Tak, właśnie tam. – Svoboda sapnął, po czym podszedł do Justyny i taśmą klejącą zaczął przywiązywać do krzesła także jej nogi. Najwidoczniej obawiał się, że uda jej się uciec.

– Ja o niczym nie wiedziałam, naprawdę. – Justyna wciąż była zszokowana opowieścią Svobody.

– Kurwa, dużo wiedziałaś. Zdecydowanie za dużo. Gdybyś nie wiedziała, matka nie kazałaby mi cię zwinąć.

Przez chwilę w kotłowni panowała cisza, przerywana dźwiękiem odrywanych kolejnych metrów taśmy klejącej.

– Teraz już się nie ruszysz. Mam nadzieję, że zapamiętasz Czarciego Młyn na długo.

– Możesz sobie zabrać wszystko, tylko mnie wypuść, proszę!

– Myślisz, że ci uwierzę?! Jeśli tak, to jesteś w błędzie! Może i jestem nieudacznikiem, jak mówi matka, ale nie aż tak naiwnym. Ten twój głupi stary dozorca mówił, że ty byś się dała za to schronisko pokroić. Miał rację. Od początku bardzo mi przeszkadzasz! Dlatego teraz będziesz siedzieć tu cicho, podczas gdy ja pojedę do Odrodzenia, zabiorę, co moje, a potem zastanowimy się, co z tobą zrobić.

– Pomyśl rozsądnie... – Spróbowała po raz kolejny przemówić mu do rozumu. – Masz problemy finansowe. Po co ci jeszcze paragraf za porwanie?

– Kto powiedział, że tylko za porwanie? Uważasz, że na tym skończymy? – Znowu stał się chłodny i opanowany. W niczym nie przypominał mężczyzny sprzed kilku minut, który pod wpływem rozmowy z matką był bliski płaczu.

Justyna zamilkła przerażona, wpatrując się w Pavla Svobodę, który tymczasem przyniósł skądś wielką, płócienną torbę i zaczął pakować do niej narzędzia.

– Owszem, mam problemy finansowe – wysapał po chwili, jakby rozmawiał sam ze sobą. – Ale za kilka godzin wszystkie się rozwiążą. Wystarczy mi to, co czeka w twoim schronisku.

– Co tam jest? – Odważyła się zapytać.

– Patrzcie, jaka ciekawska. Jest trochę złota, które zostawili tam smarkacze z Hitlerjugend.

– Ci smarkacze zorganizowali zamach na pociąg, w którym zginął mój dziadek! – powiedziała.

– Oj, bardzo mi przykro – rzucił z udawanym smutkiem. – Ale pocieszę cię, matka też za nimi nie przepadała. Gdy pomogli jej zabrać zwłoki mojego taty z cmentarza, posłała ich na tamten świat. Stare dzieje, nie ma co do nich wracać. – Svoboda nagle uciął temat – Jest tu i teraz. A teraz to ja potrzebuję sejfu! Złota, które tam jest! A matka potrzebuje dokumentów. Nie może przez nie spać spokojnie od kilkudziesięciu lat. Ci z Hitlerjugend trzymali w sejfie zdjęcia i zapiski dokumentujące ich „zasługi”. Uważali, że kiedyś dostaną za to jakieś odznaczenie, wyobrażasz sobie? Gówniarze z wypranymi przez propagandę mózgami. Czuli się tacy wielcy i ważni. Jednego, Alexandra, w końcu wykończyła wasza milicja.

– Po co matce te papiery?

Svoboda wzruszył ramionami.

– Martwi się, że ktoś pozna z nich prawdę o pomocy, której udzieliła ojcu po wojnie. Ukrywała przecież zbrodniarza. Ona się nawet nie boi sądu. – Machnął ręką. – Tylko ludzi. Bo w tych górach sąsiedzi potrafią sami wymierzać sprawiedliwość poza prawem. I są zazwyczaj dużo brutalniejsi niż sąd. Już raz we wsi tego doświadczyła... – Svoboda się zamyślił. – Jak zdobędę te papiery, może w końcu będzie ze mnie zadowolona? – zapytał sam siebie.

– Dlaczego w takim razie nie zabraliście tego pieprzonego sejfu wcześniej?

– Myślisz, że to takie proste? Gdyby smarkacze z Hitlerjugend po śmierci ojca podzielili się złotem i zniszczyli papiery, nie byłoby problemu. Ale oni mieli obsesję, chcieli działać dalej. A matka nie zamierzała mieć z nimi dłużej nic wspólnego, więc ich uciszyła, i po tym, jak ją pobito, spaliła dom i uciekła ze wsi. A potem ja się urodziłem. Odrodzenie zostało zajęte w tym czasie przez wojsko, więc nie sposób było tam wejść. Później powstało schronisko, przyszły lata dziewięćdziesiąte i remont. Wtedy była dla nas szansa. Włamałem się. Chociaż to może za dużo powiedziane? Wy, Polacy, macie w Karkonoszach taki dziwny nawyk. Prawie żadnych drzwi nie zamykacie na klucz. Jakby majątek nie był wam miły. Garaż był co prawda zaryglowany, rzeczywiście, ale reszta? – Prychnął. – Mimo iż była noc, wszystko stało otworem.

– Taka jest idea schronisk – odparła poirytowana. – U nas się ją szanuje, w przeciwieństwie do was.

– Może i tak. – Wzruszył ramionami. – Ta idea bardzo mi odpowiada. Dzięki temu po prostu wszedłem sobie do schroniska, do kuchni, stamtąd do szybu. Durni Polacy, nie zauważyliście wejścia do tego pokoju przez tyle lat. A ono było tylko zasłonięte dyktą, wyobrażasz sobie?

– To ty je później zamurowałaś, prawda?

– Oczywiście, że ja. Sejf okazał się zamknięty na głucho. Nie miałem jak go otworzyć, bo w schronisku byli ludzie, więc próba wykucia go ze ściany by ich obudziła. Skoro więc nie mogłem go otworzyć, postanowiłem go zabezpieczyć i jeszcze tej samej nocy zamurowałem wejście. Nikt mnie nie zauważył. – Zamyślił się na moment. – No, może poza tą alkoholiczką w kuchni. Ale ona tak się wystraszyła... – Svoboda parsknął. – Była pijana i chyba uwierzyła, że widzi ducha.

– Jak mogłeś napaść na Marszałkową!

– Musiała mi wchodzić w paradę?! – warknął. – Wy wszyscy w Odrodzeniu strasznie mnie zawsze wkurwialiście. Najpierw ta durna kucharka, potem ten stary kierownik, z którym chciałem się dogadać, ale mnie wyśmiał. A wreszcie ty! Ale teraz dopnę swego!

– Słuchaj – zaczęła Justyna. Wpadła na pomysł, który wydał jej się całkiem sprytny. – Pójdźmy na współpracę. Oboje mamy jakiś interes w tym sejfie.

– Co? – Zmarszczył czoło zdziwiony.

– Ja ci pomogę wyjąć ten sejf. Ty weźmiesz złoto i papiery, które mogłyby obciążyć twoją matkę, a ja te, które dotyczą zamachu na pociąg. Ty chcesz spokoju matki, ja pragnę oczyścić z zarzutów zmarłego dziadka, którego oskarżono o tę katastrofę.

– Współpracę? – Zmarszczył brwi i prychnął. – O czym ty w ogóle mówisz? Współpracę to proponowałem poprzedniemu kierownikowi. Ale teraz warunki się zmieniły. Nie dostaniesz z tego sejfu nawet jednej kartki! Wiesz, ile to jest warte? Matka mi o tym mówiła. Ci z Hitlerjugend mieli niezłe plecy w polskiej administracji, która oficjalnie próbowała ogarnąć ten... ponemiecki burdel wokół Jeleniej Góry po wojnie. – Skrzywił się z niesmakiem. – Ale nieoficjalnie było wśród nich trochę szemranych ludzi. Łatwych do przekupienia. Wiesz, ilu z nich potem zrobiło karierę w urzędach, milicji? Zorientowałem się niedawno, że część z nich jeszcze żyje. Ileż oni mi dadzą za te papiery, jeśli tylko widnieje tam ich nazwisko... – powiedział rozmarzony. – Zapłacą każde pieniądze, bylebym zniszczył dokumenty świadczące o tym, że bardziej lub mniej świadomie wsparli działalność tych gówniarzy.

– Co ty pieprzysz? Ktoś z Polaków miałby im pomagać? – Justyna nie dowierzała.

– Matka słuchała ich rozmów z ojcem wiele razy. W którym roku był zamach na pociąg? – spytał.

– W czterdziestym siódmym – odparła.

– No sama widzisz. – Uśmiechnął się jadowniczo. – Nie uważasz, że w czterdziestym siódmym tacy łajdacy jak ci z Hitlerjugend powinni byli już dawno zostać wysiedleni przez Polaków?

Justyna milczała.

– Oczywiście, kurwa, że powinni – odpowiedział sam sobie. – Ale mieli dostatecznie duże fundusze na działalność. Od mojego ojca. I te pieniądze otworzyły

im niejedne drzwi. Tu milicjant przymknął na coś oko za odpowiednią łapówką, tam polski urzędnik wystawił lewe papiery wstrzymujące wysiedlenie i umożliwiające dalszy pobyt po wojnie na Dolnym Śląsku. Jak się ma pieniądze, to można wszystko. A już zwłaszcza u was. – Zarechotał złośliwie. – Czy umożliwiając im pozostanie tutaj, nie przyłożyli ręki do zamachu na pociąg w czterdziestym siódmym czy paru innych akcji?! Do zamachu na Bogu ducha winnych cywili – dodał z udawanym oburzeniem, po czym się uśmiechnął. – Ja nie tylko spłacę długi, ale znowu będę bogaty. Pozbędę się tego pieprzonego młyna! – Powiódł ręką wokół. – To miejsce pociągnęło mnie na dno. A matka mnie ostrzegała. Raz miała rację...

– Chyba na dno pociągnął cię hazard, a nie młyn. – Justyna weszła mu w słowo. Svoboda zignorował jej kąśliwą uwagę.

– Swoją drogą, wiesz, że mój ojciec był młynarzem z zawodu? Zabawne, prawda? W polityce wysokie stanowiska zazwyczaj przypadają takim miernotom. – Skrzywił się. – No, na mnie już pora. Odrodzenie czeka. Zagonię tego twojego starego naiwnego dziadka do roboty.

– Jemu też zapłaciłeś?

– Temu głupiemu dozorczy? Nie bądź śmieszna. Nie trzeba było mu płacić. Wystarczyło tylko nieco zmotywować go do pomocy, pokazując konsekwencje odmowy. A teraz módl się, żeby nie stawiał oporu – dodał złowróźbnym głosem i wyszedł z kotłowni.

– Czeka! – Justyna zaczęła krzyczeć. – Błagam, nie rób mu krzywdy!

– Czy ja ci nie mówiłem, żebyś się nie darła? – Svoboda wrócił poirytowany. – Przykro mi, ale sama się o to prosisz. – Pokiwał głową i stanął tuż przed nią, szukając czegoś w torbie.

– Co chcesz mi zrobić?

– Co chcę ci zrobić? – szepnął jej do ucha, stając za krzesłem, do którego była przywiązana. – Ja nic. Ale wszystko zależy od decyzji matki, a ona potrafi być bezwzględna. Wykończyła Hankego, chłopaków z Hitlerjugend, tę donosicielkę z sąsiedztwa. Kilkadziesiąt lat później zastrzeliła Johanna Schmieda. – Przy tym nazwisku głos mu zadrżał. – Co prawda ja miałem to zrobić, ale nie dałem rady. Czasami po prostu... nie mam dość siły, by nacisnąć spust.

– Kim jest Johannes Schmied? – zapytała Justyna, zaciskając oczy. Przerazało ją, że nie mogła śledzić ruchów Svobody, bo stał za jej plecami.

– Nieważne. Nagrabił sobie u matki, więc zastrzeliła go na moich oczach. Módl się, żebyś nie skończyła podobnie – dodał i twardym uściskiem objął jej głowę jedną ręką.

– Puść mnie! Natychmiast! Pomocy! – Justyna zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy, myśląc, że napastnik chce ją udusić.

– Cicho, cicho... – sapnął mężczyzna, kneblując jej usta kilkoma kawałkami taśmy. – Twój wrzask jest naprawdę nie do zniesienia – dodał z dezaprobatą, po czym wyszedł z kotłowni, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Deszcz zaczynał stopniowo słabnąć, ale niebo przecinały co chwilę potężne błyskawice. Pavel Svoboda zaparkował pod schroniskiem, złapał torbę z narzędziami i błyskawicznie pokonał dystans z samochodu do drzwi Odrodzenia. Wpadł do środka i natychmiast skierował się do warsztatu, w którym przebywał na co dzień dozorca schroniska.

– Jest kierowniczką nareszcie, już się martwiłem, bo ta burza... – powiedział Wiesiu, nie podnosząc wzroku znad imadła, w którym coś mocował.

– Musisz mi pomóc – wycedził przez zęby Svoboda.

Dozorca odwrócił się gwałtownie.

– Pavel? Co ty tu robisz? – zapytał zaskoczony.

– Idziemy zabrać to, co moje, z ukrytego pokoju. Bierz przedłużacz, łom i lecimy do szybu, natychmiast! Mam dwie wiertarki udarowe, razem szybko wykujemy ze ściany ten sejf. Nie ma czasu. Matka jest wściekła.

– Tam naprawdę jest jakiś sejf? – Dozorca się zasepił, przypominając sobie, że o tym samym wspomniała rano Justyna. – To ty po sejf wysłałeś ludzi w zeszłą niedzielę?

– Nie zadawaj pytań, tylko rób, co każe! – warknął Svoboda, po czym rozpiął kurtkę, ukazując przypiętą do paska kaburę pistoletu. Ku zdziwieniu Czecha Wiesiu nie wyglądał na przestraszonego.

– Ale kierowniczką zaraz tu będzie...

– Nie będzie, zadbałem o to.

– Co?! – Wiesiu wytrzeszczył oczy. – Ty łajdaku! Co jej zrobiłeś...?! – wrzasnął, zaciskając pięści. – Jak mogłeś! Miałeś jej w to nie mieszać! Obiecałeś! – Ruszył w kierunku mężczyzny.

– No! – warknął Svoboda, natychmiast wyciągając broń. – Hamuj się, dziadku.

Wiesiu się zatrzymał. Czuł, jak z wściekłości pulsują mu skronie. Szybkim spojrzeniem powiódł po narzędziach w swoim warsztacie. Sylwetka Svobody sprawiała wrażenie muskularnej. „Boże, gdybym tylko był młodszy, silniejszy” – pomyślał. Zrozumiał natychmiast, że będzie w stanie pokonać przeciwnika wyłącznie sprytem.

– Nic jej nie jest – wycedził Svoboda, wciąż trzymając broń wycelowaną w dozorcę. – Czeka grzecznie w bezpiecznym miejscu. Im szybciej pomożesz mi zabrać z tego schroniska, co moje, tym szybciej do ciebie wróci. Cała i zdrowa. W innym wypadku może być różnie. Dlatego lepiej nie fikaj, dziadku. Zrozumiałeś?

– Tak – wydusił z siebie Wiesiu.

– Ci od remontu jeszcze pracują? – Svoboda przeszedł do konkretów.

– Pracują.

– Doskonale. Hałas nie wzbudzi zdziwienia. Wejdziemy do szybu przez garaż.

– Robotnicy się tam kręcą – mruknął Wiesiu. – Remont kotłowni.

– Rozumiem. Z drugiej strony szkoda czasu na prucie ściany w garażu. Idziemy zatem przez kuchnię. Potem najwyżej trzeba będzie wywieźć do niej sejf windą. Schowamy go do jakiegoś kartonu, żeby nie wzbudzał zainteresowania. Jest ktoś teraz w kuchni?

– Musiałbym sprawdzić – odparł Wiesiu niechętnie. Wciąż wpatrywał się podejrzliwie w Svobodę. – Powiedz mi, na pewno nic się nie stało Justynce?

– Nie, do cholery!

Wiesiu podszedł do mężczyzny bliżej, nie bacząc na broń, którą tamten nieustannie ścisnął w dłoniach.

– Jeśli mnie oszukujesz, to obiecuję ci, że znajdę cię i zabiję jak psa – dodał stanowczo, po czym spojrzął w dół i splunął Svobodzie na buty. – Ty pewnie nie wiesz, co to znaczy, ale ja już nie mam w życiu nic do stracenia. Gdyby nie Justyna, i tak już dawno by mnie na tym świecie nie było.

– Jeszcze słowo i gwarantuję, że nie wróci w jednym kawałku – syknął Czech poirytowany.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Svoboda był zaskoczony. Przez starego dozorcę przemawiała bowiem niespodziewana determinacja. A ludzie zdeterminowani, jak wiedział z doświadczenia, potrafią być niebezpieczni.

– Do kuchni – polecił Svoboda i skierował się do drzwi. – I nie próbuj robić niczego głupiego! Pamiętaj, że ta twoja Justyna jest... pod moją opieką.

– Pamiętam – wycedził przez zęby dozorca. Czuł, jak z każdą sekundą narasta w nim wściekłość. Przypomniawszy sobie, jak Czech wpadł tu do niego po raz pierwszy kilka tygodni temu, wymuszając na nim współpracę. Wiedział o zbliżającym się remoncie i wyłuszczył dozorcę swój plan: korzystając z panującego przy takich okazjach zamieszania, zamierzał zabrać ze schroniska pewną rzecz, która należała do jego rodziny. Nie chciał zdradzić, co to jest, ale zagroził, że jeśli Wiesiu mu nie pomoże, to tamten skrzywdzi Justynę. Uderzając w najczulszy punkt starego dozorcę, zmusił go do pomocy.

– Szybciej – syknął stojący już w holu Svoboda.

– Idę – odparł Wiesiu. Czuł, że wkrótce miarka może się przebrać i jego gniew będzie musiał znaleźć ujście. Tymczasem tylko zacisnął pięści i ruszył razem z Czechem schodami wzdłuż wielkiego holu, kierując się prosto do drzwi kuchni.

Pomieszczenie było puste. Zgodnie ze swoim zwyczajem Marszałkowa udała się na popołudniową drzemkę.

– Możemy wchodzić – rzucił i puścił Svobodę przed sobą. Wszedł za nim do środka i zaryglował drzwi. Pomieszczenie było nieskazitelnie czyste i wyglądało na to, że Marszałkowa przygotowała sobie już stanowisko do pracy nad kolacją. Długie kuchenne blaty pozastawiane były rozłożonymi równiutko półmiskami, na których czekały na pokrojenie pomidory, ogórki i inne warzywa. Na kuchence była ustawiona wielka patelnia, obok której piętrzyły się wytłoczki z jajkami. Przy piecu stały nakryte ściereczkami dwie duże miski, w których, sądząc po zapachu, rosło ciasto drożdżowe na chleb.

– Schodzimy na dół – zarządził Czech, po czym założył czołówkę. – Ja pierwszy, ty po mnie. Tu masz latarkę. Pokój jest już chyba otwarty – dodał, ładując się razem z torbą narzędzi do ciasnej windy towarowej. Chwilę później szcęknął mechanizm odbezpieczający i mężczyzna zaczął zjeżdżać na dół.

– Kurwa, ale tu jest syf! Nic się nie zmieniło od lat dziewięćdziesiątych.

– Bo nikt z tego nie korzystał. Poza tobą, skurwysynu... – mruknął Wiesiu pod nosem. Ręce mu drżały ze zdenerwowania. Bardzo martwił się o swoją kierowniczkę. Co się z nią dzieje? Gdzie jest? Poczł się współodpowiedzialny za jej porwanie. Może trzeba było zgłosić się na policję od razu, gdy Svoboda naszedł go po raz pierwszy? Z drugiej strony: co by się stało, gdyby sprawa nie została potraktowana poważnie? Wiesiu przełknął ślinę. Jedyne, o czym marzył, to znowu ujrzeć Justynę w Odrodzeniu całą i zdrową.

Po chwili z tych rozważań wyrwało go metaliczne skrzypienie. Z dołu wróciła pusta winda. Wiesiu westchnął i wsiadł do środka. Zamknął za sobą drzwiczki do szybu i powoli zaczął zjeżdżać. Gdy dotarł na sam dół i światło latarki objęło wlot do korytarzyka wiodącego do ukrytego pokoju, zamarł ze zdziwienia. A więc zamurowane pomieszczenie istniało.

– Szybciej! – Usłyszał zniecierpliwiony głos Svobody dochodzący z korytarza. Wyczołgał się z windy i chwilę później stanął u drzwi sekretnego pomieszczenia.

– Ja pieprzę... – rzucił tylko. Do tej pory wydawało mu się, że po kilkunastu latach pracy w schronisku zna je na wylot. Teraz okazało się, że ponemiecki budynek wciąż skrywał przed nim sekrety.

– Bierz teraz ten kabel. – Svoboda wskazał na przedłużacz, który zabrali z warsztatu Wiesia. – Ja zaczynam kuć, a ty wróć i podłącz w kuchni. Jak zabierzemy się do tego młotem udarowym, powinniśmy się szybko uwinąć.

Wiesiu niechętnie wziął przedłużacz. Svoboda tymczasem wyciągnął z torby nowiutkie dłuto i potężny młotek, po czym zaczął kuć w ścianie. W głowie dozorczy aż kłębiło się od złych myśli. Skierował się do szybu, ściskając w ręce kabel. Wsiadł do windy, ale nie ruszył. Ogarniała go wściekłość tak wielka, że chyba nigdy wcześniej w życiu takiej nie doświadczył. Oddychał nerwowo. Mięśnie tężały mu z podenerwowania, a adrenalina aż w nim buzowała, tak że ciśnienie krwi rosło w sposób niekontrolowany, błyskawicznie przekraczając granice między fizjologią a patologią. Reakcja organizmu była na tyle silna, że przerażała samego dozorcę. Miał wrażenie, że przestaje kontrolować nie tylko własne ciało, ale także myśli. Ucichł w jego głowie krzyk sumienia, które przestrzegało go przed zamysłem, jaki zrodził się w jego głowie chwilę wcześniej.

Wziął głęboki wdech. Złapał kilka pętli kabla w dwie ręce, po czym zgasił swoją latarkę i po cichu wrócił do ukrytego pokoju. Poruszając się niemal w zupełnej ciemności, stawiał ostrożnie każdy krok, choć zajęty kuciem Svoboda i tak nie usłyszałby jego skradania. Uderzenia młotka wypełniały całe pomieszczenie, odbijały się od ścian i ulegały zwielokrotnieniu. Gdy Wiesiu był już blisko, zaczął czuć się coraz pewniej. Rozproszone światło czołówki Svobody wystarczyło mu, by widzieć dobrze swoje dłonie. W spoconych rękach przesunął przewód tak, żeby wymierzyć odpowiednią długość. Zaszedł Czecha od tyłu, błyskawicznym ruchem okręcił kabel wokół jego szyi i zacisnął. Z gardła Svobody dobyło się ciche charknięcie. Przez chwilę rzucał się, próbując rękami zerwać kabel zaciskany na jego szyi. Wiesiu utrzymywał jednak przewód nieustannie w napięciu. Cicho stękał z wysiłku. Czech miał niezłą krzepę, ale zaskoczony od tyłu nie miał zbyt dużej szansy na obronę. Po kilku chwilach osunął się bezwładnie na podłogę.

Wiesiu puścił kabel przerażony. Cała agresja z niego wyparowała. Oddychał z coraz większym trudem. W pokoju było duszno i wilgotno, a on miał wrażenie, że ściany zaraz zaczną się do siebie zbliżać i go zmiażdżą. Ręce mu drżały. W pewnym momencie w całym ciele poczuł nieprzyjemne mrowienie, jakby ktoś raził go prądem. Czy właśnie zabił człowieka? Klęknął przy Svobodzie i delikatnie ucisnął jego szyję. Nie wyczuł tętna. Niemal płacząc, wybiegł z pokoju i wczołgał się do windy. Nerwowo szarpnął za linę i zaczął wjeżdżać na górę. Wciąż brakowało mu tlenu.

Gdy po dłuższej chwili zobaczył drzwiczki łączące szyb z kuchnią, pchnął je z takim impetem, że prawie wypadł z windy na podłogę. Kuchnia wciąż była pusta. Wygramolił się z windy, po czym pognał dalej. Otworzył zaryglowane do tej pory wejście do kuchni i wypadł na korytarz. Klucie w klatce piersiowej zaczynało utrudniać mu dalszy bieg. Mrowienie w ciele się nasilało. Dopadł schodów prowadzących na parter i zaczął zbiegać na dół. Hol był pusty. Z racji ciemności spowodowanej burzowymi chmurami ktoś zapalił jeden z potężnych, starych żyrandoli. Pomieszczenie wypełniła nagle oślepiająca jasność, po której nastąpił przeraźliwy grzmot. W tym samym momencie żarówki żyrandola błysnęły mocniejszym światłem i zgasły. Dotychczas mroczne pomieszczenie stało się jeszcze bardziej upiorne.

– Ja pieprzę... – wyszeptał Wiesiu przerażony. Od najmłodszych lat bardzo bał się burzy. Na ułamek sekundy w ciemnym holu zapanowała cisza, po której nastąpił

nagle niesamowity rumor. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Boże! – wrzasnął przerażony, wciąż biegnąc na dół. Nagle potknął się i spadł z ostatnich kilku schodów na posadzkę holu. Stęknął z bólu, podnosząc się na rękach. Rozejrzał się wokół i dostrzegł źródło potężnego huku, który tak go przeraził. To silny wiatr przewrócił stary świerk rosnący na zboczu za schroniskiem. Drzewo uderzyło w jedno z trzech ogromnych, skrzyniowych okien doświetlających hol i przebiło je na wylot.

– O kurwa, ale uderzenie... Nic się panu nie stało? – Usłyszał głos Łukasza, który właśnie wszedł do środka. Z peleryny przeciwdeszczowej mężczyzny spływały strugi wody.

Dozorca spojrział na niego nieobecny wzorkiem.

– Nic się panu nie stało? – Łukasz powtórzył pytanie.

– Chyba... nic – odparł drżącym głosem.

– Jest już Justyna? A jeśli tak, to w jakim humorku? Obiecała, że ze mną dziś porozmawia...

– Co? – Wiesiu zdawał się nadal nieprzytomny. – Nie... Nie ma kierowniczkę – dodał. A potem się rozplakał.

– Boże, panie Wiesiu, dlaczego pan płacze? Coś pan sobie złamał? – Łukasz się wystraszył. Złapał starszego mężczyznę za ręce i pomógł mu wstać.

– Nie... Ja... Ja... – zaczął się jąkać. – Zrobiłem coś strasznego.

– Co pan mówi?

– Chyba zabiłem człowieka – wydusił dozorca, oddychając ciężko. Był tak roztrzęsiony, że ledwo stał na nogach.

Łukasz wpatrywał się w niego wielkimi oczami. Upłynęła chwila, nim do jego świadomości dotarł sens tych słów.

– Gdzie jest Justyna? – zapytał po raz kolejny.

– Ona... To on... – jąkał się.

Łukasz złapał Wiesia za ramiona i ścisnął mocno.

– Uspokój się – powiedział ostro. – Słyszysz? Mówię do ciebie. Skup się. Masz atak paniki. Przestań tak szybko oddychać!

– Ja... się uduszę... – wysapał Wiesiu.

– Nie udusisz się, słyszysz? Oddychaj wolniej. Nie tak głęboko, bo zaraz zaczniesz cały drzeć. Rób to, co do ciebie mówię!

– Już... Drgawki... – wycedził dozorca przez zaciśnięte zęby, trzęsąc się coraz bardziej.

Łukasz pokiwał głową z dezaprobatą.

– Patrz na mnie – powiedział do mężczyzny, szarpiąc go za ramiona coraz mocniej.

– Ja... Chyba będę umierał.

– Przestań pieprzyć! – wrzasnął Łukasz i strzelił mężczyzną w twarz. – Uspokój się, słyszysz?! – powtórzył zdecydowanym głosem.

Uderzenie poskutkowało. Wiesiu przestał się jąkać i spojrzał na Łukasza ze zdziwieniem.

– A teraz oddychaj spokojnie i powoli. Usiądź tu. – Wskazał mu ławkę. Dozorca posłusznie wykonał polecenie. Łukasz kucnął przed nim i spojrzał mu w oczy po raz kolejny.

– Kogo zabiłeś? I gdzie jest Justyna?

– Tego... Skurwysyna – wysyczał Wiesiu. – On mnie szantażował, chciał okraść schronisko, tu jest taki pokój z sejfem, nikt z nas o nim nie wiedział... I on... Porwał Justynę...

– Co? – Łukasz zrobił wielkie oczy. – Co ty, kurwa, do mnie mówisz?

– No tak... I ja się boję, że zrobił jej coś złego... Albo ktoś z jego ludzi coś jej zrobi... Nie mam pojęcia, gdzie ją trzyma...

– Jak wygląda ten mężczyzna, który ją porwał? – Łukasz starał się zadawać krótkie i rzeczowe pytania, żeby jak najszybciej wyciągnąć z roztrzęsionego dozorca potrzebne informacje.

– Taki... Czech... Pavel Svoboda.

– Jak wygląda?!
– No... Z wąsikami... – Wiesiu znowu zaczął się zacinać.

Łukasz zawahał się.

– Chyba wiem, gdzie jest Justyna – odparł po ułamku sekundy.

– Jak to? Skąd?

– Widziałem ich dzisiaj razem, jak prowadziłem wycieczkę. Siedzieli w jej samochodzie pod Czarcim Młynem. Podszedłem porozmawiać. Kurwa, jaki ja byłem głupi. Naprawdę czułem, że tam dzieje się coś złego. Ale ona mnie spławiła... Nalegała, żebym sobie poszedł. Powiedziała, że ten facet to jej znajomy.

– Boże, przecież Czarcia Młyn do niego należy... – wydukał Wiesiu.

– Macie tu jakiś wolny samochód?

– Tak! To znaczy... Nie... – Wiesiu zmarszczył brwi. – Jeden zabrała kierowniczką, a drugi... pojechał na dół po zaopatrzenie. Nie wiem, kiedy wróci...

– Trudno, pobiegnę tam pieszo, to z górki, dotrę w mniej niż pół godziny! – rzucił Łukasz i skierował się do drzwi.

– Czekaj! – wrzasnął za nim Wiesiu. – Pożyczymy samochód ze Szpindlerowej Boudy. To sąsiedzi, pomogą nam...

– Szkoda czasu... Tłumaczyć im, co i jak. – Łukasz machnął ręką zniecierpliwiony.

– A jak Justynie coś się stało? Co to da, że będziesz tam na piechotę? Zaniesiesz ją przez góry do szpitala?

Ten argument przekonał Łukasza. Wyglądało na to, że dozorca znowu zaczął myśleć trzeźwo.

– Dobra, biegnę do Szpindlerowej.

– Idę z tobą! – Wiesiu podniósł się z ławki.

– Nie ma mowy. Pan tu zostaje. Zwłoki, trzeba z nimi coś przecież zrobić!

– Nie ucieknie skurwysyn przecież. – Wiesiu wydawał się bardzo zdeterminowany. Widać było, że wiadomość o tym, gdzie znajduje się porwana Justyna, podniosła go na duchu. – Zanim zadzwonię na policję, że zabiłem człowieka, chcę odnaleźć kierowniczkę. Muszę zobaczyć, czy jest cała i zdrowa. I nie próbuj mnie zatrzymywać – dodał zaskakująco twardym głosem.

Nie było czasu na dyskusję.

– W takim razie do Szpindlerowej – zgodził się Łukasz, po czym obaj wybiegli z Odrodzenia i puścili się w stronę czeskiego schroniska.

Szpindlerowa Bouda, 16 września 2006

Hotelowa restauracja świeciła pustkami, co w sobotnie popołudnie w Szpindlerowej Boudzie zdarzało się rzadko. Głównym sprawcą wyjątkowo słabej frekwencji była zapewne ulewa, która tego dnia rozpętała się nad górami.

Mikolas stał za barem i nieobecny wzrokiem powiódł po sali. Zajęte były jedynie dwa stoliki pod ścianą. Siedziała przy nich grupa Niemców, którzy tego dnia nie zdecydowali się wyjść na wędrowkę. Od kilku godzin okupowali jadalnię i zamawiali kolejne kufle piwa.

Mglisty krajobraz za oknami schroniska o wszystkich możliwych odcieniach szarości rozmywał dodatkowo deszcz nieustannie uderzający o szyby. Jego szumiący odgłos, oprócz gwaru rozmowy Niemców, był jedynym dźwiękiem, jaki wypełniał wnętrze budynku. Prądu nie było od kilkunastu minut. Zabrakło go tuż po tym, gdy Mikolas usłyszał straszny grzmot. Zapalił kilka świeczników i postawił je na barowej ladzie. Podobne były także w recepcji i na stolikach zajętych przez gości. Za sprawą blasku świec, którego ciepło kontrastowało z panującą za oknami szarością, wnętrze schroniska wyglądało dość nastrojowo.

– Cholera, zapowiadali dzisiaj deszcz, ale nie aż taką burzę! Jeszcze nigdy takiej nie widziałem – skrzywił się Maksymilian Rajczakowski, wchodząc do restauracji. Był przemoczony do suchej nitki. – Cześć, Miki!

– *Ahoj*, Maks! – Barman uśmiechnął się przyjaźnie. – Niech mnie kule biją. Co to za okazja, że spotkał mnie taki zaszczyt?

– Przyszedłem cię odwiedzić, stary. Dawno nie gadaliśmy, wakacje miałem pracowite. Wiesz, jak jest. – Maksymilian zajął miejsce przy barze. – Polej mi Karkonosza.

Mikolas sięgnął po duży kufel i nalał gościowi popularnego w Czechach piwa.

– Na koszt firmy.

– Dzięki, bracie. – Maksymilian poklepał go po ramieniu. – Ale u was romantycznie... – Wskazał na świeczniki.

– A, to... Prądu nie ma od kilkunastu minut. Nieźle musiało walnąć w okolicy. W Odrodzeniu też chyba nie mają światła.

– Co tam u ciebie? Opowiadaj! Masz chyba teraz czas, prawda?

– Jak widać. – Mikolas się zaśmiał, wskazując ręką na niemal pustą salę. – U mnie wszystko po staremu.

Maks pociągnął łyk piwa, rozkoszując się jego goryczą.

– Chyba nie tak po staremu... – Uśmiechnął się.

– Co masz na myśli?

– Marta się wygadała, że Justyna spędziła ostatnio w Szpindlerowej Boudzie upojną noc.

Mikolas lekko się zarumienił.

– Niby Karkonosze duże, a plotki rozchodzą się tak szybko. – Uśmiechnął się, ale widać było, że jest skrępowany. – No wiesz, do niczego nie doszło...

– Wiem, wiem... – Maks roześmiał się serdecznie. – To była dosłownie „upojna” noc. Wykończyłeś Justynkę tymi swoimi popisowymi drinkami.

– Tak wyszło...

– Chcesz dać sobie, a może raczej: wam, drugą szansę, prawda?

– Chcę. Przez cały czas, gdy była z Łukaszem, tłumaczyłem sobie, że to nie ma sensu ani przyszłości, że wcześniej zbyt dużo sobie wyobrażałem..

– Ale?

– Ale kiedy wpadła tutaj ostatnio, wieczorem, w dniu swoich urodzin... W tej pelerynce z Duchem Gór. Kiedy się roześmiała, wiesz... Wszystkie moje wcześniejsze tłumaczenia wzięły w łeb.

– Skąd ja to znam. – Maks pokiwał głową. – Kiedy spotkałem Martę dwa lata temu...

– Spieszysz się? – Mikolas wszedł mu w słowo. – Pracuję jeszcze godzinę, a gdy skończę, chętnie się z tobą napiję i pogadamy.

– Fantastycznie, poczekam. Całe popołudnie i wieczór mam wolne. Dzisiaj Marta urzęduje na Śnieżnych Kotłach. Byłem rano w Strzesze Akademickiej porozmawiać z Maristellą.

– Kto to jest? – Mikolas zrobił zdziwioną minę, po czym się zaśmiał. – Dziwniejszego imienia nie potrafili jej rodzice znaleźć?

– To imię jeszcze z czasów klasztornych. Maristella jest siostrą zakonną. To znaczy była, ściślej rzecz ujmując. Zrzuciła habit jakiś czas temu, bo przeżyła jakąś traumę w zakonie. Naprawdę na imię ma Małgorzata, ale niektórzy wciąż mówią do niej Maristella. Sympatyczna kobieta. Pomaga bratu prowadzić schronisko. Zamierzałem odwiedzić cię w drodze powrotnej ze Strzechy i, gdy zaczęła się

ulewa, pomyślałem, że to dodatkowy znak od Ducha Gór, żebym zatrzymał się w Szpindlerowej.

– Dobrze, że umiesz te znaki odczytywać – powiedział ze śmiechem Mikolas. – Swoją drogą meteorolodzy czasem chyba wróżą z fusów swoje prognozy. – Skrzywił się, spoglądając w stronę okien. – Nie miało dzisiaj być takiego załamania pogody.

Rozległ się kolejny grzmot. „Biedni...” – pomyślał Mikolas o turystach, którzy tego dnia przy słonecznej pogodzie wyszli rano na szlak. Po chwili zaczął zastanawiać się, co robi teraz Justyna. Może pora, żeby to on ją odwiedził? Chciał zapytać Maksa o radę, jak mądrze wszystko rozegrać, żeby tego nie sknocić. Nie zdążył jednak, gdy zauważył, że w stronę przeszkłonych drzwi schroniska biegną dwie osoby. Pierwszy do środka wpadł mężczyzna w czerwonej kurtce przewodnika sudeckiego i zaczął rozglądać się gorączkowo, po czym ruszył w stronę recepcji. Mikolas przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

– Czy to nie jest ten cały Łukasz? – Wskazał na mężczyznę.

– Ten bawidamek, były Justyny? – zapytał Maks, odwracając się na krześle. – Tak, to on.

Zaraz potem do środka wbiegł drugi mężczyzna, po stokroć bardziej zdyszany. Nie miał na sobie nawet kurtki, a przemoczone włosy przyklejały mu się do czoła. Po chwili Mikolas rozpoznał w nim dozorcę schroniska Odrodzenie.

– *Ahoj*, panie Wiesiu – rzucił uprzejmie, machając zza baru.

– Boże! Mikolas! Dobrze, że jesteś. Potrzebujemy samochodu, natychmiast! – krzyknął zasapany Wiesiu, biegnąc w jego stronę. Zaraz też podszedł do nich Łukasz.

– Co się dzieje? – zapytał Maks zdziwiony.

– Musimy jechać po Justynę...

– Po Justynę? Coś jej się stało? – zaczął się dopytywać Mikolas.

– Czy ty musisz zadawać tyle pytań? – Prychnął dotychczas milczący Łukasz.

Przez sekundę obaj mierzyli się wzrokiem.

– Justyna została porwana przez Pavla Svobodę. Uwięził ją w Czarcim Młynie, musimy ją ratować! – wyrzucił z siebie jednym tchem Wiesiu.

Mikolas i Maks wytrzeszczyli oczy ze zdziwienia.

– Jedziemy natychmiast! – rzucił Czech i wybiegł zza baru. – Weźmiemy mój samochód!

– Daj tylko kluczyki, poradzimy sobie sami – odparł Łukasz.

Mikolas zatrzymał się i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Moje auto ja prowadzę – stwierdził. – Mam zresztą większe niż ty doświadczenie w jeżdżeniu po górach. Drogę ze schroniska na dół pokonuję kilka razy w tygodniu.

– W pracy jesteś, chyba nie możesz tak sobie wychodzić? – Łukasz nie ustępował. – Zresztą to moja kobieta czy twoja?

– Twoja już na pewno nie. – Mikolas uśmiechnął się złośliwie. – Zmarnowałeś swoją szansę. Justyna nie jest na szczęście naiwna, żeby popełnić błąd i dać ci ją po raz drugi.

– Słuchaj... – zaczął Łukasz, zaskoczony zaciekłością Czecha. Mężczyźni spoglądali na siebie z wrogością.

– Panowie, do kurwy! – wtrącił się Maks. – Koniec! Mikolas prowadzi! Dyskusji się im zachciało w takim momencie! – dodał wściekły. – Jadę z wami. Jeśli coś jej się stało, jest ranna albo co, może będę umiał jej pomóc.

– A ty co, masz czarodziejską różdżkę? – fuknął Łukasz.

– Nie wiesz, kretynie, że jest lekarzem? – odpalił Mikolas i pobiegł do auta.

Chwilę później siedzieli już w samochodzie: Mikolas za kierownicą, obok Łukasz, z tyłu Wiesiu i Maksymilian. Deszcz zaczął tracić na sile.

– Żeby tylko nic się jej nie stało – rzucił Czech, odpalając silnik. Zdecydowanym ruchem wcisnął pedał gazu i z piskiem opon ruszył spod schroniska. – Trzymajcie się mocno – dodał, zmieniając bieg. Chwilę później mknęli już na dół asfaltową drogą wiodącą w stronę Szpindlerowego Młyna.

– Tak się o nią martwię – wykrztusił Wiesiu. – Jak jej się coś stanie... ja się powieszę.

– Nic jej się nie stanie! Svoboda jest przecież... spacyfikowany – zaczął Łukasz niepewnie. Nie chciał zdradzać przy Mikolasie i Maksie całej prawdy. – Kto miałby jej zrobić krzywdę?

– A ja wiem, czy on nie ma ludzi od czarnej roboty? – Dozorca zmarszczył brwi. – W tę feralną niedzielę, gdy było włamanie, zorganizował sobie przecież pomocników. Jak któryś z nich się zacznie do niej dobierać? To przecież taka śliczna dziewczyna...

– Panie Wiesiu! Przestań się pan nakręcać! Nic jej nie będzie, jasne? – Łukasz odwrócił się do siedzącego z tyłu dozorca. Wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego. Widać było, że udzielają mu się obawy Wiesia.

Przez chwilę w samochodzie zapanowała cisza. Mikolas tymczasem przyspieszał coraz bardziej. Gdy minął kapliczkę świętego Franciszka i zlokalizowaną w jej sąsiedztwie Erlebachovą Boudę, licznik pokazywał już blisko sto kilometrów na godzinę.

– Uwważaj! – krzyknął Maks, wskazując na turystów, którzy wyszli nagle na drogę z leżącego powyżej niej schroniska.

Mikolas zaczął zaciekle trąbić. Turyści spojrzeli w kierunku pędzącego samochodu ze zdziwieniem i na chwilę zamarli w bezruchu. Jako pierwsza zreflektowała się kobieta, która złapała za ręce swoje dzieci i natychmiast ściągnęła je z drogi mocnym szarpnięciem. Mężczyzna stał jeszcze przez chwilę z groźną miną, jakby zamierzał udowodnić pędzącemu samochodowi, że to on jako turysta ma tu pierwszeństwo.

– Spieprzaj! – warknął Mikolas i zatrąbił ponownie.

Kobieta zaczęła krzyczeć coś do mężczyzny, który w ostatnim momencie ustąpił z drogi, wymachując rękami i wygrażając pięścią w stronę kierowcy.

Chwilę później byli już przed pierwszym ostrym zakrętem o sto osiemdziesiąt stopni. Droga w tym miejscu zataczała łuk, okrążając stojące na winkle schronisko Josefova Bouda. Mikolas gwałtownie nacisnął hamulec, tak że pasażerami lekko zarzuciło. Zaraz też puścił pedał i nie bacząc na wciąż dużą prędkość, wszedł w zakręt. Z doświadczenia wiedział, że bezpieczniej będzie pokonać go z większym tempem na liczniku, niż hamując na łuku. Siła odśrodkowa zaczęła ściągać auto do środka jezdni. Przerażony Wiesiu złapał ręką za klamkę drzwi.

– Ostrożniej może?! – krzyknął Łukasz.

– Ona jest w Czarcim Młynie, do cholery! – warknął Mikolas. – Nie mamy chwili do stracenia!

– Wiem, że jest w Czarcim, sam to powiedziałem – odparł urażony Łukasz.

– Ale widać, że nie rozumiesz, co to znaczy! Popatrz za okno! – rzucił Mikolas ze zniecierpliwieniem.

– Co mam niby zobaczyć?

– Że od dłuższego czasu trwa potężna ulewa! Możemy wyrobić dzisiaj normę opadów za kilka tygodni.

– I co z tego?

– Z myśleniem u ciebie średnio – odparł Mikolas, dociskając pedał gazu. Przed nimi był długi na niemal kilometr prosty odcinek. Silnik zawył, a wskazówka licznika prędkości systematycznie wędrowała w górę.

– Słuchaj, pepiku...

– Łukasz! – warknął Wiesiu.

– Pamiętasz, co stało się na początku sierpnia w Czarcim Młynie, gdy były ulewy takie jak ta dzisiaj? – kontynuował Mikolas.

– O Boże! – jęknął Wiesiu, który już zrozumiał, co Czech miał na myśli. – Jeśli ulewa znowu zaleje młyn, tak jak wtedy... A jeśli uwięził Justynę w piwnicy? Ona może tam utonąć! Boże najdroższy...

– Kurwa mać – szepnął Łukasz, gdy dotarło do niego, jak realne niebezpieczeństwo groziło Justynie. – Dodaj gazu!

Kolejny zakręt pokonali z jeszcze większą prędkością, tak że ledwo zmieścili się na jezdni. Droga na mapie przypominała w miarę regularny zygzak, więc zaraz za zakrętem znów był stosunkowo długi prosty odcinek, który wieńczył kolejny łuk. Ich oczom ukazała się taksówka, która także zjeżdżała na dół, zwożąc do miasta z gór przemokniętych turystów. Mikolas włączył kierunkowskaz i błyskawicznie wyprzedził pojazd. Taksówkarz zaczął wymownie pukać się w czoło. Manewry, które Mikolas wykonywał na drodze do Szpindlerowego Młyna, były coraz bardziej ryzykowne.

Deszcz zdawał się znowu przybierać na sile. Im niżej zjeżdżali, tym gęstsza stawała się też mgła, która niczym zła mara wypuszczała z lasu na drogę swoje białe, smagane przez wiatr języki, przez co widoczność była coraz gorsza.

Wkrótce zaczęli zbliżać się do kamiennego mostu, który przerzucono nad niewielkim potokiem. Był to najbardziej pechowy odcinek drogi, o czym dobitnie świadczyło to, że w tym miejscu najczęściej zdarzały się wypadki.

Mikolas minął znak ostrzegający o niebezpiecznym zakręcie. Tuż za nim kolejna tabliczka wykrzyknikami informowała o zbliżającym się zagrożeniu. Most bowiem znajdował się na łuku drogi i ze względu na to, że był bardzo wąski, obowiązywał na nim ruch wahadłowy.

– Uważaj! – krzyknął Wiesiu. – Zaraz będzie ten feralny most! Coś może jechać z dołu. – Wskazał ręką na znak, który informował o konieczności ustąpienia pierwszeństwa samochodom nadjeżdżającym z przeciwnika.

– Jeśli ktoś się pojawi, będzie musiał poczekać. Ja jadę pierwszy – odparł Mikolas twardo, po czym trąbieniem zaczął ostrzegać o swojej obecności kierowców zmierzających na górę. Dostrzeżenie odpowiednio wcześniej jadących z naprzeciwka było jednak bardzo trudne. Przed sobą widzieli bowiem wyłącznie krótki, prosty odcinek drogi. Jej dalsza część natomiast nikła za łukiem, zasłaniana przez wysokie kamienne barierki mostu i drzewa. Sytuację dodatkowo pogarszała mgła.

Dopiero kilkadziesiąt metrów przed mostem Mikolas zdjął nogę z gazu. Droga zaczęła zakrzywiać się nagle w ostry łuk. Mężczyzna skręcił nieco zbyt gwałtownie, a koła na ułamek sekundy straciły przyczepność do mokrego asfaltu. Samochód wpadł w poślizg, niebezpiecznie przybliżając się do przydrożnego rowu.

– Ostrożnie... – wyszeptał Maksymilian.

Po obu stronach drogi wyrosły nagle stare kamienne barierki, które rozpoczynały się kilka metrów przed przeprawą przez górski potok, a z mgły wyłonił się nadjeżdżający z naprzeciwka autobus miejski, który kilka razy dziennie pokonywał trasę z centrum Szpindlerowego Młyna na Przełęcz Karkonoską.

– Hamuj!!! – wrzasnął przerażony Łukasz. Jego krzyk zbiegł się z klaksonem autobusu, którego kierowca, gdy tylko dostrzegł pędzące z naprzeciwka auto, zaczął trąbić bez opamiętania.

Mikolas momentalnie wcisnął hamulec, ale wiedział, że nie zdąży się już zatrzymać na czas. Niebezpieczeństwo dostrzegł także kierowca autobusu, bo również zaczął gwałtownie hamować. Wiesiu zacisnął powieki i wstrzymał oddech. Maks skamieniał, przeczuwając, że zderzą się z autobusem centralnie na środku starego mostu.

Czarci Młyn, 16 września 2006

Justyna wpadała w coraz większe przerażenie. Im dłużej siedziała zamknięta w ponurym pomieszczeniu, tym bardziej wydawało jej się ono upiorne i tym więcej złych myśli zaczynało wypełniać jej głowę. Która była godzina? Ile czasu minęło, od

kiedy Svoboda opuścił Czarciego Młyn? Zasepiła się. Brak kontroli nad upływającym czasem frustrował ją coraz bardziej. Próbowwała poluzować więzy, ale bez skutku. Starła się oswobodzić przynajmniej nogi, które przywiązane były do krzesła. Szarpała i wiała się niczym ofiara pająka owinięta w kokon lepkiej pajęczyny. Próbowwała krzyczeć, ale z zakneblowanych ust wydobywały się tylko nieartykułowane dźwięki. Zaczęła pracować policzkami i językiem z całej siły, śliniąc taśmę tak mocno, jak tylko mogła. Poczła w ustach gorzki smak kleju. Po dłuższej chwili taśma zaczęła szeleścić coraz mocniej, aż w końcu się odkleiła. Justyna zaczęła krzyczeć. Wrzeszczała najgłośniej, jak potrafiła, wołając o pomoc. Niestety, odpowiedział jej tylko dochodzący z oddali regularny szum ulewy.

Nagle usłyszała dziwne trzeszczenie dochodzące z góry. Podłoga piętro wyżej skrzypiała, tak jakby ktoś po niej chodził.

– Halo, jest tam ktoś? – ryknęła, ile tylko miała sił w płucach.

Skrzypienie ustało.

– Pomocy! – zawołała. – Czy ktoś tu jest?

Cisza. Wyglądało na to, że w otoczeniu Czarciego Młyna nie było żywego ducha. Do głowy przychodziło jej mnóstwo dziwnych i niepokojących myśli. Przypomniała sobie o nieszczęśliwym młynarzu samobójcy i aż się wzdrygnęła. Podskórnie wyczuwała w tym budynku jakąś niepokojącą siłę. Taką, która zdolna byłaby opętać i zmusić do czynienia zła. Przypomniały jej się pełne obłędu oczy Pavla Svobody, gdy ją krępował. Pomyślała o jego opowieści o matce, która wykończyła ojca swojego dziecka.

Szarpnęła nogą z całej siły, próbując wstać z krzesła. Zrobiła to trochę zbyt gwałtownie i krzesło przewróciło się do tyłu, a ona omal nie uderzyła potylicą o podłogę. Poczła na plecach chłód kamiennej posadzki. Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie, że to tylko zły sen. Nagle uświadomiła sobie, że jej policzek jest mokry. Momentalnie oprzytomniała i rozejrzała się po pomieszczeniu z niepokojem. Ze szczeliny pod drzwiami płynęła w jej kierunku strużka wody, która z każdą chwilą stawała się coraz większa. Zrozumiała, że teraz jej sytuacja jest o wiele bardziej beznadziejna – wezbrane z powodu ulewy wody Czarciej Strugi i Białej Łaby znowu zaczynały podtapiać młyn.

Po kilku minutach cała podłoga była pokryta brudną, lodowatą wodą. Jej spokojne lustro unosiło się bardzo leniwie, z pozoru nie zwiastując niczego groźnego.

Jednakże nawet niewielkie podtopienie stanowiło dla Justyny śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeśli poziom wody w pomieszczeniu podniesie się o kilkanaście centymetrów, przykryje jej skrępowane ciało i odetnie od dostępu do tlenu. Wpatrywała się w ścianę, której dolna część milimetr po milimetrze znikwała pod wodą, świadcząc o upływającym czasie. Czy w ten sposób miała odliczyć ostatnie kilkadziesiąt minut swojego życia?

Nagle usłyszała grzmot. Siła huku była ogromna. Justyna miała wrażenie, jakby młyn zatrzęsł się w posadach. Niemal w tym samym momencie zwisająca z sufitu żarówka zgasła i wokół zapanowała ciemność. Po raz kolejny zweryfikowała, co to znaczy stan beznadziei. Poza tym że była uwięziona i leżała na podłodze, którą stopniowo zalewała woda, to jeszcze w pomieszczeniu nie było już światła. Próbowwała wyczuć, jak wysoko sięga lustro wody. Na skutek szarpania się głowę miała jednak całą mokrą i w ciemności nie potrafiła oszacować, ile jeszcze zostało do momentu, w którym woda zaleje jej usta i nozdrza. Zaczęła się trząść. Nie wiedziała już, czy to z powodu zimnej wody, którą nasiąkały jej ubrania, czy tak bardzo bała się umierania.

Droga z Przełęczy Karkonoskiej do Czarciego Młyna, 16 września 2006

– Kurwa! – krzyknął Mikolas. Błyskawicznie ocenił sytuację. Wszystko wskazywało na to, że z jadącym z naprzeciwka autobusem spotka się właśnie w połowie mostu, który przerzucono nad groźnie szumiącym górskim potokiem. Widząc szerokość przeprawy ograniczonej z obu stron przez kamienny mur, nie miał złudzeń, że uda mu się minąć bezpiecznie w tym miejscu z autobusem!

Nieustannie hamował, rozpaczliwie próbując zapobiec czołowemu zderzeniu. Jednocześnie przed oczami przelatywało mu tak wiele szczęśliwych wspomnień z różnych okresów jego życia. Dlaczego wróciły właśnie teraz? Emocje, które obudziły w nim obrazy z przeszłości, sprawiły, że niemal stracił kontakt z rzeczywistością. Pomyślał o Justynie i momentalnie otrzeźwiał. Co się z nią stanie, jeśli nie dotrą z pomocą na czas? Wcisnął hamulec do oporu, ale prawa fizyki, zwłaszcza przy tak dużej prędkości, były nieubłagane. Opony tarły po mokrej jezdni ze specyficznym piskiem, a on tracił panowanie nad pojazdem.

Wjechał na most w momencie, w którym nadjeżdżającemu z naprzeciwka kierowcy udało się wyhamować. Na skutek gwałtownego zatrzymania autobusem zatrzęsło, a kilku stojących w środku pasażerów upadło.

W mgnieniu oka Mikolas zrozumiał, co powinien zrobić. Autobus szczęśliwie nie wpakował się na most: zatrzymał się dokładnie na wysokości wjazdu na przeprawę, trochę wcześniej niż można by przewidywać. To zaś dawało cię szansy na wyjście z tej opresji cało. Pomiędzy stojącym z lewej strony autobusem a kamienną barierką z prawej było bowiem trochę miejsca. Niewiele, ale mogło się udać, jeśli barierka wytrzyma zderzenie z samochodem. Mikolas skrzył kierownicę w prawo i próbował maksymalnie zbliżyć się do muru. Auto zahaczyło jednym z kół o krawężnik i jego tylną częścią zarzuciło. Pasażerowie usłyszeli przeraźliwy zgrzyt karoserii samochodu uderzającego o kamienną barierkę mostu. Solidny mur oparł się jednak impetowi pojazdu.

– Boże! – krzyknął Wiesiu.

– Co ty wyprawiasz?! Spadniemy z mostu! – zaczął wrzeszczeć Łukasz. Autem szarpało, gdy jego blaszane elementy tarły o kolejne kamienie.

Mikolas ignorował krzyk pasażerów. Był tak skupiony, że nawet nie drgnął, intensywnie zaciskając ręce na kierownicy. Gdy zorientował się, że kamienny mur po prawej stronie się kończy, a od autobusu z lewej dzielą go centymetry, ponownie mocniej skrzył kierownicę w prawo, próbując zmieścić się między stojącym pojazdem a kończącą się barierką. Gwałtowny skręt sprawił, że pasażerami szarpnęło. Głuchy odgłos szorującego o mur samochodu się nasilił. Tylna część auta odbiła się od barierki i wydawało się, że zaraz uderzy w autobus, lecz Mikolas dodał gazu i gwałtownie szarpnął kierownicę w lewo. Jednocześnie usłyszeli trzask łamanego lusterka, które zahaczyło o brzeg autobusu, i tarcie kół o przydrożny żwir. Barierka się skończyła. Chwilę później zorientowali się, że autobus zaczyna zostawać w tyle. Jego kierowca wychylił się przez okno i zaczął wygrażać w ich kierunku pięścią, trąbiąc co chwilę.

– Zmieściliśmy się... – Mikolas westchnął z ulgą. – Poszło tylko lusterko i trochę blachy z prawej.

Pasażerowie nic nie odpowiedzieli. Wciąż nie mogli wyjść z szoku.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Marszałkowa stała w holu Odrodzenia, z niedowierzaniem spoglądając na spustoszenie, jakiego dokonała w schronisku burza, a zwłaszcza powalone drzewo. Przez wyłamane okno do wnętrza budynku dostawała się cały czas woda i ściekała po schodach do holu, a stamtąd w stronę drzwi wyjściowych. Po raz kolejny wykręciła numer do Wiesia, ale ten od kilkudziesięciu minut nie odbierał.

– A niech by cię szlag, Wiesław – fuknęła poirytowana. – Drzewo pieprzęło w okno, przeciąg w całym schronisku, przez hol płynie rzeka, prądu nie ma, a ten sobie znika!

Nie chciała niepokoić Justyny. Uznała jednak sprawę za pilną na tyle, że zdecydowała się przerwać jej wolne popołudnie. Wybrała do niej numer i cierpliwie czekała. Niestety, ta również nie odbierała.

– Co się z wami wszystkimi dzieje? – Marszałkowa westchnęła, kiwając głową z dezaprobatą, weszła na górę i skierowała się do kuchni. Jej zadaniem było dopilnować, żeby kolacja dla robotników pojawiła się na stole o czasie, postanowiła więc nie dokładać sobie zmartwień w postaci wybitego okna. Jak Wiesław wróci, to sam się będzie martwił zalanym holem.

Droga z Przełęczy Karkonoskiej do Czarciego Młyna, 16 września 2006

Ulewa trwała i, co więcej, znów niespodziewanie przybrała na sile. Po ominięciu autobusu Mikolas przez pewien czas jechał z mniejszą prędkością. Wiedział, jak niewiele brakowało, by jego spotkanie z jadącym z naprzeciwka pojazdem zakończyło się śmiertelną katastrofą. Teraz jednak liczyło się tylko to, żeby jak najszybciej dotrzeć do Czarciego Młyna. Znów mocniej docisnął pedał gazu, skupiając się na górskiej drodze.

– Wiedziałem, że coś jej się stanie, czułem to podświadomie... – zaczął Mikolas niespodziewanie, gdy znów wyjechali na długi prosty odcinek. – To włamanie w niedzielę. To było strasznie podejrzane. Prawda, panie Wiesiu?

Dozorca mruknął coś niewyraźnie. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

Chwilę później Mikolas zwolnił, dotarli do rozwidlenia U Dívčí Lávký. Skręcił w lewo i znaleźli się na szutrowej drodze. Znów gwałtownie przyspieszył, aż

zachrząścił wyskakujący spod kół mokry żwir, i wkrótce z kłębow mgły wyłoniła się zabudowa Czarciego Młyna.

Czarci Młyn, 16 września 2006

Justyna czuła, że to ostatnie kilka lub kilkadziesiąt minut jej życia. Zastanawiała się, czy utonięcie będzie bolesne. Im dłużej leżała w ciemności, tym bardziej wyczułał się jej słuch. To zaś sprawiało, że coraz wyraźniej słyszała szum wody nieustannie spływającej po stopniach do pomieszczenia. A może to nie zmysły były wyczulone, tylko woda przybierała na sile? Cichy, szemrzący odgłos, w normalnej sytuacji kojący, teraz był zwiastunem nadchodzącej śmierci.

Oczami wyobraźni zobaczyła niespodziewanie Mikolasa: roześmianego, przystojnego i w eleganckiej białej koszuli. Żal, który przyszedł wraz z myślą, że nigdy nie przytuli się do tego mężczyzny, był trudny do opisanego. Pomyślała o ludziach, którzy towarzyszyli jej w codziennym życiu. Poczowała niewyobrażalną tęsknotę za swoimi przyjaciółmi, za Martą i Maksem, których miała już nigdy nie zobaczyć. Pomyślała o Wiesiu i Marszałkowej, którzy troszczyli się o nią jak rodzina. I wreszcie o Odrodzeniu, któremu poświęciła się w ostatnich latach tak bardzo. Potem przyszedł jednak także gorzki refleksje. Pomyślała o czasie, jaki zmarnowała w swoim życiu, o ostatnich miesiącach spędzonych najpierw u boku Łukasza, a potem samotnie na leczeniu zranionego serca. Poczowała żal i wstyd, że nie doceniła tego, co było w jej życiu dobre.

Drżała coraz mocniej i szczykała zębami, bo lodowata woda obejmowała ją już niemal z każdej strony.

W pewnym momencie przypomniała jej się jedna z legend o Duchu Gór, którą opowiadała jej babcia w dzieciństwie. Oto trójka dzieci przebranych za kolędników – Józefa, Maryję i Gwiazdora, postanowiła wybrać się ze Szpindlerowego Młyna do Martinovej Boudy. Liczyły, że dając przedstawienie dla gości schroniska, zarobią trochę albo dostaną od gospodarza w podziękowaniu słodycze. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, ubrani w przygotowane samodzielnie kolorowe stroje, ruszyli w drogę. Szli pod górę przez las dobrze im znaną zaśnieżoną ścieżką. Było popołudnie, a z ciemnych burzowych chmur zaczął

sypać śnieg. Ściemniało się, śnieg padał coraz mocniej, a schroniska wciąż nie było widać. W pewnym momencie kolędnicy zorientowali się, że zgubili drogę.

Zapał już zmrok, a oni wciąż błądzili, nie mogąc odnaleźć drogi do schroniska. Przygotowane przez dzieci stroje stopniowo przemakały, elementy z bibuły traciły barwę, znacząc śnieg kolorowymi smugami. Niespodziewanie do zagubionych kolędników przyłączył się Duch Gór. Tak się dzieciom przynajmniej wydawało. Starzec kazał im złapać się za ręce, a potem szczęśliwie doprowadził je do Martinovej Boudy. W schronisku czekał na nich roześmiany gospodarz, który ugościł przybyszów ciepłym mlekiem z miodem i cynamonem. Dzieci ogrzały się przy schroniskowym piecu, a potem dały piękne przedstawienie. Ostatnie, co zapamiętały, to śmiech, jaki wzbudziły w nich zabawne opowieści Ducha Gór snute wieczorem po przedstawieniu.

Następnego dnia z rana w Szpindlerowym Młynie rozpoczęły się poszukiwania zaginionych dzieci, które nie wróciły na noc do domu. Okazało się, że kolędnicy nie dotarli też do schroniska. Wkrótce zamarznięte dzieci znaleziono w śnieżnym dole, w lesie. Wszystkie miały uśmiechnięte twarze, tak jakby przed śmiercią spotkało je coś miłego.

Justyna na myśl o legendzie zaczęła cicho płakać. Marzyła, żeby do niej także przyszedł Duch Gór, wziął ją za rękę i bezpiecznie przeprowadził na Drugą Stronę, malując przed nią obraz taki, jaki by sobie wymarzyła. I choć wiedziała, że to będzie tylko złudzenie, efekt czarów Ducha Gór, to i tak bardzo chciała doświadczyć jego obecności w ostatnich chwilach życia, tak jak mali kolędnicy. Najbardziej bowiem przerażała ją wizja śmierci w samotności.

W tym momencie, pośród szumu ulewy i wiatru, trzasków piorunów i szmeru wody zalewającej młyn, usłyszała jakiś nowy dźwięk. Brzmiał jak warkot silnika.

– Pomocy! – wrzasnęła z całej siły. – Pomocy!

Chwilę później dźwięk ustał. Pomyślała, że to znowu złudzenie. Albo właśnie zaczynały się czary Ducha Gór? Czy przybył na jej wezwanie, aby towarzyszyć jej w ostatnich chwilach życia? Znowu się rozpłakała.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Marszałkowa weszła do kuchni, której drzwi były otwarte na oścież. Od razu poczuła, że ktoś był tu podczas jej nieobecności. „Dziwne. O tej porze w schronisku nie powinno już być nikogo z kuchennej załogi oprócz mnie” – pomyślała. Od rozpoczęcia remontu obowiązywały zasady takie, jak poza sezonem – gdy ruch w bufecie był mały, pomocnice kuchenne nie spały w schronisku. Dlatego po każdym obiedzie pracujący w Odrodzeniu kierowca zwoził busem zatrudnione w kuchni kobiety na dół, do Borowic.

Podłoga była brudna, jakby ktoś niedawno stąpał po niej w ubłoconych butach. „Czyżby jakiś robotnik zapragnął nagle przekąski?” – przeszło jej przez myśl. „Dziwne. Przecież przygotowałam dziś tak solidny obiad, że nikt do kolacji nie powinien być głodny”.

Zwykle Marszałkowa nie zwracała uwagi na wizyty obcych w kuchni pod jej nieobecność. W związku jednak z ostatnimi wydarzeniami, a także z nagłym zniknięciem Wiesia i Justyny, na myśl o wizycie obcego poczuła niepokój. Za oknem rozległ się kolejny grzmot. Na jego dźwięk kobieta aż podskoczyła. Zdała sobie sprawę, że oprócz robotników, których nie знаła dobrze, w schronisku nie ma nikogo więcej. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przez wiele lat pracy tutaj zdarzyła jej się taka sytuacja. Uświadomiła sobie, że nigdy.

Czarci Młyn, 16 września 2006

Znajdowali się kilkaset metrów od młyna.

– Zostaw samochód tutaj – powiedział Maksymilian. – Jeśli ktoś jej pilnuje w młynie, to zauważy auto i przygotowuje się do ataku, a my musimy go zaskoczyć.

– Masz rację, przyjacielu. – Mikolas pokiwał głową, po czym skręcił z drogi w las i zatrzymał samochód.

– Tylko ostrożnie, nikt nie może nas zauważyć – rzucił komendę Maks i razem z pozostałymi ruszył w kierunku mrocznego budynku. Szum ulewy im sprzyjał, zagłuszając trzask gałązek, które łamały się pod ich ciężarem. Po kilku minutach byli już na skraju znajdującego się przed młynem placu. Okrążyli go, kryjąc się w cieniu lasu, aby niezauważenie dotrzeć przed sam budynek.

W pewnym momencie Maksa przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Spoglądał na wyzierającą spomiędzy drzew zabudowę młyna i dopiero wtedy w pełni poczuł, że

jest w niebezpiecznym miejscu. Miał wrażenie, jakby nagle cofnął się w czasie do pamiętnego listopada sprzed dwóch lat. Przypomniawszy sobie, jak Szulc uwięził go w piwnicy, jak uderzył Martę w jadalni, jak mierzył do nich z broni. Wspomnienia wróciły teraz ze zdwojoną siłą. Oddychał nerwowo, a strach zaczynał przejmować nad nim kontrolę. Doskonale wiedział, że to atak paniki, jeden z wielu, z którymi musiał mierzyć się po listopadowych przeżyciach. Spojrzał na Wiesia, Łukasza i Mikolasa, którzy skupili się na obserwacji młyna. Już chciał powiedzieć, że nie da rady, że wróci do samochodu i tam na nich poczeka, gdy nagle przypomniał mu się Josef Hudoba. Stary, poczciwy Czech, który wziął broń i przedzierał się w nocy zboczami Wielkiego Szyszaka, żeby nieść ratunek sąsiadom w potrzebie. Może właśnie teraz przyszedł czas, żeby spłacić dług? A jeśli Justyna jest ranna i potrzebuje natychmiastowej pomocy? Niektórzy lekarze wyjeżdżają na wojny nieść pomoc, a on załamie się i podda panice w swoich Karkonoszach? Jak spojrzałby w oczy Marcie? Zacisnął zęby i ruszył w ślad za towarzyszami.

– Cholera jasna! – krzyknął Mikolas, wskazując na Czarcia Strugę i Białą Łabę, które zbiegały się tuż obok młyna. Przerzucony nad nimi drewniany most wyglądał, jakby zaraz miał poddać się wezbranej wodzie, która napierała na niego z coraz większą siłą, rozbryzgując się o barierkę i tworząc brudną pianę. Wściekły szum żywiołu brzmiał jak ostrzeżenie, żeby człowiek nawet nie ważył się podchodzić do koryta górskiej rzeki, gdyż może zostać bezpowrotnie wciągnięty w spienione odmęty. Woda powoli występowała poza swoje płytkie kamieniste koryto i zaczynała zalewać plac przed budynkiem.

Chwilę później cała czwórka stała pod drzwiami młyna. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwali.

– Pomocy! – Dobiegło ich stłumione wołanie z wnętrza młyna. – Ja tonę!

– Kierowniczo! – Wrzasnął Wiesiu i nie bacząc na nic, kopniakiem sforsował drzwi i wpadł do środka. Cały korytarz był już zalany wodą wdzierającą się od tyłu budynku. – Boże, dziecko, gdzie jesteś?

– Tutaj!

Wiesiu natychmiast ustalił źródło głosu i szarpnął za klamkę drzwi do kotłowni. Były zamknięte.

– Kurwa! Potrzebujemy łomu! Natychmiast! – zawołał, po czym pobiegł do jednego z remontowanych pomieszczeń w poszukiwaniu narzędzia. Mikolas i Łukasz

także rozbiegli się po młynie.

– Jest tu ktoś jeszcze? – zapytał przytomnie Maks, podchodząc do drzwi kotłowni. Rozglądał się po wnętrzu, próbując spenetrować każdy ciemny zakamarek pod kątem ewentualnego niebezpieczeństwa.

– Chyba nie – krzyknęła Justyna. – Błagam, pospieszcie się!

Maks także chciał ruszyć na poszukiwania, gdy dostrzegł, że Mikolas biegnie właśnie z metalowym drągiem.

– Razem! – Czech ponaglił Łukasza, próbując wetknąć drąg między drzwi a framugę. – Potrzebujemy młotka! Prędko!

– Mam! Mam! – wołał Wiesiu, biegnąc w ich kierunku. – Trzymaj go mocno! – rozkazał Mikolasowi, a potem uderzył w drąg młotkiem z całej siły. Wściekłość dodawała mu energii. Rozległ się metaliczny brzęk i trzask pękającego drewna. Zgodnie z oczekiwaniami drąg zaklinował się w szczelinie. Mikolas napał na niego z całej siły. Błyskawicznie doskoczyli do niego Łukasz oraz Maks i stękając z wysiłku, również pchnęli drąg. Chwilę później zamek został wyrwany z framugi i drzwi ustąpiły. Wraz z ich otwarciem do pomieszczenia zaczęła błyskawicznie wlewać się woda z korytarza.

– Szybko, zaraz utonę! – krzyczała przerażona Justyna. Chwilę później głos kobiety zamienił się w bulgotanie, gdyż lustro wody już przykryło jej twarz.

– Zabiję skurwysyna! – wrzasnął Mikolas, gdy zobaczył Justynę przywiązaną do krzesła i leżącą w lodowatej i brudnej wodzie. Natychmiast ruszył w jej stronę. Rozległo się głośnie chlupnięcie, gdyż Mikolas nie zauważył schodów ukrytych pod powierzchnią wody i wpadł do niej całym ciałem. Natychmiast jednak wstał, doskoczył do Justyny, złapał ją za ramiona i silnym szarpnięciem podniósł do góry.

Kobieta zaczerpnęła tchu, plując brudną wodą i jednocześnie się krztusząc, a potem zaczęła przeraźliwie płakać.

– Boże, pani żyje, kierowniczo! Boże, jak dobrze! – krzyknął przejęty Wiesiu i natychmiast razem z Łukaszem i Maksem doskoczyli do wciąż znajdującej się w szoku kobiety. Złapali za krzesło z obu stron i wynieśli Justynę na korytarz. Poziom wody był tam znacznie niższy niż w kotłowni. Wiesiu przeciął więzy krępujące ręce i nogi kobiety.

Justyna wciąż płakała, tak że w pewnym momencie nie mogła już nabrać tchu.

– Jak dobrze... Że zdążyliście – wydukała przez łyzy, spoglądając na swoich wybawców: Wiesia i Maksa w przemoczonych koszulkach, Łukasza w pelerynie przeciwdeszczowej i Mikolasa w koszuli i muszce. – Moi... czterej muszkietierowie – dodała, próbując się uśmiechnąć, po czym znów zaczęła płakać. Przerazenie ustępowało radości i poczuciu odzyskiwania bezpieczeństwa. Wszystkie emocje wezbrały w niej niczym woda w Czarciej Strudze i tak jak żywioł potrzebowały ujścia. Gdy wyszła przed budynek prowadzona pod rękę przez Wiesia, wciąż płakała. Padający deszcz zmywał z niej brud tego, co przeżyła.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Mimo złych przeczuć Marszałkowa zaczęła krzątać się po kuchni, wpadając stopniowo w rytm pracy. Nie było prądu, więc w pomieszczeniu robiło się coraz bardziej szaro.

Kobieta otworzyła jedną z szaf i wyjęła dwie lampy naftowe, które służyły jej w przypadku awarii elektryczności. Postawiła je na kuchennym blacie i delikatnie przetrzała zakurzone szklane klosze. Przyniosła butelkę z naftą, napełniła obie lampki do pełna i zapaliła. W kuchni zrobiło się nastrojowo. Blask ognia radośnie płaszącego w kloszu sprawił, że kucharka się uśmiechnęła. Poszła do jadalni, by nastawić jedną z niedawno zakupionych płyt. Uznała, że piosenki Krzysztofa Krawczyka najlepiej zrobią na jej lęki. Pośpiewa sobie razem ze swoim idolem, a gdy kolacja będzie na stole, Wiesław na pewno się zjawi. Z tą myślą ruszyła w stronę szafki z płytami. Nagle zatrzymała się zrezygnowana, uświadamiając sobie, że nie ma prądu.

Czarci Młyn, 16 września 2006

Po wyjściu z ciemnego budynku Justyna potrzebowała dłuższej chwili, nim jej oczy przyzwyczyły się na nowo do światła. Spojrzała na otaczający plac przed młynem las, który niczym gąbka chłonał spadający na niego deszcz. Z niepokojem popatrzyła na wezbrane wody Czarciej Strugi i Białej Łaby, których rozwścieczone nurty toczyły ze sobą walkę w miejscu, w którym ich koryta łączyły się w jedno. Kątem

oka po raz kolejny objęła ponurą fasadę młyna. Nagle do jej świadomości dotarło, że właśnie opuściła miejsce, w którym była bliska śmierci. Dostała właśnie drugą szansę. Na tę myśl poczuła się niespodziewanie błogo i dobrze. Chyba jednak Duch Gór nad nią czuwał. Przypomniała jej się legenda o Maryi, Józefie i Gwiazdorze, kolędnicach, którzy wędrowali zimą do Martinovej Boudy. Zaraz potem przyszła jej do głowy jakaś myśl i aż się uśmiechnęła. Nie zdążyła jednak skupić się na niej dłużej, bo nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami i osunęła się na ziemię.

– Boże, kierowniczo! – krzyknął Wiesiu po raz kolejny tego popołudnia, podtrzymując tracącą przytomność kobietę. – Chłopaki, pomóżcie!

Mikolas i Łukasz, którzy szli tuż za dozorcą, natychmiast doskoczyli do Justyny.

– Jezu, co mamy robić? – Łukasz wydawał się przerażony, próbował szarpnąć Justynę za ramię, żeby ją otrzeźwić.

Maks natychmiast zobaczył w mdlejącej Justynie pacjentkę, która potrzebuje pilnej pomocy. Klęknął przy niej i przyjrzał jej się uważnie. Skóra Justyny była blada, oczy jej się przymykały.

– Ułóżcie jej nogi prosto – zawołał. Sam w tym czasie złapał kobietę za nadgarstek i ucisnął tętnicę promieniową.

– Pokażcie mi zegarek! – krzyknął.

Mikolas natychmiast wystawił w jego kierunku swoją rękę. Maks odliczał przez krótką chwilę, po czym zakomunikował:

– Tętno spowolnione. Prawdopodobnie omdlenie wazowagalne. Bardzo długo była w pozycji leżącej, nagle została spionizowana, akcja serca zwolniła i mózg jest niedotleniony. Dodatkowo może to być spowodowane narażeniem na silny stres.

– Jezu, będzie umierać? – zapytał Wiesiu przerażony.

– Nie. Macie coś słodkiego? Czekoladę, cokolwiek? Myślę, że spadek cukru mógł też zrobić swoje.

Mikolas zaczął nerwowo przeszukiwać swój przemoczony kelnerski fartuch, którego nie zdjął, wybiegając ze Szpindlerowej Boudy.

– Mam! – krzyknął i wyjął z jednej z kieszonek dwie torebki cukru do herbaty. Maks wyrwał mu je i otworzył.

– Justyna, dasz radę przełknąć? Otwórz buzię! Słyszysz mnie?

– Słyszę... Dam radę... – wymamrotała i połknęła wysypaną na język zawartość saszetek.

– Dobra. Teraz podnieście jej nogi – wydał komendę. – Trochę krwi musi popłynąć z powrotem do serca i dalej do mózgu.

Mikolas i Łukasz zrobili to, co kazał im Maks. Wiesiu patrzył z boku na wszystko, co się dzieje, z przerażeniem. Nie był w stanie się ruszyć, tak jakby nogi wrosły mu w ziemię.

Minęła dłuższa chwila.

– Jak ci? – zapytał Maks, podtrzymując rękami głowę Justyny, żeby nie leżała bezpośrednio na twardej i mokrej ziemi.

– Lepiej – odparła. – Zabierzcie mnie stąd.

– Dobra panowie, niesiemy ją do samochodu – polecił Maks. – Tylko bez gwałtownego podnoszenia do pionu, bo znowu nam zemdleje.

– Postawcie mnie już, sama wsiądę... – zaczęła Justyna, gdy byli już przy aucie.

– Ale kierowniczo... – Wiesiu próbował protestować.

– Sama i koniec! – syknęła.

– Widać, że naprawdę już ci lepiej. – Mikolas się uśmiechnął.

– Doktor pozwala? – spytał dozorca, z nadzieją patrząc na Maksa.

– To ten typ pacjentki, która i tak zrobi to, co sama uzna za słuszne, prawda Justynko? – zapytał retorycznie.

– Prawda – odparła, stając na własne nogi. – Co się stało? – wskazała na urwane lustro i wgniecioną karoserię.

– Małe przeszkody po drodze. – Mikolas machnął ręką. – Nic ważnego. Wsiadaj.

Justyna posłusznie zajęła miejsce z przodu. Na tylnych siedzeniach ulokowali się Łukasz, Wiesiu i Maks.

– Ty jesteś cudotwórcą, panie doktorze – powiedział dozorca, wpatrując się rozanielonymi oczami w Rajczakowskiego.

– Panie Wiesiu, nic takiego nie zrobiłem.

– Nie straciłeś zimnej krwi. A to już jest wielkie – odparł dozorca.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Łukasz.

– Teraz wieziemy Justynę do szpitala, a potem... policzymy się z tym skurwysynem Svobodą – powiedział Mikolas.

– Mnie? Nie chcę do szpitala! – zaczęła opierać się Justyna.

– Bez dyskusji. Mikolas ma rację – przyznał Łukasz, choć widać było, że te słowa z trudem przeszły mu przez gardło.

– Maks, powiedz im, że nie potrzebuję szpitala!

Mężczyzna wahał się przez chwilę.

– Doznałaś jakichś urazów? Uderzenia, zwłaszcza w głowę? – zapytał rzeczowo.

– Nie. Przywiązał mnie tylko do krzesła. Najadłam się strachu i tyle. – Próbowwała bagatelizować.

– Okej, czyli wskazań do tomografii albo innych badań obrazowych nie widzę. Cóż, leżenie w zimnej wodzie może w najgorszym razie skończyć się zapaleniem płuc. Gdyby jednak omdlenie się powtórzyło, to wtedy...

– Ale się nie powtórzy. – Przerwała mu. – Czyli to już mamy ustalone. Szpital wybijcie sobie z głowy. A co do Svobody... Mikolas, to zły pomysł. On ma broń. Zgłośmy lepiej porwanie na policję.

– Żartujesz sobie? – odparł barman. – Nim policja weźmie się do roboty, on ucieknie daleko stąd!

– Mikolas! Nie pozwolę ci na żaden samosąd. On jest niebezpieczny! Ściągniesz na siebie kłopoty!

Wiesiu, który jakiś czas przysłuchiwał się w milczeniu nerwowej wymianie zdań, włączył się nagle do rozmowy:

– To wszystko... jest zbędne. Svoboda nie żyje. Zabiłem go.

– Co? – spytali niemal jednocześnie Mikolas i Justyna, odwracając się w stronę pasażerów siedzących na tylnym siedzeniu. Wiesiu spuścił głowę.

– Po tym, jak panią porwał, przyszedł do mnie do schroniska. Po ten sejf. Powiedział, że jeśli mu nie pomogę, już nigdy nie zobaczę kierowniczkę na oczy. Nie myślałem logicznie... Byłem taki wściekły! I go udusiłem. Sam zgłoszę się na policję.

– Zaraz... Zaraz... – Justyna zmarszczyła czoło. – Przecież pana za to wsadzą!

– Kierowniczko, gdyby nie pani, już dawno by mnie nie było na tym świecie. A tak cieszyłem się życiem jeszcze kilka lat. Dzisiaj spłaciłem chyba dług

wdzięczności. Widocznie tak miało być.

– Nie będzie pan szedł na żadną policję. Nie pozwolę, żeby skończył pan w więzieniu, rozumiemy się?

Wiesiu bąknął coś niewyraźnie. Ręce mu się trzęsły.

– Coś wymyślimy! Prawda? – Popatrzyła na Łukasza i Mikołasa. Mężczyźni potaknęli, choć miny mieli nietęgę. Maks milczał zamyślony.

– Kierowniczo, nie można inaczej. I tak mnie znajdą – powiedział Wiesiu.

– Gdzie to się stało? – zapytał Maks. – W sensie: gdzie pan go udusił?

– W tym ukrytym pokoju w schronisku.

– Ciało dalej tam leży? – dociekała Justyna.

– Tak.

– Ktoś poza nami o tym wie?

– Nie.

– Ktoś was widział w schronisku?

– Nie... Marszałkowa miała popołudniową drzemkę, robotnicy byli w piwnicy.

– Dobrze. Więc taki stan rzeczy ma pozostać. Zrozumiano, panie Wiesiu? Ani słowa o tym, co się wydarzyło.

– Ale kierowniczo...

– Ja tu rządę, tak czy nie?

– Tak.

– I taką podjęłam decyzję. Bez dyskusji. Pojedziemy teraz na górę. Zamurujecie pan wejście do tego przekłętą pokoju na amen. Widać tajemnica naszego schroniska musi poczekać jeszcze kilka pokoleń na odkrycie.

Przez chwilę panowała cisza. Wszyscy intensywnie nad czymś rozmyślali.

– Panie Wiesiu, dzisiaj zadzwoniłam do pana po południu, że miałam wypadek przy Czarcim Młynie. Przyjechałam tu autem z ciekawości, potknęłam się i skręciłam nogę. Trochę się też poobijałam. Wziął pan Mikołasa, Łukasza i Maksa. Przyjechaliście razem po mnie, bo tak bardzo się o mnie troszczyliście, prawda? – Justyna powiodła wzrokiem po zebranych.

– Prawda. – Maks pierwszy potwierdził. – Tak było.

– Rzeczywiście, tak było – dołączył się Łukasz. – Przyszedłem do schroniska po pracy, a pan Wiesiu przybiegł do mnie z płaczem, że kierowniczką złamała na szlaku nogę. I rękę. A ona szczęśliwie tylko trochę się poobijała. Panie Wiesiu, ale mnie pan nastraszył – zwrócił się do dozorczy karcącym głosem.

Wiesiu milczał.

– W takim razie decyzja podjęta. Ja, Miki, pan Wiesiu i Maks jedziemy do Odrodzenia, koniec, kropka – rzuciła Justyna. – Trzeba ogarnąć ten bajzel jak najszybciej, zanim ktoś się zorientuje. Łukasz, ty wysiądź i wróć pod młyn. Pojedziesz moim samochodem na górę.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Pavel Svoboda otworzył oczy i pierwsze, co poczuł, to palący ból szyi. Próbował krzyknąć, ale z jego krtani dobył się tylko świszczący dźwięk. Złapał się za gardło. Zaczął wstrząsać nim przeraźliwy kaszel, który uniemożliwiał mu nabranie tchu. Chrząknął kilkakrotnie i po dłuższej chwili udało mu się nieco uspokoić oddech. Zaczął masować szyję, niepewnie rozglądając się wkoło. Światłem czołówki omiatał kolejne fragmenty pomieszczenia, próbując przypomnieć sobie, co właściwie się stało. Spojrzał na leżący obok kabel przedłużacza.

– Skurwysyn... – Stęknął Svoboda, gdy uświadomił sobie, dlaczego stracił przytomność. Jeszcze raz przejechał dłonią po szyi, wyczuwając miejsce, w którym był zaciśnięty kabel. Po chwili podniósł się z ziemi i rozejrzał wokół. Nagle chwycił ręką za kaburę. Pistolet dalej tkwił na swoim miejscu. Miał ochotę roześmiać się z naiwności dozorczy. „Nie tylko nie potrafił mnie udusić, ale nawet nie był na tyle rozsądny, by zabrać mi broń” – pomyślał.

Przez chwilę analizował sytuację. Gdzie jest teraz Wiesiu? Co robi? Czy może wezwał policję? Svoboda spojrział na zegarek. Od czasu, gdy stracił przytomność, upłynęło niecałe pół godziny.

– Nie ma czasu do stracenia – mruknął pod nosem. Poprawił pistolet za pasem, aby w razie potrzeby móc szybko go użyć. Wziął do ręki przedłużacz, jeden jego koniec przywiązał do stalowej pryczy, która stała w pomieszczeniu, i skierował się do szybu towarowego. Zaczął wjeżdżać na górę, co chwilę zrzucając po kawałku

przewodu. Miał nadzieję, że jego długość wystarczy, aby wetknąć go do najbliższego gniazdko w kuchni.

Droga z Czarciego Młyna na Przełęcz Karkonoską, 16 września 2006

Ruszyli. Maks zaszępiiony wpatrywał się nieobecny wzrokiem w kolejne mijane zakręty pustej górskiej drogi. Nie rozumiał do końca, co zaszło w Odrodzeniu, ale jedna wiadomość dotarła do niego bardzo jasno: dozorca schroniska zabił człowieka, a Justyna zamierzała to ukryć. Z jednej strony w głębi ducha współczuł starszemu mężczyźnie, który był gotów poświęcić wszystko, byleby uratować kobietę. Z drugiej zaś – w jego głowie mnożyły się obawy, że ukrycie zabójstwa nie będzie łatwe. Co więcej, gdyby sprawa wyszła na jaw, wszyscy oni zostaną posądzeni o współudział.

Deszcz przestał padać. O szybę samochodu tylko co jakiś czas uderzały ciężkie krople, strącane z drzew przez szalejący w ich koronach wiatr. Nagle dało się słyszeć ciche pociągnięcie nosem. Justyna się odwróciła.

– Panie Wiesiu! Dlaczego pan płacze?

Teraz dozorca rozsypał się na dobre i zaczął nim wstrząsać przeraźliwy szloch.

– Mikolas, zatrzymaj się – poleciła Justyna. – Maks, zamień się ze mną miejscem.

Kierowca zjechał na pobocze tuż przed miejscem, w którym szutrowa droga z Czarciego Młyna dołączała się do asfaltowej, wiodącej ze Szpindlerowego Młyna na Przełęcz Karkonoską. Justyna wysiadła z samochodu. Zaraz też za nimi zatrzymał się Łukasz.

– Coś się stało? – Wychylił się przez opuszczoną szybę.

– Nic, wszystko w porządku. Zamieniamy się miejscem.

Już po chwili siedziała obok Wiesia i obejmowała go czule.

– Panie Wiesiu... – zaczęła troskliwym głosem.

– To... Wszystko moja wina! Ja nie powinienem był w ogóle rozmawiać z tym człowiekiem.

– Ze Svobodą?

– Tak. On przyszedł jakiś miesiąc temu, powiedział, że wie o remoncie. Że musi w tym czasie wziąć ze schroniska coś ważnego, co należy do jego rodziny. Ja nawet nie wiedziałem co to! Powiedział, że jak mu nie pomogę, to wykończy kierowniczkę.

– Co wy tam ukrywacie w tym Odrodzeniu? – Do rozmowy włączył się Maks zdziwiony opowieścią dozorca.

– Po drugiej wojnie światowej schronisko przez długi czas pozostawało niezagospodarowane przez Polaków. Kilku gówniarzy z Hitlerjugend zaczęło więc wykorzystywać je jako swoją bazę. Jest tam pokój, w którym ukrywali Karla Hankego – wyjaśniła Justyna.

– Co ty mówisz! Karla Hankego? – Na wspomnienie tego nazwiska Maksowi aż dreszcze przeszły po plecach. – Tego, który odwiedził Hauptmanna i wcisnął mu kradziony obraz... On potem mieszkał w Odrodzeniu?

– Tak. Oberwał kulkę w jakiejś strzelaninie i nie mógł uciekać dalej. Ci z Hitlerjugend mu pomogli, ukryli go w pustym schronisku i sprowadzili polskiego lekarza, którego szantażem zmusili do udzielenia Hankemu pomocy. A potem przenieśli zbrodniarza do Klinowych Boud, gdzie zamordowała go kobieta, która wcześniej zgodziła się go ukryć. Ta kobieta żyje, dzisiaj z nią rozmawiałam. Jest matką Svobody. Co więcej, wiem, kto jest jego ojcem. Karl Hanke.

– To niesłychane! – Maks był poruszony.

– Ci z Hitlerjugend ukryli w schronisku w sejfie w zamurowanym pokoju trochę złota. Nie chcielibyście wiedzieć, skąd je mieli. Poza tym trzymali tam różne dokumenty, w których opisywali swoją działalność, jak choćby zamach na pociąg towarowy w Szklarskiej Porębie w czterdziestym siódmym.

– Ten zamach, w którym zginął pani dziadek? – spytał Wiesiu.

– Najprawdopodobniej. Svoboda liczył, że złoto i dokumenty, którymi wciąż można byłoby szantażować kilka osób, rozwiążą jego problemy finansowe.

– Kanalia... – rzucił Wiesiu.

– Zagadka, niestety, dalej pozostanie zagadką. – Justyna westchnęła. – Pokój z trupem trzeba jak najszybciej zamurować. Nie mamy czasu, żeby teraz wykuwać sejf ze ściany. Za duże ryzyko, że ktoś nas zdemaskuje.

Wiesiu zaczął drapać się po głowie.

– Mogę mieć klucz do tego sejfu.

– Co pan powiedział?! – wykrzyknęła Justyna.

- Ach, to długa historia...
- Proszę opowiedzieć!

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Marszałkowa usłyszała nagle dziwne odgłosy, tak jakby ktoś sapał z wysiłku. Rozejrzała się po kuchni. Dźwięk nasilał się i zaczęły mu towarzyszyć metaliczne pojękiwanie i skrzypienie. Przeszła między kuchennymi blatami, szukając źródła niepokojących odgłosów. Czy rzeczywiście je słyszała? A może to tylko urojenia?

Nagle jej wzrok zatrzymał się na drzwiczkach szybu towarowego. Były uchylone. Jak mogła tego wcześniej nie zauważyć?! Już chciała zamknąć je z powrotem na rygiel, gdy uświadomiła sobie, że tajemnicze odgłosy dochodzą właśnie stamtąd. Wstrzymała oddech. Przed oczami pojawiły jej się natychmiast wspomnienia sprzed kilkunastu lat, gdy zajrzała do kuchni nocą w poszukiwaniu alkoholu. Kto lub co było w starym szybie? Może to Wiesław robił sobie po prostu z niej żarty? Nie podejrzewałaby go jednak o taką głupotę. A może ktoś wszedł do windy przez garaż i próbował włamać się do kuchni? To wydało jej się jednak jeszcze bardziej niedorzeczne, zwłaszcza że wlot do szybu na dole został na jej prośbę zamurowany.

Odgłosy zza niedomkniętych drzwiczek się nasilały. Przełknęła ślinę i podeszła do windy. Postanowiła się przekonać, co tam straszy. Nagle ktoś od środka gwałtownie pchnął drzwiczki, aż trzasnęły o ścianę. Odruchowo odskoczyła. Poczula pod pośladkami stalowy kuchenny blat. Nie spuszczać wzroku z windy, oparła się o niego dłońmi. Po chwili z wnętrza szybu zaczął gramolić się usmolony mężczyzna z kablem w jednej ręce. W drugiej trzymał pistolet. „Ki diabeł...” – pomyślała przerażona. Ich oczy się spotkały. Mężczyzna zamarł w bezruchu, analizując swoje położenie. Zaraz też wykonał gest, który wywołał w Marszałkowej nieprzyjemny dreszcz: powiódł palcem w stronę ust i tym gestem nakazał jej milczenie. Poczula, jakby miała *déjà vu*. Serce waliło jej jak oszalałe. Mężczyzna zrobił w jej kierunku kilka kroków, po czym wystawił rękę z kablem, w drugiej wciąż trzymając wymierzony w nią pistolet.

- Podłącz to – powiedział twardo.
- To... Ty... – wyszeptała, a ze stresu zaschło jej w gardle.
- Co?

– Napadłeś tu na mnie kilkanaście lat temu...

Mężczyzna uśmiechnął się złowieszczo.

– O, czyli znowu się spotykamy – odparł, mierząc ją wzrokiem. Nie zauważył, że kobieta powoli przesuwając rękę po blacie, próbując palcami wymacać kształt poszukiwanego przedmiotu. – Ale wtedy byłaś ładniejsza... – dodał, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Marszałkowa natrafiła wreszcie ręką na przedmiot, którego szukała. Mocno chwyciła rękojeść noża. Gdy mężczyzna był już tuż przed nią, błyskawicznie z całej siły pchnęła go nożem w bok pośladka, drugą ręką łapiąc za lufę pistoletu w sposób, jakiego nauczyła się na kursie samoobrony. Napastnik zawył z bólu i niemal stracił równowagę. Marszałkowa puściła wbity do oporu nóż, po czym stękając z wysiłku, próbowała oburącz wykręcić trzymaną przez mężczyznę broń. Działała szybko i sprawnie, mechanicznie odtwarzając manewry, których nauczyła się na kursie samoobrony.

– Pomocy! Pomocy! Mor-der-ca! – zaczęła nagle przeraźliwie krzyczeć.

Mimo zaskoczenia atakiem Svoboda wciąż nie wypuszczał broni z ręki. Spróbował pchnąć kobietę i powalić na ziemię. Naparł na nią całym ciałem, w efekcie czego oboje uderzyli w znajdujący się za kucharką blat stołu. Mebel przesunął się do tyłu, a spadające z niego garnki i patelnie wywołały przeraźliwy hałas. Marszałkowa straciła równowagę i padła na ziemię, pociągając za sobą mężczyznę. Przez chwilę szamotała się ze Svobodą, aż nagle padł strzał. Na ułamek sekundy huk ogłuszył kobietę. Pocisk przeszedł tuż obok jej ramienia, po czym uderzył w zwisające z sufitu potężne chochle.

– Pomocy! – wrzasnęła po raz kolejny. – Chce mnie zabić!!! Odgłos strzału sprawił, że wstąpiło w nią jeszcze więcej siły. Szarpała się nieustępliwie, wciąż nie puszczając broni ściskanej przez Svobodę w rękach. Po chwili udało jej się zrzucić z siebie napastnika, przetoczyć na bok, a potem znaleźć nad mężczyzną. Znów rozległ się metaliczny brzęk spadających ze stołu sprzętów. W ferworze walki ani Svoboda, ani Marszałkowa nie zorientowali się, że jedna z lamp naftowych przesunęła się na brzeg kuchennego blatu. Svoboda zepchnął napastniczkę z siebie i oboje uderzyli o kant nogi stołu. Rozległ się brzęk tłuczonej lampy, a po podłodze rozprysła się na wszystkie strony nafta. Błyskawicznie buchnęła kopącym płomieniem, niemal dosięgając walczących.

– Pożar! Ratunku!!! – zaczęła krzyczeć Marszałkowa.

– Zamknij mordę! – wrzasnął Svoboda.

Rozsierdzona kobieta ugryzła go nagle z całej siły w szyję, aż zawył z bólu i w końcu puścił pistolet. Kucharka błyskawicznie się podniosła, a nim Svoboda zdążył złapać ją rękami za nogę, zamachnęła się i kopnęła go w krocze. Wrzasnął przeraźliwie, łapiąc się za rozporek.

– To za tamto – syknęła wściekła. Odgarnęła ze spoconego czoła włosy, po czym wymierzyła mu jeszcze jednego kopniaka. – A to za tę „ładniejszą” – dodała, spluwając na niego.

Svoboda stęknął, zwijając się z bólu. Przez krótką chwilę w pomieszczeniu było słyhać tylko ciężkie dyszenie mierzących się wzrokiem kucharki i włamywacza. Nafta stopniowo się dopalała. Za oknem Duch Gór wciąż szalał, spuszczając na swoje królestwo chyba najbardziej srogą burzę w tym roku. Widać było, że pan Karkonoszy także mocno przeżywa to, co dzieje się w jego górach.

Marszałkowa była jak w transie. Do rzeczywistości przywrócił ją odgłos grzmotu. Dopiero wtedy zorientowała się, że całe miejsce ich walki jest umazane krwią. Svoboda obrócił się na bok i wciąż spoglądając na kobietę, złapał za nóż, nadal tkwiący w jego pośladku, i go wyciągnął. Jego spodnie coraz szybciej przybierały ciemnoczerwoną barwę, a kuchenne kafelki stopniowo pokrywała kałuża krwi.

W tym momencie Marszałkowa jakby się ocknęła i uświadomiła sobie, że trzyma w dłoni pistolet. Niewiele myśląc, ponownie zaczęła wzywać pomocy i wybiegła na korytarz. Nagle zreflektowała się, dopadła drzwi do kuchni, złapała stojący przy wejściu wysłużony wieszak na kurtki i zaparła nim kłamkę.

Droga z Czarciego Młyna na Przełęcz Karkonoską, 16 września 2006

– To historia sprzed wielu lat... – zaczął Wiesiu niepewnie. – Jeszcze z czasów, gdy zacząłem tu pracować, na samym początku lat dziewięćdziesiątych. Któregoś dnia do Odrodzenia przyszedł gość. Dość osobliwy, koło sześćdziesiątki. Niemiec z NRD. W tym czasie mieliśmy problemy ze znalezieniem do schroniska pracowników,

dlatego czasami stałem też za barem. Wieczorem Niemiec zszedł do jadalni, zamówił wódkę. Polałem. Jakoś tak wyszło, że sam też się napiłem.

Justyna spojrzała na niego wymownie.

– Wie kierowniczką, schronisko puste, jesień, nie było co robić. W każdym razie on mówił po rosyjsku. Ja też, takie czasy były... Więc zaczęliśmy sobie gadać o tym i owym... Po kilku kolejkach język mu się rozwiązał. Widać było, że jest bardzo przejęty wizytą w Odrodzeniu. Już to mnie zaciekawiło. Schronisko, jakich w Karkonoszach wiele, a dla niego te odwiedziny naprawdę dużo znaczyły. Z początku tego nie rozumiałem, a bałem się zapytać o pewne rzeczy wprost, żeby nie spłoszyć go swoim wścibstwem. Czuję jednak podświadomie, że był z tym miejscem kiedyś związany, i to mocno. Ile to razy zdarzało się, że po wojnie Niemcy wracali na nasz Dolny Śląsk. Chcieli zobaczyć miejsce swojego dzieciństwa, wspominać czasy szczęśliwej młodości, którą tak nagle im zabrano. No i nie myliłem się. Facet nazywał się Johannes Schmied.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Pavel Svoboda próbował się podnieść. Miał wrażenie, że sygnały z całego ciała docierają do jego mózgu z opóźnieniem. Próg odczuwania bólu stawał się coraz niższy, a skutki tego były opłakane. Jako pierwsze poczuł niemiłosierne palenie w kroczu. Miał wrażenie, że przyrodzenie wręcz tętni, uczucie klucia nasilało się z każdą chwilą. Potem do jego świadomości dotarł sygnał z pośladka. Poszarpany kuchennym nożem mięsień był źródłem tak mocnego rwania, że aż robiło mu się ciemno przed oczami. Jak mógł dać się tak załatwić głupiej kucharce? Zaklął pod nosem. Uniósł się na rękach, chwycił stołu i spróbował stanąć na zdrowej nodze. Wyjść z bólu, złapał równowagę, oparł się o blat i rozejrzał wokół. Zachlapana krwią kuchnia wyglądała upiornie. Srebrzące się ostre noże, wielkie chochle, maszyny do mielenia mięsa i białe kuchenne kafle z ciemnoczerwonymi plamami sprawiały, że pomieszczenie przypominało rzeźnię.

Z początku niewielka kałuża wokół jego nóg stopniowo rosła. Musiał jak najszybciej zatamować krwawienie. Złapał jeden z fartuchów wiszących na haczykach obok okna i obwiązał się nim poniżej pasa. Musiało mu to wystarczyć za

tymczasowy opatrunek. Powłócząc zranioną nogą, doczłapał do drzwi i ostrożnie spróbował nacisnąć klamkę. Nie ustąpiła. Szarpnął z całych sił.

– Cholera jasna! – warknął. Wyglądało na to, że ta baba nie tylko go spacyfikowała, ale jeszcze uwięziła. Napał na drzwi całym ciałem, ale bez rezultatu. W tym momencie znowu usłyszał krzyki kucharki dochodzące z głębi schroniska. Zrozumiał, że musi jak najszybciej uciekać. Jeśli ta kobieta wróci tu z odsieczą, dodatkowo uzbrojona w jego broń, będzie skończony.

Nie zastanawiał się długo. Jedynym wyjściem pozostawało okno. Dowłókł się do niego z trudem. Przesunął rygiel i otworzył potężne skrzydło, a zaraz potem następne. W twarz uderzył go silny wiatr, który szarpał strugami deszczu we wszystkich kierunkach. Zdrowym pośladkiem usiadł na parapecie, złapał się ramy okna i wyjrzał na zewnątrz. Kuchnia znajdowała się na pierwszym piętrze, niezbyt wysoko, ale w jego stanie skakanie nie wchodziło w grę. Spojrzał na rynnę przebiegającą tuż przy oknie. To była jego ostatnia deska ratunku. Wdrapał się na klęczkach na parapet, po czym wystawił za okno jedną nogę. Zakręciło mu się w głowie.

– Nie dam rady – szepnął sam do siebie. W tym momencie usłyszał krzyki i odgłos kroków dochodzący od strony drzwi do kuchni. Nie mając innego wyjścia, złapał się jedną ręką rynny, drugą kurczowo zaciskając na ramie okiennej. Usłyszał grzmot, którego siła sprawiła, że poczuł, jak dźwięk rezonuje w jego klatce piersiowej. Tak jakby tuż obok wybuchła potężna bomba. Przełamał wewnętrzny opór, puścił ramię okna i drugą rękę zacisnął na śliskiej rynnie. Teraz zostały tylko nogi. Kiedy usłyszał, że otworzyły się kuchenne drzwi, zeskoczył z parapetu, z całej siły obejmując dłońmi miedzianą rurę. Instalacja zatrzęsała się i zadudniła, ale wytrzymała ciężar mężczyzny. Ścisnął rynnę między kolanami, wyjąc z bólu. Przebity pośladek rwał niemiłosiernie.

Metr po metrze zaczął się zsuwać na dół. Rynna wydawała nieustannie metaliczny łoskot, któremu towarzyszył szmer płynącej wewnątrz wody. Gdy był już blisko ziemi, usłyszał charakterystyczny trzask drewna. Z przerażeniem spojrzał w górę. Jeden z uchwytów mocujących rynnę do drewnianej elewacji oderwał się, a zaraz po nim kolejny. Chwilę potem obciążona ciałem mężczyzny pociągnęła za sobą całą deskę, do której była przykręcona, wrywając ją ze ściany. Fragment elewacji, rynna i uczipiony jej Svoboda polecieeli w dół.

Droga z Czarciego Młyna na Przełęcz Karkonoską, 16 września 2006

– Boże! To był Johannes Schmied? – Justyna była poruszona. – Jego przecież zastrzeliła matka Svobody.

– Skąd pani o tym wie?

Kilroy was here

– Svoboda mi to dzisiaj powiedział. Kim był ten Schmied?

– Syn ostatniego niemieckiego właściciela schroniska, Alberta Schmieda. Albert zginął w czterdziestym piątym w strzelaninie podczas próby pomocy w ucieczce jakiemuś przyjacielowi. Johannes nie powiedział mi, niestety, kim był ten człowiek, któremu jego ojciec pomagał.

– Nie wiedział? – zapytała Justyna z powątpiewaniem.

– Myślę, że wręcz przeciwnie. Doskonale sobie zdawał sprawę z tego, kim był tamten, ale bał mi się do tego przyznać. Powiedział tylko coś takiego: „Lepiej dla ciebie, Wiesław, żebyś nie wiedział, z kim ojciec się przyjaźnił i kto go tutaj odwiedzał. Będiesz spał spokojniej”. Więc nie dopytywałem. A jak teraz słyszę o tym, że Hanke przeprowadził się przez te góry i oberwał kulkę, myślę, że to jemu stary Schmied próbował pomóc.

– Mogło tak być! – stwierdziła Justyna.

– Johannes w pewnym momencie powiedział, że może mi coś pokazać – na dowód tego, że był związany z tym miejscem przez całe dzieciństwo. Kojarzy kierowniczką ten przedwojenny zegar, który stoi w kącie jadalni?

– Trudno nie kojarzyć, bije co godzinę.

– W latach dziewięćdziesiątych nie działał. Nikt nie miał kluczyka do drzwiczek, więc nie można go było nakręcić. Zamierzałem co prawda wyłamać zamek i wstawić nowy, ale jakoś ciągle nie było na to czasu. I ten Schmied nagle wstał, podszedł do zegara, wyjął z kieszeni pęk starych kluczy, bez zastanowienia wybrał właściwy i otworzył drzwiczki!

– Niesamowite! I on dał panu te klucze?

– Niezupełnie... W pewnym momencie wspomniał mi, że jest tu w schronisku zamurowany pokój. Zapytałem: gdzie? Ale on jakby zorientował się, że chyba

powiedział za dużo, bo zaczął kręcić, że źle go zrozumiałem, zwał to na swój słaby rosyjski... A mówił bardzo dobrze! Zapytałem go, po co tu przyjechał. Powiedział, że szuka dawnych znajomych sprzed czterdziestu lat, z którymi przeżył w czasie wojny wiele przygód. Byli razem w Hitlerjugend. Powiedział, że najstarszego, nie pamiętam, niestety, imienia, wykończyła polska milicja, a nie wie, co stało się z pozostałymi. Mówił, że musi odwiedzić jakąś czeską wioskę, gdzie mieszka kobieta, która była krewną tego najstarszego, i że ona pewnie będzie wiedziała.

– Boże, poszedł do Klinowych Boud! – wykrzyknęła Justyna. – I co?

– I jakieś dwa dni później wyłowili jego ciało ze zbiornika Łaby w Szpindlerowym Młynie. Ktoś go zastrzelił i wrzucił do wody. Kiedy tylko się dowiedziałem, że ten trup ze Szpindlerowego to gość, z którym rozmawiałem kilka dni wcześniej, poszedłem do jego pokoju, zanim pojawiła się policja. Przeszukałem rzeczy i znalazłem ten pęk kluczy... Wiem, że to nieelegancko, ale jemu już by się nie przydały. A ja chciałem nakręcić ten zegar i... No, zabrałem sobie po prostu te klucze. Mam je schowane u siebie w warsztacie. Kilku nie mogłem dopasować do żadnego zamka. Może któryś będzie pasował do tego całego sejfu? – Podrapał się po brodzie.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Pavel Svoboda miał wrażenie, że umiera. Już wcześniej ból krocza i zranionego pośladka był nieznośny, ale teraz, po upadku z wysokości, jeszcze się nasilił. Gdy wciąż uczepiony kurczowo rynny uderzył o asfalt, miał wrażenie, jakby po raz pierwszy był w stanie rzeczywiście policzyć wszystkie swoje kości. Nie wszystkie wyszły z tego wypadku cało – tego był pewien. Jęczał z bólu i czuł, że traci oddech. Każde nabranie powietrza w płuca wywoływało niewyobrażalnie silne kłucie w klatce piersiowej.

Nagle ujrzał czerwoną z emocji twarz kucharki, która wyglądała przez okno. Ich spojrzenia się spotkały.

– Tam jest! – wrzasnęła, wskazując na przygniecionego rynną i deskami mężczyznę, po czym zniknęła w oknie. Svoboda domyślił się, że kobieta pobiegnie teraz z kuchni na parter, do wyjścia. A to oznaczało, że miał bardzo mało czasu. Jęknął z bólu i przeklinając pod nosem, spróbował się podnieść. Jego kręgosłup

zareagował na to nieprzyjemnym chrupnięciem. Zaciśnął zęby i oddychając nerwowo, nadludzkim wysiłkiem dowlókł się do swojego samochodu. Gdy do niego wsiadał, zauważył w drzwiach schroniska kucharkę i kilku robotników.

Błyskawicznie odpalił silnik. Zdążył w ostatniej chwili, gdyż mężczyźni, którzy wybiegli razem z kucharką, już doskoczyli do auta. Svoboda dodał gazu i ruszył z impetem. Jednemu z robotników udało się otworzyć drzwi samochodu po stronie pasażera, ale nim zdążył wsiąść, Svoboda gwałtownie przyspieszył i mężczyzna upadł na ziemię, przeklinając siarczyście.

Mimo wszystkich doznanych obrażeń Svoboda uśmiechnąłby się nawet na ten widok, gdyby nie jeden problem. W Odrodzeniu był już spalony, a zadania nie udało mu się wykonać. Na myśl o reakcji matki, gdy dowie się, że cały jej plan się posypał, poczuł strach i nasunęło mu się wspomnienie z dzieciństwa. Przypomniawsobie, jak kiedyś matka tak bardzo złała go pasem, że przez dłuższy czas nie mógł leżeć na plecach. Na to wspomnienie aż się wzdrygnął.

Kątem oka spojrzął w lusterko i zobaczył, że jeden z robotników trzyma wycelowaną w jego kierunku broń. Chwilę później strzelił.

Droga z Przełęczy Karkonoskiej do Szpindlerowego Młyna, 16 września 2006

Svoboda aż podskoczył na fotelu, niemal tracąc panowanie nad kierownicą, gdy usłyszał huk wystrzału.

– Cholera jasna! – wrzasnął, szarpiąc kierownicą w bok. Zaraz potem skręcił w przeciwnym kierunku. Liczył, że gdy będzie co rusz zmieniał tor jazdy, mężczyźni nie uda się trafić w samochód.

Nagle dostrzegł turystów, którzy zmierzali z naprzeciwka. Wyłonili się z mgły tak niespodziewanie, że Svoboda na chwilę zdębiał. Na widok samochodu i odgłosu strzałów wędrowcy zastygli w bezruchu. Tymczasem Svoboda w okamgnieniu oprzytomniał i zaczął trąbić, odruchowo wciskając hamulec. Zaraz jednak zdjął z niego nogę, słysząc kolejny huk wystrzału. Gdy turyści uświadomili sobie, że w ich kierunku zmierza slalomem rozpędzony samochód i najwyraźniej nie zamierza zwolnić, skoczyli do rowu.

Padł kolejny strzał. Wraz z nim rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Pocisk trafił w tylną szybę samochodu. Svoboda znowu dodał gazu, aż silnik zawył. Przyspieszanie ułatwiało znacznie to, że droga z Odrodzenia do Szpindlerowej Boudy była stromo nachylona w dół.

Chwilę później strzały ustały.

– Udało się – mruknął pod nosem. Minął Szpindlerową Boudę, skręcił gwałtownie w lewo i znalazł się na asfaltowej drodze wiodącej na dół. Deszcz tracił na sile. Samochodem wstrząsało co chwilę na skutek gwałtownych i silnych podmuchów wiatru od południa. Co jakiś czas do auta wdzierało się z diabolicznym świstem powietrze.

Stękając z bólu, Svoboda wyjął z kieszeni kurtki telefon i wybrał numer do matki. Przełknął ślinę, czując, jak zimny pot występuje mu na czoło.

Po chwili usłyszał szorstki głos kobiety:

– I jak? Gówniara z Odrodzenia załatwiona?

– Właśnie jadę z nią skończyć.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Svoboda znał ją doskonale. Matka teraz zaczyna się pewnie czerwienić, oddychając nerwowo. Już czuł, jak zbiera się w niej tyle wściekłości, że gdy zacznie ją z siebie wyrzucać, to z jej syna zostanie tylko roztrzęsiony kłębek nerwów.

– Ty kretynie! Czy ten twój łeb jest naprawdę aż tak pusty?! Gdzie ty masz rozum?!

Svoboda ponownie przełknął ślinę, bo poczuł, jak zasycha mu w gardle. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy matka znowu zaczęła krzyczeć:

– Pytam się, do cholery! Odpowiedz, ośle!

– Mamo...

– Nie mów do mnie mamo, skoro nie potrafisz się zachowywać, jak przystało na mojego syna! Co, znowu miałeś wyrzuty? Chciałeś kogoś oszczędzić? Tłumaczyłam ci tyle razy. Nie robisz tego dla przyjemności. Ale po to, żeby ratować siebie i mnie. Nie pamiętasz, jak było ze Schmiedem?

– Pamiętam...

– I co z tego, że pamiętasz, jak znowu popełniasz ten sam błąd. Może chcesz, żeby mama ponownie odwaliała za ciebie brudną robotę?

- Nie chcę.
- To dlaczego nie zrobiłeś tego od razu?!
- Zostawiłem ją sobie jako kartę przetargową. Wy tłumaczę ci... potem.
- Jaką kartę przetargową? Co ty pieprzysz? Nie miałeś robić żadnych przetargów, tylko załatwić dziewczynę i zabrać sejf.
- Wy tłumaczę ci wszystko!
- Nie interesują mnie twoje tłumaczenia. Masz sejf czy nie?
- Nie. Jadę do ciebie.
- Po co jedziesz, skoro nie masz sejfu i dokumentów! Bez tego nie pokazuj mi się na oczy, nieudaczniku!

Oczy Svobody zrobiły się szkliste od łez. Wstrząsnął nim duszony od dłuższej chwili szloch. Znowu zawiódł matkę. Nagle poczuł dziwne mrowienie w całej rannej nodze.

– Wszystko się skomplikowało... – odezwał się po chwili. – Mamo, jestem ranny. Muszę jechać do szpitala.

– A jedź sobie, gdzie chcesz! – Zawahała się przez moment, po czym zapytała: – Duży bałagan zrobiłeś w tym polskim schronisku?

– Dość... duży. Raczej jesteśmy już tam spaleni. I teraz wiedzą o sejfie... – wydusił po chwili, niemal zaciskając oczy w oczekiwaniu na kolejny wybuch wściekłości matki.

W tym momencie usłyszał klakson. Oprzytomniał. Przestał słuchać krzyku matki. Przetarł zażawione oczy i zauważył autobus, który wyłonił się zza jednego z ostrych zakrętów. Pojazd był tak szeroki, że zajmował niemal całą jezdnię.

Droga z Przełęczy Karkonoskiej do Szpindlerowego Młyna, 16 września 2006

Rozkład jazdy był przemyślany i dzięki temu autobusy turystyczne dość punktualnie przez siedem dni w tygodniu kursowały kilka razy dziennie trasą z górskiego kurortu na Przełęcz Karkonoską pod schronisko Szpindlerowa Bouda i z powrotem. Jednak godzinę wcześniej, podczas poprzedniego kursu na górę, kierowca otarł się na moście o pędzący z naprzeciwka samochód należący, jak mu się zdawało, do

barmana ze Szpindlerowej Boudy. Co prawda incydent zakończył się szczęśliwie, jednak kierowca wezwał policję, bo sprawca zdarzenia uciekł z miejsca wypadku. Oczekiwanie na policję spowodowało znaczne opóźnienie i teraz kierowca postanowił za wszelką cenę je nadrobić, nawet przekraczając dozwoloną szybkość. Obiecał sobie, że gdy tylko zrobi ostatni kurs na górę, pójdzie do czeskiego schroniska powiedzieć barmanowi parę gorzkich słów na temat jego stylu jazdy.

Mgła wciąż wisiała w powietrzu i aż trudno było uwierzyć, że jeszcze rano na niebie świeciło słońce. Biorąc ostry zakręt, kierowca zwolnił nieco, gdy nagle zauważył pędzący z naprzeciwka samochód. Nauczony doświadczeniem sprzed godziny, zatrąbił ostrzegawczo, ale ponieważ kierujący pojazdem nie zareagował, przezornie zaczął hamować i co chwilę wciskał klakson. Autobus był trochę za szeroki jak na warunki górskiej drogi i wyminięcie się z nim nawet na prostym odcinku wymagało nierzadko zjechania na pobocze, a przede wszystkim małej prędkości obu pojazdów i zachowania ostrożności. O jadącym z naprzeciwka samochodzie nie można było jednak powiedzieć ani jednego, ani drugiego.

– Co tu się dzisiaj dzieje, do cholery! – wrzasnął kierowca autobusu wściekły i przerażony jednocześnie, nieustannie trąbiąc i hamując. W pewnym momencie pędzący z naprzeciwka wprost na czołowe zderzenie kierowca także zaczął hamować. Widać było, jak rozpaczliwie próbuje zapobiec katastrofie. Zaczął zbliżać się do pobocza, ale zjechał na nie za gwałtownie i ze zbyt dużą prędkością. Rozpędzone koła zaryły w błocie i autem szarpnęło. Mężczyzna tracił panowanie nad pojazdem.

Wszystko trwało zaledwie kilka sekund. Tylna część samochodu zbliżyła się niebezpiecznie do przepaści, zahaczyła o wystającą z ziemi skałę i auto siłą rozpędu zaczęło obracać się w bok, a następnie przechylać. Kierowca autobusu patrzył na całe zdarzenie jak zahipnotyzowany. Samochodem zarzuciło, prawa strona straciła kontakt z podłożem i pojazd przechylił się, po czym zaczął staczać się w przepaść. Odgłos gniecionej karoserii i pękających szyb wywoływał u kierowcy autobusu niemal namacalny ból uszu. Każde kolejne uderzenie samochodu o skały było coraz głośniejsze i następowało coraz szybciej.

Nagle hałas ustał. Kierowca wysiadł z autobusu i podbiegł do przepaści. Zobaczył leżące w dole auto, którego pędowi oparły się pnie potężnych starych drzew. Zaraz też dostrzegł gęsty dym wydobywający się spod maski auta. Nim zdążył wyciągnąć telefon, żeby wezwać pomoc, potężny wybuch niemal odrzucił go do tyłu.

Słup ognia momentalnie objął cały samochód, wzbil się spomiędzy oparów mgły w górę i swoimi językami zaczął smagać korony drzew. Nasiąknięte po ulewie i ociążałe od wody konary syczały przeciągle.

Droga z Czarciego Młyna na Przełęcz Karkonoską, 16 września 2006

Mikolas pokonywał pierwszy zakręt drogi wiodącej na Przełęcz Karkonoską, gdy usłyszeli potężny huk.

– Co to było?! – krzyknęła Justyna przerażona. – Piorun?

– Chyba nie... – mruknął Maks, przecząco kiwając głową. – Burza się już skończyła. Zresztą to brzmiało inaczej. Nie wiem, jakby coś... wybuchło?

W samochodzie zapadło milczenie.

– Mam złe przeczucia... – odezwał się po chwili dozorca, przygryzając paznokcie.

– Panie Wiesiu, pan chyba lubi uprawiać czarnowidztwo. – Maks westchnął, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie. W głębi ducha jednak on także czuł, że stało się coś złego.

Justyna patrzyła na widok za oknem samochodu. Mimo że znała karkonoskie lasy jak własną kieszeń, to sposób, w jaki zmieniały się w ciągu dnia, nieustannie ją zaskakiwał. Jeszcze kilkadziesiąt minut temu, podczas burzy, las przypominał jej niezbadaną puszcę kryjącą w sobie mroczne sekrety. Szumiał, trzeszczał i wydawał z siebie całą gamę jeszcze innych dziwnych dźwięków. Wypełniająca go mgła sprawiała wrażenie, jakby mogła pochłonąć nieroztropnego śmiałka, który odważyłby się zapuścić w gęstwinę starych drzew.

Teraz natomiast oblicze lasu się zmieniło. Przywodziło na myśl tajemniczy i melancholijny ogród, który zapraszał na spacer i refleksje o przemijaniu. Promienie zachodzącego słońca, które przebijały się przez korony drzew, sprawiały, że las znowu wydawał się bezpieczny i spokojny. Wszystko przybierało barwy jesieni, zieleni świerków płowiała, drzewa traciły liście, przypominając o upływie czasu i zmianie pór roku.

Justynę z zamyślenia wyrwał dochodzący z oddali odgłos straży pożarnej. Dźwięk przybierał na sile. Chwilę później czerwony wóz na sygnale wyprzedził samochód,

którym jechał Łukasz, a następnie auto Mikolasa.

– Jednak coś się stało... – zaczął Wiesiu i urwał.

Znowu usłyszeli charakterystyczne wycie syreny. Minał ich wóz pogotowia ratunkowego.

– Boję się – dodał dozorca.

Nikt z pasażerów się nie odezwał.

Tuż za kolejnym zakrętem na środku drogi stał autobus z włączonymi światłami awaryjnymi. Mikolas zatrzymał się i wysiadł.

– Zobaczę, co się stało – rzucił i poszedł w stronę kierowcy autobusu, który palił papierosa, rozmawiając z jednym z ratowników pogotowia. Gdy tylko mężczyzna zobaczył Mikolasa, wpadł we wściekłość. Podbiegł do niego z krzykiem i żywo gestykulując, wskazywał co chwilę na autobus i widoczne na nim zarysowania.

Mikolas rozmawiał z nim przez dłuższą chwilę, coś mu tłumacząc. Justyna i Maks wysiedli z samochodu i przyglądali się zajściu z daleka. Po chwili dołączył do nich Łukasz, który zatrzymał się za samochodem Mikolasa i także włączył światła awaryjne.

– Co, wkurzył się o nasze małe starcie w drodze na dół? – rzucił do Mikolasa, gdy ten wrócił.

– Tak. – Machnął ręką. – Wyjaśniłem mu, że sprawa była wyjątkowo pilna, i obiecałem pokryć wszystkie koszty.

– Skąd ta straż i pogotowie tutaj? – spytała Justyna.

– Pogotowie w sumie zbędne, z wypadku nie ma kogo zbierać.

– Z wypadku?

– Tak. Tam za autobusem, po prawej stronie, jest przepaść, a w tym miejscu nie ma żadnej barierki. Kilkanaście minut temu z góry zjeżdżał rozpędzony samochód. Gnał wprost na czołowe zderzenie z autobusem. Facet, który go prowadził, jechał ponoć jeszcze szybciej niż ja wcześniej. Kierowca autobusu mówił, że trąbił przez dłuższy czas, ale tamten nie reagował. Nagle chyba zorientował się, że nie minie się z autobusem na tak wąskim odcinku, zjechał na pobocze i spadł w przepaść. Wybuch, który słyszeliśmy, to właśnie w związku z tym wypadkiem.

Z samochodu wysiadł także Wiesiu i poszedł obejrzeć miejsce zdarzenia. Zamienił kilka słów z kierowcą autobusu i wrócił blady jak ściana.

- Tam, w dole... – zaczął się jąkać. – Boże, nie umiem tego wyjaśnić.
- Co się stało panie Wiesiu? – Justyna spojrzała na niego z niepokojem.
- Kierowca mówi, że to była zielona terenówka. Pavel Svoboda przyjechał taką dzisiaj pod Odrodzenie.
- Ale wypadek był kilkanaście minut temu, a Svoboda nie żyje co najmniej od godziny – odezwał się Mikolas.
- No tak. Jeśli to jednak jego samochód!? Jak to możliwe? Kto prowadził?
- Panie Wiesiu. – Do rozmowy wtrącił się Maks. – A co dokładnie zrobił pan Svobodzie? Przepraszam za pytanie wprost, ale czy pan jest pewien, że go zabił?
- No... Ja... Owinąłem mu kabel wokół szyi i on osunął się na ziemię. Wydawało mi się, że przestał oddychać i wtedy uciekłem – powiedział rozstrzęsiony dozorca.
- Może on po prostu stracił przytomność z powodu chwilowego niedotlenienia? – Przecież nie jest tak, że na skutek braku dostępu do powietrza mógł umrzeć w kilkanaście sekund. Nim ktoś się udusi, to potrzeba czasem nawet kilku minut.
- Boże, czyli... Svoboda mógł to przeżyć? – Wiesiu nie wierzył własnym uszom.
- Nawet jeśli, to chyba już teraz skurwysyn został skutecznie odesłany z tego świata – podsumował nagle Łukasz. – Bo kto inny miałby prowadzić jego samochód?
- A jeśli to rzeczywiście był on i... przed wybuchem wyczołgał się z auta? – Justyna się zastanowiła, a po jej plecach przeszedł nieprzyjemny dreszcz na myśl, że jej porywacz może być gdzieś w pobliżu.
- To niemożliwe – skwitował Mikolas. – Kierowca autobusu mówi, że samochód wybuchł niemal natychmiast.
- Dobrze, ale jeśli założymy, że to był on, to znaczy, że musiał w Odrodzeniu odzyskać przytomność. – Nadal myślała na głos.
- Przecież on był uzbrojony! Boże, Marszałkowa... Mógł zrobić jej krzywdę! – Wiesiu doskoczył do auta i krzyknął do Mikolasa: – Na górę, prędko!

Przełęcz Karkonoska, 16 września 2006

- Jeśli Marszałkowej coś się stało, to ja się zabiję – zaczął Wiesiu.

– Pan za mało wierzy w siłę kobiet. – Justyna próbowała go uspokajać. – Marszałkowa jest po kursie samoobrony, na pewno nie dała mu się tak łatwo.

– Ach, no tak, pamiętam! Po tym, jak zobaczyła ducha w szybie.

– Panie Wiesiu, to nie był duch. Ona naprawdę została napadnięta wiele lat temu przez Pavla Svobodę. On próbował wydobyć ten sejf z naszego schroniska już nie po raz pierwszy.

– Co też kierowniczką opowiada! Boże, a ja naigrywałem się z niej tyle razy...

– Będzie pan to musiał odszczekać.

– Wszystko, kierowniczką, wszystko odszczekam. Boże, żeby tylko nic się jej nie stało... – Oczy dozorczy znowu zrobiły się szkliste.

Chwilę później dotarli na Przełęcz Karkonoską. Pod schroniskiem Szpindlerowa Bouda mimo późnej pory grupka turystów zaopatrzona w czołówki zbierała się do drogi. Wyglądali na amatorów nocnych eskapad, których z roku na rok w Karkonoszach przybywało. Światła w oknach schroniska i zapalone lampki choinkowe, którymi przez cały roku udekorowana była elewacja budynku, wskazywały na to, że udało się już usunąć awarię elektryczności.

Minęli czeskie schronisko i skierowali się do góry. Surowa i mroczna sylwetka Odrodzenia wyłoniła się spomiędzy drzew, sprawiając złowrogi wrażenie. Mikolas zatrzymał się tuż przed drzwiami, które były otwarte na oścież. Zaraz obok zaparkował Łukasz.

– Mam złe przeczucia, mam złe przeczucia! – rzucił Wiesiu wystraszony i pierwszy wyskoczył z samochodu.

Schronisko Odrodzenie, 16 września 2006

Dozorca pognął do budynku.

– Renata! – zaczął wołać od progu.

Justyna, Mikolas i Maks z Łukaszem pobiegli za nim.

W holu schroniska panowało nadzwyczajne poruszenie. Zgromadzili się w nim robotnicy, którzy w ciągu dnia pracowali przy remoncie. W centrum stała Marszałkowa, tłumaczyła coś komuś przez telefon. Rozłączyła się tuż przed tym, jak zobaczyła przed sobą dozorcę schroniska.

– Wiesław! Jesteś nareszcie! Gdzie ty masz telefon, do cholery?! – zaczęła z pretensją w głosie, ale po oczach widać było, że martwiła się o swojego przyjaciela z pracy.

Pan Wiesiu spojrzał na kucharkę z czułością i chwilę później wpadli sobie w ramiona. Dozorca zaczął płakać, kobieta coś krzyczała, również przez łzy, ale w tym zamieszaniu trudno było zrozumieć, co mówi. Justyna spoglądała na tę scenę jak oniemiała, odruchowo ściskając rękę Mikolasa. Spojrzała na zaskoczonych robotników, potem na pracowników schroniska: Wiesiu był cały mokry, kucharka miała rozczochrane włosy i fartuch umazany czymś czerwonym.

– O matko, jesteś, kochanie! – zawołała Marszałkowa do Justyny, gdy tylko ją zauważyła. – Żebyś ty wiedziała, jak ja się martwiłam! Gdzie wyście się wszyscy podziewali? Ja tu walczyłam o życie! Schronisko ratowałam!

– A... – Justyna się zmieszała. – Samochód... Zepsuł mi się na dole, pan Wiesiu pojechał po mnie z Mikolasem. Dużo by opowiadać – ucięła. Nie potrafiła kłamać i bała się, że kobieta zacznie się czegoś domyślać.

W tym momencie Wiesiu dostrzegł na fartuchu kucharki czerwone plamy.

– Boże! Czy to krew?

– Tak!

– Boże...

– Wiesław, przestań wzywać Boga co sekundę.

– Co się stało?

– Napadła mnie znowu zjawa z szybu! Ohydna mordą, mówię wam. Taki z wąsem. Ten sam, co kilkanaście lat temu! Nie wierzyłeś mi wtedy, padalcu. – Oskarżycielsko wycelowała w dozorcę wskazujący palec.

Wiesiu zaczął się histerycznie śmiać. Chyba właśnie zaczynał rozumieć, że jednak nikogo nie zabił.

– Babo – zaczął zgodnie z ich utartym zwyczajem. – Nawet nie zaczynaj.

– A żebyś wiedział, że dopiero zamierzam zacząć! Przestań się tak głupio śmiać, Wiesław! Drzewo wybiło okno, do budynku leje się woda, a ciebie nie ma! Kierowniczką nie odbiera telefonu, schronisko puste! Ale się przez was najadłam strachu! Przyszłam do kuchni szykować kolację. A tam ten drań wychodzi nagle z szybu... Myślałam, że dostanę zawału!

– O Boże... – zawołał Wiesiu po raz kolejny. – I co?

– I nic! Kazał mi jakiś kabel podłączać, pomyłony człowiek.

– Po co?

– A bo ja wiem? Miałam pytać, czy to kabel od odkurzacza, a może od krzesła elektrycznego? Czy ty do reszty zgłupiałeś, Wiesław?

– Co on robił w tym szybie? – spytała Justyna. Była ciekawa, czy kucharka domyśla się prawdy o zamurowanym pokoju.

– Następna z mądrymi pytaniami. – Marszałkowa z dezaprobatą pokiwała głową. – Czy ja jestem Duchem Świętym, żeby wiedzieć, co pomyleńcy robią w szybach towarowych?

Wiesiu znów zaczął się śmiać.

– Ja nie wiem, co ciebie tak bawi, Wiesław?! – Marszałkowa wydawała się zdegustowana reakcjami dozorca na jej opowieść. – Mogłam tu zginąć, ten świr celował do mnie z broni, a ty się śmiejesz!

Wiesiu momentalnie spowaźniał.

– Z bronią do ciebie?! A to drań – powiedział oburzony.

– No właśnie! Wiesz, jak ja się bałam?!

– Kto cię uratował? – Wiesiu popatrzył z zaciekawieniem po zebranych w holu robotnikach.

– Mnie? – parsknęła Marszałkowa. – Sama się uratowałam. Na chłopą nigdy nie warto liczyć, a jak już liczyć, to tylko na siebie!

– Proszę?

– Zaczął się do mnie zbliżać z palcem na ustach. Tak jak wtedy, dawniej. Ale byłam teraz mądrzejsza. I... trzeźwa – dodała ciszej. – No i co! Nóż mu władowałam w pośladek! Potem dostał jeszcze po jajach i było po chłopie. Boże, jeszcze kuchnię trochę spaliłam...

– Jak to? – Justyna zamrugła oczami.

– Szarpaliśmy się i w pewnym momencie ze stołu spadła lampa naftowa. Trochę się osmaliło to i tamto...

– Najważniejsze, że jest pani cała – rzucił nagle jeden z robotników.

– O właśnie, pan Jakub pierwszy się zorientował, że w kuchni dzieje się coś niedobrego i przybiegł mi z pomocą. Żłoty chłopak! – pochwaliła go Marszałkowa

i poklepała po ramieniu.

– Usłyszałem krzyki i strzały, ktoś wzywał pomocy... – zaczął tłumaczyć robotnik.

– Strzały? – Wiesiu zrobił wielkie oczy.

– Próbowałam wyrwać mu broń i w pewnym momencie pistolet wypalił.

– O Boże...

– Spokojnie, nic mi się nie stało... Żebyście słyszeli, jak się darł, gdy władowałam mu nóż w tyłek! W końcu wyrwałam mu pistolet i zamknęłam go w kuchni.

– Czy... On tam teraz jest? – przeraziła się Justyna.

– No gdzież! – Marszałkowa popatrzyła na nią jak na osobę niespełna rozumu. – Zwiął przez okno, po rynnie. Goniłam go razem z panem Jakubem, ale wszedł do auta i odjechał.

– Czyli to był on... – wyrwało się Wiesiowi.

– Proszę? Widzieliście go? – spytała Marszałkowa. – Pan Jakub próbował jeszcze do niego strzelić, ale tak szybko oddalał się we mgle tym samochodem, że trafił tylko w tylną szybę.

– Boże! To było bardzo nieodpowiedzialne! A jakbyście trafili przypadkową osobę na szlaku!? – Wiesiu podniósł głos.

– Wtedy nie myśleliśmy o takich rzeczach! Matko, byłam taka wściekła na tego gnoja! Wiesz, ile lat przez niego nie mogłam spać spokojnie?! Ile lat znosiłam twoje docinki? Gdyby trafił mi się w kuchni jeszcze raz, to chyba bym go wypatroszyła.

– On już nie żyje... – Justyna przerwała kucharce.

– Co?

– Zginął w wypadku. Spadł ze skarpy, gdy uciekał ze schroniska. Minęliśmy jego spalone auto w drodze tutaj.

– Policja zaraz tu będzie – oznajmiła Marszałkowa.

– Po co? – zapytał Wiesiu.

– Ty śmiesz się jeszcze pytać po co? Jakiś pomyleniec chciał mnie zabić, ganiał po schronisku z bronią, a ty się pytasz, po co ja wezwałam policję. – Pokiwała głową z dezaprobatą. – Ja myślę, że to był jakiś seksualny zboczeniec. Czytałam o takich ostatnio, oni osiągają satysfakcję z powodu samego strachu ofiary. Obrzydliwe...

– Kiedy będzie policja? – zapytała Justyna rzeczowo. Pomyślała o szybie i o tym, że musi jak najszybciej dostać się do sejfu, bo jeśli znajdujące się w nim dokumenty wpadną w niepowołane ręce, być może nie ujrzą światła dziennego.

– A bo ja wiem.. – Marszałkowa wzruszyła ramionami. – Pewnie trochę im zajmie dojazd tutaj. Skończyłam rozmowę z dyspozytorem akurat wtedy, kiedy wy wbiegliście do środka.

Przez chwilę w holu zapanowała cisza, przerywana tylko podmuchami wiatru, który wdierał się do wnętrza schroniska przez wybite szyby.

– Panowie, czy możecie zrobić coś z tym oknem? Jakoś zabezpieczyć je na noc? – Justyna zwróciła się do robotników.

– Szefowo, da się zrobić – rzucił Jakub Karwacki. – Zaraz coś wymyślimy.

– Świetnie. Panie Wiesiu, pan pójdzie ze mną do warsztatu, spróbujemy włączyć prąd. Tam są bezpieczniki, prawda? – Spojrzała na dozorcę wymownie.

– Yyy... Tak.

– Dobrze, chodźmy zatem. Marszałkowo, proszę może lepiej iść do jadalni sobie odpocząć. Mikolas, Maks i Łukasz się panią zaopiekują, prawda, chłopcy? Pójdziecie z naszą bohaterką na herbatę? Żeby ochłoneła, zanim przyjedzie policja.

Marszałkowa była już na szczycie schodów, tłumacząc coś z zacięciem Mikolasowi, a robotnicy poszli do garażu po narzędzia, gdy Wiesiu złapał Justynę za łokieć.

– Co kierowniczką robi? Przecież bezpieczniki są gdzie indziej, wie kierowniczką...

– Oczywiście, że wiem – odpowiedziała ściszym głosem. – Pan zaraz pójdzie je włączyć. Ale najpierw da mi pan te klucze Johanna Schmieda i rękawiczki.

– O Boże – szepnął dozorca. – Kierowniczką chce iść do tego pokoju...?

– Tak – odparła i popchnęła Wiesia delikatnie w stronę warsztatu. Gdy już weszli do pomieszczenia, zamknęła za nimi drzwi.

– Nie lepiej poczekać na policję?

– Właśnie. Policja. Zapominamy o całym zajściu między panem a Svobodą. Nie widzieliście się dzisiaj nawet przez sekundę, jasne?

Wiesiu zmarszczył czoło.

– Proszę zapamiętać, że Svoboda był pana znajomym. Przyjechał dzisiaj do Odrodzenia, ale pana już w tym czasie nie było w schronisku, bo pojechał pan po mnie. Zapomniałam, że mam skręconą nogę i powinnam kuleć, gdy pokazałam się tu robotnikom i Marszałkowej. – Mrugnęła porozumiewawczo do dozorczy. – Dlatego ostateczna wersja jest taka, że zepsuł mi się samochód. Akumulator wysiadł, dobrze?

– Oczywiście, kierowniczo. – Wiesiu zamrugał oczami.

– I pan przyjechał po mnie z Mikolasem. Łukasz i Maks napatoczyli się przy okazji. Pomogliście mi odpalić samochód i razem wróciliśmy na górę, tak?

– Tak.

– I nie wiemy, dlaczego Svoboda ukrył się w szybie, a potem wyszedł stamtąd i napastował Marszałkową. Może rzeczywiście miał jakieś dewiacje? Albo usłyszał plotki o sejfie, który przypadkowo odkryłam niedawno przy okazji remontu i chciał go otworzyć? – zapytała retorycznie.

– Oj, nie wiadomo, kto go wie... – Wiesiu zaczął wczuwać się w rolę. – W życiu nie pomyślałbym, że mój znajomy jest zbrojcem.

– No właśnie. Panie Wiesiu, z kim pan się zadawał... – Justyna się uśmiechnęła.

– Kierowniczo – mężczyzna spoważniał – jeszcze raz przepraszam, że od razu nie powiedziałem pani prawdy i umożliwiłem jego ludziom wejście do schroniska w tę feralną niedzielę tydzień temu.

– Odpokutował już pan podwójnie. A teraz proszę dać mi te klucze.

– Jak kierowniczo chce tam wejść? Przez kuchnię?

– Nie. Wejdę tak jak za pierwszym razem, z drugiego piętra.

– Ach, no tak! Przecież na drugim też jest wlot do szybu! Kierowniczo to jest naprawdę sprytna kobieta...

– Dziękuję, panie Wiesiu.

– A jak policja zorientuje się, że kierowniczo tam była?

– I tak już raz tam zajrzałam, a teraz przecież włożę rękawiczki. Wyciągnę papiery, a złoto, jeśli jakieś tam jest, zostawię. Zamknę z powrotem. Niech sobie sami kombinują, jak się dostać do środka. Mnie interesują tylko dokumenty.

– Dobrze, kierowniczo – odparł Wiesiu i zaczął grzebać po szafach. Po dłuższej chwili triumfalnie wyciągnął pęk kluczy i podał go kobiecie.

– Proszę na siebie uważać.

– Dobrze. Niech mi pan da jeszcze rękawiczki i czołówkę i zrobi coś z tymi korkami, bo Marszałkowa zacznie się pieklić. Ja idę załatwić sprawę, a jakby ktoś mnie szukał, proszę mówić, że poszłam do pokoju po tabletki, bo z tego stresu rozboleła mnie głowa, jasne?

– Jak słońce, kierowniczo.

Justyna przemknęła przez hol, w którym robotnicy debatowali nad tym, jak pociąć zwalone drzewo i w jaki sposób zabezpieczyć zniszczone okno. Minęła ich, chowając rękawiczki i klucze do kieszeni. W myślach szybko powtarzała wszystko, co ustaliła z Wiesiem. Musiała teraz przekazać to samo Łukaszowi, Maksowi i Mikolasowi, którzy siedzieli z Marszałkową w jadalni, słuchając po raz kolejny jej opowieści o wydarzeniach minionego popołudnia, wzbogaconej o dodatkowe szczegóły.

Justyna wpadła do sali i już od progu zawołała:

– Chłopaki, chodźcie pomóc robotnikom z drzewem, dobrze? Marszałkowo, jest już prąd, może zrobiłaby pani wszystkim herbaty?

– Dobrze, kochana, już robię. Może dla pana Jakuba zrobię jakąś szczególną? Proszę sobie wyobrazić, że on pochodzi z Wiązowa! Wiesz, dziecko, gdzie to jest? Ja mam kuzynkę w Wiązowie, pracuje tam w bibliotece! Niezwykła historia...

– Rzeczywiście – przyznała Justyna machinalnie. Myślami była już jednak w szybie towarowym.

– Zrobię mu z imbirem i malinami na przykład! Muszę pójść po nie do kuchni. Mogę? – Spojrzała na Justynę niepewnie. – Wiesz, ślady, odciski palców i tak dalej.

– Myślę, że może pani. I tak wszędzie są tam przecież pani odciski – stwierdziła. Nieobecność Marszałkowej była jej bardzo na rękę.

Kucharka klasnęła w dłonie i pobiegła do kuchni. Justyna wykorzystała okazję, by przekazać Maksowi, Mikolasowi i Łukaszowi ostatecznie ustaloną wersję o awarii akumulatora, w razie gdyby policja się dopytywała.

– Teraz Łukasz z Makssem zostają tutaj i pilnują wszystkich, a ja z Mikolasem idziemy na górę.

– Proszę? – powiedział Łukasz z oburzeniem.

Justyna spojrzała na niego z politowaniem.

– Nie wiem, co tam sobie wyobraziłeś, ale w sumie średnio mnie to obchodzi. Ja muszę teraz szybko zjechać szybem towarowym z drugiego piętra do ukrytego pokoju

i dostać się do sejfu. Miki stanie na czatach.

Chwilę później Justyna wielkimi susami pokonywała po dwa stopnie, wspinając się klatką schodową na drugie piętro.

– Wejść do szybu, a ty zamkniesz za mną drzwiczki, dobrze? Jak wrócę, zapukam w nie dwa razy. Jeśli będzie pusto, otworzysz włącz i pomożesz mi wyjść. Jeśli natomiast ktoś będzie się kręcił po korytarzu, nie otwieraj. Ja będę czekać cierpliwie, a ty otworzysz dopiero wtedy, gdy będzie bezpiecznie.

– Jasne – odparł Mikolas.

Gdy znaleźli się przed szybem, Justyna założyła czołówkę i naciągnęła rękawiczki, po czym zaczęła się gramolić do starej windy towarowej.

– Justyna... – zaczął nagle mężczyzna.

– Co?

– Bardzo się o ciebie martwiłem. Bardzo.

– Ja też. Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę. I nie naprawię tego, co spieszyłam. Chodź tu! – Złapała go za koszulę, wychyliła głowę z windy i pocałowała namiętnie. Puściła go po chwili i uśmiechnęła się.

– Wrócimy do tego – szepnęła miękko.

– Tym razem nie odpuszczę ci tak łatwo.

– Mam nadzieję – odparła.

Chwilę później zjeżdżała już ciemnym szybem na dół. Spuszczała się ostrożnie, metr po metrze, starając się wywołać jak najmniej hałasu, aby nie wystraszyć Marszałkowej. Gdy już była na wysokości wlotu do korytarzyka wiodącego do ukrytego pokoju, nabrała powietrza i wypuściła je, a potem zaczęła przeciskać się ciasnym przejściem do ukrytego pokoju.

W pomieszczeniu natychmiast jej uwagę przykuł leżący na podłodze przedłużacz. Nie potrafiła sobie wyobrazić pana Wiesia zaciskającego kabel na szyi człowieka. Zaraz potem przypomniała sobie zniszczoną karoserię samochodu Mikolasa, który gnał na złamanie karku, żeby ją ratować. Dopiero teraz uświadamiała sobie, jak ważna była dla ludzi w swoim otoczeniu, skoro potrafili zaryzykować dla niej tak wiele.

Wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy, z których część była nieco pordzewiała, i zaczęła szukać tego, który będzie pasował do sejfu. Zajął jej to dobrych kilka

minut, aż wreszcie trafiła na właściwy. Wstrzymała oddech, próbując go przekręcić. Zamek cicho zachrzącał i usłyszała, jak wewnątrz metalowych drzwi przesuwają się liczne nienaoliwione i nieużywane od wielu lat trybiki. Czy ten niepozorny odgłos miał zwiastować odkrycie wielkiej i ponurej tajemnicy starego schroniska? Po chwili drzwi ustąpiły.

Nie dowierzała własnym oczom. W sejfie były półki i na jednej z nich w płóciennym worku rzeczywiście leżała biżuteria. Pośród kolczyków, kolii, bransolet i pierścionków dostrzegła nagle kilka złotych zębów. Przyjrzała im się bliżej i zrozumiała, że drogocenne metalowe korony zostały wyrwane właścicielom razem z korzeniami. Zrobiło jej się niedobrze. Odsunęła worek w głąb sejfu, nie mogąc nawet patrzeć na jego zawartość.

Na niższej półce leżała opaska teczka opatrzona wielką swastyką. Ze środka wysypały się liczne fotografie. Na jednej z nich rozpoznała chłopaków z Hitlerjugend, tych samych, których widziała na zdjęciu Rudnickiej. Był też oczywiście Karl Hanke. Spojrzała na zimne, złowrogie spojrzenie mężczyzny i aż się wzdrygnęła. Szybko pobierała fotografie z powrotem do teczki. W sejfie znalazła także kilka zeszytów, każdy opatrzony jakimś hasłem na tytułowej stronie. Przeglądała je drżącymi rękami, a gdy natrafiła na brulion podpisany wykaligrafowanym pismem *Anschlag auf dem Zug, Jakobsthal, 3 V 1947*^[30], otworzyła go i przez chwilę przyglądała się zamieszczonym tam zdjęciom, rysunkom i planom.

– Mam was, skurwysyny – szepnęła zadowolona. Wzięła pod pachę wszystkie dokumenty, zamknęła drzwi sejfu i zabrała klucz. Chwilę później była już na drugim piętrze. Zapukała delikatnie dwa razy. Mikolas otworzył drzwiczki i pomógł jej wygramolić się z windy. Chwilę później byli już w służbowym mieszkaniu Justyny.

– Znalazłaś to, czego szukałaś? – zapytał.

– Wydaje mi się, że tak.

– I co teraz?

– Wszyscy muszą się dowiedzieć, jak było naprawdę z wypadkiem kolejowym, w którym zginął mój dziadek. Jeśli ktokolwiek przyłożył do tego rękę w ten czy inny sposób – niech drży. Prawda zawsze wychodzi na jaw. I to jest ten czas.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Tego właśnie jeszcze nie wiem... Boję się, że zdemaskuję kogoś ważnego i potem on albo jego rodzina prędzej czy później się na mnie zemszczą.

– Rzeczywiście... Ryzyko jest dość duże. – Mikolas się zamyślił. – W takim razie spróbuj to upublicznić anonimowo. Nie wiem, w mediach? Masz taką możliwość?

– Miki, ja nikogo nie znam w żadnej telewizji ani... – Urwała. – Czeka! Ja nie znam, ale... znam kogoś, kto może znać! Muszę zadzwonić! Natychmiast!

Jagniątków, 16 września 2006

Jowita Borejko pożegnała ostatnią grupę, jaką tego dnia oprowadzała po muzeum Gerharta Hauptmanna. Zamknęła za turystami masywne drzwi i przesunęła ciężką zasuwę. W pustym domu poety zapanowała cisza. Spojrzała na zegarek ze zdziwieniem. Stróż nocny spóźnił się już ponad kwadrans.

Stojący z dala od innych domów, a dodatkowo ukryty wśród wysokich drzew pałacyk pełen cennych dzieł sztuki mógł stanowić łakomy kąsek dla złodziei, dlatego muzeum nigdy nie było zostawiane bez opieki. Gdy zamykano obiekt dla turystów, rolę opiekuna pałacu Hauptmanna przejmował zazwyczaj od Jowity jeden z nocnych stróżów. Włączał w obiekcie alarm i pełnił wartę w swojej dyżurce na parterze do następnego poranka, przeglądając co jakiś czas obraz z kilkunastu kamer.

Spojrzała na zegarek po raz kolejny. Wkrótce odjeżdżał autobus, którym codziennie wracała z pracy do domu. Jeśli na niego nie zdąży, na kolejny będzie musiała czekać ponad godzinę. Westchnęła i postanowiła zajrzeć do gabinetu dyrektora Węglorza.

Weszła do Hali Rajskiej, minęła wyrzeźbione w kamieniu surowe popiersie Hauptmanna i elegancki kominek, po czym drewnianymi schodami ruszyła na górę. Blask zachodzącego słońca wpadał do wnętrza pałacu przez trzy wielkie witraże, podświetlał wirujący w starym wnętrzu kurz i wydobywał ze zdobiącego Halę malowidła Avenariususa potężną siłę barw. Jasność słońca była tak niespotykana, że Jowita aż zatrzymała się w połowie schodów, spoglądając na wizję rajskiego ogrodu przedstawioną na ścianie naprzeciw niej. Miało się wrażenie, że postacie i rośliny na malowidle zostaną pod wpływem światła wskrzeszone i zaczną wyciągać ręce, głowy, łodygi i kwiaty w stronę wnętrza Hali. Mimo jasności umieszczony w centrum malowidła Bóg Ojciec sprawiał na Jowicie niezmiennie

dość upiorne wrażenie. Odwróciła oczy od jego zacietrzewionego wzroku, łopoczącej na wietrze peleryny i wyciągniętych dłoni. Pokonała kilka kolejnych stopni. Gdy w muzeum panował ruch, odgłos starych schodów nił w gwarze rozmów turystów i przewodników, teraz natomiast każdy krok odbijał się głuchym echem od ścian Hali Rajskiej.

Po chwili stała już u drzwi gabinetu Jacka Węglorza. Zapukała.

– Proszę. – Usłyszała głos doktora.

Weszła do środka. Historyk wpatrywał się w okno, z głośnym siorbaniem popijając herbatę.

– Doktorze, oprowadziłam ostatnią grupę na dziś, zamknęłam sklepik z książkami i poszłabym już do domu, ale nie ma stróża nocnego – poinformowała Węglorza.

– O! – Historyk podrapał się po głowie. – A kto ma dzisiaj dyżur?

– Roman.

– Dobrze... Zaraz do niego zadzwonię i zapytam, co się dzieje. Może pani lecieć do domu.

– Dziękuję, do jutra. – Pożegnała się.

Chwilę później trzasnęły zamykane drzwi wejściowe i w budynku zapanowała cisza. Węglorz spojrział na zegarek. Prawdę mówiąc, nigdzie się nie spieszył, więc postanowił spokojnie zaczekać na stróża.

Wrócił do obserwowania widoku za oknem. Śnieżne Kotły były położone niemal idealnie na osi wschód-zachód, co sprawiało, że na koniec dnia zachodzące słońce oświetlało z boku skalne żleby i majestatyczny budynek schroniska w sposób wyjątkowo spektakularny.

Napawał się widokiem, który można było obserwować z jego gabinetu tylko przez pół roku. Latem bowiem gęste drzewa zasłaniały widok na Kotły, teraz zaś, gdy część liści opadła, schronisko stawało się na powrót widoczne i tak miało pozostać przez kilka kolejnych miesięcy.

Przeniósł wzrok na ponury portret Gerharta Hauptmanna, który wisiał naprzeciwko jego biurka.

– I co, staruszkę? – Spojrział w mroczne oczy noblisty. – Nic ciekawego chyba już nas dzisiaj nie spotka. Może się napijemy, Gerharcie? – zapytał i wyjął z szafki biurka kieliszek i karafkę.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Muzeum Miejskie „Dom Gerharta Hauptmanna”, Węglorz przy aparacie.

– Doktorze, mam sprawę. – Usłyszał w słuchawce znajomy głos Justyny Skały, z którą rozmawiał poprzedniego dnia. – Potrzebuję pilnie pomocy. Znalazłam pewne dokumenty.

Przez plecy Jacka Węglorza przeszedł dreszcz ekscytacji, uśmiechnął się porozumiewawczo do Hauptmanna z portretu i podskoczył na krześle.

Gdy odłożył słuchawkę, usłyszał dochodzące z holu szybkie kroki i zaraz do jego gabinetu wpadł bez pukania stróż nocny.

– Dobry, szefie! Przepraszam za spóźnienie! Najmocniej! Zrobiłem drzemkę po obiedzie i zasnęłem...

– Nic się nie stało, panie Romanie! – Węglorz uśmiechnął się promiennie. – Ja dzisiaj i tak zostaję tu jeszcze kilka godzin! Proszę nie włączać alarmu, wkrótce przyjedzie do mnie pewna pani... Otworzy jej pan i pokieruje na górę, dobrze?

– Oczywiście.

– Doskonale! – odparł Węglorz i klasnął w dłonie z podekscytowania.

Schronisko Odrodzenie, 17 września 2006

Ściemniało się, gdy policja wyszła ze schroniska po przesłuchaniu wszystkich świadków. Znudzeni policjanci zadali kilka standardowych pytań Justynie i Wiesiowi, ale nie byli szczególnie dociekliwi. Z Marszałkową rozmawiali dłużej, ale widać było, że dla śledczych sprawa była już zakończona. Doskonale wiedzieli, że szybko zostanie umorzona, gdyż sprawca napadu na kucharkę nie żył już od kilku godzin.

Justyna zaraz po rozmowie z policjantami pobiegła do swojego pokoju, wzięła szybki prysznic i przebrała się w świeże ubrania. Zaparzyła sobie kubek mocnej czarnej herbaty, którą wypić duszkiem. Wyjęła z szafy plecak, do którego wrzuciła wszystkie dokumenty znalezione w sejfie, i pobiegła na dół.

W holu wpadła na pana Wiesia. Uśmiechnęła się do niego.

– Udało się? – zapytał.

– Tak, tak myślę. Mam nadzieję, że to, co znalazłam na dole, rzuci nowe światło na katastrofę pociągu, w której zginął mój dziadek.

– Dobrze. Babcia będzie z kierowniczką dumna.

– Muszę jechać na dół, panie Wiesiu. Przekazać dokumenty właściwej osobie.

– Rozumiem. Niech pani będzie ostrożna.

– Jasne. – Uśmiechnęła się i niespodziewanie dla samej siebie mocno przytuliła dozorcę.

Wychodząc, minęła Łukasza, który właśnie składał swój namiot.

– Cześć, słoneczko – zaczął z uśmiechem.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Nie mów tak do mnie.

– Myślałem, że po tym wszystkim będziesz chociaż trochę miłsza – powiedział z lekką pretensją w głosie i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Łukasz, proszę...

– Tak, wiem, że to nie jest dobry czas. Ale daj mi jeszcze jedną szansę, błagam! Było nam przecież razem tak dobrze...

– Nie było – odparła sucho.

W tym momencie w drzwiach pokazał się Mikolas, który krzyknął jeszcze słowa pożegnania w stronę machającej mu z holu Marszałkowej. Spoważniał, gdy zobaczył Justynę obok Łukasza.

– Do zobaczenia! – rzucił Łukasz stanowczym tonem, sugerując Czechowi, żeby nie próbował wtrącać się do rozmowy. – Możesz już iść do swojej budy.

Tamten spojrzał na niego spode łba.

– Łukasz! – zaczęła Justyna, poirytowana bezczelnością byłego faceta.

– No co? Musimy porozmawiać na osobności... o nas. Nie będzie nam teraz przeszkadzał.

– Jakich nas?

– No przecież dasz mi jeszcze jedną szansę, tak jak mówiłaś, prawda? – Uśmiechnął się, biorąc ją za rękę. Justyna wyrwała mu swoją dłoń, ale Mikolas już odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę swojego samochodu.

– Mikolas, zaczekaj! Porozmawiamy jeszcze, obiecuję!

Czech odwrócił się, spojrział na nią niepewnie, kiwnął głową i wszedł do auta.

– Ty kretynie – warknęła Justyna i strzeliła Łukasza otwartą dłońią w twarz. – Nie życzę sobie takich teatrzyków, rozumiesz? Wynoś się stąd. Jestem ci wdzięczna za pomoc, ale to niczego między nami nie zmienia, rozumiesz? – krzyknęła i już nie oglądając się za siebie, pognąła do samochodu, rzuciła na siedzenie torbę z dokumentami i pojechała szlakiem na dół, w stronę Przesieki. Musiała się spieszyć. Nie wiedziała bowiem, co dzieje się z matką Svobody i jak zareaguje na wieść o śmierci syna. Najbardziej obawiała się tego, co się stanie, gdy kobieta zorientuje się, że Justyna ma materiały z sejfu. Maria Dvořák wydawała jej się bowiem nieobliczalna.

Klinove Boudy, 16 września 2006

Burza przeszła przez Karkonosze w sposób charakterystyczny dla tego najbardziej pierwotnego z żywiołów, którego od zarania dziejów bali się mieszkańcy gór. Jeśliby wierzyć miejscowym podaniom, że pioruny są wynikiem gniewu Ducha Gór, to tym razem musiał być on wyjątkowo rozsierdzony, bo przez długi czas rzucał błyskawicami gdzie popadnie, spuszczając jednocześnie na swoje ziemie potężną ulewę.

Maria Dvořák wyjrzała przez okno swojej chałupy. Wyglądało na to, że po kilkudziesięciu minutach szaleństwa burza wreszcie postanowiła dać za wygraną i się wycofać.

Z chwilą gdy żywioł odchodził, góry wydawały jej się najpiękniejsze. Deszczowe chmury rozmywały się powoli, ukazując, że w czasie, w którym zasłaniały widok na nieboskłon, słońce pokonało sporą drogę i chyliło się powoli ku zachodowi. Stopniowo przybierało barwę pomarańczową niczym dojrzały owoc moreli i w finezyjny sposób podświetlało różnokształtne chmury.

Harmonia tego zjawiska niezmiennie kobietę zachwycała. Gdy bowiem na niebie spotykał się blask zachodzącego słońca z chmurami, zaczynał się nieprzewidywalny spektakl, którego w równie majestatycznym wydaniu trudno było szukać poza Karkonoszami. I tak jak światło wydobywało z pozornie zwyczajnych obłoków niespotykane kształty, tak też chmury sprawiały, że załamujące się na nich promienie słońca zmieniały barwy, rozszczepiając się na niezwykle piękną gamę różnych

odcieni rózu, czerwieni, fioletu i żółci. Zachodów, jakie darował po burzy mieszkańcom Karkonoszy Duch Gór, nie wyśniłby sobie żaden pejzażysta nawet w najbardziej śmiałej wizji.

Tym razem jednak widok kończącej się burzy i pięknego spektaklu na niebie nie sprawił Marii Dvořák radości. Wpatrywała się w odchodzące słońce ze smutnym przeświadczeniem, że nadeszła właśnie pora, aby i ona odeszła z tych gór na zawsze. Chłoneła każdy centymetr krajobrazu, który знаła przecież na pamięć, chcąc jeszcze bardziej utrwalić go w swojej głowie. Nie wiedziała, co czeka ją po drugiej stronie ani czy Duch Gór przyjdzie do niej, gdy będzie umierać, ale miała nadzieję, że jeśli jakaś jej cząstka będzie egzystować kiedyś w innym świecie, to zabierze ze sobą właśnie ten widok na karkonoskie niebo, jaki roztaczał się z wioski Klinove Boudy.

Wyszła przed dom i po raz ostatni podreptała ścieżką w stronę zgliszczy swojego dawnego domu. Spojrzała na pokrzyk wilczą jagodę, który obficie skropiony deszczem zdawał się mieć jeszcze bardziej niż zwykle zielone liście, między którymi kryły się podeschłe już owoce.

Z jej suchych na co dzień oczu popłynęły po zmarszczonych policzkach pierwsze od wielu lat łzy. Pogładziła jagody z czułością. Miała nadzieję, że pomogą jej odejść spokojnie. Czuła się stara. Zaczerpnęła tchu, chłonąc nozdrzami charakterystyczną woń wilgotnej ziemi. Jej płuca nie pracowały już tak sprawnie jak kiedyś. Były niczym sparciała guma: z łatwością nabierała tchu, zaś wydech wymagał od niej wysiłku, zupełnie inaczej niż w młodości, gdy sprężyste płuca same wypuszczały powietrze.

Pobyt u progu spalonego domu wzbudził u niej falę wspomnień z dawnych lat. Przypomniała sobie, jak otrzymała tę chałupę w spadku. Jak wielka była wtedy jej radość, że niespodziewanie weszła w posiadanie pięknego domku położonego w otoczeniu gór, które pokochała od momentu rozpoczęcia pracy w Jugendkammhaus Rübezahl. Ile nadziei pojawiło się w jej sercu, że w tym miejscu wreszcie ułoży jakoś swoje pogmatwane, samotne i biedne życie. Ile wiary, że może będzie tu nawet szczęśliwa? Zamiast spokoju u progu jej drzwi pojawił się jednak proszący o pomoc Karl Hanke, który wkrótce po przyjęciu pod dach zaczął odsłaniać przed nią swoje prawdziwe oblicze. Przypomniała sobie, jak nią manipulował. Rozkazywał. Jak brał ją czasem siłą. Jak krzyczał. I jak umierał na podłodze w łazience.

Potem przed oczami stanęła jej sąsiadka, która oskarżała ją o to, że ukrywała zbrodniarza. I mieszkańcy Klinovych Boud, którzy przyszli pod jej płot, wtargnęli do

domu siłą i pobili ją do nieprzytomności.

Wspomnienia bolały, a tego bardzo nie chciała. Nie była na to wciąż gotowa i wiedziała, że już nigdy nie będzie. Odwróciła się więc od zgliszczy i poczłapała z powrotem w stronę ganku, na którym czekała już na nią przygotowana wcześniej herbata. Po raz ostatni spojrzała też na jagody pokrzyku. Była w głębi ducha nieco zaskoczona. Nigdy bowiem nie przypuszczała, że z pomocą tych niepozornych owoców, którymi odsyłała z tego świata złych ludzi, przyjdzie jej pożegnać także samą siebie. Czy była zła? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. A może nie chciała? Pomyślała o swoim synu i ich ostatniej rozmowie przez telefon. W momencie, w którym usłyszała klakson samochodu, przekleństwa Pavla i narastający huk, który mieszał się z krzykiem przerażonego mężczyzny, poczuła coś dziwnego, na kształt żalu. Chwilę potem połączenie zostało przerwane. Uczucie, które się w niej zrodziło, nie było rozpaczą, ale raczej rozczarowaniem spowodowanym tym, że wszystko potoczyło się niespodziewanie zupełnie nie po jej myśli.

Miała przeczucie, że jej syn nie przeżyje tego wypadku. Nie próbowała więc nawet dzwonić ponownie. Nawet jeśli by Pavel przeżył, to dla niej jakby już go nie było. Ona zresztą też już nie istniała. Doskonale rozumiała bowiem, że nie dopilnowali z synem pewnych spraw i wkrótce zarówno on, jak i ona musieliby za to ponieść konsekwencje. Gdy dokumenty z Odrodzenia ujrzą światło dzienne, gdy ktoś dowie się o jej przeszłości, o tym, czego dopuściła się niegdyś... Nawet jeśli nie stanęłaby przed sądem, nawet jeśli nie wyładowałyby w więzieniu... Ludzie i tak sami wymierziliby jej karę. Tego była pewna.

Myślami przeniosła się do wydarzeń, które nieodwracalnie zmieniły jej życie. Uświadomiła sobie, że wszystkie miały miejsce w nocy. Najpierw noc, w którą czechosłowacka armia na proteście zastrzeliła jej ojca. Następnie noc, gdy matka rzuciła się na nią z nożem. Noc, gdy w Jugendkammhaus Rübezahl przyszedł do niej przerażony Alexander ze swoim przyjacielem, prosząc o pomoc w ukryciu swojej zbrodni spod prysznicą. I wreszcie noc, w którą krewny dotarł do jej domu w Klinowych Boudach razem z Karlem Hankem.

Weszła na ganek, usiadła w bujanym fotelu, nakryła się ciepłym kocem i wzięła do ręki herbatę. Wiedziała, że musi się spieszyć, żeby jej śmierć nie nastąpiła w nocy jako pokłosie tych wszystkich poprzednich nieszczęśliwych nocy jej życia. Przynajmniej umrzeć chciała w dzień.

– Pij, pij, bo wystygnie – szepnęła sama do siebie. Pożałowała, że kilkadziesiąt lat temu otworzyła drzwi Hankemu i wpuściła go do swojego domu. Może gdyby nie ten błąd, jej życie potoczyłoby się inaczej?

Odwróciła się w stronę chałupy i ujrzała swoje oblicze w mokrej po deszczu szybie. Rozpląkała się na dobre, widząc starą i szpetną twarz kobiety, której nikt nigdy nie kochał. Pomyślała o starym zakonniku z Klášterki. Był jedyną osobą, której kiedyś przyznała się do swoich złych czynów podczas jedynej w życiu tak osobistej rozmowy. Przekonywał ją, że każdą winę można odpokutować. Że można zadośćuczynić. Co za bzdura! Nie potrafiła sobie teraz nawet wyobrazić, jak mogłaby zadośćuczynić wszystkim, których skrzywdziła.

„Może dobrze, że Pavel zginął?” – pomyślała i zaraz potem się przeraziła. Czy tak samo sądziła jej matka, gdy próbowała pozbawić ją życia? Może wtedy źle zrobiła, że przed nią uciekła? Byłaby już od dawna w innym świecie i nie musiałaby przeżywać tylu lat swojego nieszczęśliwego życia. I nie zrobiłaby tylu złych rzeczy.

Przypomniało jej się pytanie, które zadała jej przyjaciółka tuż po obserwowanej przez nie z ukrycia egzekucji więźniarek obozu Gross-Rosen. „Co o tym myślisz?” – słyszała znów w swojej głowie. To pytanie nie dawało jej spokoju przez tyle lat. Maria spojrzała na kubek z zatrutą herbatą. Po raz pierwszy w życiu pomyślała, że może gdyby urodziła się w bardziej normalnych czasach, jej życie potoczyłoby się inaczej. Łzy kapały jej z policzków do kubka z parującym naparem. Wypiła go duszkiem do dna, mocniej nakryła się kocem i zamknęła oczy. Wiatr w kojący sposób kołysał bujanym fotelem, w którym umierała.

Jagniątków, 16 września 2006

Gdy Justyna zjechała ze schroniska drogą na dół, do Przesieki, wokół panowała już zupełna ciemność. Noc była bezchmurna i nad całą Kotliną Jeleniogórską można było obserwować tysiące migoczących gwiazd.

Choć Jagniątków leżał z pozoru w najbliższym sąsiedztwie Przesieki, droga tam wiodła mocno naokoło. Osady oddzielał bowiem gęsty las, nad który wzbijała się między innymi góra zamkowa Chojnik. Aby więc dostać się do Jagniątkowa samochodem, trzeba było kierować się z Przesieki na dół, do Podgórzyna, stamtąd do Sobieszowa i z powrotem w góry.

Gdy wreszcie Justyna dotarła do Jagniątkowa, odniosła wrażenie, że znalazła się w wymarłym mieście. Górski kurort przyłączony wiele lat temu do Jeleniej Góry wydawał się wymarły. Zabudowę osady stanowiły głównie przedwojenne niemieckie domy o zniszczonych przez czas elewacjach. Porozrzucane na górzystym terenie wille i pensjonaty zamieniały się powoli w upiory, których piękno z każdym kolejnym rokiem stawało się coraz trudniejsze do zauważenia. Fantazyjne fasady starych budynków, upstrzone wieżyczkami, snycerskimi dekoracjami, wykończone z pietyzmem surowym granitem i piaskowcem – teraz przywodziły na myśl raczej scenografię horroru niż kameralne miejsce wakacyjnego odpoczynku.

Pustą drogę oświetlały z rzadka latarnie i blady blask świateł sączących się z okien domów sąsiadujących z ulicą. Justyna jechała z niewielką prędkością, bo przebieg drogi był pełen niespodziewanych ostrych zakrętów, kamiennych mostów i zwężeń. Mimo zniszczonej zabudowy krajobraz nocnego Jagniątkowa wydał jej się czarujący. Mrok nocy okrył bowiem całą osadę, chowając to, co szpetne i zniszczone. Wyraźnie widoczne były natomiast światła w oknach pojedynczych domów, porozrzucanych wzdłuż bocznych uliczek na różnych poziomach. Część chałup leżała na tyle wysoko, że trudno było ocenić, czy dany jasny punkt w oddali był jeszcze światłem w oknie, czy była to już gwiazda. I właśnie to zatarcie granicy między ziemią a rozgwieżdżonym niebem było dla Justyny w karkonoskiej nocy fascynujące.

Zabudowa Jagniątkowa stawała się coraz bardziej rzadka i nieregularna, gdy nagle po prawej stronie zobaczyła wyzierającą spomiędzy drzew charakterystyczną białą rezydencję. Dom Gerharta Hauptmanna.

Minęła muzeum, skręciła ostro w prawo i po chwili wjechała na pusty parking dla pracowników. Doktor Węglorz kazał jej zostawić tu samochód i obiecał, że będzie na nią czekał w swoim gabinecie na piętrze. Wzięła plecak i podeszła do drzwi rezydencji. Złapała za ciężką metalową kołatkę i uderzyła kilka razy. Po dłuższej chwili zniecka błysnęło światło w oknach stróżówki. Szczęknięły przesuwane zasuwki.

– Pani do szefa? – zapytał postawny mężczyzna z siwą brodą.

– Tak.

– Proszę wejść. Czeka u siebie – rzucił, po czym zamknął za kobietą drzwi. – Trafi sama?

– Trafie.

Justyna spotkała się wzrokiem z groźnymi oczami Gerharta Hauptmanna, który spoglądał na gości willi z portretu zawieszonego naprzeciwko wejścia. Pomyślała, że jeśli mężczyzna miał charakter choć trochę tak mroczny, jak sugerował jego wizerunek, to wybrał dobre miejsce na swój pałac. Skryty wysoko w górach, na samym końcu górskiej osady, u podnóża Śnieżnych Kotłów musiał idealnie dopełniać swoją mrocznością charakter właściciela.

Przeszła Halę Rajską, wspięła się schodami na piętro i nim zdążyła zapukać, drzwi otworzył jej Węglorz.

– Jesteś! Bardzo się cieszę! Czekałem! Wejdz proszę. Masz może ochotę na wino?

– Przyjechałam samochodem – odparła.

– Ach, rozumiem. Wiesz, jak są takie dni, że zostaję tu w muzeum na noc...

– Na noc?

– Tak, mam tu pokój gościnny na strychu – zaczął, siadając przy biurku. – Czasem jak pracuję do późna, to nie jadę już do domu w Borowicach. I wtedy mogę napić się wina. No, nieważne. Opowiadaj! Co to za dokumenty, co to za skrytka! Jestem niezmiernie podekscytowany! Twój telefon był dla mnie wielkim zaskoczeniem – krzyknął Węglorz i podskoczył na krześle.

– Odkryłam w swoim schronisku zamurowany pokój, a w nim sejf, tak jak opowiadałam wczoraj. Dzisiaj natomiast udało mi się ten sejf otworzyć. Znalazłam w nim trochę papierów. – Wyciągnęła z plecaka teczkę oraz zeszyty i położyła je na biurku przed historykiem. – Wynika z nich, że Karl Hanke po drugiej wojnie światowej podczas ucieczki przez Karkonosze został postrzelony i ukrywał się przez pewien czas w Odrodzeniu, gdzie pomagało mu trzech chłopaków z Hitlerjugend. Potem rannego przenieśli go do wioski Klinove Boudy i stamtąd Hanke zarządzał działalnością dywersyjną tych młodych. Prawdopodobnie to ci chłopcy... – wskazała na zdjęcie nastolatków w towarzystwie nazisty – w maju czterdziestego siódmego zorganizowali zamach na pociąg towarowy, w którym zginął mój dziadek, Antoni Skąła. A później to jego niesłusznie oskarżono o spowodowanie wypadku. Uznano, że nie dopilnował przewodu hamulcowego pociągu. Prawda jest jednak taka, że ten przewód został celowo zakręcony tuż przed odjazdem przez tych gówniarzy, aby w żadnym wagonie nie działał hamulec. Według ich planu towarówka miała się stoczyć bez kontroli na dół i po drodze uderzyć w nadjeżdżający z naprzeciwka,

z dołu, pospieszny pasażerski. Wszystko znajdziesz tutaj. – Podała historykowi zeszyt. – Jak ktoś to porządnie przetłumaczy, pewnie dowiemy się dużo więcej. Ja zdążyłam wyłącznie przejrzeć dzisiaj wieczorem właśnie ten jeden brulion, związany z zamachem na pociąg w Jakuszytach. Są w nim plany, zdjęcia, notatki...

Węglorz przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Spoglądał wielkimi oczami to na Justynę, to na zdjęcia i kolejne strony zapisanego drobnym drukiem brulionu.

– Jasny gwint... – rzucił wreszcie. – To naprawdę niezwykle odkrycie! Jeśli wszystko, o czym mówisz, jest prawdą, będzie to rewelacja stulecia! Jak do tego dotarłaś?

Justyna westchnęła i spróbowała w miarę rzeczowo streścić historykowi wydarzenia minionego tygodnia.

Węglorz wpatrywał się w nią ze zdziwieniem i z podziwem zarazem.

– Co za przygoda! Ale ci zazdroszczę takich przeżyć...

– Ja sobie chyba nie... – Westchnęła, myśląc o chwilach spędzonych w Czarcim Młynie podczas ulewy. Ten wątek opowieści celowo przemilczała.

Historyk zamyślił się.

– Rozumiem, że twój nocny przyjazd tutaj jest podyktowany czymś jeszcze?

– Tak... – Justyna się zawahała. – Mam kilka powodów. Po pierwsze, Svoboda miał matkę, ta kobieta ukrywała u siebie Hankego. Ona robi wszystko, żeby zniszczyć te dokumenty. I jej się obawiam. Nie wiem, do czego jest zdolna. Po drugie, z tego, co się dowiedziałam, w tych dokumentach mogą być wspomniani także Polacy, którzy po wojnie w jakiś sposób z tymi niemieckimi partyzantami współpracowali. Głównie urzędnicy, którzy przyjmowali łapówki i wydawali albo przedłużali im lewe papiery na pobyt w Polsce. Część z nich może jeszcze żyć i takie informacje byłyby rysą na ich zapewne nieskazitelnych życiorysach. Obawiam się, że trafi to w niepowołane ręce i nigdy nie ujrzy światła dziennego albo że ktoś będzie chciał mścić się na mnie za ujawnienie dokumentów.

– Rozumiem... – Węglorz podrapał się po głowie. – Potrzebujesz anonimowości. Poczekaj chwilę. – Wstał i chciał przysunąć sobie telefon z drugiego końca biurka.

– Moment. – Powstrzymała go Justyna. – Sprawa tych ludzi nie ma dla mnie aż tak wielkiego znaczenia. Jest jednak jedna rzecz, na której bardzo mi zależy. Chcę, żeby opinia publiczna dowiedziała się, i to jak najszybciej, że mój dziadek, Antoni Skąła, nie miał nic wspólnego z tamtym wypadkiem. Chodzi mi o zweryfikowanie

nierzetelnie i nieuczciwie przeprowadzonego dochodzenia komisji badania wypadków kolejowych w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku.

– Wiesz, to było niemal sześćdziesiąt lat temu... Nie wiem, czy sprawa wypadku nie uległa przedawnieniu. Zupełnie się na tym nie znam.

– Po pierwsze, to nie był wypadek, tylko zamach. Po drugie, nie obchodzi mnie to, czy się przedawniła, czy nie. To mój warunek, żeby udostępnić ci te dokumenty. Albo weryfikujemy ustalenia w sprawie domniemanej katastrofy, albo zabieram wszystkie papiery i uznaję tę rozmowę za niebyłą.

– Spokojnie. Coś wykombinuję. Daj mi pomyśleć. – Węglorz uniósł dłonie w pojednawczym geście, po czym zaczął chodzić w kółko po gabinecie. Po chwili usiadł przy biurku, pociągnął łyk herbaty z głośnym siorbnięciem, następnie upił nieco czerwonego wina z kieliszka i wziął do ręki słuchawkę. Wybrał numer i czekał cierpliwie.

– Halo? Tu Jacek! Jak się ma mój ulubiony prorok? Nie spodziewałeś się, że zadzwonię? Tak, kochany... Wiem, kopę lat... Słuchaj, ty dalej robisz w IPN-ie? Tak? O, to cudownie... Mam sprawę. Poważną. Tak, ja też dalej u Hauptmanna. Przyjedź do Jagniątkowa. Wiem przecież, że jesteś zajęty. Ale byle czym nie zawracałbym ci głowy. Może w weekend? Jak najszybciej! Oczywiście, pościelę ci na strychu. Tak, w pokoju czterdzieści osiem, z widokiem na ogród Hauptmanna. Ha, ha, owszem, sprzedę starego, że ma cię tym razem nie straszyć. Ja już mu ostatnio powiedziałem: „Gerhart, tak się nie traktuje gości! Żeby mi to był ostatni raz!”. No ale zrozum go, nie żyje już sześćdziesiąt lat. Trochę zdziczał tu przez ten czas... Doskonale. Do zobaczenia zatem.

Justyna patrzyła na Węglorza z napięciem i zaciekawieniem zarazem. Kim był prorok, z którym rozmawiał? Historyk natomiast odłożył słuchawkę, upił duży łyk wina, zrobił tajemniczy gest dłonią i powiedział niemal szeptem: – Jeszcze jeden.

– Kieliszek? – zapytała Justyna.

– Nie... – odparł Węglorz i uśmiechnął się z politowaniem. – Telefon.

Wybrał kolejny numer. Po chwili znów się uśmiechnął.

– Halo? Tu Gerhart... Jak to, jaki? Gerhart Hauptmann! Ha, ha! Zawsze się dajesz na to nabrać. No, no, cześć, Grzesiek. Słuchaj, mam dla ciebie materiał na dziennikarskie śledztwo. No tak... Ja wiem... Ja rozumiem... Zajęty jesteś. Przypominam ci jednak uprzejmie, że wisisz mi przysługę. Wiesz za co. – Węglorz

chrząknął. Wstał z fotela i zaczął przyglądać się czemuś za oknem, naciągając kabel telefonu do granic możliwości. – To zmienia postać rzeczy. Tak? – Przez chwilę słuchał rozmówcy w milczeniu. – W porządku. Temat jest chwytliwy. Czy ja wiem... A pewnie, jak możesz, niech będzie także w telewizji. To nawet lepiej. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Oczywiście, przekażę pozdrowienia dla pani Jowity. Tak, dla Romana też. No, to cudownie. Jesteśmy umówieni. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i się uśmiechnął.

– Myślę, że będziesz zadowolona. Rozmawiałem z prokuratorem. Pracuje w komisji w IPN-ie. Ja w tym tygodniu przetłumaczę z grubsza te papiery i pokażę mu, jak przyjedzie. Tak jak ci mówiłem na początku, ja się na tym w ogóle nie znam, co można z taką sprawą zrobić. Ale to już mój przyjaciel stwierdzi, on ma w tej materii bardzo duże doświadczenie.

– Świetnie! A ten drugi facet? To jakiś dziennikarz?

– Tak. Nie wiem, czy sprawę wypadku kolejowego sprzed tylu lat bylibyśmy w stanie ruszyć w ogóle, a już na pewno nie tak szybko, zwłaszcza jakby miało się do tego zabrać PKP. Te trzy litery wykluczają jakąkolwiek prędkość, w sprawach formalnych chyba jeszcze bardziej niż w realiach przewozowych. Niemniej pomyślałem, że przecież tobie nie zależy na jakichś oficjalnych pismach czy komisjach, tylko na przedstawieniu prawdziwej wersji wydarzeń opinii publicznej, prawda? – zapytał, po czym zaczął bawić się kryształowym korkiem od karafki z winem.

– Prawda.

– No właśnie! A w przedstawianiu czegokolwiek opinii publicznej największą siłę mają media! Grzesiek to porządny dziennikarz śledczy. Przekażę mu papiery, opiszę historię twojego dziadka i wypadku z czterdziestego siódmego. Resztę papierów niech sobie mielą trybiki IPN-u. A przy tej sprawie niech Grzesiek powęszy na własną rękę. Z jego zacięciem pewnie dotrze do oficjalnych ustaleń komisji z tamtych lat, zestawie to z nowymi dowodami, które uzyskałaś. Gwarantuję, że jak on rozpęta burzę, to... Zrobi z tego taki materiał, że cała Polska zainteresuje się tym wypadkiem kolejowym.

– Tym zamachem.

– Oczywiście. Tym zamachem. Musisz poczekać, to pewnie zabierze mu trochę czasu, ale gwarantuję ci, że Grześ to solidna firma.

- W porządku.
- Dziękuję, że z tym do mnie przyszłaś.
- Maksymilian poręczył, że jesteś osobą godną zaufania. Dlatego odważyłam się zadzwonić i poprosić o pomoc.
- Ach, Maksiu... Ile to ja z nim przeżyłem... – powiedział z rozmarzeniem historyk i dolał sobie nieco wina do kieliszka.

W pewnym momencie z jednej z szaf wydobyło się dziwne trzaśnięcie. Justyna obróciła się niespokojnie na krześle.

– Nie przejmuj się. Gerhart usłyszał żyrafę i dlatego tłucze się po domu. On tak ma wieczorami...

– Żyrafę? – Justyna spojrzała na mężczyznę zdumiona.

– Tak... Hauptmann bardzo lubił pić wino przy pracy. Kiedy nie chciał, żeby żona dowiedziała się, że prosi służącą o kolejną karafkę, wołał ją i mówił: „Elizabeth, przynieś mi żyrafę!”. Bo po niemiecku żyrafa to *Giraffe*, a to z kolei brzmi podobnie jak *Karaffe*, czyli karafka. I służąca wiedziała, że jak Gerhart chce żyrafę, to znaczy, że ma mu przynieść wino. Taki mieli gryps. Dlatego czasami jak wyciągam karafkę i słyszę jakiś hałas, to myślę, że to Gerhart z zaświatów daje znak, że też by się napił. Ten prokurator, z którym rozmawiałem, twierdzi nawet, że jak u nas spał w gościnnym pokoju na strychu, widział kiedyś Hauptmanna. Ponoć w nocy wszedł do niego do pokoju i światło zapalił. Biedny wystraszył się nie na żarty. A ja mu powiedziałem, że wystarczyło zwrócić Hauptmannowi uwagę, na przykład: „Gerhart, gaś światło, bo prąd drożeje”. Ten dom taki już jest, trochę nawiedzony. Ale ja się przyzwyczailem.

Szpindlerowa Bouda, 17 września 2006

Było już po północy, gdy Justyna wróciła na górę. Zaparkowała samochód pod Szpindlerową Boudą. Przełęcz Karkonoska ze względu na położenie w centrum gór była przez wielu określana mianem serca Karkonoszy. Przedzielony na pół granicą polsko-czeską wąski, niezalesiony pas umożliwiał obserwację jednocześnie ziem należących do dwóch sąsiadów: Polaków na północy i Czechów na południu. Oba narody cieszyły się bowiem nieprzerwanym od kilkudziesięciu lat zaszczytem gospodarzenia w Karkonoszach. Nocą zaś granica nie była dostrzegalna, biało-

czerwone słupki i tabliczki z ostrzeżeniami tonęły w mroku, a górską ziemię znów stawała się jednością. Migoczące w oddali światła polskich miasteczek wyglądały tak samo jak światła z czeskich osad, a nad ich spokojnym snem czuwał po obu stronach ten sam Duch Gór.

Na Przełęczy zbiegało się wiele szlaków, sąsiadowały ze sobą polskie schronisko Odrodzenie i czeska Szpindlerowa Bouda. Za ich sprawą gromadziło się tu codziennie wielu turystów, mieszały się języki, a wszystko to było nad wyraz harmonijne, na przekór wszelkim stereotypom o wzajemnej niechęci Polaków i Czechów.

Gdy Justyna myślała o Czechach, pierwszy przed oczami stawał jej Mikolas, który sprawił, że darzyła sąsiedzki naród olbrzymią sympatią. Wsiadła z samochodu, minęła Szpindlerową Boudę i skierowała się do schowanego za nim mniejszego budynku, w którym mieszkali pracownicy schroniska. Serce zaczęło bić jej szybciej. Po metalowych schodkach wspięła się do drzwi i weszła do środka. Zastanawiała się, czy Mikolas zjechał tego dnia na noc na dół, do miasta, czy też został w swoim służbowym mieszkaniu. Miała nadzieję, że zdecydował się na to drugie. Przeszła na palcach korytarzem do końca i znalazła właściwe drzwi. Zapukała. Odpowiedziała jej głucha cisza. Spróbowała raz jeszcze, nieco głośniejsze. Odczekała chwilę, po czym zrezygnowana skierowała się do wyjścia.

– Justyna? – Usłyszała za sobą zaspány głos mężczyzny. Odwróciła się. W drzwiach stał Mikolas. Był boso, ubrany tylko w obcisłe bokserki i białą koszulkę bez rękawów. Powieki miał lekko podpuchnięte, a włosy potargane. Przecierał zaspane oczy. – Co ty tu robisz?

– Ja... – Zmieszała się. Mikolas wyglądał wyjątkowo seksownie i gdy to sobie uświadomiła, na moment zapomniała, co właściwie chciała mu powiedzieć. – Obiecałam, że porozmawiamy... Musiałam pojechać przekazać dokumenty w bezpieczne miejsce... Z tym Łukaszem to nieprawda, ja mu nie dałam żadnej kolejnej szansy, on kłamał... Bo wiesz... – Zaczęła nerwowo pocierać palcami jednej ręki o drugą.

Mikolas tymczasem podszedł do niej i objął ją w pasie. Pewnym ruchem zsunął ręce niżej i przyciągnął ją do siebie. Swoimi ciepłymi dłońmi zaczął lekko masować jej pośladki. Poczowała, że jest podniecony. Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy.

– Nie musisz tyle mówić – szepnął, delikatnie wiodąc swoim nosem po jej policzku. Gdy poczuła, jak muska jej ucho swoim ciepłym językiem, westchnęła.

Nagle poczuła nacisk jego dłoni pod swoimi udami. Lekko podskoczyła, złapała się jego szyi i śmiejąc niemal bezgłośnie, żeby nie obudzić innych pracowników Szpindlerowej, dała się zanieść do łóżka mężczyzny.

„Boże, niech trwa przyjaźń polsko-czeska” – pomyślała jeszcze, gdy położył ją w pościeli. Czowała jak jej podniecenie dochodzi do zenitu i jak bardzo go pragnie. Gdy wreszcie w nią wszedł, nie myślała już o niczym. Rozkosz pochłonęła ją bez reszty. Tak błogo czuła się po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Jelenia Góra, 3 października 2006

Stanisława spojrzała w lustro. Poprawiła swój nowy kapelusz, który przygotowała niedawno, aby uczcić rozpoczynającą się jesień. Nakrycie głowy udekorowane było owocami dzikiej róży, wrzosem i liśćmi ostrokrzewu.

– Bosko – stwierdziła zadowolona. Włożyła ciepły płaszcz, wzięła torebkę i wyszła z mieszkania. Szybkim krokiem zmierzała Grodzką w stronę rynku, gdy rozpadał się deszcz. Z poirytowaniem spojrzała w niebo. Jego ciemna barwa bynajmniej nie zapowiadała, że to będzie tylko krótkotrwała mżawka.

– Cholera jasna. – Westchnęła, gdy uświadomiła sobie, że parasolkę zostawiła w domu. W tym momencie zegar ratuszowy zaczął wybijać dziesiątą, a to oznaczało, że już jest spóźniona na spotkanie z przyjaciółką w kawiarni „Cukru” przy 1 Maja, w której umawiały się co wtorek. Przyspieszyła kroku.

Wpadła na rynek i minęła fontannę z Neptunem. Skręciła pod kryty ganek łączący ratusz z tak zwanymi Siedmioma Domami, gdy usłyszała skądś znajomy głos.

– Stasia! Stasia! Zaczekaj! Zaraz do ciebie podejdem!

Rozejrzała się i dostrzegła w oknie ratusza znajomą, która mimo emerytury wciąż pracowała w urzędzie. Skrzywiła się w duchu, spoglądając na zegarek, jednak postanowiła spełnić prośbę koleżanki. Stanęła pod wejściem, bo przy ścianie siła ulewy była mniej odczuwalna. Po chwili znajoma wybiegła z ratusza.

– Gratuluję kochana! Muszę przyznać, że wstydem co prawda, że nie spodziewałam się, że to się uda. Jak się z tym czujesz? Po tylu latach udało się ujawnić prawdę! Biedny Antoni, świętej pamięci, tyle lat na to czekał... – dodała, powstrzymując wzruszenie, po czym przytuliła kobietę, omal nie strącając jej finezyjnego kapelusza.

Stanisława niepewnie odwzajemniła gest.

– Czekaj... Ale o czym ty mówisz? Z czym jak się czuję? – zapytała wreszcie.

– Nie bądź taka skromna... Całe miasto o tym mówi.

– O czym?

– No o zamachu na pociąg! Tym w czterdziestym siódmym, w którym zginął twój Antoni.

– O! A dlaczego wszyscy o tym mówią?

– Wczoraj był materiał w telewizji!

– O Antku? – Stanisława nie kryła zdumienia.

– A jak.

– O Boże... Co ty do mnie mówisz... Jak? – pytała gorączkowo.

– Oj Stasia... A co ja ci będę tłumaczyć... Muszę wracać do pracy! Idź ty sobie do kiosku, kup „Nowiny Jeleniogórskie”, przeczytaj. Tam też o twoim Antku piszą. I o tym materiale z telewizji. Ja natomiast chciałam ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że się udało. No, robota wzywa. Trzymaj się, kochana. I może napij się dzisiaj czegoś mocniejszego, dobrze ci to zrobi. – Ucałowała kobietę w policzek i zniknęła w drzwiach ratusza.

Serce Stanisławy biło coraz szybciej. Kawiarnia „Cukru” i przyjaciółka będą musiały poczekać. Rozejrzała się wkoło. Naprzeciwko Neptuna w kamienicy był kiosk. Pobiegnęła tam natychmiast. Po drodze silny podmuch wiatru sprawił, że omal nie spadł jej kapelusz, który z każdą minutą nasiąkał coraz mocniej wodą. Kobieta jednak nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

Wpadła do kiosku.

– Nowiny. Jeleniogórskie – wysapała. – Są?

– Zostały mi jeszcze trzy – odparła sprzedawczyni, spoglądając na półkę.

– Poproszę wszystkie.

Stanisława wyszła z kiosku i drżącymi rękami przysunęła gazetę bliżej oczu. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie dyrektorki Muzeum Karkonoskiego, która chwaliła się zorganizowaniem funduszy na remont grobu Carla Hauptmanna w Szklarskiej Porębie.

Pod zdjęciem znajdowały się zapowiedzi innych artykułów. Tłustymi literami krzyczały do Stanisławy słowa: „Niemiecka partyzantka w Jeleniej Górze po II

wojnie światowej. Ujawniamy szokujące dzienniki członków Hitlerjugend”, „Czy nazistowski zbrodniarz ukrywał się po wojnie w Karkonoszach? Coraz więcej przecieków!” oraz „Nowe fakty w sprawie katastrofy kolejowej sprzed 59 lat!”.

Serce waliło jej jak oszalałe i poczuła, że musi natychmiast usiąść. Ławka naprzeciwko Neptuna była pusta, więc siadła na niej, nie zważając na to, że była mokra. Zaczęła czytać. Z artykułu wynikało, że wczoraj w telewizji puszczonego reportaż znanego dziennikarza śledczego, którego materiał wywołał falę komentarzy w całym kraju. Ów reporter dotarł bowiem do dokumentów, które dobitnie świadczyły o tym, że w 1947 roku niemiecka partyzantka zorganizowała w Szklarskiej Porębie zamach na pociąg towarowy. Celem sabotażystów było doprowadzenie do zderzenia towarówki z jadącym z Warszawy pospiesznym pociągiem pasażerskim. Dzięki staraniom nowej władzy ludowej sprawa przez wiele lat nie ujrzała światła dziennego i pewnie stan ten trwałby dalej, gdyby nie dokumenty, do których dotarł reporter.

Ujawnił on kulisy makabrycznej katastrofy: w tamtych dniach przez Szklarską Porębę przejeżdżał pierwszy międzynarodowy kolarski Wyścig Pokoju. Władza ludowa, obawiając się kompromitacji, że nie potrafiła utrzymać bezpieczeństwa na nowo przejętych ziemiach, i to w czasie dużej transgranicznej imprezy, sprawę postanowiła wyciszyć. Spreparowano liczne dokumenty, a pracowników kolei zmuszono do składania fałszywych zeznań.

W artykule kilka razy padło nazwisko Antoniego Skały, pomocnika maszynisty, który bohatercko zginął podczas służby, a którego potem niesłusznie oskarżono o spowodowanie wypadku kolejowego.

Stanisława się rozplakała. Z ronda jej kapelusza padały na gazetę wielkie krople deszczu i nie mniejsze łzy kobiety. A więc miała rację. Na każdą prawdę przychodzi kiedyś czas, żeby ujrzała światło dzienne.

*Bolesławiec, kwarantanna, kwiecień 2020 –
Dom Gerharta Hauptmanna w Jagniątkowie, październik 2022*

POSŁOWIE

czyli co wydarzyło się naprawdę, a co jest tylko fikcją

Kontynuując zapoczątkowaną w pierwszym tomie tradycję, chciałbym zwrócić się do Was, Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku, z kilkoma słowami wyjaśnień i przedstawić od kulis *Schronisko, które przetrwało*. Za fabułą powieści kryją się bowiem liczne fakty historyczne, ale również moje osobiste przeżycia.

Niezmiennie uważam, że życie samo pisze najlepsze scenariusze. Dlatego też myślę, że to, co jest potrzebne przy kształtowaniu powieści – zwłaszcza kryminalnej – to zebranie różnych prawdziwych, często zapomnianych historii ludzi i miejsc, a następnie danie im nowego życia w książce.

Właśnie te dwa wspomniane wyżej elementy – ludzie i miejsca – stanowiły dla mnie najważniejsze punkty, na podstawie których budowałem opowieść. Jej głównym założeniem było skonstruowanie takiej fabuły, która mogła wydarzyć się tylko w Karkonoszach. Te mistyczne góry starałem się więc przedstawić jako żywych bohaterów – nie tylko świadków, lecz także uczestników wydarzeń, które spotkały Justynę Skałę i innych bohaterów *Schroniska, które przetrwało*.

Zanim jednak przejdę do wyjaśnień, co wydarzyło się naprawdę, a co jest fikcją; które miejsca istnieją, a które wymyśliłem, chciałbym pokrótce nakreślić realia, w których powstawał drugi tom karkonoskiej trylogii. Mam nadzieję, że gdy przez ten pryzmat spojrzycie na powieść, znajdziecie w niej te z pozoru mało znaczące elementy, które dla mnie, jako autora, były bardzo ważne.

Książka zaczęła powstawać w kwietniu 2020 roku – w czasie, gdy wybuchła pandemia. Wtedy też zamknięto uniwersytet medyczny, na którym studiowałem, zmuszony byłem odwołać wszystkie planowane wyjazdy w góry, zamknięto księgarnie, kina, teatry, a nawet lasy i parki narodowe. Na dodatek wtedy też w martwym punkcie utknęły rozmowy o wydaniu pierwszego tomu powieści, a moje

pisarskie marzenia zweryfikowała trudna rzeczywistość. I właśnie w tamtym czasie – w atmosferze niepokoju o zdrowie bliskich i własne, niepewności „co będzie dalej”, gdy odcięto mnie od życiodajnych wędrówek po Karkonoszach, od przyjaciół i studiów – zacząłem w swoim rodzinnym domu z pomocą siostry kreślić pierwsze notatki dotyczące charakteru Justyny Skały i przygód, jakie przyjdzie przeżyć tej niezwyklej i dzielnej kobiecie.

Wybór jej nazwiska był więc nieprzypadkowy – w głównej bohaterce chciałem sam przejrzeć się jak w lustrze.

Z nadzieją, że uda mi się przetrwać te zawirowania, tak jak przetrwała je główna bohaterka (mimo iż z pozoru wydawało się, że ze swoim malkontenctwem jest na przegranej pozycji).

Z nadzieją, że pierwszy tom karkonoskiej trylogii jednak nie zostanie w mojej szufladzie, tylko ujrzy światło dzienne, tak samo jak prawda o zamachu na pociąg.

Z nadzieją, że tak jak do Odrodzenia po remoncie wrócą goście, tak też po przejściowym zamknięciu z racji pandemii na puste karkonoskie szlaki ponownie ruszą turyści.

I wreszcie z nadzieją, że znów spotkam się z Duchem Gór w gwarnej sali wypełnionego turystami schroniska.

I choć wtedy wiedziałem, że Justynie uda się dzięki uporowi rozwiązać zagadkę, nie miałem jednak pewności, czy mnie wystarczy samozaparcia, żeby historie karkonoskich schronisk trafiły na księgarskie półki. Dziś mogę podzielić się z Wami swoją olbrzymią radością: udało się!

Chciałem przedstawić Wam pokrótce obraz tamtego czasu także dlatego, żeby uzasadnić charakter fabuły drugiego tomu trylogii. W moim odczuciu jest ona znacznie bardziej sensacyjna niż w tomie pierwszym – pełna strzelanin, pościgów, zwrotów akcji, szantażu; ba, jest nawet zamach na pociąg. Ktoś może uznać, że to dość dużo jak na jedną powieść. Taki był jednak cel, bo takie były warunki brzegowe, w których powstawała fabuła. Historia, która zaczęła kiełkować w mojej głowie w kwietniu 2020 roku, nie miała być spokojna, lecz przebojowa, pełna sensacji i niezwykłych wydarzeń – a to dlatego, że właśnie tego brakowało w smutnym, pandemicznym czasie. Chciałem, żeby ta historia dawała ukojenie w trudnej codzienności, żeby pokazać Karkonosze w najbardziej szalonym wydaniu.

Jako piękne, potężne, wypełnione nieśmiertelną legendą o Duchu Gór – czyli takie, które niezależnie od światowych zawirowań, zawsze będą na nas czekać.

Powieść powstała więc także z powodu tęsknoty za Karkonoszami. Każdy zna słowa Mickiewicza otwierające *Pana Tadeusza*:

Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Dopiero w czasie pandemii zrozumiałem, co to znaczy tęsknić za swoją ziemią. Jak silne jest to uczucie i jak olbrzymią potrzebę opowiadania budzi w człowieku. Bo istotnie, pisząc o miejscu, za którym się tęskni, sprawia się, że dusza przenosi się na upragnione ziemie i zaznaje choć odrobiny ukojenia. Mam nadzieję, że wszystkim tym, którzy tęsknią za górami, lektura również przyniosła wytchnienie i że przeżyliście z Justyną Skałą wyjątkową karkonoską przygodę.

Przejdę teraz do konkretów, zaczynając od tytułowego schroniska, które przetrwało – Odrodzenia. Obiekt zaczął powstawać w 1928 roku, a oddano go do użytku już w 1929, niedługo przed dojściem do władzy Adolfa Hitlera. W pamiętnym roku 1933 rzeczywiście schronisko zostało przejęte przez organizację Hitlerjugend. Wtedy też młodzieżowe schronisko stało się miejscem obozów dla członków organizacji, która miała za zadanie wychowywać młodych mężczyzn w duchu nazizmu.

Wspominane w powieści mroczne zdjęcia, które przedstawiają budynek przystrojony symbolami nazistowskiej organizacji i flagami ze swastyką, możecie zobaczyć na wewnętrznej stronie okładki. Fotografia ukazała się w gazecie „Schlesien. Zeitschrift für den gesamtschlesischen Raum” w sierpniu 1939 roku – a więc w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej.

Opowieść o „grze” o flagę oparta jest na historii prawdziwych rozgrywek, jakie organizowano dla członków Hitlerjugend. Przebieg zawodów rzeczywiście nie był ograniczony żadnymi regułami, a za milczącym przyzwoleniem opiekunów rozgrywki zamieniały się w krwawe jatki, które miały wyzwolić w przyszłych żołnierzach agresję, rozbudzić nienawiść i stopniowo oswoić ich z postrzeganiem za słuszne torturowania i zabijania „wrogów”. Przeżycia uczestników tych „zabaw” – włącznie z historią chłopca zastrzelonego przez kolegów na warcie – są oparte na faktach.

Także list pisany przez Erika do babci stworzyłem, inspirując się realną korespondencją członków Hitlerjugend z ich rodzinami.

Śpiewana przez chłopców przy ognisku piosenka o żydowskiej krwi kapiącej z noża jest oryginalna i została przeze mnie przetłumaczona z języka niemieckiego na potrzeby powieści.

Obrzydliwa przemowa Karla Hankego, jak również niektóre wypowiedzi Martina i Claudiusa zostały napisane na podstawie dzienników Goebbelsa, niemieckiej prasy z roku 1939, przemówień Hitlera, *Mein Kampf*, a także wytycznych Partii Młodoniemieckiej: *Dla każdego, kto chce nosić miano prawdziwego Niemca*. Przygotowanie się do pisania na podstawie wymienionych lektur było dla mnie strasznym doświadczeniem.

Przeraziło mnie zaś najbardziej to, że im głębiej studiowałem nazistowskie teksty, tym więcej widziałem powiązań z charakterem języka, jakiego używają współcześnie niektórzy hierarchowie kościelni i politycy w naszym kraju. Oswajanie społeczeństwa z segregacją, dzieleniem na prawdziwych i nieprawdziwych, lepszych i gorszych, wypowiedzi odwołujące się do wartości genetycznej danej grupy osób, porównywanie do zarazy, ośmieszanie i stygmatyzowanie mniejszości seksualnych albo wskazywanie winnych roznoszenia chorób jest podłością, obok której nie mogę przejść obojętnie. Ani jako autor, ani jako lekarz, ani – przede wszystkim – jako człowiek. Dlatego też zdecydowałem się ująć w swojej twórczości problem języka, który krzywdzi, wyklucza i ostatecznie zabija. I z tego właśnie powodu powstała pierwsza część powieści zatytułowana *Podchody*, pokazująca, do czego taki język prowadzi i jak bardzo może wypaczyć myślenie młodych ludzi, jeśli odpowiednio szybko zacznie się ich z taką narracją oswajać. Chciałem, żeby ta część była przestrożą i przypomnieniem o czasach, których nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby przeżyć ponownie.

Jako podsumowanie tej myśli chciałbym przypomnieć słowa Mariana Turckiego wypowiedziane podczas 75. rocznicy wyzwolenia obozu w Oświęcimiu. Płacę zawsze, gdy je czytam: „Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek mniejszość jest dyskryminowana [...]. [...] Bądźcie wierni przykazaniu. Jedenaste przykazanie: nie bądź obojętny, bo jeżeli nie, to się nawet nie obejrzyście, jak na was, jak na waszych potomków »jakieś Auschwitz« nagle spadnie z nieba”. Niech ta powieść będzie moim podpisem pod tym apelem.

Pojawiający się w powieści wątek obecności osób homoseksualnych w strukturach Hitlerjugend jest bardzo trudny do zbadania, ponieważ oficjalnie w III Rzeszy taki temat nie istniał. Osoby o takich skłonnościach skrywały swoją naturę za wszelką cenę, bo ich orientacja była tępiona w brutalny sposób. Dość powiedzieć, że istniały przerażające pomysły przymusowej kastracji gejów, a także karania za akty homoseksualne śmiercią. W 1937 roku w jednym z przemówień Himmler stwierdził: „Niektórzy homoseksualiści uważają, że to, co robią, jest ich prywatnym życiem. Lecz życie seksualne nie jest już sprawą prywatną, ponieważ dotyczy przeżycia narodu. [...] Dlatego też wszyscy musimy zrozumieć, że nie możemy tej chorobie pozwolić rozwijać się w Niemczech i musimy ją zwalczać... To jest bardzo ważne, abyśmy ich wytępiłi, nie z zemsty, ale z konieczności życiowej”. Pozostawię bez komentarza te przerażające słowa, odbierające ludziom prawo do wolności i kochania.

Wracając do schroniska Odrodzenie: w czasie drugiej wojny światowej obiekt był miejscem wypoczynku niemieckich oficerów. Co działo się z budynkiem po 1945 roku? Tu istnieje luka, bo obiekt przejęło PTTK dopiero w 1949 roku. Zanim do tego doszło, nie był to już Jugendkammhaus Rübezahl, ale nie było to jeszcze Odrodzenie. Dlatego korzystając z tej czteroletniej luki w historii, pozwoliłem sobie ulokować w tym właśnie czasie i w tym właśnie miejscu kryjówkę sabotażystów z Hitlerjugend.

Tytuł wybrałem celowo, żeby pokazać inne oblicze karkonoskich schronisk – tak jak w pierwszej powieści opowiadałem o Śnieżnych Kotłach i Prinz-Heinrich-Baude, schroniskach, które przestały istnieć, tak teraz chciałem pokazać historię niezwykłego miejsca, które niezależnie od wielu historycznych zawirowań przetrwało: mimo strasznych nazistowskich lat 1933–1945, mimo okresu niezagospodarowania w latach 1945–1949 i wielu późniejszych dramatycznych perypetii. Szczęśliwie w 2009 roku, za sprawą rodziny Kaczmarków, Odrodzenie odrodziło się po wielu smutnych latach, gdy uchodziło za najgorsze schronisko w całych Karkonoszach. Jego nazwa nabrała więc jeszcze głębszego znaczenia. Dziś jest to miejsce wyjątkowe, w którym odwiedziny – jak potwierdzają to relacje z wystawionych w schronisku ksiąg gości – naprawdę zapewniają człowiekowi odrodzenie. Ducha i ciała. I do tych odwiedzin gorąco Was zachęcam – Justyna Skąła, Wiesiu i Renata Marszałkowa czekają na Was z niecierpliwością.

Chciałem, żeby historia Marii Dvořák była kłamrą, która otwiera i zamyka powieść. Przez jej życie pragnąłem pokazać, jak wielkim dramatem kładącym się cieniem na całym życiu człowieka jest wojna i jak wielką cenę płaci za nią ludność cywilna.

Opowieść o rodzicach Marii – Antonie i Emilii Dvořákach z Liberca – również oparłem na faktach. Stanowili oni pretekst do przedstawienia fascynującej, a mimo to dość zapomnianej historii Niemców sudeckich. Fabryka Liebiga istniała rzeczywiście, tak samo jak naprawdę po pierwszej wojnie światowej doszło do buntu Niemców zamieszkujących teren Sudetów, którzy próbowali utworzyć niezależną prowincję Deutschböhmen ze stolicą w Libercu (Reichenbergu). Postać Rudolfa Lodgmana von Auena i przedstawiona w książce jego historia również są autentyczne. Czechosłowacka armia, wkraczając do zbuntowanych prowincji pod koniec 1918 roku, rzeczywiście prawdopodobnie zastrzeliła część protestujących Niemców, z tym że naprawdę doszło do tego w mieście Most, a nie w Libercu.

Ucieczka niemieckiego rządu prowincji Deutschböhmen po wkroczeniu do niej wojsk czechosłowackich również miała miejsce. Zainteresowanych tematem odsyłam do doskonałej lektury pod tytułem: *Niemcy sudeccy. 1848–1948. Historia pewnego nacjonalizmu* pióra Piotra Majewskiego. Stamtąd zaczerpnąłem porównanie Czechosłowacji do azurowej wycinanki, które doskonale oddaje istotę problemu mniejszości niemieckich zamieszkujących ten kraj po pierwszej wojnie światowej.

Nazistowskich sekretów w Karkonoszach jest bardzo wiele. Historia drogi sudeckiej – pisałem o niej dużo w pierwszym tomie trylogii – jest tylko jednym z przykładów bestialstwa hitlerowców. Wspomniany w powieści budynek hotelu Depandance należący do Szpindlerowej Boudy rzeczywiście stoi po polskiej stronie granicy, należy do Czechów, a w przeszłości Niemcy przetrzymywali w nim jeńców różnych narodowości pracujących przy budowie drogi. Ot, przewrotność karkonoskiej historii.

Ucieczka Karla Hankego wciąż owiana jest tajemnicą i do dziś nie ma pewności, co stało się z „katem z Breslau”. Według jednej z wersji został rzeczywiście zastrzelony przez czeskich partyzantów, ale nie na drodze do Szpindlerowego Młyna, lecz kilkadziesiąt kilometrów dalej, w miejscowości Nová Ves nad Popelkou. Czy rzeczywiście tak było – trudno dziś ustalić.

Prawdą jest, że Hanke przyjaźnił się z Gerhartem Hauptmannem – o postaci noblisty najwięcej dowiedziecie się, odwiedzając jego niezwykły dom w Jagniątkowie. Gorąco Was do tego zachęcam! Czekam na Was gabinet pisarza (wspomnijcie wtedy, że finałowe sceny powieści powstały właśnie tam) i niezwykła Hala Rajska.

Przedstawiony w powieści obóz Gross-Rosen istniał naprawdę i – jak celnie określiła go w swojej książce Joanna Lamparska – było to „Imperium małych piekieł”. Opisy zbrodni, jakie się tam dokonywały, mrozą krew w żyłach. Przynozone w powieści okrucieństwa nazistów również oparte są na prawdziwych relacjach. Zabijanie więźniów zastrzykiem z fenolu podawanym bezpośrednio do serca rzeczywiście zostało „opatentowane” przez nazistowskiego lekarza Friedricha Entressa w Gross-Rosen. Jego „metodę” przejął następnie m.in. KL Auschwitz.

Filia we Vrchlabí istniała naprawdę i – tak jak w przypadku wielu innych podobozów – wiemy o niej stosunkowo niewiele.

Wspomniany w powieści Karl Gallasch, przyjaciel Karla Hankego, jest uznawany za jednego z najokrutniejszych esesmanów, jacy kiedykolwiek pojawili się w obozie Gross-Rosen. W rzeczywistości nie urzędował on jednak we Vrchlabí, ale w innych filiach – ten element celowo zmieniłem w powieści, żeby wpleść nazwisko zbrodniarza do fabuły. Gallasch codziennie zabijał w obozie po kilka osób. Nie jestem w stanie przytoczyć tu szczegółowych opisów jego okrucieństw – samo wspomnienie o tym w książce było dla mnie trudne. Uznałem jednak, że jest to istotny element, który pokaże, jak przerażające rzeczy działy się na tych z pozoru spokojnych ziemiach w czasie wojny. Gdy będziecie zwiedzać słynny sowiogórski kompleks „Riese” czy podziemia zamku Książ, chciałbym, żebyście pamiętali, że nie są to tylko miejsca związane z nazistowskimi zagadkami czy złotym pociągami. To przede wszystkim filie obozu Gross-Rosen i miejsca kaźni.

Wracając do Gallascha: schwytano go w 1945 roku we Wrocławiu. Po dwuletnim procesie nie doczekał wykonania wyroku (skazano go na karę śmierci) – sam powiesił się 19 maja 1947 roku w więziennej celi we Wrocławiu.

Po premierze pierwszego tomu powieści spotkałem się z opinią, że nie należy współczuć niemieckim cywilom, których po wojnie wysiedlano z Dolnego Śląska, bo „na to zasłużyli” i była to „sprawiedliwa kara” za wojnę wywołaną przez III Rzeszę. Co jednak starałem się pokazać w poprzednim i także w tym tomie – najmniej winni ponieśli często najwyższe kary. Natomiast rzeczywiście odpowiedzialni za ludobójstwo – jak na przykład kaci z obozu Gross-Rosen –

nierzadko nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności za swoje czyny. Najlepszym tego przykładem jest Johannes Hassebroek, ostatni komendant obozu, który objął tę funkcję w 1943 roku, po wojnie spędził w więzieniu zaledwie sześć (!!!) lat, po czym wyszedł na wolność i cieszył się nią do śmierci w 1977 roku. Historii takich jest znacznie więcej. Ocenę tej „sprawiedliwości” pozostawiam Waszym sumieniom.

Zachęcam do oddania hołdu pomordowanym i do wizyty w przerażającym muzeum obozu Gross-Rosen w Rogoźnicy. O jego istnieniu wielu Polaków nie ma pojęcia, a pamięć o nim musi przetrwać – dlatego też zdecydowałem się umieścić w powieści choć namiastkę historii tego piekła. Muzeum Gross-Rosen to najodpowiedniejsze miejsce do stawienia czoła historii okrucieństw, które wydarzały się w czasie wojny w niemal setce małych podległych mu podobozów. Były one rozsiane po całym Dolnym Śląsku i zboczyły te piękne ziemie krwią niewinnych.

Pojawiające się w powieści w kilku miejscach pytanie „Co o tym myślisz?”, które zadała Marii Dvořák przyjaciółka podczas obserwowania egzekucji więźniów, było dla mnie niezwykle ważne. To właśnie podczas zwiedzania Gross-Rosen uświadomiono mi, jak wielu cywilów, mieszkających w sąsiedztwie obozu, było przekonanych o słuszności dziejących się tam dramatów. Rzeczywiście dochodziło do sytuacji, w których mieszkańcy opluwali i wyzywali skazanych pędzonych ze stacji kolejowej do obozu. Zaszczepienie w ludziach tego sposobu myślenia było wynikiem sprawnej propagandy III Rzeszy. Wydarzenia, jakie obserwujemy obecnie w Rosji w związku z wojną w Ukrainie, w przerażający sposób dowodzą, że krzewiąca zło propaganda nadal ma się dobrze i lekcja z drugiej wojny światowej nie została przez wielu odrobiona.

Wspomniany w książce proceder wyrywania więźniom KL Gross-Rosen zębów jest niestety oparty na faktach. W momencie przyjęcia do obozu notowano w karcie, czy skazany posiada złote korony – jeśli tak, po śmierci były one usuwane. Jak wynika z relacji świadków, dentysta pracujący w Gross-Rosen miał nieustannie pełne ręce roboty, a ilość złota „odzyskiwanego” ze zmarłych należy liczyć w kilogramach, co tylko potwierdza przerażające przypuszczenia o liczbie zabitych w obozie podczas jego funkcjonowania.

Opowieść o Klinowych Boudach i ukrywającym się w nich Karlu Hankem została przeze mnie wymyślona, ale – jak zazwyczaj – jest w tej historii ziarno prawdy. Na

Dolnym Śląsku po wojnie nieraz miały miejsce sytuacje, w których byli więźniowie obozu Gross-Rosen rozpoznawali w tłumie twarze swoich dawnych oprawców. Do takiego zdarzenia doszło chociażby w Świdnicy, kiedy w budynku sądu były więzień Mieczysław Mołdawa dostrzegł na korytarzu mężczyznę, który okazał się członkiem kapo. Tenże w czasie wojny w obozie Gross-Rosen topił w beczkach więźniów ze złotymi zębami, które sprzedawał potem SS-manom za wódkę i lepsze jedzenie. Na skutek zeznań Mołdawy skazano go potem w Świdnicy na karę śmierci. Takich procesów odbyło się po wojnie w tym mieście więcej, stąd bywa ono nazywane dolnośląską Norymbergą. W innych miastach zdarzało się, że dopiero po śmierci identyfikowano pewnych ludzi jako SS-manów. Historii tego typu kryje Dolny Śląsk naprawdę wiele. Zachęcam Was do ich odkrywania.

Kolejnym tematem, o którym muszę wspomnieć, jest zamach na pociąg towarowy w 1947 roku. Linia kolejowa numer 311 istnieje naprawdę. Szczęśliwie jest czynna (co w Polsce nie jest oczywistością) i stanowi – moim skromnym zdaniem – najbardziej niezwykłą drogę żelazną w kraju. O jej wyjątkowości z pewnością przekonają Was zdjęcia z 1935 roku i współczesne, które znajdziecie na wewnętrznej stronie okładki.

Na linii 311 nigdy nie doszło do zamachu na polski pociąg towarowy, natomiast w 1980 roku miał miejsce tragiczny wypadek, którego opis wykorzystałem przy tworzeniu scen zamachu.

Był 23 września 1980 roku, gdy ze Szklarskiej Poręby Huty wyprawiono parowóz Ty2-877 razem z brankardem i 11 czteroosiowymi węglarkami z kamieniem (w książce parowóz wyprawiono z Jakuszyc, stacji wyżej). Łączna masa urobku wynosiła 900 ton brutto. Pociąg ten, ze względu na przewożony towar, rzeczywiście był zwany „Kamykami”. Wypuszczano go w trasę na dół, do Jeleniej Góry, po przyjeździe do Szklarskiej Poręby Górnej pociągu osobowego, który rozkładowo docierał na stację o godzinie 14:37. W dniu katastrofy pasażerski rzeczywiście był trochę spóźniony. Wkrótce po jego zatrzymaniu się przy peronie do dyżurnego ruchu dotarła przerażająca informacja: z góry pędzą w ich kierunku „Kamyki” bez hamulców.

Błyskawiczna reakcja pracujących na trasie kolejarzy umożliwiła oczyszczenie toru, jednak – tak jak w powieści – ze względu na charakter linii nie było możliwości wykolejenia albo rozerwania składu. Pozostało jedynie modlić się, żeby rozpędzony pociąg szczęśliwie dotarł na dół i nie wypadł z szyn przed ostatnim

zakrętem. Po nim bowiem następował długi, prosty odcinek torów, na którym skład wytraciłby wreszcie prędkość i się zatrzymał.

Pociąg towarowy pokonywał górski odcinek trasy normalnie w ponad pół godziny – tym razem zajęło mu to niecałe dziesięć minut. O godzinie 14:56 na nasypie w Piechowicach, dwa kilometry przed końcem niebezpiecznej trasy, skład wypadł z zakrętu. Skala wydarzenia była trudna do opisanego. Świadczy o tym chociażby fakt, że pomocnika maszynisty odnaleziono wśród szczątków lokomotywy dopiero po trzech godzinach. Chłopak miał 19 lat i pracował na kolei dopiero pół roku... Rannego maszynistę znaleziono szybciej, jednak zmarł wkrótce po przewiezieniu do szpitala. Katastrofę przeżył jedynie konduktor pociągu, który zdążył wyskoczyć z pędzącego składu w Szklarskiej Porębie.

Przyczyną wypadku, według późniejszych ustaleń, było niedopełnienie obowiązków przez rewidenta składu, który na początkowej stacji (Szklarska Poręba Huta) nie odkręcił wspomnianego w powieści zaworu na przewodzie hamulcowym, odcinając lokomotywie możliwość uruchomienia hamulca w jedenastu wyładowanych urobkiem wagonach.

Ruch na linii przywrócono dwa dni później nad ranem. O katastrofie i kolejarzach, którzy zginęli podczas służby, mało kto dziś pamięta...

Postacie Alexandra, Erika i Klause to wymysł mojej wyobraźni, natomiast prawdą jest obecność na Dolnym Śląsku po drugiej wojnie światowej Wehrwolfu – niemieckiej partyzantki sabotującej działalność nowych, polskich władz. Temat ten wciąż budzi wiele emocji. Dodam jeszcze, że „ziarnem prawdy” w historii sabotażystów z Hitlerjugend jest też istnienie w miejscowości Wartha (dziś: Bardo) szkoły dywersji. Zainteresowanych tematem odsyłam do książki Szymona Wrzesińskiego i Krzysztofa Urbana *Hitlerjugend na Dolnym Śląsku 1933–1945: indoktrynacja, siedziby, poświęcenie*.

Wieś Tkacze istnieje, ale nie znajdziecie jej na mapie Polski! W 1945 roku znalazła się ona w granicach naszego kraju, jednak nie została nigdy zasiedlona. W 1946 roku liczyła 37 budynków i 17 szop. Spośród nich zamieszkane były natomiast wyłącznie cztery: stacja kolejowa i dwa domy zajmowali kolejarze, jeden budynek należał do Wojsk Ochrony Pogranicza. Inne miejsca, takie jak gospoda Zur Landesgrenze, najprawdopodobniej stały puste.

Osada nie posiadała pieszego przejścia granicznego. Również graniczny most kolejowy na rzece Izerze, tuż za wsią, nie był użytkowany. Można więc śmiało

powiedzieć, że w Tkaczach kończył się świat.

Nie znaczy to jednak, że granicy w tym miejscu nie przekraczano. Ludzie pokonywali ją nielegalnie i było to źródłem licznych polsko-czechosłowackich konfliktów.

Niedługo po drugiej wojnie światowej do Tkaczy docierały jeszcze pociągi pasażerskie z Jeleniej Góry, jednak już w maju 1947 roku rozkład nie przewidywał żadnych połączeń zapomnianej osady ze światem.

W 1959 roku w wyniku rozmów polsko-czechosłowackich doszło do ustalenia nowego przebiegu granicy między tymi państwami. W ich efekcie Polska po czternastu latach zrzekła się Tkaczy na rzecz sąsiada. Dziś osada jest przysiółkiem czeskiego Harrachova. Szczęśliwie przywrócono też transgraniczne połączenie kolejowe: ze Szklarskiej Poręby Górnej przez Jakuszyce do Czech. Stacja kolejowa Tkacze istnieje więc nadal, ale dziś nosi nazwę Harrachov-Mýtiny, a most graniczny na rzece Izerze nie jest już mostem granicznym, lecz w całości położonym w Czechach, tak samo jak stacja Tkacze i tunel kolejowy. Zainteresowanych historią wsi odsyłam do lektury świetnej książki Tomasza Rzerzyckiego *Utraczone Sudety*, gdzie w rozdziale *Niepotrzebna miejscowość* znajdziecie fascynującą opowieść o wsi, którą oddaliśmy sąsiadom w 1959 roku.

Wspominany w książce Wyścig Pokoju tak naprawdę odbył się po raz pierwszy w maju 1948 roku. Prasa relacjonowała wtedy, że kolarze przekroczyli granicę właśnie w Tkaczach, jednak nie jest to prawdą: trasa wyścigu wiodła przez Jakuszyce. Wykorzystałem jednak tę dziennikarską pomyłkę w fabule powieści, celowo ustawiając w Tkaczach dekoracje na okoliczność przejazdu kolarzy.

Szpital z oddziałem leczenia gruźlicy Cicha Łąka w Borowicach nie istnieje, ale pisząc o tym miejscu, wzorowałem się na szpitalu Wysoka Łąka w Kowarach.

Muszę też wspomnieć o Czarcim Młynie. Choć on sam nie istnieje, w miejscu, w którym go ulokowałem, na styku Czarciej Strugi i Białej Łaby, stoi Bouda u Bílého Labe. Miejsce to bynajmniej nie jest opuszczone czy zaniedbane – znajdziecie tam przytulne schronisko z bardzo smaczną kuchnią.

Opisany w powieści cmentarz, na którym pochowano Karla Hankego – w Szpindlerowym Młynie w dolinie Świętopietrzańskiego Potoku – nie istnieje. Tak naprawdę w miejscu tym stoi jedynie skromna kapliczka.

Apteka Pod Złotą Wagą rzeczywiście znajduje się w Karpaczu – z tym że jej nazwa tuż po wojnie była inna i brzmiała: Pod Białym Orłem. Pensjonat rodziców Marty – Górski Dwór również możecie w Karpaczu znaleźć, ale w rzeczywistości nazywa się Leśny Dwór.

Wspomniane w powieści „martwe lasy” istnieją – nie tylko w Karkonoszach, lecz także w innych rejonach Sudetów, na przykład w Górach Izerskich. Masowe zamieranie drzewostanów w tym regionie było efektem kłęski ekologicznej, do której doszło w drugiej połowie XX wieku m.in. na skutek emisji do atmosfery przez elektrownie polskie, czeskie i niemieckie olbrzymiej ilości zanieczyszczeń, w tym tlenków siarki i azotu. Statystyki są przerażające – ilość rocznie emitowanego w okolicy Sudetów tlenku siarki stanowiła blisko jedną trzecią całkowitej emisji tego gazu w całej Europie! Szkodliwe substancje stały się źródłem kwaśnych deszczów, które przyczyniły się do zniszczenia lasów na obszarze sięgającym 15 tysięcy (!!!) hektarów. Wprowadzony w latach dziewięćdziesiątych międzynarodowy program ratowania przyrody tych ziem, określanych na skutek kłęski mianem „czarnego trójkąta”, przyniósł dobre efekty. Niemniej mimo upływu tak wielu lat skutki tamtej katastrofy w postaci martwych lasów wciąż są widoczne, m.in. na zielonym szlaku ze Starej Polany do schroniska Odrodzenie.

Relacje polsko-czeskie w Karkonoszach bywają różne. Choć mnie osobiście spotkały ze strony sąsiadów kilkakrotnie w górach nieprzyjemności i mimo że gościna w Szpindlerowej Boudzie czy innych schroniskach budzi mieszane uczucia, wiem, że my, Polacy, też „swoje za uszami mamy”. Przedstawiłem jednak finałowe sceny z głęboką wiarą, że polsko-czeskie relacje będą jeszcze naprawdę serdeczne – takie jak między powieściowymi pracownikami Odrodzenia i Szpindlerowej Boudy, między Mikolasem a Justyną. I tego naszym narodom z głębi serca życzę.

Słów kilka chciałbym rzec jeszcze o geografii – wszystkie szlaki i miejsca (poza Czarcim Młynem i cmentarzem w Szpindlerowym Młynie) opisałem wiernie i zgodnie z ich przebiegiem. Pozwoliłem sobie jedynie na stworzenie własnych odpowiedników dwóch czeskich nazw: Sedmí dolí (dosłownie: Siedem Dolin) przetłumaczyłem jako Siedmiodolina. Natomiast dolinę, w której płynie Svatopetrský potok, określiłem mianem Doliny Świętopietrzańskiego Potoku. Kilka nazw czeskich zostało zapisanych w funkcjonujących w powszechnym obiegu ich polskich odpowiednikach. Są to: Szpindlerowy Młyn (zamiast Špindlerův Mlýn), Szpindlerowa Bouda (Špindlerova Bouda), Czarcia Struga (Čertova strouha) i Biała

Łaba (Bíle Labe). Zdecydowałem się na to, ponieważ nazwy te pojawiają się w powieści często, a ich odmiana w oryginalnym zapisie byłaby kłopotliwa.

Na koniec, już niemal tradycyjnie, chciałbym odnieść się do Ducha Gór, władcy Karkonoszy. Wplecione do powieści legendy pochodzą ze źródeł historycznych. Opowieść o ogrodzie Ducha Gór rzeczywiście zawarta jest w *Daemonologia Rubinzalii Silesii*, dziele Johanneses Praetoriusa z 1662 roku uznawanym za jedno z najstarszych źródeł traktujących o demonie Karkonoszy. Legendy o zamarznętych kołędnikach czy o rozpędzeniu hrabiowskiej uczyty pod Śnieżką pochodzą natomiast z cudownej *Księgi Ducha Gór* autorstwa Carla Hauptmanna (brata Gerharta Hauptmanna). Tłumaczenie z niemieckiego ukazało się niedawno nakładem Wydawnictwa AD REM i do lektury tej fascynującej pozycji również Was zachęcam.

O ile powieść zaczęła powstawać w smutnym pandemicznym kwietniu 2020 roku, o tyle posłowie piszę już w innym świecie. Jest koniec października 2022 roku, a ja siedzę przy biurku Gerharta Hauptmanna w jego willi w Jagniątkowie, gdzie mam przyjemność kończyć pracę nad powieścią. Na dworze szaleje wichura i gdy piszę te słowa, dochodzi północ. W gabinecie noblisty jest wyjątkowo zimno i mrocznie, bo pali się tylko jeden skromny żyrandol. Parzę więc herbatę i przykrywam się dodatkowym kocem. Chłonę wyjątkowość karkonoskiej nocy z radością, że już wkrótce opowieść o Krainie Ducha Gór trafi w Wasze ręce. Gdzieś tam w starym domu coś trzeszczy i stuka – może to Hauptmann przyszedł, bo domaga się kolejnej żyrafy? Albo Jacek Węglorz podskoczył na krzesło w swoim biurze piętro wyżej? Kto wie... Sekrety tego domu i całego królestwa Ducha Gór czekają na Wasze odkrycie. Ruszajcie w drogę, przygoda czeka!

Jagniątków, Dom Gerharta Hauptmanna,
22 października 2022

PODZIĘKOWANIA

Od chwili premiery *Schroniska, które przestało istnieć* do momentu wydania *Schroniska, które przetrwało* wydarzyło się w moim życiu – jako człowieka i jako autora – tyle dobra, że niemożliwe będzie zebrać je i opisać zaledwie na kilku stronach. Niemniej chciałbym przynajmniej wspomnieć o Osobach, których wsparcie dla mnie, jako skromnego debiutanta, było bezcenne. I dzięki którym możecie trzymać w rękach drugi tom karkonoskiej serii kryminalnej.

Mamo, Tato – jesteście dla mnie wzorem najlepszego rodzicielstwa, jakie tylko mógłbym sobie wymarzyć. Gdyby nie Wasze porady i opieka, nigdy nie dotarłbym do miejsca, w którym jestem dzisiaj.

Małgorzata Musierowicz napisała, że „Siostra jako taka jest bardzo dobrym wynalazkiem”. Ja mogę jedynie się z tym zgodzić. Jowitko – dziękuję za nasze górskie wyprawy i Twoje olbrzymie wsparcie przy pisaniu drugiego tomu. Byłaś obecna przy tworzeniu fabuły, rysowałaś pierwsze portrety bohaterów książki i nigdy nie zwątpiłaś w to, że historia mieszkańców Odrodzenia ujrzy światło dzienne.

Grzesiu – dziękuję Ci, bo jesteś lekiem na całe zło i najlepszym agentem zarazem. Roztaczasz nade mną i moją twórczością ochronny parasol, bez którego nie dałbym sobie rady.

Julciu Pakulska – tyle szlaków za nami, a Ty nadal chcesz ze mną dreptać po Karkonoszach i odkrywać sekrety Ducha Gór. Dziękuję za te wspólne kilometry, a szczególnie za wędrowkę z wakacji 2020 roku, gdy przegadaliśmy kilka godzin na temat fabuły *Schroniska, które przetrwało*. Twoje uwagi bardzo pomogły mi mądrze doprowadzić do końca wszystkie wątki tej historii.

Słowa podziękowania należą się Mateuszowi Łyżwie – którego jak zawsze wnikliwa i pełna wrażliwości recenzja pomogła mi ujrzeć w innym świetle niektórych bohaterów książki. To Mateuszowi udało się podsumować całą moją pracę nad powieścią w jednym, trafnym zdaniu: „Kochasz Karkonosze, oddychasz nimi, są Twoim domem i to się czuje w tej książce”. I za to zdanie również chciałem podziękować, bo zostanie już na zawsze w mojej głowie.

Dziękuję moim Przyjaciołom, Maksowi Harłukowiczowi i Łukaszowi Dubniańskiemu, których nieustanna obecność przy wszystkich schroniskowych perypetiach po raz kolejny utwierdziła mnie w przekonaniu, że mam wokół siebie niezwykłych, wrażliwych i pięknych ludzi.

Słowa podziękowania chciałbym też skierować do dobrych ludzi z Karkonoszy. Dziękuję rodzinie Sokolińskich, która prowadzi księgarnię w Szklarskiej Porębie. Wasza życzliwość, wsparcie i pomysły na spotkania autorskie przyczyniły się do tego, że „schroniskowe opowieści” dotarły do Czytelniczek i Czytelników w samych Karkonoszach. Szczególnie dziękuję też Grzegorzowi Sokolińskiemu: na potrzeby książki bezinteresownie użyczył On ze swoich zbiorów unikatowej przedwojennej fotografii przedstawiającej linię kolejową numer 311. Możecie ją zobaczyć na wewnętrznej stronie okładki.

Skoro zaś o zdjęciach mowa, muszę tu wspomnieć o trzech osobach.

Dziękuję Rafałowi Kotylakowi, którego niezwykle zdjęcie już po raz drugi stało się podstawą do stworzenia okładki książki.

Dziękuję Danielowi Koszeli, który uchwycił pociąg Kolei Dolnośląskich na linii 311 w tym samym miejscu, w którym kilkadziesiąt lat wcześniej inny fotograf zrobił zdjęcie niemieckiego pociągu. Efekty tego niezwykłego „połączenia” dwóch światów również możecie zobaczyć na wewnętrznej stronie okładki.

Dziękuję Jordanowi Plisowi – za pozytywną energię, bezinteresowną pomoc przy promocji książki, świetne pomysły i wreszcie – za użyczenie współczesnego zdjęcia schroniska Odrodzenie – znajdziecie je na wewnętrznej stronie okładki, leży na biurku Justyny Skały.

Dziękuję Sylwii Czesnej z Jelonkowa, która zorganizowała cykl świetnych spotkań z uczniami jeleniogórskich liceów. Za to, a także Twoje dobre pomysły i spełnienie jednego z marzeń mojego życia związanego ze Śnieżnymi Kotłami. Nie zapomnę Ci tego!

Dziękuję pisarkom, których życzliwość, doświadczenie, mądre podpowiedzi i wsparcie są po prostu bezcenne: Monice Kowalskiej, Ani Szczypczyńskiej, Sabinie Waszut i Marcie Matyszczak. Dziewczyny, to dla mnie zaszczyt, że Was poznałem!

Dziękuję Gospodarzom karkonoskich schronisk, którzy przyjęli pod swoje dachy moją książkę, a także pomogli zorganizować spotkania z czytelnikami w sercu Krainy Ducha Gór. Muszę tu wspomnieć o Panu Piotrze i Pani Marii Kaczmarkach ze

schroniska Odrodzenie, a także Pani Ewie Kłopotowskiej i Pani Eli Rakotoarison ze schroniska na Szrenicy – pięknie dziękuję za Waszą życzliwość i gościnność.

Dziękuję Panu Januszowi Skowrońskiemu z Muzeum Miejskiego „Dom Gerharta Hauptmanna” w Jagniątkowie, który zawsze chętnie dzieli się ze mną swoją przebogata wiedzą, a także umożliwił mi zamieszkanie w domu noblisty na czas pracy nad tą książką.

Dziękuję Panu Michałowi Krawczykowi, który został moim „kolejowym ekspertem” i bezinteresownie udzielił mi olbrzymiej pomocy przy powstawaniu fragmentów poświęconych zamachowi na pociąg. Jego wnikliwe oko wychwyciło błędy kolejowego laika, jakim jestem, a cenne uwagi pomogły mi uwiarygodnić akcję.

Dziękuję Pani Joannie Broniarczyk z Książnicy Karkonoskiej i Pani Agnieszce Wójcik z Dolnośląskiej Biblioteki Cyfrowej, które pomogły mi odnaleźć unikatowe i jedyne w swoim rodzaju zdjęcie schroniska Odrodzenie z sierpnia 1939 roku.

Nie sposób będzie tu podziękować z osobna wszystkim gospodarzom muzeów i bibliotek, którzy przyjęli mnie na spotkaniach autorskich – wiedzcie jednak, że przepelnia mnie wdzięczność za Waszą pomoc i gościnę. Słowo podziękowania kieruję do biblioteki w Wiązowie – na spotkaniu obiecałem Wam, że w drugiej części pojawi się bohater z Waszej miejscowości i... obietnicy dotrzymałem.

Słowa podziękowania chciałbym skierować do doktor Renaty Kopczyk, która stała się pierwowzorem postaci Marszałkowej, za jej nieocenione wsparcie i pomoc w promocji mojej twórczości m.in. przez organizację aukcji podczas Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Dziękuję także Sebastianowi Herodowi, który wziął udział we wspomnianej aukcji i wylicytował możliwość wyboru imienia dla jednego z bohaterów książki. Ostatecznie dwaj bohaterowie zostali nazwani na cześć synów Sebastiana – a są to Krzysztof Saneczka i Wojciech Pławecki.

Dziękuję Pani Uli Nowickiej, przewodniczącej po KL Gross-Rosen, za pouczającą i inspirującą opowieść, a także cierpliwe odpowiedzi na wszystkie moje pytania dotyczące funkcjonowania obozu.

Tak jak ostatnio – pięknie dziękuję Pani Redaktor Małgosi Grochockiej. Jej wielkie doświadczenie i krytyczne oko sprawiły, że podczas redakcji książki wydobyliśmy z tej historii to, co najlepsze.

Dziękuję też zespołowi Wydawnictwa Dolnośląskiego, a zwłaszcza Oli Zastępie i Natalii Steckiej-Kubanek – za Wasze dobre pomysły i zaangażowanie w pracę nad tym, żeby drugi tom *Schroniska...* był wyjątkowy.

Szczególne podziękowania chciałbym na koniec złożyć wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom. Za Waszą obecność na spotkaniach autorskich, a także w mediach społecznościowych. Za Wasze dodające otuchy recenzje, wiadomości, niezliczone zdjęcia mojej książki na tle domowych zaciszy, ale i karkonoskich widoków – spełniście tym samym moje marzenie, że ludzie wyruszą w góry śladem bohaterów *Schroniska...* Za wszystkie przemiłe słowa i polecenie mojej powieści swoim przyjaciołom i bliskim – pięknie Wam dziękuję.

Do zobaczenia na szlakach Krainy Ducha Gór!

Sławek Gortych

PRZYPISY

[*] Tekst z tablicy znajdującej się w kamieniołomie, w którym pracowali, cierpieli i ginęli więźniowie obozu Gross-Rosen na Dolnym Śląsku w latach 1940–1945.

[1] Polskie słowo „bauda”, z niemieckiego *Baude*, z czeskiego *bouda*, to funkcjonujące w Karkonoszach od kilkuset lat określenie schroniska górskiego.

[2] *Heil Wolf!* (niem.) – Chwała Wilkowi!

[3] Tender – wagon służący do przewozu węgla i wody dla parowozu.

[4] Brankard – wagon służbowy w pociągach towarowych.

[5] *Scheiße* (niem.) – gówno.

[6] *Kriegslokomotive* (niem.) – lokomotywa wojenna.

[7] *Běžíme tam!* (czes.) – Biegniemy tam!

[8] *Volám policii!* (czes.) – Dzwonię po policję!

[9] *Telefon nefunguje* (czes.) – Telefon nie działa.

[10] *Věže* (czes.) – wieży.

[11] *Visací zamek jste normální* (czes.) – z kłódką wszystko w porządku.

[12] *Dobrou noc* (czes.) – dobranoc.

[13] *Voilà!* (fr.) – Proszę bardzo!

[14] *Ahoj! Jak se máš, Justynka?* (czes.) – Cześć! Co słychać, Justynka?

[15] *Mikolas! Myslím, že jsi s prací ještě neskonalil* (czes.) – Mikolas! Myślę, że jeszcze nie skończyłeś pracy.

[16] *Skončil jsem* (czes.) – Skończyłem.

[17] *Ne, ne* (czes.) – Nie, nie.

[18] *Co chceš?* (czes.) – Co chcesz?

[19] *Dobrou noc, zlato* (czes.) – Dobranoc, skarbie.

[20] *Spolu* (czes.) – razem.

[21] *Idiot* (czes.) – idiota.

[22] *Co jsi tak našťvaná?* (czes.) – Co się tak denerwujesz?

[23] *Kontrollraum* (niem.) – sterownia.

[24] *Bahnhof* (niem.) – dworzec kolejowy.

[25] *Carl Arnheims Fabrik – Breslau* (niem.) – Fabryka Carla Arnheima – Wrocław.

[26] Laboranci – tym mianem określano w Karkonoszach w dawnych wiekach grupę ludzi zajmujących się zbieraniem ziół i wytwarzaniem z nich lekarstw. Określenia „laborant” użyto po raz pierwszy w XVIII wieku, jednak zawód ten, znajdujący się na pograniczu zielarstwa, medycyny i magii, znany był już wcześniej. Laboranci, z uwagi na obszar, z którego pozyskiwali cenne zioła, nierzadko pojawiają się jako bohaterowie legend związanych z Duchem Gór.

[27] *Chceš si koupit med?* (czes.) – Chcesz kupić miodu?

[28] *Ano* (czes.) – Tak.

[29] *Děkuji* (czes.) – dziękuję.

[30] *Anschlag auf dem Zug, Jakobsthal, 3 V 1947* (niem.) – Zamach na pociąg, Jakuszyce, 3 V 1947.



**Nazista uciekający przed sprawiedliwością.
Kobieta próbująca przywrócić honor swojej rodzinie.
Włamywacze szukający śladów przeszłości.
Co ich łączy? Schronisko.**

Karkonoskie schronisko Odrodzenie zostaje zamknięte z powodu remontu. Zarządzająca obiektem Justyna Skąła, przyjaciółka Marty i Maksa, korzystając z wolnej chwili, daje się zaprosić tajemniczemu adoratorowi do teatru w rodzinnej Jeleniej Górze. Gdy mężczyzna nie zjawia się w umówionym miejscu, tknięta niejasnymi przecuciami wraca nocą do schroniska i odkrywa, że dozorca zniknął, a w piwnicy grasują włamywacze.

Wkrótce daje o sobie znać nazistowska przeszłość Odrodzenia. Czy włamanie ma coś wspólnego z morderstwem, do którego doszło w budynku w czasie wojny? Co łączy schronisko z zamachem niemieckich partyzantów na polski pociąg? Czy odkrycia Maksymiliana mają związek z wydarzeniami, które niepokoją Justynę?

Jedno jest pewne: sekrety Odrodzenia powinny ujrzeć światło dzienne. Są jednak ludzie zdecydowani narazić niejedno życie, by do tego nie doszło...

TOM TRZECI W PRZYGOTOWANIU

PATRONAT



PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA MIASTA
JELENIEJ GÓRY
JERZEGO ŁUŻNIAKA



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6422-3

EAN 9788327164223

U.WD.KRW147.1.01.01